

Jonathan Kellerman

Kiedy Pęka Tama

Przekład Ewa i Dariusz Wojtczakowie

Dla Fave, Jesse i Rachel

Rozdział 1

Zapowiadał się piękny poranek. Ostatnią rzeczą, o jakiej chciałbym usłyszeć było morderstwo.

Od dwóch dni wybrzeżem targał zimny prąd pacyficzny, spychając wszelkie zanieczyszczenia na wschód, do Pasadeny. Mój dom tuli się do wzgórz tuż za północnym krańcem Bel Air, na szczycie starej trasy do jazdy konnej, która wije się wzdłuż doliny Beverly. Bujne zielone kaniony przechodzą tutaj w wielokilometrowy pas plaż. Jest to dzielnica bogaczy i ich porsche, a także kojotów brudnych, śmierdzących ścieków i krótkich strumyczków.

Dom liczy sobie pięćset pięćdziesiąt metrów kwadratowych powierzchni. Zbudowany jest z drewna sekwojowego w kolorze srebra, zwietrzałego kamienia i barwionego szkła. Na peryferiach miasta wyglądałby zapewne jak zwyczajna chałupa, natomiast tu, na pogórzu, przywodzi na myśl przyjemne wiejskie ustronie – nic szczególnie luksusowego, jednak wiele tarasów, pięt, ciekawych skosów i architektonicznych niespodzianek dla oka stanowi o jego uroku. Budynek zaprojektował dla siebie pewien węgierski artysta, który szybko zbankrutował, próbując sprzedać galeriom na La Cienega wielkie wielobarwne trójkąty. Strata dla sztuki, a dla mnie dzięki prawu miasta Los Angeles korzyść. W pogodne dni – takie jak dziś – z okien rozciągał się wspaniały widok na ocean: modry pas, błyskający ponad Pacific Palisades.

Spałem przy otwartych oknach. Włamywacze i neomansoniści niech się trzymają ode mnie z daleka! Obudziłem się o dziesiątej – nagi, skłębiona pościel leżąca na podłodze – w środku jakiegoś umykającego snu. Leniwy i zadowolony, podparłem się na łokciach, potem okryłem się i zagapiłem na karmelkowe pasy słonecznego światła wpadającego przez żaluzje. Całkowicie rozbudził mnie dopiero atak muchy, która zajęła się poszukiwaniem padliny w mojej pościeli, od czasu do czasu niczym bombowiec atakując moją głowę.

Powlokłem się do łazienki i puściłem wodę do wanny; później wszedłem do kuchni, żeby coś przekąsić. Mucha nadal mi towarzyszyła. Zaparzyłem kawę, po czym podzieliłem się z muchą cebulowym bajgłem. Było dwadzieścia po dziesiątej w poniedziałkowy ranek, a ja nie musiałem nigdzie iść ani nic zrobić. Ach, błogosławiona dekadencja.

Mijało już prawie pół roku od kiedy przeszedłem na przedwczesną emeryturę, i ciągle zaskakiwała mnie myśl, jak łatwo jest się przemienić z nałogowego pracoholika w zażywającego przyjemności nieroba. Najwyraźniej miałem w sobie tę cechę od urodzenia.

Wróciłem do łazienki, usiadłem na krawędzi wanny, żując pieczywo i luźno planując dzisiejszy dzień: spokojna kąpiel, pobieżne przejrzenie porannej gazety, może jogging do kanionu i z powrotem, później prysznic, odwiedziny u...

Z zadumy wyrwał mnie dzwonek do drzwi.

Obwiązałem się w pasie ręcznikiem i ruszyłem do frontowego wejścia. Zanim tam dotarłem, zauważyłem, że Milo zdążył już wejść.

– Zapomniałeś zamknąć drzwi – oświadczył, zdecydowanym ruchem zamykając je za sobą i rzucając na sofę „Timesa”. Wgapił się we mnie, więc szczerzej okryłem się ręcznikiem. – Dzień dobry, naturysto.

Gestem zaprosiłem go do salonu.

– Naprawdę powinieneś się zamykać, mój przyjacielu. Mam na posterunku całą stertę akt bardzo szczegółowo opisujących, co przydarza się ludziom, którzy tego nie robią.

– Witaj, Milo.

Wszedłem do kuchni i nalałem kawę do dwóch filiżanek. Milo przywłókł się za mną niczym ocieężały duch, po czym otworzył lodówkę i wyjął talerz z zimną pizzą, o której zupełnie zapomniałem. Następnie wrócił do salonu, gdzie opadł na starą skórzaną sofę – pamiątkę po moim gabinecie na Wilshire – postawił sobie talerz na udzie i wyciągnął długie nogi.

Zakręciłem wodę w łazience i usiadłem naprzeciwko przyjaciela na otomanie z wielbłądziej skóry.

Milo jest dużym facetem – metr osiemdziesiąt osiem, prawie sto kilo wagi – który zwykle zachowuje się bardzo swobodnie, by nie powiedzieć zbyt swobodnie. Tego ranka wyglądał jak posadzona na poduszkach wielka szmaciana lalka o szerokiej, sympatycznej twarzy – niemal chłopięcej, gdyby nie spora liczba blizn po trądziku i zmęczone oczy. Oczy miał zielone, obrzeżone czerwienią; nad nimi zmierzwione ciemne brwi i szopę gęstych czarnych włosów przywodzącą na myśl przedstawicieli klanu Kennedych. Nos Mila był ogromny i garbaty, usta pełne i dziecięco miękkie. Dziobate policzki porastały niemodne już od co najmniej pięciu lat baczki.

Ubrany był, jak zwykle, w stylu braci Brooks: oliwkowozielony gabardynowy garnitur, żółta rozpinana koszula, rypсовy krawat w miętowo-zielone i złote paski, intensywnie czerwone, dziurkowane buty z noskami. W tym stroju przypominał mi ucznia prywatnej szkoły W.C. Fieldsa w czerwonych tenisówkach.

Koncentrując się na pizzy, nie zwracał na mnie uwagi.

– Cieszę się, że załapałeś się u mnie na śniadanie – zagałem.

– Co u ciebie słyszać, stary? – zapytał po chwili, gdy już wyczyścił talerz.

– Do twojego przyjścia czułem się świetnie! Co mogę dla ciebie zrobić, bracie?

– A kto mówi, że czegoś od ciebie chcę? – Strząsnął okruszki z ubrania na dywan. – Może to jest wizyta towarzyska?

– Wtargnąłeś tu bez zapowiedzi i z miną posokowca. Twoja wizyta z pewnością ma jakiś cel.

– Cóż za intuicja. – Potarł dłońmi twarz, jak gdyby obmywał ją wodą. – Chciałem cię prosić o przysługę – dodał.

– Bardzo proszę, możesz pożyczyć samochód. Nie będę go potrzebował aż do późnego popołudnia.

– Nie, nie, tym razem nie o to mi chodzi. Potrzebuję twoich usług, hmm... profesjonalnych.

Zaskoczył mnie.

– Pamiętasz, że leczyłem dzieci? Jesteś dla mnie za stary – odparłem. – Poza tym odszedłem z zawodu.

– Nie żartuję. Aleksie. Jeden z twoich kolegów po fachu leży u mnie w kostnicy. To Morton Handler.

Znałem nazwisko, chociaż nie kojarzyłem z nim nikogo znajomego.

– Handler jest psychiatrą.

– Psychiatra, psycholog, to tylko drugorzędna różnica semantyczna. Ważne, że człowiek nie żyje. Podcięte gardło, trochę wypatroszony. Podobnie potraktowali jego przyjaciółkę, której dodatkowo okaleczyli organy płciowe i odcięli nos. Miejsce, gdzie to się zdarzyło... to znaczy mieszkanie ofiary, wygląda jak rzeźnia.

Rzeźnia... Przypomniałem sobie, że Milo uzyskał stopień magistra z literatury amerykańskiej.

Odstawiłem filiżankę z kawą.

– W porządku. Milo. Dzięki tobie właśnie straciłem apetyt. Teraz powiedz mi, jaki związek ma ta sprawa ze mną.

Podjął opowieść, jakby w ogóle nie słyszał moich słów.

– Wezwano mnie na miejsce zbrodni o piątej nad ranem. Od tej pory nie przestaje mi się zdawać, że stoję po kolana w strzępach ludzkiej tkanki i krwi. Śmierdziało tam, jak... Ludzie po śmierci strasznie śmierdzą. Nie mówię o rozkładzie ciała, chodzi mi o smród, który pojawia się wcześniej. Sądziłem, że zdążyłem się już do niego przyzwyczaić, a jednak co jakiś czas czuję jego powiew i aż skręca mnie tutaj. – Palcem dotknął swego brzucha. – A więc piąta rano. Zostawiłem w swoim łóżku obrażonego kolesia. Głowa mi pęka, boję się, że eksploduje. Wyobraź sobie: kawałki ludzkiego ciała o piątej rano. Jezu!

Wstał, podszedł do okna i zapatrzył się w niebo ponad wierzchołkami sosen i eukaliptusów. Z miejsca, w którym siedziałem, dostrzegałem wznoszące się z odległego komina leniwe smugi dymu.

– Tu, na górze, jest naprawdę przyjemnie. Aleksie. Pewnie wyobrażasz sobie czasami, że mieszkasz w raju, gdzie nie masz nic do roboty?

– Nie myśl, że się nudzę.

– Cóż. Zapewne nie. I nie masz już ochoty słuchać dalej o Handlerze i jego dziewczynie.

– Przestań kręcić. Milo, i powiedz wreszcie, o co ci chodzi.

Odwrócił się i spojrzał na mnie z uwagą. Duża, brzydka twarz. I zmęczona. Teraz było widać, jak wyczerpującą ma pracę.

– Jestem przygnębiony. Aleksie. – Wyciągnął w moją stronę pustą filiżankę. Z otwartymi ustami wyglądał jak przerośnięty Oliver Twist. – Z tego też względu przyjmę jeszcze trochę tych wstrętnych pomyj.

Wyjąłem mu z ręki filiżankę i napełniłem ją. Głośno przełknął kolejny łyk kawy.

– Mamy potencjalnego świadka. Dziewczynka mieszka w tym samym budynku. Jest nieco rozkojarzona, nie mam pewności, co właściwie widziała. Spojrzałem na nią tylko raz i natychmiast pomyślałem o tobie. Mógłbyś z nią porozmawiać, może poprzez hipnozę przypomnieliby sobie pewne szczegóły.

– Nie macie u siebie psychologów?

Milo sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął garść zdjęć polaroidowych.

– Popatrz sobie na te śliczności.

Pobieżnie przejrzałem fotki. To, co zobaczyłem, wprawiło mnie w szok. Natychmiast je oddałem.

– Na miłość boską, nie pokazuj mi czegoś takiego.

– Niezły bałagan, co? Krew, strzępy ciała. – Kończył pić kawę, podnosząc wysoko filiżankę, aby wysączyć ostatnie krople. – Owszem, mamy psychologa... ale on jest wiecznie zajęty szukaniem dziwaków w naszym departamencie. Gdy już znajdzie, godzinami doradza im, jak należy udawać normalnych. Jeśli napiszę w podaniu, żeby pogadał z małą, każe mi wypełniać stopy kolejnych formularzy. Nie będzie chciał wykonać tego zadania. Na dodatek nie ma pojęcia o dzieciach. A ty masz, i to całkiem spore.

– Ale nie znam się na zabójstwach.

– Zapomnij o nich. To moja sprawa. Porozmawiaj tylko z tą siedmiolatką.

Zawahałem się. Milo wyciągnął rękę. Dłonie miał nienaturalnie białe, bardzo zadbane.

– Słuchaj, nie chcę nic za darmo. Postawię ci lunch. Znam świetną włoską knajpkę z doskonałymi gnocchi niedaleko od...

– Niedaleko od „rzeźni”? – Skrzywiłem się. – Nie, dziękuję. I tak nie zamierzam dać się sprzedać za makaron.

– Co w takim razie mogę ci zaproponować w ramach zadośćuczynienia? Masz wszystko: dom, odlotową odzież od Ralphi Lauren wraz z butami do joggingu. Chryste, przeszedłeś na emeryturę

w wieku trzydziestu trzech lat. Stale zadowolony i wiecznie opalony. Powiedz mi po prostu, że mam się odchrzanić.

– Jak myślisz, czy jestem szczęśliwy?

– Spodziewam się.

– Masz rację. – Pomyślałem o makabrycznych zdjęciach. – I oczywiście nie potrzebuję biletu wstępu do Grand Guignol.* [*Grand Guignol (fr.) – paryski teatrzyk, w którym wystawia się krótkie sztuki sensacyjne z elementami horroru. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza.)]

– Wiem – przyznał. – Założę się jednak, że pod tą uśmiechniętą maską znajdę znudzonego młodego człowieka.

– Bzdura.

– Bujasz. Jak długo już leniuchujesz? Sześć miesięcy?

– Pięć i pół.

– Pięć i pół. Kiedy cię poznałem... a dokładnie rzecz biorąc, krótko po tym, jak cię poznałem, tryskałeś życiem, energią, pomysłami. Twój umysł pracował wtedy na niezłych obrotach. A teraz opowiadasz mi tylko o gorących kąpielach, coraz lepszych wynikach w biegu na milę i przeróżnych odcieniach zachodów słońca, które oglądasz ze swojego pięterka. W waszym żargonie coś takiego nazywa się chyba „regresją”. Krótkie gacie, jazda na wrotkach, zabawa w wodzie... Podobnie jak połowa ludzi w tym mieście, funkcjonujesz na poziomie sześciolatka.

Roześmiałem się.

– I proponujesz mi pewną formę terapii zajęciowej? Babraninę we krwi i ludzkich tkankach?

– Aleksie, możesz siedzieć sobie na tyłku, próbując osiągnąć „nirwanę poprzez inercję”, ale i tak ci się nie uda. Znasz taką linijkę z programu Woody’ego Allena: „Gdy za bardzo dojrzejesz, przejrzevasz, po czym zaczynasz gnić”?

Poklepałem się po gołej piersi.

– Jak na razie, żadnych śladów rozkładu.

– Chodzi mi o twoje wnętrze. Rozkład rozpoczyna się głęboko w środku, a na zewnątrz wyłazi wówczas, gdy się go najmniej spodziewasz.

– Dziękuję panu, doktorze Sturgis.

Posłał mi pogardliwe spojrzenie, po czym poszedł do kuchni. Gdy wrócił, zatapiał zęby w gruszcze.

– Ale dobra.

– Nie krępuj się.

– W porządku. Aleksie, zapomnij o mojej prośbie. Znalazłem psychiatrę i panienkę nazwiskiem Gutierrez martwych i posiekanych. Mam też siedmiolatkę, która twierdzi, że chyba coś widziała albo słyszała, tyle że jest straszliwie przerażona, więc w jej słowach nie odnajduję żadnego sensu. Proszę cię o głupie dwie godziny, wiedząc, że czasu na pewno ci nie brakuje, i dostaję gówno, nie pomoc.

– Poczekaj, jeszcze nie odmawiam. Muszę się tylko trochę zastanowić; nad twoją prośbą. Dopiero co się obudziłem, a ty pakujesz mi się do mieszkania i informujesz o podwójnym zabójstwie.

Milo podniósł rękę, odsunął mankiet koszuli i spojrzał na timexa.

– Dziesiąta trzydzieści siedem. Biedny chłopczyk. – Obrzucił mnie piorunującym spojrzeniem i wgryzł się w gruszkę. Na podbródek spłynął mu sok.

– Mógłbyś przynajmniej mieć na względzie moje ostatnie kontakty z policją. Przecież wiesz, że zostałem mi po tamtej sprawie uraz.

– Przypadek Hickle'a był jedyny w swoim rodzaju. A ty padłeś jego ofiarą... w pewnym sensie. Nie zamierzam cię wplątywać w te morderstwa. Proszę tylko, abys przez godzinkę czy dwie pogawędził z kilkuletnim dzieckiem. Poddaj małą hipnozie, jeśli uznasz to za konieczne. Potem zjemy gnocchi i wreszcie pojedę do domu i spróbuję udobruchać mojego nowego partnera, a ty będziesz, mógł wrócić do swojej wspaniałej twierdzy. I tyle. Koniec sprawy. Za tydzień spotkamy się na czysto towarzyskim spotkaniu... Małe sashimi w Japtown? Odpowiada ci?

– Co ta dziewczynka naprawdę widziała? – spytałem, rozmyślając o tym, że diabli biorą moje plany na miły dzień.

– Cienie, głosy dwóch facetów, może trzech. Ale kto to może wiedzieć? Jest tylko dzieckiem, w dodatku okropnie przerażonym. Jej matka jest tak samo przestraszona i z pewnością nie mogłaby zostać fizykiem jądrowym. Nie wiedziałem, jak do nich podejść, Aleksie. Próbowałem być uprzejmy i swojski. Szkoda, że nie było ze mną młodej policjantki z przygotowaniem psychologicznym, która potrafi rozmawiać z dziećmi. Niestety, nie ma ich u nas zbyt wiele. Departament woli zamiast nich zatrudnić trzy tuziny nadętych urzędników. – Wgryzł się w gruszkę aż do ogryzka. – Cienie, głosy. Tylko tyle. Ale ty rozumiesz język dzieci, prawda? Jesteś specjalistą. Wiesz, jak się z nim porozumieć. Jeśli zdołasz namówić tę dziewczynkę, by się przed tobą otworzyła, świetnie. Fantastycznie byłoby, gdyby potrafiła podać coś w rodzaju rysopisów. Jeśli jednak ci się nie uda, trudno, ja zaś będę miał czyste sumienie, że przynajmniej spróbowałem.

Specjalista od dziecięcego języka. Rzeczywiście, kiedyś tak siebie nazywałem – podczas sprawy Stuarta Hickle'a. Potem jednak zacząłem tracić nad wszystkim kontrolę, a moją głowę wypełniało już, tylko oblicze tego potwora i twarze wszystkich dzieciaków, które skrzywdził. Milo zabrał mnie wtedy na drinka. Około drugiej nad ranem zapytał nienaturalnie głośno, jak to możliwe, że molestowane dzieci nie wygadały się wcześniej. Dlaczego tak długo pozwalały się dręczyć Hickle'owi?

– Dzieci nie nie mówiły, ponieważ i tak nikt ich nie słuchał – odparłem. – A poza tym obwiniały przede wszystkim siebie.

– Naprawdę? – Spojrzał na mnie zaczerwienionymi oczami, trzymając kufel w obu dłoniach. – Zwykle słyszę takie bzdury od naszych psychologów zajmujących się nieletnimi.

– Cóż, w taki właśnie sposób rozumują dzieci. Są nastawione egocentrycznie. Uważają, że cały świat kręci się wokół nich. Gdy mamusia się pośliznie i złamie nogę, obwiniają za to siebie.

– Jak długo myślą w ten sposób?

– Niektórzy ludzie do końca życia. U pozostałych zmiany dokonują się stopniowo. Około ósmego, dziewiątego roku życia zaczynamy myśleć logicznie i lepiej kojarzyć rozmaite fakty. Prawda jest jednak taka, że sprytny dorosły potrafi niemal każdemu dziecku wmówić, że jest ono odpowiedzialne za jakieś nieprzyjemne zdarzenie.

– Tak, nasz świat to piekielnie paskudne miejsce – mruknął Milo. – W jaki sposób rozmawiasz z tymi biednymi istotami?

– Po prostu wiem, jak myślą dzieci w danym przedziale wiekowym. Wiesz, chodzi mi o stadia rozwojowe. Jeśli nauczysz się mówić językiem danego dziecka, stajesz się specjalistą od jego języka.

– Tym właśnie się zajmujesz?

– Tak.

– Uważasz, że poczucie winy to coś złego? – spytał Milo kilka minut później.

– Niekoniecznie. Jest niezbędne, stanowi nieodłączną cechę człowieczeństwa. Jednakże zbyt wielkie poczucie winy może zaszkodzić.

Milo pokiwał głową.

– Wiesz co? Podoba mi się twoje podejście do tego problemu. Znani mi psychiatrzy zawsze powtarzają, że w ogóle nie należy odczuwać winy. To, co mówisz, wydaje się dużo bardziej rozsądne. Moim zdaniem człowiek czasem powinien się czuć winny, świat jest przecież pełen pieprzonych barbarzyńców.

Nie polemizowałem.

Rozmawialiśmy jeszcze przez jakiś czas. Alkohol najpierw nas ożywił, potem rozweselił, w końcu zaczęliśmy nawet płakać.

Pamiętam, że barman przestał wtedy polerować szklanki i zagapił się na nas.

To był marny – naprawdę marny – okres w moim życiu i byłem wdzięczny przyjacielowi, że

pomógł mi go przetrwać.

Teraz obserwowałem, jak kończył ogryzać gruszkę zadziwiająco małymi, ostrymi zębami.

– Dwie godziny? – spytałem.

– Nie więcej.

– Daj mi wcześniej godzinkę, muszę załatwić pewną sprawę.

Milo wyraźnie się ucieszył, że zdołał mnie namówić na rozmowę z dziewczynką. Pokiwał głową i z ulgą wypuścił powietrze.

– Jasne. Pojadę na posterunek i trochę popracuję. – Ponownie spojrzał na timexa. – Umawiamy się na dwunastą?

– Dobrze.

Podszedł do drzwi balkonowych, otworzył je, wyszedł na balkon i wyrzucił ogryzek ponad balustradę na trawnik przed domem. Gdy schodził po schodach, w pewnej chwili zatrzymał się i podniósł na mnie wzrok. Słoneczny blask padający na jego dziobatą twarz zmienił ją w bladą maskę. Przez moment bałem się, że Milo się roztkliwi.

Niepotrzebnie się martwiłem.

– Słuchaj, Aleksie, skoro zostajesz w domu, może pożyczysz mi cadillaca? Ten pojazd – wskazał oskarżycielsko na starego fiata – ciągle się psuje. Teraz siadł rozrusznik.

– Przyznaj, stary, że po prostu podoba ci się mój samochód. – Wszedłem do domu, wziąłem zapasowe kluczyki i rzuciłem przyjacielowi.

Chwycił je zręcznie jak Dusty Baker piłkę, po czym otworzył drzwiczki Seville, wsiadł i wyregulował siedzenie, by zmieścić długie nogi. Silnik zaskoczył natychmiast, mrużąc z wigorem. Milo wyglądał w moim samochodzie jak szesnastolatek jadący autem tatusia na swój pierwszy szkolny bal. Powoli ruszył ze wzgórza.

Rozdział 2

Już od wczesnej młodości prowadziłem życie w szaleńczym tempie. Zawsze byłem piątkowym uczniem. Naukę w college'u rozpocząłem, mając szesnaście lat; przez szkołę przebrnąłem szybko, głównie w toku nauki indywidualnej, potem ukończyłem studia doktoranckie z zakresu psychologii klinicznej na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles i w wieku dwudziestu czterech lat uzyskałem stopień doktora. Odbylem praktykę lekarską na północy, w Instytucie Langleya Portera, po czym wróciłem do Los Angeles, by objąć docenturę w Zachodnim Centrum Pediatrycznym. Po stażu otrzymałem etat w szpitalu oraz stanowisko wykładowcy w szkole medycznej stowarzyszonej z Centrum. Miałem wielu pacjentów, opublikowałem szereg prac naukowych.

Jako dwudziestoosmiolatek byłem profesorem nadzwyczajnym w dziedzinie pediatrii i psychologii oraz kierownikiem programu pomocy dla chorych dzieci. Sekretarki nie potrafiły zapamiętać mojego tytułu z powodu jego długości. Otaczały mnie stosy własnych publikacji: artykuły naukowe, opisy eksperymentów, recenzje z nowych prac badawczych, monografie, rozdziały do podręczników. Napisałem także tom przemyśleń na temat psychologicznych skutków przewlekłych chorób u dzieci.

Miałem wspaniałą pozycję, niestety, nie szła za tym równie dobra płaca, zacząłem więc dorabiać na boku, przyjmując prywatnych pacjentów w gabinecie wynajętym od psychoanalityka z Beverly Hills. Liczba pacjentów rosła, aż zacząłem poświęcać prywatnej terapii siedemdziesiąt godzin tygodniowo. Biegałem wtedy między szpitalem i gabinetem niczym obłąkana mrówka-robotnica.

Gdy odkryłem, że bez odpisów i ulg podatkowych zapłaciłbym Izbie Skarbowej sumę, która przeciętnemu Amerykaninowi wystarczyłaby na spokojne przeżycie roku, wkroczyłem do świata ludzi uchylających się od płacenia podatków. Wynajmowałem i zwalniałem księgowych, nabyłem kalifornijską posiadłość, którą sprzedałem ze skandalicznym zyskiem w czasie boomu w handlu nieruchomościami. Potem kupiłem następną. Zostałem zarządcą kamienicy z apartamentami na wynajem; ta działalność zajmowała mi około pięciu, dziesięciu godzin tygodniowo. Opłacałem wielu pracowników: ogrodników, hydraulików, malarzy pokojowych i elektryków. Na Boże Narodzenie otrzymałem sporo kalendarzy branżowych.

W wieku trzydziestu dwóch lat miałem dokładnie wypełnione zajęciami dni, pracowałem niemal bez przerwy, sypiałem niespokojnie po kilka godzin na dobę. Zapuściłem brodę, aby oszczędzić każdego ranka pięć minut, które zabierało golenie. Kiedy przypominałem sobie o jedzeniu, kupowałem cokolwiek w szpitalnych automatach i napychałem sobie usta, równocześnie przebiegając korytarze w trzepoczącym białym fartuchu z notesem w ręku. Sprawiałem wrażenie pomyłonego naukowca albo dziwaka. Stale miałem do wypełniania jakąś misję i brakowało mi czasu dla siebie.

Byłem człowiekiem sukcesu!

Niewiele pozostawało w takim życiu czasu na romanse. Angażowałem się w krótkie związki erotyczne, szalone i nic nie znaczące, z pielęgniarkami, stażystkami, studentkami medycyny i pracownicami socjalnymi. Nie zapominałem o czterdziestoletnich, długonogich blond sekretarkach – gdy było już po wszystkim, uświadamiałem sobie przeważnie, że nie są w moim typie – którym

poświęcałem dwadzieścia minut za półkami w sali z aktami medycznymi.

W ciągu dnia uczestniczyłem w zebraniach komisji, odwalałem papierkową robotę i próbowałem rozstrzygać spory przepracowanego personelu. Wieczorem stawiałem czoło nieprzerwanej fali rodzicielskich skarg, do których dziecięcy terapeuta dość szybko się przyzwyczaja, oraz dostarczałem pociechy i wsparcia zagubionym dzieciom.

W wolnym czasie wysłuchiwałem skarg lokatorów, przeglądałem „The Wall Street Journal”, aby ocenić stan moich zysków i strat, oraz przebijałem się przez góry korespondencji, odnosząc wrażenie, że większa jej część pochodzi od przyjemniaczków w białych kołnierzykach z równie białymi zębami, którzy zamierzali w jednej chwili uczynić mnie niezwykle bogatym osobnikiem. Nazywali mnie „wybitnym młodym człowiekiem” i pragnęli mi sprzedać (za jedyne sto dolarów) oprawną w skórę księgę adresową podobnych do mnie, ogólnie szanowanych obywateli.

Podczas tego szalonego okresu zdarzało mi się w środku dnia z trudem łapać oddech, odsuwałem jednak wszelkie myśli o chorobie, zbyt zajęty, by poddać się badaniom.

W ten codzienny kołowrót wkroczył nagle Stuart Hickle.

Był spokojnym mężczyzną, emerytowanym technikiem laboratoryjnym. Wyglądał jak życzliwy sąsiad z siateczki – wysoki, lekko zgarbiony, około pięćdziesiątki, lubił rozpinane swetry i zbierał stare fajki z korzenia wrzośca. Szykretowe okulary usadowione na czubku cienkiego, spiczastego nosa osłaniały dobrotliwe oczy w szarym kolorze. Miał łagodny uśmiech i nienaganne maniery.

Niestety, miał również paskudne hobby – lubił pieścić dziecięce organy płciowe.

Kiedy policja go w końcu schwytala, skonfiskowano mu ponad pięćset kolorowych fotografii, na których zabawiał się z chłopcami i dziewczynkami w wieku od dwóch do pięciu lat. Były białe, czarne, mieszane; płeć i rasa była nieistotna. Ofiary miały być młode i uległe.

Podczas oglądania tych zdjęć coś zwróciło moją uwagę. Były odpychające, owszem, lecz największe wrażenie zrobiły na mnie spojrzenia dzieci. W ich wzroku oprócz oczywistego przerażenia dostrzegłem świadomość własnej bezbronności. Ich oczy wyraźnie mówiły: „Wiem, że to wstrętne. Dlaczego coś takiego przydarza się właśnie mnie?” Na każdym zdjęciu widziałem tę samą minę, nawet na twarzy najmłodszej z ofiar.

To spojrzenie stało się dla mnie uosobieniem przemocy.

Wtedy zaczęły mi się śnić koszmary.

Hickle miał wyjątkowe podejście do małych dzieci. Jego żona – Koreanka imieniem Kim, sierota, którą spotkał w trakcie służby wojskowej w Seulu – prowadziła w bogatym Brentwood popularny ośrodek opieki dziennej dla małych dzieci.

„Zakątek Kim” cieszył się opinią jednej z najlepszych tego typu instytucji. Rodzice zostawiali tu swoje pociechy, gdy szli do pracy, zamierzali się zabawić lub po prostu chcieli побыć sami. W chwili wybuchu skandalu przedszkole funkcjonowało już od prawie dziesięciu lat i mimo

niepodważalnych dowodów przeciwko Hickle'owi wiele osób nie chciało uwierzyć, że ośrodek jego żony jest w rzeczywistości miejscem pedofilskich rytuałów odprawianych przez jednego człowieka.

Z zewnątrz „Zakątek” wyglądał wesoło i przyjemnie. Mieścił się w wielkim, dwupiętrowym domu na spokojnej ulicy niedaleko Uniwersytetu Kalifornijskiego. W ostatnim roku działalności w przedszkolu bywało ponad czterdzieścioro dzieci, większość pochodziła z bogatych rodzin. Sporą część pensjonariuszy Kim Hickle stanowiły bardzo małe dzieci, ponieważ „Zakątek” – jako jedna z niewielu tego typu placówek – przyjmował maleństwa, które nie umiały jeszcze same korzystać z toalety.

W budynku znajdowała się suterena – rzadkość w hrabstwie, w którym zdarzają się trzęsienia ziemi – i właśnie w tym wilgotnym, przepastnym pomieszczeniu policjanci spędzili sporo czasu w trakcie śledztwa. Znaleźli tam stare wojskowe łóżko polowe, lodówkę, zardzewiały zlew i sprzęt fotograficzny wart pięć tysięcy dolarów. Bliższym oględzinom poddano łóżko, które dostarczyło szokujących sądowych dowodów winy gospodarza – znaleziono jego włosy oraz ślady krwi, potu i nasienia.

Media zajęły się sprawą Hickle'a z łatwą do przewidzenia energią i intensywnością. Stanowiła pikantny kąsek, nie pozostawiała nikogo obojętnym, wyzwała u widzów i czytelników pierwotny lęk i oburzenie. W dodatku kojarzyła się ze słynnym wcześniejszym przypadkiem osobnika nazywanego „Kosmicznym Straszdyłem”. Wieczne wiadomości pokazywały Kim Hickle, która zasłaniając rękami twarz, uciekała przed tłumem reporterów. Kobieta zapewniała, że nie miała pojęcia o postępkach swego męża. Nic nie świadczyło o jej współudziale, toteż policja poprzestała na zamknięciu placówki i odebraniu Koreance licencji. Kim złożyła wniosek o rozwód, po czym wyjechała z miasta w nieznanym kierunku.

Ja sam wątpiłem w jej niewinność. Miałem do czynienia z wieloma podobnymi sprawami i wiedziałem, że żony pedofilów często pomagają mężom – otwarcie bądź potajemnie – organizować lub tuszować lubieżne ekscesy. Zwykle były to kobiety, które nie lubiły seksu i zbliżeń fizycznych, starały się więc unikać wypełnienia małżeńskich obowiązków i jawnie szukały zastępczych partnerek – lub partnerów – dla swoich mężczyzn. Czasem dochodziło wręcz do przerażająco okrutnej parodii haremu – słyszałem o ojcu, który sypiał ze swoimi trzema córkami zgodnie z ułożonym przez żonę harmonogramem.

Trudno mi również było uwierzyć, że Kim Hickle układała z dziećmi klocki lego, podczas gdy w suterenie jej mąż, Stuart, zabawiał się z bezbronnymi ofiarami. Tak czy owak, kobiecie nie postawiono żadnych zarzutów.

Samego Hickle'a natomiast rzucono społeczeństwu na pożarcie. Sprawę maksymalnie nagłośniono, kamery telewizyjne nagrywały każdy ruch przestępcy. Co dnia można było obejrzeć programy specjalne, w których na żywo wypowiadały się autorytety – co bardziej wymowni z moich kolegów po fachu – oraz specjaliści od praw dzieci.

Zamieszanie trwało dwa tygodnie, potem historia utraciła powab nowości i zastąpiły ją doniesienia o innych okropnościach. Jak wiadomo, w Los Angeles nie można narzekać na brak paskudnych zdarzeń. To miasto płodzi moralną zgniliznę niczym drapieżny insekt rodzący

krwiopijcze larwy.

Policja skontaktowała się ze mną trzy tygodnie po aresztowaniu Hickle'a. Sprawa już właściwie przycichła i ktoś wreszcie pomyślał o ofiarach.

A one przechodziły piekło.

Dzieci budziły się z krzykiem w środku nocy. Maluchy, które już wcześniej nauczyły się korzystać z ubikacji, na nowo moczyły się i brudziły. Spokojne, dobrze wychowane maleństwa, zaczęły teraz szaleć: bez powodu biły piąstkami, kopały i gryzły wszystkich wokół. Wiele dzieci miało bóle żołądka i zaburzenia psychiczne. Najczęściej pojawiały się u nich klasyczne objawy depresji – utrata apetytu, apatia, regres rozwojowy, poczucie braku własnej wartości.

Rodziców natomiast dręczyło poczucie winy i wstyd, wszędzie widzieli prawdziwe lub wyobrażone oskarżycielskie spojrzenia członków rodziny i przyjaciół. W końcu małżonkowie często odsuwali się od siebie. Niektórzy rozpieszczali pokrzywdzone dzieci, zmniejszając w ten sposób poczucie wartości ich samych i rozwścieczając ich rodzeństwo. Po pewnym czasie dotarły do mnie informacje, że niekiedy bracia i siostry ofiar czuli się zaniedbywani i wręcz żalowali, iż to nie ich molestowano. Równocześnie dzieci te czuły się winne, że domagają się szczególnego traktowania.

Rodziny rozpadały się, a wiele osób jawnie żądało głowy Hickle'a. Zapewne tragedia znerwicowanych, zmieszanych, przerażonych i obarczonych wyrzutami sumienia ludzi pociągnęłaby za sobą jeszcze inne trwałe skutki, gdyby nie fakt, że daleka ciotka jednej z ofiar działała społecznie w radzie nadzorczej Zachodniego Centrum Pediatrycznego i na jednym z posiedzeń głośno zadała pytanie, dlaczego, u licha, szpital nic nie zrobił dla ofiar i jaki jest w takim razie sens działania instytucji służby publicznej. Przewodniczący rady z pokorą przyznał jej rację, a jednocześnie dostrzegł okazję zyskania dobrej prasy dla Centrum. Szczególnie że ostatnio źle pisano o nas przy okazji wykrycia salmonelli w bufetowej surówce z kapusty, zatem pozytywna reklama była niezwykle pożądana.

Dyrektor do spraw medycznych wydał oświadczenie prasowe, w którym poinformował o powstaniu programu psychologicznej rehabilitacji dla ofiar Stuarta Hickle'a. Na terapeutę wyznaczono mnie, o czym dowiedziałem się z artykułu w „Timesie”.

Kiedy następnego ranka przyszedłem do biura dyrektora, sekretarka natychmiast mnie wprowadziła. Dyrektor – specjalizujący się w pediatrii chirurg, który nie operował już od dwudziestu lat i stał się zadowolonym z siebie i dobrze opłacanym biurokratą – siedział za lśniącem biurkiem wielkości boiska do hokeja i uśmiechał się szeroko.

– Co się dzieje. Henry? – spytałem, podnosząc gazetę.

– Usiądź, Aleksie. Właśnie miałem do ciebie zadzwonić. Rada zdecydowała – oświadczył nie znoszącym sprzeciwu tonem – że będziesz idealny do wykonania tego zadania. To bardzo pilne.

– Pochlebia mi wasz wybór.

– Rada pamięta, jak świetnie pracowałeś z Browniami.

– Z Brownellami.

– Jak zwał, tak zwał.

Pięcioro dzieci Brownellów przeżyło katastrofę samolotu w górach. Rodzice zginęli. Dzieci cierpiały z powodu urazów fizycznych i psychicznych: były poparzone, na wpół zagłodzone, niektóre dotknięte amnezją, inne – wtórną niemotą. Pracowałem z nimi przez dwa miesiące i gazety rozpisywały się o moich sukcesach.

– Wiesz, Aleksie – ciągnął dyrektor – że czasami zajęci próbami wykorzystania technologii medycznej najnowszej generacji i niezwykłymi zabiegami, które wymagają zastosowania nowoczesnych metod lekarskich, tracimy z pola widzenia czynnik ludzki. Człowieka.

To była wspaniała przemowa. Miałem nadzieję, że dyrektor będzie pamiętał swoje słowa podczas ustalania budżetu na następny rok.

Nadal prawił mi komplementy, mówił, że szpital musi „dawać przykład humanitarnym programem”, wreszcie uśmiechnął się i pochylił w moją stronę.

– A poza tym sądzę, że sprawa ta ma istotny potencjał badawczy i do czerwca uda ci się opublikować dwa albo trzy teksty naukowe.

W czerwcu miałem otrzymać tytuł profesora zwyczajnego. Dyrektor zasiadał w komisji na Akademii Medycznej.

– Henry, jawnie odwołujesz się do moich najniższych instynktów.

– Nie myśl o tym w ten sposób. – Mrugnął do mnie łobuzersko. – Przede wszystkim pragniemy przecież pomóc tym biednym dzieciom. – Potrząsnął głową. – Sprawa jest naprawdę wstrętna. Faceta powinni wykastrować.

Ot, sprawiedliwość chirurga.

Z typowym dla siebie ogromnym zaangażowaniem zacząłem przygotowywać plan programu rehabilitacyjnego. Otrzymałem zezwolenie na prowadzenie sesji terapeutycznych w moim prywatnym gabinecie, choć wcześniej musiałem oczywiście obiecać, że wszelkie zaszczyty przypadną Zachodniemu Centrum Pediatrycznemu. Celem moich działań miała być pomoc rodzinom ofiar w ujawnieniu uczuć tłumionych od dnia, w którym wyszły na jaw piwniczne sprawki Hickle’a. Chciałem również, by pacjenci w trakcie szczerych rozmów na temat własnych emocji poczuli, że nie są w nich osamotnieni. Planowałem intensywny sześciotygodniowy program, oparty przede wszystkim na terapii grupowej – dla dzieci, rodziców, rodzeństwa i rodzin kilkupokoleniowych – oraz, w razie potrzeby, sesjach indywidualnych. Na zajęcia zapisało się osiemdziesiąt procent rodzin ofiar i żadna się nie wycofała. Spotykaliśmy się wieczorem w moim apartamencie na Wilshire, kiedy w budynku było już cicho i pusto.

W niektóre noce wychodziłem z tych sesji fizycznie i emocjonalnie wyczerpany wysłuchiwaniem potoku bóleści płynących ciurkiem niczym krew z otwartej rany. Psychoterapia to jedno z najbardziej wyczerpujących zajęć znanych ludzkości. Nie wiercie ludziom, którzy twierdzą, że jest inaczej. Wykonywałem w moim życiu wszelkie rodzaje prac od wykopywania marchewek w skwarnej słońcu po zasiadanie w komisjach państwowych w wyłożonych boazerią salach konferencyjnych, i wiem, że nic nie wytrzymuje porównania z kilkugodzinnym słuchaniem ludzi mówiących o swoich tragediach i pocieszaniem nieszczęśliwych, jeśli ma się do dyspozycji jedynie słowo i współczucie. W najlepszym razie terapeutę podnosi na duchu widok pacjenta, który otwiera się i zaczyna normalnie oddychać, pozbywając się bólu. W najgorszym razie – czujesz się, jakbyś chciał się utrzymać na powierzchni w rozszalałym szambie, gdy co chwila uderza cię kolejna fala fekaliów.

Kuracja odniosła skutek. Oczy dzieci odzyskały blask. Członkowie rodzin na nowo się do siebie zbliżyli i pomagali wzajemnie przetrwać trudny okres. Stopniowo moja rola ograniczyła się do milczącej obserwacji.

Kilka dni przed ostatnią sesją otrzymałem telefon od reportera „National Medical News” – czasopisma dla lekarzy. Dziennikarz nazywał się Bill Roberts, był akurat w Los Angeles i chciał zrobić ze mną wywiad. Artykuł miał być przeznaczony dla praktykujących pediatrów i uświadomić im istnienie problemu molestowania dzieci. Projekt wydawał mi się szlachetny, więc bez wahania zgodziłem się na spotkanie.

Była godzina dziewiętnasta trzydzieści, kiedy wyjechałem ze szpitalnego parkingu i skierowałem się na zachód. Ruch uliczny był niewielki, więc jeszcze przed dwudziestą dotarłem do wieżowca z czarnego granitu i szkła, w którym znajdował się mój gabinet. Zaparkowałem samochód w podziemnym garażu, wszedłem przez podwójne drzwi do cichego holu, wsiadłem do windy i wjechałem na szóste piętro. Drzwi się otworzyły, wysiadłem, ruszyłem korytarzem, skręciłem za róg i stanąłem.

Nikt na mnie nie czekał, co trochę mnie zaskoczyło, ponieważ uważałem dziennikarzy za ludzi punktualnych.

Podszedłem do drzwi gabinetu i dostrzegłem pas światła tuż nad podłogą. Drzwi były uchylone, mniej więcej na centymetr. Czyżby sprzątaczką wpuściła Roberta do mojego gabinetu? Jeśli tak, będę musiał porozmawiać z kierownikiem budynku o ewidentnym pogwałceniu zasad bezpieczeństwa.

Kiedy wyciągałem rękę w stronę drzwi, uświadomiłem sobie, że coś jest nie w porządku. Wokół klamki dostrzegłem zadrapania, a na dywanie metalowe opiłki. Mimo to bez wahania wszedłem do środka.

– Panie Roberts?

Poczekalnia była pusta. Pchnąłem drzwi do gabinetu i dostrzegłem mężczyznę leżącego na sofie. Nie był to Bill Roberts, lecz Stuart Hickle. Nigdy go nie spotkałem, lecz natychmiast rozpoznałem.

Leżał bezwładnie na miękkich bawełnianych poduszkach. Głowę – a raczej tym, co z niej zostało – opierał się o ścianę. Otwarte oczy o nieobecnych spojrzeniach były zwrócone w sufit. Nogi mężczyzny były wykręcone w nienaturalny sposób. Jedną rękę spoczywała tuż przy mokrej plamie na pachwinie. Członek Hickle’a był w stanie wzrodu, żyły szyjne – nabrzmięte. Drugą rękę mężczyzny leżała na jego piersi. Jeden palec zaginał się wokół spustu brzydkiego, błękitno-stalowego pistoletu. Broń zwisała kolbą, w dół, wylot lufy znajdował się o centymetr od otwartych ust Hickle’a. Na ścianie za głową zauważyłem strzępy mózgu, krew i kawałki kości. Na jasnozielonej tapecie szkarłatna plama wyglądała jak odcisk dziecięcego palca. Strumyczki krwi spływały również z nosa, uszu i ust. Pokój wypełniał zapach prochu i ludzkich włosów.

Zadzwoiłem na policję.

Werdykt koronera brzmiał: „samobójstwo”. Motywy określono mniej więcej tak: Hickle cierpiał na głęboką depresję od czasu aresztowania i ponieważ nie potrafił znieść publicznego poniżenia związanego ze zbliżającym się procesem, wybrał śmierć. Umówił się ze mną telefonicznie jako Bill Roberts, włamał się do mojego gabinetu i tu strzelił sobie w głowę. Kiedy na posterunku przesłuchiwałem taśmy z jego przyznania się do winy, uznałem, że głos Hickle’a brzmi podobnie do głosu „Roberts’a”: to rzeczywiście mógł być on.

Wybór mojego gabinetu na miejsce swego samobójstwa ekipa policyjnych psychiatrów wyjaśniła w prosty sposób: ponieważ pełniłem funkcję terapeuty ofiar Hickle’a, w sensie symbolicznym byłem dla niego ojcem i naprawiałem szkody, które on wyrządził.

To wszystko.

Jednak nawet w sprawie samobójstwa – zwłaszcza połączonego z poważnymi przestępstwami – trzeba przeprowadzić śledztwo i wyjaśnić wszystkie szczegóły. Niestety, nikt nie miał ochoty zajmować się przypadkiem Hickle’a. Departament Policji w Beverly Hills przekazał sprawę policji miejskiej Los Angeles. Przedstawiciele policji Beverly Hills przyznawali, że samobójstwo miało miejsce w ich okręgu, twierdzili bowiem, iż jest ono ściśle związane z wcześniej popełnionym przez Hickle’a przestępstwami, do których doszło na terytorium działającego Wydziału Policji Zachodniego Los Angeles. To wszystko. Policja miasta Los Angeles miała ochotę pozbyć się problemu, lecz sprawę umieszczono już w aktach, a ostatnią rzeczą, jakiej pragnął departament, był zarzut zaniedbania obowiązków.

W ten sposób sprawa Hickle’a pozostała w Wydziale Policji Zachodniego Los Angeles. Przydzielono ją detektywowi wydziału zabójstw nazwiskiem Milo Bernard Sturgis.

Moje kłopoty rozpoczęły się mniej więcej w tydzień po znalezieniu ciała Hickle’a. Przez ten pierwszy tydzień – co zupełnie normalne – nie przyjmowałem do wiadomości faktów i byłem mocno odrętwiały. Nikt nie pomyślał, by spytać mnie o samopoczucie, ponieważ byłem psychologiem, czyli osobą, która powinna sama sobie poradzić z tego typu problemami.

Podczas spotkań z dziećmi i ich rodzinami świetnie dawałem sobie radę, sprawiałem wrażenie człowieka spokojnego, mądrego i odpowiedzialnego. Wszyscy wokół mnie sądzili, że panuję nad sytuacją. W trakcie terapii rozmawialiśmy o śmierci Hickle’a. Zwracałem uwagę głównie na uczucia

ofiar i ich bliskich. Mówiliśmy o tym, jak „oni” sobie radzą.

Ostatnia sesja zakończyła się małym przyjęciem. Moi pacjenci podziękowali mi za pomoc, uściskali mnie i wręczyli oprawioną w ramę kopię obrazu Braggsa „Psycholog”. Przyjęcie było udane, wszyscy się śmiali i dobrze bawili, zadowoleni z tego, że czują się lepiej i że... ich prześladowca nie żyje.

Wróciłem do domu około północy i położyłem się do łóżka. Czułem się wewnętrznie pusty, przemarznięty i bezradny niczym osierocone dziecko na pustej drodze. Następnego ranka zauważyłem u siebie objawy choroby psychosomatycznej.

Stałem się bardzo niecierpliwy i nie potrafiłem się na niczym skoncentrować. Miałem coraz częstsze i coraz poważniejsze kłopoty z oddychaniem. Z nie wyjaśnionych przyczyn byłem ciągle niespokojny, odczuwałem drżenie w żołądku i nie opuszczała mnie myśl o śmierci.

Pacjenci zaczęli mnie pytać, czy dobrze się czuję. Musiałem naprawdę źle wyglądać, skoro pacjenci – najczęściej skupieni tylko na sobie – zwrócili na mnie uwagę.

Jako psycholog dostatecznie wykształcony w sprawach medycznych powinienem szybko uświadomić sobie, co się ze mną dzieje. Niestety, postawienie autodiagnozy zawsze jest rzeczą trudną.

Nie chodziło o samo znalezienie ciała samobójcy, byłem bowiem przyzwyczajony do szokujących zdarzeń, jednak odkrycie zwłok Hickle’a okazało się czynnikiem, który przyspieszył u mnie nadejście kryzysu psychicznego. Z dzisiejszej perspektywy rozumiem, że po sześciotygodniowym okresie pracy z ofiarami zyskałem niebezpiecznie dużo czasu wolnego i mimowolnie poświęciłem go na ocenę własnej osoby. Nie podobały mi się wnioski, do których doszedłem.

Czułem się samotny i wyobcowany, nie miałem ani jednego prawdziwego przyjaciela. Przez prawie dekadę nawiązywałem bliższe kontakty jedynie z pacjentami, a ci są – z definicji – biorcami, nie dawcami.

Uczucie osamotnienia bardzo mi dokuczało. Skupiałem się coraz bardziej na swoim wnętrzu i w końcu popadłem w głęboką depresję. Zadzwoiłem do szpitala, powiedziałem, że jestem chory, odwołałem prywatnych pacjentów i spędzałem dni, leżąc w łóżku i oglądając opery mydlane.

Dźwięk i światło padające z telewizora oblewały mnie jak kiepski narkotyk paraliżujący. Byłem ogłuszony, ale moje rany się nie goiły.

Jadłem mało, natomiast spałem zdecydowanie za dużo, czułem się ociężały, słaby i do niczego się nie nadawałem. Wyłączyłem telefon i nie opuszczałem domu; otwierałem drzwi frontowe jedynie po to, by zgarnąć do środka stosy reklamówek, po czym wracałem do swej samotni.

Ósmego dnia tej wegetacji w moich drzwiach pojawił się Milo. Chciał mi zadać kilka pytań. Trzymał w rękach notes i miał wyraz twarzy psychoanalityka, chociaż z postury zupełnie nie przypominał terapeuty: był duży, zgarbiony, miał kudłate włosy i pogniecione ubranie.

– Doktor Alex Delaware?

Podniósł odznakę.

– Tak.

Przedstawił się i popatrzył na mnie. Miałem na sobie szarożółty szlafrok. Moja zaniedbana broda osiągnęła długość brody starego rabina, a rozwichrzone włosy wydawały się naelektryzowane. Mimo trzynastu godzin snu wyglądałem na niewyspanego i czułem się senny.

– Mam nadzieję, że panu nie przeszkadzam, doktorze. Pański gabinet jest zamknięty, a telefon domowy – wyłączony.

Wpuściłem go. Usiadł i badawczo rozejrzał się po mieszkaniu. Stół jadalni pokrywały wysokie na trzydzieści centymetrów stosy nie otwartej korespondencji. Wszędzie panowała ciemność, zasłony były zasunięte i czuć było stęchlizną. Na telewizyjnym ekranie migwały *Dni naszego życia*.

Milo położył na kolanie notes i oświadczył, że przesłuchanie mnie – na prośbę koronera – to tylko czysta formalność. Potem musiałem ponownie opowiedzieć o tej nocy, kiedy znalazłem ciało. Detektyw co rusz mi przerywał, prosząc o szczegóły, drapał się po głowie, notował lub wpatrywał we mnie. Była to nużąca procedura i często traciłem wątek, dlatego Milo musiał większość pytań zadawać dwukrotnie. Czasami mówiłem tak cicho, że prosił o powtórzenie odpowiedzi.

Po dwudziestu minutach zapytał:

– Doktorze, czy dobrze się pan czuje?

– Tak – odparłem nieprzekonująco.

– Aha. – Potrząsnął głową, zadał jeszcze kilka pytań, potem odłożył ołówek i zaśmiał się nerwowo. – Wie pan, czuję się trochę dziwnie, pytając lekarza o samopoczucie.

– Niech się pan mną nie przejmuj.

Wrócił do przesłuchania, a ja – mimo rozkojarzenia – odkryłem jego ciekawą metodę. Przeskakiwał z tematu na temat bez oczywistego powodu. Taki sposób rozmowy jeszcze bardziej mnie rozpraszał, a równocześnie wzmacniał czujność.

– Jest pan docentem w szkole medycznej?

– Profesorem nadzwyczajnym.

– Dość młody wiek, jak na profesurę.

– Mam trzydzieści dwa lata. Wcześniej zacząłem.

– No, no. Ile dzieci brało udział w programie terapeutycznym?

– Około trzydziestu.

– A rodziców?

– Może dziesięć, jedenaście par, pół tuzina pojedynczych rodziców.

– Rozmawialiście o panu Hickle’u podczas kuracji?

– To poufna informacja.

– Oczywiście. Prowadził pan tę kurację w ramach swoich obowiązków w – zajrzał do notesu – Zachodnim Szpitalu Pediatrycznym?

– Nazwałbym ją raczej „pracą społeczną” związaną z działalnością szpitala.

– Nie zapłacili panu za terapię?

– Dostawałem normalną pensję, a szpital zwolnił mnie tylko z dodatkowych zajęć.

– W grupach terapeutycznych byli również ojcowie.

– Tak. – Wydawało mi się, że wspomniałem mu już o parach małżeńskich.

– Niektórzy z tych mężczyzn byli zapewne mocno wściekli na pana Hickle’a, jak sądzę.

Pan Hickle?! Tylko policjant mógł ze sztuczną uprzejmością nazywać nieżyjącego zbrojnego „panem”. Przypuszczałem, że między sobą używają znacznie gorszych określeń. Nieznośna etykieta stanowiła zapewne barierę oddzielającą gliniarza od zwyczajnego obywatela.

– To sprawa poufna, detektywie.

Wyszczrzył zęby, jakby chciał powiedzieć: „Każdy ma prawo spróbować”, i szybko coś nabazgrał w notesie.

– Po co tyle pytań w związku z samobójstwem?

– Normalna procedura – odpowiedział mechanicznie, nie podnosząc wzroku znad notesu. – Jako śledczy jestem sumienny. – Popatrzył na mnie nieobecny wzrokiem i spytał: – Czy ktoś panu pomagał w terapii grupowej?

– Zachęcałem członków rodzin, by czynnie uczestniczyli... by pomagali sobie nawzajem... Byłem wśród nich jedynym profesjonalistą.

– Obserwacja i doradztwo?

– Dokładnie.

– Stosujemy tę metodę w departamencie. – Zmienił temat. – A więc właściwie pańscy pacjenci

w pewnym sensie przejęli kontrolę?

– Stopniowo. Zawsze jednak byłem obok.

– Czy któryś z nich nie dysponował przypadkiem kluczem do pańskiego gabinetu?

Aha, więc o to chodzi.

– Z pewnością nie. Sądzi pan, że jeden z moich pacjentów zabił Hickle'a i upozorował samobójstwo? – Czułem, że tak właśnie myślał. Zresztą, musiałem przyznać, że i mnie takie podejrzenie przemknęło przez głowę.

– Nie wyciągam wniosków, proszę pana. Prowadzę jedynie śledztwo.

Ten facet udzielał mi tak wykrętnych odpowiedzi, że naprawdę mógłby być psychoanalitykiem!

– Rozumiem.

Nagle wstał, zamknął notes i schował ołówek.

Podniosłem się, aby go odprowadzić do drzwi, zachwiałem się i zemdlałem.

Pierwszą rzeczą, którą zobaczyłem po odzyskaniu przytomności, była pochylona nade mną jego duża, brzydka twarz. Wyczuwałem wilgoć i zimno. Milo trzymał nad moją głowę gąbkę, z której kapłała woda.

– Zemdlał pan. Jak się pan czuje?

– Dobrze. – Ten przysłówek najmniej ze wszystkich pasował do mojego samopoczucia.

– Nie wygląda pan najlepiej. Może powinienem wezwać lekarza, doktorze.

– Nie.

– Jest pan pewny?

– Tak. To nic takiego. Mam od paru dni grypę. Po prostu muszę coś zjeść.

Detektyw wszedł do kuchni i wrócił ze szklanką soku pomarańczowego. Sącyłem płyn i powoli zacząłem odzyskiwać siły.

Siedziałem wyprostowany, trzymając w dłoni szklankę.

– Dziękuję – powiedziałem.

– Chronić i służyć.

– Teraz naprawdę wszystko jest już w porządku. Jeśli nie ma pan więcej pytań...

– Nie. Na dziś koniec. – Wstał i otworzył kilka okien; światło raziło mnie w oczy. Wyłączył telewizor.

– Chce pan coś zjeść, zanim wyjdę?

Cóż za dziwny mężczyzna. Traktował mnie w sposób niemal macierzyński.

– Poradzę sobie.

– Dobrze, doktorze. Niech pan dba o siebie.

Chciałem, żeby odszedł. Kiedy jednak odgłos silnika jego samochodu w końcu zamilkł, poczułem się zdezorientowany. Ten człowiek odmienił mój stan ale nadal byłem poruszony, niespokojny i zniecierpliwiony. Próbowałem oglądać jak toczy się świat, nie mogłem się jednak skoncentrować. Bezmyślne serialowe dialogi irytowały mnie. Wziąłem książkę, ale nie mogłem się skupić na słowach. Wypiłem trochę soku pomarańczowego. Smakował obrzydliwie i drażnił moje gardło.

Wyszedłem na patio, podniosłem wzrok i zapatrzyłem się w niebo, aż przed oczami zatańczyły mi fluorescencyjne dyski. Swędziała mnie skóra. Ptasie trele drażniły. Nie potrafiłem usiedzieć nieruchomo. Męczyłem się w ten sposób przez całe popołudnie. Czułem się paskudnie.

O szesnastej trzydzieści zadzwonił. Pewnie przed wyjściem włączył mój telefon.

– Doktor Delaware? Mówi Milo Sturgis. Detektyw Sturgis.

– Co mogę dla pana zrobić, detektywie?

– Jak się pan czuje?

– Znacznie lepiej, dziękuję.

– To dobrze.

Zapadło milczenie.

– Hmm, doktorze, poruszam się trochę po nieznanym gruncie, ale chciałbym...

– O co panu chodzi?

– Wie pan, podczas wojny wietnamskiej byłem w Korpusach Medycznych. Często widywaliśmy u naszych żołnierzy objawy, które nazywaliśmy ostrą reakcją na stres. Zastanawiałem się, czy pan...

– Czy na to nie cierpię?

– Widzi pan...

– Jaką kurację przepisywaliście w Wietnamie?

– Natychmiast wysyłaliśmy tych ludzi do akcji. Im dłużej unikali walki, tym bardziej ich stan się pogarszał.

– Sądzi pan, że powinienem postąpić podobnie? Wrócić do normalnego życia?

– Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie, doktorze. Nie jestem psychologiem.

– Diagnozuje pan, ale nie leczy.

– No cóż, doktorze. Chciałem tylko sprawdzić, czy...

– Nie, nie, proszę poczekać. Przepraszam za mój ton. Dziękuję, że pan zadzwonił. – Odczuwałem zmieszanie i zastanawiałem się nad ukrytymi motywami jego zainteresowania.

– Nie ma sprawy.

– Naprawdę doceniam pańskie zainteresowanie. Jest pan niezłym terapeutą, detektywie.

Roześmiał się.

– Widzi pan, to czasami nieodłączna część mojego zawodu.

Gdy się rozłączył, poczułem się znacznie lepiej niż w ostatnich kilku dniach. Następnego ranka zadzwoniłem do niego do centrali Wydziału Policji Zachodniego Los Angeles i zaproponowałem drinka.

Spotkaliśmy się „U Angeli”, naprzeciwko stacji Los Angeles-Zachód, na bulwarze Santa Monica. Była to kafeeteria z zadymioną salką barową na tyłach. Przy stolikach siedziały grupki dobrze zbudowanych, poważnych mężczyzn. Zauważyłem, że kilku z nich skinęło głową w stronę Milo, co wydało mi się niezwykle. Zawsze myślałem, że gliniarze po służbie witają się krzykliwie, poklepują po plecach i głośno obrzucają pieprznymi dowcipami. Ci mężczyźni z namaszczeniem sączyli swoje drinki. I zachowywali się bardzo spokojnie.

Milo był dobrym materiałem na wspaniałego terapeutę. Rozsiadł się wygodnie i sącząc chivasa, słuchał mojej gadaniny. Nie indagował mnie już. Po prostu słuchał, a ja wypłakiwałem mu się w mankiet.

A pod koniec naszego spotkania sam zaczął mi się zwierzać.

Przez następne parę tygodni Milo i ja odkryliśmy, że mamy ze sobą bardzo wiele wspólnego. Byliśmy niemal w tym samym wieku – on był tylko dziesięć miesięcy starszy – i urodziliśmy się w podobnych, robotniczych rodzinach w średniej wielkości miejscowościach. Jego ojciec był hutnikiem, mój – monterem instalacji elektrycznych. Podobnie jak ja, Milo był dobrym uczniem, ukończył ze świetną lokatą Purdue i uzyskał stopień magistra literatury na Uniwersytecie Stanu Indiana w Bloomington. Zamierzał zostać nauczycielem, powołano go jednak do wojska. W ciągu

dwuletniego pobytu w Wietnamie przeobraził się w policjanta.

Uważał, że ta praca zupełnie nie przeszkadza mu w rozwoju intelektualnym. Twierdził, że detektywi wydziału zabójstw to prawdziwi intelektualiści i nikt w Departamencie Policji nie może się z nimi równać. Dochodzenie w sprawie morderstwa wymaga niewielkiej aktywności fizycznej, za to wyťažonej pracy umysłowej. Weterani wydziału zabójstw czasami naruszają przepisy i nie noszą przy sobie broni, tylko kilka ołówków i długopisów. Milo miał przy sobie trzydziestkę ósemkę, ale przyznał mi się, że tak naprawdę wcale jej nie potrzebuje.

– Jesteśmy pracownikami umysłowymi, Aleksie. Wykonujemy sporo roboty papierkowej, musimy podejmować decyzje i skupiać się na szczegółach.

Lubił swoją pracę i cieszył się, że łapie przestępców. Od czasu do czasu przychodziła mu do głowy myśl, że mógłby spróbować czegoś innego, nie wiedział jednak, jakie zajęcie sprawiałoby mu równie dużą przyjemność.

Okazało się, że mamy również wspólne zainteresowania. Obaj trenowaliśmy sztuki walki. Milo podczas pobytu w wojsku ukończył wszechstronne kursy samoobrony, ja uprawiałem na studiach szermierkę i karate. Żaden z nas nie był w najlepszej formie fizycznej, lecz łudziliśmy się, iż w razie potrzeby odzyskamy dawną sprawność, jeśli tylko trochę potrenujemy. Obaj wysoce sobie ceniliśmy wyszukane jedzenie, dobrą muzykę i samotne życie.

Z każdym dniem rozumieliśmy się coraz lepiej.

Mniej więcej w trzy tygodnie po naszym pierwszym spotkaniu Milo wyznał mi, że jest homoseksualistą. Zupełnie mnie tym zaskoczył, toteż nic nie odpowiedziałem.

– Mówię ci o tym teraz, abyś nie pomyślał, że próbuję ci się narzucać.

Nagle poczułem wstyd, ponieważ po jego zwierzeniu dokładnie coś takiego przyszło mi do głowy.

Pomimo całego mojego psychologicznego doświadczenia początkowo trudno mi było zaakceptować jego inność. Znam wszystkie fakty. „Oni” stanowią od pięciu do dziesięciu procent każdej populacji. Większość z „nich” nie różni się od nas wyglądem. Gejem może być przedstawiciel każdej profesji: rzeźnik, piekarz, facet z lokalnego wydziału zabójstw... Większość z „nich” żyje w normalny sposób. Są przystosowani.

A jednak człowiek myśli w sposób stereotypowy. Spodziewamy się, że są albo zmanierowanymi, piskliwymi przylepami z przesadnym makijażem, albo ogolonymi na łyso potworami w skórzanych strojach czy też niedojrzałymi, wąsatymi młodymi istotami w przezroczystych podkoszulkach i spodniach khaki lub dzieciakami w wysokich górskich butach.

Milo nie wyglądał na homoseksualistę.

Był nim jednak i to od wielu, wielu lat. Nie ukrywał swojej orientacji seksualnej, ale też się z nią nie obnosił.

Spytałem go, czy departament wie o jego preferencjach erotycznych.

– Ho, ho. Nie wpisali ich do oficjalnego raportu, ale oczywiście wszyscy o nich wiedzą.

– Jak cię traktują?

– Dezaprobata z dystansu... kamienne twarze. Po prostu mnie tolerują. Stale brakuje nam ludzi, a ja jestem naprawdę dobrym gliną. Co mają zrobić? Ryzykować sprawę w Amerykańskim Związku Praw Obywatelskich i stracić najlepszego detektywa? Ed Davis nie cierpiał gejów. Na szczęście odszedł i teraz jest całkiem znośnie.

– A inni detektywi?

Wzruszył ramionami.

– Zostawiają mnie w spokoju. Rozmawiamy zwykle tylko o sprawach zawodowych. No i nie proponują, mi udziału w podwójnych randkach.

Wtedy zrozumiałem, dlaczego mężczyźni, w „Anieli” witali się z Milem tak chłodno.

Lepiej pojmowałem także pomoc i uprzejmość, które mój przyjaciel okazał mi podczas naszego pierwszego spotkania. Wiedział, co oznacza samotność. Detektyw-gej nie jest osobą powszechnie aprobowaną. Nigdy nie stanie się pełnoprawnym członkiem policyjnej społeczności, niezależnie od tego, jak dobrze wykonuje swoją pracę. Z kolei środowisko homoseksualne z pewnością podejrzliwie podchodzi do kogoś o prezencji i zachowaniu Mila, zwłaszcza gdy się okazuje, że jest gliną.

– Sądziłem, że powinieneś wiedzieć, skoro się przyjaźnimy.

– To niczego nie zmienia, stary.

– Naprawdę?

– Tak. – Nie byłem tego wcale taki pewny i czułem się trochę winny. Postanowiłem jednak niczego po sobie nie pokazać. Wiedziałem też, że muszę się po prostu pogodzić z „innością” przyjaciela.

Minął właśnie miesiąc od chwili, gdy Stuart Hickle strzelił sobie z dwudziestki dwójki w usta, w wyniku czego jego mózg obryzgał tapetę w moim gabinecie, miesiąc od czasu, gdy dokonałem pewnych ogromnych zmian w swoim życiu.

Zrezygnowałem z pracy w Zachodnim Centrum Pediatrycznym i zaprzestałem prywatnej praktyki. Odesłałem wszystkich pacjentów do mojego dawnego studenta, dobrze zapowiadającego się terapeuty, który akurat zaczynał praktykować i potrzebował klientów. Od początku terapii dla rodzin „Zakątka Kim” nie przyjmowałem już nowych pacjentów, toteż udało mi się zamknąć praktykę niemal zupełnie bezboleśnie.

Ze sporym zyskiem sprzedałem czterdziestoapartamentowy budynek w Malibu, który nabyłem siedem lat temu. Pozbyłem się też dwupoziomowego mieszkania w Santa Monica. Część pozostałych po zapłaceniu podatków pieniędzy ulokowałem w pewnych akcjach, resztę w zwolnionych od podatku miejskich inwestycjach. Nie jestem typem człowieka, który potrafiłby się szybko i znacząco wzbogacić, ale moje ostatnie posunięcia zapewniły mi finansową stabilizację. Ocenilem, że przez dwa czy trzy lata mogę żyć z samych tylko odsetek od kapitału, jeśli oczywiście nie będę zbyt rozrzutny.

Sprzedałem stary samochód marki Chevy II i kupiłem Seville z siedemdziesiątego dziewiątego, ostatniego rocznika, w którym te cadillaki wyglądały jeszcze świetnie. Samochód miał leśno-zielone nadwozie, siedzenia obite skórą w kolorze siodła, wewnątrz wygodne i wytłumione. Przejechałem tak niewiele kilometrów, że liczba litrów benzyny, które auto paliło na setkę praktycznie nie miała znaczenia. Wyrzuciłem większość starych ubrań i nabyłem nowe – przeważnie z miękkich materiałów: dziane krawaty, sztruksy, buty na gumowych podszewkach, kaszmirowe swetry, szlafroki, szorty i pulowery.

Zażywałem teraz częstych gorących kąpieli w wannie, której niemal nie używałem, odkąd nabyłem dom. Zacząłem robić zakupy i pić mleko. Wyciągnąłem z futerału starego martina i brzdąkałem na balkonie. Słuchałem też muzyki. Po raz pierwszy od czasów szkoły średniej czytałem dla przyjemności. Opałałem się. Zgoliłem brodę i odkryłem, że mam całkiem interesującą twarz.

Umawiałem się z miłymi dziewczynami. Później poznałem Robin i powoli świat wydawał mi się coraz piękniejszy.

To był „mój czas dobroci dla samego siebie”. Wczesna emerytura rozpoczęta na sześć miesięcy przez trzydziestymi trzecimi urodzinami.

Było zabawnie... aż do dziś.

Rozdział 3

Ostatnim miejscem zamieszkania Mortona Handlera – nie licząc kostnicy – był luksusowy kompleks apartamentów w pobliżu bulwaru Zachodzącego Słońca w Pacific Palisades. Budynek zbudowano na stoku i zaprojektowano w taki sposób, by wyglądały jak plaster miodu: łańcuch odrębnych mieszkań luźno połączonych korytarzami, które wydawały się umiejscowione w pozornie przypadkowych miejscach; apartamenty umieszczono naprzemiennie, dzięki czemu każdy posiadał wspaniały widok na ocean. Całość była w stylu pseudohispańskim: oślepiająco biały, chropowaty tynk na ścianach, dachy z czerwonej dachówki, okucia okienne z czarnego żelaza. Na klombach rosły różaneczniki i malwy, a w wielkich terakotowych donicach sporo innych roślin: palmy kokosowe, drzewka kauczukowe, paprocie. Wszystkie wyglądały tak, jakby zostawiono je tutaj tylko na chwilę.

Mieszkanie Handlera znajdowało się na średnim poziomie. Na frontowych drzwiach dostrzegłem plombę i policyjną taśmę. Alejkę przed drzwiami znaczyło wiele śladów stóp.

Przeszliśmy taras wypełniony wypolerowanymi kamieniami i sukulentami i stanęliśmy przed drzwiami mieszkania sąsiadującego z miejscem morderstwa. Na drzwi przyklepiono litery, które układały się w napis „DO ORCA”. Przez głowę przemknęły mi rozmaite zabawne skojarzenia na temat tych dwóch słów.

Milo zastukał.

Nagle zdałem sobie sprawę, że w całym kompleksie panuje niezwykła cisza. Było tu przynajmniej pięćdziesiąt mieszkań, a w zasięgu wzroku nie zauważyłem żywej duszy ani żadnych innych śladów ludzkiej bytności.

Czekaliśmy kilka minut. Milo już podniósł pięść, by zapukać po raz kolejny, gdy nagle drzwi się otworzyły.

– Przepraszam. Myłam głowę.

Kobieta mogła mieć między dwadzieścia pięć a czterdzieści lat. Jej skóra była blada, w typie tych, które wydają się cienkie jak papier. Zobaczyłem wielkie brązowe oczy, a nad nimi wyskubane brwi. Wargi miała wąskie, dość blade. Spod pomarańczowego ręcznika, którym owinęła głowę, wystawały brązowe kosmyki. Nosiła wyblakłą bawełnianą koszulę z ochrowo – pomarańczowym nadrukiem oraz elastyczne spodnie w kolorze rdzy. Na stopach miała ciemnobłękitne tenisówki. Strzelała oczami to na mnie, to na Mila. Wyglądała, jakby była często bita i w każdej chwili spodziewała się ciosu.

– Pani Quinn? To doktor Alex Delaware. Jest psychologiem. Opowiadałem pani o nim.

– Miło mi pana poznać, doktorze.

Jej ręka była szczupła, zimna i wilgotna. Dozorczyńni cofnęła ją najszybciej, jak mogła.

– Melody ogląda telewizję w swoim pokoju. Po tym wszystkim nie puściłam jej do szkoły. Niech sobie poogląda telewizję, byleby nie myślała o całej tej sprawie.

Weszliśmy za kobietą do apartamentu.

Właściwie nie był to apartament, lecz kilka połączonych ze sobą maleńkich pomieszczeń. Postscriptum architekta...Hej, Ed, mamy dodatkowe sto dwadzieścia metrów kwadratowych za tarasem mieszkania numer 142. Może postawimy tu kilka prowizorycznych ścian, zadaszmy je i przeznaczymy na stróżówkę dozorczy. Pewnie jakiś biedak chętnie tu zamieszka, w końcu przywilejem jest żyć w Pacific Palisades...”

W salonie stała kwiecista sofa, mały stolik kryty płytą izolacyjną oraz telewizor. Na ścianach wisiał przedstawiający Mount Rainier obraz w ramie, który wyglądał jak wycięty z kalendarza kasy oszczędnościowej, oraz kilka pożółkłych fotografii. Zdjęcia ukazywały zahartowanych, ale wyraźnie niezadowolonych z życia ludzi i prawdopodobnie pochodziły z czasów „gorączki złota”.

– Moi dziadkowie – wyjaśniła dozorczyńni.

Obok salonu dostrzegłem niszę kuchenną, z której docierał zapach smażonego bekonu. Na ladzie stała wielka torba cebulowo-śmielankowych chipsów ziemniaczanych oraz sześciopak Doktora Peppera.

– Bardzo sympatyczni – rzuciłem.

– Przyjechali tu w 1902 roku. Z Oklahomy. – Mówiła takim tonem, jakby mnie za coś przepraszała.

Zza drzwi z surowego drewna dochodziły odgłosy nagłego śmiechu i oklasków lub dzwoneczków i brzęczyków. Teleturniej.

– Dziewczynka siedzi w swoim pokoju.

– Doskonale, pani Quinn. Poczekamy na nią.

Kobieta pokiwała głową na zgodę.

– Mała nieczęsto ma okazję oglądać programy rozrywkowe w ciągu dnia. Zwykle jest w szkole, więc teraz ogląda.

– Możemy usiąść, droga pani?

– Och, tak, proszę. – Kobieta kręciła się po pokoju jak jętką. Co chwilę poprawiała ręcznik na głowie. Poszła po popielniczkę i postawiła ją na stoliku. Przyniosła sobie aluminiowo-winyłowe krzesło z kuchni, podczas gdy ja i Milo zajęliśmy miejsca na sofie. Gdy dozorczyńni siadała na krześle, zauważyłem, że mimo swej szczupłej budowy miała rozłożyste biodra i zaokrąglone pośladki. Wyjęła paczkę papierosów, zapaliła jednego i zaciągnęła się dymem tak chciwie, że jej policzki aż się zapadły.

– Ile lat ma pani córka, pani Quinn? – spytał Milo.

– Bonita. Proszę mówić do mnie Bonita. Melody w ubiegłym miesiącu skończyła siedem lat. – Mówienie o córce wyraźnie ją denerwowało. Znowu mocno zaciągnęła się papierosem i wypuściła dym. Drugą rękę to zaciskała w pięść, to rozwierała.

– Melody może się okazać naszym jedynym świadkiem zdarzeń z ubiegłej nocy. – Milo popatrzył na mnie, marszcząc ze smutkiem brwi.

Wiedziałem, o czym myśli. Kompleks apartamentów zamieszkały przez siedemdziesiąt, a może i sto osób, i tylko jeden jedyny świadek – dziecko.

– Boję się o nią, detektywie Sturgis. Co będzie, jeśli inni odkryją, że mała coś wie? – Bonita Quinn patrzyła na podłogę, jak gdyby usiłowała na niej odkryć mistyczny sekret Orientu.

– Zapewniam, pani Quinn, że nikt się o tej sprawie nie dowie. Doktor Delaware wiele razy już współpracował z policją jako specjalny konsultant. – Skłamał bezwstydnie i nawet się nie zająknął. – Świetnie zatem rozumie, jak ważne jest zachowanie uzyskanych tu w tajemnicy informacji. Poza tym.. – wyciągnął rękę, by poklepać kobietę uspokajająco po ramieniu; odniosłem wrażenie, że Bonita Quinn wyrwie mu się i ucieknie – wszyscy psychologowie są zobowiązani do przestrzegania tajemnicy lekarskiej na temat pacjenta. Zgadza się, doktorze Delaware?

– Absolutnie tak. – Nie zamierzałem roztrząsać mętnych spraw związanych z prawem dziecka do prywatności.

Dozorczyńni wydała z siebie dziwny pisk, którego nie potrafiłem zinterpretować. Przypomniały mi się laboratoryjne żaby służące nam do doświadczeń w trakcie studiów psychologicznych. Wydawały podobne odgłosy na sekundę przed tym, jak wbijaliśmy im igłę w szczyt czaszki.

– Co z nią zrobi ten cały hipnotyzm?

Zacząłem mówić głosem terapeuty – cichym, kojącym tonem, który przez lata stał się dla mnie czymś absolutnie naturalnym i który potrafiłem przybrać niemal na zawołanie. Wyjaśniłem kobiecie, że hipnoza nie ma nic wspólnego z magią, że stanowi po prostu połączenie ogromnej koncentracji i głębokiej relaksacji, że osoba zrelaksowana potrafi sobie wyraźniej przy pomnieć wiele szczegółów i dlatego policja poddaje swoich świadków hipnozie. Dzieci łatwiej wchodzą w ten stan niż dorośli, ponieważ mają mniej zahamowań i lubią fantazjować. Powiedziałem, że hipnoza nie sprawia bólu, a większość dzieci uważają nawet za bardzo przyjemną i że pacjent nie może w tym stanie „utknąć” ani zrobić czegoś wbrew własnej woli.

– Hipnoza – zakończyłem – jest właściwie autohipnozą. Chcę tylko pomóc pani córce. Dzięki temu w sposób niemal naturalny przypomni sobie to, co widziała ubiegłej nocy.

Bonita prawdopodobnie niewiele zrozumiała z moich wyjaśnień, sprawiała jednak wrażenie spokojniejszej.

– Rzeczywiście, niemal naturalny. Ona i tak przez cały czas śni na jawie.

– No właśnie. Hipnoza przypomina marzenie na jawie.

– Nauczyciele stale narzekają, że Melody ich nie słucha i nie wykonuje poleceń.

Kobieta powiedziała to zdanie ze smutkiem, jak gdyby oczekiwała, że natychmiast rozwiążę ten problem.

W tym momencie wtrącił się Milo.

– Czy dziewczynka mówiła pani coś więcej o wczorajszej nocy, pani Quinn?

– Nie, nie. – Bonita stanowczo potrząsnęła głową. – Nie rozmawiałyśmy o tej sprawie.

Milo wyjął notes i przerzucił kilka stron.

– Mam tu zapisane, że Melody nie może spać, więc przesiaduje w salonie... w tym pokoju aż do godziny pierwszej w nocy.

– Być może. Położyłam się o wpół do dwunastej, ale wstałam raz na papierosa dwadzieścia minut po północy. Mała spała cały czas. Nie słyszałam, jak wstawała, chociaż dzielimy sypialnię.

– No cóż. Dziewczynka zobaczyła dwóch mężczyzn. Mam tu zapisane: „Widziałam dużych mężczyzn”. Policjant zapytał: „Ilu ich było, Melody?”. Odpowiedziała: „Dwóch, może trzech”. Kiedy policjant spytał o ich wygląd, potrafiła jedynie powiedzieć, że byli, hmm...ciemni”. – Milo zwracał się teraz do mnie. – Spytaliśmy ją, czy to byli może Murzyni albo Latynosi. Żadnej odpowiedzi. Używała tylko określenia „ciemni”.

– Mogła mieć na myśli cienie. Zresztą siedmioletnie dziecko często pojmuje słowa na swój sposób – powiedziałem.

– Wiem.

– Albo widziała dwóch mężczyzn, albo jednego mężczyznę i jego cień albo...

– Nie kończ.

Albo w ogóle nic nie widziała.

– Melody nie zawsze mówi prawdę.

Obaj odwróciliśmy się i spojrzeliśmy na Bonitę Quinn. Wykorzystała te kilka sekund, podczas których nie zwracaliśmy na nią uwagi, by zgasić papierosa i zapalić nowego.

– Nie mówię, że to złe dziecko. Ale nie zawsze mówi prawdę. Nie rozumiem, jak możecie polegać na jej zdaniu.

– Chce pani powiedzieć, że córka chronicznie kłamie? – spytałem. – Kłamie przypadkowo czy robi to, by uniknąć problemów?

– To drugie. Kiedy się boi, że jej wtłukę, a wie, że zasłużyła sobie na lanie, wtedy kłamie. Mówi mi wtedy: „Nie, mamo, nie zrobiłam tego”. No i obrywa ode mnie podwójnie. – Bonita popatrzyła na mnie, szukając w moich oczach dezaprobaty. – Za kłamstwo.

– Czy córka sprawia pani inne kłopoty? – spytałem łagodnym tonem.

– Melody jest dobrą dziewczynką, doktorze. Tylko te marzenia na jawie i problemy z koncentracją.

– Ach tak? – Chciałem widzieć jak najwięcej o dziecku, które zamierzałem poddać hipnozie.

– Koncentracja... jest dla niej trudna.

Nic dziwnego – czy można się skupić w tej maleńkiej, rozbrzmiewającej telewizyjnymi odgłosami celi? Bez wątpienia kompleks apartamentowy przeznaczono dla osób dorosłych i Melody Quinn musiała się tu zachowywać bardzo cicho. Większość mieszkańców południowej Kalifornii nie chce widzieć wokół siebie zarówno ludzi zbyt młodych, jak i zbyt starych. Przeciętny Kalifornijczyk żyje terazniejszością i wyraźnie nie życzy sobie, by mu przypominać, skąd się wziął i co go czeka. Tego rodzaju podejście wraz z liftingami, przeszczepami włosów i innymi zabiegami kosmetycznymi daje mu małe, przyjemne złudzenie nieśmiertelności. Przez jakiś czas.

Mógłbym się założyć, że Melody Quinn spędza większość czasu w mieszkaniu, mimo iż w kompleksie znajdowały się trzy baseny i świetnie wyposażona sala gimnastyczna. Nie wspomnę o oceanie odległym o kilkaset metrów. Te przyjemności przeznaczone były raczej dla dorosłych.

– Zabrałam ją do lekarza, ponieważ nauczyciele stale pisali w dzienniczku Melody uwagi, że dziewczynka nie potrafi usiedzieć spokojnie i że nie umie się na niczym skupić. Doktor powiedział, że jest eee... zbyt pobudliwa. Coś z mózgiem.

– Nadpobudliwa?

– Zgadza się. Nie zaskoczyło mnie to. Jej ojcu też coś tu szwankowało. – Popukała się w czoło. – Nadużywał narkotyków i alkoholu, aż w końcu... – Nagle umilkła i ze strachem popatrzyła na Mila.

– Proszę się nie martwić, pani Quinn, nie interesuje nas przeszłość pani męża. Chcemy się tylko dowiedzieć, kto zabił doktora Handlera i pannę Gutierrez.

– A tak, tamtego psychiatrę... – Znowu przerwała i tym razem spojrzała na mnie. – Można powiedzieć, że świat zupełnie zwariował. – Zmusiła się do słabego uśmiechu.

Pokiwałem głową, i uśmiechnąłem się ze zrozumieniem.

– To był miły człowiek, ten doktor. – Nie wątpiłem w to, znam tego typu ludzi. – Często ze mną dowcipkował, a ja pytałam go żartem, czy potrafi grzebać w ludzkich głowach. – Bonita roześmiała się dziwnym chichotem i wyszczerzyła straszliwie zaniedbane zęby. Uznałem, że ma nie więcej niż

trzydzieści pięć lat. Za dziesięć lat będzie wyglądała na staruszkę. – To straszne, co mu się przydarzyło.

– I pannie Gutierrez.

– Tak, jej również. Chociaż nie przepadałam za nią. Była Meksykanką, wiecie panowie, ale z wyższej klasy. Tam, skąd pochodzę, nie zaszłaby za daleko. Pewnie byłaby sprzątaczką. A tu nosiła eleganckie sukienki i jeździła małym sportowym autem. Była nauczycielką.

Najwyraźniej Bonita Quinn nie potrafiła się przyzwyczaić do myśli, że tutaj, w dużym mieście, z dala od pól sałaty, niektórzy Meksykanie mogą żyć i wyglądać jak przeciętni Amerykanie. Myślała o swoich rodakach jak o wołach pociągowych, wykonujących – podobnie jak ona – ciężką pracę fizyczną.

– Zawsze udawała lepszą od nas wszystkich. Mówiłam jej „dzień dobry”, a ona odwracała wzrok. – Bonita ponownie zaciągnęła się papierosem i uśmiechnęła chytrze. – Tyle że ja żyję, a ona nie – powiedziała.

Obaj z Milem popatrzyliśmy na nią.

– Żaden z was, panowie, nie jest Meksykaninem. Nie wiecie, jak nam jest czasami trudno.

Była niezwykle zadowolona z siebie. Wykorzystałem jej dobry humor, by zadać jeszcze kilka pytań.

– Pani Quinn, czy pani córka przyjmuje jakieś leki obniżające stany nadpobudliwości?

– Tak, oczywiście. Doktor dał mi dla niej pigułki.

– Ma pani może gdzieś pod ręką receptę?

– Mam butelkę. – Wstała i wróciła z bursztynową fiolką w połowie wypełnioną tabletkami.

Przeczytałem etykietkę. Ritalin. Chlorowodorek metylofenidyny. Superamfclamina, która pobudza dorosłych, lecz uspokaja dzieci, jeden z najczęściej przepisywanych leków dla amerykańskich kilkulatków. Ritalin ma działanie uzależniające, jest bardzo silnym środkiem i wywołuje mnóstwo skutków ubocznych, a jednym z najczęściej spotykanych jest bezsenność. Wiedziałem już, dlaczego siedmioletnia Melody Quinn spoglądała przez okno ciemnego pokoju o pierwszej w nocy.

Ritalin jest świetnym środkiem dla rodziców, którzy pragną sprawować kontrolę nad swoimi dziećmi. Poprawia koncentrację nadpobudliwych dzieci i obniża częstotliwość występowania problemów w zachowaniu – tyle że objawy nadpobudliwości trudno odróżnić od niepokoju, depresji, ostrej reakcji na stres lub zwyczajnego znużenia szkołą. Znam dzieci, które uznano za nadpobudliwe tylko dlatego, że były znacznie inteligentniejsze od reszty klasy. Podobnie mogą się zachowywać mali świadkowie okropności związanych z rozwodem rodziców albo maluchy, którym przytrafiły się inne bolesne przeżycia.

Dobry pediatra przed przepisaniem dziecku ritalinu czy też innego leku modyfikującego zachowanie powinien najpierw poddać małego pacjenta dokładnej psychologicznej i społecznej ocenie. Znam wielu świetnych lekarzy. Niektórzy, niestety, wybierają łatwiejszą drogę i od razu zapisują dziecku pigułki. Osobiście uważam takie postępowanie za niezgodne albo niemal niezgodne z etyką lekarską.

Otworzyłem fiolkę i wytrząsałem na dłoń kilka tabletek. Bursztynowe, czyli dwudziestomiligramowe. Przejrzałem etykietkę. Trzy razy dziennie po jednej tabletkce. Sześćdziesiąt miligramów stanowiło maksymalną zalecaną dawkę. Zbyt silną, jak na siedmioletnie dziecko.

– Podaje je pani trzy razy dziennie?

– Aha. Tak tam piszą, prawda?

– Tak. Czy lekarz zaczął od słabszej dawki – od białych albo niebieskich pigułek?

– Tak. Na początku miałam podawać trzy niebieskie. Niby działały dobrze, ale nauczyciele nadal skarżyli się na Melody, więc doktor powiedział, że trzeba spróbować tych żółtych.

– I ta dawka działa odpowiednio na Melody?

– Tak, naprawdę świetnie. Jeśli dzień ma być wyjątkowo ciężki, gdy ma przyjść wielu gości... bo Melody nie radzi sobie w kontaktach z dużą liczbą osób... daję jej dodatkową tabletkę.

No tak, teraz mówiliśmy o przedawkowaniu.

Bonita Quinn prawdopodobnie dostrzegła na mojej twarzy zaskoczenie i dezaprobatę, które bez powodzenia próbowałem ukryć, gdyż dodała szybko podniesionym tonem:

– Lekarz powiedział, że mogę. To ważny człowiek, a tutaj... w miejscu, w którym pracuję, nie wolno mieszkać z dziećmi. Dostałam tę posadę tylko dlatego, że Melody jest bardzo spokojna. Właściciel tego kompleksu – Biuro Nieruchomości „M & M” – ostrzegł, że mnie wyrzuci, jeśli tylko lokatorzy zaczną się skarżyć na dziecko. Postawili sprawę jasno.

Pomyślałem złośliwie, że Melody ma na pewno niezwykle bogate życie towarzyskie. Mógłbym się założyć, że nigdy nie miała przyjaciółki.

Cóż za okrucieństwo – więzić siedmioletnią dziewczynkę w luksusowym nadmorskim kompleksie mieszkaniowym zaludnionym przez samotnych dorosłych, ukrywać ją w brzydkiej ruderze i otumaniać ritalinem, by spełnić fałszywe wymogi systemu edukacyjnego Los Angeles oraz zaspokoić żądania głupiej matki i Biura Nieruchomości „M & M”.

Przeczytałem etykietkę na fiolce, chcąc poznać nazwisko lekarza, który zapisał lek. Kiedy je znalazłem, wszystko stało się dla mnie jasne.

L.W. Towle. Lionel Willard Towle, doktor medycyny. Jeden z najbardziej szanowanych

i poważanych pediatrów na West Side. Nigdy go nie spotkałem, ale znałem jego reputację. Działał w zarządzie Zachodniego Centrum Pediatricznego i kilku innych szpitali w okolicy. Był prawdziwą osobistością na Akademii Pediatrii. Zapraszany na wykłady przez wiele szkół medycznych, stale rozchwytywany, obecny na wszystkich seminariach poświęconych dzieciom, które miały problemy z nauką i zachowaniem.

Doktor Towle był również płatnym konsultantem trzech największych koncernów farmaceutycznych, czyli – krótko mówiąc – sprzedawcą lekarstw. Szczególnie poważali go ci młodzi lekarze, którzy chętnie przepisywali swoim małym pacjentom leki. Ponieważ działał już od długiego czasu, przyjmował wielu pacjentów i był człowiekiem bardzo ustosunkowanym. Nikt nie mówił tego głośno, jednak powszechnie szeptano, że Towle chętnie i na wszelkie możliwe sposoby poprawia nastrój każdemu dziecku. Zastanowiło mnie, w jaki sposób trafił do niego ktoś taki jak Bonita Quinn, nie wypadało mi jednak pytać, jeśli nie chciałem się okazać nadmiernie wścibski.

Oddałem kobiecie fiolkę i zwróciłem się do Mila, który dotychczas milczał.

– Muszę z tobą porozmawiać – rzuciłem.

– Przepraszamy na chwilkę, droga pani.

Gdy wyszliśmy z mieszkania, powiedziałem:

– Nie mogę poddać tego dziecka hipnozie. W jej żyłach płynie więcej leków niż krwi. W tej sytuacji hipnoza łączy się z ryzykiem, a poza tym istnieje mała szansa wydostania od dziewczynki istotnych i prawdziwych informacji.

Mój przyjaciel zastanawiał się przez chwilę.

– Cholera. – Podrapał się w głowę. – A jeśli odstawimy na kilka dni pigułki?

– Nie możemy sami podjąć takiej decyzji. Potrzebowalibyśmy zgody jej lekarza. A ten ma prawo nam odmówić. No i jest jeszcze sprawa tajemnicy lekarskiej.

– Kto jest tym lekarzem?

Opowiedziałem mu o Towle’u.

– Świetnie. Może się jednak zgodzi odstawić lek na kilka dni.

– Może, ale i tak nie ma gwarancji, że hipnoza przyniesie spodziewany efekt. Ten dzieciak jest od roku na środkach pobudzających. A co z panią Quinn? Jest przerażona zachowaniem córki. Gdy pozbawimy jej małeństwo pigułek, będzie ją trzymać w zamknięciu przez cały tydzień. Sam słyszałeś, tutejsi lokatorzy lubią spokój.

W kompleksie nadal panowała grobowa cisza. O trzynastej czterdzieści pięć!

– Porozmawiaj chociaż z dzieckiem. Może nie jest aż tak odurzone.

Po drugiej stronie korytarza dostrzegłem otwarte drzwi do apartamentu Handlera. Zauważyłem bałagan, ale i elegancki wystrój: dalekowschodnie dywany, antyki oraz nowoczesne akrylowe meble. Były połamane i poprzewracane, a białe ściany – opryskane krwią. Policijni laboranci pracowali, milcząc; przypominali krety.

– Do tej godziny dostała już drugą dawkę, Milo.

– Cholera. – Uderzył pięścią w dłoń drugiej ręki. – Po prostu spotkaj się z dziewczynką. Przekaż mi swoje spostrzeżenia. Może akurat będzie wystarczająco świadoma, żeby uzyskać od niej jakieś informacje.

Przypuszczenia Mila nie sprawdziły się. Bonita wprowadziła córkę do salonu, potem wyszła razem z Milem. Melody patrzyła w dal i ssała kciuk. Była bardzo małym dzieckiem. Gdybym nie znał jej wieku, dałbym jej pięć, najwyżej pięć i pół roku. Miała pociągłą, poważną twarz z wielkimi brązowymi oczami. Proste blond włosy zwisały do ramion, spięte plastikowymi spinkami. Nosiła błękitne dzinsy i podkoszulek w niebieskie, zielone i białe pasy. Jej stopy były gołe i brudne.

Posadziłem ją na krześle i usiadłem naprzeciwko niej na sofie.

– Dzień dobry. Melody. Nazywam się doktor Delaware. Jestem psychologiem. Wiesz, kto to jest psycholog?

Żadnej odpowiedzi.

– To taki lekarz, który nie daje zastrzyków. Rozmawiam z dziećmi, rysuję i bawię się z nimi. Próbuję pomóc tym, które są smutne, rozgniewane albo przestraszone.

Przy słowie „przestraszone” dziewczynka podniosła na chwilę wzrok. Potem ponownie zagapiła się w jakiś punkt obok mnie i zaczęła ssać kciuk.

– Czy wiesz, dlaczego z tobą rozmawiam?

Potrząsnęła głową.

– Nie jesteś chora i nie zrobiłaś nic złego. Wiem, że jesteś dobrym dzieckiem.

Rozejrzała się po pokoju, na mnie jednak nie spojrzała.

– Jestem tutaj, ponieważ sądzę, że być może widziałaś coś ważnego ubiegłej nocy. Wczoraj, kiedy nie mogłaś zasnąć i wyglądałaś przez okno.

Nie odpowiedziała. Mówiłem dalej.

– Melody, co lubisz robić?

Żadnej reakcji.

– Lubisz się bawić?

Pokiwała głową.

– Ja również. I lubię jeździć na rolkach. Jeździsz?

– Nie... – Oczywiście, że nie. Rolki hałasują.

– Lubię oglądać filmy. Ty oglądasz?

Wymamrotała coś. Czuję, że nawiązujemy kontakt.

– O co chodzi, kochanie?

– W telewizji – powiedziała. Jej głosik był cienki i drżący, jak odgłos lekkiego wiatru poruszającego suche liście.

– Ach tak. W telewizji. Ja także oglądam telewizję. Jakie programy lubisz oglądać?

– Psa Scooby Doo.

– Scooby Doo... To ładny film. Co jeszcze?

– Mama ogląda seriale.

– Tobie się nie podobają?

Potrząsnęła głową.

– Są trochę nudne, prawda?

Nieznaczny uśmiezek.

– Masz zabawki. Melody?

– W swoim pokoju.

– Mogłabyś mi je pokazać?

Sypialnia, którą dzieliła z matką, nie wyglądała ani na pokój dorosłego, ani na pokój dziecka. Pomieszczenie miało nie więcej niż dziesięć metrów kwadratowych, niski sufit i jedno okno umieszczone wysoko na ścianie. Przypominało loch. Melody i Bonita sypiały na podwójnym łóżku wykończonym prostym zagłówkiem. Spod nierówno rozłożonej kapy z cienkiego kordonka wystawała zmięta pościel. Po jednej stronie łóżka stała nocna szafka zastawiona butelkami i słoiczkami ze śmietanką kosmetyczną, kremem do rąk, szczoteczkami, grzebieniami i kawałkiem kartonu, w który

wpięto ze dwadzieścia wsuwek. Po drugiej stronie siedziała ogromna, nadżarta przez mole zabawka w kształcie morsa, wykonana z miękkiego materiału w kolorze okropnego turkusowego błękitu. Jediną ozdobę ściany stanowił dziecięcy obrazek. W pokoju znajdowała się jeszcze mała komoda wykonana z surowej sosny nakryta szydełkową serwetką oraz telewizor.

W jednym rogu leżał mały stosik zabawek.

Melody zaprowadziła mnie do nich z wahaniem. Podniosła brudną, nagą plastikową lalkę.

– Amanda – powiedziała.

– Jest piękna.

Przycisnęła lalkę mocno do piersi i kołysała ją w tył i w przód.

– Na pewno troskliwie się nią opiekujesz, prawda?

– Opiekuję się – zapewniła mnie nieśmiało. Najwyraźniej nie była przyzwyczajona do pochwał.

– Wiem, że tak jest – powiedziałem łagodnie. Uważnie przyjrzałem się pluszowemu morsowi. – A to kto?

– Fatso. Dał mi go tatuś.

– Bardzo miły.

Podeszła do zwierzaka, który dorównywał jej wzrostem i pogłaskała go czule.

– Mama kazała mi go wyrzucić, ponieważ jest taki duży. Ale nie zrobię tego.

– Widzę, że Fatso jest dla ciebie kimś naprawdę ważnym.

– Aha.

– Tatuś ci go dał.

Zdecydowanym ruchem pokiwała głową i uśmiechnęła się. Najwyraźniej zdałem coś w rodzaju testu. Przez następne dwadzieścia pięć minut siedzieliśmy na podłodze i bawiliśmy się.

Kiedy Milo i Bonita wrócili, Melody i ja byliśmy w doskonałych humorach. Zdążyliśmy się już zaprzyjaźnić.

– Przyznam, że wyglądacie na niezwykle ożywionych – zauważyła matka dziewczynki.

– Świetnie się bawimy, pani Quinn. Melody jest bardzo grzecznym dzieckiem.

– To dobrze. – Bonita podeszła do córki i położyła jej rękę na głowie. – Cieszę się, kochanie.

Dostrzegłem w jej oczach nieoczekiwaną czułość, która jednak błyskawicznie zniknęła. Bonita odwróciła się do mnie.

– Więc jak z tym hipnotyzowaniem? – spytała takim tonem, jakby chciała się dowiedzieć o postępy swojego dziecka w arytmetyce.

– Nie poddałem jeszcze Melody hipnozie. Na razie tylko się poznawaliśmy.

Wzięłem kobietę na bok.

– Pani Quinn, hipnotyzowany musi ufać lekarzowi. Zwykle przed zabiegiem spędzam z dzieckiem trochę czasu. Melody jest bardzo chętna do współpracy.

– Nic panu jeszcze nie powiedziała? – Bonita sięgnęła do kieszonki na piersi i wyjęła kolejnego papierosa. Przypaliłem jej i moja uprzejmość wyraźnie ją zaskoczyła.

– W każdym razie nic ważnego. Za pani przyzwoleniem chciałbym przyjść jutro o dowolnej porze i spotkać się z dziewczynką.

Przyjrzała mi się podejrzliwie, zagryzła filtr papierosa, potem wzruszyła ramionami.

– Jest pan w końcu lekarzem.

Wróciliśmy do Mila i do dziecka. Mój przyjaciel klęczał na kolanie i pokazywał Melody swoją odznakę detektywa. Oczy małej były szeroko otwarte.

– Melody, jeśli się zgadzasz, chciałbym przyjść jutro i jeszcze trochę się z tobą pobawić.

Dziewczynka podniosła oczy na matkę i znowu zaczęła ssać kciuk.

– Dobrze – rzuciła szorstko Bonita Quinn. – Teraz biegnij do siebie.

Melody ruszyła do drzwi. Zatrzymała się w progu i posłała mi niepewne spojrzenie. Pomachałem jej. Odwzajemniła gest, po czym zniknęła. W chwilę później rozległy się odgłosy z telewizora.

– Ostatnia sprawa, pani Quinn. Zanim poddam Melody hipnozie, muszę porozmawiać z doktorem Towle'em.

– W porządku.

– Do tej rozmowy potrzebuję pani zgody. Na pewno wie pani, że doktor Towle, tak jak i ja, jest zobowiązany do zachowania tajemnicy lekarskiej.

– W porządku. Ufam doktorowi Towle'owi.

– Może będę musiał go poprosić o odstawienie lekarstwa Melody na kilka dni.

– Och, dobrze, już dobrze. – Rozdrażniona, zamachała ręką.

– Dziękuję, pani Quim.

Zostawiliśmy ją przed jej mieszkaniem w świetle południowego słońca. Ciągle paliła papierosa, potem zdjęła z głowy ręcznik i przez chwilę potrząsała włosami.

Usiadłem za kierownicą Seville i ruszyłem powoli w stronę bulwaru Zachodzącego Słońca.

– Przestań się głupio uśmiechać, Milo.

– O co ci chodzi? – Spoglądał przez okno od strony pasażera, jego włosy trzepotały jak kacze skrzydełka.

– Wiesz, że ta mała zawładnęła moim sercem, prawda? Ładna istota z wielkimi oczami jak dziecko z obrazu Keene’a...

– Gdybyś chciał zrezygnować właśnie teraz, będzie mi przykro, Aleksie. Ale nie zamierzam cię powstrzymać. Mamy czas na gnocchi.

– Do diabła z gnocchi. Porozmawiajmy z Towle’em.

Mój cadillac spalił całe paliwo z typową dla siebie żarłocznością. Zajechałem na samoobsługową stację benzynową Chevron przy Bundy. Podczas gdy Milo nalewał benzynę, zadzwoniłem do informacji, zdobyłem numer telefonu do gabinetu Towle’a i wykręciłem go. Przedstawiłem się, używając tytułu przed nazwiskiem, i w pół minuty uzyskałem połączenie z lekarzem dziewczynki. Krótco przedstawiłem sprawę i zaproponowałem rozmowę na temat Melody natychmiast, przez telefon.

– Nie – odparł. – Mam gabinet pełen dzieciaków. – Mówił głosem spokojnym i kojącym, takim, jaki pragnie usłyszeć o drugiej nad ranem rodzic, którego niemowlę sinieje.

– Kiedy możemy porozmawiać?

Przez chwilę nie odpowiadał. W tle słyszałem odgłosy krzątania, potem stłumione głosy. Wreszcie Towle wrócił na linię.

– Może wpadnie pan o szesnastej trzydzieści? Mam wtedy chwilę przerwy.

– Nie chcę panu przeszkadzać w wolnym czasie, doktorze.

– Proszę się o to nie martwić – powiedział i rozłączył się.

Kiedy wyszedłem z budki telefonicznej, Milo wyjmował właśnie z baku Seville końcówkę węża, trzymając ją na odległość ramienia, aby nie pobrudzić sobie garnituru benzyną.

Usiadłem za kierownicą i wystawiłem głowę przez okno.

– Przetrzyj mi przednią szybę, synu.

Milo wydał usta, upodabniając się do chimery, po czym podniósł palec w nieprzyzwoitym geście. W końcu jednak wziął papierowy ręcznik i przetarł szybę.

Była dopiero czternasta czterdzieści, a my znajdowaliśmy się w odległości zaledwie piętnastu minut drogi od gabinetu Towle'a. Mieliśmy więc ponad godzinę. Żaden z nas nie był w wystarczająco dobrym nastroju, by jeść posiłek w pierwszorzędnej restauracji, więc pojechaliśmy z powrotem do zachodniej części Los Angeles i poszliśmy do „U Angeli”.

Milo zamówił coś, co nazywało się „Kotlet San Francisco De Luxe”, a okazało się jasnożółtym paskudztwem nafaszerowanym szpinakiem, pomidorami, mieloną wołowiną, chili, cebulą i marynowanym bakłażanem. Mój towarzysz grzebał w potrawie z rozkoszą, ja natomiast zadowolilem się kanapką ze stekiem i piwem marki Coors. W trakcie jedzenia Milo opowiadał mi o morderstwie popełnionym na Handlerze.

– To jest kompletna zagadka, Aleksie. Ślady wskazują na psychopatę – obie ofiary związane w łazience, niczym zwierzęta na rzeź. Każde z nich dostało około pięciu tuzinów ciosów nożem. Dziewczyna wyglądała, jakby się nadziała na Kubę Rozpruwacza...

– Oszczędź mi szczegółów – powiedziałem, wskazując na posiłek.

– Och, przepraszam. Zapomniałem, że rozmawiam z cywilem. Po kilku latach babrania się w zabójstwach człowiek po prostu się przyzwyczaja. Nie możesz stale odczuwać mdłości, więc uczysz się jeść, pić i kochać, nie przestając myśleć o szczegółach zbrodni. – Wytarł twarz serwetką i przełknął wielki łyk piwa. – Tak czy owak, doktora zabił psychopata, którego sam wpuścił. W mieszkaniu nie znaleziono śladów włamania. Frontowe drzwi były otwarte. W normalnej sytuacji taki fakt wzbudziłby nasze podejrzenia. Jednak w przypadku, gdy ofiarą jest psychiatra, rozumiała jest jego znajomość z człowiekiem chorym psychicznie.

– Sądzisz, że mordercą mógł być jeden z jego pacjentów?

– To całkiem sensowne wyjaśnienie. Psychiatrzy często mają do czynienia z szaleńcami.

– Byłbym zaskoczony, Milo, gdyby śledztwo zakończyło się takim wnioskiem. Stawiam dziesięć do jednego, że Handler miał typowych dla West Side pacjentów: przygnębione panie w średnim wieku, pozbawionych złudzeń dyrektorów firm i – dla odmiany – kilku młodocianych, którzy przeżywają kryzys tożsamości.

– Czyżbym wyczuwał nutkę cynizmu?

Wzruszyłem ramionami.

– Tak to zazwyczaj wygląda. My – psychiatrzy, psychologowie – leczymy głównie przeciętnych ludzi, zazwyczaj bogatych. Większość z nas w swojej praktyce rzadko widuje ludzi poważnie chorych umysłowo. Prawdziwi wariaci, ci naprawdę nieźrównoważeni, są hospitalizowani.

– Zanim Handler otworzył własną praktykę, pracował w Encino Oaks Hospital.

– Może znajdziesz coś ciekawego w aktach szpitalnych – skonstatowałem z powątpiewaniem. Nie chciałem grać wiecznie niezadowolonego zrzędy, toteż zachowałem dla siebie informację, że Encino Oaks Hospital pełnił rolę sanatorium dla młodych, niedoszłych samobójców z bogatych rodzin. Byłem przekonany, że nie leczono tam zbyt wielu psychopatów, jeśli w ogóle to tam robiono.

Milo odsunął pusty talerz i skinął na kelnerkę.

– Bettijean, przynieś mi, kochana, spory kawałek tej szarlotki z zielonych jabłek.

– Z kremem. Milo?

Poklepał się po brzuchu i zamyślił.

– Do diabła, dlaczego nic? Z waniliowym.

– A pan?

– Poproszę tylko kawę.

Kiedy kelnerka odeszła, Milo dalej rozważał; raczej myślał na głos, niż zwracał się do mnie.

– No więc, wygląda na to, że doktor Handler wpuścił do mieszkania między północą i pierwszą w nocy osobę, która go zamordowała.

– A ta Gutierrez?

– Przysłowiowa niewinna ofiara. Znalazła się w niewłaściwym miejscu o nieodpowiedniej porze.

– Była przyjaciółką Handlera?

Pokiwał głową.

– Mniej więcej od sześciu miesięcy. Z nielicznych informacji, którymi dysponujemy, wynika, że najpierw była jego pacjentką, a następnie przeniosła się z kozetki na łóżko.

Nic niezwykłego.

– Tyle że morderca potraktował ją znacznie okrutniej niż psychiatrę. Handlerowi podcięto gardło i prawdopodobnie umarł dość szybko. Sprawca pokłuł go wprawdzie trochę nożem, nie były to jednak rany śmiertelne. Kobiecie morderca poświęcił natomiast sporo czasu. Normalna sprawa, jeśli mamy do czynienia z szaleńcem, który zabija z powodów seksualnych.

Poczułem, jak jedzenie staje mi w gardle, i pospiesznie zmieniłem temat.

– Kim jest twoja nowa miłość?

W tym momencie kelnerka przyniosła szarlotkę. Milo uśmiechnął się do dziewczyny i zabrał się za ciasto. Zauważyłem, że nadzienie rzeczywiście miało zieloną barwę, jaskrawo, prawie fluorescencyjnie zieloną. Najwyraźniej któryś z kucharzy eksperymentował z barwnikami spożywczymi. Zadrzałem na myśl, co potrafią zrobić z bardziej wyszukany daniem, na przykład z pizzą. Prawdopodobnie wyglądałaby jak paleta pomylonego artysty.

– Młody lekarz. Miły żydowski doktorek. – Podniósł oczy i spojrzał na sufit. – Każda matka marzy o takim zięciu.

– Co się stało z Lanym?

– Wyjechał. Chciał poszukać szczęścia w San Francisco.

Czarnoskóry Lany był reżyserem teatralnym, z którym Milo utrzymywał stosunki przez dwa lata. Związek przebiegał burzliwie, to zrywali, to wracali do siebie. Ostatnie półrocze było ponuro platoniczne.

– Pracuje nad jakimś programem sponsorowanym przez anonimową korporację. Jakaś wesolutka rzecz dla telewizji edukacyjnej. Widowisko na intrygujący temat: „Historia rolnictwa: Nasz przyjaciel pług”. Ekstra temat.

– Ależ z ciebie złośliwy facet.

– Bynajmniej, naprawdę życzę chłopakowi jak najlepiej. Pod tą neurotyczną powierzchownością drzemał prawdziwy talent.

– Jak poznałeś swojego doktora?

– Pracuje na izbie przyjęć w szpitalu Cedars. Jest chirurgiem. Prowadziłem śledztwo w sprawie napaści, której ofiara zmarła, on do końca walczył o życie pacjentki. No i zgadaliśmy się. I tak to się zaczęło.

Zaśmiałem się gwałtownie i prawie zachlapałem kawą.

– Przez dwa lata szarpał się jak szalony. Małżeństwo na studiach medycznych, paskudny rozwód, kłątwa ze strony rodziny. W końcu przestał ukrywać swoje preferencje. Fantastyczny facet, koniecznie musisz go poznać.

– Bardzo chętnie.

– Przez najbliższe kilka dni będę się intensywnie zajmował życiorysem Mortona Handlera, później umówimy się we czworo na kolację.

– Zgoda.

Była piętnasta pięćdziesiąt pięć. Pozwoliłem, by Departament Policji Los Angeles zapłacił za mój

lunch. Zgodnie z najlepszymi tradycjami policjantów. Milo zostawił ogromny napiwek. Gdy wychodziliśmy z baru, klepnął przechodzącą Bettijean po pośladkach. Śmiech dziewczyny słyszeliśmy jeszcze na ulicy.

Na bulwarze Santa Monica powoli zaczynał się robić korek, a w powietrzu rosło stężenie spalin. Zamknąłem okienka Seville i uruchomiłem klimatyzację. Wsunąłem kasetę z Joem Passem i Slephe'em Grapellim. Samochód wypełniły dźwięki utworu. Tylko papierowy księżyc w gorącym stylu lat czterdziestych. Muzyka poprawiła mi nastrój. Milo uciął sobie drzemkę, chrapiąc głośno. Włączyłem się do ruchu i skierowałem Seville z powrotem do Brent wood.

Rozdział 4

Gabinet Towle'a znajdował się w bocznej uliczce odchodzącej od San Vicente, niedaleko Brentwood Country Mart – jednego z kilku centrów handlowych, w których gwiazdy filmowe mogą robić zakupy bez obawy o zaczepki ze strony zwykłych zjadaczy chleba. Budynek zaprojektowano na początku lat pięćdziesiątych, kiedy modne były jasnobrązowe cegły, niskie dachy i ścienne wstawki w postaci szklanych sześcianów. Na niewiele się zdały posadzone przed frontem asparagusowe paprocie i pnąca bugenla, które miały ożywić surowy wygląd budynku.

Towle był tu jedynym lokatorem; jego nazwisko widniało na złotej tabliczce przybitej do szklanych drzwi wejściowych. Na parkingu stało kilkanaście rodzinnych kombi o obitych drewnem drzwiczkach. Ustawiłem Seville obok błękitnego lincolna z nalepką „Chwalcie swoje dzieci” na zderzaku. Przyszło mi do głowy, że aulo należy do naszego dobrego doktora.

W środku wystrój był zupełnie inny. Dekorator wnętrza wyraźnie starał się zmienić surowe wrażenie zewnętrznej fasady budynku, toteż dokładnie zapełnił poczekalnię cklivymi drobiazgami. Meble przywodziły na myśl styl kolonialny, krzesła wyłożono miękkimi poduszkami. Ściany były pokryte drukowanymi tekstami rozmaitych przykazań oraz staroświeckimi rycinami, na których mali chłopcy łowili ryby, a małe dziewczynki przymierały przed lustrami matczyne kapelusze lub buty. Podłogę zaśmiecały stosy czasopism, książek i zabawek. W powietrzu unosił się zapach brudnych pieluch. Jeśli tak tu wygląda podczas przerwy, nie chciałbym trafić do poczekalni Towle'a w godzinach przyjęć.

Kiedy weszliśmy – dwóch mężczyzn bez dzieci – spojrzały na nas wszystkie obecne w poczekalni kobiety. Ustaliliśmy już wcześniej, że doktorowi Towle'owi lepiej się będzie rozmawiało z kolegą po fachu, więc Milo znalazł sobie miejsce między dwiema pięciolatkami, a ja podszedłem do rejestracji. Siedząca za szybą dziewczyna była słodką młodą istotą z fryzurą w stylu Farrah Fawcett i twarzą niemal tak ładną jak oblicze aktorki, na której się wzorowała. Rejestratorka ubrana była na białe. Na plakietce przypiętej do fartucha widniało jej imię – Sandi.

– Dzień dobry. Nazywam się doktor Delaware. Jestem umówiony z doktorem Towle'em.

W pięknym uśmiechu błysnęły ładne białe zęby.

– Dziś po południu trudno się dostać do doktora nawet osobom umówionym. Ale proszę poczekać w środku. Doktor Towle za minutkę się zjawi.

Przeszedłem drzwi śledzony kilkunastoma parami matczynych oczu, które wwiercały mi się w plecy. Niektóre z kobiet prawdopodobnie czekały już od ponad godziny. Zastanawiałem się, dlaczego Towle nie zatrudni współnika.

Sandi wpuściła mnie do gabinetu – obitego ciemną boazerią pokoju o wielkości trzydziestu metrów kwadratowych.

– Chodzi o dziewczynkę nazwiskiem Quinn, prawda?

– Zgadza się.

– Wyjmę kartę choroby. – Wróciła z szarą papierową teczką i położyła ją na biurku Towle'a. Na okładce dostrzegłem czerwoną nalepkę. Dziewczyna zauważyła, że się przyglądam.

– Czerwony kolor oznacza dzieci nadpobudliwe. To taki nasz kolorowy kod. Żółty dla dzieci chronicznie chorych, błękitny dla wymagających specjalistycznych konsultacji.

– Świetny i skuteczny sposób identyfikacji.

– Och, nawet pan sobie nie wyobraża, jak bardzo! – Zachichotała i położyła rękę na kształnym biodrze. – Wie pan – dodała, pochylając się w moją stronę – poczułem miły zapach jej wody toaletowej – tak między nami, to biedne dziecko ma ciężkie życie z taką okropną matką.

– Wiem, co pani ma na myśli. – Pokiwałem głową, chociaż nie miałem pojęcia, o co chodzi rejestratorce, liczyłem jednak, że dziewczyna sama mi powie. Nie zamierzałem jej naciskać. Z doświadczenia wiem, że ludzie bardzo często spontanicznie udzielają dodatkowych wyjaśnień.

– Ona jest po prostu strasznie roztrzepana... to znaczy matka. Za każdym razem, gdy do nas przychodzi, zapomina czegoś albo coś gubi. Któregoś dnia zostawiła torebkę, a innym razem zamknęła samochód z kluczykami w środku. Jest naprawdę roztargniona.

Mruknałem coś współczująco, by zachęcić dziewczynę do dalszych zwierzeń.

– Wiem, że było jej ciężko, dorastała na farmie, a potem poślubiła tego faceta, który skończył w więzie...

– Sandi.

Oboje odwróciliśmy się na dźwięk jej imienia. W progu stała niska, mniej więcej sześćdziesięcioletnia kobieta o siwych włosach obciętych w kształcie kasku. Ręce skrzyżowała na piersiach. Z szyi zwisały jej okulary na łańcuszku. Biały fartuch wyglądał na niej jak mundur. Plakietka identyfikacyjna informowała, że ma na imię Edna.

Od razu odkryłem, kim jest. Prawa ręka starego lekarza. Pracowała z nim pewnie od czasu, kiedy otworzył pierwszy gabinet, i od początku aż do dnia dzisiejszego pobierała mniej więcej taką sarną pensję. Z pewnością nie zależało jej na pieniądzach. Zapewne potajemnie kochała się w Wielkim Człowieku. Mógłbym się założyć o ogromny stos żetonów, że nadal zwraca się do niego per „doktorze”. Bez nazwiska, tylko „doktorze”. Jak gdyby Towle był jedynym lekarzem na świecie.

– Trzeba wypełnić kilka kart zdrowia – oświadczyła.

– Dobrze, Edno. – Sandi odwróciła się do mnie, posłała mi konspiracyjne spojrzenie, które oznaczało: „Ależ nudziara z tej starej wiedzy”, poczym pospiesznie odeszła.

– Mogę coś dla pana zrobić? – spytała Edna, nie opuszczając rąk.

– Nie, dziękuję.

– Proszę zatem poczekać, doktor zaraz do pana przyjdzie.

– Dziękuję pani.

„Zabij ich uprzejmością” – tak brzmiała moja dewiza.

Wnosiłem z jej spojrzenia, że nie pochwała mojej obecności w gabinecie Towle’a. Bez wątpienia Ednie przeszkadzała każda nagła sprawa, która zakłócała rozkład zajęć doktora. W końcu jednak kobieta zostawiła mnie samego i wyszła.

Rozejrzałem się po pomieszczeniu. Biurko było mahoniowe, dość zniszczone i zarzucone stosami kart zdrowia pacjentów, czasopism medycznych, korespondencji, próbek leków; dostrzegłem też pełen pojemnik spinaczy. Obrotowe krzesło przy biurku i duży fotel klubowy, w którym usiadłem. Kiedyś mogły być eleganckimi meblami – naturalna wypolerowana skóra – teraz jednak były stare i popękane.

Dwie ze ścian obwieszono dyplomami; wiele z nich wisiało krzywo i nie pasowało do siebie. Ogólnie rzecz biorąc, pomieszczenie wyglądało niechlujnie, jakby niedawno ucierpiało na skutek lekkiego trzęsienia ziemi – nie zostało rozbite, tylko delikatnie poruszone.

Pobieżnie przyjrzałem się dyplomom. Lionel W. Towle zgromadził imponujący ich zbiór przez lata swojej działalności. Stopnie naukowe, świadectwa staży i pracy szpitalnej, tablica z drzewa orzechowego z wrytym napisem upamiętniającym okres, gdy Towle kierował medycznym oddziałem specjalnym, dyplomy uwieczniające honorowe członkostwo wielu instytucji, świadectwa specjalizacji, pochwała za służbę publiczną w Good Ship Hope, plakietka konsultanta podkomisji Senatu Kalifornijskiego zajmującej się prawami dziecka. I tak dalej.

Na pozostałych ścianach wisiały fotografie. Większość przedstawiała Towle’a. Doktor w stroju wędkarza, w głębokiej po kolana rzece, prezentuje złowionego pstrąga. Doktor z marlinem wielkości buicka. Doktor z burmistrzem i jakimś małym, przysadzistym człowieczkiem o oczach Pelera Lorre’a – wszyscy trzej uśmiechają się, ściskając sobie dłonie.

W tej obsesji na własnym punkcie był tylko jeden wyjątek: pośrodku ściany widniało kolorowe zdjęcie młodej kobiety z małym dzieckiem na ręku. Fotografia była lekko spłowiała, a po ubraniach oceniłem, że wykonano ją z trzydziści lat temu. Zauważyłem też brak ostrości charakterystyczny dla powiększonej odbitki. Barwy były zamglone, prawie pastelowe.

Kobieta na fotce była ładna, miała świeżą cerę, nos upstrzony piegami, ciemne oczy i naturalnie kręcone, brązowe włosy średniej długości. Ubrana była w sukienkę z cieniutkiej bawełny; krótkie rękawy ukazywały szczupłe, wdzięczne ramiona, które otaczały dziecko – mniej więcej dwuletniego chłopczyka. Malec był śliczny. Rumiane policzki, blond włoski, wydatne usteczka amorka i zielone oczy. Miał na sobie biały strój marynarski. Siedział rozpromieniony w objęciach matki. Góry

i jeziora w tle wyglądały na prawdziwe.

– Czyż to nie uroczy obrazek?

Ten sam głos słyszałem przez telefon.

Odwróciłem się. Doktor Towle był szczupły i wysoki, mierzył przynajmniej metr dziewięćdziesiąt. Jego twarz była, stosując określenie z kiepskich powieści, jak rzeźbiona. Wydał mi się jednym z najprzystojniejszych mężczyzn w średnim wieku, jakich kiedykolwiek widziałem. Szlachetne rysy: wydatny podbródek z ładnym dołeczkiem na środku, nos rzymskiego senatora i lekko zmrużone oczy w kolorze bezchmurnego nieba. Gęste śnieżnobiałe włosy opadały mu na czoło, w stylu Carla Sandburga. Brwi przypominały bliźniacze białe obłoczki.

Nosił krótką białą marynarkę narzuconą na błękitną oksfordzką koszulę, burgundowy krawat we wzorek i ciemnoszare spodnie w drobną kratkę. Na nogach miał czarne mokasyny z cielęcej skóry. Wyglądał bardzo stosownie i bardzo gustownie. Ale nie szata zdobi człowieka. Towle przypominałby patrycjusza nawet w dresie.

– Doktor Delaware? Will Towle.

– Alex.

Wstałem. Uścisnęliśmy sobie dłonie. Towle miał pewny i suchy uścisk. Dłoń, która objęła moją, była ogromna. Uświadomiłem sobie, że mam do czynienia z silnym człowiekiem.

– Proszę usiąść – powiedział.

Zajął miejsce za biurkiem, okręcił się na krześle, po czym zarzucił stopy na blat, kładąc je na roczniku „Journal of Pediatrics”.

– To ładne zdjęcie. Gdzieś w Pacific Northwest?

– Stan Waszyngton. Olimpijski Park Narodowy. Spędzaliśmy tam wakacje w pięćdziesiątym pierwszym. Byłem jeszcze studentem. To moja żona i syn. Straciłem ich miesiąc później. Zginęli w wypadku samochodowym.

– Przykro mi.

– Dzięki. – Na twarzy mężczyzny pojawiło się zamglone, senne spojrzenie; minęła dłuższa chwila, zanim otrząsnął się z zamyślenia i skupił na mnie.

– Słyszałem o tobie. Aleksie. Cieszę się, że mogę cię poznać.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

– Znam twoje prace, ponieważ interesują mnie problemy pediatrii behawioralnej. Szczególnie zaciekała mnie twoja działalność z dziećmi molestowanymi przez Stuarta Hicklę’a. Poznałem

wiele z nich. Ich rodzice bardzo dobrze się wyrażali o twojej pomocy.

– Dziękuję. – Może powinienem powiedzieć coś jeszcze, ale uważałem ten temat za zamknięty.- Pamiętam, że wysyłałem ci do wypełnienia formularze na wyrażenie zgody.

– Rzeczywiście. Z przyjemnością pomogłem.

Przez chwilę obaj milczeliśmy, potem odezwaliśmy się jednocześnie.

– Chciałbym... – zagałem.

– Co mogę dla ciebie... – zaczął doktor.

Ponownie przerwaliśmy w tej samej chwili. Roześmialiśmy się jak przyjaciele z klubu studenckiego. Poczekalem, aż Towle się odezwie. Mimo jego uprzejmego zachowania, wyczuwałem, że mam przed sobą człowieka o mocno przerośniętym ego.

– Przeszedłeś do mnie w sprawie dziewczynki nazwiskiem Quinn. Co mogę dla ciebie zrobić?

Wprowadziłem go jedynie w najbardziej niezbędne szczegóły, kładąc nacisk na znaczenie Melody Quinn jako świadka i łagodny charakter ewentualnej hipnozy. Zakończyłem prośbą o odstawienie na tydzień ritalinu.

– Naprawdę sądzisz, że to dziecko zdoła ci przekazać jakieś istotne informacje?

– Nie wiem. Sam sobie zadaję to pytanie. Jednak policja ma tylko tego jednego świadka. Małą Melody.

– A jaka jest twoja rola w tej sprawie?

Na poczekaniu wymyśliłem sobie tytuł.

– Jestem specjalnym konsultantem. Policja wzywa mnie czasami, gdy trzeba przesłuchać dziecko.

– Rozumiem.

Przez chwilę Towle składał i rozkładał ręce, wyginał palce.

– Nie wiem, Aleksie. Kiedy przerwiemy podawanie ustalonej wcześniej dawki, która wydawała się optymalna, możemy dezorganizować cały cykl reakcji biochemicznej.

– Uważasz, że dziewczynka stale musi otrzymywać ten lek?

– Oczywiście, że tak. Po co w przeciwnym razie bym go przepisywał? – Nie był zdenerwowany i nie tłumaczył się przede mną, po prostu spokojnie udzielał mi wyjaśnień. Wydawał się całkowicie opanowany i uśmiechał się do mnie z wielką wyrozumiałością. Tylko idiota wątpiłby w szczerść jego zapewnień.

– Nie ma sposobu, by zmniejszyć dawkę?

– Och, jest to oczywiście możliwe, ale może spowodować te same problemy. Nie lubię zmieniać dawki, z której jestem zadowolony.

– Rozumiem. – Zawahałem się, po czym mówiłem dalej: – Dziewczynka sprawiała chyba ogromnie dużo kłopotów, skoro przepisałeś jej aż sześćdziesiąt miligramów.

Towle założył na nos okulary do czytania, wziął kartę choroby Melody i zaczął ją przeglądać.

– Zobaczmy. Ach, tak. Hmm... „Matka narzeka na szereg problemów behawioralnych”. – Przerzucił kilka kolejnych stron i przeczytał: – „Nauczyciele skarżą się, że dziecko nie wykonuje wyznaczonych zadań. Potrafi skupić uwagę na bardzo krótki okres”. Och... tu mamy późniejszy zapis: „Dziecko uderzyło matkę podczas kłótni na temat utrzymywania porządku w pokoju”. I tutaj moja uwaga: „Słabe relacje z rówieśnikami, niewielu przyjaciół”.

Byłem pewien, że kłótnia miała coś wspólnego z poleceniem wyrzucenia gigantycznego morsa imieniem Fatso. To był podarek od jej ojca. A co do przyjaciół – łatwo się domyślić, że Biuro Nieruchomości „M & M” nie chciało mieć do czynienia z tego rodzaju bzdurami.

– Przypadek dziewczynki wygląda na dość poważny, nie sądzisz?

„Gówna prawda” – oto, co sobie pomyślałem. Jak dla mnie, Towle w ogóle nie przeprowadził wywiadu psychologicznego. Nie miał żadnych danych, po prostu uwierzył matce na słowo.

Popatrzyłem na napuszonego doktora i uznałem go za zwyczajnego dyletanta. Przystojny siwowłosej konował, mocno ustosunkowany i uhonorowany kawałkami papieru, którymi obwiesza ściany. Miałem ochotę wygarnąć mu to wszystko, wiedziałem jednak, że nie pomógłbym w ten sposób nikomu – ani Melody, ani Milo Sturgisowi.

Postąpiłem więc dyplomatycznie.

– Nie mogę się wypowiadać w tej sprawie. Ty jesteś jej lekarzem. – Choć z trudem nad sobą panowałem, posłałem mu nieszczery, przyjacielski uśmiech.

– Zgadza się, Aleksie. Jestem nim. – Odchylił się na krześle i położył sobie ręce za głowę. – Wiem, o czym myślisz. Will Towle aplikuje leki. Środki pobudzające są pewnie w twoim mniemaniu jedną z form znęcania się nad dzieckiem.

– Bez przesady!

Zlekceważył mój sprzeciw.

– Nie, nie, rozumiem twoje podejście. I nie mam ci tego za złe. Z wykształcenia jesteś psychologiem i postrzegasz człowieka przez pryzmat behawioryzmu. Tak postępują wszyscy specjaliści: po pewnym czasie zaczynamy patrzeć na świat w sposób ograniczony ramami dziedziny naukowej, którą się zajmujemy. Jakbyśmy mieli klapki na oczach. Chirurdzy chcą wycinać każdy

organ. My, pediatrzy, przepisujemy leki, a wy, psychologowie, wszystko analizujecie.

Poczułem się jak na wykładzie.

– To oczywiste, że podawanie leków jest ryzykowne. Należy wszakże rozważyć korzyści i niebezpieczeństwa ich przyjmowania. Weźmy pod uwagę takie dziecko jak mała Quinn. Jaki jest jej potencjał? Upośledzone geny, oboje rodzice bowiem są w jakimś sensie ograniczeni intelektualnie. – W jego ustach słówko „ograniczeni” zabrzmiało okrutnie. – Czyli nędzne geny, ubóstwo, rozbite małżeństwo rodziców. Nieobecny ojciec... Chociaż z doświadczenia wiem, że dla wielu dzieci z tego środowiska taka sytuacja jest lepsza. Po co im jeszcze dodatkowy zły wzorzec, ojciec-przestępca? Tak czy owak, kiepskie geny, kiepskie środowisko. Dziecko jest podwójnie obciążone, zanim jeszcze opuści łono matki. Cóż więc dziwnego – zakończył wywód – że szybko dostrzegamy u takich dzieci charakterystyczne objawy: antyspołeczne zachowanie, nieumiejętność dostosowania się do wymogów otoczenia, słabe wyniki w nauce, brak zadowalającej samokontroli nad odruchami.

Poczułem nagle chęć, by stanąć w obronie małej Melody, którą jej genialny doktorek opisywał jako kompletnego odmienca. Nadal jednak milczałem.

– Dla takiego dziecka... – Towle zdjął okulary i położył je na kartach pacjentów – ...jedyną szansą jest nauka. Ono musi sobie w miarę dobrze radzić w szkole, ponieważ tylko dzięki wykształceniu może sobie zapewnić przyzwoite życie. W przeciwnym razie wyrosnie nam kolejne pokolenie przedstawicieli kiepskiej protoplazmy.

„Kiepska protoplazma”. Jedno z ciekawszych określeń wymyślonych przez lekarzy do określania tych szczególnie nieszczęsnych pacjentów.

Nie zamierzałem odgrywać przed tym bufonem prostego człowieka. Miałem wszakże przecucie, że biorę udział w swego rodzaju rytuale i że jeśli nie dam się sprowokować i z uśmiechem zniosę wszelkie próby onieśmienia mnie, może uzyskam to, po co przyszedłem.

– Niestety, gdy własne geny i środowisko działają przeciwko dziecku, nie zdoła ono niczego dokonać. Z pewnością nie bez pomocy z zewnątrz. Stąd konieczność stosowania leków pobudzających. Dzięki tym pigułkom mała potrafi się skupić i usiedzieć spokojnie w miejscu przez wystarczająco długi czas, by się czegoś nauczyć. Leki kontrolują jej zachowanie i dziewczynka przestaje zrażać do siebie otaczających ją ludzi.

– Odnoszę wrażenie, że matka nadużywa leku. Sama się przyznała, że daje Melody dodatkową pigułkę, jeśli odwiedzają wielu gości.

– Muszę to sprawdzić. – Towle nie wydawał się zmartwiony. – Musisz pamiętać, Aleksie, że to dziecko nie egzystuje w próżni. Mamy tu do czynienia ze społecznym kontekstem. Jeśli dziewczynka i jej matka zostaną wyrzucone z mieszkania i nie będą się miały gdzie podziać, żadna terapia już nie pomoże, prawda’?

Milczałem. Wiedziałem, że usłyszę więcej rewelacji, i nie pomyliłem się.

– W tym momencie możesz spytać o psychoterapię. Gdzie próby modyfikacji zachowania? Moja odpowiedź brzmi: taka matka jak Bonita Quinn jedynie przeszkadza podczas psychoterapii. Brakuje jej koniecznej wnikliwości. Nie umiałyby się nawet zastosować do systemu zasad i nakazów, którego przestrzeganie jest niezbędne w procesie modyfikacji zachowania. Taką kobietę można obarczyć tylko jednym obowiązkiem: zarządzaniem trzema pigułkami, które w ciągu dnia ma podać swojemu dziecku. Tylko tyle potrafi. Jeśli lekarstwo działa, wszystko jest w porządku. Proszę sobie wyobrazić, że wcale nie czuję się winny, przepisując je dziecku, ponieważ uważam, że są one jedyną szansą dla małej Quinn.

To było zakończenie w wielkim stylu. Bez wątplenia wywarłoby ogromne wrażenie na wszystkich uczestniczkach herbatki dla ochotniczek współpracujących z Zachodnim Centrum Pediatrycznym. Niestety, dla mnie przemówienie Towle'a było stekiem nonsensów. Pseudonaukowy bełkot przekazany przez kogoś, kto podchodzi do tematu w sposób protekcyjny i rasistowski. Odurzanie Untermenschen lekami, aby zmienić ich w dobrych obywateli.

Wcześniej Towle trochę się zdenerwował. Teraz jednak wydawał się całkowicie spokojny i opanowany.

– Nie przekonałem cię, prawda? – Uśmiechnął się.

– Nie w tym rzecz. Poruszyłeś ważne sprawy. Muszę się nad nimi zastanowić.

– Wszelkie przemyślenia zawsze są niezwykle cenne. – Zatarł ręce. – Teraz wróćmy do interesującej cię sprawy. Proszę, wybaczyć tę moją małą złośliwość. Aleksie. Naprawdę sądzisz, że odstawienie środków pobudzających uczyni to dziecko podatnym na hipnozę?

– Tak.

– Mimo iż jej koncentracja znacznie się pogorszy?

– Mimo to. Znam program przeznaczony specjalnie dla dzieci z krótkimi okresami skupienia.

Pediatra uniósł śnieżnobiałe brwi.

– Och, naprawdę? Muszę je poznać. Wiesz, też kilka razy poddawałem ludzi hipnozie. To było w wojsku. Stosowałem hipnozę dla złagodzenia bólu. Bardzo często uzyskiwałem pozytywne efekty.

– Chętnie przyślę ci kilka ostatnich publikacji.

– Będę wdzięczny.

Podniósł się i wiedziałem, że audyencja dobiegła końca.

– Miło było cię poznać, Aleksie. – Wymieniliśmy kolejny uścisk dłoni.

– Cała przyjemność po mojej stronie, Will. – Poczułem się obrzydliwie.

Nie zadane pytanie zawisło w powietrzu. Towle uprzedził je.

– Powiem ci, co zamierzam zrobić – powiedział, uśmiechając się nieznacznie.

– Tak?

– Postanowiłem sobie cały ten problem przemyśleć.

– Rozumiem.

– Tak, przemyśleć. Proszę, zadzwoń do mnie za kilka dni.

– W porządku. Will. – I niech ci dzisiejszej nocy wypadną wszystkie włosy i zęby, świętoszkowaty draniu!

Gdy wyszedłem. Edna obrzuciła mnie piorunującym spojrzeniem, a Sandi posłała uśmiech. Zignorowałem obie i wyratowałem Mila od trójki maluchów, które wdrapywały się na niego jak na drabinę z placu zabaw. Przebrnęliśmy przez kipiący tłum dzieci i matek, po czym bezpiecznie dotarliśmy do samochodu.

Rozdział 5

Podczas powrotu do mojego mieszkania opowiedziałem przyjacielowi o spotkaniu z Towle'em.

– Popisuje się swoją władzą. – Milo zmarszczył czoło.

– Tak, ale nie tylko o to chodzi. W tym facecie jest coś dziwnego, czego nie potrafię dokładnie określić. Zachowuje się bardzo uprzejmie... prawie uniżenie, po czym nagle odkrywasz, że to tylko pozory.

– Po co więc kazał ci przyjechać do siebie taki kawał?

– Nie wiem. – Tak, to była prawdziwa zagadka. Zaprosił mnie w swoim wolnym czasie i wygłosił kazanie. Całą sprawę mogliśmy załatwić telefonicznie w ciągu pięciu minut. – Może kłótnię z innym specjalistą uważa za niezłą rozrywkę.

– Świetne hobby dla zapracowanego człowieka.

– Tak, lecz Towle przede wszystkim uwielbia wygrywać. Poznałem już wcześniej podobnych, dotkniętych obsesją władzy ludzi. Kochają rządzić. Wielu z nich szybko zostaje dyrektorami, dziekanami i przewodniczącymi komisji.

– A także kapitanami, inspektorami i szefami policji.

– Zgadza się...

– Zamierzasz zadzwonić do niego, tak jak ci sugerował? – spytał Milo z powątpiewaniem.

– Jasne, musimy próbować.

– No tak...

Milo wsiadł do swojego fiata. Po kilku minutach modlitw i prób samochód zastartował. Detektyw wychylił się z okna i popatrzył na mnie ze znużeniem.

– Dzięki, przyjacielu. Pojadę do domu i prześpię się. Ostatnio nie miałem czasu na sen i jestem potwornie zmęczony...

– Może chcesz się zdrzemnąć u mnie?

– Nie, nie, dziękuję. Skorzystam z okazji, że ten wrak zapalił. – Milo poklepał wklęsnięte drzwi. – Tak czy owak, dzięki za propozycję.

– Mimo wpływu leków chcę spróbować seansu z Melody.

– Świetnie. Zadzwonię do ciebie jutro. – Ruszył już, kiedy zatrzymałem go krzykiem. Wycofał

samochód.

– Co?

– Może to nic ważnego, ale uznałem, że powinienem ci o tym wspomnieć. Pielęgniarka w gabinecie Towle’a powiedziała mi, że ojciec Melody siedzi w więzieniu.

Milo pokiwał sennie głową.

– Tak jak połowa mieszkańców tego hrabstwa. Tak się dzieje, kiedy gospodarka szwankuje. Dzięki za informację.

Odjechał.

Była osiemnasta trzydzieści i już zrobiło się ciemno. Położyłem się na kilka minut i obudziłem dobrze po dwudziestej pierwszej. Wstałem, przemyłem twarz i zadzwoniłem do Robin. Nikt nie podniósł słuchawki.

Szybko się ogoliłem, zarzuciłem wiatrówkę i pojechałem do „Hakaty” w Santa Monica. Przez godzinę piłem sake, jadłem sushi i przekomarzałem się z szefem kuchni, który – jak się okazało – ukończył psychologię na uniwersytecie w Tokio.

Wróciłem do domu, rozebrałem się i w trakcie gorącej kąpieli usiłowałem wyrzucić z umysłu wszelkie myśli związane z Morlonem Handlerem, Melody Quinn i Lionelem W. Towle’em. Zastosowałem autohipnozę i wyobraziłem sobie, jak kocham się z Robin na górskim szczycie w środku tropikalnego lasu deszczowego. Rozochocony i pobudzony wyszedłem z wanny i znowu do niej zadzwoniłem. Po dziesięciu dzwonekach podniosła słuchawkę. Mamrotała, zmieszana i na wpół śpiąca.

Przeprosiłem, że ją obudziłem, wyznałem jej miłość i rozłączyłem się.

Pół minuty później oddzwoniła.

– To ty dzwoniłeś, Aleksie? – spytała zaspanym głosem.

– Tak, kochanie. Przepraszam, że cię obudziłem.

– Nie, nie, nic się nie stało... Która godzina?

– Wpół do dwunastej.

– Och, strasznie mocno spałam. Co u ciebie, skarbie?

– W porządku. Dzwoniłem koło dziewiątej.

– Cały dzień byłam poza domem. Kupowałam drewno. Pewien lutnik z Doliny Simi zamyka

warsztat i wyprzedaje różne rzeczy. Przez sześć godzin wybierałam u niego klon i heban. Przykro mi, że nie udało się nam spotkać.

Z brzmienia jej głosu wnosiłam, że jest wyczerpana.

– Też mi przykro. Wracaj do łóżka i prześpij się. Zadzwoń jutro.

– Możesz przyjechać, jeśli chcesz.

Zastanawiałem się przez chwilę nad jej propozycją, uznałem jednak, że jestem za bardzo zaaferowany ostatnimi zdarzeniami i nie będę dla niej dobrym towarzyszem.

– Nie, nie, maleńka. Odpoczywaj. Może umówimy się jutro na kolację? Wybierz restaurację.

– Dobrze, skarbie. – Ziewnęła; subtelny, słodki dźwięk. – Kocham cię.

– Ja ciebie też.

Długo się męczyłem, zanim w końcu udało mi się zasnąć. Spałem niespokojnie i przez cały czas dręczyły mnie czarno-białe sny, w których ogromnie dużo się działo. Nie przypominam sobie, o czym mówili ludzie, ale pamiętam, że dyskusje prowadzono w osobliwy, ospały i niezdarny sposób, jak gdyby wszyscy mieli zdrętwiałe wargi, a usta wypełnione mokrym piaskiem.

W środku nocy przebudziłem się i wstałem, by sprawdzić, czy dobrze zamknąłem okna i drzwi.

Rozdział 6

Obudziłem się następnego ranka o szóstej. Przepęłniała mnie ogromna energia. Nie czułem się tak świetnie od pięciu miesięcy. Stan napięcia nerwowego sam w sobie nie jest zły, ponieważ łączy się z nim poczucie celu, lecz do siódmej rano czułem się już tak podekscytowany, że kręciłem się po domu niczym lew w klatce.

O wpół do ósmej zdecydowałem, że jest już wystarczająco późno, i wykręciłem numer Bonity Quinn. Kobieta wydała mi się zupełnie rozbudzona. Z jej tonu wywnioskowałem, że spodziewała się mojego telefonu.

– Dzień dobry, doktorze.

– Dzień dobry. Pomyślałem, że wpadnę do pani i spędzę kilka godzin z Melody.

– Dlaczego nie? Mała się nudzi. Wie pan... – zniżyła głos – ...myślę, że pana polubiła. Opowiadała mi o waszej zabawie.

– Doskonale. Dzisiaj na pewno też będzie miło. Będę u pani za pół godziny.

Kiedy przyjechałem, dziewczynka czekała na mnie całkowicie ubrana i gotowa do wyjścia. Matka włożyła jej jasnożółtą letnią sukienkę na naramkach, która odkrywała kościste, białe ramionka i chude rączki. Włosy Melody były związane w koński ogon i przystrojone żółtą wstążką. Mała trzymała kurczowo w dłoniach maleńką torebkę z lakierowanej skóry. Sądziłem, że spędzimy trochę czasu w jej pokoiku, a potem może wyjdziemy na lunch, natychmiast jednak zrozumiałem, że Bonita postanowiła pozbyć się córki.

– Cześć, Melody.

Odwróciła wzrok i ssała kciuk.

– Bardzo ładnie dziś wyglądasz.

Uśmiechnęła się nieśmiało.

– Przyszło mi do głowy, że moglibyśmy pojechać do parku. Jak ci się podoba ten pomysł?

– Dobrze. – Usłyszałem drżący głosik.

– Świetnie. – Zajrzałem do mieszkania. Bonita Quinn sprzątała, pchając przed sobą odkurzacza, jakby był wagonem pełnym grzechów. Na głowie miała błękitną chustkę, z ust zwisał jej papieros. Telewizor był nastawiony na program religijny, obraz śnieżył, a pieśni chóru zagłuszał ryk odkurzacza.

Dotknąłem jej ramienia. Podskoczyła.

– Zabiorę ją teraz, dobrze? – Starąłem się przekrzyczeć hałas.

– Jasne. – Kiedy mówiła, papieros podskakiwał jak pstrąg w rwącym strumyku. Zgarbiła się ponad ryczącą maszyną i energicznie wznowiła pracę.

Wróciłem do Melody.

– Chodźmy – powiedziałem.

Szła obok mnie. W połowie drogi na parking mała rączka wsunęła się w moją dłoń.

Pokonawszy serię serpentyn i wymyślnych objazdów, wjechałem na Ocean Avenue. Podążałem na południe, ku Santa Monica, aż dotarłem do parku na wierzchołku klifu górującego nad autostradą Pacific Coast. Dochodziła ósma trzydzieści. Niebo było bezchmurne, jedynie w oddali – może nad Hawajami – dostrzegłem kilka obłoków. Znalazłem miejsce do zaparkowania, tuż przed fotoplastikonem i centrum rekreacyjnym dla emerytów.

Mimo wczesnej pory w parku panował spory ruch. Starsi ludzie siedzieli na ławkach i na placu do gry w klasy. Niektórzy z nich bez przerwy paplali coś do siebie lub do swoich towarzyszy. Inni gapili się na bulwar w niemej ekstazie. Parkowymi alejkami wśród palm długonogie dziewczyny śmigły na wrotkach w skąpych podkoszulkach i satynowych szortach ledwie zakrywających pośladki. Niektóre z dziewczyn miały na uszach słuchawki, toteż wyglądały jak pędzące kosmonautki; idealne twarze młodych Kalifornijek zdobiły szerokie, szczęśliwe uśmiechy.

Japońscy turyści robili zdjęcia, poszturchiwali się i śmiejąc się, wskazywali na coś palcami. Obdarci włóczędzy wałęsali się przy balustradzie, która rozdzielała kruszejące urwisko od reszty terenu. Palili, zakrywając dłońmi papierosy, i przyglądali się światu z nieufnością i lękiem. Zaskakującą większość stanowili wśród nich młodzi mężczyźni. Wszyscy wyglądali, jakby wypełzli z głębokiej, ciemnej, wyeksploatowanej już kopalni.

Zauważyłem studentów czytających książki, pary rozłożone na trawie, małych chłopców biegających między drzewami i kilka grupek podejrzanych osób, które wyglądały na handlarzy narkotyków.

Szedłem, trzymając Melody za rękę, po zewnętrznym obrzeżu parku. Niewiele rozmawialiśmy. Zaproponowałem mojej małej towarzysze, że kupię jej gorącego precla od ulicznego sprzedawcy, ale powiedziała, że nie jest głodna. Przypomniałem sobie, że utrata apetytu to jeden z ubocznych skutków działania ritalinu. A może po prostu dziewczynka niedawno jadła śniadanie?

Doszliśmy do alejki, która prowadziła do molo.

– Jeździłaś kiedyś na karuzeli? – spytałem.

– Raz. Pojechaliśmy na szkolną wycieczkę do Magic Mountain. Sama podróż nie była zbyt przyjemna, ale karuzela mi się podobała.

– Chodź. – Wskazałem na molo. – Przejedziemy się.

W przeciwieństwie do parku molo było prawie puste. Dostrzegłem tu i ówdzie kilku wędkarzy łowiących ryby, przeważnie starszych Murzynów i Azjatów, jednak miny mieli nietęgę, a stojące obok kubelki świeciły pustkami. Leżące na deskach molo wyschnięte rybie łuski błyszcząły w porannym słońcu niczym cekiny. Przez szczeliny w spróchniałym drewnie widziałem rozhukane fale, które z łoskotem uderzały w pale, po czym gwałtownie się cofały. Woda pod molo wydawała się zielonkawoczarna. W powietrzu wisiał mocny zapach kreozotu i soli; ostra, cierpka woń samotności i zmarnowanego życia.

Nie było już sali bilardowej, w której ukrywałem się niegdyś podczas treningów hokejowych. Na jej miejscu znajdował się salon gier wideo. Samotny meksykański chłopiec z przejęciem szarpał joystickiem przed jednym z jaskrawo pomalowanych automatów. Z maszyny wydobywały się przetworzone przez komputer krzyki i odgłosy uderzeń.

Karuzela mieściła się w przepastnej dobudówce przy budynku, który wyglądał, jakby miał się zawalić przy następnym przypływie. Operator – maleńki mężczyzna o brzuchu wielkości kantalupa i kostropalych policzkach – siedział na stołku, czytał wyniki wyścigów i nieudolnie udawał, że nas nie widzi.

– Chcielibyśmy się przejechać na karuzeli.

Podniósł głowę znad gazety i obejrzał nas od stóp do głów. Melody przypatrywała się starym plakatom na ścianie. Buffalo Bill. Wiktorjańskie czasy.

– Ćwiartka za jazdę.

Wręczyłem mu kilka banknotów.

– Niech się trochę poobraca.

– Jasne.

Posadziłem małą na wielkiego, białego konia ze złoceniami i różowym pióropuszem na ogonie. Mosiężny pręt, na którym znajdował się koń, pomalowany był w ukośne paski. Stałem obok Melody. Karłowaty operator włączył maszynę – wyciągnął rękę, wcisnął guzik na zardzewiałej konsolce i pociągnął dźwignię – po czym na powrót zatopił się w lekturze. Z tuzina ukrytych głośników zabrzmiała nieco zwolniona wersja walca Nad pięknym, modrym Dunajem. Karuzela powoli ruszyła, po czym zaczęła się obracać; konie, małpy i rydwany ożyły, sunąc to w górę, to w dół.

Dziewczynka mocno zacisnęła dłonie wokół szyi rumaka i zapatrzyła się prosto przed siebie. Widziałem, że stopniowo rozluźnia uchwyt i zaczyna się rozglądać wokół siebie. Przy dwudziestym obrocie już się kołysała w takt muzyki; oczy miała zamknięte, usta otwarte, lekko rozciągnięte w uśmiechu.

Kiedy muzyka ucichła, pomogłem Melody zejść. Oszołomiona, zeskoczyła na brudną betonową podłogę i, chichocząc, wesoło huśtała torebką do rytmu niesłyszalnego już walca.

Opuściliśmy dobudówkę i przeszliśmy do końca molo. Dziewczynkę zafascynowały ogromne zbiorniki z przynętą – roiło się w nich od ruchliwych sardeli, zdziwiły zaś przyniesione przez trzech muskularnych brodaczy kosze pełne świeżych wargaczy i innych ryb dennych. Przez długą chwilę wpatrywała się w stopy martwych czerwonych stworzeń. Wielu z nich podczas gwałtownego wyniesienia z dna na powierzchnię popękały pęcherze powietrzne, które teraz sterczały z otwartych paszcz. Krabiki wielkości pszczoł łąziły po nieruchomych ciałach i wpełzały do środka. Zwabione widokiem mewy opadały ku rybom; rybacy przeganiali je, wymachując spracowanymi, ogorzałymi rękami.

Jeden z rybaków, chłopiec najwyżej osiemnastoletni, dostrzegł wpatrzoną w kosze dziewczynkę.

– Paskudne, co?

– Tak.

– Powiedz swojemu tacie, żeby zabierał cię w ładniejsze miejsca. – Roześmiał się.

Melody uśmiechnęła się. Nie próbowała mu nic wyjaśnić.

Ktoś smażył na głębokim tłuszczu krewetki. Zauważyłem, że Melody marszczy nos.

– Jesteś głodna?

– Trochę. – Wyglądała na zaniepokojoną.

– O co chodzi?

– Mama przykazała mi, żebym nie była zbyt chciwa.

– Nie martw się. Powiem twojej mamie, że jesteś grzeczną dziewczynką. Jadłaś już śniadanie?

– Eee, tak.

– A co jadłaś?

– Wypiłam trochę soku i zjadłam kawałek pączka. Z cukrem pudrem.

– Tylko tyle?

– Aha. – Podniosła na mnie wzrok, wystraszona, że zostanie ukarana. Złagodziłem ton.

– Pewnie nie byłaś rano głodna?

– Aha.

Jestem zwolennikiem obfitego śniadania.

– No cóż, ja jestem strasznie głodny. – To była prawda. Rano wypilem jedynie kawę. – Co powiesz na wspólny posiłek?

– Dziękuję, doktorze Dela... – zająknęła się, próbując wymówić moje nazwisko.

– Nazywaj mnie Alex.

– Dziękuję, Aleksie.

Odkryliśmy źródło zapachów kuchennych i weszliśmy do odrapanego baru, wciśniętego między sklep z pamiątkami oraz budkę ze sprzętem wędkarskim i przynętami. Kobieta za ladą była chorobliwie blada i bardzo otyła. Para i dym kłębiły się wokół jej nalanej twarzy, tworząc świecąca aureolę. Ze stojących za nią patelni słychać było skwierczenie smażącego się jedzenia.

Kupiłem wielką torbę wypełnioną tłustymi smakołykami: zawinięte w folię krewetki i smażonego dorsza, pełen frytek koszyczek wielkości piłki do koszykówki, plastikowe pojemniczki wypełnione sosem tatarskim i keczupem, sól w papierowych rulonikach oraz dwie puszki coli.

– Niech pan nie zapomni serwetek – powiedziała na koniec otyła kobieta i wyciągnęła kilka w moją stronę.

– Dzięki.

– Zna się pan na dzieciach. – Popatrzyła na Melody. – Baw się dobrze, kochanie.

Zabraliśmy jedzenie z moło i zeszliśmy na plażę. Znaleźliśmy sobie spokojne miejsce niedaleko Centrum Odnowy Pritikina. Zjedliśmy nasz tłusty posiłek, obserwując mężczyzn w średnim wieku, którzy – wyraźnie osłabieni stosowaną w ośrodku drakońską dietą – tracili resztki sił podczas joggingu.

Dziewczynka pochłaniała łapczywie jedzenie niczym kierowca ciężarówki. Zaczęło dochodzić południe i pewnie codziennie o tej porze otrzymywała już drugą dawkę amfetaminy. Bonita nie dała mi leku, a ja zapomniałem – może specjalnie – o niego poprosić.

W połowie lunchu zachowanie Melody zaczęło się zmieniać. Dziewczynka z każdą minutą robiła się bardziej ruchliwa. Jej gesty stały się wyrazistsze, twarz powoli się ożywiła. Po pewnym czasie wierciła się niczym osoba obudzona z długiego, męczącego snu. W końcu żwawo rozejrzała się wokół siebie, spontanicznie reagując na otoczenie.

– Popatrz na nich. – Wskazała grupę surferów skaczących w piankowych strojach na falach w oddali.

– Wyglądają jak foki, prawda?

Zachichotała.

– Mogę wejść do wody. Aleksie?

– Zdejmij buty i możesz pobrodzić blisko brzegu, tu, gdzie fale zalewają piasek. Postaraj się nie zamoczyć sukienki.

Przegryzłem krewetkę, którą miałem w ustach, odchyliłem się nieco do tyłu i przyglądałem się, jak Melody biega wzdłuż brzegu; jej chude nóżki rozbryzgiwały wodę. Raz odwróciła się w moim kierunku i zamachała ręką.

Obserwowałem jej samotną zabawę około dwudziestu minut, potem podwinąłem spodnie, zdjąłem buty i skarpetki i przyłączyłem się do dziewczynki.

Biegaliśmy razem. Melody poruszała się coraz szybciej, w końcu śmigła niczym gazela. Krzyczała, rozchlapywała wodę i kręciła się jak fryga, aż zabrakło nam obojgu tchu. Wróciliśmy do resztek jedzenia i opadliśmy na piasek. Włosy dziewczynki były w nieładzie, więc wyjąłem wsuwki, przyglądziłem fryzurkę i ponownie przyozdobiłem wsuwkami. Mała pierś Melody falowała. Jej stopy po kostki pokrywał piasek. Kiedy odzyskała wreszcie oddech, spytała:

– Jestem... grzeczną dziewczynką, prawda?

– Bardzo.

Popatrzyła niepewnie.

– Nie uważasz tak, Melody?

– Nie wiem. Czasami tak uważam, a mama nagle się na mnie wścieka bez powodu. Albo pani Brookhouse mówi, że jestem okropna.

– Zawsze jesteś grzeczną dziewczynką, nawet jeśli ktoś twierdzi, że zrobiłaś coś złe. Rozumiesz?

– Chyba tak.

– Nie jesteś pewna, prawda?

– Jestem... Ale mylę się.

– Wszystkim zdarzają się pomyłki. Dzieciom, mamom i tatom. I lekarzom.

– Doktorowi Towle'owi też?

– Nawet jemu.

Zastanawiała się przez chwilę nad moimi słowami. Wielkie ciemne oczy strzelały wokół,

przesuwając się od wody do mojej twarzy, potem do nieba i z powrotem do mnie.

– Mama powiedziała, że będziesz mnie hipnotyzował.

Błędnie wymówione trudne słowo zabrzmiało w jej ustach bardzo zabawnie.

– Hipnotyzował. Ale tylko wtedy, jeśli się zgodzisz. Rozumiesz, dlaczego stan hipnozy mógłby nam pomóc?

– Trochę. Będę wtedy lepiej myślała?

– Nie. Myślisz zupełnie normalne. Chodzi o to, że... – Poglaskałem małą po główce. – Chcemy spróbować hipnozy, ponieważ dzięki niej mogłabyś nam pomóc. Więcej sobie wtedy przypomnisz.

– O nocy, kiedy inny pan doktor został ranny.

Zawahałem się. Zazwyczaj w kontaktach z dziećmi byłem szczerzy, jeśli jednak nikt nie powiedział Melody o śmierci Handlera i Gutierrez, nie zamierzałem przekazywać jej złych wieści. Chyba że uznam to za konieczne.

– Tak. Właśnie o niej.

– Powiedziałam policjantowi, że niczego nie pamiętam. Było całkiem ciemno i tyle.

– Czasami podczas hipnozy ludzie przypominają sobie więcej szczegółów.

Popatrzyła na mnie z przerażeniem w oczach.

– Boisz się hipnozy?

– Aha.

– To dobrze. Człowiek powinien się lękać nowych rzeczy. Tyle że w tym przypadku naprawdę nie masz się czego obawiać. Jest to właściwie rodzaj zabawy. Widziałaś kiedyś kogoś zahipnotyzowanego?

– Nie.

– Nigdy? Nawet w kreskówce?

Rozpromieniła się.

– Tak, kiedy pan w spiczastym kapeluszu hipnotyzował Popeye'a, fale popłynęły mu z rąk. A Popeye wyszedł na dwór przez okno i nie upadł.

– Zgadza się, też widziałem ten film. Pan w spiczastym kapeluszu kazał Popeye'owi zrobić wiele dziwnych rzeczy.

– Tak.

– No cóż, w kreskówce wyglądało to wspaniale, prawdziwa hipnoza jest nieco inna.-Wygłosiłem dziecięcą wersję wykładu, który wcześniej przekazałem jej matce. Melody chyba mi uwierzyła, gdyż miejsce strachu zajęła u niej fascynacja.

– Możemy to zrobić zaraz?

Zawahałem się. Na pustej plaży było całkiem zacisznie. Chwila również wydawała się odpowiednia. Do diabła z.Towle'em...

– Oczywiście. Najpierw ułożmy się wygodnie.

Poleciłem dziewczynce, by wpatrzyła się w gładki, połyskliwy kamyk, który trzymała w dłoni. Po kilkunastu sekundach zamrugła w odpowiedzi na moją sugestię. Jej oddech stał się wolniejszy i bardziej regularny. Kazałem Melody zamknąć oczy i słuchać dźwięku fal uderzających o brzeg. Potem poleciłem jej, by wyobraziła sobie schody i zeszła po nich aż do pięknych drzwi, za którymi znajdowało się jej ulubione miejsce.

– Nie wiem, co jest za tymi drzwiami. To tylko twoje miejsce, absolutnie szczególne. Możesz mi o nim opowiedzieć albo zatrzymać je w sekrecie... Jest ci tam dobrze, czujesz się bardzo szczęśliwa, bardzo spokojna...

Jeszcze kilka minut i dziewczynka zapadła w stan głębokiej hipnozy.

– Teraz słyszysz mój głos, chociaż wcale nie zmuszasz się do słuchania go. Pozostań w swoim ulubionym miejscu i baw się tam dobrze.

Pozwoliłem jej się pobawić jeszcze przez pięć minut. Pociągła buźka dziecka przybrała spokojny wyraz. Dziewczynka – siedząc na piasku z rękami na kolanach – wydawała mi się bardzo drobniutka.

Zaproponowałem, by wróciła myślami do swojego mieszkania w noc morderstwa. Na moment zdenerwowała się, potem znowu zaczęła oddychać głęboko i regularnie.

– Nadal jesteś całkowicie odprężona, Melody. Jest ci wygodnie. Jesteś opanowana. Teraz możesz patrzeć na siebie z boku, jakbyś była gwiazdą w telewizji. Widzisz, że wstajesz z łóżka...

Jej wargi rozchyliły się i dziewczynka przesunęła po nich koni uszkiem języka.

– Podchodzisz do okna i siadasz tam, przez chwilę spoglądasz przez szybę. Co widzisz?

– Ciemność – odparła ledwie słyszalnie.

– Tak, jest ciemno. Czy widzisz w ciemnościach jakiś kształt?

– Nie.

– Dobrze. Posiedźmy sobie przez chwilę.

Minęło parę minut.

– Czy widzisz coś w ciemnościach, Melody?

– Aha. Coś ciemnego.

Spróbowałem jeszcze kilka razy, potem się poddałem. Albo naprawdę nic nie widziała, a opowieść o dwóch czy trzech „ciemnych” mężczyznach była konfabulacją, albo dziewczynce przeszkadzała jakaś wewnętrzna blokada. W każdym razie powoli zakończyłem hipnozę. Poleciałem Melody, by czuła się spokojna, odświeżona i zadowolona, po czym delikatnie wydobyłem ją z transu. Ocknęła się z uśmiechem.

– Było zabawnie!

– Cieszę się, że ci się podobało. Chyba znalazłaś sobie naprawdę wspaniałe miejsce.

– Powiedziałeś, że nie będę ci musiała mówić!

– To prawda, nie musisz.

– A jeśli zechcę? – Wydęła wargi.

– Jeśli chcesz, możesz mi o nim opowiedzieć.

– Hmm... – Przez kilka sekund delectowała się własną przewagą. – Chcę ci opowiedzieć. Jeździłam na karuzeli. Jeździłam coraz szybciej i szybciej.

– Wspaniale wybrałaś.

– Za każdym razem, gdy się obracałam, czułam się szczęśliwsza. Mogę kiedyś znowu pojeździć?

– Oczywiście.

„Utknąłeś, Aleksie! – pomyślałem. – Wpakowałeś się w coś, z czego nie będzie ci się łatwo wydobyć”.

Stałem się dla niej nagle nowym tatusiem. Poczulem wyrzuty sumienia.

W samochodzie dziewczynka odwróciła się do mnie.

– Aleksie, powiedziałeś, że dzięki hipnozie lepiej się pamięta o różnych sprawach.

– Może się tak zdarzyć.

– Mógłbyś sprawić, żebym sobie przypomniała tatę?

– Kiedy ostatnim razem go widziałaś?

– Dawno. Odszedł, kiedy byłam bardzo mała. On i mama nie mieszkają już razem.

– Nie odwiedza cię?

– Nie. Mieszka daleko stąd. Kiedyś do mnie zadzwonił, to było przed Gwiazdką, ale spałam wtedy i mama mnie nie obudziła. Byłam na nią zła.

– Rozumiem.

– Uderzyłam ją.

– Pewnie byłaś bardzo zdenerwowana.

– Tak. – Zagryzła usta. – Czasami tatuś przysyła mi różne rzeczy.

– Takie jak Fatso?

– Tak, a także inne. – Poszperała w torebce i wyjęła przedmiot, który wyglądał jak wielka suszona pestka albo ziarno. Był wyrzeźbiony i przypominał wykrzywioną twarz z kryształowymi oczkami; z czubka spływały przyklejone pasma czarnych akrylowych włosów. To była głowa, skurczona głowa. Przykład szkaradnego chłamu, który można kupić na każdym turystycznym straganie w Tijuanie. Melody trzymała to paskudztwo w taki sposób, jakby było klejnotem koronnym chorego na kwarhiorkor* [* kwarhiorkor (suahili) – choroba na tle niedoboru białka dotykająca głównie dzieci, które po zakończeniu karmienia piersią przechodził na żywienie wysokowęglowodanowe: objawia się wychudzeniem, zahamowaniem wzrostu, biegunki); występuje powszechnie w Afryce, Ameryce Łacińskiej, na Bliskim i Dalekim Wschodzie.].

– Bardzo ładne. – Wzięłam do ręki główkę, obejrzałam i oddałam dziewczynce.

– Chciałabym go zobaczyć, ale mama mówi, że nie wie, gdzie on jest. Możesz mnie tak zahipnotyzować, żebym go sobie przypomniała?

– To byłoby trudne. Melody, ponieważ dawno go nie widziałaś. Cóż nam jednak szkodzi spróbować. Masz coś, co ci go przypomina. Na przykład zdjęcie?

– Tak. – Poszukała w torebce i wyjęła zniszczoną fotografię. Prawdopodobnie często przesuwiała po niej palcami niczym po paciorkach różańca. Pomyślałam o lotce wiszącej na ścianie gabinetu Towle'a. Najwyraźniej przytrafił mi się tydzień celuloidowych wspomnień. Panie Eastman, gdyby pan wiedział, że ludzie używają wynalezionej przez pana małego czarnego pudełka do zachowania przeszłości! Fotografie są jak martwy płód w słoiku z formaliną.

Zdjęcie było kolorowe, lecz wyblakłe; przedstawiało kobietę i mężczyznę. Kobieta była Bonita Quinn – młodsza, choć niewiele ładniejsza. Nawet gdy miała dwadzieścia lat, jej twarz przypominała smutną maskę, rysy zapowiadały bezlitosną przyszłość.

Bonita miała na sobie bardzo krótką sukienkę, która obnażała chude uda. Włosy kobiety były długie, proste, uczesane z przedziałką pośrodku. Ona i jej towarzysz stali przed budynkiem, który wyglądał jak wiejski bar w typie lokalików przy autostradzie. Ściany postawiono z nierówno ociosanych kłód. W oknie wisiało logo budweisera.

Bonita opasywała ramionami talię mężczyzny, on otaczał ramionami jej szyję. Mężczyzna ubrany był w podkoszulek i dzinsy, na nogach miał wellingtony. Obok pary dostrzegłem tył motocykla.

Ojciec Melody wyglądał dość dziwnie. Jeden jego bok – lewy – wydawał się osobliwie zapadnięty, najwyraźniej mężczyzna cierpiał na jednostronną atrofię mięśni od głowy do stóp, przez co wydawał się krzywy niczym owoc, który najpierw został przekrojony, a następnie niedokładnie złożony. Mimo tej asymetrii partner Bonity był całkiem przystojny – wysoki, szczupły, z długimi do ramion, kudłatymi blond włosami i gęstym wąsem.

Na twarzy miał przemądrzałą minę, która kontrastowała z powagą jego towarzyszki. Podobny wyraz twarzy widuje się na obliczach lokalnych prostaczków, kiedy wchodzi się do tawerny w obcym miasteczku z nadzieją na zimnego drinka i nieco samotności. Osobiście unikam osób gapiących się w ten sposób, ponieważ ich spojrzenia oznaczają tylko kłopoty.

Nie byłem zaskoczony, że właściciel tych oczu skończył za kratkami.

– Proszę. – Oddałem zdjęcie Melody, która troskliwie schowała je z powrotem do maleńkiej torebki.

– Chcesz się jeszcze raz przejechać?

– Nie. Jestem trochę zmęczona.

– Odwieźć cię do domu?

Tak.

W trakcie jazdy powrotnej do kompleksu mieszkalnego dziewczynka stała się milcząca, jak gdyby znowu odurzono ją lekami. Czuję się trochę nieswojo, uprzytomniłem sobie bowiem, że nie postępuję wobec niej do końca uczciwie, ponieważ najpierw przesadnie ją ożywiłem i pobudziłem jej zmysły, a teraz odwożę z powrotem w ponurą codzienność.

Czy powinienem grać przed nią dobrego faceta, który wyciągnie ją z odrętwienia?

Przypomniał mi się wykład, który pod koniec moich studiów psychologicznych wygłosił jeden ze starych profesorów:

„Kiedy decydujesz się zarabiać na życie, pomagając osobom cierpiącym na zaburzenia emocjonalne, decydujesz się równocześnie przez jakiś czas nieść ich na własnym grzbiecie. Do diabła z gadką o podejmowaniu odpowiedzialności i o asertywności. To zwyczajne bzdury. Psychoterapeuta musi pomóc tym ludziom stawić czoło bezradności, którą odczuwają w każdym dniu swego życia. Wasi pacjenci, drodzy państwo, będą się do was przywiązywać niczym gąsiątka

czepiające się pierwszego stworzenia ujrzanego po wykluciu z jaja. Jeśli nie zdołacie sobie poradzić z tym problemem, zamiast psychoterapeutami, staniecie się zwykłymi księgowymi, którzy wpisują do swych ksiąg podatkowych wpływy uzyskane od klientów”.

 Nie zarabiałem już na życie terapią. Tym bardziej więc powinienem postępować jak psycholog z powołania, a nie jak księgowy.

Rozdział 7

Wyruszyłem do pracowni Robin o wpół do ósmej wieczorem. Nie widziałem jej już od kilku dni i tęskniłem za nią. Otworzyła drzwi ubrana w lekką białą sukienkę, która podkreślała oliwkowy odcień jej cery. Włosy miała rozpuszczone, uszy zdobiły złote kółka.

Wyciągnęła do mnie ręce i przez długą chwilę się obejmowaliśmy. Wchodząc do środka, nadal byliśmy przytuleni.

Jej mieszkanie znajdowało się w starym magazynie na Pacific Avenue w Venice. Jak wiele innych pracowni w okolicy, nie było oznakowane; okna zamalowano nie przepuszczającą światła bielą.

Robin poprowadziła mnie obok roboczej części frontowej zagraconej narzędziami i maszynami – stała tu piła stolarska, pilarka taśmowa, wiertarka pionowa – a także stosami drewna, formami instrumentów muzycznych, dłutami, przyrządami pomiarowymi i szablonami. Pomieszczenie jak zwykle pachniało trocinami i klejem, a podłogę pokrywały wióry.

Robin pchnęła podwójne drzwi wahadłowe i znaleźliśmy się w części mieszkalnej, na którą składał się salon, kuchnia, sypialny stryżek z łazienką oraz małe biuro. W przeciwieństwie do warsztatu, w prywatnych pomieszczeniach mojej przyjaciółki panował przyjemny porządek. Większość mebli wykonała sama z solidnego drewna. Były proste i eleganckie.

Usiadłem na miękkim tapczanie z bawełnianymi poduszkami. Na stole stała ceramiczna taca z kawą i plackiem, talerzyki, a obok leżały serwetki i widelczyki.

Robin podeszła do mnie. Dotknąłem dłońmi jej skroni i pocałowałem ją.

– Witaj, skarbie.

Objęła mnie. Przez cienki materiał poczułem jej mocne mięśnie. Miała jędrne ciało pełne miłych krągłości. Zarabiała na życie pracą fizyczną i zawsze zadziwiała mnie u niej ta kombinacja męskich mięśni i kobiecej miękkości. Kiedy się poruszała – niezależnie od tego, czy obrabiała pilarką taśmową kawał palisandru, czy też po prostu szła – była w niej pewność siebie i ogromna gracia. Gdy ją poznałem, pomyślałem, że nic lepszego nie mogło mi się w życiu przydarzyć. Choćby z tego powodu warto było wycofać się z zawodu.

Spotkaliśmy się kilka miesięcy temu. Kręciłem się po sklepie muzycznym McCabe'a w Santa Monica, przeglądałem stare nuty, wypróbowywałem wiszące na ścianach gitary. Spostrzegłem jeden szczególnie piękny instrument, podobny do mojego martina, ale zrobiony z jeszcze większą precyzją. Przez moment podziwiałem kunszt ręcznego wykonania, potem przesunąłem palcami po strunach, które wspaniale zabrzęczały. Zdjąłem gitarę ze ściany i zagrałem na niej. Jej brzmienie było równie idealne jak wykonanie; dźwięczała niczym dzwon.

– Podoba się? – spytał ktoś bezosobowo.

Głos był kobiecy i należał do cudownego stworzenia w wieku około dwudziestu pięciu lat, które stało blisko mnie – nie wiedziałem od jak dawna, ponieważ zatraciłem się w muzyce. Twarz w kształcie serca, zwieńczona bujną szopą rudawobrazowych loków. Oczy podłużne jak migdały, szeroko rozstawione, barwy starego mahoni. Dziewczyna miała około metra pięćdziesięciu siedmiu wzrostu, szczupłe nadgarstki, delikatne dłonie i długie, cienkie palce. Kiedy się uśmiechnęła, jej górne dwa siekacze, większe niż reszta zębów, błysnęły niczym kość słoniowa.

– Tak. Uważam, że jest znakomita.

– Nie jest aż tak dobra. – Położyła ręce na szerokich biodrach. Jej figura przypominała klepsydrę – wąska talia, duży biust i rozłożyste biodra; kombinezon, który dziewczyna nosiła na golfie, nie zdołał zamaskować jej łagodnych krągłości.

– Och, doprawdy?

– Tak. – Odebrała mi gitarę. – Jest tu takie miejsce... – zapukała w pudło rezonansowe – ...gdzie zbyt cienko została wygładzona papierem ściernym. Poza tym równowaga między pudłem i gryfem mogłaby być lepsza. – Brzdąknęła kilka akordów. – Ogólnie mówiąc, dałabym jej osiem punktów w skali od jednego do dziesięciu.

– Jest pani prawdziwym ekspertem.

– Muszę. Sama ją zrobiłam.

Tego popołudnia zabrała mnie do warsztatu i pokazała instrument, nad którym pracowała.

– Ta będzie na dziesięć punktów. Tamta to moja pierwsza praca. Człowiek z czasem nabiera wprawy.

Kilka tygodni później Robin przyznała się, że w ten sposób chciała wzbudzić moje zainteresowanie. Jedni podrywają „na płyty”, ona kusila mnie swoimi instrumentami.

– Podobała mi się twoja gra. Masz w sobie muzyczną wrażliwość.

Od tamtego dnia widywaliśmy się regularnie. Dowiedziałem się, że Robin jest jedynaczką, ukochaną córeczką wykwalifikowanego mistrza stolarki artystycznej, który nauczył ją przekształcać surowe drewno w piękne przedmioty. Przez jakiś czas uczęszczała do college'u – jako główny przedmiot wybrała projektowanie – lecz zniechęciła ją dyscyplina. Szybko też zauważyła, że jej ojciec ma znacznie większą wiedzę, intuicję na temat tworzenia i przeznaczenia wykonanych przedmiotów niż wszyscy nauczyciele i książki razem wzięte. Po śmierci ojca Robin rzuciła szkołę, a za pieniądze, które jej zostawił, kupiła warsztat w San Luis Obispo. Wkrótce poznała kilku lokalnych muzyków, którzy przynosili jej do naprawy swoje instrumenty. Początkowo było to dla niej zajęcie uboczne, ponieważ próbowała się zajmować projektowaniem wnętrza i wytwarzaniem zwyczajnych mebli. Po pewnym czasie zaczęła jednak przejawiać większe zainteresowanie uszkodzonymi gitarami, mandolinami i bandzo, które trafiały na stół w jej warsztacie. Przeczytała kilka książek na temat produkcji instrumentów muzycznych, zorientowała się, że posiada wszystkie

potrzebne umiejętności, i wykonała swoją pierwszą w życiu gitarę. Brzmienie instrumentu okazało się znakomite i Robin sprzedała go za pięćset dolarów. Teraz nie potrafiła się już wycofać. Dwa tygodnie później przyjechała do Los Angeles, gdzie mieszkało sporo muzyków, i otworzyła sklepik.

Kiedy ją poznałem, robiła dwa instrumenty w ciągu miesiąca i zajmowała się naprawami. Pisano o niej w fachowych czasopiśmie i miała zamówienia na cztery miesiące. Zaczynała coraz lepiej zarabiać.

Prawdopodobnie pokochałem ją już podczas naszego pierwszego spotkania, jednak zdałem sobie sprawę ze swojego uczucia dopiero po kilku tygodniach.

Po trzech miesiącach zaczęliśmy rozmawiać o wspólnym życiu. Chcieliśmy razem zamieszkać, ale jej mieszkanie było zbyt małe dla dwojga, a mój dom trudno było przystosować do potrzeb jej warsztatu. Brzmi to mało romantycznie, lecz taka jest prawda – przeszkodziły nam tak prozaiczne sprawy jak przestrzeń i wygody. Na szczęście było nam razem dobrze, a równocześnie każde chroniło własną prywatność i nie czuliśmy potrzeby zmiany.

Robin często spędzała noc u mnie, innym razem ja zostawałem na jej stryszku. Pozostałe wieczory spędzaliśmy osobno.

Uważałem nasz układ za całkiem dobry.

Sączyłem kawę i patrzyłem na placek.

– Weź trochę, skarbie.

– Nie chcę się opychać przed kolacją.

– Może nie wyjdziemy na kolację. – Poglaskała mnie po karku. – Och, ależ jesteś spięty. – Zaczęła ugniatać mi mięśnie. – Nie byłeś już taki od długiego czasu.

– Mam ku temu powód.

Opowiedziałem jej o porannej wizycie Milo Sturgisa, o morderstwie. Melody i Towle'u.

Kiedy mówiłem, trzymała ręce na moich ramionach.

– Aleksie, naprawdę chcesz się w to pakować?

– A mam jakiś wybór? Oczy tego dziecka śnią mi się po nocach. Byłem głupcem, że dałem się wciągnąć w całą tę sprawę, ale teraz utknałem w niej na dobre.

Popatrzyła na mnie uważnie. Kąciki jej ust uniosły się w uśmiechu.

– Jesteś strasznie naiwny. Ale jaki słodki.

Głaskała mnie pod brodą. Przyciągnąłem ją, do siebie i zatopiłem twarz w jej włosach. Pachniały

cytryną, miodem i palisandrem.

– Naprawdę cię kocham.

– Ja też cię kocham, Aleksie.

Rozebraliśmy się nawzajem, a kiedy byliśmy zupełnie nago, wziąłem ją na ręce i zniosłem po schodach na stryszek. Nie chciałem pozostawać z dala od niej ani przez chwilę, całowałem ją nawet, kiedy się na niej kładłem. Przywarła do mnie natychmiast. Jej ramiona i nogi oplatały mnie jak wici. Wszedłem w nią i poczułem się cudownie.

Rozdział 8

Spałem do dwudziestej drugiej; obudziłem się straszliwie wygłodniały. Zszedłem do kuchni. Przygotowałem żytnie kanapki z włoskim salami i szwajcarskim serem, znalazłem też butelkę burgunda i zabrałem to wszystko do łóżka na późną kolację. Wymienialiśmy czosnkowe pocałunki, zasypaliśmy łóżko okruszkami, po ściskaliśmy się trochę i znowu zasnęliśmy.

Obudził nas natrętny dźwięk telefonu.

Odebrała Robin.

– Tak, Milo, jest tutaj. Nie, nie, wszystko w porządku. Daję ci go.

Podawała mi słuchawkę i zagrzebała się w pościel.

– Cześć, Milo. Która godzina?

– Trzecia nad ranem.

Usiadłem i przetarłem oczy. Przez świetlik w suficie widziałem czarne niebo.

– Co się stało?

– Chodzi o tę małą, Melody Quinn. Zupełnie znikowała... Obudziła się z krzykiem. Bonita zadzwoniła do Towle'a, a ten do mnie. Zażądał, żebyś się tam zjawił. Był strasznie wkurzony.

– Pieprzę go. Nie jestem jego chłopcem na posyłki.

– Chcesz, żebym mu to powiedział? Stoi obok mnie.

– Jesteście u niej? U Melody?

– Jasne. Ani deszcz, ani grad, ani ciemność nie przeszkodzi urzędnikowi państwowemu w wypełnianiu obowiązków. Zrobiliśmy sobie małe przyjęcie. Doktor, Bonita i ja. Dziecko śpi. Towle dał jej jakiś zastrzyk.

– Mogłem się tego spodziewać.

– Dziecko wygadało się matce na temat hipnozy. Towle chce, żebyś tu był, jeśli mała znowu się obudzi. Miałbyś ją ponownie zahipnotyzować czy coś takiego.

– A to dupek. Hipnoza nie spowodowała nocnych koszmarów. Dziecko ma kłopoty ze snem z powodu tej tony amfetaminy, którą wspaniały doktorek wprowadził do jej krwiobiegu.

Szczerze mówiąc, wcale nie byłem pewien, czy mam rację. Po sesji na plaży Melody rzeczywiście

wydawała się zmartwiona.

– Wierzę, że mówisz prawdę, Aleksie. Po prostu chciałem dać ci pretekst do przyjazdu tutaj. Powinieneś się dowiedzieć, jak sprawy stoją. Mam powiedzieć doktorowi Towle'owi, żeby się wypchał? Jeśli sobie życzysz, powiem mu.

– Poczekaj minutkę. – Potrząsnąłem kilkakrotnie głową, starając się rozbudzić i odzyskać zdolność logicznego myślenia. – Czy Melody powiedziała coś po przebudzeniu?... Coś sensownego?

– Cóż, załapałem się jedynie na końcówkę. Podobno obudziła się już czwarty raz dzisiejszej nocy. Wołała swego ojca: „Och, tato, tato, tato”. Coś w tym rodzaju, ale niesamowicie głośno. Jeśli mam być szczerzy, stary, wyglądało to i brzmiało przygnębiająco.

– Przyjadę najszybciej, jak tylko będę mógł.

Ucałowałem śpiącą obok mnie dziewczynę, wstałem i narzuciłem na grzbiet ubranie.

Pędziłem wzdłuż Pacyfiku, kierując się na północ. Ulice były puste i spowite morską mgłą. Światelka alarmowe na końcu mołu z daleka wydawały się maleńkie jak główki od szpilek. Na horyzoncie stało kilka trawlerów. O tej godzinie na otwartym oceanie grasowały rekiny i inni nocni drapieżcy. Zastanawiałem się, jaką straszliwą rzeź kryje połyskująca czarna tafla wody. A ilu nocnych myśliwych czaiło się na suchym lądzie, ilu z nich ukrywało się w alejkach, za pojemnikami na śmieci, ilu chowało się wśród liści i gałązek podmiejskich krzewów? Z szaleństwem w oczach, z ciężkim oddechem...

Podczas jazdy stworzyłem nową teorię ewolucji. Zło posiadało własną metamorficzną inteligencję: rekiny i węże o ostrych jak brzytwa zębach, oślizłe, jadowite stwory ukrywające się w mule... Wszystkie one rozwijały się równie szybko jak płazy, gady, ptaki i ssaki. Jeden maleńki przeskok przenosił zło z wody na ląd. Od rekina do gwałciciela, od węgorza do dusiciela, od trującego ślimaka do łomiarza. Z żądzą krwi przy środku spirali.

Wydawało mi się, że ciemność napiera na mnie, natarczywa i cuchnąca. Nacisnąłem mocniej na gaz i zmusiłem się do jazdy przez ten mrok.

Kiedy dotarłem do kompleksu mieszkaniowego, Milo czekał na mnie przy drzwiach.

– Właśnie przed chwilą znowu się obudziła.

Usłyszałem ją, jeszcze zanim wszedłem do sypialni.

Światło było przyćmione. Melody siedziała wyprostowana na łóżku; napięte małe ciało, oczy szeroko otwarte i rozbiegane. Tuż obok siedziała Bonita. Towle w sportowym stroju stał po drugiej stronie dziecka.

Dziewczynka łkała, z jej ust wydobywał się dźwięk zranionego zwierzęcia. Lamentując i jęcząc, kiwała się w przód i w tył. Jęk stopniowo się wzmacniał, niczym odgłos syreny, aż Melody naprawdę się rozkrzyczała. Cienki, rozdzierający głosik piskliwie przerwał ciszę.

– Tato! Tato! Tato!

Mokre od potu włosy przylepiły się dziewczynce do twarzy. Bonita Quinn próbowała powstrzymać córkę, ale mała szaleńczo młóciła rękami i uderzała na oślep. Matka była bezradna.

Odniosłem wrażenie, że krzyk Melody nigdy się nie skończy, nagle jednak zapadła cisza. Po chwili dziewczynka znowu zaczęła lamentować.

– Och, doktorze – błagała Bonita. – To kolejny napad wrzasku. Niech pan coś zrobi.

Towle spojrzał na mnie.

– Może doktor Delaware zdoła pomóc – oświadczył zgryźliwie.

– Nie, nie, nie! Nie chcę, żeby się do niej zbliżał! To wszystko przez niego.

Towle nie próbował niczego wyjaśniać. Mógłbym przysiąc, że jest strasznie z siebie zadowolony.

– Pani Quinn... – zacząłem.

– Nie. Niech się pan nie zbliża! Wynocha!

Jej krzyk obudził Melody i dziecko znowu zaczęło przywoływać ojca.

– Przestań!

Bonita podeszła do dziewczynki, położyła dłoń na jej ustach, potem potrząsnęła córką.

Towle i ja ruszyliśmy ku niej równocześnie. Towle zabrał ją na bok i powiedział coś, co ją uciszyło.

Podszedłem do Melody. Ciężko oddychała, źrenice miała rozszerzone. Dotknąłem jej. Zesztywniała.

– Melody – szepnąłem. – To ja, Alex. Wszystko w porządku. Jesteś bezpieczna.

Kiedy do niej przemawiałem, uspokoiła się. Paplałem więc dalej cokolwiek, wiedząc, że najważniejszy jest mój ton. Starłem się mówić cichym, rytmicznym głosem, spokojnym i kojącym. Hipnotycznym.

Wkrótce dziewczynka osunęła się na łóżko. Pomogłem ją ułożyć. Rozłożyła ręce. Ciągle do niej mówiłem uspokajającym łonem. Jej mięśnie zaczęły się rozluźniać, oddech stawał się powolny i regularny. Powiedziałem, by zamknęła oczy. Posłuchała mnie. Pogłaskałem ją po ramieniu i nadal zapewniałem, że wszystko jest w porządku, a ona sama – bezpieczna.

Dziecko zwinęło się w pozycję płodową, naciągnęło na siebie pościel i włożyło kciuk do ust.

– Wyłączcie światło – powiedziałem. W pokoju zrobiło się ciemno. – Zostawmy ją samą. – Cała trójka wyszła.

– Teraz śpij. Melody. Będziesz miała bardzo spokojną, kojącą noc z przyjemnymi snami. Kiedy się rano obudzisz, będziesz się czuła dobrze, bardzo dobrze. Będziesz bardzo wypoczęta.

Usłyszałem jej cichutkie pochrapywanie.

– Dobranoc. Melody. – Pochyliłem się i lekko pocałowałem ją w policzek.

Wymamrotała jedno słowo.

– Ta-ta.

Zamknąłem drzwi do jej pokoju. Bonita w kuchni wycierała ręce. Miała na sobie postrzępiony męski szlafrok z aksamitu. Włosy szesała w kok i przykryła chustą. Wyglądała na bledszą, niż ją zapamiętałem, gdy ostatnim razem krzątała się z odkurzaczem.

Towle pochylał się nad czarną torbą. Zatrzasnął ją, wstał i przesunął palcami po włosach. Popatrzył na mnie, potem wyprostował się i wściekle łypnął, gotów do następnego wykładu.

– Mam nadzieję, że jesteś z siebie zadowolony – stwierdził.

– Niech pan nie zaczyna – ostrzegłem go. – Żadnego „a nie mówiłem”.

– Może teraz zrozumiesz moją niechęć do ingerencji w umysł tego dziecka.

– Nikt w nic nie ingerował. – Coraz bardziej się denerwowałem. Potwornie nienawidzę takich autorytarnych hipokrytów jak Towle.

Pediatra protekcjonalnie potrząsnął głową.

– Chyba trzeba ci odświeżyć pamięć.

– Jesteś pan świętoszkowatym kutasem.

W jego błękitnych oczach dostrzegłem iskielki gniewu. Mężczyzna zacisnął usta.

– A może postawię cię. Aleksie, przed komisją etyki Stanowej Rady Medycznej?

– Niech pan to zrobi, doktorze.

– Poważnie się nad tym zastanawiam.

Skojarzył mi się nagle z kalwińskim kaznodzieją, surowym, sztywnym i zadufanym w sobie.

– Niech pan to zrobi, a porozmawiamy o właściwym zastosowaniu leków pobudzających u dzieci.

Uśmiechnął się.

– Za mało znaczysz, by zszargać mi opinię.

– Och, tego jestem pewny. – Zacisnąłem pięści. – Ma pan legiony lojalnych stronników. Jak ta kobieta. – Wskazałem w stronę kuchni. – Przyprawiają do pana swoje dzieci, ludzkie wraki... A pan je reperuje, szybko im poprawia nastrój stosując cudowną pigułkę. Dostosowuje wszystkich do wymagań otoczenia. Zmienia ich w ludzi grzecznych i cichych, uległych i posłusznych. W wiecznie sennych, małych zombi. Doprawdy, jest pan cholernym bohaterem!

– Nie muszę tego słuchać. – Ruszył do przodu.

– Nie, nie musisz, bohaterze. Dlaczego jednak nie wejdzie pan do kuchni i nie powie tej biednej kobiecie, co naprawdę o niej myśli? Kiepska protoplazma i... niech pomyślę, a tak! Kiepskie geny, zero wnikliwości.

Zatrzymał się.

– Spokojnie, Aleksie – ostrzegł mnie stojący w rogu Milo.

Bonita wyszła z kuchni.

– Co tu się dzieje? – spytała. Towle i ja mierzyliśmy się wzrokiem niczym bokserzy po gongu.

Na jej widok zachowanie pediatry zmieniło się całkowicie. Mężczyzna uśmiechnął się czarująco do kobiety.

– Nic, moja droga. To tylko profesjonalna dyskusja. Doktor Delaware i ja próbujemy znaleźć najlepszą metodę leczenia Melody.

– Na pewno nie przez hipnotyzowanie. Sam pan mi to mówił.

– Zgadza się. – Towle zastukał stopą w podłogę. Starał się nie pokazać po sobie, jak ogromnie nieswojo się czuje. – Taka była moja profesjonalna opinia. – Najwidoczniej kochał słowo „profesjonalny”. – Nadal tak uważam.

– No to niech mu pan o tym powie! – Wskazała na mnie.

– O tym właśnie dyskutowaliśmy, moja droga.

Przesadnie uprzejmy ton Towle’a wyraźnie zdenerwował Bonitę Quinn, ponieważ jej rysy stężały, a głos stał się nieufny.

– A o czym tu dyskutować? Nie chcę, żeby ten albo... tamten – tym razem wskazała na Mila – kręcił się tutaj. – Odwróciła się do nas. – Człowiek usiłuje być samarytaninem i pomóc glinom, a w zamian dają mu po łbie! Teraz moje dziecko dostało napadów i krzyczy po nocach. Będą kazali mi się stąd wynieść. Wiem, że tak się stanie!

Jej usta zaczęły drżeć. Bonita ukryła twarz w dłoniach i rozplakała się. Towle wkroczył do akcji niczym żigolak z Beverly Hills. Otoczył kobietę ramieniem i pocieszał ją, słowami: „Cicho, no, cicho”.

Zaprowadził ją na sofę i posadził. Przez chwilę stał nad Bonitą, głaszcząc ją po ramieniu.

– Będę się musiała stąd wyprowadzić – powiedziała, nie odsuwając dłoni z twarzy. – Tutaj nie lubią hałasu. – Odsloniła twarz i spojrzała zażawionymi oczami na Towle’a.

– No, cicho, moja droga, wszystko będzie dobrze. Zajmę się tą sprawą.

– Ale co z tymi napadami?

– Poradzimy sobie z nimi. – Posłał mi nagłe spojrzenie, pełne wrogości i – byłem tego pewny – strachu.

Kobieta siąknęła, po czym wytarła nos w rękaw.

– Nie rozumiem, dlaczego ona woła po przebudzeniu swego ojca! Ten drań nigdy nas nie odwiedza. Nawet centa mi nie dał na utrzymanie dziecka! W ogóle nie kocha swojej córki! Dlaczego mała woła akurat jego, doktorze Towle? – Podniosła na niego wzrok i wpatrzyła mu się w oczy niczym nowicjuszka podczas audiencji u papieża.

– No, już cicho, cicho.

– Ten Ronnie Lee to wariat. Niech pan spojrzysz tylko na to! – Zdarła chustkę z głowy, potrząsnęła włosami, opuściła głowę, po czym jęknęła i rozdzieliła pasma włosów na środku. – Niech pan na to popatrzy!

Rzeczywiście wyglądało paskudnie. Gruba, czerwona blizna rozmiaru dużego tłustego robaka. Skóra wokół rany była pozbawiona włosów, sina i pomarszczona – skutek niezbyt dobrze przeprowadzonego zabiegu chirurgicznego.

– Teraz pan wie, dlaczego to ukrywam! – krzyknęła. – On mi to zrobił. Łańcuchem! On. Ronnie Lee Quinn! – Wypowiedziała nazwisko męża niemal z nienawiścią. – Zwariowany drań. Oto tatuś, za którym mała tak płacze! Szumowina, nie ojciec!

– No, cicho – powtórzył Towle. Odwrócił się do nas. – Czy panowie chcą jeszcze o czymś porozmawiać z panią Quinn?

– Nie, doktorze – odparł Milo i odwrócił się do wyjścia. Chwycił mnie za ramię i wyprowadził. Ja jednak miałem coś jeszcze do powiedzenia.

– Niech pan jej powie, doktorze. Niech pan jej powie, że to nie są żadne napady. Zwykłe nocne lęki, które znikną same, gdy dziewczynka się uspokoi. Niech pan jej powie, że nie ma potrzeby podawać fenobarbituratów, dilantyny ani rytanilu.

Towle nadal głaskał Bonitę Quinn po ramieniu.

– Dziękuję panu za profesjonalną opinię, doktorze, ale postąpię z tym przypadkiem w taki sposób, jaki uznam za stosowny.

Stałem jak wryty.

– Chodźmy, Aleksie. – Milo pociągnął mnie do drzwi.

Parking kompleksu mieszkaniowego pełen był mercedesów, porsche, alfa romeo i datsunów ZS. Fiat Mila, zaparkowany przed hydrantem, wyglądał wśród nich żałośnie, niczym kaleka na lekkoatletycznym mityngu. Usiedliśmy na przednich siedzeniach. Nastroje mieliśmy ponure.

– Co za paskudna sytuacja – zagał.

– Co za drań – odrzekłem.

– Przez chwilę sądziłem, że go uderzysz. – Zachichotał.

– Sam się o to prosił. Kutas.

– Rzeczywiście, chyba cię prowokował. Sądziłem, że wy, lekarze, współpracujecie ze sobą.

– O tak. Towle jest niezwykle chętny do współpracy. Ale na jego warunkach. W innej sytuacji bylibyśmy po prostu kolegami po fachu. Teraz jednak źle się dzieje i dobry doktorek szuka kozła ofiarnego. Ten człowiek cierpi na chorobliwy egotyzm. Uważa się za wszechmocnego. Sądzi, że potrafi każdego wyleczyć. Zauważyłeś, jak Bonita Quinn go wielbi? Traktuje go jak jakiegoś cholernego Wielkiego Białego Ojca. Pewnie podcięłaby dziewczynce żyły, gdyby kazał jej to zrobić.

– Martwisz się o tę małą, prawda?

– Zgadza się. Milo. Dokładnie wiem, co Towle zamierza zrobić. Po prostu da jej jeszcze więcej leków. Melody będzie kompletnie odurzona przez następne dwa dni.

Mój przyjaciel zamyślił się, przygryzając wargę. Po kilku minutach powiedział:

– No cóż, nic nie możemy na to poradzić. Przepraszam, że cię w to wciągnąłem.

– Zapomnij o tym. To nie twoja wina.

– Eee, chyba jednak tak. Zamiast przeprowadzać zwyczajne dochodzenie w sprawie Handlera, zamarzył mi się natychmiastowy cud. Chciałem uniknąć normalnej procedury. Powiniennem przepytac współpracowników Handlera, wyjąc z komputera listę znanych przestępców chętnie wymachujących nożem i przypatrzeć się im. Przejrzeć akta zamordowanego. Gdzieś w głębi duszy wiedziałem, że siedmioletnie dziecko to wątpliwy świadek.

– Sądzę, że dziewczynka mogłaby się okazać całkiem dobrym świadkiem – naciskałem.

– Nie jestem już tego taki pewien. – Po trzech próbach Milo w końcu zapalił silnik. – Przepraszam, że zrujnowałem ci noc.

– Nie ty. To wle to zrobił.

– Zapomnij o nim, Aleksie. Jemu podobne dupki są jak chwasty – pozbywasz się paskudztwa, a ono odrasta w tym samym miejscu. Wiesz, co robiłem przez osiem lat? Polewałem zielsko płynem odchwasczającym i obserwowałem, jak odrastało. Za każdym razem szybciej.

W jego głosie dźwięczało wielkie znużenie. Nagle zauważyłem, że Milo wygląda staro.

Wysiadłem z samochodu i pochyliłem się nad oknem.

– Do zobaczenia jutro.

– Co takiego?

– Akta. Musimy przejrzeć akta Handlera. Znacznie lepiej od ciebie potrafię ocenić, którzy z jego wariatów są niebezpieczni.

– Żartujesz.

– Bynajmniej. Mam w sobie wielkiego zegarnika.

– Co takiego?

– Zegarnik była rosyjskim psychologiem. Odkryła, że ludzie odczuwają ogromne napięcie, gdy zmuszeni są do przerywania wykonywanego zadania. Tę emocję nazwano na jej cześć efektem Zegarnik. Dręczy mnie od dziecka.

Milo popatrzył na mnie jak na pomyłkę.

– Aha. No dobra. I, hmm... tak bardzo cię dręczy, że zamierzasz przerwać swoje spokojne życie?

– Do diabła, moje życie zrobiło się ostatnio trochę nudne. – Klepnałem przyjaciela w plecy.

– Skoro tak uważasz. – Milo wzruszył ramionami. – Pozdrów ode mnie Robin.

– A ty swojego doktora.

– Jeśli go zastanę po powrocie. Konieczność wychodzenia z domu w ciągu nocy to poważna próba dla zakochanych. – Przetarł kąciki oczu i nachmurzył się.

– Jestem pewien, że twój doktor wytrzyma tę próbę, Milo.

– Ach tak? Dlaczego?

- Jeśli był wystarczająco szalony, by się z tobą związać, wytrzyma twoje wyskoki.
- Ogromnie mnie pocieszyłeś, stary. – Miło ze zgrzytem wrzucił pierwszy bieg i odjechał.

Rozdział 9

Morton Handler, zanim został zamordowany, praktykował jako psychiatra od ponad piętnastu lat. W tym czasie przez jego gabinet przewinęło się ponad dwa tysiące pacjentów. Ich akta przechowywano w teczkach z szarego papieru, które zostały spakowane po sto pięćdziesiąt w tekturowych pudełkach zalepionych taśmą i opieczętowanych stemplami policji Los Angeles.

Milo przyniósł te pudła do mojego domu. Pomagał mu drobny, łysiejący czarnoskóry detektyw nazwiskiem Delano Hardy. We dwóch, dysząc i rżąc, władowali kartony do mojej jadalni. Wkrótce pokój wyglądał, jak gdybym się właśnie wprowadzał albo wyprowadzał.

– Nie jest tak źle, jak można by sądzić – zapewnił mnie Milo. – Nie musisz przeglądać wszystkich. Prawda, Del?

Hardy zapalił papierosa i pokiwał głową na potwierdzenie.

– Zrobiliśmy przedwstępną selekcję – oświadczył uroczyście. – Wyeliminowaliśmy zmarłych. Uznaliśmy ich za mało prawdopodobnych podejrzanych.

Obaj się roześmiali. Mroczny śmiech detektywów.

– A poza tym według raportu koronera – kontynuował – Handler i dziewczyna zostali pociachani przez osobnika muskularnego. – Handler został tylko raz dźgnięty w gardło, a ostrze dotarło aż do kręgosłupa.

– Co oznacza – przerwałem jego wywód – mężczyznę.

– Mogła, co prawda, zrobić to jakaś cholernie mocna baba – zaśmiał się Hardy – ale obstawiamy faceta.

– Zostaje sześciuset pacjentów płci męskiej – dodał Milo. – Te cztery pudełka, o tam.

– W dodatku – dorzucił Hardy – przynieśliśmy ci mały prezent.

Podał mi niewielką paczkę owiniętą w zielono-czerwony świąteczny papier z wzorkiem w trąbki i święte wieńce. Pakunek przewiązany był czerwoną wstążką.

– Nie mogliśmy znaleźć innego papieru – wyjaśnił Hardy.

– Mamy nadzieję, że ci się spodoba – dodał Milo.

Zacząłem się czuć jak aktor w czarno-białej komedii. Zauważyłem osobliwą zmianę w zachowaniu Mila. W obecności innego detektywa dystansował się ode mnie, przybierał pozę twardego mądrali i rzucał starymi policyjnymi dowcipami.

Rozpakowałem i otworzyłem pudełko. Wewnątrz na bawełnianej podkładce leżała zalana

w plastik plakietka identyfikacyjna policji Los Angeles. Było na niej moje zdjęcie z prawa jazdy, z tym dziwnym zmrożonym spojrzeniem, jakie mają nasze twarze na urzędowych fotografiach. Pod zdjęciem widniał mój podpis – identyczny jak na prawie jazdy, wydrukowane moje nazwisko, stopień doktorski i tytuł „specjalnego konsultanta”. Życie rzeczywiście w znacznie wyższym stopniu kopiuje sztukę niż...

– Jestem wzruszony.

– Przypnij i uprawomocnij ją – doradził Milo.

Plakietka nie różniła się od tej, którą nosiłem w Zachodnim Centrum Pediatricznym. Była przypinana na zatrzask. Przymocowałem ją do kołnierzyka koszuli.

– Bardzo przyciągająca – ocenił Hardy. – Wraz z dziesięciocentówką ten identyfikator zapewnia ci prawo do jednego lokalnego telefonu – zażartował, po czym sięgnął do marynarki i wyjął złożoną kartkę papieru. – Oczywiście, jeśli tylko przeczytasz i podpiszesz oświadczenie. – Wyjął długopis.

Przeczytałem tekst wydrukowany małymi literkami.

– Tu jest napisane, że nie musicie mi nic płacić.

– Zgadza się – potwierdził Hardy z udawanym smutkiem. – A także... Jeśli przetniesz sobie palec podczas przetrząsania tych akt, nie możesz zaskarżyć departamentu policji.

– Podpisz, Aleksie, a uszczęśliwisz naszego szefa – odpowiedział mi Milo.

Wzruszyłem ramionami i podpisałem.

– Teraz – oświadczył Hardy – jesteś oficjalnym konsultantem Departamentu Policji Los Angeles. – Włożył kartkę i wsunął ją z powrotem do kieszeni. – Dokładnie tak samo było z kogutem, który ruchał wszystkie kury w kurniku, więc wykastrowali biedaka i dali mu funkcję konsultanta.

– Cóż za pochlebne porównanie.

– Przyjaciel detektywa Sturgisa jest moim przyjacielem.

Milo tymczasem otwierał zaplombowane kartony szwajcarskim scyzorykiem. Wymował tuziny teczek z aktami i układał równe, małe stosiki na stole jadalni.

– Są ułożone alfabetycznie, Aleksie. Możesz je przeglądać i odkładać co większych świrów.

Skończył układanie. Obaj z Hardym byli gotowi do wyjścia.

– Del i ja porozmawiamy sobie z notowanymi.

– Dzięki, odejmujesz nam sporo pracy – stwierdził Hardy. Strzelił palcami i zaczął szukać

miejsca, w którym mógłby zgasić spalonego aż po sam filtr papierosa.

– Wrzuć go do zlewozmywaka – doradziłem.

Odszedł do kuchni.

Kiedy zostaliśmy sami, Milo powiedział:

– Naprawdę doceniam twoją pomoc, Aleksie. Nie spiesz się. Nie musisz tego skończyć dzisiaj.

– Zrobię tyle, ile zdołam. Przerwę, gdy zaczną mi się zamykać oczy.

– Dobra. Będę dzwonił co parę godzin. Może będziemy mogli podrzucić ci coś do żarcia albo inne rzeczy.

Hardy wrócił, poprawiając krawat. Był bardzo elegancki w trzyczęściowym garniturze z granatowej wełny, białej koszuli, błękitno-czerwonym krawacie i wypolerowanych czarnych mokasynach ze skóry cielęcej. Milo – w obwisłych spodniach i nieciekawej sportowej marynarce – wyglądał przy nim jak klient lumpeksu.

– Jesteś gotów, mój towarzyszu? – spytał Hardy.

– Jasne.

– Zatem w drogę.

Po ich wyjściu, nastawiłem płytę Lindy Ronstadt i do rytmu jej piosenki Ja biedny, biedny i żaloszny zacząłem przeglądać teczki.

Osiemdziesiąt procent pacjentów Hickle’a podpadało pod jedną z dwóch kategorii. Albo byli to zamożni dyrektorzy i kierownicy, którym internista postawił diagnozę: „schorzenia pacjenta spowodowane są częstym stresem” – dusznica bolesna, impotencja, bóle żołądkowe, chroniczne bóle głowy, bezsenność, wysypki skórne nieznanego pochodzenia – albo mężczyźni w różnym wieku cierpiący na depresję. Wyłowiłem ich, a pozostałe dwadzieścia procent odłożyłem do późniejszego, bardziej szczegółowego przejrzenia.

Po pierwszych teczkach nie miałem jeszcze najmniejszego pojęcia, jakiego rodzaju psychiatrą był Morton Handler, jednak po kilku godzinach przeglądania kart chorobowych jego pacjentów, zacząłem sobie tworzyć zawodowy wizerunek zamordowanego. Ten facet z pewnością nie był świętym.

Jego notatki z sesji terapeutycznych okazały się pobieżne, wręcz niedbałe i tak dwuznaczne, że niemal pozbawione znaczenia. Nie sposób było się z nich dowiedzieć, czym właściwie psychiatra bądź jego pacjent zajmowali się podczas czterdziestopięciominutowych sesji terapeutycznych. Dostrzegłem jedynie krótkie wzmianki na temat planów kuracji, a także prognozy oraz opis sytuacji stresogennych. To wszystko. Tylko te dane można było uznać za istotne pod kątem medycznym czy też psychologicznym. Wyjątkowo niestaranne notatki Handler sporządzał podczas ostatnich pięciu czy sześciu lat.

Z drugiej strony księgi rachunkowe prowadził w sposób drobiazgowy i szczegółowy. Jego honorarium było wysokie, okólniki wysyłane do dłużników – ostre.

Chociaż w ostatnich kilku latach Handler mniej rozmawiał z pacjentami i przepisywał więcej leków, nie podawał ich ani zbyt wiele, ani zbyt często. Różnił się w tym od Towle'a, lecz był prawdopodobnie równie kiepskim terapeutą.

Najbardziej zdenerwowała mnie jego skłonność – także coraz częstsza w ostatnich latach – do umieszczania przy notatkach na temat pacjentów złośliwych osobistych komentarzy. Niektórych nawet nie fatygował się formułować w żargonie medycznym; były to po prostu sarkastyczne, poniżające opinie o ludziach. „Ma zwyczaj na przemian pisać i głupio się uśmiechać” – napisał o pewnym starszym mężczyźnie z zaburzeniami emocjonalnymi. „Najprawdopodobniej nie jest zdolny do żadnych konstruktywnych działań” – określił innego. „Potrzebuje terapii jako rozrywki w swoim nudnym, nic nie znaczącym życiu”. „Ten facet to kompletne dno”. I tak dalej.

Do późnego popołudnia miałem już pełny, psychologiczny obraz Handlera. Ten człowiek zupełnie się wypalił i od dłuższego czasu zasilał legiony ludzi, którzy nie znosili swego zawodu. Może kiedyś zależało mu na pacjentach – wczesne akta wydawały się przyzwoite, jeśli nie natchnione – ale przed śmiercią nie miał już w sobie dawnego zapału. Prowadził jednak sesje terapeutyczne dzień po dniu, godzina po godzinie, nie chciał bowiem zrezygnować z sześciocyfrowego dochodu i związanych z nim korzyści.

Zadałem sobie pytanie, czym zajmował się Handler, kiedy jego pacjenci wylewali przed nim swoje żale. Marzył na jawie? Oddawał się fantazjom? Seksualnym? Finansowym? Sadystycznym? Planował, co zje na kolację? Dokonywał w myślach obliczeń? Liczył barany? Obliczał, ilu facetów cierpiących z powodu depresji potrafi zatańczyć na główce od szpilki?

Cokolwiek robił, z pewnością nie słuchał tych ludzi, którzy siedzieli przed nim i wierzyli, że ich los chociaż trochę obchodzi lekarza.

W tym momencie przypomniał mi się stary dowcip o dwóch psychiatrach, którzy spotykają się w windzie pod koniec dnia. Jeden z nich to młody człowiek, nowicjusz, wyraźnie wyczerpany: krawat ma przekrzywiony, włosy w nieładzie, ledwie stoi ze zmęczenia. Odwraca się i zauważa, że ten drugi, doświadczony lekarz, jest całkowicie opanowany: opalony, w świetnej formie, włosy uczesane, w klapie marynarki świeży goździk.

„Doktorze – pyta ten młody – proszę mi powiedzieć, jak pan to robi?”

„Co takiego, mój synu?”

„Siedzi pan godzinę po godzinie, dzień po dniu i wysłuchuje ludzkich problemów. Nie poruszają pana?”

„A kto ci powiedział, chłopcze, że ich słucham?” – odpowiada guru.

Zabawne. Chyba że bulisz dziewięćdziesiąt dolców za sesję u Mortona Handlera i otrzymujesz za swoje pieniądze przydomek „głupawo uśmiechniętego jęczy duszy” wpisany ukradkiem do twojej karty zdrowia.

Czyżby jeden z tak paskudnie opisanych mężczyzn odkrył skandal i zamordował wrednego doktora? Trudno mi było sobie wyobrazić człowieka, który dokonuje takiej rzezi na Handlerze i jego przyjaciółce z zemsty za upokarzającą notatkę na swój temat. Ale cóż, nigdy nie wiadomo. Wściekłość to niebezpieczna emocja. Czasami dusimy ją w sobie przez wiele lat, drzemie w nas stłumiona... i nagle budzi się z zupełnie błahego powodu. A wtedy zaczynamy szaleć.

Nie wierzyłem, by którykolwiek z pacjentów cierpiących na depresję lub schorzenia psychosomatyczne, których akta przeglądałem, potrafił to zrobić. Przede wszystkim jednak broniłem się przed myślą, że mógłbym mieć do czynienia z dwoma tysiącami potencjalnych podejrzanych.

Dochodziła siedemnasta. Wyjąłem z lodówki puszkę coorsa, zabrałem ją na balkon i położyłem się na leżaku ze stopami wspartymi na poręczy. Piłem i obserwowałem, jak słońce schodzi między korony drzew. Ktoś w okolicy słuchał punk rocka, który dziwnie pasował do mojego nastroju.

O siedemnastej trzydzieści zadzwoniła Robin.

– Cześć, skarbie. Chcesz przyjechać? Dają dziś Key Largo.

– Jasne – powiedziałem. – Mam przywieźć coś do jedzenia?

Zastanawiała się przez chwilę.

– Może hot dogi z chili? I piwo.

– Też mam ochotę na piwo. – Trzy zgniecione puszki po coorsach leżały na kuchennym kontuarze.

– Daj mi trochę czasu, kochana. Zobaczymy się około siódmej.

Milo dzwonił po raz ostatni o trzynastej trzydzieści – był wtedy w Bellflower, gdzie miał przesłuchać faceta, który napadł ze śrubokrętem na siedem kobiet. Przypadek ten w najmniejszym stopniu nie przypominał sprawy Handlera, ale mój przyjaciel wykonywał przecież różne zadania.

Zadzwoń do Wydziału Policji Zachodniego Los Angeles i zostawiłem dla Mila informację, że wychodzę wieczorem.

Potem zadzwoniłem do Bonity Quim. Oczekałem pięć sygnałów i kiedy nikt nie odebrał, odłożyłem słuchawkę.

Humphrey i Lauren sprawili się jak zwykle wspaniale. Po zakupionych w ich lokalu ostrych hot dogach niemal zialiśmy ogniem i byliśmy z siebie bardzo zadowoleni. Siedzieliśmy razem i przez jakiś czas słuchaliśmy Tala Farlowa i Wesa Montgomery’ego. Potem wzięłem jedną z, leżących w pracowni gitar i zagrałem dla Robin. Słuchała z zamkniętymi oczami i nieznacznym uśmiechem na ustach, potem łagodnie zdjęła moje ręce z instrumentu i przyciągnęła mnie do siebie.

Planowałem zostać na noc, lecz od dwudziestej trzeciej stawałem się coraz bardziej niespokojny.

– Coś się stało. Aleksie?

– Nic.

„Tylko mój zegarnik pcha mnie z powrotem do domu” – pomyślałem.

– Chodzi o tę sprawę, prawda?

Nie odpowiedziałem.

– Zaczynam się o ciebie martwić, skarbie. – Położyła głowę na mojej piersi. Miły ciężar. – Jesteś taki podenerwowany, odkąd Milo wciągnął cię w to bagno. Nie znałam cię, gdy pracowałeś, ale twoje obecne zachowanie kojarzy mi się z opowieściami o tamtych czasach.

– Stary Alex nie był taki zły – broniłem się.

Mądrze milczała.

– To nieprawda – poprawiłem się. – Stary Alex był nudziarzem. Obiecuję, że go nie ożywię.

– Zgoda. – Pocałowała mnie w czubek brody.

– Po prostu potrzebuję trochę czasu, żeby się uporać z tą sprawą.

– W porządku.

Kiedy się ubrałem, spojrzała na mnie z mieszaniną zmartwienia, bólu i zakłopotania. Zacząłem coś mówić, a wtedy odwróciła się ode mnie. Usiadłem na brzegu łóżka i wziąłem ją w ramiona. Tuliłem ją, aż w końcu otoczyła rękami moją szyję.

– Kocham cię – powiedziałem. – Daj mi tylko trochę czasu.

Mruknęła coś czule i mocniej się do mnie przytuliła.

Gdy wychodziłem, jej powieki drżały lekko w pierwszym nocnym śnie. Spała.

Do wczesnych godzin porannych przedarłem się przez sto dwudzieste akta z odłożonych na bok. Większość mężczyzn wyglądała na osobników niegroźnych. Dziewięćdziesięciu dziewięciu pacjentów cierpiało z powodu chorób fizycznych, a zadaniem Handlera była jedynie konsultacja specjalistyczna; współpracował wówczas z oddziałem psychiatrycznym w szpitalu Cedars-Sinai. U kolejnych dwudziestu mężczyzn rozpoznano schizofrenię, byli to wszakże starzy – średni wiek siedemdziesiąt sześć lat – pacjenci sanatorium, w którym pracował przez rok. Pozostała dziewiątka okazała się całkiem interesująca. Handler postawił im wszystkim diagnozę: „charakter psychopatyczny”. Nie bardzo już wierzyłem w fachowe umiejętności zamordowanego, uznałem wszakże, iż warto bliżej się przyjrzeć tym dziewięciu osobnikom.

Mężczyźni byli w wieku od szesnastu do trzydziestu dwóch lat. Akta większości z nich przekazała jedna z organizacji: Sąd dla Nieletnich. Zrzeszenie Młodzieży Kalifornijskiej, lokalne kościoły. Kilku miało już parokrotnie problemy z prawem. Przynajmniej trzech określono mianem „skłonnych do przemocy” – jeden z nich pobił swego ojca, drugi pchnął nożem kolegę ze szkoły, trzeci rozmyślnie potrącił samochodem osobę, z którą się pokłócił.

Grupka prawdziwych przyjemniaczków.

Nie zaskoczyło mnie, że żaden z nich nie uczestniczył w terapii zbyt długo. Psychoterapia nie ma zbyt wiele do zaoferowania osobie pozbawionej sumienia, zasad moralnych oraz – jakże często – chęci poprawy. W gruncie rzeczy psychopata już, z samej definicji ma stosunek lekceważący do nowoczesnej psychologii, zwłaszcza do łączącego się z nią egalitaryzmu i życiowego optymizmu.

Terapeuta powinien z góry zakładać, że każdy człowiek jest z gruntu dobry i stale pragnie się zmieniać na lepsze. Pogląd, że istnieją ludzie, których złego charakteru nie można wyjaśnić poprzez determinanty wrodzonej natury albo wychowania, stanowi atak na wrażliwość terapeuty. Psychopata stanowi dla psychologa i psychiatry podobny problem, jak dla lekarza człowiek cierpiący na raka w ostatnim stadium choroby: jest chodzącym i oddychającym dowodem medycznej bezsilności i klęski.

Ja sam zdawałem sobie sprawę z istnienia złych ludzi. Na szczęście spotkałem niewielu takich w swoim życiu. Przeważnie byli to młodociani, choć zdarzały się również małe dzieci. Szczególnie zapamiętałem pewnego chłopca. Nie ukończył jeszcze dwunastu lat, a już był cyniczny, zatwardziały i błyskał okrutnym uśmiechem, który spodobałby się skazanym na dożywocie więźniom San Quentin. Ów młody człowiek wręczył mi swoją wizytówkę – błyszczący prostokąt szokująco różowego papieru z nazwiskiem i podpisem: „Przedsiębiorstwo”.

Chłopiec rzeczywiście był przedsiębiorczy. Gdy zapewniłem go, że jestem zobowiązany do przestrzegania tajemnicy lekarskiej, zwierzył mi się dumnie z tuzina ukradzionych przez siebie rowerów i szeregu dokonanych włamań. Opowiedział mi też o nastoletnich dziewczynach, które uwiódł. Był z siebie bardzo zadowolony.

Młodzieniec ów stracił rodziców w katastrofie lotniczej. Miał wówczas cztery lata i od tej pory wychowywała go babcia, smutna istota, która przez cały ten czas zapewniała wszystkich wokół, również i samą siebie, że jej wnuczek jest w głębi w swej duszy dobrym chłopcem. Niestety, myliła się. Ten dzieciak był naprawdę zły. Kiedy go spytałem, czy pamięta swoją matkę, uśmiechnął się do mnie i odrzekł, że na zdjęciu, które widział, kobieta przypomina mu „kawał dupy za krzakiem”. Nie przejawiał w tym momencie postawy defensywnej. Był całkowicie szczery.

Im więcej czasu z nim spędzałem, tym bardziej się do niego zniechęcałem. Czuję się, jakbym obierał cebulę i stwierdzał, że każda następna warstwa jest bardziej zgniła niż poprzednia. To był z gruntu zły chłopak, nieuleczalnie zły, a w dodatku wiedziałem, że prawdopodobnie z wiekiem będzie się stawał jeszcze gorszy. Nic nie mogłem na to poradzić. Nie miałem wątpliwości, że mój podopieczny skończy w więzieniu. Był istotą kompletnie aspołeczną. Jeśli społeczeństwo będzie

miało szczęście, działalność chłopaka ograniczy się do oszustw. Jeśli nie, poleje się wiele krwi. Logika dyktuje, by uwięzić takiego osobnika i trzymać go w bezpiecznym miejscu, chroniąc przed nim resztę społeczeństwa. Niestety demokracja doradza coś zupełnie innego i – po głębszym namyśle – przyznałem, że to właściwe rozstrzygnięcie.

A jednak czasami myślałem o tym jedenastolatku i zastanawiałem się, czy któregoś dnia zobaczę jego nazwisko w gazetach.

Odłożyłem na bok dziewięć akt.

Odważyłem za Mila niezły kawał roboty.

Rozdział 10

Trzy dni pracy papierkowo-koncepcyjnej zupełnie wyczerpało mojego przyjaciela.

– Komputer się zagrzał od moich poleceń – lamentował, klapnąwszy na moją skórzaną sofę. – Każdy z tych drani wrócił do mamra, nie żyje albo ma alibi. Raport koronera nie wskazuje nam mordercy. To tylko sześć i pół strony krwawych szczegółów opisujących wszystko to, co wiedzieliśmy, gdy pierwszy raz zobaczyliśmy ciała: Handler i Gutierrez zostali posiekani niczym kiełbasiane mięso tuż przed wepchnięciem do flaka.

Przyniosłem Milowi piwo, które wypił dwoma długimi łykami. Podałem mu następne.

– Co z Handlerem? Masz o nim dodatkowe dane? – spytałem.

– Och, tak, twoje początkowe wrażenie wydaje się bardzo trafne. Facet rzeczywiście był na bakier z etyką. Tyle że to odkrycie nie prowadzi do żadnych dalszych wniosków.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Sześć lat temu, kiedy współpracował ze szpitalem jako konsultant, wybuchł tam mały skandal. Chodziło o oszustwo ubezpieczeniowe. Handler i kilku innych uprawiało pewien proceder. Wpadali na sekundę do gabinetu, witali pacjenta i wystawiali mu rachunek za pełną wizytę, która, jak mniemam, powinna trwać czterdzieści pięć albo pięćdziesiąt minut. Wpisywali notatkę w kartę chorobową i pędzili na następną wizytę. Jeden lekarz mógł w ten sposób zainkasować należność za trzydzieści, czterdzieści wizyt dziennie. Siedemdziesiąt, osiemdziesiąt dolców za wizytę. Oblicz sobie.

– Wcale nie jestem zaskoczony. Słyszałem już o podobnych przypadkach.

– Wierzę. Tak czy owak, wszystko się wydało. Syn jednego z pacjentów był lekarzem i gdy przeglądał kartę zdrowia ojca, jego podejrzenia wzbudziła liczba sesji psychiatrycznych. Szczególnie że stary człowiek był nieprzytomny od trzech miesięcy. Lekarz powiadomił dyrektora do spraw medycznych, który wezwał Handlera i pozostałych na dywanik. Szpital był skłonny przemilczeć sprawę pod warunkiem, że nieuczciwi psychiatrzy odejdą.

To było sześć lat temu. Właśnie wtedy notatki Handlera zrobiły się coraz bardziej sarkastyczne. Pewnie ciężko przeżył zmniejszenie swojego rocznego dochodu z czterystu tysięcy do marnej setki, na którą w dodatku musiał – w miarę uczciwie – zapracować. Trudno się dziwić pogłębiającej się w nim frustracji...

– Nie dostrzegasz tu motywu zbrodni?

– Jakiego? Zemsta? Czyja? Oszukano wówczas towarzystwa ubezpieczeniowe. Tylko dzięki temu proceder mógł trwać tak długo. Lekarze nigdy nie wystawiali rachunku pacjentowi, ale jego towarzystwu ubezpieczeniowemu. – Wypił łyk piwa. – Słyszałem wiele paskudnych opinii na temat

naszych ubezpieczalni, stary, nie wyobrażam sobie jednak, by wynajęły Kubę Rozpruwacza do pomszczenia ich honoru.

– Rozumiem, co masz na myśli.

Milo wstał i zaczął chodzić po pokoju.

– To cholerny przypadek. Minał już tydzień, a ja nie mam absolutnie nic. Kapitan mówi, że pewnie trzeba będzie sprawę zamknąć. Odsunął od sprawy Dela i zostawił mnie samego z całym tym bałaganem. Taka mordęga i żadnej nagrody w perspektywie.

– Jeszcze jedno piwko? – Wyciągnąłem ku niemu puszkę.

– A właściwie, dlaczego nie? Utopmy wszystkie smutki w pianie. – Obrócił się do mnie. – Wiesz, co ci powiem, Aleksie? Powiniennem zostać nauczycielem. Wietnam zostawił we mnie potężny uraz psychiczny. Rozumiesz? Tyle śmierci na nic... Sądziłem, że zostając gliniarzem, zdołam uleczyć w sobie ten uraz. Będę łapał złych facetów i nadam życiu sens. Jezu, ależ się myliłem!

Wyjął puszkę coorsa z mojej dłoni, przyłożył ją do ust i pociągnął potężny łyk; trochę piany spłynęło mu po podbródku.

– Widuję takie rzeczy... potworne krzywdy, które ludzie wyrządzają innym ludziom. W dodatku przyzwyczailem się do tego gówna. Czasami chce mi się od niego rzygać.

Przez kilka minut popijał piwo w milczeniu.

– Cholernie dobrze potrafisz słuchać. Aleksie. Pewnie byłeś prymusem na studiach.

– Przysługa za przysługę, przyjacielu.

– No tak. Wiesz, przypomniał mi się przypadek Hickle'a.

Też był gówniany. Nigdy nie wierzyłem, że facet popełnił samobójstwo. Ta sprawa śmierdziała na odległość.

– Nigdy mi tego nie mówiłeś.

– O czym tu gadać? Nie mam dowodów, tylko przeczucie. Zdarzają mi się. Niektóre rozgryzam do późnej nocy. Parafrazując Dela, mam przeczucia i dziesięciocentówkę.

Zgniół pustą puszkę kciukiem i palcem wskazującym. Przyszło mu to równie łatwo jak innym ludziom zgniecenie komara.

– Sprawa Hickle'a cuchnęła potężnie, ale nie miałem najmniejszych dowodów, więc ją umorzyłem. Takie sprawy są jak nieściągalne długie. Nikt nie oponował, nikogo nie obchodziło, co robię. Podobnie będzie, jeśli umorzę sprawę Handlera i Gutierrez. Ułożę starannie akta, owinę je, zapieczętuję i pocałuję na do widzenia.

Po kolejnych siedmiu piwach i pół godzinie tyrad i kazań wygłaszanych do samego siebie, Milo był kompletnie urżnięty. Padł na skórzaną sofę niczym B-52 z ładownią pełną bomb.

Zdjąłem mu buty i postawiłem obok niego na podłodze. Już miałem go zostawić w ten sposób, kiedy uprzytomniłem sobie, że zapadł mrok.

Zadzwoiłem do niego do domu. Odpowiedział mi głęboki, bardzo męski głos.

– Słucham.

– Dzień dobry, mówi Alex Delaware, przyjaciel Mila.

– Tak? – Dosłyszałem w głosie mężczyzny ostrożność.

– Psycholog.

– A tak. Milo mówił mi o tobie. Jestem Rick Silverman.

Doktor – idealny zięć, marzenie wszystkich matek! Poznałem wreszcie jego nazwisko.

– Dzwonię, aby cię powiadomić, że Milo zatrzymał się u mnie po pracy, aby podyskutować o sprawie, i trochę się... odurzył.

– Rozumiem.

Poczułem absurdalną potrzebę wyjaśnienia temu człowiekowi, że naprawdę nic mnie nie łączy z Milem, że jesteśmy jedynie dobrymi przyjaciółmi. Pohamowałem się jednak.

– Dokładnie rzecz biorąc, kompletnie się urżnął. Wypił jedenaście piw! Teraz śpi. Chciałem tylko, żebyś wiedział.

– To bardzo ładnie z twojej strony – oświadczył Silverman kwaśnym tonem.

– Jeśli sobie życzysz, obudzę go.

– Nie, nie, w porządku. Milo jest przecież dorosły. Może robić, co chce. Nie musi się przede mną tłumaczyć.

Miałem mu ochotę powiedzieć: „Słuchaj, ty niepewny, zepsuty dzieciuchu, właśnie oddałem ci przysługę, bo nie chciałem, żebyś się denerwował. Nie udawaj wrażliwego i oburzonego”. Po namyśle jednak zamiast wyrzutów, spróbowałem pochlebstwa.

– No cóż, pomyślałem sobie tylko, że cię powiadomię, Rick. Wiem, jak ważną osobą jesteś dla Mila, i przyszło mi do głowy, że gdyby mógł, na pewno by mnie poprosił, abym do ciebie zadzwonił.

– Och, dzięki. Naprawdę doceniam twoje wysiłki. – Bingo. – Proszę, wybaczyć mój ton. Właśnie wróciłem z całodobowego dyżuru.

– Nie ma sprawy. – Prawdopodobnie go obudziłem. – Iee, może spotkamy się kiedyś... Ty, Milo, ja i moja dziewczyna?

– Chciałbym tego, Aleksie. Naprawdę. Proszę, odeślij tego wielkiego paskudnika do domu, kiedy wytrzeźwieje, a wtedy dopracujemy szczegóły.

– Tak zrobię. Było mi miło. Do zobaczenia.

– Mnie również. – Westchnął. – Dobranoc.

Milo obudził się o dziewiątej trzydzieści. Minę miał straszną. Zaczął jęczeć i odwracać głowę z boku na bok. Zmieszałem dla niego w wysokiej szklance sok pomidorowy, surowe jajko, szczypię czarnego pieprzu i sos tabasco, potem pomogłem przyjacielowi wypić miksturę. Zakrztusił się, parsknął i otworzył oczy tak nagle, jakby piorun trafił go w kość ogonową.

Czterdzieści minut później wyglądał nie mniej okropnie, ale był boleśnie trzeźwy.

Odprowadziłem go do drzwi i wsunąłem pod pachę akta dziewięciu psychopatów.

– Poczytaj sobie przed snem, stary.

Potykając się i przeklinając, zszedł po schodach, potem dotarł do fiata, odszukał po omacku klamkę i jednym gwałtownym ruchem rzucił się na siedzenie. Po kilku próbach silnik zaskoczył.

Położyłem się do łóżka. Czytałem „Timesa”, oglądałem telewizję, chociaż, niech mnie diabli, nie bardzo potrafiłbym powiedzieć, co to było – chyba jakiś kryminał z kiepskimi dowcipami. Pamiętam trochę golizny i gliniarzy, którzy wyglądali jak modele na wybiegu. Przez kilka godzin rozkoszowałem się samotnością, później na chwilę skupiłem się na problemie morderstw, chciwości i chorych ludzkich umysłów, wreszcie zapadłem w sen.

Rozdział 11

– W porządku – powiedział Milo. Siedzieliśmy w sali przesłuchań Wydziału Policji Zachodniego Los Angeles. Trzy ściany pomieszczenia były w kolorze groszkowej zieleni, czwartą stanowiło jednostronne lustro weneckie. Z sufitu zwisał mikrofon. Pośrodku pokoju stał szary metalowy stół i trzy metalowe, składane krzesła. W powietrzu wisiał nieświeży zapach potu, kłamstwa i strachu; smród ludzi, którym odebrano godność.

Milo rozłożył na stole papierowe teczki. Podniósł pierwszą z nich.

– A oto, jak sobie radzi twoich dziewięciu wybrańców. Numer jeden. Rex Allen Camblin, siedzi w więzieniu Soiedad za napaść i pobicie. – Odrzucił teczkę na stół. – Numer dwa, Peter Lewis Jefferson, pracuje na ranczo w Wyoming. Miejsce pobytu potwierdzone.

– Biedne bydlę.

– To Fakt... Przyjemniaczek z tego faceta. Numer trzy, Darwin Ward... Nie uwierzysz! Studiował prawo na uniwersytecie stanowym w Pensylwanii.

– Psychopatyczny prawnik. Wcale mnie nie dziwi takie zestawienie.

Mój przyjaciel zachichotał i podniósł następną teczkę.

– Numeru cuatro... Uff... Leonard Jay Helsinger, pracuje przy budowie rurociągu na Alasce. Miejsce pobytu potwierdzone przez Departament Policji w Juneau. Piąty: Michael Penn, student na stanowym Uniwersytecie Kalifornijskim w Northridge. Porozmawiamy z nim. – Odłożył na bok akta Penna. – Szósty, Lance Arthur Shattuck, pracuje jako kucharz na luksusowej łodzi motorowej linii Cunard o nazwie „Helena”. Zgodnie z informacjami straży przybrzeżnej od sześciu tygodni pływa po Morzu Egejskim. Siódmy. Maurice Bruna, jest przedstawicielem działu sprzedaży firmy Presto Instant Print w Burbank. Kolejny kandydat do przesłuchania. – Akta Maurice’a Bruno spoczęły na te czce Penna. – Ósmy, Roy Longstreth, to farmaceuta sieci Thrifty’s Drug. Filia w Beverly Hills. Z tym też sobie pogawędzimy. I ostatni, choć nie mniej ważny od pozostałych, Gerard Paul Mendenhall, kapral armii Stanów Zjednoczonych. Stacjonuje w Tyler, stan Teksas. Miejsce pobytu potwierdzone.

Beverly Hills znajduje się bliżej Los Angeles niż Northridge czy Burbank, więc na początek skierowaliśmy się do Thrifty’s Drug. Budynek z cegły i szkła, w którym mieściła się filia, miał kształt sześcianu i stał przy Canon Drive na północ od Wilshire. Obok dostrzegłem butik z modnymi ciuchami i lodziarnię Haagen Dazs.

Milo ukradkiem okazał odznakę dziewczynie za szklanym kontuarem, która natychmiast sprowadziła kierownika, Mulata w średnim wieku. Mężczyzna zdenerwował się na nasz widok i chciał wiedzieć, czy Longstreth zrobił coś niezgodnego z prawem. W klasycznym policyjnym stylu mój przyjaciel udzielił wykrętnej odpowiedzi.

– Chcemy mu jedynie zadać kilka pytań.

Staralem się nie pokazać po sobie żadnych emocji. Na szczęście ów frazes wyraźnie zadowolili kierownika apteki.

– Nie ma go w tej chwili. Przychodzi o czternastej trzydzieści. Pracuje na drugiej zmianie.

– Wrócimy. Proszę nie uprzedzać swojego pracownika o naszej wizycie.

Wręczył mu swoją wizytówkę. Kiedy wychodziliśmy, mężczyzna ciągle ją studiował niczym mapę ukrytego skarbu.

Jazda do Northridge zachodnią autostradą San Buenaventura zajęła nam pół godziny. Kiedy dotarliśmy do kampusu uniwersytetu stanowego, skierowaliśmy się prosto do dziekanatu, gdzie Milo zdobył kopię rozkładu zajęć Michała Penna. Z tym rozkładem i zdjęciem z akt zlokalizowaliśmy naszego przyjemniaczka w dwadzieścia minut. Szedł z dziewczyną przez szeroki trójkątny trawnik.

– Pan Penn?

– Tak?

Był atrakcyjnym młodzieńcem średniego wzrostu, o szerokich ramionach i długich nogach. Jasnobrązowe włosy miał bardzo krótko przycięte. Nosił jasnoniebieską koszulę marki Izod, błękitne dżinsy, a na gołych stopach tanie mokasyny. Wiedziałem z jego teczki, że ma dwadzieścia sześć lat, wyglądał jednak najwyżej na dwadzieścia jeden. Przyjemna, gładka twarz, typowy młody Kalifornijczyk. Nie wyglądał na kogoś, kto rozmyślnie potrąca swego wroga pontakiem firebird.

– Policja. – Znowu odznaka. – Chcielibyśmy chwilę z panem porozmawiać.

– O czym? – Penn zmrużył orzechowe oczy i zacisnął usta.

– Wolelibyśmy pomówić na osobności.

Mężczyzna popatrzył na dziewczynę. Była młoda, najwyżej dziewiętnastoletnia, niska, ciemnoskóra, włosy miała przycięte stożkowato w stylu Dorothy Hamill.

– Poczekaj minutkę. Julie – rzucił Penn.

– Mike?...

– Tylko minutkę.

Zostawiliśmy ją na trawniku i poszliśmy na betonowy plac zabudowany kamiennymi stołami i ławami. Studenci kręcili się jak w kieracie. Niewielu stało w miejscu. Ten kampus był przeznaczony dla studentów wieczorowych i zaocznych. Wielu jego mieszkańców pracowało gdzieś na pół etatu, a studiowało w wolnym czasie. Dobrze miejsce, by zdobyć bakalaureat z informatyki

albo ekonomii, uprawnienia nauczycielskie lub też tytuł magistra w zakresie księgowości. Jeśli ktoś pragnie się podczas studiów

zabawić albo marzą mu się spokojne intelektualne debaty w cieniu porośniętego bluszczem dębu, niech zapomni o tej szkole.

Michael Penn wydawał się wściekły, lecz za wszelką cenę starał się ukryć gniew.

– Czego chcecie?

– Kiedy po raz ostatni widział pan doktora Mortona Handlera?

Odrzucił w tył głowę i roześmiał się. To był wstrząsający, pusty dźwięk.

– Ach, tego dupka? Czytałem o jego śmierci. Mała strata.

– Kiedy widział go pan po raz ostatni?

Penn uśmiechnął się z wyższością.

– Przed laty, panie policjancie. – Ostatnie słowo wypowiedział obelżywym tonem. – W czasach gdy poddawał mnie terapii.

– Wnoszę z tego, że nie miał pan o doktorze najlepszej opinii?

– O Handlerze? Przecież był psychiatrą. – Jakby to słowo coś wyjaśniało.

– Nie ma pan dobrego zdania o psychiatrach?

Młodzieniec wyciągnął ręce, dłońmi do góry.

– Słuchajcie, tamta sprawa była naprawdę zwykłą pomyłką. Straciłem po prostu panowanie nad kierownicą, a jakiś paranoik oświadczył, że próbowałem go zabić. Przymknęli mnie i osadzili. Dostałem wyrok w zawieszeniu pod warunkiem, że spotkam się kilka razy z psychiatrą. A Handler kazał mi wypełniać wszystkie te gówniane testy.

„Te gówniane testy” obejmowały Wieloaspektowy Profil Osobowościowy „Minnesota...oraz garść innych. Chociaż dalekie od ideału, testy te często ujawniały chorobę psychiczną. Z wyników „Minnesoty” [*Minnesota Multiphasic Personality Inventory (ang.) – najbardziej rozpowszechniony w USA test psychologiczny]”, jakie odnalazłem w aktach Penna, wynikało, że jest nieuleczalnym psychopata.

– Nie lubiłeś doktora Handlera?

– Pan to powiedział. – Penn obniżył głos, strzelając oczami na prawo i lewo. Był zaniepokojony i zdenerwowany. Pod maską ładnej twarzy czaiło się coś mrocznego i

niebezpiecznego. Handler nie pomylił się w swej diagnozie.

– A zatem go lubieś. – Milo bawił się młodym człowiekiem niczym chorągiewką na wietrze.

– Nie lubieł go i on mnie nie lubił. Nasze spotkania nie miały sensu. Nie jestem wariatem. I nie zabiłem go.

– Może pan powiedzieć, gdzie pan był w noc morderstwa?

– A kiedy zostało dokonane?

Milo podał mu datę i godzinę zbrodni.

Penn strzelił palcami i popatrzył gdzieś obok nas, jak gdyby koncentrował się na odległym celu.

– A tak, oczywiście. Całą noc spędziłem z moją dziewczyną.

– Z Julie?

Roześmiał się.

– Z nią? No nie, spotykam się z dojrzałą kobietą, panie policjancie. Kobieta w pełnym znaczeniu tego słowa. – Zmarszczył czoło. Z jego oblicza zniknęło kołtuńskie zadowolenie, a w jego miejsce pojawiła się kwaśna mina. – Będziecie musieli z nią porozmawiać, prawda?

Milo skinął głową.

– Spieprzycie mi w ten sposób pewne sprawy.

– Ależ. Mike, to naprawdę fatalnie! – zakpił mój przyjaciel.

Penn rzucił mu nienawistne spojrzenie, natychmiast jednak przywołał na oblicze wyraz uprzejmości i niewinności. Potrafił grać twarzą niczym talią kart. Tasował, zmieniał rysy, wymyślał co sekunda nowe miny.

– Niech pan posłucha, panie policjancie, tamten incydent dawno już poszedł w niepamięć. Teraz pracuję, studiuję... Za sześć miesięcy kończę naukę. Niech mi pan nie paprze życia tylko dlatego, że moje nazwisko znajduje się w aktach Handlera.

Uosobienie czystej, szczerzej niewinności.

– Będziemy musieli potwierdzić pańskie alibi, Mike.

– W porządku, zróbcie to, proszę bardzo. Ale nie mówcie jej zbyt wiele, dobra? Tylko tyle, ile trzeba. Proszę.

Z pewnością postanowił zmyślić jakąś historyjkę na użytek przyjaciółki. Niemal widziałem, jak

pod wysokim opalonym czołem mężczyzny szaleńczo pracują chore trybiki.

– Jasne, Mike. – Milo wyjął ołówek i postukał nim w wargę.

– Sonya Magary. Właścicielka „Puff n’ Stuff”. To butik dla dzieci przy Plaža de Oro w Encino.

– Pamięta pan może jej numer telefonu? – spytał grzecznie Milo.

Penn zacisnął usta i podał numer.

– Zadzwonimy do niej. Mike. Proszę jej nie uprzedzać, dobrze? Cenimy sobie spontaniczność. –

Milo odłożył ołówek i zamknął notes. – Zatem, miłego dnia.

Penn przeniósł spojrzenie ze mnie na mojego przyjaciela, potem z powrotem na mnie. Jak gdyby szukał sojusznika. Następnie wstał z ławki i odszedł długimi, sprężystymi krokami.

– Mike! – zawołał Milo.

Odwrócił się.

– Jaka jest pańska specjalizacja?

– Studiuję marketing.

Kiedy opuszczaliśmy miasteczko akademickie, jeszcze raz dostrzegłem Penna. Szedł z Julie. Jej głowa spoczywała na jego ramieniu, on czule obejmował jej talię. Uśmiechał się do niej i bardzo szybko o czymś opowiadał.

– Co o nim myślisz? – spytał Milo, kiedy usiadł za kółkiem.

– W tej sprawie jest prawdopodobnie niewinny, ale założę się, że ma na sumieniu sporo grzeszków. Wyraźnie mu ulżyło, gdy się dowiedział, po co przyszliśmy.

Mój przyjaciel pokiwał głową.

– Zgadzam się. Ale cóż, do diabła! O jego grzeszki niech się martwi ktoś inny.

Wróciliśmy na autostradę i skierowaliśmy się na wschód. Milo zjechał w Sherman Oaks, znalazł mały francuski lokalik na San Buenaventura obok Woodman. Zjedliśmy tam lunch. Mój przyjaciel skorzystał z automatu telefonicznego i zadzwonił do Sonyi Magary. Wrócił do stolika, potrząsając głową.

– Ta kobieta go kocha. „Ten drogi chłopiec, ten słodki chłopiec, mam nadzieję, że nie ma kłopotów”. – Naśladował szorstki węgierski akcent. – Potwierdziła, że był z nią w interesująca, nas noc. Z jej słów wywnioskowałem, że jest z Penna bardzo dumna. Jeszcze chwila, a opowiedziałyby mi ze szczegółami o ich życiu seksualnym.

Potrząsnął głową i zabrał się za stosik gotowanych na parze małży.

Roya Longstretha spotkaliśmy, gdy wysiadał z toyoty na parkingu przed Thrifty's Drug. Był niewysokim mężczyzną o wąłym wyglądzie, łzawych, błękitnych oczach i cofniętym podbródku. Przedwcześnie wyłysiały, resztki włosów na skroniach zostawił długie; zwisały mu nad uszami, więc wyglądał jak zakonnik, który medytował zbyt długo i przestał o siebie dbać. Mysi brązowy wąsik porastał mu górną wargę. Longstreth nie miał w sobie nic z brawury Penna, ale w jego oczach dostrzegłem to samo zdenerwowanie.

– Tak? Czego chcecie? – zapytał piskliwym głosem, gdy Milo jak zwykle pokazał mu odznakę i przedstawił się. Mężczyzna popatrzył też na zegarek.

Gdy się dowiedział, o co chodzi, niemalże się rozplakał. Nie zachowywał się jak typowy psychopata. Chyba że udawał. Nie sposób przewidzieć, jakie sztuczki te kreatury potrafią wymyślić w momencie zagrożenia.

– Kiedy przeczytałem o jego śmierci, od razu wiedziałem, że do mnie przyjdziecie. – Małeńki wąsik zadrżał jak gałązka podczas burzy.

– Dlaczego. Roy?

– Z powodu jego opinii na mój temat. Handler określił mnie przed moją matką mianem psychopaty. Powiedział, żeby mi nie ufała. Pewnie moje nazwisko widnieje na jakiejś liście świrów, zgadza się?

– Proszę nam powiedzieć, gdzie pan był w noc zabójstwa?

– Wiedziałem, że to będzie pierwsza rzecz, o którą mnie spyacie... Kiedy przyjdziecie i będziecie mnie przesłuchiwać.

Natychmiast się zastanowiłem nad tamtą nocą. Nawet sobie zapisałem: „Roy, pamiętaj, że byłeś tamtej nocy w kościele”. Więc kiedy do mnie przyjdziecie i zapytacie, gdzie byłem, będę wiedział, ponieważ...

Potrafił zapewne paplać w tym stylu godzinami, ale Milo bezceremonialnie mu przerwał.

– W kościele? Jest pan religijny?

Longstreth roześmiał się, po czym szybko i ze strachem stłumił śmiech.

– Nie, nie. Nie modłę się. Biorę udział w spotkaniach grupy „Samotni z Zachodniego Wybrzeża” przy kościele prezbiteriańskim w Bel Air... Uczęszczał tam niegdyś Ronald Reagan.

– Był w grupie samotnych?

– Nie, nie, chodził do tego kościoła. Był wierzący, zanim został wybrany i...

– Dobrze. Roy. Byłeś na spotkaniu grupy samotnych. Od której do której?

Widząc, że Milo robi notatki, Longstreth zdenerwował się jeszcze bardziej. Zaczął się kręcić niczym marionetka w rękach sparaliżowanego lalkarza.

– Od dwudziestej pierwszej do pierwszej trzydziści... Zostałem do końca. Pomagałem sprzątać po spotkaniu. Mogę panom nawet powiedzieć, co podano. Guacamole, nachos, dzbanek francuskiego wina, krewetki w sosie i...

– Z pewnością widziało tam pana wiele osób?

– Jasne – odparł, po czym dodał: – Właściwie... nie rozmawiałem za bardzo z ludźmi. Trochę pomagałem, zaglądałem do barku. Widziałem mnóstwo osób, ale nie wiem, czy któraś z nich będzie... mnie pamiętała. – Jego głos ścichł do szeptu.

– No, lepiej niech pan sobie kogoś przypomni.

– Chyba że... Nie... Ależ tak... pani Heatherington. To starsza osoba. Ochotniczo działa w kościele. Sprzątała razem ze mną. I podawała jedzenie... Mogę panom nawet powiedzieć, o czym rozmawialiśmy. O kolekcjonerstwie... Ona zbiera dzieła Normana Rockwella, a ja Icarta.

– Icarta?

– No, ryciny Art Deco.

Prace Louisa karta sporo obecnie kosztowały. Zastanawiałem się, skąd farmaceuta bierze pieniądze na tak drogie dzieła sztuki.

– Matka dała mi jedną, kiedy miałem szesnaście lat, i one... – przez chwilę szukał właściwego słowa – ...urzekły mnie. Mama daje mi je na urodziny, kilka zdobyłem sam. Wiecie? Doktor Handler również je kolekcjonował. To... – Zamilkł nagle.

– Och, naprawdę? Pokazywał panu swoją kolekcję?

Longstreth energicznie potrząsnął głową.

– Nie. Miał jedną rycinę w biurze. Zauważyłem ją i zaczęliśmy rozmawiać. Później jednak wykorzystał to przeciwko mnie.

– Jak to?

– Oceniał mnie z punktu psy... Wiecie na pewno, że sąd wysłał mnie do niego, gdy zostałem przyłapany na... – popatrzył nerwowo na budynek Thrifty's Drug – ... na kradzieży w sklepie. – Łzy wypełniły mu oczy. – Na litość boską, wziąłem tylko tubkę kleju kauczukowego u Searsa. No i mnie schwytali! Myślałem, że matka spali się ze wstydu. Martwiłem się, że dowiedzą się o tym moi wykładowcy na School of Pharmacy... To było okropne!

– W jaki sposób Handler wykorzystał przeciwko panu informację, że kolekcjonuje pan dzieła

Icarta? – spytał Milo cierpliwie.

– Dał wszystkim do zrozumienia... Niby nic takiego nie powiedział, ale wyraził tę opinię w taki sposób, że wszyscy wiedzieli, co miał na myśli. A równocześnie łatwo mógł się wyprzeć, ponieważ właściwie nigdy nie oświadczył jasno i wyraźnie, że...

– Że co, Roy?

– Że chciałem go przekupić. Że próbowałem go przekupić jedną czy dwiema rycinami... Nawet wymienił tytuły tych, które mu się podobały... Że może napisałby wtedy życzliwy raport.

– A próbował pan?

– Czego? Przekupstwa? Nigdy w życiu. To byłoby nieuczciwe!

– Czy Handler wspominał panu o tej sprawie?

Longstreth ostentacyjnie oglądał sobie paznokcie.

– Mówiłem wam, że nie potrafiłbym mu tego udowodnić. Po prostu powiedział, że jestem przypadkiem pogranicznym.. Osobowość nie do końca psychopatyczna czy coś... a także zwyczajne stany lękowe. Mówił, że moja choroba może się rozwinąć w którymś z tych dwóch kierunków. W końcu jednak powiedział mojej matce, że jestem psychopatą.

Mizerna twarz mężczyzny wykrzywiła się z wściekłości.

– Cieszę się, że ten drań nie żyje! Tak, mówię to panom wprost! Dokładnie tak sobie pomyślałem w pierwszej chwili, gdy przeczytałem notkę w gazecie.

– Ale nie zabił pan doktora Handlera.

– Oczywiście, że nie. Nie umiałbym zabić. Uciekam od zła, ponieważ go nie pojmuję!

– Porozmawiamy z panią Heatherington.

– O tak! Spytajcie ją o imchos i o wino. Sądzę, że to był mocny francuski burgund. I jeszcze podawano poncz owocowy, w którym pływały plasterki pomarańczy. W kryształowej czarze. A pod koniec jedna z pań wymiotowała na podłogę. Czyściłem to mopem...

– Dzięki. Roy. Możesz już iść.

– Tak, pójdę.

Odwrócił się jak robot i odszedł. Przypatrywałem się jego szczupłej sylwetce w krótkim aptekarskim kitlu, aż zniknęła w Thrifty's Drug.

– Ten facet wydaje ludziom leki?– spytałem Milo z niedowierzaniem.

– Rzeczywiście powinno się umieścić jego nazwisko w jakiejś kartotece wariatów. – Milo włożył do kieszeni notes i poszliśmy do samochodu. – Wygląda ci na psychopatę?

– Nie, chyba że jest najlepszym aktorem na świecie. Schizofrenik, pełen zahamowań. Ale psychopata? Z pewnością nie.

– Niebezpieczny?

– Kto wie? Narażony na wielki stres, może wybuchnąć. Jednak bardziej prawdopodobne, że zamknąłby się w sobie. Wiesz, jaki to typ? Wiecznie skulony na łóżku, zabawia się sam ze sobą i schnie. Trwa w ten sposób przez dziesiątki lat, póki mamusia poprawia mu poduszki.

– Jeśli ta opowieść o Icartach była prawdziwa, dowiedzieliśmy się jeszcze czegoś o naszej kochanej ofierze.

– O Handlerze? Prawdziwy z niego doktor Schweitzer, co?

– Istotnie – zgodził się ze mną Milo. – Najwyraźniej temu facetowi wielu życzyło śmierci.

Dotarliśmy do kanionu Coldwater, zanim natknęliśmy się na korek wracających z pracy w centrum do domów w Valley. W Burbank byliśmy około szesnastej trzydzieści.

Przedsiębiorstwo Presto Instant Print mieściło się w jednym z dziesiątków szarych, betonowych gmachów, które – niczym ogromne nagrobki – wypełniały teren fabryczny w pobliżu lotniska w Burbank. W powietrzu unosił się zapach odpadów toksycznych. Ostre ryki odrzutowców co jakiś czas rozdzierały niebo. Zamyśliłem się nad życiowymi oczekiwaniami mieszkańców tego miasteczka.

Maurice Bruno awansował od czasu, gdy opracowywano jego akta. Teraz pełnił funkcję wiceprezesa odpowiedzialnego za sprzedaż. Poza tym był nieosiągalny, jak nam powiedziała jego sekretarka, smukła brunetka o łukowatych brwiach i ustach stworzonych do wypowiedzania słowa „nie”.

– W takim razie chciałbym porozmawiać z jego szefem – warknął Milo i podsunął jej pod nos odznakę. Obu nam było gorąco, odczuwaliśmy zmęczenie i zniechęcenie. Z pewnością nie mieliśmy ochoty tkwić zbyt długo w takim miejscu jak Burbank.

– Czyli z panem Gershmanem – oświadczyła poważnym, zamyślonym tonem.

– Tak, chcielibyśmy się z nim spotkać.

– Chwileczkę.

Odeszła i wróciła z bliźniaczo podobną do siebie dziewczyną o blond włosach.

– Jestem sekretarką pana Gershmana – obwieściła uroczyście blondynka.

Uznałem, że w powietrzu naprawdę muszą się unosić jakieś trujące opary, powodujące

uszkodzenie mózgu, w wyniku czego ludzie wygłaszają banalne stwierdzenia z niezwykle powagą i namaszczeniem.

Milo głęboko zaczerpnął oddechu.

– Chcielibyśmy porozmawiać z panem Gershmanem.

– Mogę spytać, w jakiej sprawie?

– Nie, nie może pani. Proszę nas zaprowadzić do swojego szefa.

– Dobrze, proszę pana. – Obie sekretarki popatrzyły na siebie, potem brunetka wcisnęła brzęczyk, a blondynka poprowadziła nas przez podwójne szklane drzwi do ogromnej hali produkcyjnej zastawionej maszynami, które cięły, stemplowały, chwytaly i smarowały. Kilka osób kręciło się wzdłuż tych wściekłych stalowych potworów. Pracownicy wyglądali na oglupiałych; przez otwarte usta wdychali wyziewy, które cuchnęły alkoholem i acetonem. Sam hałas wystarczył, by zabić.

Dziewczyna skręciła nagle w lewo, prawdopodobnie z nadzieją, że nas zgubi, na szczęście dotrymaliśmy jej kroku, podążając za jej rozkołysanymi pośladkami, aż dotarliśmy do kolejnych podwójnych drzwi. Blondynka pchnęła je i weszła. Milo musiał się rzucić naprzód, by je chwycić. Krótki korytarzyk, kolejne drzwi i znaleźliśmy się w ciszy tak idealnej, że wręcz przytłaczającej.

Apartament dyrektorów Presto Instant Print wyglądał jak z innej planety. Plusz, wysokie po kostki śliwkowej barwy dywany, w których zatapiały się stopy, ściany obite prawdziwym włoskim orzechem. Na wielkich drzwiach z tego samego drewna widniały nazwiska; mosiężne litery gustownie umieszczono pośrodku. I wszędzie panowała cisza.

Dziewczyna zatrzymała się na końcu korytarza, przed wyjątkowo dużymi drzwiami ze szczególnie ozdobnymi złotymi literami...Arthur M. Gershman, Prezes”. Wpuściła nas do poczekalni wielkości przeciętnego mieszkania i wskazała krzesła, które wyglądały – tak samo się na nich poczuliśmy – jak niedopieczone ciasto chlebowe. Później usadowiła się za biurkiem – pleksiglasowo-palisandrowym tworem nie przesłaniającym jej nóg – wcisnęła guzik na konsolce, której nie powstydziliby się Centrum Kontroli Lotów NASA, poruszyła lekko ustami, skinęła głową i znowu wstała.

– Pan Gershman spotka się z panami.

Wewnętrzne sanktuarium wyglądało dokładnie tak, jak się spodziewałem: rozmiaru katedry, umeblowane przedmiotami ze stronic „Architectural Digest”, łagodnie oświetlone i wygodne, choć równocześnie mało przytulne, by gość nie zechciał pozostać w nim zbyt długo. Najbardziej jednak zaskoczył mnie mężczyzna za biurkiem.

Ubrany był w spodnie khaki i biały pognieciony podkoszulek z krótkim rękawem. Na nogach miał tenisówki, a ponieważ stopy oparł na biurku, natychmiast zauważyłem dziury w podszewkach. Prezes liczył sobie około siedemdziesięciu pięciu lat, był łysy i brzuchaty. Nosił okulary, w których jeden z boków oprawki zlepiono taśmą klejącą.

Kiedy weszliśmy, rozmawiał właśnie przez telefon.

– Poczekaj chwilę. Lenny. – Podniósł oczy. – Dzięki. Denise. – Blondynka zniknęła. – Poczekajcie chwileczkę, panowie. Usiądźcie i obsłużcie się – powiedział do nas, po czym wskazał świetnie zaopatrzone barek, który zajmował połowę jednej ze ścian.

– W porządku, Lenny, mam tu gliny, muszę kończyć. Tak, gliny. Nie wiem, chcesz ich zapytać? Ha, ha, ha. Tak, na pewno im przekażę, stary draniu. Opowiem im, co zrobiłeś w Palm Springs, gdy byliśmy tam ostatnim razem. Tak, duże zamówienie. Trzysta tysięcy tekturowych podkładek i papierowych teczek ze zszywkami. Tak, chodzi o teczki. Mam tyle. Dostarczę ci w dwa tygodnie. Co? Nie opowiadaj takich rzeczy. – Mrugnął do nas. – Proszę bardzo, idź do kogoś na miejscu i porównaj. Nie wystarczy miesiąc czy dwa, by mnie wyrzucić z interesu. Myślisz, że zależy mi na jednym głupim zamówieniu? Wszystko sprowadza się do Wuja Sama, Shirley i mojego księcia pana syna, który jeździ niemieckim samochodem. He, he, he. BMW. Za moje pieniądze! Taaa... Chyba ci się coś wymyka spod kontroli. Dziesięć dni? – Drugą ręką wykonał nieprzyzwoity gest onanisty i uśmiechnął się do nas. – Pieprz się, Lenny. Byle blisko drzwi, żeby nikt nie widział. Dwanaście dni, dobra? Dwanaście. W porządku. Muszę kończyć, słyszałeś, kogo mam u siebie. Mogą mnie w każdej chwili odciąć. Do widzenia, stary.

Mężczyzna rzucił słuchawkę, po czym podskoczył jak rozwinięta sprężyna.

– Artie Gershman.

Wyciągnął poplamioną atramentem dłoń. Najpierw uściśnął ją Milo, później ja. Była twarda jak granit i pełna zgrubień.

Starzec usiadł ponownie i zarzucił stopy na blat biurka.

– Przepraszam za zwłokę. – Zachowywał się swobodnie. Wiedziałem, że automaty w typie Denise zapewniają takim ludziom prywatność. – Człowiek zajmuje się kasynami, a tamtym się zdaje, że mogą sobie żądać, co im się żywnie podoba. To motłoch, wiecie... Po co, do cholery, gadam takie rzeczy, przecie jesteście gliniarzami, znacie się na swojej robocie, no nie? Co mogę dla was zrobić, panowie policjanci? Wiem, że nie radzimy sobie ze sprawami parkingowymi. Jeśli poskarżył się na mnie ten drań z Chemco, który parkuje obok mnie, to niech go wezmą wszyscy diabli, bo to jego meksykańskie panie wiecznie zajmują moje miejsce na parkingu... Powinniście również sprawdzić, ile z nich przebywa legalnie w kraju... Jeśli ten facet mnie wyzywa, będzie miał wojnę, ale to nie będzie dla niego przyjemna potyczka.

Przerwał, by zaczerpnąć oddechu.

– Nie chodzi o parkowanie.

– Nie? W takim razie o co?

– Chcemy porozmawiać z panem Maurice'em Bruno.

– Z Morrym? Morry jest w Vegas. Prowadzimy tam wielkie interesy: z kasynami, motelami

i hotelami. Proszę. – Otworzył szufladę biurka i rzucił nam garść reklamówek. Dostrzegłem na nich większość znanych mi nazw.

Milo zatrzymał sobie kilka.

– Kiedy wróci?

– Za kilka dni. Pojechał dwa tygodnie temu. Będzie się zajmować zbytem – najpierw Tahoe, potem Reno, końcówka w Vegas. Pewnie zabawi tam trochę. To delegacja, wrzuci się wszystko w koszty. Kto by się przejmował rachunkami, skoro Morry jest naprawdę niesamowitym sprzedawcą.

– Myślałem, że pełni funkcję wiceprezesa.

– Tak, wiceprezesa odpowiedzialnego za sprzedaż. Czyli jest sprzedawcą z eleganckim tytułem, dodatkową pensją, ładniejszym biurem... Co sądzicie o tym pomieszczeniu? Wygląda, jakby przystroił je jakiś pedał, no nie?

Zerknąłem na twarz Mila, szukając jakichś emocji, mój przyjaciel zachował jednak kamienne oblicze.

– Dokonała tego moja żona. A kiedyś było tu tak miło. Wszędzie leżały papiery, stało parę krzeseł, ściany były białe... normalne białe ściany, przez które można było usłyszeć dochodzący z fabryki hałas i przynajmniej wiedziałem, co się wokół dzieje. Teraz otacza mnie śmiertelna cisza. Tak to jest, kiedy facet bierze sobie drugą żonę. Pierwsza żona go opuściła, a druga zamierza go zmienić w kogoś zupełnie innego.

– Jest pan pewny, że pan Bruno jest w Las Vegas?

– Dlaczego nie mam być pewny? Gdzie indziej mógłby pojechać?

– Jak długo pan Bruno tu pracuje, panie Gershman?

– A co to za pytania? Chodzi o tę działalność na rzecz dzieci?

– Nie. Chcemy po prostu z nim porozmawiać o pewnym prowadzonym przez nas dochodzeniu w sprawie zabójstwa.

– Zabójstwa? – Gershman podniósł się z krzesła. – Morderstwo? Morry Bruno? Pan żartuje. To skarb, nie człowiek!

Skarb, za którym ciągnie się mały smrodek.

– Jak długo dla pana pracuje?

– Niech no pomyślę... półtora roku, może dwa.

– I nie miał pan z nim problemów?

– Problemów? Przecież mówię, że to skarb. Gdy do mnie przyszedł, nie miał pojęcia o biznesie, ale czułem, że robię dobry interes. Świetny sprzedawca. Przebił wszystkich pozostałych... nawet starych wyjadaczy... w ciągu czterech miesięcy. Solidny, towarzyski, żadnych kłopotów.

– Wspomniał pan o dzieciach. Czy pan Bruno jest rozwiedziony?

– Owszem – potwierdził Gershman smutno. – Jak my wszyscy. Nawet mój synalek. Mężczyźni zbyt łatwo dzisiaj ustępują kobietom.

– Rodzina mieszka tu, w Los Angeles?

– Nie. Żona, dzieci... chyba trójka... wrócili na Wschód. Do Pittsburga albo Cleveland, w każdym razie do jakiegoś miasta bez dostępu do oceanu. Morry tęsknił za nimi, często o tym mówił. Dlatego właśnie zgłosił się na ochotnika do „La Casa”.

– „La Casa”?

– „La Casa de los Ninos”. Dom dziecka w Malibu. Morry spędza tam weekendy, społecznie zajmuje się dziećmi. Dostał nawet dyplom. Chodźcie, pokażę wam.

Biuro Bruna okazało się cztery razy mniejsze od gabinetu Gershmana, lecz jego wystrój był identyczny – ten sam eklektyczny, elegancki styl. W pomieszczeniu panował nadzwyczajny porządek, co mnie nie zaskoczyło, skoro Bruno spędzał większość czasu w rozjazdach. Gershman wskazał wiszącą na ścianie obramowaną tabliczkę, otoczoną ze wszystkich stron kilkoma dyplomami i świadectwami „dla najlepszego sprzedawcy”.

– Widzicie... „Przyznano Maurice’owi Bruno w uznaniu jego zasług w ochotniczej służbie pomocy bezdomnym dzieciom z „La Casa de los Ninos”. I tak dalej. Powiedziałem wam, że ten człowiek to skarb.

Na tabliczce widniały podpisy burmistrza jako honorowego świadka oraz dyrektora domu dziecka, Wielebnego Augustusa J. McCaffreya. Kwieciste litery wryto kaligraficznie. Bardzo imponująca pamiątka.

– Wspaniała – oświadczył Milo. – Wie pan, w którym hotelu zatrzymał się pan Bruno?

– Zwykle zatrzymywał się w MGM, ale od czasu pożaru... Nie wiem. Wróćmy do biura i dowiedzmy się.

Gdy znaleźliśmy się ponownie w jego wspaniałym gabinecie, Gershman podniósł słuchawkę, wcisnął interkom i warknął do słuchawki:

– Denise, gdzie Morry się zatrzymuje w Vegas? Sprawdź to.

Pół minuty później interkom zabrzączał.

– Tak? Dobrze. Dzięki, kochana. – Odwrócił się do nas. – W „Palace”.

– W „Caesar’s Palace”?

– Tak. Chcecie, żebym tam zadzwonił i kazał się połączyć z Morrym?

– Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu. Proszę obciążyć rozmową Departament Policji.

– Eee tam! – Stary prezes zamachał ręką. – Sam zapłacę. Denise, zadzwoń do „Caesar’s Palace”, niech dadzą Morry’ego do telefonu. Jeśli go nie ma, zostaw mu wiadomość. Niech zadzwoni do...

– Detektywa Sturgisa. Wydział Policji Zachodniego Los Angeles.

Gershman powtórzył dziewczynie namiary Mila.

– Nie uważacie chyba Morry’ego za podejrzanego, prawda? – spytał, odkładając słuchawkę. – Ma być tylko świadkiem, zgadza się?

– Naprawdę nie możemy tego powiedzieć, panie Gershman. – Milo zrobił tajemniczą minę.

– Nie mogę w to uwierzyć! – Gershman klepnął się dłonią w głowę. – Podejrzewać Morry’ego o morderstwo! Faceta, który w weekendy zajmuje się obcymi dziećmi... Odkąd tu pracuje, na nikogo nie podniósł głosu... Pochodźcie i rozpytajcie, dam wam zezwolenie. Znajdźcie kogoś, kto powie złe słowo o Morrym Bruno, a zjem własne biurko!

Przerwał mu brzęczyk interkomu.

– Tak, Denise. O co chodzi? Jesteś pewna? Może to pomyłka. Sprawdź jeszcze raz. Potem zadzwoń do „Aladdina” i do „Sandsa”. Może zmienił plany.

Starzec odłożył słuchawkę. Miał poważną minę.

– Nie ma go w „Palace” – wygłosił to stwierdzenie ze smutkiem i lękiem osoby, której ktoś burzy spokojne i przyjemne życie.

Maurice’a Bruna nie było w „Aladdinie” ani w „Sandsie”, ani w żadnym innym z głównych hoteli Las Vegas. Po kilku minutach sekretarka Gershmana dowiedziała się również, że Bruno nie leciał z Los Angeles do Las Vegas żadną z linii lotniczych.

– Poproszę w takim razie o jego adres domowy i numer telefonu.

– Dostanie go pan od Denise – powiedział Gershman.

Gdy wychodziliśmy, siedział samotnie w swoim wielkim biurze, opierając obwisły podbródek na dłoniach i marszcząc brwi. Skojarzył mi się ze starym, zmęczonym życiem bizonem, który zbyt wiele lat spędził w ogrodzie zoologicznym.

Bruno mieszkał w Glendale, około dziesięciu minut drogi od Presto Instant Print. Jechaliśmy tam jednak znacznie dłużej ze względu na wielki korek na autostradzie od Burbank aż do Pasadeny – spowodowała go wieczorna godzina szczytu i wypadek, który zdarzył się na zachód od hollywoodzkiego Golden State. W chwili gdy zjeżdżaliśmy przy Brand, zrobiło się już ciemno. Obaj byliśmy w podłych nastrojach.

Milo skręcił na północ i ruszyliśmy ku górą. Dom Bruna mieścił się na końcu ślepej bocznej uliczki Armelita, oddalonej o osiemset metrów od końca bulwaru. Budynek był mały, jednopiętrowy, w stylu pseudotudorskim, usytuowany za starannie przyciętym, kwadratowym trawnikiem oraz cisowym żywopłotem, przełykanym krzewami jałowca. Przy wejściu rosły dwie wysokie tuje amerykańskie. Pomyślałem, że dom nie pasuje do kawalera, który lubi się zabawiać w Las Vegas, potem jednak przypomniałem sobie słowa Gershmanna na temat rozwodu. Prawdopodobnie Bruno mieszkał tu wcześniej z rodziną, zanim żona porzuciła go i wyjechała wraz z dziećmi.

Milo kilka razy zadzwonił do drzwi, następnie mocno zastukał. Kiedy nikt nie odpowiedział, wrócił do samochodu i zadzwonił na posterunek policji Glendale. Dziesięć minut później zatrzymał się w pobliżu wóz patrolowy, z którego wysiadło dwóch policjantów w cywilu. Obaj byli wysocy, muskularni, jasnowłosi i nosili szpeceniaste słomiane wąsy. Podeszli do nas kołysząc się krokiem charakterystycznym dla gliniarzy i pijaków, którzy bardzo starają się wyglądać na trzeźwych, wymienili z Milem parę zdań i wezwali przez radio posiłki.

Ulica była cicha i wydawała się opuszczona. Nadal tak wyglądała, gdy pod dom Maurice'a Bruna podjechały trzy dodatkowe samochody patrolowe oraz nie oznakowany dodge. Policjanci odbyli krótką naradę. Przypominała „czas”, który bierze trener w trakcie meczu koszykówki. Następnie wyjęli z kabur pistolety. Milo jeszcze raz nacisnął dzwonek, odczekał minutę, po czym otworzył kopniakiem frontowe drzwi. Policjanci wpadli do środka.

Zostałem na zewnątrz. Obserwowałem i czekałem. Wkrótce usłyszałem odgłosy krztuszenia się i powstrzymywanych torsji i nagle z budynku zaczęli po kolei wybiegać policjanci, zatykając sobie nosy. Zatrzymali się na trawniku – jeden wyjątkowo porządny dotarł aż do jałowców – i wymiotowali. Kiedy skończyli, w progu pojawił się Milo z chusteczką przy ustach i nosie. Popatrzył na mnie. Poczulem, że daje mi wybór – wejść albo zostać.

Wbrew zdrowemu rozsądkowi wyjąłem z kieszeni chusteczkę, zakryłem dolną część twarzy i wszedłem do budynku.

Cienka bawełna chusteczki nie stanowiła wystarczającej ochrony przed ostrym smrodem, który uderzył mnie, kiedy tylko przeszedłem przez próg. Jakby otwarte ścieki i bagna zagotowały się, para uniosła się w powietrze i jej drobinki opryskały cały dom.

W oczach stanęły mi łzy. Walcząc z mdłościami, poszedłem w ślad za Milem do kuchni.

Bruno siedział przy stole z formiki. Ciało od szyi w dół wyglądało normalnie. Mężczyzna ubrany był w błękitny garnitur sprzedawcy, rozpinaną koszulę w kolorze kukurydzy z niebieskim fułarem. Prawdziwy dandys: chusteczka w kieszonce na piersi, buty z maleńkimi frędzelkami, z nadgarstka zwisała mu złota bransoleta z ozdobami.

Głowę miał rozbitą na miazgę. Prawdopodobnie ktoś wiele razy uderzył go łomem. Twarz była zapadnięta do środka. Spuchnięta krwawa bryła znajdowała się w daleko posuniętym stanie rozkładu. Milo zaczął szybko otwierać okna i wtedy uświadomiłem sobie, że gorąco panujące w domu – niczym w piecu hutniczym

– Pochodziło z węglowodorów wydzielanych przez gnijące ciało. Pomysł na powstrzymanie kryzysu energetycznego: oszczędź kilowaty, zabij przyjaciela...

Nie mogłem już dłużej wytrzymać smrodu i paskudnego widoku. Pobiegłem do drzwi, krztusząc się. Na zewnątrz wyrzuciłem chusteczkę i łapczywie wdychałem chłodne nocne powietrze.

Trzęsły mi się ręce.

W okolicy kręcili się zaaferowani mieszkańcy. Sąsiedzi zabitego: mężczyźni, kobiety i dzieci powychodzili ze swoich twierdz.

Przerwali oglądanie wieczornych wiadomości i porzucili rozmrożone posiłki. Gapili się na oślepiające karmazynowe światła, słuchali trzeszczących radiowych odgłosów dochodzących z wozu patrolowego, przyglądali się furgonetce koronera, która stała przy krawężniku, obserwowali wysiadających z niej specjalistów.

Kilkoro dzieci jeździło po ulicy na rowerkach. Mieszkańcy rozmawiali ze sobą głośno; ich głosy zlewały się w jeden wielki szum, który przywodził na myśl pustoszącą plagę szarańczy.

Gdzieś szczekał pies. Odgłosy typowe dla przedmieścia.

Zastanawiałem się, gdzie byli ci wszyscy ludzie, gdy ktoś wszedł do domu Maurice'a Bruna, zmienił jego głowę w galaretę, pozamykał okna i zostawił swą ofiarę, by zgniła.

Milo w końcu wyszedł. Był zielony na twarzy. Usiadł na frontowych schodach i zwiesił głowę między kolana. Po chwili wstał i przywołał personel z biura koronera. Mężczyźni byli dobrze przygotowani – dysponowali maskami przeciwgazowymi i gumowymi rękawiczkami. Weszli z pustymi noszami i wyszli, niosąc zwłoki zawinięte w czarny plastikowy worek.

– Uff, to odrażające – powiedziała jedna nastolatka do drugiej.

Elokwentny sposób określenia całej sytuacji. Jeśli w ogóle istniały odpowiednie do jej opisanie słowa.

Rozdział 12

Rankiem, trzeciego dnia po odkryciu masakry w domu Maurice'a Bruna, Milo zaprosił mnie na posterunek. Chciał, żebym szczegółowo przejrzał akta zamordowanego. Umówiłem się dopiero na popołudnie. Z niezrozumiałych dla siebie motywów zadzwoniłem do mieszkania Andre Jaroslava w zachodnim Hollywood i zapytałem go, czy znajdzie czas, by pomóc mi nieco odświeżyć umiejętności w dziedzinie karate.

– Doktorze – odparł z charakterystycznym akcentem, który kojarzył mi się z gulaszem – od tak dawna pana nie widziałem.

– Wiem, Andre. Minęło bardzo dużo czasu. Zaniedbałem się. Mam jednak nadzieję, że mi pomożesz.

Roześmiał się.

– No cóż. Mam średnio zaawansowaną grupę o jedenastej i prywatne lekcje o dwunastej. Potem lecę na Hawaje. Choreografia scen walki przy pilocie nowego serialu telewizyjnego. Policjantka, która zna dzudo i łapie gwałcicieli. Co pan o tym sądzi?

– Niezwykle oryginalne.

– No tak. Będę pracował z rudowłosą laseczką, Shandrą Layne. Mam ją nauczyć, jak się przerzuca przez plecy wielkich facetów. Supermenka, no nie?

– Zgadza się. Ma pan może trochę czasu przed jedenastą?

– Dla pana, doktorze, zawsze. Doprowadzimy pana do formy. Proszę przyjść o dziewiątej. Dwie godziny nam wystarczą.

Instytut Sztuk Walki mieścił się w Santa Monica przy Doheny, obok nocnego klubu „Trubadur”. Ta sponsorowana przez miasto placówka o piętnaście lat wyprzedziła modę na kung fu. Jaroslav był krzywonogim Żydem, który w latach pięćdziesiątych uciekł z rodzinnej Czechosłowacji. Miał wysoki, piskliwy głos – twierdził, że naziści postrzelili go w gardło, ale w rzeczywistości zapewne urodził się z głosowym rejestrem rozhisteryzowanego kapłona. W powojennej Pradze niełatwo się żyło Żydowi o piskliwym głosiku, więc Jaroslav odkrył własny sposób radzenia sobie z przeciwnościami losu. Od dzieciństwa zajmował się kulturą fizyczną: podnosił ciężary i doskonalił się w sztuce samoobrony. Gdy skończył dwadzieścia lat, zdołał już dokładnie opanować zasady wielu sztuk walki – od szermierki po hopkaido – i potrafił odeprzeć każdego prześladowcę.

Dziś powitał mnie przy drzwiach, nagi od pasa w górę, z kilkoma żonkilami w dłoni. Chodnik przed klubem obsiadły anorektyczne istoty niewiadomej płci, które przyciskały do piersi – niczym koła ratunkowe – futerały na gitarę, głęboko zaciągały się papierosami i obserwowały ruch uliczny z obawą człowieka odurzonego.

– Przesłuchanie – wyjaśnił piskliwie Andre, wskazując palcem drzwi do „Trubadura” i zerkając pogardliwie na muzyków. – Artyści nowej ery, doktorze.

Weszliśmy na salę. Była pusta. Andre włożył kwiaty do wazonu. Sala treningowa składała się z wypolerowanej podłogi dębowej i pomalowanych na biało ścian, obwieszonych podpisanymi autografami fotografiami gwiazd i niedoszłych gwiazdeczek. Wszedłem do przebieralni z otrzymanym od mistrza sztywnym białym kimonem, a gdy po kilku minutach wyłoniłem się z niej, wyglądałem jak statysta w filmie z Bruce’em Lee.

Jaroslav milczał, mówiło za niego jego ciało i ręce. Ustawił mnie w środku pomieszczenia i stanął naprzeciwko. Uśmiechnął się lekko, potem ukloniliśmy się sobie i rozpoczęliśmy serię ćwiczeń rozgrzewających, podczas których czułem, jak skrzypią mi stawy. Nie trenowałem od dawna.

Po zakończeniu wstępnych katas znowu się sobie ukloniliśmy. Andre uśmiechnął się, po czym zrobił sobie ze mnie worek treningowy. Pod koniec pierwszej godziny miałem wrażenie, że zostałem wepchnięty w kuchenny rozdrabniacz odpadków. Bolało mnie włókno każdego mięśnia, każda synapsa drżała ze straszliwego bólu.

Andre nie przestawał się nade mną znęcać, stale się uśmiechając i kłaniając. Czasami wydawał z siebie całkowicie kontrolowany, cienki okrzyk i rzucał mną o podłogę niczym worek fasoli. Tuż przed zakończeniem treningu ból był już mniej natrętny – powoli stawał się częścią mojego życia, stanem świadomości!

Kiedy przerwaliśmy, ponownie zacząłem odczuwać kontrolę nad własnym ciałem. Oddychałem ciężko, przeciągałem się i mrugałem oczami, które szczypały od potu. Jaroslav natomiast był zupełnie opanowany, jakby właśnie skończył czytać poranną gazetę.

– Niech pan weźmie gorącą kąpiel, doktorze, potem jakąś ślicznotkę, żeby posmarowała pana dobrą oliwką i wymasowała. I proszę pamiętać: ćwiczyc, ćwiczyc, ćwiczyc.

– Będę, Andre.

– Proszę do mnie zadzwonić, kiedy wrócę z Hawajów. W tygodniu. Opowiem panu o Shandrze Layne i sprawdzę, czy pan ćwiczył. – Figlarnie dźgnął mnie palcem w brzuch.

– Zgoda.

Wyciągnął rękę, a ja cały się spiąłem, ponieważ podejrzewałem, że Jaroslav zamierza mnie po raz kolejny przerzucić sobie przez ramię.

– Tak, tak, bardzo dobrze – oznajmił. Potem roześmiał się i puścił mnie.

Tętniący ból sprawił, że poczułem się człowiekiem prawym i niemal ascetą. Zjadłem lunch w restauracji prowadzonej przez jednego z Hindusów, którzy wyraźnie preferowali Los Angeles nad Kalkutę. Moje zamówienie przyjęła dziewczyna o nieobecny spojrzeniu i przyklepionym do twarzy uśmiechu. Ubrana w białe szaty i burnus, wyglądała jak dzieciak z bogatej rodziny, miała maniery zakonnicy i stale się uśmiechała – kiedy mówiła, kiedy pisała i kiedy odchodziła. Zastanawiałem się,

czy taki ciągły uśmiech sprawia jej ból.

Otrzymałem talerz ze sporą ilością posiekanej sałaty, kielków i smażonej soi oraz topiony kozi ser na chlebie chapati – świętą tostadą. Popiłem posiłek dwiema szklankami importowanego ze świętej pustyni Mohave nektaru z ananasa, kokosa i gwajawy. Rachunek wynosił dziesięć dolarów i trzydzieści dziewięć centów. Spora kwota, która wyjaśniała uśmiechy.

Gdy zajechałem przed dom, Milo akurat parkował nie oznakowanego brązowego matadora.

– Fiat w końcu zdechł – wyjaśnił. – Poddałem go kremacji i rozproszyłem jego prochy nad portem w Long Beach.

– Moje najszczęśliwsze kondolencje. – Wziąłem akta Maurice’a Bruna.

– Zamiast kwiatów chętnie przyjmę kilka dolców zadatku na następne stare auto.

– Poproś doktora Silvermana, żeby ci kupił.

– Pracuję nad tym.

Pozwolił mi przez kilka minut czytać akta, potem spytał:

– Co sądzisz?

– Na razie niewiele. Maurice’a Bruna do Handlera wysłał sąd. Spotkali się z tuzin razy podczas czteromiesięcznego okresu. Po etapie próbnym rozpoczęła się właściwa kuracja. Zauważyłem, że Handler pisał o nim stosunkowo życzliwe notatki. Bruno zupełnie niedawno trafił do naszego miłego doktora, Handler bywał już wtedy nieprzyjemny i złośliwy, a jednak nie zapisał w jego aktach ani jednego zjadliwego komentarza. Na początku wprawdzie nazywa Bruna „zręcznym kanciarzem”... – przerzuciłem kilka stron – ...a w parę tygodni później wspomina o „uśmiechu kota z Cheshire” swego pacjenta. Nic więcej.

– Może się zaprzyjaźnili?

– Skąd ten pomysł?

Milo wręczył mi kartkę papieru.

– Masz – powiedział. – Przyjrzyj się temu.

To był wydruk z przedsiębiorstwa telekomunikacyjnego.

– Ten – wskazał na siedmiocyfrową liczbę w kółeczku – to numer Handlera... Jego domowy numer, nie w biurze. A to jest numer Bruna.

W przeciągu ostatnich sześciu miesięcy obaj mężczyźni wielokrotnie do siebie dzwonili.

– Interesujące, co?

– Bardzo.

– Mam jeszcze coś. Oficjalnie coroner mówi, że nie sposób ustalić czasu śmierci Bruna. Panująca wewnątrz domu wysoka temperatura spowodowała znaczny rozkład ciała... Ludzie coronera nie chcą podać dokładnej daty, bo gdyby się pomylili, prasa zjadłaby ich żywcem. Ale jeden z młodych fachowców przekazał mi nieoficjalnie, że Bruno został zamordowany dziesięć do dwunastu dni temu.

– Czyli mniej więcej wtedy, gdy zabito Handlera i Gutierrez.

– Tak. Tuż przed albo tuż po tamtej nocy.

– Jednak te zbrodnie bardzo się od siebie różnią, nieprawdaż? Cechują się zupełnie odmiennym modus operandi.

– Kto mówi, że ludzie są konsekwentni, Aleksie? Ściśle rzecz biorąc, różnice nie sprowadzają się tylko do sposobu działania zabójcy i użytej broni. Prawdopodobnie do domu Bruna włamano się. Pod jednym z tylnych okien znaleźliśmy połamane krzaki, a na szybie rysy od dłuta. Morderca wszedł przez pokój dziecienny. Policja z Glendale twierdzi też, że znalazła ślady stóp dwóch osób.

– Dwóch? Może Melody naprawdę coś widziała. „Ciemni ludzie. Dwóch lub trzech”.

– Może. Tyle że zrezygnowałem już z jej pomocy. Dziecko nigdy nie będzie wiarygodnym świadkiem. Ale wracając... do sprawy. Mimo rozbieżności coś je łączy, choć nie potrafię tego dokładnie sprecyzować. Pacjent i lekarz. Mamy konkretny dowód, że utrzymywali kontakty po zakończeniu kuracji, a zabito ich mniej więcej w tym samym czasie. Nie wierzę w taki zbieg okoliczności.

Milo studiował przez chwilę notatki. Wyglądał jak naukowiec. Pomyślałem o Handlerze i Brunie, a wtedy uderzyła mnie pewna myśl.

– Wiesz, Milo, przeszkadzają nam w tej sprawie role społeczne.

– O czym, do diabła, mówisz?

– Role. Społeczne role... I typowe dla każdej z nich zachowanie. Lekarz i pacjent. Psychiatra i psychopata. Jakie są cechy charakterystyczne psychopaty?

– Brak sumienia.

– Zgadza się. A także nieumiejętność znalezienia wspólnego języka z innymi ludźmi, chyba że chce się ich wykorzystać do swoich planów. Niektórzy potrafią świetnie się maskować, są wygadani, często przystojni. Zwykle cechuje ich ponadprzeciętna inteligencja. Łatwo manipulują płcią przeciwną. Mają skłonność do oszustw, kantów i szantaży.

Milo otworzył szeroko oczy.

– Handler.

– Oczywiście. Od początku myśleliśmy o nim jako o lekarzu i uważaliśmy go za osobę normalną w ujęciu psychiatrycznym. Nie potrafiliśmy zapomnieć o roli społecznej, jaką pełnił. Ale przyjrzyjmy się mu uważniej. Co o nim wiemy? Był zamieszany w oszustwo ubezpieczeniowe. Próbował szantażować Roya Longstretha, wykorzystując swoją władzę. Uwiódł przynajmniej jedną pacjentkę – Elaine Gutierrez. Kto wie zresztą, ile jeszcze innych dziewczyn? A te zapiski na marginesach notatnika... Najpierw sądziłem, że Handler po prostu się wypalił, że praca go znudziła. Teraz jednak nie jestem już tego taki pewny. Udawał, że słucha ludzi, przyjmował od nich pieniądze, obrażał ich. Cóż za zimny drań! A przecież jego notatki były poufne. Handler nie spodziewał się, że ktoś inny je przeczyta. Chyba że zamierzał pokazać pacjentowi opis jego choroby i zażądać finansowej gratyfikacji za jego zmianę. Wiesz, co ci powiem, Milo? Nasz psychiatra wygląda mi na klasycznego psychopata.

– Brzydki doktorek.

– Nie tak rzadki przypadek, jak można by sądzić, prawda? Skoro istniał doktor Mengele, dlaczego nie mogą być Mortonowie Handlerowie? Znasz lepszą przykrywkę dla inteligentnego psychopaty niż doktorski tytuł? Facet natychmiast uzyskuje prestiż i wiarygodność.

– Psychopatyczny lekarz i psychopatyczny pacjent. – Milo zastanowił się nad moimi rewelacjami. – Może nie kumple, lecz współnicy w przestępstwach.

– Jasne. Psychopaci nie mają przyjaciół. Tylko ofiary i współników. Jeśli Handler spiskował i potrzebował do pomocy kogoś podobnego do siebie, Bruno musiał mu się wydać idealnym kandydatem. Założę się, że pierwsze sesje były niewiarygodne: dwie głodne hieny przyglądające się sobie spod oka, oceniające jedna drugą.

– Dlaczego wybrał akurat Bruna, leczył przecież również innych psychopatów?

– Tamci byli zbyt nieobcy. Barowi kucharze, kowboje, pracownicy budowlani. Handler potrzebował kogoś bardziej inteligentnego. Poza tym, skąd wiemy, ilu osobom z rozmysłem postawił złą diagnozę... tak jak Longstrethowi?

– Tylko po to, by choć przez sekundę zagrać adwokata diabła... Jeden z jego pacjentów studiował prawo.

Myślałem o nim przez chwilę.

– Był zbyt młody. Handlerowi wydał się zapewne niedoświadczonym chuliganem. Za kilka lat, gdy facet uzyska dyplom i zdobędzie pozycję... Cóż, może wtedy. Handler do swoich planów potrzebował kogoś w typie biznesmena. Kogoś naprawdę zręcznego. Bruno pasował do tego portretu jak ulał. Pamiętaj, że zdołał oszukać Gershmana, który z pewnością nie jest idiotą.

Milo wstał i zaczął chodzić po pokoju, przesuwając palcami po włosach – fryzurce w kształcie

ptasiego gniazda.

– Całkiem dobry układ. Psychiatra i psychol wspólnie dokonujący oszustw. – Wyglądał na rozbawionego.

– To nie pierwszy taki przypadek. Milo. Był taki facet na Wschodnim Wybrzeżu kilka lat temu. Z pozoru miły, młody lekarz. Wzenił się w bogatą rodzinę i otworzył praktykę. Przyjmował młodocianych przestępców. Zdobywał fundusze dla kliniki dzięki koneksjom swoich teściów. Organizował imprezy towarzyskie. Szampan płynął, a w tym czasie podopieczni doktorka włamywali się do domów uczestników przyjęcia. W końcu go przyłapano. Miał piwnicę pełną sreber, kryształów, futer i dywanów. Nie potrzebował tych rzeczy. Robił to z nudów. Takie wyzwanie. Wysłano go do jednej z tych dyskretnych instytucji na falistych wzgórzach południowego Marylandu. Z tego, co wiem, pracuje tam do dzisiaj. Gazety nigdy nie napisały o jego sprawie. Dowiedziałem się o niej od jakiegoś kolegi po fachu. To była powszechnie znana sprawa.

Milo wyjął ołówek i zaczął pisać, głośno myśląc.

– Droga do marmurowych korytarzy wielkiej finansjery. Trzeba sprawdzić rejestry bankowe, umowy z maklerami, firmy otwierane pod fikcyjnymi nazwiskami. Zobaczyć, co zostało w bankowych skrytkach Handlera, gdy Izba Skarbowa skończyła swoją brudną robotę. Kontakt z rzeczoznawcą hrabstwa, informacje na temat nieruchomości. Ponaglenia skierowane przez gabinet doktorka do firm ubezpieczeniowych. – Przerwał pisanie. – Mam nadzieję, że ta praca do czegoś mnie doprowadzi, Aleksie. Przekłęta sprawa... Nie poprawia mojej opinii w departamencie. Kapitana interesuje tylko promocja, więc potrzebuje jak najwięcej aresztowanych. Handler i Gutierrez to nie mieszkańcy slamsów, których sprawę można po prostu umorzyć. Poza tym starego przeraża, że Glendale przed nami rozwiąże sprawę Bruna. I jak będziemy wtedy wyglądali? Pamiętasz Bianchiego?

Skinąłem głową. Szef policji małej miejscowości Bellingham w stanie Waszyngton schwytał „Dusiciela ze wzgórz”, dokonując czegoś, co policyjnej machinie Los Angeles przez długi czas się nie udawało.

Milo wstał, wszedł do kuchni, znalazł połówkę zimnego kurczaka i zabrał się za jedzenie. Popił posiłek szklanką soku pomarańczowego. Wrócił, wycierając usta.

– Nie wiem, co mnie śmieszy w tej sprawie. Mam dwa trupy, rozwiązanie sprawy nie posuwa się ani na jotę, więc nie powinno mi być do śmiechu, a jednak przyjaźń Handlera z Brunem wydaje mi się strasznie zabawna. Wysyłasz faceta do psychiatry, żeby dobry doktorek odpowiednio poukładał psycholowi trybiki we łbie, a ten powoli skłania go do jeszcze gorszych uczynków.

Nie zabrzmiało to zabawnie, a jednak Milo się roześmiał.

– Co z dziewczyną? – spytał.

– Z Gutierrez? A niby co?

– Widzisz, myślałem o tych rolach społecznych. Uważamy dziewczynę za niewinnego świadka. Skoro Handler potrafił współpracować z jednym pacjentem, może robił to z dwojgiem?

– Wszystko możliwe. Wiemy jednak, że Bruno to psychopata. Co wiemy o tej Gutierrez?

– Nic – odparł. – Szukaliśmy jej akt w gabinecie Handlera i nie udało nam się ich znaleźć. Może zniszczył je, kiedy ich kontakty zmieniły charakter. Postępujcie tak czasem?

– Nie wiem. Nigdy nie sypiałem z moimi pacjentkami... ani z ich matkami.

– Nie obrażaj się. Wiesz, próbowałem przesłuchać rodzinę dziewczyny. Stara, zażywna mamacita, dwóch braci, jeden z nich to prawdziwy mucho, gniewnie błyskał na mnie oczami. Ojca nie mają... zmarł dziesięć lat temu. We troje zajmują maleńkie mieszkanie w Echo Park. Trafiłem do nich w samym środku żałobnych obrządków. Mieszkanie pełne zdjęć dziewczyny, wręcz małych relikwiarzy. Wiele świec, kosze zjedzeniem, płaczący sąsiedzi. Bracia w ponurych nastrojach. Ich matka prawie nie mówi po angielsku. Starłem się być uprzejmy, współczujący, okazać zrozumienie dla ich odmiennej kultury i takie tam... Wziąłem Sancheza, żeby tłumaczył na hiszpański. Stanęliśmy z boku, usiłowaliśmy nie zwracać na siebie uwagi. Nie dostałem nic nadal. „Nie słyszeć zła, nie poruszać tematu zła”. Szczerze mówiąc, pewnie nie wiedzieli zbyt dużo o życiu Elaine. Dla nich zachodnie Los Angeles jest równie odległe jak Atlantyda. Jeśli coś wiedzieli, i tak nie zamierzali mi tego powiedzieć.

– Nawet – spytałem – gdyby ich informacje mogły pomóc w znalezieniu jej mordercy?

Popatrzył na mnie ze znużeniem.

– Aleksie, tego typu ludzie uważają, że policja nie zdoła im pomóc. Dla nich la policia to dranie, które wznecają cholos, obrażają ich dziewczęta, a nigdy nie ma ich w pobliżu, kiedy po dzielnicy krążą motocykliści ze zgaszonymi światłami i strzelają im w okna sypialni. Wiesz, przesłuchiwałem przyjaciółkę panny Gutierrez. A dokładniej, jej współlokatorkę, także nauczycielkę. Dziewczyna była do mnie zdecydowanie wrogo nastawiona. Jawnie dała mi do zrozumienia, że nie chce mieć ze mną nic wspólnego. Jej brat został zabity pięć lat temu w jakiejś wojnie gangów. Powiedziała, że wtedy policja nie zrobiła nic ani dla niej, ani dla jej rodziny i w zamian za to teraz nie zamierzała ze mną współpracować.

Milo ponownie wstał i zaczął chodzić po pokoju jak zmęczony stary lew.

– Ogólnie rzecz ujmując, Elaine Gutierrez to pionek. Nie mamy jednak dowodów, że była czysta jak świeżo spadły śnieg.

Milo wyglądał marnie, mając tyle wątpliwości.

– To trudna sprawa. Milo. Nie bądź dla siebie taki surowy.

– Zabawne, że właśnie ty mi to mówisz. Matka zawsze nakazywała mi spokój. „Nie bądź takim profekcjonistą, Milo”. Tak wymawiała to słowo. Członkowie mojej rodziny niewiele od siebie

wymagali. Porzucali szkołę w dziesiątej klasie i szli do pracy w odlewni. Ich życie składało się z plastikowych naczyń, telewizji, kościelnych pikników i stalowych odłamków, które wbijały im się w skórę. Po trzydziestu latach emerytura średniej wielkości oraz uszczerbek na zdrowiu, dzięki któremu od czasu do czasu należy ci się weekend w górach Ozark. Tak żył mój ojciec, jego ojciec i obaj moi bracia. Schemat Sturgisów. W naszej rodzinie nie było miejsca dla „profekcjonistów”. Zresztą... Po pierwsze ów schemat sprawdza się najlepiej, gdy przedstawiciel naszej rodziny szybko się ożeni, a ja lubiłem chłopców, odkąd skończyłem dziewięć lat. I po drugie – znacznie ważniejsze – uważałem, że jestem zbyt bystry, by żyć tak jak reszta tych wieśniaków. Wyłamałem się więc z tego modelu, szokując całą rodzinę. No a w końcu bystrzak, – którego widzieli w zawodzie prawnika, profesora albo przynajmniej na stanowisku księgowego, zostaje członkiem la policia. Czy to jest odpowiednie miejsce dla faceta, który napisał cholernie dobrą pracę magisterską na temat transcendentalizmu w poezji Walia Whitmana?

Odwrócił ode mnie wzrok i zapatrzył się na ścianę. Wyraźnie był zestresowany. Miałem już do czynienia z ludźmi w takim stanie i wiedziałem, jak trudno im pomóc. Zignorowałem jego nastrój i kilka razy się przeciągnąłem.

– Przeklęty Jack La Lanne – mruknął mój przyjaciel.

Walczył ze sobą jeszcze przez dziesięć minut, od czasu do czasu zaciskając i rozwierając wielkie pięści. Wreszcie powoli podniósł głowę, a na jego ustach pojawił się oczekiwany przeze mnie, zmieszany uśmiezek.

– Ile za terapię, doktorku?

Przez chwilę się zastanawiałem.

– Może być kolacja. W dobrym lokalu. Żadnych paskudztw.

Wstał i przeciągnął się, po czym zaryczał jak niedźwiedź.

– Co powiesz na sushi? Poczuję się dziś wieczorem jak barbarzyńca. Zjem ryby żywcem.

Pojechaliśmy do „Oomasy” w Little Tokio. Restauracja była zapełniona, przeważnie Japończykami. Nie była staroświeckim, szykownym lokalem z eleganckimi siodzi* [*siodzi (jap) – papierowy parawan, przepierzenie albo rozsuwane drzwi.] i woskowanymi sosnowymi kontuarami. Na podłodze leżała czerwona winylowa wykładzina; dostrzegłem krzesła o sztywnych oparciach i gładkie białe ściany udekorowane jedynie kilkoma kalendarzami firmy Nikon. Jedynym ukłonem wobec wschodniej tradycji było, ustawione tuż przed barem z zakąskami, wielkie akwarium, w którym ozdobne złote rybki pływały w bulgoczącej, lodowatej, przezroczystej wodzie. Ryby łąpczywie chwytaly powietrze i skakały. Najwyraźniej zmutowane gatunki – stanowiące rezultat setek lat eksperymentów na Dalekim Wschodzie – nie czuły się dobrze w tej ekskluzywnej niewoli; były wśród nich lwie głowy z paszczami upstrzonymi lśniąco, malinowymi naroślami, maury z wylupiastymi oczami, chińczyki z oczami zwróconymi bezustannie ku niebu, ryukins tak przejezione, że ledwie się ruszały. Patrzyliśmy na nie, pijąc chivas.

– Ta dziewczyna – zagaił Milo – współlokatorka. Byłem pewien, że mogłaby mi pomóc i że wie coś o stylu życia Elaine. Może miała informacje o jej związku z Handlerem. Trzeba by ją mocniej przycisnąć.

Skończył drinka i ruchem ręki zamówił następnego. Gdy kelnerka go przyniosła, jednym haustem przełknął połowę.

Inna kelnerka przybiegła cichutko jak gejsza i wręczyła nam podgrzane ręczniki. Wytarliśmy ręce i twarze. Poczulem, jak otwierają mi się spragnione powietrza pory skóry.

– Chyba umiesz rozmawiać z nauczycielami, prawda? Pewnie często się z nimi kontaktowałeś w czasach, kiedy jeszcze uczciwie zarabiałeś na życie.

– Niektórzy nauczyciele nienawidzą psychologów, Milo.

Postrzegają nas jako dyletantów obrzucających ich teoretycznymi perłami mądrości, podczas gdy oni sami odwalają brudną robotę.

– Hmm. – Milo połknął resztę szkockiej.

– Ale... Nie ma sprawy. Porozmawiam z nią w twoim imieniu. Gdzie mogę ją znaleźć?

– W tej samej szkole, w której uczyła Gutierrez. Zachodnie Los Angeles, niedaleko od ciebie. – Napisał adres na serwetce i podał mi ją. – Nazywa się Raquel Ochoa. – Wymówił nazwisko niewyraźnie, zniżając głos. – Pokaż dziewczynie odznakę. – Klepnął mnie w plecy.

Ponad naszymi głowami rozległ się odgłos zgrzytania. Spojrzeliśmy w górę. Szef kuchni z uśmiechem ostrzył noże.

Złożyliśmy zamówienie. Ryba była świeża, ryż lekko słodki. Chrzan wasabe przeczyścił mi zatoki. Jedliśmy w milczeniu, w tle słychać było muzykę samisen i rozmowy w obcych językach.

Rozdział 13

Obudziłem się tak zeszywniały, jakby mnie wykrochmalono. Mięśnie miałem kompletnie zeszywniałe – pamiątka zabaw z Jaroslavem. Przemogłem się i odbyłem trzykilometrowy bieg do kanionu i z powrotem. Potem ćwiczyłem ruchy karate na balkonie z tyłu domu. Towarzyszyły mi zabawne komentarze pary ptaków z gatunku przedrzeźniaczy, które przerwały własną kłótnię, przez długą chwilę mi się przyglądały, a następnie na swój sposób pogardliwie prychnęły.

– Podlećcie no tutaj, małe dranie – burknąłem – a pokażę wam, kto z nas jest silniejszy.

Ptaki odpowiedziały komicznym skrzekotem.

Poranne powietrze było rześkie, choć nad górami dostrzegłem chmury smogu, gotowe stłamsić niebo. Nad oceanem wisiała siarkawa powłoka wylotów Los Angeles. Bolała mnie klatka piersiowa, ale stawy rozruszałem. O dziesiątej postanowiłem wyjść.

Szkołę, w której uczyła Raquel Ochoa, planowałem odwiedzić podczas południowej przerwy. Miałem nadzieję, że dziewczyna będzie wolna. Zostało mi dość czasu na długą, gorącą kąpiel, zimny prysznic i spokojne zjedzenie śniadania – jajka z grzybami, żytni tost, pieczone pomidory i kawa.

Założyłem swobodny strój: ciemnobrązowe spodnie, jasnobrązową sportową marynarkę ze sztruksu, kraciatą koszulę i brązowy dziany krawat. Zanim wyszedłem, wykręciłem znajomy już numer. Odebrała Bonita Quinn.

– Słucham?

– Pani Quinn, tu doktor Delaware. Chciałem tylko zapytać, jak się czuje Melody.

– Świetnie. – Jej ton był chłodny jak kufel z piwem. – Świetnie.

Zanim zdołałem coś dodać, odłożyła słuchawkę.

Szkoła znajdowała się w dzielnicy zamieszkaną przez klasę średnią, ale równie dobrze mogła stać wszędzie, mieściła się bowiem w – typowych dla bastionów nauki naszego miasta – ciężkich otynkowanych budynkach zbudowanych w klasycznym więziennym stylu. Kompleks otaczała pustynia czarnego asfaltu, a chroniło go wysokie na trzy metry ogrodzenie z ogniw łańcuchowych. Ktoś próbował rozweselić budynek szkoły, malując wzdłuż ściany jednej z budowli obrazek bawiących się dzieci. Wysiłek ten wszakże na niewiele się zdał. Bardziej ożywczy był widok i odgłosy wydawane przez prawdziwe dzieci, które bawiły się na podwórzu: biegały, skakały, upadały, goniły się, krzyczały upiornie, rzucały sobie piłkę, skarżyły się z gorliwością ofiar straszliwych prześladowań – „Proszę pani, a on mnie bije!” – siedziały w kręgach, patrzyły w niebo. Grupa nauczycieli o znudzonych minach obserwowała zabawę z boku.

Wspiąłem się na frontowe schody i niemal bez problemu znalazłem sekretariat szkoły. Układ pomieszczeń w środku był równie ponury.

Kiedyś zastanawiałem się, dlaczego wszystkie znane mi szkoły są tak beznadziejnie brzydkie i tak okropnie przytłaczające, później jednak zacząłem się spotykać z pewną pielęgniarką, której ojciec należał do grona głównych architektów firmy budującej kalifornijskie szkoły w ostatnich pięćdziesięciu latach. Dziewczyna nie miała o ojcu najlepszego zdania. Chętnie o nim mówiła: sporo pijący melancholik, który nienawidził żony, własnymi dziećmi serdecznie pogardzał, a świat postrzegał jako jedno wielkie rozczarowanie o zmiennym natężeniu. Prawdziwy Frank Lloyd Wright* [*Frank Lloyd Wright (1869-1959) – znany amerykański architekt.].

W sekretariacie śmierdziało proszkiem do kserokopiarki. Jediną lokatorką pomieszczenia okazała się sroga Murzynka po czterdziestce, siedząca za biurkiem-fortecą ze zniszczonego złotego dębu. Pokazałem odznakę, która kobiety nie zainteresowała, i spytałem o Raquel Ochoa. Zlekceważyła mnie.

– Jest tu nauczycielką. Czwarta klasa – dodałem.

– Mamy porę lunchu. Niech pan poszuka w nauczycielskiej stołówce.

Stołówka okazała się duszną salką wielkości siedem i pół metra na cztery i pół, zapchaną składanymi stołami i krzesłami. Tuzin mężczyzn i kobiet siedziało, pochylając głowy nad przyniesionymi z domu kanapkami i kawą. Śmiali się, palili, przeżuwali. Kiedy wszedłem do pomieszczenia, wszyscy zastygli w bezruchu.

– Szukam pani Ochoa.

– Nie znajdziesz jej tu, mój drogi – odparła korpulentna kobieta z platynowymi włosami.

Wielu nauczycieli roześmiało się. Przez chwilę czekałem, aż skończą, w końcu mężczyzna o młodej twarzy i starych oczach poinformował mnie:

– Pokój 304. Prawdopodobnie.

– Dzięki.

Wszedłem. Przeszedłem dobre pół korytarza, zanim znowu zaczęli rozmawiać.

Drzwi do pokoju 304 były uchylone. Wszedłem. Rzędy pustych ławek uczniowskich wypełniały każdy centymetr kwadratowy sali poza kilkoma metrami na przedzie, gdzie stało biurko: kanciasty metalowy prostokąt. Za biurkiem siedziała zajęta pracą kobieta.

Jeśli usłyszała, jak wchodzę, nie dała tego po sobie poznać; w każdym razie nie przerwała czytania, poprawiania i skreślenia błędów. Przy jej łokciu stała nie ruszona brązowa papierowa torebka. Przez brudne okna przebijały się promienie światła, w których tańczyły drobinki kurzu. Vermeerowska subtelność pomieszczenia kłóciła się z jego funkcjonalną surowością – nagimi białymi ścianami, tablicą pomazaną resztkami kredy i brudną amerykańską flagą.

– Pani Ochoa?

Oblicze młodej kobiety wyglądało jak z malowidła Rivery* [*Diego Rivera (1886-1957) – malarz meksykański.]. Śniada skóra twarzy napięta na ostro zarysowanych, lecz delikatnych kościach; miękkie wargi i wilgotne czarne oczy, a nad nimi szerokie czarne brwi. Włosy dziewczyny były długie i lśniące, przedzielone pośrodku, opadające na plecy. Piękne rysy – azteckie z domieszką krwi hiszpańskiej i odrobiną jakiejś trudnej do określenia rasy.

– Tak? – odezwała się cichym, ale zdecydowanym, twardym głosem. Natychmiast zauważyłem wspomnianą przez Mila wrogość. Zastanowiłem się, czy Raquel Ochoa należy do znanego mi typu osób, które nazywałem mistrzami psychologicznej czujności.

Podszedłem, przedstawiłem się i pokazałem odznakę. Kobieta obejrzała ją.

– Doktor czego?

– Psychologii.

Popatrzyła na mnie z pogardą.

– Policja nie poczuła się usatysfakcjonowana, więc przysłano psychologa?

– To dość skomplikowana sprawa.

– Proszę mi oszczędzić szczegółów. – Spojrzała ponownie na poprawiane prace.

– Pragnę jedynie kilka minut z panią porozmawiać. O pani przyjaciółce.

– Powiedziałam temu dużemu detektywowi wszystko, co wiem.

– Chciałbym potwierdzić pewne fakty.

– Jaka dokładność! – Podniosła czerwony ołówek i zaczęła kreślić pracę. Poczulem współczucie dla ucznia, którego wypracowanie teraz sprawdzała.

– Nie zamierzam traktować pani jak pacjentki, proszę się nie obawiać. To tylko...

– Niczego się nie obawiam. Powiedziałam wszystko policjantowi.

– On tak nie uważa.

Rzuciła ołówek na biurko. Rysik się złamał.

– Nazywa mnie pan kłamczuchą, doktorze? – Mówiła w sposób dosadny i wyraźny, nadal jednak z lekkim hiszpańskim akcentem.

Wzruszyłem ramionami.

– Nie interesują mnie epitety. Ważne, żeby dowiedział się jak najwięcej o Elaine Gutierrez.

– O Elenie, nie Elaine! – poprawiła mnie oschle. – Nie mam o niej nic do powiedzenia. Niech policja robi swoje i przestanie przysyłać swoich wścibskich jajogłowych, którzy nękają zapracowanych ludzi.

– Zbyt zapracowanych, by pomóc w znalezieniu mordercy najlepszej przyjaciółki?

Podniosła głowę ostrym szarpnięciem, wściekle machnąwszy rozpuszczonymi włosami.

– Proszę natychmiast stąd wyjść – oświadczyła przez zaciśnięte szczęki. – Jestem zajęta.

– Tak, wiem. Nawet nie jada pani lunchu z resztą nauczycieli. Jest pani osobą poważną i bardzo oddaną swej pracy. – „Jak większość osób, którym udaje się wyrwać z kiepskiej dzielnicy” – pomyślałem. – Uważa pani, że z tego powodu może traktować ludzi z wyższością i nieuprzejmie?

Wstała. Była niewysoka, miała nie więcej niż metr pięćdziesiąt kilka. Kiedy wyciągnęła rękę, przez chwilę sądziłem, że zamierza mnie spoliczkować. Na szczęście powstrzymała się i tylko wbiła we mnie wzrok.

Poczułem bijące od niej nieco kwaśne ciepło, nie odwróciłem się jednak wzroku. Jaroslav byłby ze mnie dumny.

– Jestem zajęta – powiedziała w końcu błagalnym tonem, jakby próbowała przekonać samą siebie.

– Nie chcę pani przeszkadzać. Chciałbym tylko zadać kilka pytań na temat... Eleny.

Usiadła.

– Czym pan się zajmuje jako psycholog? Nie mówi pan w taki sposób, jak pozostali, których znam.

Przekazałem jej skróconą, rozmyślnie niejasną historię mojego zaangażowania w sprawę Handlera i Gutierrez. Dziewczyna słuchała. Wydawało mi się, że jej rysy łagodnieją.

– Dziecięcy psycholog. Moglibyśmy wykorzystać pana tutaj.

Rozejrzałem się po klasie. Przestrzeń przeznaczoną dla dwudziestu ośmiu ławek zajmowało czterdzieści sześć.

– Nie wiem, co mógłbym tu robić... Pomóc pani ich związywać?

Roześmiała się, potem zdała sobie sprawę z własnego śmiechu i natychmiast spoważniała. Pewnie uznała własną reakcję za niewłaściwą.

– Nie ma sensu rozmawiać o Elenie – stwierdziła. – Wpakowała się po prostu... w kłopoty, ponieważ zaangażowała się w ten... – urwała.

– Wiem, że Handler był kanalią. Detektyw Sturgis... ten duży policjant... też o tym wie. I chyba ma pani rację. Panna Gutierrez była prawdopodobnie niewinną ofiarą. Ale upewnijmy się co do tego, dobrze?

– Tym się pan zajmuje? Współpracuje pan z policją? – Zmieniła temat, nie odpowiadając na moje pytanie.

– Nie. Jestem na emeryturze.

Popatrzyła na mnie z niewiarą.

– W pańskim wieku?

– Przepracowanie.

W mig pojęła to słowo. Na chwilę z jej twarzy opadła maska i zobaczyłem prawdziwą Raquel Ochoa.

– Żałuję, że nie mogę sobie na to pozwolić. To znaczy na emeryturę.

– Wiem, co ma pani na myśli. To musi być zwariowana praca. Zwłaszcza ta biurokracja. – Zarzuciłem na dziewczynę empatyczną sieć. Administratorzy budzili gniew u wszystkich nauczycieli. Gdyby Raquel nie dała mi się podejść, pewnie nie zdołałbym z nią nawiązać porozumienia.

Popatrzyła na mnie podejrzliwie, obawiając się protekcjonalności.

– W ogóle pan nie pracuje? – spytała.

– Jestem niezależnym inwestorem. To zajmuje sporo czasu.

Gawędziliśmy przez jakiś czas o bolączkach amerykańskiego szkolnictwa. Raquel starannie unikała tematów osobistych, rozważając wszystkie sprawy z, pozycji domorosłego socjologa. Opowiadała, jak ciężko jej się pracuje, gdy rodzice dziecka nie angażują się emocjonalnie i intelektualnie w jego rozwój oraz jak trudno jest uczyć klasę, w której połowa dzieci pochodzi z rozbitych rodzin, wobec czego są tak rozdrażnione, że ledwie potrafią się skoncentrować. Z gniewem i frustracją wspominała o kłopotach z urzędnikami administracji, których nie interesuje życie innych, a tylko własne emerytury. Mówiła o początkowej pensji nauczycielskiej, która jest mniejsza niż pobory śmieciarza. Miała dwadzieścia dziewięć lat i pozbyła się już resztek idealizmu, choć wcześniej przetrwał on przeprowadzkę ze wschodniego Los Angeles do świata amerykańskiej burżuazji.

Raquel okazała się świetną mówczynią – jej ciemne oczy błyskały, gestykulowała rękami, które wyglądały niczym dwa brązowe wróble.

Siedziałem przed nią jak nauczycielski pupilek. Słuchałem i pozwalałem jej się wygadać. Od czasu do czasu okazywałem zrozumienie: kiwnięciem głowy, gestem. Postępowałem w sposób wyrachowany – zamierzałem jej w sprzyjającym momencie przerwać, by dowiedzieć się więcej

o Elenie Gutierrez – w końcu jednak zwyciężył we mnie prawdziwy terapeuta.

Już miałem nadzieję, że Raquel poruszy interesujący mnie temat, gdy zabrzączał dzwonek. Dziewczyna ponownie przyjęła pozę nauczycielki, specjalistki od spraw właściwych i niewłaściwych.

– Musi pan już iść. Zaraz wrócą dzieci.

Wstałem i pochyliłem się nad biurkiem.

– Możemy porozmawiać później? O Elenie?

Zawahała się, zagryzając wargę. Usłyszałem odgłosy biegnących stóp – cichy, potem coraz głośniejszy łoskot. Cienkie, zawodzące głosiki zbliżały się.

– W porządku. Kończę o czternastej trzydzieści.

Doszedłem do wniosku, że lepiej nie proponować jej drinka. Woląłem pozostać rzeczowy.

– Dziękuję. Spotkajmy się przy bramie.

– Nie. Proszę poczekać na mnie na parkingu nauczycielskim. Przy południowej ścianie budynku.

Tak, tak, z dala od wścibskich oczu.

Jej biała vege była mocno zakurzona. Podeszła do niej ze stosem książek i uczniowskich prac, które sięgały jej do brody.

– Mogę pani pomóc?

Podawała mi stertę ważącą przynajmniej dziewięć kilo i przez minutę szukała kluczyków. Zauważyłem, że podmalowała oczy cieniem, który podkreślał kolor jej źrenic. Wyglądała na nie więcej niż osiemnaście lat.

– Nie jadłam jeszcze – powiedziała. To było raczej zaproszenie niż skarga.

– A gdzie brązowa torba?

– Wyrzuciłam ją. Robię nędzne kanapki. W taki dzień jak dziś, nie mam na nie ochoty. Na Wilshire jest bar.

– Mogę tam panią zawieźć?

Popatrzyła na vege.

– Jasne, dlaczego nie? I tak mam niewiele benzyny. Wrzucmy tylko te papiery na przednie

siedzenie. – Położyłem książki, a Raquei zamknęła samochód. – Ale sama zapłacę za swój lunch.

Opuściliśmy teren szkoły. Zaprowadziłem ją do Seville. Kiedy zobaczyła cadillaca, uniosła brwi.

– Musi pan być niezłym inwestorem.

– Od czasu do czasu mam szczęście.

Usiadła na miękkiej skórze i odsapnęła. Zająłem miejsce za kierownicą i uruchomiłem silnik.

– Zmieniłam zamiar – oświadczyła. – Pan płaci za lunch.

Jadła powoli. Cięła stek na maleńkie kawałki, dźgała każdy osobno i wsuwała go w usta; co trzeci kęs wycierała usta serwetką. Mógłbym się założyć, że bardzo wiele wymaga od swoich uczniów.

– Była moją najlepszą przyjaciółką – zaczęła, odkładając widelec i podnosząc szklankę z wodą. – Dorastaliśmy razem we wschodnim Los Angeles. Rafael i Andy... jej bracia bawili się z Miguelem. – Na wspomnienie o zabitym bracie jej oczy zaszyły mgłą. Po chwili stała się ponownie twarda jak obsydian. Odsunęła talerz. Zjadła zaledwie czwartą część posiłku. – Kiedy przeprowadzaliśmy się do Echo Park, Gutierrezowie przenieśli się wraz z nami. Chłopcy zawsze pakowali się w kłopoty... drobne przestępstwa, wybryki. W dzieciństwie Elena i ja byliśmy bardzo grzeczne, właściwie prawdziwe świętoszki... Zakonnice nas uwielbiały. – Uśmiechnęła się. – Byliśmy sobie bliskie jak siostry. I, tak jak siostry, współzawodniczyłyśmy z sobą. Elena zawsze była ode mnie ładniejsza.

Wyczytała z mojej twarzy zwątpienie.

– Naprawdę. Byłam kościstym dzieckiem. Późno się rozwinęłam. A Elena... zmysłowa, subtelna. Chłopcy latali za nią z wywieszonymi językami. Już kiedy miała jedenaście czy dwanaście lat. Proszę. – Sięgnęła do torebki i wyjęła zdjęcia.

W ostatnich dniach widziałem mnóstwo fotek.

– To Elena i ja w szkole średniej.

Dwie dziewczynki oparte o pomalowaną graffiti ścianę. Były ubrane w mundurki katolickiej szkoły: białe bluzki z krótkim rękawem, szare spódniczki, białe skarpetki i półbuty. Jedna była maleńka, chuda i ciemna. Druga o głowę wyższa, miała zadziwiająco jasną cerę i kobiece krągłości, których nie mógł ukryć mundurek.

– Była blondynką?

– Zaskakujące, prawda? Bez wątplenia jakiś Niemiec zgwałcił jej babkę. Później jeszcze mocniej rozjaśniała włosy. Chciała wyglądać na prawdziwą Amerykankę. Zrobiła się nowoczesna, zmieniła imię na Elaine, wydawała mnóstwo pieniędzy na ubrania, kupiła samochód. – Raquel uprzytomniła sobie, że krytykuje zmarłą, i szybko zmieniła ton. – Jednak pod tą maską chował się naprawdę dobry człowiek. I niezwykle utalentowana nauczycielka. Niewiele jest takich. Uczyła dzieci, które miały

trudności z nauką.

Dzieci z tych klas nie były opóźnione w rozwoju, z różnych jednak przyczyn nie radziły sobie ze szkolnym programem. Niektóre były bystre, lecz nie potrafiły się skupić, innym w nauce pisania i czytania przeszkadzały problemy emocjonalne. Takie dzieci potrafili uczyć tylko bardzo dobrzy nauczyciele. Wielu wycofywało się z głębokim poczuciem klęski, dla innych praca stanowiła inspirujące wyzwanie – wszystko zależało od motywacji pedagoga, jego energii i talentu.

– Elena posiadała prawdziwy dar. Potrafiła poruszyć ich umysły... umysły dzieci, z którymi nikt inny nie umiał pracować. Była dla nich cierpliwa. Patrząc na nią, nikt by jej o to nie podejrzewał. Z pozoru była... krzykliwa. Mocno się malowała, ubierała ekstrawagancko. Czasami wyglądała jak dziewczyna z dyskoteki. Ale nie bała się usiąść na podłodze z dziećmi, nie przeszkadzało jej, gdy pobrudziła sobie ręce. Potrafiła przemówić do tych biedactw, poświęcała się dla nich. Dzieci kochały ją. Proszę popatrzeć.

Kolejna fotografia. Elena Gutierrez otoczona grupką uśmiechniętych dzieci. Klęczała, a dzieciaki wchodziły jej na plecy, ciągnęły za brzeg bluzki, kładły głowy na jej kolanach. Wysoka, dobrze zbudowana młoda kobieta, raczej ładna niż piękna. Proste, szczerze spojrzenie. Złote włosy utapirowane w gęstą czuprynę otaczającą owalną twarz, ostro kontrastowały z latynoskimi rysami. Wyglądała prawie jak typowa Kalifornijka. Przypominała dziewczyny opalające plecy na plaży w Malibu; góra od bikini rozwiązana, gładkie, brązowe plecy wystawione na działanie promieni słonecznych... Albo statystki z reklam coli. Można by ją sobie wyobrazić na wrotkach – w szortach i podkoszulku na naramkach, z sześciopakiem w ręku. Nie powinna skończyć tak wcześnie w szufladzie lodówki śródmiejskiej kostnicy.

Raquel Ochoa wyjęła mi zdjęcie z rąk. Odniosłem wrażenie, że dostrzegam na jej twarzy zazdrość.

– A teraz nie żyje – powiedziała i szybko włożyła fotkę do torebki. Zmarszczyła gniewnie brwi, jakbym w jakiś sposób zbrukał pamięć zabitej.

– Chyba naprawdę ja, uwielbiały – zauważyłem.

– Tak było. Teraz na jej miejsce szkoła sprowadziła starego babsztyla, którego nic nie obchodzi nauczanie. Teraz... kiedy Elena odeszła.

Raquel zaczęła płakać, zasłaniając twarz serwetką. Jej szczupłe ramiona drżały. Osunęła się niżej na ławie, jakby próbowała zniknąć, i szlochała.

Wstałem, podszedłem do niej i otoczyłem ją ramionami. Wydała mi się krucha jak pajęczyna.

– Nie, nie, nic mi nie jest. – A jednak przysunęła się do mnie i zatopiła twarz w fałdach mojej marynarki.

Trzymanie jej w ramionach sprawiało mi przyjemność. Raquel ładnie pachniała. Była zaskakująco delikatną kobietą. Marzyłem, by ją podnieść, słabą i lekką jak piórko, a później zanieść do, łóżka, gdzie uciszyłbym jej przepełniony bólem płacz najwspanialszym panaceum na smutki – orgazmem.

Idiotyczna zachcianka, zwłaszcza że seks i pieszczoty nie rozwiążą problemów tej dziewczyny. Potrzebowała czegoś więcej. No i, nie po to się z nią spotkałem. W pachwinie czułem irytujące ciepło, rosnące napięcie i sztywnienie. Moment był akurat najmniej stosowny z możliwych, a jednak tuliłem dziewczynę tak długo, aż jej łkanie ustało i oddech stał się regularny. W końcu, myśląc o Robin, puściłem ją i wróciłem na swoją ławę.

Unikając mojego spojrzenia, wyjęła puder i poprawiła makijaż.

– To było naprawdę głupie.

– Nie, nie było. Jesteś wrażliwą osobką.

Raquel zastanawiała się przez chwilę nad moimi słowami i tonem, potem przywołała na twarz nieśmiały uśmiech.

– Tak, przypuszczam, że masz rację – odparła, potem sięgnęła przez stół i położyła małą dłoń na mojej dłoni. – Dziękuję ci. Tak bardzo za nią tęsknię.

– Rozumiem.

– Naprawdę? – Cofnęła rękę, nagle zagniewana.

– Choć być może nie wiem, co to znaczy. Nigdy nie straciłem nikogo, z kim byłem tak blisko. Czy akceptujesz współczucie?

– Przepraszam cię. Byłam nieuprzejma... Od momentu, kiedy wszedłeś do sali lekcyjnej. Nie chciałam się rozkleić. Wszystkie te emocje... Smutek, pustka i złość na potwora, który to zrobił... To musiał być potwór, prawda?

– Tak.

– Złapiecie go? Czy ten duży detektyw go złapie?

– To bardzo zdolny facet, Raquel. Niesamowicie utalentowany w swoim fachu. Ale ma mało danych.

– Tak. Pewnie powinnam mu pomóc, prawda?

– Byłoby miło.

Znalazła w torebce papierosa i zapaliła go drżącymi dłońmi. Łapczywie się zaciągnęła i wypuściła dym.

– Co chcecie wiedzieć?

– Na początek typowe pytanie: czy Elena miała wrogów?

– Typowa odpowiedź: Nie. Była popularna i lubiana. Ktokolwiek ją zabił, nie był jej znajomym. Nie zawierałyśmy znajomości z takimi ludźmi. – Wzruszyła ramionami, rozmyślając nad własną słabością.

– Spotykała się z wieloma mężczyznami?

– Te same pytania. – Westchnęła. – Spotykała się z kilkoma facetami, zanim spotkała Handlera. Potem był już tylko on.

– Kiedy zaczęła się z nim widywać?

– Terapię rozpoczęła prawie rok temu. Trudno mi powiedzieć, kiedy zaczęła z nim sypiać. Nie rozmawiała ze mną o takich sprawach.

Wierzyłem, że seks stanowił dla nich temat tabu. Ich latynoskie wychowanie powodowało zapewne masę konfliktów. Całkiem dobrze poznałem już Raquel, wiele słyszałem o Elenie i uświadomiłem sobie, jak bardzo się różniły. Jedna: „dziewczyna z dyskoteki”, związana z mężczyzną. Druga: atrakcyjna, lecz buntownicza, tocząca zażarte boje ze światem. Popatrzyłem na smagłą, poważną twarz mojej towarzyszkę i wyobraziłem sobie jej łóżko otoczone cierniami.

– Powiedziała ci, że mają romans?

– Romans? To brzmi tak lekko i żartobliwie. Handler naruszał zasady etyki zawodowej i Elena to wyczuwała. – Raquel zaciągnęła się papierosem. – Chichotała po kątach przez mniej więcej tydzień, a potem przyszła i powiedziała mi, że w jej życiu pojawił się cudowny facet. Skojarzyłam fakty. W miesiąc później przyszedł do nas na kolację. Od tamtej chwili otwarci się spotykali.

– Co o nim sądziłaś?

– Tak jak powiedziałeś... facet był kanalią. Zbyt dobrze ubrany: aksamitne marynarki, szyte na miarę spodnie, poza tym opalenizna spod kwarcówki, koszula rozpięta, obnażona spora część piersi... kręcone siwe włosy na piersiach. Dużo się uśmiechał i spoufalał ze mną. Za długo ścisnął mi rękę. Przeciągał pożegnalny pocałunek... Takie drobiazgi, których nie sposób się czepiać. – Przypomniałem sobie, że Roy Longstreth opowiadał o Handlerze w podobnym tonie.

– Sprytny?

– Bardzo. Wręcz szczywany. Elena już wcześniej trafiała na facetów jego pokroju. Nie potrafiłam tego pojąć... Miała przecież taki dobry charakter i była realistką. Sądziłam, że przyczyna może tkwić w tym, że w młodym wieku straciła ojca. Nie miała do czynienia z odpowiednim modelem mężczyzny... Czy moje uwagi brzmią wiarygodnie?

– Oczywiście.

Życie nigdy nie jest tak proste jak testy psychologiczne, wiedziałem jednak, że ludzie cieszą się, gdy potrafią uporać się ze swymi problemami.

– Handler miał na nią zły wpływ. Kiedy zaczęła się z nim spotykać, pofarbowała włosy, zmieniła imię i nabyła mnóstwo strojów. Nawet kupiła nowy samochód... Datsuna Z Turbo.

– Było ją na niego stać? – spytałem. Taki samochód kosztuje więcej, niż większość nauczycieli zarabia przez rok.

– Mylisz się, jeśli sądzisz, że Handler za niego zapłacił. Kupiła go na raty. Taka była Elena. Zupełnie nie miała pojęcia o wartości pieniądza. Po prostu przeciekały jej przez palce. Zawsze żartowała, że musi wyjść za mąż za bogatego faceta, który zaspokoi jej pragnienia.

– Często się widywali?

– Na początku raz czy dwa razy w tygodniu. Pod koniec właściwie bez przerwy. Równie dobrze mogłaby się do niego wprowadzić. Rzadko ją widywałam. Wpadała, brała kilka rzeczy albo zapraszała mnie, żebym gdzieś z nimi poszła.

– I chodziłaś z nimi?

Była zaskoczona tym pytaniem.

– Żartujesz? Nie lubiłam go. Zresztą, miałam własne życie.

Podjeżdżałam, jak wygląda jej życie: poprawianie uczniowskich prac do dwudziestej drugiej, potem odpoczynek, zapięta wysoko nocna koszula, w rękach gotycka powieść i kubek gorącego kakao.

– Spotykali się z przyjaciółmi? Z innymi parami?

– Nie mam pojęcia. Zrozum, próbuję ci powiedzieć, że trzymałam się od nich z dala – powiedziała podniesionym tonem.

Zmieniłem temat.

– Najpierw była pacjentką Handlera. Wiesz, z jakiego powodu poszła do psychiatry?

– Mówiła, że popadła w depresję.

– Nie wierzyłaś jej?

– Sama nie wiem. Kiedy ja jestem przygnębiona, wszyscy zauważają mój smutek. Zamykam się w sobie, nie chcę mieć nic wspólnego z ludźmi. Odnoszę wrażenie, że się kurczę i skupiam całkowicie na sobie. A Elena... Nie miała kłopotów z jedzeniem czy też ze snem. Po prostu stawała się trochę spokojniejsza.

– Ale powiedziała ci, że cierpi na depresję?

– Powiedziała mi, że widuje się z Handlerem. Wtedy spytałam ją po co. Odparła, że ostatnio jest w dołku psychicznym, że praca ją przytłacza. Próbowałam jej pomóc, niestety, potrzebowała czegoś więcej. Nigdy nie byłam zwolenniczką psychiatrów i psychologów. – Uśmiechnęła się przepaszająco. – Uważam, że człowiek, który ma rodzinę i przyjaciół, powinien sam sobie poradzić z każdym problemem.

– Jeśli mu się uda, świetnie. Czasami, niestety, domowe sposoby nie wystarczają, Raquel. Potrzebny jest specjalista.

Zgasła papierosa.

– No cóż, z twojego punktu widzenia to pewnie wspaniale, że wielu ludzi zgadza się z takim poglądem.

– Oczywiście.

Zapadło krępujące milczenie. Przerwałam je.

– Czy Handler przepisał Elenie jakieś leki?

– O ile wiem, nie. Tylko z nią rozmawiał. Chodziła do niego raz w tygodniu, potem dwa razy – po śmierci jednego z jej uczniów. Wtedy rzeczywiście była przygnębiona... Płakała przez kilka dni.

– Kiedy to było?

– Niech pomyślę, dość krótko po jej pierwszych wizytach. Może zaczęła się już umawiać z Handlerem prywatnie... Nie wiem. Mniej więcej osiem miesięcy temu.

– Jak umarł ten uczeń?

– W wypadku. Samochód. Kierowca zbiegł. Dzieciak szedł ciemną drogą w nocy i samochód go potrącił. Wtedy Elena się załamała. Pracowała z tym chłopcem od kilku miesięcy. To było niezwykle. Wszyscy myśleli, że jest niemową, a Elena skłoniła go do mówienia. – Raquel potrząsnęła głową. – Dokonała cudu. A ten wypadek w jednej chwili zaprzepścił wszystkie jej wysiłki. Trudno się pogodzić z tak bezsensowną śmiercią.

– Rodzice musieli być zdruzgotani.

– Chłopiec nie miał rodziców. Był sierotą. Pochodził z „La Casa”.

– Z „La Casa de los Ninos”? W Kanionie Malibu?

– Zgadza się. Jesteś zaskoczony? Nasza szkoła podpisała z tym domem dziecka umowę. Udzielamy niektórym jego wychowankom dodatkowych lekcji. Podobnie jak inne lokalne szkoły. Nasza współpraca to część finansowego projektu stanowego czy czegoś w tym rodzaju. Dzięki niej pozbawione rodzin dzieci mają kontakt z zewnętrznym światem.

– Nie jestem zaskoczony – skłamałem. – Szkoda, że coś takiego przytrafiło się sierocie.

– Tak. Życie jest niesprawiedliwe. – Najwyraźniej moje stwierdzenie zaspokoilo ciekawość Raquel.

Popatrzyła na zegarek.

– Masz jeszcze jakieś pytania? Muszę wracać.

– Tylko jedno. Czy przypominasz sobie nazwisko zabitego chłopca?

– Nemeth. Cary albo Corey. Coś w tym rodzaju.

– Dziękuję, że poświęciłaś mi tyle czasu. Bardzo mi pomogłaś.

– Naprawdę? Nie wiem, w jaki sposób... Ale cieszę się, że mogę się przysłużyć do ujęcia tego potwora.

Raquel miała konkretną wizję mordercy, której Milo z pewnością by jej pozazdrościł.

Zawiozłem dziewczynę z powrotem do szkoły i odprowadziłem do jej samochodu.

– No to na razie – powiedziała.

– Jeszcze raz dziękuję.

– Nie ma sprawy. Wróc, jeśli będziesz miał jeszcze jakieś pytania. – Odniosłem wrażenie, że zaprasza mnie do swojego mieszkania. Poczulem smutek, ponieważ wiedziałem, że nic nie mogę dla niej zrobić.

– Zgoda.

Uśmiechnęła się i wyciągnęła do mnie rękę. Ucisnąłem ją, starając się nie trzymać jej zbyt długo.

Rozdział 14

Nigdy właściwie nie wierzyłem w zbiegi okoliczności. Pewnie dlatego, że do mojego zawodu nie bardzo pasuje koncepcja życia, którym rządzą przypadkowe kolizje molekuł w przestrzeni. W końcu po co przez tyle lat uczyłem się, jak pomagać ludziom i sprawiać, by się zmieniali, skoro wszelka rozmyślna zmiana byłaby w gruncie rzeczy iluzja.? Nawet gdybym chciał oddać sprawiedliwość losowi, trudno nazwać zbiegiem okoliczności fakt, że Cary czy też Corey Nemelh (zmarły), uczeń Eleny Gutierrez (zmarłej), był mieszkańcem tej samej instytucji, w której ochotniczo pracował Maurice Bruno (zmarły).

Nadszedł czas, aby dowiedzieć się czegoś więcej o „La Casa de los Ninos”.

Poszedłem do domu i przeszukałem tekturowe pudła, które odniosłem do garażu po przejściu na emeryturę, aż znalazłem stare notesy z telefonami. Zlokalizowałem numer Olivii Brickerman w Departamencie Opieki Społecznej i wykręciłem go. Olivia, pracownica społeczna od trzydziestu lat, wiedziała o instytucjach naszego miasta więcej niż ktokolwiek inny.

Z nagranego tekstu dowiedziałem się, że numer Departamentu zmienił się. Wykręciłem nowy i inne nagranie kazało mi czekać. Na linii pojawiła się piosenka Barry’ego Manilowa. Zastanowiłem się, czy miasto płaci mu tantiemy za muzyczkę umilającą petentom czekanie na połączenie.

– Departament Opieki Społecznej.

– Z panią Brickerman proszę.

– Chwileczkę. – Dwie minuty Manilowa. Potem odpowiedź: – Już u nas nie pracuje.

– A gdzie mogę ją znaleźć?

– Chwileczkę. – Kolejny fragment piosenki. – Pani Brickerman działa obecnie w Psychiatrycznej Grupie Medycznej w Santa Monica.

A zatem Olivia opuściła w końcu sektor publiczny.

– Ma pani do niej numer?

– Chwileczkę, proszę pana.

– Nie, nie, już dziękuję. – Odłożyłem słuchawkę i sprawdziłem w książce telefonicznej. Obok numeru był adres – w miejscu, gdzie Santa Monica przechodzi w Venice, niedaleko pracowni Robin. Wykręciłem numer.

– Psychiatryczna Grupa Medyczna w Santa Monica.

– Z panią Brickerman proszę.

– Kto mówi?

– Doktor Delaware.

– Chwileczkę. – Na linii zapanowała cisza. Widocznie Psychiatryczna Grupa Medyczna w Santa Monica nie uznała telefonicznej muzyki za pożyteczną.

– Witaj, Aleksie. Co u ciebie?

– Świetnie, Olivio, a u ciebie?

– Cudownie, cudownie. Sądziłam, że przebywasz gdzieś w Himalajach.

– Dlaczego?

– Czy nie tam jeżdżą ludzie, kiedy pragną się odnaleźć... W jakieś zimne, pozbawione tlenu miejsce, gdzie można spotkać małego starego człowieka z brodą, który siedzi na szczycie góry, żuje gałązki i czyta magazyn „People”?

– Tak było w latach sześćdziesiątych, Olivio. Teraz, w latach osiemdziesiątych zostajesz w domu i moczysz się w gorącej wodzie.

– Ha!

– Co u Ala?

– Jak zwykle tkwi zatopiony w swoim świecie. Gdy wychodziłam dziś rano, garbił się nad szachownicą i mamrotał coś o pakistańskiej obronie albo o jakimś naarishkeit.

Mąż Olivii, Albert D. Brickerman, był redaktorem działu szachowego w „Timesie”. Znałem go od pięciu lat i nie słyszałem, by wypowiedział choćby tuzin słów pod rząd. Trudno było sobie wyobrazić, co może łączyć takiego mruka i Olivie, uosobienie towarzyskości. A jednak byli małżeństwem już od trzydziestu siedmiu lat, wychowali czworo dzieci i najwyraźniej czuli się ze sobą dobrze.

– Więc w końcu opuściłaś Departament Opieki Społecznej?

– Tak, potrafisz w to uwierzyć? A mówią, że nie przesadza się starych drzew!

– Co cię doprowadziło do tak desperackiego kroku?

– Powiem ci, Aleksie, że zostałam. Jasne, system śmierdział... ale który nie śmierdzi? Przyzwyczaiłam się do niego jak do kurczajki. Ciągłe mi się wydawało, że jednak wykonuję dobrą robotę... Chociaż przyznam ci się, że miałam do czynienia z coraz smutniejszymi i coraz dłuższymi ludzkimi historiami. Z prawdziwym ubóstwem. Po każdym kolejnym cięciach w budżecie było nas

mniej, a spraw – więcej. Szaleństwo. Czasem nasi podopieczni wyładowywali swoją frustrację i gniew na nas, pracownikach opieki społecznej. W naszym śródmiejskim biurze zakłuto nożem jedną z dziewczyn. Teraz w każdym pracują uzbrojeni strażnicy. Ale cóż, do diabła, w końcu wychowałam się w Nowym Jorku! Potem mój siostrzeniec, Steve, ukończył studia medyczne i zdecydował się na specjalizację psychiatryczną. Możesz w to uwierzyć? Jeszcze jeden spec od spraw psychicznych w rodzinie. Jego ojciec jest chirurgiem, chłopak chciał się zbuntować przeciwko niemu i uznał tę drogę za najbezpieczniejszą. Tak czy owak, zawsze bardzo się lubiliśmy, ja i Stevie. Kiedy otworzył praktykę, zaczął mnie namawiać do zmiany pracy. Niezły żart, co? Zamierzał wyratować ukochaną cioteczkę Liwy z Departamentu Opieki Społecznej i ściągnąć do swojego gabinetu. Uwierzyłbyś, że mnie na to namówił? Napisał do mnie w liście, że wyjeżdża do Kalifornii, by przyłączyć się do grupy psychiatrów, która potrzebuje pracownika socjalnego. Chodziło im o współpracę i krótkoterminowe doradztwo. Pyta mnie, czy chciałabym się tym zająć, no i ja się zgadzam. Teraz siedzę sobie w biurze z widokiem na plażę i pracuję dla małego Steviego... Oczywiście, nie nazywam go tak przed innymi ludźmi...

– Wspaniale, Olivio. Zdaje mi się, że jesteś szczęśliwa.

– Tak. Jadam lunch na plaży, czytam książki, opalam się. Po dwudziestu dwóch lalach w końcu czuję się jak Kalifornijka. Może zacznę jeździć na wrotkach, co o tym myślisz?

Obraz Olivii – istoty o kształtach mniej więcej Alfreda Hitchcocka – pędzącej na wrotkach doprowadził mnie do śmiechu.

– Ach, więc teraz drwisz sobie ze mnie. Tylko poczekaj, a zobaczysz! – Zachichotała. – No dobra, wystarczy tej autobiografii. Co mogę dla ciebie zrobić?

– Potrzebuję kilku informacji o instytucji nazywanej „La Casa de los Ninos” w Malibu.

– Dom dziecka McCaffreya? Chcesz tam kogoś wysłać?

– Nie. To długa historia.

– Słuchaj, jeśli jest długa, może mi ją opowiesz. Pogrzebię dziś w aktach. Wpadnij do mnie wieczorem i dam ci te dane osobiście. Upiekę coś, a Albert i tak będzie sobie medytował nad szachownicą. Długo się nie widzieliśmy.

– Co pieczesz?

– Strudle, pierniczki, czekoladowe ciągutki.

– Wpadnę. O której?

– Około ósmej. Pamiętasz nasz adres?

– Nie minęło aż tak dużo czasu, Olivio.

– Może, ale dwa razy za dużo. Słuchaj, nie zamierzam się bawić w swatkę, ale jeśli nie masz przyjaciółki, znam pewną młodą damę – także psychologa... Właśnie przyjechała tu do pracy. Oboje byliście genialnymi dziećmi.

– Dzięki, ale mam kogoś.

– Wspaniale. Przyrowadź ją.

Brickennanowie mieszkali na Hayworth, niedaleko dzielnicy Fairfax, w małym beżowym domku o dachu wykończonym hiszpańskimi dachówkami. Na podjeździe parkował gigantyczny chrysler Olivii.

– Co ja tu robię, Aleksie? – spytała Robin, kiedy podeszliśmy do frontowych drzwi.

– Lubisz grać w szachy?

– Nie mam o nich pojęcia.

– Nie martw się. To jedyne w swoim rodzaju miejsce. Tu nie musisz się zastanawiać nad swoimi słowami. Możesz mówić wszystko, jeśli tylko uda ci się przerwać słowotok Olivii. Przynajmniej zjesz trochę ciasta. Baw się dobrze.

Pocałowałem ją i zadzwoniłem do drzwi.

Otworzyła Olivia. Wyglądała tak samo jak zawsze – no, może przybyło jej kilka kilo – farbowane henną kędziorki, twarz o zaróżowionych policzkach, wesoła i otwarta. Miała na sobie luźną suknię w hawajskie wzorki i gdy się zaśmiała, materiał zafalował. Wyciągnęła ręce i przycisnęła mnie do miękkiego biustu rozmiaru małej sofy.

– Aleksie! – Uwolniła mnie i przypatrzyła mi się, odsuwając na długość ramienia. – Już nie masz brody... Przypominałeś mi D.H. Lawrence’a. Teraz wyglądasz jak człowiek tuż po studiach. – Obróciła się i uśmiechnęła do Robin.

Przedstawiłem ich sobie.

– Miło mi cię poznać. Masz bardzo dużo szczęścia, to kochany chłopak.

Robin zarumieniła się.

– Wejdźcie.

Dom pachniał swojskimi, słodkimi wypiekami. Al Brickerman, prorok z białymi włosami i brodą, siedział w salonie zgarbiony nad hebanowo-klonową szachownicą. Otaczały go – książki – były wszędzie: na półkach i na podłodze – graty, fotografie dzieci i wnuków, menory* [* menora (hebr.) – żydowski siedmioramienny świecznik liturgiczny.], pamiątki, zapchane różnymi przedmiotami meble. A on sam? W starym szlafroku i kapciach.

– Al, przyszedł Alex z przyjaciółką.

– Hmm. – Al chrząknął i podniósł rękę, nawet na chwilę nie odwracając oczu od pionków na szachownicy.

– Miło cię znowu widzieć, stary.

– Hmm.

– Ma trochę świra – zwierzyła się Robin Olivia – ale w łóżku to prawdziwy dynamit.

Wprowadziła nas do kuchni. Nie zmieniono tam chyba niczego od czterdziestu lat – wtedy dom został zbudowany – żółte kafelki z bordowymi obwódkami, wąski porcelanowy zlew, parapety wypełnione roślinami w doniczkach. Lodówka i kuchenka – klasyczny Kenmore. Nad drzwiami prowadzącymi na ganek wisiała ceramiczna tablica z napisem: „Czy potrafisz się wzbić jak orzeł, skoro otaczają cię indyki?”

Olivia dostrzegła, że wpatruję się w tablicę.

– Dostałam ją na pożegnanie, gdy odchodziłam z Departamentu Opieki Społecznej. Sama ją sobie wybrałam. – Przyniosła talerz z jeszcze gorącymi ciasteczkami. – Weźcie po kilka, zanim zjem wszystkie. Widzicie... tyję. – Poklepała się po pośladkach.

– Więcej do kochania – odparłem, a ona uszczypnęła mnie w policzek.

– Och! Są wspaniałe – pochwaliła ciastka Robin.

– Ta dziewczyna wie, co dobre. Siadajcie, proszę.

Przysunęła krzesła do stołu kuchennego, talerz postawiła przed nami. Sprawdziła piekarnik, potem przyłączyła się do nas.

– Za jakieś dziesięć minut będziemy mieli strudle. Jabłkowy, z rodzynekami i ligowy. Ten ostatni to improwizacja dla Alberta. – Wskazała kciukiem w stronę salonu. – Od czasu do czasu coś sobie życzy. Więc chcesz się dowiedzieć szczegółów na temat działalności „La Casa de los Ninos”. Wiem, że to nie moja sprawa, ale po co ci te informacje?

– Mają związek z pewnym zadaniem, które wykonuję dla Departamentu Policji.

– Dla policji? Ty?

Opowiedziałem jej o sprawie, pomijając krwawe szczegóły. Okazało się, że знаła Mila Sturgisa – świetnie się rozumieli – nie wiedziała jednak, że się z nim przyjaźnię.

– To miły chłopak. Powinieneś mu znaleźć fajną kobietkę, taką, jaką zdobyłeś dla siebie. –

Uśmiechnęła się do Robin i podsunęła jej kolejne ciastko.

– Nie sądzę, żeby to się udało, Olivio. Milo jest gejem.

Moje słowa jej nie powstrzymały, choć na chwilę przyhamowały jej zapał.

– Znajdź mu więc miłego młodzieńca.

– Już ma takiego.

– To dobrze. Wybacz mi, Robin, że tyle gadam, ale wiele godzin spędzam z petentami. Słucham ich, kiwam głową i przytakuję. Potem wracam do domu i spędzam czas z niemym Księciem Albertem. A zatem. Aleksie, Milo prosił cię, abys mnie wypytał o „La Casa”?

– Niedokładnie. Podążam własnym tropem.

Olivia popatrzyła na Robin.

– Philip Marlow?

Moja dziewczyna posłała jej bezradne spojrzenie.

– Czy to jest niebezpieczne, Aleksie?

– Nie. Chcę tylko zbadać kilka spraw.

– Bądź ostrożny, rozumiesz? – Ścisnęła mnie za ramię. Miała siłę bramkarza z dyskoteki. – Uważaj na niego, kochana – rzuciła w stronę Robin.

– Spróbuję, Olivio, chociaż nie potrafię go kontrolować.

– Wiem, wiem, ci psychologowie. Przyzwyczajają się do własnej władzy, a przy tym sądzą, że nie wypada kogoś prosić o radę. Pozwól, kochana, że ci opowiem o tym przystojniaku. Gdy go poznałam, był lekarzem stażystą. Przydzielili go na trzy tygodnie do mojego departamentu, gdzie miał się dowiedzieć, jak wygląda życie bardzo biednych ludzi. Alex był wtedy straszliwą mądrałą, tym niemniej się wyróżniał. Zauważyłam, że jest wyjątkowy. Był najbystrzejszą istotą dwunożną, jaką wtedy spotkałam. I potrafił okazywać współczucie. A wiesz, co stanowiło dla niego spory problem? Był dla siebie zbyt wymagający, bałam się, że zaharuje się na śmierć. Pracował dwa razy więcej od innych, a uważał, że nic nie robi. Nie zaskoczyło mnie, kiedy po stażu wystartował jak pocisk: tytuły naukowe, książki i gabinet. Martwiłam się jednak o niego. Bałam się, że się wypali.

– Miałaś rację, Olivio – przyznałem.

– Sądziłam, że wyjechał w Himalaje albo coś w tym rodzaju – roześmiała się, nadal przemawiając do Robin – aby nabrać sił i po powrocie docenić Kalifornię. Weźcie jeszcze.

– Nic już nie zdołam zmieścić. – Robin dotknęła płaskiego brzucha.

– Masz rację: dbaj o figurę, skoro ją masz. Ja zaczęłam jako baryłka, więc nie musiałam się przejmować. Powiedz mi, kochasz go?

Robin popatrzyła na mnie. Otoczyła ręką moją szyję.

– Tak.

– Świetnie, ogłaszam was mężem i żoną. Kto dba o zdanie Alexa? – Wstała, podeszła do piekarnika i zajrzała przez szklaną szybkę do środka. – Jeszcze kilka minut. Sądzę, że figowy będzie się piekł najdłużej.

– Olivio, co z „La Casa de los Ninos”?

Westchnęła. Jej biust zafalował.

– Widzę, że z prawdziwą powagą podchodzisz do zabawy w policjanta. – Usiadła. – Po twoim telefonie poszłam pogrzebać w moich starych aktach. Trochę znalazłam. Chcecie kawy?

– Proszę – powiedziała Robin.

– Zaparzę i dla siebie.

Wróciła z trzema parującymi kubkami, śmietanką i cukrem na porcelanowej tacy, którą ozdobiono widoczką panoramy parku Yellowstone.

– Jest pyszna, Olivio – powiedziała Robin, popijając kawę małymi łyчками.

– „Kona”. Z Hawajów. Sukienka również pochodzi stamtąd. Mój młodszy syn, Gabriel, mieszka na Hawajach. Zajmuje się importem i eksportem. Radzi sobie bardzo dobrze.

– Olivio...

– Tak, tak, w porządku. „La Casa de los Ninos”. Dom dziecka. Założony w 1974 roku przez Wielebnego Augustusa McCaffreya. Przytułek dla bezdomnych dzieci. Wyszedł nawet prospekt...

– Masz go?

– Nie, został w biurze. Chcesz, żebym ci przysłała kopię?

– Nie trudź się. Jakie dzieci tam trafiają?

– Maltretowane, zaniedbane, sieroty, drobni mali przestępcy – wiesz, uciekinierzy. Kiedyś zgarniali ich do więzienia dla nieletnich albo do aresztu, ale tam dzieciaki zmuszone były przebywać z kilkunastoletnimi mordercami, gwałcicielami i złodziejami, więc teraz władze próbują znaleźć dla tych „łagodniejszych” zastępcze domy albo takie miejsca jak „La Casa”. Ogólnie rzecz biorąc, trafiają tam dzieci, których nikt inny nie chce i dla których trudno znaleźć domy zastępcze. Wielu

psjonariuszy „La Casa” cierpi z powodu urazów fizycznych i psychicznych – problemy spastyczne, ślepotą, głuchotą, są też opóźnione w rozwoju. Niektóre z nich są zbyt duże, by ktoś chciał je adoptować. Przebywa tam również potomstwo więźniarek – przeważnie narkomanek lub alkoholiczek. Próbowaliśmy umieszczać pociechy u rodzin, na ogół jednak nikt ich nie chce. Podsumowując, mój drogi: najbiedniejsze małe istotki skierowane przez Sąd dla Nieletnich.

– Jak się zakłada taki ośrodek?

– Aleksie, zgodnie z prawem stanowym i federalnym, osoba, która zajmuje się dziećmi, może otrzymać ponad tysiąc dolarów na jedno dziecko. Wystarczy się trochę pokręcić. Za dzieci kalekie lub upośledzone państwo płaci więcej – są to opłaty na dodatkową opiekę. Co do McCaffreya, wiem, że otrzymuje spore sumy z prywatnych darowizn. Ma niezłe koneksje. Zresztą ziemia, na której stoi „La Casa” należy do niego. Dwadzieścia akrów w Malibu, które kiedyś należało do rządu. Internowano tam Japończyków podczas drugiej wojny. Potem znajdował się tam obóz pracy dla niegroźnych przestępców – malwersantów, polityków. McCaffrey w jakiś sposób skłonił władze hrabstwa, by oddały mu tę ziemię w długoterminową dzierżawę. Nieźle, co?

Dziewięćdziesiąt dziewięć lat za symboliczny czynsz.

– Musi być wygadany.

– Jest. Dobry, stary pocziwiec. Pracował kiedyś jako misjonarz w Meksyku. Słyszałam, że zarządzał tam podobną instytucją.

– Dlaczego wrócił do kraju?

– Kto to może wiedzieć? Może zmęczyły go prymitywne warunki? Może zatęsknił za Kentucky Fried Chicken... Chociaż, jak słyszałam, już tam także jest...

– „La Casa de los Ninos” to dobry dom?

– Żaden z tych ośrodków nie jest rajem, Aleksie. Idealne miejsce dla dziecka to mały, otoczony drewnianym płotkiem domek na przedmieściach z kraciatymi, bawełnianymi zasłonkami, zielonym trawnikiem, mamą, tatą i psem imieniem Pirat.

A wiesz, jak wygląda rzeczywistość? W rejestrach spraw Sądu dla Nieletnich znajduje się siedemnaście tysięcy dzieci. W samym hrabstwie Los Angeles! Siedemnaście tysięcy niechcianych dzieci! Liczba spraw rośnie szybciej, niż system sądowniczy potrafi je rozpatrywać. Tak, to straszny świat!

– Niewiarygodne – oświadczyła Robin. Miała zatroskaną minę.

– Powoli stajemy się społeczeństwem, które nienawidzi dzieci, moja droga. Jest coraz więcej przypadków maltretowania i zaniedbań wychowawczych. Ludzie płodzą dzieci, a potem ich nie chcą. Rodzice nie potrafią wziąć odpowiedzialności za własne dzieci, więc oddają je rządowi... Socjalizm, co, Aleksie? A ta straszna aborcja, cóż... Mam nadzieję, że moje poglądy was nie obrażą, ponieważ generalnie jestem zwolenniczką wyzwolenia kobiet. Krzyczałam o równe płace dla kobiet

i mężczyzn, gdy Gloria Steinem chodziła jeszcze do szkoły. Ale prawda jest taka, że masowa aborcja, którą ludzie traktują w obecnych czasach jako jedną z form antykoncepcji, jest tylko kolejnym sposobem unikania odpowiedzialności. Rodzice zabijają swoje dzieci, prawda? Przynajmniej w jakimś sensie... Może lepiej usunąć dziecko, niż je urodzić, a potem próbować się go pozbyć... Nie wiem. – Starła pot z czoła, a do górnej wargi przyłożyła papierową serwetkę., – Wybaczcie mi, to była nużąca przemowa.

Olivia wstała i wygładziła sukienkę.

– Sprawdzę strudle.

Wróciła z parującym talerzem.

– Dmuchaście na niego, jest gorący.

Robin i ja popatrzyliśmy na siebie.

– Wyglądacie na strasznie poważnych. Chyba straciliście apetyt przez moją gadkę, co?

– Nie, Olivio. – Wziąłem kawałek strudla. Przełknąłem kęs. – Jest wyborny. I zgadzam się z tobą.

Robin zachowała powagę. Wiele razy dyskutowaliśmy na temat aborcji, ale nigdy nie doszliśmy do żadnych wniosków.

– „La Casa de los Ninos” to dobry dom dziecka. W każdym razie kiedy pracowałam w Departamencie Opieki Społecznej, nie dostaliśmy żadnych skarg. McCaffrey zapewnia dzieciom podstawowe warunki egzystencji, ośrodek wygląda czysto, teren jest bardzo ładny – większość z tych dzieci nigdy nie widziała gór, chyba że w telewizji. Pracownicy domu zawożą dzieci autobusem do szkół publicznych, jeśli zaistnieje potrzeba dodatkowych zajęć. Codzienną naukę mają na miejscu. Wątpię, czy ktoś pomaga dzieciom odrabiać zadania domowe – z pewnością nie mają tak dużego personelu... Ale Wielebny bardzo dba o swoją instytucję i wszędzie zabiega dla niej o społeczną pomoc. Pojawia się często w mediach, więc działalność „La Casa” jest szeroko znana i komentowana. Dlaczego tak bardzo interesuje cię ten dom dziecka? Masz jakieś podejrzenia co do śmierci tego chłopca?

– Nie. Nie mam powodów, aby cokolwiek podejrzewać. – Zastanowiłem się nad pytaniem Olivii.
– Chyba po prostu szukam na oślep.

– No cóż, bylebyś tylko nie znalazł czegoś, co cię przerośnie, kochany. Wiesz, jak to mówią: „Łowisz płotki, a trafia ci się rekin”.

Skubaliśmy strudle. Olivia zawołała w stronę salonu:

– Al, chcesz trochę strudla... z figami?

Nie usłyszałem odpowiedzi, Olivia nałożyła jednak trochę ciasta na talerz i zaniósła mężowi.

– Bardzo miła kobieta – zauważyła Robin.

– Jedna na milion. Bardzo twarda.

– I ostra. Powinieneś jej posłuchać, kiedy zaleca ci ostrożność. Proszę cię, Aleksie, zostaw śledztwo Milowi.

– Będę na siebie uważał, nie martw się. – Chwyciłem jej rękę, ale cofnęła ją. Już miałem coś powiedzieć, gdy do kuchni wróciła Olivia.

– Ten zamordowany... sprzedawca. Mówiłeś, że działał ochotniczo w „La Casa”?

– Tak. Miał w biurze dyplom.

– Prawdopodobnie należał do Brygady Dżentelmenów. To grupa, którą wymyślił McCaffrey, by skłonić biznesmenów do działalności na rzecz „La Casa de los Ninos”. Namawia przedsiębiorstwa do uczestnictwa w eksperymencie. Mężczyźni szczebla kierowniczego przyjeżdżają do instytucji McCaffreya i spędzają weekendy z dziećmi. Nie wiem, czy zgłaszają się dobrowolnie, czy też zmuszani są przez swoje firmy. Tak czy owak. Wielebny daje im identyczne blezery, identyfikatory i podpisane przez burmistrza dyplomy. No a oni sami podlizują się swoim szefom. Mam nadzieję, że dzieci również korzystają z tych spotkań.

Pomyślałem o Maurisie Bruno. Psychopata spotykający się z bezdomnymi dziećmi!

– Czy w jakiś sposób testuje się kandydatów?

– Zwyczajnie. Rozmowa, jakieś testy pisemne. Wiesz, drogi chłopcze, jak niewiele to warte.

Skinąłem głową.

– A jednak, wspomniałam ci już, nigdy nie otrzymaliśmy żadnych skarg. Dałabym tej instytucji czwórkę z minusem, Aleksie. Mój podstawowy zarzut dotyczy jej wielkości – jest tam zbyt wiele dzieci, toteż nie sposób poświęcić każdemu wystarczająco dużo uwagi. Dobry dom zastępczy jest na pewno lepszy niż gromadzenie w jednym miejscu czterystu czy pięciuset dzieci... a tyle mieszka u McCaffreya. No a poza tym, „La Casa” jest równie dobra jak inne, podobne jej domy dziecka.

– Cieszę się – oświadczyłem wbrew sobie, ponieważ w gruncie rzeczy poczułem się rozczarowany. Chyba wolałbym się dowiedzieć, że „La Casa” to piekło. Miałbym wówczas dobry punkt zaczepienia, związany z trzema morderstwami. Gdy złapałem się na tej myśli, przeraziłem się. Czyżbym stawał się kolejnym członkiem scharakteryzowanej przez Olivie społeczności, która nienawidzi dzieci? Nagle strudel zaczął smakować jak pokryty cukrem papier, a kuchnia wydała się przytłaczająco gorąca.

– Chcesz wiedzieć coś jeszcze?

– Nie, nie, dzięki.

– No, kochana. – Zwróciła się do Robin. – Opowiedz mi teraz o sobie. Jak poznałeś tego porywczego faceta...

Zostaliśmy jeszcze godzinę. Otoczyłem Robin ramieniem. Nie odrzuciła mojej dłoni, ale pozostała obojętna. Do samochodu wracaliśmy w nieprzyjemnym milczeniu, które było nie do zniesienia.

– Co się dzieje? – spytałem w końcu, gdy zajęliśmy siedzenia.

– Po co mnie tu przyprowadziłeś?

– Sądziłem po prostu, że będzie miło...

– Miło jest rozmawiać o morderstwach i molestowaniu dzieci? Aleksie, to nie była przyjacielska pogawędka.

Nie miałem nic na swoje usprawiedliwienie, więc uruchomiłem samochód i zjechałem z krawężnika.

– Strasznie się o ciebie martwię – stwierdziła nagle. – Opisywałeś Olivii okropne zdarzenia. To przysłowie o rekinie jest prawdziwe. Przypominasz mi małego chłopca, zagubionego na tratwie pośrodku oceanu. Jesteś obojętny na to, co się wokół ciebie dzieje.

– Wiem, co robię.

– Jasne. – Wyjrzała przez okno.

– Czy to źle, że chcę się w coś zaangażować? Że nie wystarczają mi już gorące kąpiele i jogging?

– Nie. Czy jednak nie możesz sobie wybrać czegoś mniej ryzykownego niż zabawa w Sherlocka Holmesa? Co wiesz o takich sprawach?

– Szybko się uczę.

Zignorowała moje słowa. Jechaliśmy przez ciemne, puste ulice. Rzadka mżawka pokrywała przednią szybę.

– Nie lubię słuchać o ludziach, którzy pakują się w niebezpieczeństwo. Ani o dzieciach potrąconych przez samochód. Ani o kierowcach uciekających z miejsca wypadku – oświadczyła.

– To część świata, który istnieje za tym oknem. – Wskazałem w czerń nocy.

– W takim razie nie interesuje mnie ona!

– Chcesz przez to powiedzieć, że czujesz się świetnie, póki wokół wszystko jest ładnie?

– Och, Aleksie! Przestań być taki cholernie melodramatyczny. Zachowujesz się jak postać z opery mydlanej.

– Ale mówię prawdę, nie sądzisz?

– Nie, nie sądzę... I nie każ mi się z tego tłumaczyć. Chcę, żebyś był taki jak wtedy, gdy cię poznałam: zadowolony z siebie. Na początku nie goniłeś za niebezpiecznym zajęciem, żeby móc się sprawdzić. Byłeś opanowany i to mnie w tobie ujęło. Teraz zachowujesz się jak... ktoś opętany. Odkąd dałeś się wciągnąć w tę sprawę, nie ma w twoim życiu miejsca dla mnie. Mówię do ciebie, a twoje myśli krążą nie wiadomo gdzie. Mówiłam ci już. Czuję, że wracasz do dawnych czasów, gdy jeszcze cię nie znałam.

Miała sporo racji. Od kilku dni budziłem się bardzo wcześnie w stanie ogromnego napięcia. Zaniepokojony i z poczuciem celu. Rzeczywiście znowu zmieniałem się w pracoholika i co rano dręczył mnie stary, obsesyjny impuls, by natychmiast się rzucić w wir zajęć związanych ze sprawą. A co najzabawniejsze, cieszyły mnie własne emocje.

– Obiecuję ci – oznajmiłem uroczyście – że będę ostrożny.

Potrząsnęła głową ze złością, pochyliła się i włączyła radio. Głośno.

Kiedy dojechaliśmy pod jej dom, cnotliwie musnęła mnie wargami w policzek.

– Mogę wejść?

Patrzyła na mnie przez długą chwilę, wreszcie posłała mi zrezygnowany uśmiech.

– Dobra, do diabła, niech ci będzie.

Na stryszku w skąpym blasku księżycy docierającym przez małe okienko obserwowałem, jak Robin się rozbiera. Stała na jednej nodze, by zdjąć sandał, a wtedy jej piersi się zakołysały. Pod wpływem oświetlenia jej skóra przybrała najpierw biały, a gdy Robin się odwróciła – szary kolor. Weszła do łóżka i przykryła się. Jej widok mnie podniecił. Wziąłem jej dłoń i położyłem sobie na pachwinie. Dziewczyna na sekundę dotknęła mojego członka, potem przesunęła rękę w górę, aż dotarła do mojej szyi. Otoczyła mnie ramionami. Wtuliłem głowę w słodki dołek między jej obojczykiem i brodą.

Zasnęliśmy.

Rano Robin nie było obok mnie. Usłyszałem dudnienie i zgrzytanie. Wiedziałem, że poszła do warsztatu.

Ubrałem się, zszedłem wąskimi schodkami i znalazłem się obok niej. Miała na sobie ogrodniczkę i męską roboczą koszulę, jej usta zakrywała barwna chustka, a oczy – gogle.

Powietrze pełne było drewnianego pyłu.

– Zadzwoń do ciebie później. – Starłem się przekrzyknąć hałas piły stolarskiej.

Robin przerwała na chwilę, zawahała się, po czym wróciła do pracy. Zostawiłem ją otoczoną

narzędziami, maszynami i sztuką.

Rozdział 15

Zadzwoiłem do Mila ze stacji i przekazałem mu dokładnie moją rozmowę z Raquel Ochoa. Opowiedziałem też o związku

„La Casa de los Ninos” ze sprawą i spotkaniu z Olivią.

– Jestem pod wrażeniem – stwierdził. – Minąłeś się z, powołaniem.

– Jak uważasz? Powinienem porozmawiać z McCaffreyem?

– Czekaj, czekaj, przyjacielu. Ten facet zajmuje się czterema setkami dzieci. Jedno z nich ginie w wypadku. To jeszcze nie dowód.

– Tak, ale ten dzieciak był przypadkiem uczniem Eleny Gutierrez. Oznacza to, że dziewczyna prawdopodobnie rozmawiała o nim z Handlerem. Niedługo po śmierci małego Maurice Bruno zgłosił się na ochotnika do pracy w tym miejscu. Zbieg okoliczności?

– Prawdopodobnie nie. Tyle że nie wiesz, jak to wszystko się odbywa. A ja mam związane ręce. Póki nie dysponuję dowodami, nic nie mogę zrobić. Poza tym jestem sam, nie mam nikogo do pomocy. Każdego dnia kapitan mierzy mnie wzrokiem, w którym czytam: „Żadnego postępu. Sturgis?” Czuję się jak dziecko, które nie odrobiło pracy domowej. Obawiam się, że pewnego dnia odbierze mi sprawę i zagoni do papierkowej roboty.

– Jeśli jest tak źle, jak twierdzisz, powinieneś skakać z radości na wieść o nowym tropie.

– Użyłeś dobrego słowa. To tylko trop. Domyśl. Ciąg lichych skojarzeń.

– Mnie nie wydają się wcale tak cholernie liche!

– Zrozum... Powiedzmy, że zaczynam węszyć wokół McCaffreya. Wiesz, co się stanie? Facet ma wszędzie powiązania: od centrum Los Angeles aż po Malibu. Domyśli się, zadzwoni do kogo trzeba... Nikt go nie oskarży o utrudnianie pracy wymiarowi sprawiedliwości, ponieważ nie mam żadnych dowodów, by się go czepiać... Tak czy owak, odbiorą mi sprawę szybciej, niż zdołasz splunąć.

– Rozumiem – poddałem się. – A co powiesz o jego i przeszłości meksykańskiej? Był tam przez wiele lat. Potem nagle wyjechał, pojawił się w Los Angeles i od razu było o nim głośno.

– Umiejętność awansowania nie jest ciężkim przestępstwem. A czasami cygaro jest tylko cygarem i niczym więcej, doktorze Freud.

– Cholera. Nie znoszę, gdy jesteś tak wrednie sarkastyczny.

– Proszę cię. Aleksie. Mam dość kłopotów, nie potrzebuję jeszcze twoich złościwości.

Ostatnio wyraźnie zrażam do siebie wszystkich przyjaciół. Musiałem jeszcze zadzwonić do Robin,

by ją zapytać, do jakich wniosków doprowadziły ją sny z ubiegłej nocy.

– Przepraszam. Sądzę, że zbytnio się w tę sprawę zaangażowałem.

Nie spierał się ze mną.

– Odwaliłeś kawał świetnej roboty. Naprawdę mi pomogłeś. Tyle że czasami to nie wystarczy.

– Więc co zamierzasz zrobić? Rzucasz sprawę?

– Nie. Pogrzebię w przeszłości McCaffreya, ale po cichu. Szczególnie dokładnie przyjrzę się okresowi meksykańskiemu. Zajmę się też finansowymi aktami Handlera, Bruna i panny Gutierrez. Zamierzam nawet zadzwonić do szefa posterunku w Malibu i poprosić o kopię raportu z wypadku tego dziecka. Jak się nazywał?

– Nemeth.

– Świetnie. To rzadkie nazwisko.

– Chcesz ode mnie czegoś jeszcze?

– Już nie. Zrobiłeś dla mnie bardzo dużo. Aleksie. Naprawdę tak myślę i chcę, żebyś o tym wiedział. Teraz jednak kolej na mnie. Może sobie trochę odpoczniesz?

– Zgoda – powiedziałem bez entuzjazmu. – Ale, proszę cię, informuj mnie na bieżąco.

– Będę – obiecał. – Cześć.

Głos w słuchawce był damski i bardzo zdecydowany. Kobieta pozdrowiła mnie śpiewnie w stylu radiowej reklamy proszku i z optymizmem, który graniczył z nieprzyzwoitością.

– Dzień dobry! Tu „La Casa”!

– Dzień dobry. Chciałbym porozmawiać; z kimś w sprawie przyłączenia się do Brygady Dżentelmenów.

– Chwileczkę, proszę pana!

Po dwudziestu sekundach odezwał się męski głos.

– Tim Kruger. W czym mogę pomóc?

– Chciałbym zostać członkiem Brygady Dżentelmenów.

– Doskonale, proszę pana. Jakie przedsiębiorstwo pan reprezentuje?

– Żadne. Występuję jako osoba prywatna.

– Och, rozumiem. – Głos nie był już tak przyjazny. Gdy sprawa nie wyglądała na rutynową, niektórzy ludzie stawali się ostrożniejsi. – Jak brzmi pańskie nazwisko?

– Doktor Alexander Delaware.

Mężczyzna ponownie zmienił ton, zapewne pod wpływem wymienionego przeze mnie tytułu.

– Miło mi, doktorze. Jak się pan dziś miewa?

– Całkiem dobrze, dziękuję.

– Wspaniale. Jaka jest pańska specjalizacja, jeśli mogę spytać?

Mógł.

– Jestem psychologiem dziecięcym. Emerytowanym.

– Doskonale. Nie zgłasza się do nas zbyt wielu profesjonalistów. Sam jestem pedagogiem i opiekunem.

– Wiem, że większość osób marzy o nieróbstwie, a pracę z dziećmi uważa za ciężką i niewdzięczną – wyrecytowałem. – Trochę jednak poleniuchowałem i chętnie wróciłbym do zawodu.

– Cudownie. A jak pan trafił do „La Casa”?

– Dzięki waszej reputacji. Słyszałem, że świetnie sobie radzicie. I że jesteście dobrze zorganizowani.

– No cóż, dziękuję panu, doktorze. Chcemy jak najlepiej dla naszych dzieci!

– Jestem tego pewien.

– Oferujemy grupowe wizyty dla potencjalnych Dżentelmenów. Następną zaplanowaliśmy na przyszły piątek.

– Sprawdzę tylko w kalendarzu. – Odłożyłem słuchawkę, wyjrzałem przez okno, zrobiłem kilka skłonów i wróciłem. Przykro mi, panie Kruger. Niestety, ten termin mi nie odpowiada. Kiedy wypada następna wizyta?

– Trzy tygodnie później.

– Ach, to bardzo odległy termin. Miałem nadzieję, że znajdzie pan wcześniejszy. – Starłem się mówić tęsknym, a równocześnie trochę niecierpliwym tonem.

– Hmm, no cóż, doktorze, mogę pana oprowadzić osobiście. Nie będzie to grupowe spotkanie orientacyjne i nie zdołam przygotować prezentacji wideo, ale przecież jako psycholog wiele pan wie

o takich instytucjach jak nasza.

– Chętnie skorzystam z pańskiej propozycji.

– Jeśli ma pan czas dziś po południu, mogę zorganizować spotkanie. Wielebny Gus jest dziś na miejscu – lubi się spotykać ze wszystkimi potencjalnymi Dżentelmenami – co nie zawsze się zdarza przy jego bogatym programie podróży. Jeszcze w tym tygodniu nagrywa wywiad z Mervem Griffinem, potem leci do Nowego Jorku, by wystąpić w A.M. America.

Dzielił się ze mną nowinami na temat działalności telewizyjnej McCaffreya z powagą krzyżowca odsłaniającego Świętego Graala.

– Dzisiejszy termin jest idealny.

– Doskonale. Około trzeciej?

– Zgoda.

– Wie pan, gdzie się mieści „La Casa”?

– Niedokładnie. W Malibu?

– W Kanionie Malibu. – Wyjaśnił mi, jak dojechać, potem dodał: – Gdy pan już do nas trafi, będzie pan mógł od razu wypełnić nasz kwestionariusz badawczy. W takich przypadkach jak pański, doktorze, test jest jedynie formalnością, jednak zgodnie z procedurą nie można go pominąć. Chociaż nie wyobrażam sobie, by z testu psychologicznego można się było czegoś dowiedzieć o psychologu. A pan?

– Ja również. My je piszemy, możemy więc przekreślać odpowiedzi.

Roześmiał się, starając się zachowywać swobodnie.

– Jeszcze jakieś pytania?

– Nie sędzę.

– Wspaniale. Spotkamy się o trzeciej.

Część Malibu wygląda dokładnie tak, jak wszyscy je sobie wyobrażają. Taki wizerunek pojawia się w telewizorach amerykańskich salonów, na kinowych ekranach, okładkach płyt i miękkich obwolutach tanich książek. Nie kończące się obszary piasku. Nasmarowane kremem, nagie, brązowe ciała. Plażowa siatkówka. Rozjaśnione od słońca włosy. Seks pod kocem uprawiany w rytm przyływów i odpływów oceanu. Chałupy za milion dolarów chwiejące się na palach zatopionych w ziemię, która po deszczu staje się trochę grząska. Wiele corvette, wodorostów i kokainy.

Wszystko to prawda. Ale tylko częściowa.

Istnieje bowiem również inne Malibu, fragment, który obejmuje kaniony i brudne drogi biegnące przez góry Santa Monica. Ta część dzielnicy pozbawiona jest dostępu do oceanu, choć przecinają ją liczne małe potoki, które płyną przez cieniste wąwozy, znikając wraz ze wzrostem temperatury powietrza. W pobliżu głównej drogi kanionu znajduje się zaledwie kilka domostw, są też jednak całe kilometry dziczy. Po bezludnych regionach nadal włóczą się pumy, a sfory kojotów polują w nocy na kurczaki, oposy i tłuste ropuchy. Można tu trafić w zacienione gaje, gdzie żyje tysiące rzekotek; łatwo w nie wdepnąć, gdy sądzisz, że stawiasz stopę na miękkiej, szarej ziemi... Wtedy się poruszają. Po tym mniej znanym Malibu kręci się wiele węży – nieszkodliwych *Thamnophis*, a także dusicieli i grzechotników. Są również odosobnione rancza, których mieszkańcy nadal tkwią w pierwszej połowie dwudziestego wieku. Szlaki konne zarzucone parującymi plackami końskich odchodów. Kozy. Tarantule.

To drugie, pozbawione plaży Malibu otacza mnóstwo plotek. O rytualnych mordach dokonywanych przez satanistyczne grupy. O ciałach, których nikt nigdy nie odnajdzie. O autostopowiczach, po których zaginął wszelki śluch. Są to straszliwe opowieści, lecz często równie prawdziwe jak stereotyp plażowy.

Opuściłem autostradę Pacific Coast, pojechałem w górę Rambla Pacific a i przeciąłem granicę części Malibu. Cadillac bez trudu wspinał się na spadzistą pochyłość. Włączyłem kasetę z Dhango Reinhardtem. Muzyka cygańska świetnie pasowała do pustki, która rozpościerała się przed moją przednią szybą – serpentynowa wstążka autostrady, czasem atakowana przez bezlitosne słońce, czasem zacieniona przez gigantycznego eukaliptusa. Wyschnięty parów po jednej stronie, prostopadły uskoki po drugiej. Ta trasa ponaglała znużonego wędrowca do dalszej drogi, a równocześnie wydawała się nigdy nie kończyć.

Poprzednia noc była niespokojna, śniłem o Robin i o sobie. Widziałem też we śnie twarze dzieci: Melody Quinn, niezliczonych pacjentów, których leczyłem przez ostatnie dziesięć lat, oraz ciało chłopca nazwiskiem Nemeth, zabitego zaledwie kilka kilometrów dalej na tej właśnie szosie. Zastanawiałem się, co widział w ostatniej chwili życia. Jaki obraz zanotował jego mózg tuż przed śmiercią, zanim ogromna, rycząca maszyna-potwór wpadła na niego. No i... dlaczego właściwie spacerował po tym samotnym obszarze w nocnych ciemnościach?!

Monotonna podróż zwiększyła zmęczenie, a po moim kręgosłupie przebiegł powolny, lecz nieubłagany dreszcz. Zacząłem się zmagać z narastającą sennością. Nastawiłem głośniejszą muzykę i otworzyłem wszystkie okna w samochodzie. Powietrze pachniało czystością, choć poczułem także swąd spalenizny. Co płonęło? Jakiś odległy most?

Tak intensywnie starałem się zachować jasność myśli, że prawie przeoczyłem tablicę obwieszczającą za trzy kilometry wjazd do „La Casa de los Ninos”.

Sam wjazd łatwo było przeoczyć, znajdował się bowiem tylko kilkaset metrów za ostrym zakrętem na szosie. Droga była wąska – ledwie wystarczała na przejazd dwóch pojazdów w przeciwnych kierunkach – i mocno zacieniona przez porastające na poboczach drzewa. Przez osiemset metrów wznosiła się bardzo stromo, zapewne zniechęcając do wspinaczki większość pieszych wędrowców. Miejsce było wyraźnie odosobnione. Idealne na obóz pracy, oddaloną od świata farmę czy więzienie nie narażone na wścibskie spojrzenia nieznajomych.

Droga dojazdowa kończyła się przy trzy i półmetrowej barierze – płocie z ogniw łańcuchowych. Na wypolerowanej aluminiowej płycie wysokie na metr dwadzieścia litery układały się w nazwę „La Casa de los Ninos”. Po prawej stronie wznosił się ręcznie malowany znak. Przedstawiał dwie wielkie dłonie trzymające czworo dzieci – białe, czarne, brązowe i żółte. Budka wartownicza znajdowała się trzy metry dalej po przeciwnej stronie płotu. Siedzący wewnątrz umundurowany mężczyzna przez chwilę mi się przypatrywał, potem odezwał się do mnie przez mikrofon połączony z głośnikiem na bramie.

– Mogę panu w czymś pomóc? – Głos był metaliczny i mechaniczny, niczym przetworzony przez komputer.

– Doktor Delaware. Mam o trzeciej spotkanie z panem Krugerem.

Brama otworzyła się.

Wjechałem i zatrzymałem się przy opuszczonym szlabanie pomalowanym w pomarańczowe i białe pasy.

– Dzień dobry, doktorze.

Strażnik był młody, wąsaty, poważny. Mundur miał barwę ciemnoszarą, która pasowała do spojrzania jego właściciela. Uśmiech mężczyzny był wystudiowany.

– Spotka się pan z Timem w budynku administracyjnym – powiedział, przypatrując mi się uważnie.
– Prosto w górę tą drogą, potem na lewo. Znajdzie pan tam parking dla gości.

– Dziękuję.

– Bardzo proszę, doktorze.

Strażnik wcisnął guzik i pasiasty szlaban podniósł się powitalnie.

Budynek administracyjny zachował wygląd z czasów, gdy internowano w nim Japończyków. Był niski, odpychający i kojarzył się z architekturą typową dla wojska. Zdobiące ścianę malowidło, które przedstawiało dziecinne, błękitne niebo wypełnione białymi, cukierkowymi obłoczkami, z pewnością zostało stworzone w ostatnich latach.

Recepcja znajdowała się w pomieszczeniu obitym taną imitacją dębu. Za kontuarem siedziała staruszka w szarym bawełnianym kitlu.

Przedstawiłem się i zostałem przywitany uśmiechem.

– Tim zaraz do pana przyjdzie. Proszę usiąść i czuć się jak u siebie w domu.

Rozejrzałem się bez zainteresowania. Ryciny na ścianach wyglądały jak ukradzione z motelu. Jedyne okno wychodziło na parking, za którym – w oddali – dostrzegłem gęsty las: eukaliptusy, cyprysy i cedry; z miejsca, które zajmowałem, widoczne były tylko pnie drzew: nieprzerwany obszar

szarości i brązów. Przez chwilę przeglądałem egzemplarz „California Highways” sprzed dwóch lat.

Nie czekałem długo.

Chwilę po tym, jak usiadłem, drzwi się otworzyły i wszedł młody mężczyzna.

– Doktor Delaware?

Wstałem.

– Tim Kruger. – Wymieniliśmy uściski.

Był niski, mniej więcej dwudziestopięcioletni i zbudowany jak zapaśnik: wszystkie jego mięśnie – zwłaszcza te najważniejsze – wydawały się twarde i rozrośnięte. Twarz młodzieńca była dość ładna, lecz widniało na niej głupkowane otępienie przywodzące na myśl lalkę Kena. Mocny podbródek, małe uszy, wydatny, prosty nos, który w średnim wieku może przybrać formę bulwy, opalenizna charakterystyczna dla człowieka spędzającego sporo czasu na dworze, żółtawobrazowe oczy pod ciężkimi brwiami, niskie czoło niemal całkowicie ukryte pod gęstą burzą piaskowych włosów. Mężczyzna ubrany był w spodnie w kolorze pszenicy, jasnoniebieski podkoszulek z krótkim rękawem i niebiesko-brązowy krawat. W rogu kołnierzyka miał przypiętą plaketkę z napisem: „mgr T. Kruger. Dyrektor. „Rzecznik”.

– Spodziewałem się kogoś trochę starszego, doktorze. Powiedział mi pan, że jest na emeryturze.

– Bo to prawda. Zrezygnowałem z pracy na tyle wcześnie, by móc długo cieszyć się wolnością.

Roześmiał się serdecznie.

– Coś w tym jest. Ufam, że nie miał pan problemów ze znalezieniem nas?

– Nie. Pańskie wskazówki były doskonałe.

– Świetnie. Możemy zalem zacząć wycieczkę, jeśli pan sobie życzy. Wielebny Gus przebywa gdzieś na terenie ośrodka. Ma wrócić przed czwartą, aby się z nami spotkać.

Otworzył przede mną drzwi i przytrzymał.

Przeszliśmy parking i znaleźliśmy się na alejce z kruszonego żwiru.

– „La Casa” – rozpoczął wykład – rozciąga się na dwudziestu siedmiu akrach. Z miejsca, w którym się teraz znajdujemy, widać cały teren.

Staliśmy na szczycie wzniesienia i patrzyliśmy na budynki, plac zabaw, spiralne szlaki. W oddali ciągnęły się góry.

– Z tych dwudziestu siedmiu akrów jedynie pięć przystosowano dla potrzeb „La Casa de los Ninos”. Pozostała część to obszar nie zabudowany i nie uprawiany. Uważamy, że te tereny są

wspaniałe dla dzieci, zwłaszcza że wiele z nich pochodzi z ubogiego, przeludnionego centrum. – Dostrzegałem tam małe sylwetki dzieci. Chodziły grupkami, grały w piłkę lub samotnie siedziały na trawie. – Na północy – Kruger wskazał obszar otwartych pól – leży pas, który nazywamy Łąką. Na razie rośnie tam przeważnie lucerna i chwasty, latem chcielibyśmy jednakże stworzyć tam ogród warzywny. Na południu natomiast znajduje się Gaj. – Machnął ręką na las, który widziałem z biura. – Ten obszar porośnięty chronionymi gatunkami drzew idealnie nadaje się do pieszych wędrówek. Wszędzie wokół jest zaskakująca obfitość dzikiej przyrody. Pochodzę z północnego zachodu i przed przyjazdem do „La Casa” sądziłem, że najdzikszym miejscem w Los Angeles jest Sunset Stripe.

Uśmiechnąłem się.

– W tamtych budynkach, o tam, mieszkają dzieci.

Obrócił się i wskazał dziesięć wielkich blaszanych baraków. Podobnie jak budynek administracyjny, odmalowano je, a na niektórych ścianach umieszczono wzorki w kolorach tęczy; elekt był dziwacznie optymistyczny.

Kruger ponownie się obrócił i wyciągnął rękę. Podążyłem wzrokiem za jego ramieniem.

– A to nasz basen o wymiarach olimpijskich. Ofiarowany przez firmę „Majestic Oil”. – Woda migotała zielono. Z daleka basen wyglądał jak miseczka limonowej galaretki. W wodzie samotny pływak pokonywał spieniony tor. – Tam widać nasz szpital i szkołę.

Na dalekim końcu ogrodzonego terenu, w pobliżu Gaju, dostrzegłem kilka budynków z kruszywa żuźlowego. Kruger nie wyjaśnił mi ich przeznaczenia.

– Rzućmy okiem na sypialnie dzieci.

Zszedłem za nim ze wzgórza, obserwując sielankową panoramę. Cały teren był dobrze utrzymany, wszędzie wokół wrzała nieźle zorganizowana praca.

Kruger stawiał długie, pewne kroki. Szedł z wysoko podniesioną brodą i zarzucał mnie faktami i liczbami. Mówił, że metody działania ośrodka stanowią kombinację „wychowywania i uczenia w twórczym środowisku, które zachęca dziecko do rozwoju”. Był bardzo pozytywnie nastawiony do swojej pracy, do „La Casa de los Ninos”, do Wielebnego Gusa i do dzieci. Żalił się tylko na jeden drobiazg – trudności skoordynowania „optymalnej opieki” z potrzebą codziennego zapewnienia ciągłości finansowej instytucji. Natychmiast jednak dodał, że świetnie rozumie ekonomiczne realia lat osiemdziesiątych, po czym wygłosił kilka optymistycznych peanów pod adresem systemu wolnorynkowego.

Tak, tak, Tim Kruger został doskonale przygotowany do swej roli.

Wnętrze jaskrawo-różowego baraku było zimne: matowobiałe ściany ponad podłogą z ciemnego drewna. Sypialnia była pusta i nasze kroki odbijały się echem. W powietrzu unosił się metaliczny zapach. Dzieci sypiały na żelaznych piętrowych łóżkach ustawionych pod ścianami; przy łóżkach stały szafki nocne, na metalowych bokach wisały półeczki z podpórkami. Niektóre dzieci próbowały

ożywić barakowy wystrój pomieszczenia – na ścianach wisały plakaty bohaterów komiksów, atletów, postaci z Ulicy Sezamkowej, lecz nigdzie nie było zdjęć rodziców i rodzeństwa czy też innych przedmiotów przywodzących na myśl rodzinę.

Naliczyłem miejsca sypialne dla pięćdziesięciorga dzieci.

– Dużo dzieci. Jak utrzymujecie dyscyplinę?

– To prawdziwe wyzwanie – przyznał – na szczęście jakoś sobie z tym radzimy. Zatrudniamy opiekunów ochotników, studentów – między innymi psychologii z Uniwersytetu Kalifornijskiego, Northridge i innych college’ow. Otrzymujemy w ten sposób darmowych pracowników, oni odbywają wartościowe, praktyczne ćwiczenia z dziećmi. Bardzo sobie cenimy pełnoetatowy personel zawodowy jednak zatrudnianie takich ludzi nie jest możliwe ze względów finansowych. Mamy dwóch opiekunów na jedną sypialnię i pozwalamy im stosować metody modyfikujące zachowanie... Mam nadzieję, że nie jest pan im przeciwny.

– Nie, jeśli używa się ich właściwie.

– Zgadza się. W naszym przypadku tak właśnie jest. Minimalizujemy ciężkie kary, staramy się nagradzać, stosujemy zachęty. Osobiście nadzoruję pracę opiekunów.

– Najwyraźniej znakomicie się to panu udaje.

– Staram się. – Westchnął, potem posłał mi szeroki uśmiech. – Chciałem napisać doktorat, niestety, nie miałem funduszy.

– Gdzie pan studiował?

– Uniwersytet Stanowy w Oregonie. Uzyskałem dyplom magistra pedagogiki. Wcześniej zdobyłem bakalaureat z psychologii w college’u Jedson.

– Sądziłem, że wszyscy studenci Jedson to bogacze. – Mały college pod Seattle miał reputację przystani dla potomków bogatych rodów.

– przeważnie tak jest – uśmiechnął się. – Szkoła przypominała country club. Trafiłem do niej dzięki stypendium sportowemu. Bieźnia i baseball. W pierwszej kasie naderwałem więzadło i nagle stałem się persona non grata. – Jego oczy pociemniały na chwilę na myśl o prawie już zapomnianej niesprawiedliwości. – A niech tam, lubię to, co robię: mam odpowiedzialną pracę i mogę podejmować decyzje.

Z drugiego końca pokoju dobiegł nas jakiś szelest. Obaj odwróciliśmy się w tamtą stronę i dostrzeżliśmy ruch pod kocami na jednym z dolnych łóżek.

– To ty, Rodney?

Kruger podszedł do łóżka i poklepał wiercąca się bryłę. Chłopiec usiadł, trzymając koc pod samą

brodą. Był puciołowaty, czarnoskóry i miał około dwunastu lat, choć jego dokładnego wieku nie sposób było określić, ponieważ twarz malca nosiła charakterystyczne znamiona syndromu Downa: szeroka, spłaszczona czaszka, głęboko osadzone i umieszczone blisko siebie skośne oczy, pochylę czoło, nieproporcjonalnie nisko umieszczone uszy, długi język wysunięty z otwartych ust. Miał też zmieszana minę, typową dla osób upośledzonych psychicznie.

– Witaj, Rodney – odezwał się łagodnie Kruger. – O co chodzi?

Stałem w pobliżu i chłopiec popatrzył na mnie pytająco.

– Wszystko w porządku, Rodney. To przyjaciel. Teraz powiedz mi, co się dzieje.

– Rodney chory. – Słowa zostały wypowiedziane niewyraźnie.

– Co to za choroba?

– Boli brzusek.

– No cóż, będziemy musieli poprosić pana doktora, aby cię obejrzał podczas swojej najbliższej wizyty.

– Nie! – krzyknął chłopiec. – Nie doktor!

– Ależ Rodney! – Kruger przemawiał cierpliwym głosem. – Jeśli jesteś chory, trzeba cię będzie zbadać.

– Nie doktor!

– No już dobrze, Rodney, już dobrze – powiedział uspokajająco Kruger. Wyciągnął rękę i dotknął lekko czoła chłopca. W tym momencie Rodney dostał ataku hysterii. Oczy wyskoczyły mu niemal z orbit, podbródek trzął się jak u szaleńca. Chłopiec krzyknął i szarpnął się tak gwałtownie, że uderzył tyłem głowy w metalowy słupek łóżka. Naciągnął koc na twarz. Z jego ust w ramach protestu wydobywał się niezrozumiały lament.

Kruger odwrócił się do mnie i westchnął. Odczekał, aż chłopiec się uspokoi, potem znowu się do niego odezwał.

– W takim razie, Rodney, później porozmawiamy z panem doktorem. Gdzie miałeś być teraz? Gdzie jest w tej chwili twoja grupa?

– Przekąska.

– Jesteś głodny?

Chłopiec potrząsnął głową.

– Boli brzusek.

– Chyba rozumiesz, że nie możesz leżeć tu sam. Albo położysz się w izbie chorych i sprowadzimy lekarza, który cię zbada, albo wstaniesz i przyłączysz się do swojej grupy w stołówce.

– Nie doktor.

– Dobrze. Nie będzie doktora. Wstawaj.

Chłopiec wypełził z łóżka, jak najdalej od nas. Gdy wstał, odkryłem, że jest starszy, niż sądziłem. Miał przynajmniej szesnaście lat, jego podbródek znaczyły początki zarostu. Popatrzył na mnie szeroko otwartymi ze strachu oczami.

– To przyjaciel. Pan Delaware.

– Cześć, Rodney. – Wyciągnąłem rękę.

Popatrzył na nią i potrząsnął głową.

– Bądź grzeczny, chłopcze. W taki sposób zdobywamy dobre punkty, pamiętasz?

Potrząsnął głową.

– No dalej, podaj panu rękę.

Chłopiec jednak nie usłuchał. Kiedy Kruger zrobił ku niemu krok, cofnął się i zakrył twarz rękami.

Przez kilka sekund między mężczyzną i dzieckiem trwał pojedynek na silną wolę. W końcu Kruger dał za wygraną.

– No dobrze. Rodney – stwierdził spokojnie. – Ponieważ jesteś chory, zapomnimy dziś o zdobywaniu sprawności. Teraz biegnij szybko i dołącz do swojej grupy.

Chłopiec okrążył nas szerokim łukiem. Odchodząc, ciągle trząsnął głową, a ramiona trzymał przed sobą niczym zamroczony od ciosów bokser. W pewnej chwili odwrócił się do drzwi i uciekł. Na wpół biegnąc, na wpół człapiąc, zniknął w jaskrawym świetle słońca.

Kruger spojrział na mnie i uśmiechnął się słabo.

– To trudniejszy przypadek niż inne. Siedemnastolatek, a zachowuje się, jakby miał najwyżej trzynaście.

– Chyba naprawdę boi się lekarzy.

– Boi się wielu rzeczy. A co do lekarzy, często się z nimi styka. Jak większość dzieci z zespołem Downa cierpi na różne schorzenia: sercowe, infekcje, powikłania stomatologiczne. Zresztą, któż tak naprawdę może wiedzieć, co się dzieje w jego zdeformowanym umyśle. Ma pan jakieś doświadczenia w pracy z dziećmi upośledzonymi?

– Tak, trochę.

– Widziałem ich setki i nie potrafię sobie przypomnieć ani jednego, które nie miałyby poważnych problemów emocjonalnych. Wie pan, społeczeństwo sądzi, że to są dokładnie takie same dzieci jak wszystkie inne, tylko nieco opóźnione w rozwoju. Ale tak nie jest.

Usłyszałem w jego głosie irytację, złożyłem ją jednak na karb ponizenia spowodowanego klęską w psychologicznym pojedynku z upośledzonym psychicznie chłopcem.

– Rodney przeszedł długą drogę – dodał. – Kiedy tu trafił, nie potrafił nawet korzystać z toalety. Był w trzynastu domach zastępczych. – Potrząsnął głową. – Przykra sprawa. Niektóre rodziny, którym władze hrabstwa przydzielają dzieci, nie powinny wychowywać nawet psów.

Obawiałem się, że wygłosi kolejny wykład, na szczęście powstrzymał się. Na jego twarz powrócił uśmiech.

– Dzieci, które do nas trafiają, mają małą szansę na adopcję, ponieważ są upośledzone psychicznie, ułomne, rasy mieszanej, odwiedziły sporo domów zastępczych albo wyrzekły się ich własne rodziny. Kiedy pojawiają się w „La Casa”, nie mają najmniejszego pojęcia o normach zachowania społecznego, o podstawowych zasadach higieny czy umiejętnościach samodzielnego życia. Dość często musimy zaczynać od najprostszych spraw, jesteśmy jednak zadowoleni z postępów, które u nas czynią. Jeden ze studentów, którzy u nas praktykują, pisze pracę na temat naszych osiągnięć.

– Wspaniały sposób zdobywania danych.

– W istocie. I, szczerze mówiąc, tacy ludzie pomagają nam w zbieraniu funduszy, które często, doktorze, stanowią najbardziej podstawowy problem przy utrzymaniu tak wielkiego ośrodka jak „La Casa de los Ninos”. Chodźmy. – Wziął mnie pod ramię. – Obejrzymy pozostałą część terenu.

Skierowaliśmy się ku basenowi.

– Z tego, co słyszałem – stwierdziłem – Wielebny McCaffrey jest niezwykle skuteczny, gdy trzeba zdobyć trochę pieniędzy.

Kruger posłał mi spojrzenie z ukosa, szacując intencję moich słów.

– Rzeczywiście. To cudowny człowiek, ceniony i lubiany. Niestety, szukanie funduszy pochłania większą część jego czasu. Naprawdę nie jest mu łatwo. Wie pan, Wielebny Gus prowadził podobny dom dziecka w Meksyku, lecz musiał go zamknąć. Nie otrzymał wsparcia ze strony rządu, a ludzie biznesu wzruszali tylko ramionami, myśląc zapewne: „Niech sobie chłopcy zdychają z głodu”.

Staliśmy teraz obok basenu. W wodzie odbijał się niewyraźnie pobliski las – zielono-czarny, cętkowany smugami w odcieniu szmaragdu. W powietrzu wisiał silny zapach chloru zmieszanego z potem. Samotny mężczyzna nadal pływał w tę i z powrotem stylem motylkowym, w który wkładał sporo wysiłku.

– Hej, Jumbo! – zawołał mój towarzysz.

Pływak dotarł do dalszego końca, podniósł głowę z wody i zobaczył, że Kruger do niego macha. Bez wysiłku podpłynął do nas, położył ręce na obrzeżu basenu i wysunął się z wody, obnażając pierś. Miał nieco powyżej czterdziestu lat, był brodaty i muskularny. Jego mocno opalone ciało pokrywały mokre, splątane włosy.

– Witaj, Tim.

– Doktorze Delaware, to jest Jim Halstead, nasz główny trener. Jim, doktor Delaware.

– Właściwie jestem waszym jedynym trenerem. – Halstead mówił niskim głosem, który wydobywał mu się głęboko z brzucha. – Uścisnąłbym panu dłoń, ale niestety, moja jest trochę wilgotna.

– Nie ma sprawy. – Uśmiechnąłem się.

– Doktor Delaware jest psychologiem dziecięcym, Jim. Zwiedza „La Casa”, ponieważ chciałby wstąpić do Brygady Dżentelmenów.

– Cieszę się, że pana poznałem, i mam nadzieję, że się pan do nas przyłączy. Pięknie tutaj, prawda? – Wyciągnął długie brązowe ramię i wskazał na niebo nad Malibu.

– Wspaniale.

– Jim pracował kiedyś w centrum miasta – poinformował mnie Kruger. – W szkole Manual Arts High. Potem zmądrzał.

Halstead roześmiał się.

– Zbyt długo tam pracowałem. Jestem spokojnym facetem, ale kiedy jakiś małopolud grozi mi nożem tylko za to, że kazałem mu zrobić kilka pompek, trochę się wściekam.

– Jestem pewien, że tu się panu nic takiego nie przydarzy – zauważyłem.

– Z pewnością – zahuczał. – Ci mali faceci się wspaniali.

– No właśnie. Przypomniałem sobie, Jim – przerwał nam Kruger – że muszę z tobą porozmawiać na temat programu zajęć dla Rodneya Broussarda. Trzeba zwiększyć jego pewność siebie.

– Ekstra.

– Pogadamy później, Jim.

– W porządku. Proszę znowu nas odwiedzić.

Włochate cielsko niczym lśniaca torpeda zanurzyło się w wodę i pomknęło w stronę drugiego

brzegu basenu.

Przeszliśmy ze czterysta metrów wzdłuż skraju ośrodka. Kruger pokazał mi nieskazitelnie biały budynek szpitalny oraz maleńką izbę przyjęć z biurkiem i kozetką. Pomieszczenie połyskiwało metalicznie i zalatywało środkiem odkażającym. Nie było w nim nikogo.

– Zatrudniamy na pół etatu dyplomowaną pielęgniarkę. Przyjmuje rano. Z oczywistych względów nie możemy sobie pozwolić na lekarza.

Zastanawiałem się, dlaczego „Majestic Oil” albo jakiś inny sponsor nie zapłaci choćby za pół lekarskiej pensji.

– Mamy jednak szczęście, ponieważ utrzymujemy kontakty z lekarzami, którzy badają i leczą nasze dzieci za darmo. Niektórzy są bardzo znani i cenieni w swoim środowisku. Stworzyliśmy harmonogram przyjęć, aby stale któryś z nich był pod ręką.

Kiedy szliśmy, minęła nas grupka dzieci i ich opiekunów. Kruger pomachał im ręką, opiekunowie odpowiedzieli pozdrowieniem. Spora część dzieci zachowywała się obojętnie. Tak jak przewidywała Olivia – potwierdził to Kruger – większość cierpiała z powodu widocznych ułomności psychicznych bądź fizycznych. Chłopców było trzy razy więcej niż dziewcząt, przeważającą liczbę stanowili czarnoskórzy i Latynosi.

Kruger wprowadził mnie do stołówki, bardzo czystego, wysokiego pomieszczenia o stiukowych ścianach. Milczące Meksykanki beznamiętnie czekały za szklaną przegrodą z nabierkami w rękach. Posiłek był typowy dla tego typu instytucji: gulasz, na który składały się mięsne odpadki i rozgotowane warzywa w gęstym sosie, oraz galaretka.

Usiadłem przy plastikowym stoliku, a Kruger poszedł za kontuar i wszedł do tylnego pomieszczenia. Wyłonił się z tacą duńskich ciasteczek i kawą. Ciasto wyglądało świetnie i z pewnością nie było przeznaczone dla pensjonariuszy „La Casa”.

Po przeciwnej stronie stołówki przy stoliku siedziała, bacznie obserwowana przez dwóch opiekunów grupa dzieci spożywających posiłek. Przychodziło im to z wielkim trudem, ponieważ nawet z oddali dostrzegłem, że cierpią na porażenie mózgowe. Niektóre z nich miały chorobliwie zeszywniałe mięśnie, inne nie panowały nad ruchami głowy i kończyn i prawdziwym problemem było dla nich przeniesienie łyżeczki z gulaszem z talerza do ust. Opiekunowie przypatrywali się wysiłkom swoich podopiecznych, czasem zachęcali dzieci w kilku słowach. Żaden jednak nie pomagał malcom, toteż wiele sosu i galaretki lądowało na podłodze.

Kruger wgryzał się z zapałem w czekoladowe ciastko. Wziąłem cynamonową bułkę i dziobałem ją bez przekonania. Mój towarzysz nalał kawy do filiżanek i spytał, czy mam jeszcze jakieś pytania.

– Nie. Cały ośrodek wygląda imponująco.

– To świetnie. W takim razie opowiem panu teraz o Brygadzie Dżentelmenów.

Przekazał mi skróconą historię grupy ochotniczej, kładąc nacisk na mądrość Wielebnego Gusa, który odkrył możliwość współpracy z lokalnymi przedsiębiorstwami.

– Dzentelmeni to ludzie, którym powiodło się w życiu. To jedyni mężczyźni spoza ośrodka, których widuje znaczna część naszych podopiecznych. Dzieci mogą się na nich wzorować, ponieważ ci ludzie czegoś dokonali, stanowią śmietankę naszej społeczności i uosabiają sukces. Dzentelmeni spędzają z naszymi wychowankami czas tutaj, w „La Casa”, oraz zabierają je na wycieczki: na mecze, do kina, na dziecięce sztuki, do Disneylandu. I do własnych domów na rodzinne kolacje. Dzieci poznają życie, o którym dotąd nie miały pojęcia. Wielu mężczyzn cieszy się, że może pomóc. Podpisują umowę na sześć miesięcy, choć pożądane jest uczestnictwo w programie przynajmniej przez rok.

– Czy dzieci nie odczuwają frustracji? – spytałem. – Poznają przecież smak dobrego życia, które znajduje się tak daleko poza ich zasięgiem.

Miał przygotowaną odpowiedź.

– Dobre pytanie, doktorze. My jednak wcale nie uważamy, że jest poza ich zasięgiem. Chcemy, by dzieci czuły, że ogranicza je jedynie własny brak motywacji i że powinny wziąć za siebie odpowiedzialność. Że mogą sięgnąć niebios... Tak brzmi tytuł książki napisanej dla dzieci przez Wielebnego Gusa: Sięgnąć niebios. Są w niej rysunki, gry i strony do kolorowania. Uczymy naszych wychowanków pozytywnego nastawienia.

Prawdziwy Norman Vincent Peale „doprawiony” szczyptą żargonu charakterystycznego dla psychologii humanistycznej. Rozejrzałem się uważnie i zobaczyłem, jak dzieci z porażeniem usiłują coś zjeść. Byłem pewien, że żaden kontakt z członkami klasy uprzywilejowanej nie przybliży ich do członkostwa w klubie jachtowym, nie da zaproszenia do San Marino na arystokratyczny Bal Debiutantek ani mercedesa w garażu.

W ich sytuacji nie wystarczy pozytywne myślenie.

Kruger jednak twardo trzymał się scenariusza. Musiałem przyznać, że jest diabelnie dobrze przygotowany, przeczytał najwyraźniej wszystkie właściwe czasopisma i potrafił cytować statystyki niczym kilkuletni geniusz związany z Korporacją Randa. Był wygadany jak mało kto i bardzo przekonujący.

– Mogę panu jeszcze czymś służyć? – spytał, gdy skończył drugie ciastko. Ja nie zjadłem nawet połowy pierwszego.

– Nie, dziękuję.

– Zatem wracajmy. Dochodzi czwarta.

Pozostały teren przeszliśmy bardzo szybko. Dostrzegłem klatkę z kurami, które dziobały kraty niczym gołębnie Skinnera, zjadającą odpadki kozę na długim postronku, chomiki kręcące się bez końca po plastikowych kółkach i bassethounda, który bez przekonania ujadał w ciemniejące niebo. Szkoła mieściła się w dawnych barakach, sala gimnastyczna jak zostałem poinformowany –

w magazynie z czasów drugiej wojny. Wszystkie budynki zostały zręcznie i twórczo zmienione przez kogoś pomysłowego. Skomplementowałem projektanta.

– Och, tę pracę wykonał sam Wielebny Gus. Jego ręce odcisnęły ślad na każdym centymetrze naszego ośrodka. Proszę mi wierzyć, to naprawdę wybitny człowiek.

Kiedy wracaliśmy do biura McCaffreya, jeszcze raz zwróciłem uwagę na zajmujące skraj lasu budynki z kruszywa żużlowego. Z bliska zauważyłem, że mają betonowe dachy, są pozbawione okien i wyglądają jak bunkry na wpół wkopane w ziemię; do żelaznych drzwi każdego z nich prowadziły tunelowe rampy. Ponieważ Kruger nie wspomniał o budowlach, więc tym razem spytałem go o nie wprost.

Spojrzał przez ramię.

– Magazyny – odparł wymijająco. – Chodźmy. Musimy wracać.

Zatoczyliśmy pełne koło i znów trafiliśmy do pomalowanego w obłoczki budynku administracyjnego. Kruger wprowadził mnie do środka, uścisnął dłoń, powiedział, że ma nadzieję na następne spotkanie, a testy podrzuci podczas mojej rozmowy z Wielebnym. Potem przekazał mnie miłej, starszej recepcjonistce, która oderwała się od pisania na maszynie marki Olivetti i poprosiła słodko, bym poczekał kilka sekund na „Wielkiego Człowieka”.

Wziąłem egzemplarz „Fortune” i intensywnie usiłowałem się skupić na problemie wykorzystania mikroprocesorów w przemyśle maszynowym, ale słowa rozmazywały się i zmieniały w galaretowate szare plamy. Nowoczesny żargon techniczny okazał się dla mnie absolutnie niezrozumiały.

Ledwie chwilę odpocząłem, gdy otworzyły się drzwi. Najwyraźniej w „La Casa de los Ninos” wysoko ceniono punktualność. Zacząłem się czuć jak kawał surowca – nieważne jakiego – który układano na linii montażowej, modelowano, przekształcano, hartowano i kontrolowano.

– Wielebny Gus spotka się teraz z panem – oznajmiła starsza pani.

Pomyślałem, że nadszedł czas na ostateczną ocenę obrobionego produktu.

Rozdział 16

Gdybyśmy stali na zewnątrz, McCaffrey zasłoniłby mi słońce.

Miał prawie dwa metry wzrostu, ważył sporo ponad sto trzydzieści kilo i przypominał bladą górę o kształcie gruszki. Ubrany był w płowy garnitur, białą koszulę i czarny jedwabny krawat szerokości hotelowego ręcznika do rąk. Na nogach miał jasnobrązowe półbuty rozmiaru małych kajaków. Jego ręce skojarzyły mi się z bliźniaczymi workami pełnymi piasku. Stojąc w progu, Wielebny Gus wypełnił cały otwór drzwiowy. Wpatrzyłem się w czarne rogowe okulary na mięsistym nosie, który dzielił na połowę twarz grudkowatą jak tapiokowy pudding. Na obwisłych policzkach mężczyzny dostrzegłem narośla, pieprzyki i rozszerzone pory. Afrykańskie pochodzenie sugerowały: płaskość nosa, pełne usta – ciemne i wilgotne niczym surowa wątróbka – oraz mocno skręcone włosy koloru zardzewiałych rur. Oczy zaś były jasne, prawie pozbawione koloru. Widziałem już kiedyś takie oczy. Miała je leżąca w łodzi barwena.

– Dzień dobry, doktorze Delaware. Jestem Augustus McCaffrey.

Ręka Wielebnego mocno ścisnęła moją. Mówił dziwnie cicho. Patrząc na tego olbrzyma, spodziewałem się głosu przywodzącego raczej na myśl okrętową syrenę, a McCaffrey odezwał się zadziwiająco lirycznie, ledwie barytonem, złagodzone dodatkowo leniwą intonacją charakterystyczną dla głębokiego Południa; uznałem, że mój rozmówca pochodzi z Luizjany.

– Proszę wejść.

Wszedłem za nim do biura, czując się jak mały Hindus podążający za słoniem. Pomieszczenie było ogromne, o wielkich oknach, lecz nie bardziej eleganckie niż poczekalnia. Sufit sali był opuszczony: perforowane białe kwadraty zatopione w aluminiowej kratce. Ściany obito tym samym sztucznym dębem co poczekalnię, brakowało jakichkolwiek ozdób z wyjątkiem wielkiego drewnianego krucyfiks zawieszzonego nad prostokątnym, formikowo-stalowym biurkiem, które wydawało się pochodzić z wyprzedaży nadwyżek rządowych. Za biurkiem znajdowały się drzwi.

Usiadłem na jednym z trzech obitych materiałem krzeseł. McCaffrey usadowił się na obrotowym fotelu (straszliwie zajęczał pod jego ciężarem), splótł palce i oparł się o biurko, które wyglądało pod nim jak dziecięcy mebelek.

– Ufam, że Tim wszystko panu pokazał i odpowiedział na pańskie pytania.

– Był bardzo pomocny.

– To-dob-rze – przesylabizował. – Tim jest niezwykle zdolnym, młodym człowiekiem. Zresztą, bardzo starannie dobieram swój personel. – Spojrzał na mnie przez, zmrużone oczy. – Podobnie jak naszych ochotników. Pragniemy dla naszych dzieci tylko tego, co najlepsze. – Rozsiadł się wygodnie i oparł ręce na brzuchu. – Jestem ogromnie zadowolony, że człowiek z pańską reputacją pragnie się do nas przyłączyć, doktorze. W Brygadzie Dżentelmenów nigdy nie było dziecięcego psychologa. Tim mówił mi, że przeszedł pan na emeryturę.

Przyjrzał mi się wesoło. Zrozumiałem, że chce, bym się wytłumaczył ze swojej decyzji.

– Tak, to prawda.

– Hmm. – Podrapał się za uchem, nadal uśmiechnięty. Czekał. Oddałem mu uśmiech. – Wie pan – odezwał się w końcu – kiedy Tim wspomniał o pana wizycie, pańskie nazwisko wydało mi się znajome. Nie potrafiłem go jednak dopasować do żadnej sprawy. I nagle, zaledwie przed kilkoma minutami, przypomniałem sobie. Prowadził pan sesje z ofiarami skandalu związanego z pewnym przedszkolem, prawda?

– Tak.

– Świetna robota. Jak sobie radzą te dzieci?

– Całkiem dobrze.

– Przeszedł pan na emeryturę wkrótce po zakończeniu programu, zgadza się?

– Tak.

Wielebny Gus potrząsnął smutno ogromną głową.

– Tragiczne zdarzenie. O ile dobrze pamiętam, ów przestępca popełnił samobójstwo.

– Rzeczywiście.

– Podwójna tragedia. Molestowane maluchy i człowiek, który nie miał szans na zbawienie. Albo – uśmiechnął się – używając świeckiego terminu... na resocjalizację. Zbawienie i resocjalizacja oznaczają jedno i to samo, nie sądzi pan, doktorze?

– Dostrzegam pewne podobieństwa w tych dwóch pojęciach.

– Oczywiście, że tak! Wszystko zależy od punktu widzenia. Przyznam – westchnął – że czasami trudno mi zapomnieć o moim religijnym wykształceniu, zwłaszcza gdy mam do czynienia ze skomplikowanymi przykładami relacji międzyludzkich. Staram się, rzecz jasna, panować nad słownictwem, znam bowiem wstręt naszego społeczeństwa wobec nawet minimalnych ingerencji kościoła w życie publiczne.

McCaffrey nie skarżył się. Jego szeroka twarz była zupełnie spokojna, wypieszczona przez słodki owoc męczeństwa. Wielebny wydawał się z siebie zadowolony, niczym hipopotam pławiący się w rozgrzanym słońcem błocie.

– Sądzi pan, że takiego człowieka – tego samobójcę – można by zresocjalizować? – spytał mnie.

– Trudno powiedzieć. Nie znałem go. Jednakże statystyki związane z leczeniem zadeklarowanych pedofilów nie są zbyt zachęcające.

– Statystyki. – Przez chwilę zastanawiał się nad tym słowem, a równocześnie cieszył się brzmieniem własnego głosu. – Statystyki to zimne liczby, nieprawdaż? Nie skupiają się na jednostkach. Tim twierdzi, że statystyka na poziomie matematycznym nie ma właściwie najmniejszego związku z jednostką. Zgadza się?

– Tak.

– Kiedy ludzie cytują dane statystyczne, przypomina mi się dowcip o Okie, tępej farmerce z Oklahomy. Dowcipy o niej były modne swego czasu. Okie bez żadnych problemów urodziła dziesięcioro dzieci, ale bardzo ją poruszyła wiadomość, że nosi w swoim łonie jedenaste. Doktor spytał ją, dlaczego się tak denerwuje, przecież przechodziła już ciążę i poród dziesięć razy, a ona mu odpowiedziała: „Przeczytałam, że co jedenaste dziecko urodzone w Oklahomie jest Indianinem. Jeszcze nie zgłupiałam, żeby wychowywać czerwonoskórego!” – McCaffrey roześmiał się serdecznie. Jego brzuch zakołysał się, oczy zwięziły w czarne szparki, a okulary zsunęły się na nos; poprawił je. – W ten sposób, doktorze, można podsumować moje poglądy na temat statystyki. Wie pan, że większość dzieci zjawiało się w „La Casa” wraz ze swoimi danymi – aktami Sądu dla Nieletnich, kwestionariuszami pracowników socjalnych Departamentu Opieki Społecznej, wynikami testów na inteligencję. We wszystkich tych dokumentach znajdowały się liczby, które mówiły, że dla tych dzieci nie ma nadziei. Tym niemniej przyjęliśmy maluchów do siebie i zawzięcie z nimi pracujemy, aby zmienić statystyki. Nie obchodzą mnie wyniki testów danego dziecka, gdyż uważam, że każde ma prawo do życia, i pragnę nauczyć je jak egzystować w naszym społeczeństwie. To są istoty ludzkie, którym trzeba zapewnić opiekę zdrowotną i społeczną oraz – wyrażam tu oczywiście jedynie osobistą opinię – zbawić duszę. Uważam bowiem, że każde z tych dzieci ją posiada, nawet te, które z pozoru jedynie wegetują niczym warzywo.

– Zgadzam się, że liczby nie wyrażają wszystkiego – przyznałem, pamiętając, że przedstawiciel Wielebnego, Kruger, całkiem chętnie posługiwał się danymi statystycznymi, kiedy tylko służyły jego celom. W dodatku mógłbym się założyć, że znalazłbym w „La Casa” kilka komputerów, dzięki którym w razie potrzeby łatwo byłoby przywołać niezbędne cyfry.

– Zmian dokonuje człowiek. Życie łączy się ze swego rodzaju alchemią. Dlatego samobójstwo – każde samobójstwo – głęboko mnie zasmuca. Uważam bowiem, że zbawienie należy się wszystkim ludziom. Ten człowiek był mięczakiem, prawda? Ale cóż – obniżył głos – tacy są współcześni mężczyźni, zgodzi się pan, doktorze? Ta postawa stała się wręcz modna. Mężczyźni rezygnują z wszelkich działań, jeśli tylko wymaga się od nich najmniejszego wysiłku. Każdy pragnie szybkich i łatwych rozwiązań.

Bez wątpienia miał również na myśli tych, którzy przechodzą na emeryturę w wieku trzydziestu trzech lat.

– Na terenie ośrodka codziennie zdarzają się małe cuda. Rozwijają się dzieci, które z pozoru nie miały szans na poprawę zdrowia umysłowego. Chłopiec, który nie potrafił utrzymać moczu, zaczyna nagle kontrolować własny pęcherz. – Przerwał, niczym polityk czekający na oklaski po wyjątkowo błyskotliwej ripocie. – Tak zwane dzieci upośledzone psychicznie uczą się czytać i pisać. Ktoś może powiedzieć, cóż to za cuda w porównaniu ze spacerem po Księżycu. – W zdziwieniu uniósł brwi i otworzył grube usta, ukazując szeroko rozstawione, końskie zęby. – Oczywiście, doktorze,

jeśli uważa pan słowo cud za zbyt sekiarskie, możemy je zastąpić wyrazem „sukces”. Z tym terminem przeciętny Amerykanin może się identyfikować. Sukces.

Gdyby ktoś inny wygłosił taką orację, nikt by się nad nią nie zastanawiał dłużej niż chwilę. Jednak McCaffrey mówił z entuzjazmem, był przekonujący, a jego słowa przepajało przeświadczenie, że ludzie powinni wypełniać wyznaczoną przez niego świętą misję.

– Mogę spytać – zagaił uprzejmie – dlaczego przeszedł pan na emeryturę?

– Chciałem zwolnić tempo. Wielebny. Potrzebowałem czasu, by uporządkować sobie własną hierarchię wartości.

– Rozumiem. Refleksja nad sobą bywa niezwykle cenna. Mam wszakże nadzieję, że nie będzie pan zbyt długo unikał swoich zawodowych obowiązków. Potrzebujemy dobrych specjalistów w pańskiej dziedzinie.

Nadal wygłaszał kazanie, teraz jednak włączył do swojej mowy pochlebstwa pod moim adresem. Zrozumiałem, dlaczego kochali go dyrektorzy przedsiębiorstw.

– Istotnie chciałbym ponownie podjąć pracę z dziećmi i dlatego zadzwoniłem do La Casa”.

– Cudownie, cudownie. Strata środowiska psychologicznego będzie naszym zyskiem. Pracował pan w Zachodnim Centrum Pediatrycznym, prawda? Chyba pamiętam to z gazet.

– Tak. Miałem też praktykę prywatną.

– Pierwszorzędny szpital. Wysyłamy do niego nasze dzieci, kiedy wymagają hospitalizacji. Znam tam wielu lekarzy. Są naprawdę wspaniali i dają z siebie wszystko.

– To bardzo zajęci ludzie, Wielebny. Najwyraźniej potrafi pan ich namówić do takiego poświęcenia.

– Właściwie nie muszę. Po prostu natychmiast rozpoznaję podstawową ludzką potrzebę dawania czy też – jeśli pan woli to określenie – pęd do altruizmu. Wiem, że wiele nowoczesnych teorii psychologicznych łączy pomoc drugiemu człowiekowi z chęcią samozadowolenia darczyńcy. Żywię jednak przekonanie, iż mam rację. Altruizm jest tak podstawowy jak głód i pragnienie. Pan, na przykład, zaspokoił w sobie potrzebę altruizmu już poprzez wybór zawodu. Kiedy jednak przestał pan pracować, głód wrócił. I tak – wyciągnął rękę – trafił pan do nas.

Otworzył szufladę biurka, wyjął z niej broszurkę i wręczył mi. Była ilustrowana, starannie wykonana i lśniąca jak kwartalny raport koncernu przemysłowego.

– Na stronie szóstej znajdzie pan częściowy spis członków naszej rady nadzorczej.

Znalazłem go. Jak na częściową, lista była długa – spisana małym drukiem, biegła przez całą długość strony. Była też doprawdy imponująca. Widniały na nich nazwiska dwóch członków rady hrabstwa, przedstawiciela rady miejskiej, burmistrza, sędziów, znanych filantropów, bogaczy

z przemysłu rozrywkowego, adwokatów, biznesmenów i spora grupa doktorów medycyny. Wśród tych ostatnich rozpoznałem wiele nazwisk. Na przykład Lionela Willarda Towle'a.

– Wszyscy oni są bardzo zapracowanymi ludźmi, doktorze. A jednak znajdują czas dla naszych dzieci. Dzieje się tak dlatego, ponieważ potrafimy dotrzeć do ich wewnętrznego bogactwa, do źródła obfitości, które nazywam altruizmem.

Przekartkowałem kilka stron. Dostrzegłem list poparcia od gubernatora, wiele zdjęć dzieci bawiących się i jeszcze więcej fotek McCaffreya. Wielebny w prążkowanym garniturze w programie Phila Donahue, Wielebny w smokingu na imprezie charytatywnej w Music Center, w stroju do joggingu wraz z grupą młodych wychowanków „La Casa” przy podium podczas Olimpiady Specjalnej. McCaffrey z osobowościami telewizyjnymi, działaczami organizacji praw człowieka, piosenkarzami muzyki country i prezesami banków.

W połowie broszury znalazłem zdjęcie Wielebnego w pomieszczeniu, które rozpoznałem jako salę wykładową w Zachodnim Centrum Pediatrycznym. Z jednej strony McCaffreya stał białowłosy Towle, z drugiej mały człowieczek, ropuchowaty i przysadzisty; miał groźną minę, chociaż jego twarz zdobił uśmiech. Facet z oczami Petera Loire'a, ten, którego fotografię widziałem w biurze Towle'a. Z podpisu pod zdjęciem dowiedziałem się, iż jest to czcigodny sędzia Edwin G. Hayden, przewodniczący Sądu dla Nieletnich. Ta trójka spotkała się z okazji wykładu McCaffreya dla personelu medycznego. Temat brzmiał: „Dobro dziecka: przeszłość, teraźniejszość, przyszłość”.

– Czy doktor Towle jest bardzo zaangażowany w sprawy „La Casa”? – spytałem.

– Zasiada w radzie nadzorczej i jest jednym z naszych dyżurnych lekarzy. Zna go pan?

– Spotkaliśmy się. Przypadkowo. Znam raczej jego reputację.

– Tak, to autorytet w dziedzinie pediatrii behawioralnej. Jego usługi dla nas są nieocenione.

– Na pewno.

Przez następny kwadrans Wielebny pokazywał mi swoją książkę – wydrukowany na miejscu tom cukierkowych komunałów i pierwszorzędných grafik w miękkiej oprawie. Kupiłem egzemplarz za piętnaście dolarów, gdy McCaffrey przedstawił mi bardziej wyszukaną wersję wykładu na temat braku funduszy, który słyszałem już od Krugera. Wiarygodności przemowy sprzyjał wygląd biura przywodzący na myśl dział wyprzedaży. Zresztą, miałem już dość kazań na temat pozytywnego myślenia i pomyślałem, że piętnaście dolarów stanowi niewielką cenę za upragnione wytchnienie.

Wielebny wziął trzy pięciodolarowe banknoty, zwinął je i włożył do skarbonki stojącej w widocznym miejscu na biurku. Pojemniczek był oblepiony wizerunkiem poważnego dziecka. Pomyślałem o Melody Quinn, której oczy były równie ogromne, błyszczące i zdolne wyrażać wewnętrzny ból.

McCaffrey wstał, podziękował mi za spotkanie, po czym chwycił moją dłoń w obie ręce.

– Mam nadzieję, że będziemy się często widywać, doktorze.

Uśmiechnąłem się.

– Bardzo bym chciał. Wielebny.

Gdy wszedłem do poczekalni, starsza pani z recepcji już na mnie czekała, trzymając w dłoniach plik broszurek i dwa dobrze zaostrzone miękkie ołówki.

– Proszę je wypełnić na miejscu, doktorze Delaware – powiedziała słodko.

Popatrzyłem na zegarek.

– O rany! Zrobiło się znacznie później, niż sądziłem. Będę musiał zająć się nimi kiedy indziej.

– Ale... – Zarumieniła się.

– Może wezmę je ze sobą do domu? Wypełnię i odeślę pani pocztą.

– Och, nie, to niedopuszczalne! To przecież testy psychologiczne! – Przycisnęła papiery do piersi.

– Zgodnie z zasadami musi pan je wypełnić tutaj.

– No cóż, w takim razie będę zmuszony przyjechać tu jeszcze raz. – Zbierałem się do wyjścia.

– Proszę poczekać. Muszę kogoś poprosić o zgodę. Zapytam Wielebnego Gusa, czy to...

– Powiedział, że zamierza przez jakiś czas oddać się medytacji. Chyba pragnie odpocząć i nie chce, by mu przeszkadzano.

– Och. – Była naprawdę zdezorientowana. – Muszę jednak kogoś zapytać. Proszę tu poczekać, doktorze, poszukam Tima.

– Jasne.

Kiedy odeszła, nie zauważony wysliznąłem się przez drzwi.

Słońce prawie już zaszło. Kończył się dzień i stopniowo zaczynał zapadać zmierzch, świat stawał się coraz bardziej zamazany.

W drodze do samochodu towarzyszyło mi poczucie niepewności. Spędziłem trzy godziny w „La Casa” i odkryłem, że Wielebny Augustus McCaffrey jest przebiegłym, starym wyjadaczem, którego charakteryzuje przerost charyzmy. Zadał sobie trud sprawdzenia mnie i chciał, żebym o tym wiedział. Ale przecież tylko paranoik mógłby dostrzec w tym coś złowróżbnego. McCaffrey popisywał się przede mną, dając mi do zrozumienia, jak wspaniale jest poinformowany i przygotowany. Taki sam cel pragnął osiągnąć, gdy zarzucił mnie nazwiskami przyjaciół na wysokich stanowiskach. Czułem, że stoczyłem z nim psychologiczny pojedynek. Władza szanuje władzę, siła przyciąga siłę. McCaffrey sądził najwyraźniej, że liczba koneksji jest wprost proporcjonalna do zdobywanych nowych kwot.

A potrafił zyskać naprawdę sporo pieniędzy. Także dzięki stojącej na biurku skarbnice ze zdjęciami smutnookich sierotek.

Wsunąłem kluczyk w zamek drzwiczek Seville, rozglądając się po terenie ośrodka. Wyglądał na pusty i cichy, niczym dobrze prowadzona farma po skończonej pracy. Prawdopodobnie była pora kolacji. Dzieci w stołówce siedzą pewnie pod czujnym wzrokiem opiekunów, a Wielebny Gus wygłasza błyskotliwe błogosławieństwo.

Poczułem się głupio.

Już miałem otworzyć drzwiczki, kiedy przelotnie dostrzegłem jakiś ruch w pobliżu przypominającego las Gaju, kilkaset metrów ode mnie. Nie miałem pewności, lecz odniosłem wrażenie, że toczy się tam jakaś walka; do moich uszu dotarł dźwięk stłumionych krzyków.

Włożyłem kluczyki do kieszeni i rzuciłem egzemplarz książki McCaffreya na żuźlową nawierzchnię parkingu. W zasięgu wzroku nie widziałem nikogo z wyjątkiem strażnika w budce przy wjeździe, jednak mężczyzna patrzył w przeciwnym kierunku. Wiedziałem, że muszę podejść do krawędzi Gaju nie zauważony. Zacząłem ostrożnie schodzić ze wzgórza, na którym mieścił się parking. Starłem się trzymać w cieniu budynków. Kształty w oddali poruszyły się, choć bardzo powoli.

Przycisnąłem się do flamingowo-różowej ściany najbardziej południowej sypialni i dotarłem do jej końca. Ziemia była tu wilgotna i gąbczasta, powietrze zgniłe od wyziewów dochodzących z pobliskiego śmietnika. Ktoś próbował napisać na metalowej ścianie „FUCK” różową farbą, lecz nierówna powierzchnia nie sprzyjała malunkom i napis wyglądał jak nabazgrany kurzym pazurem.

Dźwięki stały się teraz wyraźniejsze i głośniejsze. Krzyki były zdecydowanie rozpaczliwe – zwierzęce. Skamlenie i żałosne zawodzenie.

Dostrzegłem trzy ludzkie sylwetki: dwie duże i jedną znacznie mniejszą. Mała wydawała się wisieć w powietrzu.

Podszedłem jeszcze kilka kroków i wyjrzałem za róg. Trzy postaci przemknęły w odległości dziesięciu metrów ode mnie, wzdłuż południowej granicy ośrodka. Minęły betonowy teren obok basenu i nagle znalazły się w jasnożółtym świetle antymoskitowych lampek zawieszonych na okapie pływalni.

Właśnie wtedy zobaczyłem wyraźnie całą trójkę oświetloną cytrynowym światłem.

Małą figurką okazał się Rodney, którego niosło dwóch dorosłych mężczyzn. Za jedno ramię trzymał go trener Halstead, za drugie – Tim Kruger. Stopy chłopca dyndały kilka centymetrów nad ziemią.

Mężczyźni byli silni, lecz Rodney nie przestawał z nimi walczyć. Wił się i kopał jak fretka we wnykach. Nagle otworzył usta, z których wydobyły się niewyraźne jęki. Halstead zacisnął mu buzię

włochatą łapą, dziecko zdołało się jednak wyszarpnąć i znowu krzyknęło. Halstead ponownie położył mu rękę na ustach.

Cała trójka oddalała się od światła i ode mnie. Towarzyszyły im słabnące odgłosy dławionego krzyku i tłumionych chrząknięć. W pewnej chwili wszystko ucichło.

Stałem wsłuchany w ciszę, oparty o ścianę i zlany potem; moje ubranie było wilgotne i lepiło się do ciała. Chciałem dokonać jakiegoś bohaterskiego czynu, wyrwać się z otępiającej inercji, która więziła moje kostki niczym schnący cement.

Wiedziałem jednak, że nie potrafię uratować chłopca. Nie byłem typem wojownika. Gdybym podążył za tą trójką, na pewno otrzymałbym racjonalne wytłumaczenie postępowania mężczyzn z Rodneyem, a następnie stado strażników szybko wyprosiłoby mnie z terenu ośrodka. Dokładnie zapamiętałiby moją twarz i bramy „La Casa” na zawsze by się przede mną zamknęły.

Nie mogłem sobie pozwolić na takie ryzyko. Jeszcze nie teraz.

Postałem więc przez chwilę, przyciśnięty do ściany, niemal przykuty do tego milczącego, wymarłego miejsca. Czułem się chory i bezradny. Zacisnąłem pięści, aż zaboląły, i wsłuchałem się w szybkie, urywane odgłosy własnego oddechu, które brzmiały jak skrobanie butów na kamienistej alei.

Postanowiłem zapomnieć o szarpiącym się chłopcu.

Kiedy upewniłem się, że wokół mnie panuje absolutna cisza, wróciłem ostrożnie do samochodu.

Rozdział 17

Gdy zadzwoniłem po raz pierwszy, o ósmej rano, na Uniwersytecie stanu Oregon nikt nie podniósł słuchawki. Pół godziny później miałem więcej szczęścia.

– Dzień dobry. Pedagogika.

– Dzień dobry, nazywam się doktor Gene Adler. Dzwonię z Oddziału Psychiatrycznego Zachodniego Centrum Pediatricznego w Los Angeles. Szukamy odpowiedniej osoby na stanowisko rzecznika. Jeden z naszych kandydatów zaznaczył w swoim życiorysie, że otrzymał dyplom magistra pedagogiki na waszym wydziale. Chciałem sprawdzić tę informację. Czy pani może mi ją potwierdzić?

– Przełączę pana do Marianne, do działu odpisów.

Marianne miała ciepły, przyjazny głos, jednak kiedy powtórzyłem jej swoją opowieść, odparła stanowczo, że niezbędna jest prośba na piśmie.

– Rozumiem – przyznałem – niestety, na to potrzeba czasu. O wymienione przeze mnie stanowisko ubiega się wiele osób. Chcielibyśmy wybrać nowego rzecznika w przeciągu dwudziestu czterech godzin. Weryfikacja danych to zwykle czysta formalność, ale jesteśmy do niej zobowiązani. Jeśli pani woli, poproszę kandydata, aby sam do pani zadzwonił. Na pewno się zgodzi, przecież mu zależy.

– No cóż... Chyba nie ma potrzeby. Pragnie pan jedynie wiedzieć, czy dana osoba uzyskała stopień magistra, zgadza się? Nic bardziej osobistego?

– Nie.

– Nazwisko kandydata?

– Timothy Kruger. Twierdzi, że obronił pracę magisterską cztery lata temu.

– Chwileczkę.

Nie było jej przez dziesięć minut, a kiedy wreszcie się odezwała, była zdenerwowana.

– No cóż, doktorze, pana niepokój okazał się uzasadniony. W ostatnich dziesięciu latach z pewnością nikt o tym nazwisku nie uzyskał magisterium na naszym wydziale. Mam akta niejakiego Timothy’ego Jaya Krugera, który studiował u nas przez krótki czas cztery lata temu na kierunku pedagogiki ogólnej. Porzucił studia po jednym semestrze.

– Rozumiem. Jestem bardzo zdziwiony. Wiadomo, dlaczego odszedł?

– Nie. Czy ma to teraz znaczenie?

– Nie, nie, przypuszczam, że nie... I jest pani absolutnie pewna? Nie chciałbym niszczyć panu Krugerowi kariery...

– Nie mam żadnych wątpliwości. – W jej głosie usłyszałem urazę. – Sprawdziłam dwukrotnie, doktorze, później spytałam dziekana naszego wydziału, doktora Gowdy’ego, który zapewnił mnie, że żaden Timothy Kruger nie ukończył tutejszej uczelni.

– Cóż, to zmienia postać rzeczy. Cała sprawa rzuca zupełnie nowe światło na pana Krugera. Mogłaby pani sprawdzić dla mnie jeszcze jedną rzecz?

– Co takiego?

– Pan Kruger wymienił także bakalaureat w dziedzinie psychologii z Jedson College w stanie Waszyngton. Czy może pani mi potwierdzić tę informację?

– Powinien o tym wspomnieć w podaniu na studia. Chyba mam odpis, chociaż nie rozumiem, do czego jest panu potrze...

– Widzi pani, Marianne, będę musiał zgłosić Stanowej Radzie Nauk Społecznych próbę oszustwa dokonaną przez tego młodego człowieka... Wolałbym znać wszystkie fakty.

– Rozumiem. Proszę poczekać, sprawdzę.

Tym razem wróciła po krótkiej chwili.

– Mam przed sobą odpis z Jedson, doktorze. Pan Kruger rzeczywiście otrzymał bakalaureat, ale nie z psychologii.

– A z czego?

Roześmiała się.

– Wydział dramatyczny. Aktorstwo.

Zadzwoiłem do szkoły, w której uczyła Raquel Ochoa. Wywołałem ją z lekcji, a mimo to wydawała się zadowolona, że mnie słyszy.

– Cześć, jak śledztwo?

– Zbliżamy się do rozwiązania zagadki – skłamałem. – Mam w związku z tym pytanie: czy Elena prowadziła dziennik albo coś w tym rodzaju? Jakies zapiski?

– Nie. Żadna z nas nie prowadziła pamiętnika. Nigdy nie pisałyśmy.

– Żadnych notesów ani taśm?

– Widziałam u niej tylko taśmy z muzyką. Miała magnetofon kasetowy w swoim nowym samochodzie... Ach, i jeszcze kilka kaset, które dał jej Handler. Pomagały jej się relaksować.

Słuchała ich przed snem. Dlaczego pytasz?

Nie zaspokoilem jej ciekawości.

– A gdzie są jej osobiste rzeczy?

– Ty powinieneś wiedzieć. Policja je zabrała. Pewnie po jakimś czasie oddali je matce. Co się dzieje? Dowiedziałeś się czegoś?

– Niczego pewnego. Niczego, o czym mógłbym mówić.

Próbujemy znaleźć wspólny mianownik dla pewnych faktów.

– Nie obchodzą mnie wasze metody, po prostu złapcie drania i ukarźcie go. Tego cholernego potwora!

Postanowiłem udawać pewnego siebie.

– Na pewno nam się uda – zapewniłem ją.

– Wiem, że tak będzie.

Jej wiara zaniepokoiła mnie.

– Raquel, nie mam przy sobie akt. Masz może pod ręką domowy adres matki Eleny?

– Jasne. – Podała mi go.

– Dzięki.

– Zamierzasz odwiedzić jej rodzinę?

– Pomyślałem, że warto byłoby porozmawiać z nimi osobiście.

Raquel przed chwilę milczała. W końcu odezwała się.

– Wiesz, to dobrzy ludzie. Ale mogą cię po prostu nie wpuścić.

– Zdarzało mi się to już wcześniej.

Roześmiała się.

– Chyba lepiej pojedę z Tobą. Traktują mnie jak członka rodziny.

– Nie rób sobie kłopotu.

– Żaden kłopot. Chcę ci pomóc. Kiedy zamierzasz jechać?

– Dziś po południu.

– Świetnie. Wyjdę wcześniej. Powiem, że nie czuję się dobrze. Odbierz mnie o czternastej trzydzieści. Podam ci adres.

Raquel mieszkała w skromnej dzielnicy zachodniego Los Angeles, niedaleko od miejsca, gdzie autostrady Santa Monica i San Diego łączą się w jedną. Stały tam bloki z apartamentami zamieszkałymi przez osoby samotne, których nie stać było na nic lepszego.

Dostrzegłem Raquel, gdy tylko wjechałem w dzielnicę. Czekala przy krawężniku, ubrana w gołębio-czerwoną bluzkę z krepy, błękitną dżinsową spódniczkę i wysokie kowbojskie kozaczki.

Wsiadła do samochodu, założyła jedną gołą brązową nogę na drugą i uśmiechnęła się.

– Cześć.

– Cześć. Dzięki za pomoc.

– Naprawdę żaden kłopot. Lubię się czuć użyteczna.

Pojechałem na północ, w stronę bulwaru Zachodzącego Słońca. W radio nadawali jazz, coś nowoczesnego i atonalnego. Saksofonowe solówki brzmiały jak syreny policyjne, a perkusja przypominała szaleńcze bicie serca.

– Zmień stację, jeśli chcesz.

Nacisnęła guziki, przesunęła pokrętło, aż wreszcie znalazła spokojnego rocka. Ktoś śpiewał o utraconej miłości i starych filmach.

– Czego chcesz się od nich dowiedzieć? – spytała, rozsiadając się wygodnie.

– Czy Elena opowiadała im o swojej pracy... zwłaszcza o zabitym dziecku? Albo o Handlerze?

Dostrzegłem w jej oczach niepewność, nie zadała mi jednak żadnego pytania.

– Sprawa Handlera była szczególnie drażliwym tematem. Rodzina nie pochwałała jej związku z mężczyzną, który był od niej tyle lat starszy. I – Raquel zawahała się – w dodatku Anglo. Ludzie wolą nie przyjmować do wiadomości pewnych faktów. To sprawa kulturowa.

– Do pewnego stopnia... ludzka.

– Może do pewnego stopnia. Nam, Latynosom, chodzi o coś więcej. Część problemu stanowi nasz żarliwy katolicyzm, resztę – indiańska krew. Jak można przeżyć w niegościnnym środowisku, nie zaprzeczając pewnym faktom związanym z otaczającą nas rzeczywistością? Uśmiechasz się i udajesz, że twój świat jest luksusowy, ziemia żyzna, wokół mnóstwo wody i jedzenia. Wtedy pustynia nie

wydaje się taka zła.

– Czy wiesz, w jaki sposób mógłbym obejść tę kwestię psychologicznego wyparcia?

– Nie. – Splotła ręce na podołku. Wyglądała teraz na grzeczną uczennicę. – Chyba lepiej sama zacznę rozmowę. Cruz, matka Eleny, zawsze mnie lubiła. Może zdołam nawiązać z nią dobry kontakt. Ale nie oczekuj cudów.

Nie oczekiwałem; nie musiała się o to martwić.

Echo Park to fragment Ameryki Łacińskiej przeniesiony żywcem na zakurzone, pagórkowate ulice, wznoszące się między Hollywood i centrum Los Angeles po obu stronach bulwaru Zachodzącego Słońca. Ulice z kruszącego się betonu noszą imiona Makbeta, Makdufa. Bonnybrae albo Laguna, ale z pewnością nie sposób ich nazwać poetyckimi. Ciągną się na południe i północ. Na południu opadają prosto w getto o nazwie Union District, na północy zaś leży małe park (z jeziorem pośrodku), od którego wzięła nazwę dzielnica. Dalej pną się jałowe szlaki, zatracone w osobliwej dziczy, która opada na stadion Dodgersów i Elisian Park, siedzibę Akademii Policyjnej miasta Los Angeles.

Gdy się opuszcza Hollywood i wjeżdża do Echo Park, bulwar Zachodzącego Słońca zupełnie się zmienia. Tu kina porno i motele na godziny ustępują na rzecz botdnicas i bodegas, a także lokalików z Discos Latinos, nieskończonego szeregu straganów zjedzeniem (budek z raco, peruwiańskich saloników z owocami morza, barów z fastfoodami) oraz pierwszorzędnymi restauracjami łacińskimi, salonów piękności – w ich oknach zawsze stoją styropianowe głowy przybrane blond perukami – kubańskich piekarni, aptek, małych klinik medycznych, drink-barów i klubów towarzyskich. Podobnie jak w wielu biednych dzielnicach, część bulwaru Zachodzącego Słońca o nazwie Echo Park nieprzerwanie przemierzają setki pieszych mieszkańców.

Seville powoli przebijał się przez tłum popołudniowej godziny szczytu. Na bulwarze panował nastrój nerwowości i głośny gwar, wzbogacony dodatkowo o skwierczenie smalcu topionego na patelniach licznych straganów zjedzeniem. Wszędzie wokół dostrzegałem lokalnych nastoletnich chojraków, dumnie prezentujących wykonane domowym sposobem tatuaże, piętnastoletnie matki pchające tłuste niemowlęta w chybotliwych spacerówkach, które mogły się rozpaść na najbliższym krawężniku, pijaków, handlarzy narkotykami, prawników od spraw imigracyjnych w wykrochmalonych koszulach, sprzątaczkę, które otrzymały kilka godzin wolnego, babcię, kwiaciarkę oraz nie kończący się strumień brązowookich dzieci.

– Powrót do tej dzielnicy to zupełnie niesamowite uczucie – zauważyła Raquel. – Szczególnie w takim luksusowym samochodzie.

– Jak długo cię nie było?

– Tysiąc lat.

Najwyraźniej nie miała ochoty opowiadać mi o swojej przeszłości, więc porzuciłem ten temat. W Fairbanks Place kazała mi skręcić w lewo. Dom Gutierrezów stał na końcu krętej alejki, która tuż

ponad pogórzem zmieniała się w brudną drogę. Czteryście metrów dalej panowała zupełna pustka.

Już wcześniej zauważyłem, że Raquel – kiedy się denerwuje – ma zwyczaj zagryzać wargi, palce bądź kłykcie. W chwili obecnej gryzła kciuk. Zapewne usiłowała w ten sposób zapomnieć o odczuwanym gniewie.

Wjechałem ostrożnie – nawet dla jednego pojazdu nie było tu zbyt wiele miejsca – mijając dzieci oblizujące lepkie od słodczy palce oraz młodych mężczyzn w podkoszulkach z krótkimi rękawami, którzy grzebali pod maskami starych samochodów z oddaniem księży pochylających się nad grobem świętego. Dawno temu ulice obsadzono wiązami, które teraz urosły do olbrzymich rozmiarów. Korzenie drzew powyginały chodnik; w rozpadlinach rosło zielsko. Gałęzie ocierały się o dach samochodu. Jakaś stara kobieta o chorych, owiniętych szmatami nogach pchała wózek na zakupy wypełniony ogromną stertą pakunków. Graffiti pokrywało każdy wolny centymetr przestrzeni, głosząc nieśmiertelność Małego Williego Chacona. Czaszek z Echo Park, Los Conquistadores, Chłopców z Lemoyne i ruchliwego języczka Marii Paui Bonilli.

– Tam. – Raquel wskazała drewniany, otynkowany na jasnozielony kolor dom stylizowany na wiejską chatę, z brązowym dachem. Podwórze od frontu było brązowe, jego boki natomiast zdobiły pogodne grządki czerwonych pelargonii i skupiska pomarańczowych i żółtych maków, które wyglądały jak dziecięce główki. Przed domem znajdował się ocieniony portykiem krzywy drewniany ganek, na którym siedział młody mężczyzna.

– To Rafael, starszy brat Eleny. Ten na ganku.

Znalazłem miejsce do zaparkowania obok starego chevy'ego. Wjechałem przednimi kołami na krawężnik i zatrzymałem się. Wysiedliśmy z samochodu, wzbijając stopami kurz.

– Rafaelu! – zawołała Raquel i zamachała. Mężczyzna na ganku dopiero po długiej chwili podniósł na nią wzrok, potem słabym ruchem uniósł rękę.

– Kiedyś mieszkałam tuż za rogiem – oświadczyła w tonie wyznania, potem weszliśmy po schodkach i przeszliśmy przez otwartą żelazną bramę.

Mężczyzna na ganku nie wstał. Patrzył na nas z lękiem, zaciekawieniem i jeszcze czymś, czego nie potrafiłem nazwać. Był blady i bardzo szczupły, wręcz wychudzony. Jego uroda – podobnie jak u nieżyjącej siostry – stanowiła osobliwą mieszaninę latynoskich rysów i jasnej karnacji. Usta mężczyzny były niemal białe, oczy przysłonięte ciężkimi powiekami. Wyglądał jak ktoś wyniszczony z powodu ciężkiej choroby. Miał na sobie białą koszulę z długimi rękawami podwiniętymi tuż ponad łokciami. O kilka rozmiarów za duża koszula wisiała na jego chudym ciele. Czarne spodnie wyglądały na część garnituru tłściocha. Popękane przy czubkach półbuty były bardzo znoszone i nie zasznurowane, toteż języczki sterczały, odsłaniając grube białe skarpety. Mężczyzna nosił krótkie, zaczesane do tyłu włosy. Liczył sobie około dwudziestu pięciu lat, ale miał twarz znużonego, lękliwego starca.

Raquel podeszła do niego i pocałowała go lekko w czubek głowy. Rafael podniósł na nią oczy, nie poruszył się jednak.

– Cześć, Rocky.

– Jak się miewasz, Rafaelu?

– W porządku. – Pokiwał głową. Na chwilę poczułem obawę, że stoczy się z jego szyi. Popatrzył na mnie; miał spore problemy ze skupieniem.

Raquel zagryzła wargę.

– Przyjechaliśmy porozmawiać z tobą, Andym i waszą mamą. To jest Alex Delaware. Współpracuje z policją. Zajmuje się śledztwem... w sprawie Eleny.

Przez twarz mężczyzny mignął strach, ręce zacisnęły się na poręczy krzesła. Potem, niczym na czyjeś polecenie, Rafael odprężył się, uśmiechnął do mnie, zamrugał i ciężko osunął na krzesło.

– Aha – odparł.

Podaliśmy mu dłoń. Przyjrzał się jej, zaintrygowany, potem najwyraźniej zrozumiał, o co mi chodzi, i wyciągnął własną.

Jego ręka było żałośnie chuda, przypominała wiązkę pałeczek owiniętych ziemistą, papierową obwolutą. Kiedy nasze palce się dotknęły, rękaw koszuli Rafaela uniósł się i dostrzegłem ślady po igle. Było ich bardzo wiele. Większość wyglądała na stare – grudkowate, czarne jak węgiel smugi – kilka jednak było świeżych i różowych. W szczególności jedna wydawała się zupełnie nowa; w samym jej środku dostrzegłem kropelkę krwi.

Uścisk ręki mężczyzny był wilgotny i wiotki. Gdy puściłem dłoń, ramię opadło bezwładnie na bok.

– Hej, człowieku – przywitał się ledwie słyszalnym głosem. – Miło cię poznać. – Odwrócił się i na powrót zatracił w sztucznie wywołanym ośpieniu. Usłyszałem muzykę sprzed lat. Dochodziła z taniego radia tranzystorowego, które stało na podłodze obok krzesła. Mizerne plastikowe pudełko skrzypiało z powodu zakłóceń. Dźwięk był okropny, muzyka – przytłumiona, jakby nuty przefiltrowano przez błoto. Rafael jednak z zachwytem odrzucił głowę w tył. Najwyraźniej zdawało mu się, że śpiewają dla niego anielskie chóry.

– Och, Rafaelu. – Raquel uśmiechnęła się.

Popatrzył na nią, również się uśmiechnął, po czym całkowicie zagłębił się we własnym świecie.

Raquel przyglądała się mężczyźnie ze łzami w oczach. Ruszyłem ku niej, lecz odwróciła się ze wstydem i gniewem.

– Niech to diabli!

– Od dawna ćpa?

– Od lat. Sądziłam jednak, że w końcu przestał. Ostatnio słyszałam, że z tego wyszedł. – Podniosła rękę do ust i zakłósała się, jakby miała upaść. Podszedłem, by ją podtrzymać, a wtedy Raquel odzyskała równowagę. – Zaczął brać w Wietnamie. Wrócił do domu mocno uzależniony. Elena poświęciła sporo czasu i pieniędzy, usiłując pomóc mu rzucić to świństwo. Tuzin razy próbował i za każdym razem wracał do nałogu. Ostatnio nie brał przez ponad rok. Elena była z tego powodu dumna i szczęśliwa. Dostał pracę jako goniec u Lucky’ego na Alvarado.

Popatrzyła mi śmiało w oczy; nozdrza rozwarte, oczy niczym czarne lilie w słonawym stawie, usta drżące jak struny harfy.

– Wszystko się rozpada.

Dla wsparcia chwyciła się balustrady ganku. Staiałem obok niej.

– Przykro mi.

– Zawsze był zbyt wrażliwy. Cichy, nie spotykał się z dziewczynami, żadnych przyjaciół. Wiele razy go pobito. Kiedy ich ojciec zmarł, Rafael starał się przejąć jego obowiązki, stać się ojcem rodziny i panem domu. Zgodnie z tradycją jest to obowiązek najstarszego syna. Niestety, Rafaelowi się nie udało. Nie potraktowano go poważnie. Wszyscy się z niego śmiali. Wszyscy! Więc się poddał, jakby oblał maturę... Porzucił szkołę. Przesiadywał cały dzień w domu. Czytał komiksy i oglądał telewizję – stale gapił się w ekran. Kiedy dostał powołanie, wyglądał na zadowolonego. Cruz rozpaczała, gdy wyjeżdżał, ale on był taki szczęśliwy...

Popatrzyłem na młodego mężczyznę. Na wpół siedział na krześle, na wpół z niego zwisał, pogrążony w narkotycznym śnie. Usta miał otwarte i głośno chrapał. Radio grało piosenkę pod tytułem Tatuś jest w domu.

Raquel spojrzała na Rafaela jeszcze raz, potem z oburzeniem zadarła głowę. Na jej twarzy pojawił się wyraz wzniosłego cierpienia, minka azteckiej dziewicy przygotowującej się do ostatecznego poświęcenia.

Położyłem jej ręce na ramionach, ona oparła się na moim obojczyku. Trwała tak, spięta i zdenerwowana, a z jej oczu popłynął skąpy strumyczek łez.

– Kiepski początek – zauważyła. Zrobiła głęboki wdech, gwałtownie wypuściła powietrze. Przetarła oczy i odwróciła się. – Pewnie sądzisz, że potrafię tylko płakać. Chodź, wejdźmy do środka.

Zdecydowanym ruchem otworzyła siatkowe drzwi, które mocno uderzyły o drewnianą framugę.

Znaleźliśmy się w małym frontowym pokoju umeblowanym starymi, ale zadbanymi meblami. Panowało tu ciepło i mrok, okna bowiem były szczelnie zamknięte i zasłonięte pożółkłymi pergaminowymi roletami; najwyraźniej w tym pomieszczeniu rzadko przyjmowano gości. W oknach wisały spłowiałe koronkowe firanki, poręcze foteli zdobiły osłonki wykonane z identycznej tkaniny.

Sofa i dwuosobowy tapczanik obite były ciemnozielonym, tłoczonym aksamitem; zniszczone wytarte miejsca błyszczały, przypominając papuzią zieleń. Obok stały dwa wiklinowe fotele na biegunach. Nad gzymsem kominka wisiało malowidło przedstawiające nieżyjących braci Kennedych w żałobnej ramce. Na pokrytych koronką stoliczkach stały małe drewniane rzeźby i meksykańskie figurki z onyksu. Abażury dwóch stojących lamp przystrojono paciorkami. Na pobielonej ścianie wisiał gipsowy Jezus na krzyżu, przy nim martwa natura – wiklinowy kosz z pomarańczami. Wszystkie ściany pokrywały portrety w ozdobnych ramach, wysoko nad nimi zawieszono wielkie zdjęcie z uroczystości wręczenia Elenie świadectwa maturalnego. Na ścianie tuż pod sufitem pełzał pająk.

Drzwi z prawej strony były nieco uchylone; zauważyłem za nimi fragment białej kafłowej podłogi. Raquel podeszła do nich i zajrzała do środka.

– Sefioru Cruz?

Drzwi otworzyły się szerzej i w progu pojawiła się mała, mocno zbudowana kobieta ze ścierką do naczyń w dłoni. Cruz Gutierrez miała na sobie luźną błękitną suknię we wzorek, bez paska. Przetykane siwizną czarne włosy zawiązała z tyłu w kok, przytrzymywany przez imitację szylkretowego grzebienia. W uszach kobiety dostrzegłem srebrne kolczyki, kości policzkowe podkreśliła łososiowymi plamkami różu. Miała delikatną, niemal niemowlęcą cerę; często widywałem taką miękką skórę u starych kobiet, które niegdyś były piękne.

– Raquelita!

Cruz odłożyła ściereczkę i weszła do pokoju. Dwie kobiety obejmowały się przez dłuższą chwilę.

Kiedy gospodyni zobaczyła mnie ponad ramieniem Raquel, uśmiechnęła się, a równocześnie rysy jej twarzy stężały. Po chwili odsunęła się od dziewczyny i lekko ukloniła.

– Sehor – powiedziała z przesadnym szacunkiem, po czym popatrzyła na Raquel, marszcząc brew.

– Senora Gutierrez.

Raquel odezwała się do niej po hiszpańsku. Mówiła szybko, toteż dotarły do mnie jedynie trzy słowa: Elena, policja i doktor. Zakończyła pytaniem.

Starsza kobieta słuchała jej uprzejmie, potem potrząsnęła głową.

– Nie. – Pewne słowa brzmią bardzo podobnie w każdym języku.

Raquel odwróciła się do mnie.

– Twierdzi, że wszystko, co wie, powiedziała już policji.

– Możesz ją zapytać o małego Nemetha? Nie pytali ją o niego.

Odwróciła się, by zapytać, ale zawahała się.

– Może spróbujemy przystopować. Pozwólmy się potraktować jak goście. Przyjmijmy jej poczęstunek, a później porozmawiamy.

Rzeczywiście byłem głodny i powiedziałem o tym Raquel. Przetłumaczyła moje słowa Cruz Gutierrez, która pokiwała głową i wróciła do kuchni.

– Usiądźmy – zaproponowała Raquel.

Zająłem tapczanik, moja towarzyszka wcisnęła się w róg sofy.

Serjom wróciła z ciasteczkami, owocami i gorącą kawą. Spytała o coś Raquel.

– Cruz pyta, czy chciałbyś spróbować chorizo domowej roboty?

– Powtórz, że ciastka są doskonałe. Ale jeśli sądzisz, że powinienem dla dobra sprawy skosztować chorizo, powiedz, że chętnie trochę zjem.

Raquel przetłumaczyła. Po kilku minutach stanął przede mną talerz pikantnej kielbasy, ryżu i smażonej fasoli oraz sałatka z sosem cytrynowym.

– Muchas gracias, seiiora. – Zabrałem się za posiłek.

Niewiele rozumiałem z ich rozmowy, odniosłem jednak wrażenie, że mam do czynienia ze zwyczajną pogawędką. Kobiety stale poklepywały się po rękach, głaskały po policzkach, dotykały. Ciągle się do siebie uśmiechały i zdawały się zapominać o mojej obecności.

Nagle atmosfera się zmieniła i śmiech przeszedł w łzy. Cruz Gutierrez wybiegła z pokoju, szukając schronienia w kuchni.

Raquel potrząsnęła głową.

– Mówiliśmy o starych czasach, kiedy Elena i ja byliśmy małymi dziewczynkami. Gdy bawiliśmy się w krzakach w sekretarki, udawałyśmy, że piszemy na maszynach i mamy biurka. Rozmowa stała się dla Cruz zbyt bolesna.

Odsunąłem talerz.

– Sądzisz, że powinniśmy już pójść? – spytałem.

– Poczekajmy chwilę. – Dołała mi kawy, potem naląła sobie. – Okażemy jej w ten sposób szacunek.

Przez siatkowe drzwi dostrzegałem czubek jasnej głowy Rafaela ponad obrzeżem fotela. Jego ramię opadło, paznokcie dotykały ziemi. Nie odczuwał zapewne w tej chwili ani przyjemności, ani bólu.

– Mówiła coś o nim? – spytałem.

– Nie. Tak jak ci powiedziałam, łatwiej jest winić realny świat.

– Syn siedzi naćpany tuż pod jej nosem, a ona udaje, że niczego nie widzi?

– Kiedyś strasznie się wściekała. Po jakimś czasie jednak człowiek akceptuje sytuację, na którą nic nie może poradzić. Cruz powoli się pogodziła z jego nałogiem. Jeśli ją spytasz o Rafaela, odpowie ci po prostu, że jej syn jest chory. Jakby był przeziębiony albo miał odrę. Dla niej cały problem leży w znalezieniu właściwego lekarstwa. Słyszałeś o curanderosi

– O ludowych lekarzach? Tak. Wielu latynoskich pacjentów mojego szpitala stosuje medycynę ludową obok konwencjonalnej.

– Wiesz, jak działają curanderosi Najważniejsza jest dla nich opieka nad chorym. W naszej kulturze uważa się, że zimny, zdystansowany wobec choroby profesjonalista po prostu nie dba o pacjenta. Nie wyleczy go, a w dodatku może go obdarzyć mai ojo – złym okiem. Curandero natomiast nie ma za sobą studiów, nie dysponuje nowoczesną techniką i stosuje czasem dziwaczne środki, ale szczerze troszczy się o pacjenta. Żyje w tej samej społeczności, jest znajomym pacjenta, ma do niego ciepły stosunek i potrafi się z nim porozumieć. W pewnym sensie jest bardziej ludowym psychologiem niż lekarzem. Dlatego zaproponowałam, żebyś zjadł posiłek – dzięki temu powstała osobista więź między tobą a Cruz. Powiedziałam jej, że potrafisz się opiekować ludźmi. W przeciwnym razie nie chciałaby z nami rozmawiać. Byłaby uprzejma, nawet wytworna... Cruz została bardzo dobrze wychowana... jednak nie otworzyłaby przed tobą swojego serca. – Raquel sączyła kawę. – Policjanci nie dowiedzieli się od niej niczego, ponieważ w ogóle rzadko zagląдают do Echo Park, wschodniego Los Angeles czy też do San Fernando. Postępują zbyt profesjonalnie. Może mają dobre intencje, lecz my postrzegamy ich jako Anglo-mboly. Ciebie zaś naprawdę obchodzi sprawa Eleny, prawda, Aleksie?

– Tak.

Dotknęła mojego kolana.

– Cruz zabrała Rafaela do curandero przed laty, kiedy po raz pierwszy rzucił narkotyki. Mężczyzna spojrzał chłopakowi w oczy i stwierdził, że są puste. Powiedział, że syn Cruz ma chorą duszę, nie ciało, więc powinno się go oddać do kościoła na księdza albo zakonnika. Wtedy znalazłby sobie pożyteczne zajęcie.

– Niezła rada.

Raquel wypila kilka łyków kawy.

– Rzeczywiście. Niektórzy z nich są całkiem bystrzy. Żyją dzięki własnej inteligencji. Może gdyby Cruz zastosowała się do tej rady, Rafael nie wróciłby do nałogu. Kto wie? Nie potrafiła się jednak poddać. Nie byłabym zaskoczona, gdyby obwiniała siebie za stan syna. I za wszystko, co mu się

przydarzyło.

Drzwi do kuchni otworzyły się i pojawiła się w nich Cruz Gutierrez. Na ramieniu miała teraz czarną opaskę, na twarzy zupełnie nowy wyraz. Jej rysy stwardniały. Kobieta była gotowa znieść cierpkie minuty przesłuchania.

Usiadła obok Raquel i szepnęła coś do niej po hiszpańsku.

– Cruz mówi, że jeśli chcesz, możesz zadać kilka pytań.

Skinąłem głową gestem, który miał wyrażać moją wielką wdzięczność.

– Powiedz, że bardzo jej współczuję z powodu tragicznej straty córki. Jestem również ogromnie wdzięczny, że mimo żałoby zgodziła się ze mną porozmawiać.

Starsza kobieta wysłuchiwała tłumaczenia, po czym szybko kiwnęła mi głową.

– Spytaj ją, czy Elena opowiadała jej o swojej pracy. Zwłaszcza podczas ostatniego roku.

Kiedy Raquel mówiła, przez twarz starszej kobiety przemknął nostalgiczny uśmiech.

– Podobno narzekała jedynie na niskie płace nauczycieli. Że lekcje są długie, a dzieci coraz trudniejsze.

– Jakież szczególne dzieci?

Szeptana wymiana zdań.

– Nie. Ale seriom przypomina ci, że Elena zajmowała się dziećmi specjalnymi. Wszystkie miały trudności z nauką.

Zastanowiłem się, czy na wybór specjalizacji Eleny miał wpływ nałóg brata.

– Mówiła o dziecku, które zostało zabite? O Nemecie?

Po usłyszeniu pytania Cruz Gutierrez poważnie pokiwała głową, potem odpowiedziała.

– Wspomniała o nim raz czy dwa razy. Powiedziała, że jest bardzo smutna z tego powodu. Że to była tragedia – przetłumaczyła Raquel.

– Nic więcej?

– Nieuprzejmie byłoby dalej o tym mówić, Aleksie.

– Dobrze, spróbujmy inaczej. Czy Elena miała ostatnio więcej pieniędzy niż zwykle? Czy kupowała kosztowne prezenty członkom rodziny?

– Nie. Cruz mówi, że Elena zawsze skarżyła się na brak pieniędzy. Należała do dziewczyn, które

lubią się otaczać ładnymi rzeczami. Ceniła przedmioty dobrej jakości. Poczekaj. – Raquel przez chwilę słuchała wypowiedzi starszej kobiety. – Wcześniej nie zawsze było to możliwe, ponieważ rodzina nigdy nie była bogata. Nawet kiedy żył mąż Cruz. Ale Elena bardzo ciężko pracowała i kupowała sobie różne rzeczy. Czasami na kredyt, lecz zawsze go spłacała. Po jej śmierci nikt się o nic nie upomniał. Z takiej córki jak Elena matka może być dumna.

Odwróciłem wzrok.

– Sądzisz, że można teraz zapytać o Handlera?

Zanim Raquel zdołała przetłumaczyć, Cruz Gutierrez splunęła. Później gestykulowała obiema rękami, podniosła głos i wypowiedziała szybko kilka słów, zapewne stek przekleństw. Zakończyła przemowę ponownym splunięciem.

– Muszę tłumaczyć? – spytała Raquel.

– Nie trudź się. – Poszukałem w myślach innych pytań. Zwykle rozpoczynałem rozmowy od lekkiej pogawędki i zdawkowych żartów, dopiero później przechodziłem do bezpośrednich pytań. Nie podobało mi się to szorstkie przesłuchanie, wiedziałem jednak, że praca z tłumaczem zawsze przypomina operację przeprowadzaną w bokserskich rękawicach.

– Spytaj, czy potrafi powiedzieć mi coś, co mogłoby pomóc nam w znalezieniu człowieka, który... no wiesz. Sama to sformułuj.

Stara kobieta słuchała. Jej odpowiedź była gwałtowna.

– Mówi, że nie potrafi ci pomóc. Że świat stał się miejscem szalonym i pełnym demonów. Elenę zabił taki właśnie demon.

– Muchas gracias, seriom. Spytaj, czy mógłbym rzucić okiem na osobiste rzeczy Eleny.

Raquel spytała i jej matka zastanowiła się. Zmierzyła mnie od stóp do głowy, po czym westchnęła i wstała.

– Venga – odparła i poprowadziła mnie na tyły domu.

Rzeczy zgromadzone przez Elenę Gutierrez w ciągu dwudziestu ośmiu lat jej życia przechowywano w kartonowych pudłach, ustawionych w rogu oszklonej werandy, której drzwi wychodziły na podwórko za domem. Rosło tam drzewo morelowe, sękate i zdeformowane; jego ciężkie od owoców gałęzie kładły się na dachu garażu przeznaczonego dla jednego samochodu.

Po drugiej stronie korytarza znajdowała się mała sypialnia z dwoma łózkami: pokój braci Eleny. Z miejsca, gdzie przyklęknąłem, dostrzegałem klonową komodę i półki wykonane z surowych desek ułożonych na metalowym stelażu. Na półkach stało tanie stereo i skromna kolekcja płyt. Na wierzchołku komody leżał karton marlboro i stos książek w miękkich oprawkach. Jedno z łóżek było starannie wygładzone, na drugim zauważyłem splątaną pościel. Między łózkami stał sosnowy

stoliczek, na nim lampa o plastikowej podstawie, popielniczka i egzemplarz hiszpańskojęzycznego czasopisma ze zdjęciami dziewcząt.

Czując się jak podglądacz, przysunąłem sobie pierwsze pudło i zacząłem się w nie zagłębiać.

Gdy przetrząsnąłem trzy pudła, popadłem w przygnębienie. Ręce miałem brudne od kurzu, umysł wypełniony wizerunkami nieżyjącej dziewczyny. Nie znalazłem niczego ważnego, tylko popękane skorupy, które ostro wbijały mi się w dłonie. Poza tym: ubrania przywodzące zapach Eleny, na wpół puste butelki z kosmetykami – maskara, dzięki której rzęsy wyglądały na gęstsze, nadający połysk szampon do włosów marki Clairol, tuszujący przebarwienia puder i nabłyszczająca pomadka, pachnące specyfiki do różnych części ciała. Karteczki przypominające o kupieniu jajek w Vons, wina w Vendome i zrobieniu innych zakupów, kwity z pralni, rachunki ze stacji benzynowej – płatność kartą kredytową, książki – sporo książek, przeważnie biografie i tomiki poezji, upominki: miniaturowe ukulele z Hawajów, popielniczka z hotelu w Palm Springs, buty narciarskie, prawie pełne opakowanie pigułek antykoncepcyjnych, stare plany lekcji, notatki od dyrektora, dziecięce rysunki. O małym Niemecie nie było nic.

Nie czułem się dobrze, przeglądając te wszystkie drobiazgi. Lepiej niż kiedykolwiek wcześniej rozumiałem teraz, dlaczego Milo tak dużo pije.

Zostały mi dwa pudełka. Szybko je przetrząsnąłem i prawie skończyłem, kiedy ryk motocykla wypełnił powietrze, po czym zamarł. Usłyszałem, jak otwierają się tylne drzwi. W foyer zabrzmiały kroki stóp i ostre słowa:

– Co, do kurwy nędzy...

Miał dziewiętnaście, może dwadzieścia lat, był niewysoki, lecz potężnie zbudowany, nosił przepocony brązowy podkoszulek – który uwydatniał każdy jego mięsień – poplamione smarem spodnie khaki i robocze bucioro pokryte brudem. Jego włosy były gęste i zmierzwione. Zwisły mu na ramiona, przytrzymywane skórzaną opaską. Miał delikatne, niemal ładne rysy twarzy, które starał się ukryć pod wąsami i brodą. Jego wąs był czarny i bujny, opadał na wargi i połyskiwał niczym sobolowe futro. Brodę stanowił skąpy trójkąt krótkiego zarostu na podbródku. Ogólnie rzecz biorąc, mężczyzna wyglądał jak dzieciak grający Pancho Villę w szkolnym przedstawieniu.

Z jego paska zwisało kółko z kluczami, które zabrzęczały, kiedy do mnie podchodził. Brudne ręce zacisnął w pięści. Pachniał olejem silnikowym.

Pokazałem mu policyjną odznakę. Zaklął, ale zatrzymał się.

– Słuchaj, człowieku, byliście tutaj przecież w zeszłym tygodniu. Powiedzieliśmy wam, że nie mamy niczego, co... – Zatrzymał się i spuścił wzrok na podłogę zarzuconą przedmiotami z kartonu. – Cholera, przetrząsaliście już wszystkie te śmieci. Właśnie je spakowałem, stary. Miałem je odnieść do kościoła, dla potrzebujących.

– Tylko sprawdzam – odparłem uprzejmie.

– Tak, jasne. Nigdy się nie nauczyacie robić czegoś dobrze za pierwszym razem, co?

– Za moment skończę.

– Skończysz teraz, człowieku. Wynocha stąd.

Wstałem.

– Daj mi kilka minut a spakuję wszystko.

– Wynocha, facet. – Wskazał mi kciukiem tylne drzwi.

– Próbuję odkryć, kto zabił twoją siostrę, Andy. Pomógłbyś, gdybyś ze mną współpracował.

Podszedł krok bliżej. Na jego czole i pod oczami dostrzegłem smugi smaru.

– Żaden ja dla ciebie Andy, człowieku. To jest mój dom i zwracaj się do mnie „panie Gutierrez”. I nie wciskaj mi tego kitu o śledztwie. Wy, gnojki, nigdy nie złapiecie faceta, który to zrobił Elenie, ponieważ ona w ogóle was nie obchodzi. Włazisz z butami do mojego domu, grzebiesz w osobistych rzeczach mojej siostry, a nas traktujesz jak chłopów z wiochy. Wyjdź, stary, na ulicę i znajdź tego gnoja. Gdyby panienka była córką bogacza z Beverly Hills, dawno byście schwytali mordercę!

Jego głos się załamał. Andy przerwał, by ukryć wzruszenie.

– Panie Gutierrez – zacząłem łagodnie – współpraca rodziny może być bardzo przydatna w tych...

– Hej, człowieku, powiedziałem ci, że ta rodzina nic nie wie. Sądziś, że znamy szalonych gnojów, którzy robią ludziom coś takiego? Uważasz, że mieszkańcy Echo Park tak postępują?

Spojrzał z ukosa na moją odznakę. Czytał ją z wysiłkiem, poruszając ustami. Przesylabizował słowo „konsultant” parę razy, zanim je zrozumiał.

– Och, człowieku, nie mogę w to uwierzyć! Więc nie jesteś nawet prawdziwym gliną. Pieprzony konsultant. Takiego tu przysłali?! Z czego ten doktorat, człowieku?

– Z psychologii.

– Więc jesteś od psychicznych, facet? Grzebiesz ludziom we łbach, co? Przysłali tu ciebie, bo myślą, że ktoś w moim domu jest szurnięty?! Sądziś, że w tej rodzinie jest świr? Tak?

Zasapał się. Jego oczy były ładne i brązowe, o długich rzęsach i rozmarzonym, dziewczęcym spojrzeniu. Takie oczy potrafią sprawić, że zwątpisz w siebie, a jeśli zdenerwujesz ich właściciela, natychmiast zaczną pozować na macha.

Pomyślałem, że ta rodzina rzeczywiście ma wiele problemów, lecz zatrzymałem tę opinię dla siebie.

– Więc co, do cholery, tu robisz? Poddajesz nas jakiejś pieprzonej psychoanalizie?

Mówiąc, opluwał mnie kropelkami śliny. Poczulem gniew, a moje ciało automatycznie przybrało defensywną postawę karateki.

– To nie tak. Mogę panu wszystko wyjaśnić. Chyba że woli się pan upierać jak osioł?

Pożałowałem tych słów już w momencie, gdy je wypowiedziałem.

– Osioł?! Człowieku, sam jesteś osłem! – Jego głos podniósł się o oktawę. Mężczyzna złapał mnie za klapę marynarki.

Byłem gotów do walki, nie ruszyłem się jednak. „Ten facet jest w żałobie – powtarzałem sobie. – Nie odpowiada za siebie”.

Wytrzymałem jego spojrzenie i Andy Gutierrez cofnął się. Żaden z nas nie miał ochoty się bić. Nie ma to jak dobre wychowanie!

– Wynoś się, człowieku. Natychmiast!

– Antonio!

W korytarzu pojawiła się Cruz Gutierrez, za nią dostrzegłem Raquel. Na jej widok poczułem nagły wstyd. Kompletnie spieprzyłem sytuację. Cóż za wspaniałe ze mnie psycholog...

– Mamo, pozwoliłaś temu facetowi wejść?

Cruz Gutierrez przeprosiła mnie wzrokiem i przemówiła do swojego syna po hiszpańsku, grożąc mu palcem wskazującym. Pod jej mrocznym spojrzeniem Andy wydawał się łagodnieć.

– Mamo, mówiłem ci już przedtem, że oni mają w nosie...

Przerwała mu i ciągnęła przemowę po hiszpańsku. Syn najwyraźniej jej się tłumaczył, a jego machismo powoli zmieniło się w bezsilność.

Rozmawiali przez kilka minut. Potem mężczyzna naskoczył na Raquel.

– Ten człowiek próbuje ci pomóc, Andy – odpowiedziała. – Lepiej z nim współpracuj, zamiast go przeganiać.

– Nie potrzebuję niczyjej pomocy. Będziemy się sami o siebie troszczyć, tak jak to zawsze bywało.

Westchnęła.

– Cholera! – Andy odszedł do swojego pokoju, wrócił z paczką marlboro, powoli wyjął papierosa, wsunął sobie do ust i zapalił. Na moment zniknął za błękitnym obłokiem dymu, potem

w jego oczach ponownie pojawiły się błyski. Popatrzył na mnie, na swoją matkę, na Raquel i ponownie na mnie. Zdjął z paska kółko z kluczami, które w jego palcach wyglądały jak kastet.

– Wychodzę teraz, koleś. A kiedy wrócę, lepiej żeby cię tu nie było.

Kopniakiem otworzył sobie drzwi i wybiegł. Usłyszeliśmy łoskot startującego motocykla, później jego ryk. Andy Gutierrez odjechał bardzo szybko.

Jego matka zwiesiła głowę i powiedziała coś do Raquel.

– Prosi cię o wybaczenie za nieuprzejme zachowanie Andy'ego. Bardzo go wytrąciła z równowagi śmierć Eleny. Pracuje na dwa etaty i żyje w wielkim stresie.

Podniosłem rękę, by przerwać przeprosiny.

– Nie ma potrzeby się tłumaczyć. Mam tylko nadzieję, że sehora nie będzie miała przeze mnie żadnych kłopotów.

Z wymownego spojrzenia Cruz Gutierrez wywnioskowałem, że przekład tych dwóch zdań jest zbyteczny.

Grzebałem w ostatnich dwóch pudłach bez szczególnego entuzjazmu, nie przyszły mi też do głowy żadne dodatkowe pytania do matki Eleny. Wciąż czułem niesmak po spotkaniu z Andym. Doświadczyłem tego rodzaju wstydu, który odczuwa człowiek, gdy zagłębi się w jakąś sprawę zbyt intensywnie i w efekcie zobaczy i usłyszy więcej, niż chciał czy powinien. Na przykład dziecko, które zastaje w pokoju rodziców uprawiających miłość albo pieszy turysta, gdy kopnąwszy kamień, dostrzeże pod nim coś oślizłego.

Widziałem już przedtem takie rodziny jak Gutierrezów; znałem dziesiątki Andych i Rafaelów. Obaj bracia stanowili klasyczny przykład: niechluj i cudowne dziecko, grający swe role z przygnębiającą, przewidywalnością. Jeden nie jest zdolny borykać się ze światem, drugi stara się wszystkim zająć. Niechluj nakłania innych, by się nim opiekowali, wymiguje się od odpowiedzialności, żyje z dnia na dzień, z rozpędu... lecz czuje się jak idiota. Cudowne dziecko jest kompetentne, pracowite, haruje na dwa etaty, nawet na trzy, kiedy sytuacja tego wymaga, zarabia na niechluję, odsuwając w niepamięć jego klęskę, zdobywa podziw rodziny, nie przyznaje się do ogromnego zmęczenia i stresu, w którym żyje, panuje nad sobą... I tylko czasem wybucha.

Zastanawiałem się, jaką rolę grała w tej rodzinie Elena. Była rozjemcą, pośredniczką? Bycie rozjemcą między niechlujem i cudownym dzieckiem mogło być niebezpieczne dla zdrowia.

Zapakowałem rzeczy zmarłej tak starannie, jak tylko potrafiłem.

Kiedy wyszedłem na ganek, Rafael ciągle trwał w stanie odurzenia. Dźwięk uruchamianego silnika Seville nagle go zbudził i mężczyzna zamrugał szybko, jakby budził się ze złego snu, wstał z wysiłkiem i wytarł rękawem nos. Popatrzył w naszym kierunku, zaintrygowany. Raquel odwróciła się od niego niczym turystka unikająca trędowatego żebraka. Kiedy odjeżdżałem, dostrzegłem iskrę zrozumienia ożywiającą jego zamroczone oblicze, potem pojawiło się na nim oszołomienie.

Zapadający zmrok zmniejszył nieco ruch na bulwarze Zachodzącego Słońca, nadal jednak było tam dość tłoczno. Klaksony samochodów trąbiły, ponad spalinami słychać było hałaśliwe śmiechy, z otwartych drzwi barów grzmiała muzyka wygrywana przez zespoły mariachi. Błyskały neony, na pogórzcu migotały światła.

– Chyba wszystko spieprzyłem – odezwałem się.

– Nie, nie masz powodu się obwiniać.

Jej nastrój skłonił mnie do kolejnych zapewnień. Doceniałem wysiłek, jaki włożyła w tę sprawę i powiedziałem jej o tym.

– Mówię poważnie. Aleksie. Bardzo taktownie rozmawiałeś z Cruz. Zrozumiałam wtedy, że jesteś świetnym psychologiem. Cruz cię polubiła.

– Nie poradziłem sobie, niestety, z całą rodziną.

Milczała przez kilka przecznic zanim się odezwała.

– Andy to dobry chłopak. Nigdy nie przyłączył się do żadnego gangu i czasem za to płacił. Wiele od siebie wymaga. Teraz wszystko spoczywa na jego barkach.

– Porywczy charakter raczej nie ułatwia życia.

– Masz rację. Własnym zachowaniem tylko mnoży kłopoty... Ale czy wszyscy tak nie postępujemy? A Andy ma zaledwie osiemnaście lat. Może jeszcze z tego wyrośnie.

– Ciągle się zastanawiam, czy mogłem załatwić tę sprawę lepiej. – Opowiedziałem szczegóły mojego starcia z bratem Eleny.

– Rzeczywiście poniosły cię nerwy, ale spokój niczego by nie zmienił. Andy przyszedł gotów do walki, a kiedy Latynos się wścieknie, niewiele można z nim załatwić. Dodaj do gniewu alkohol, zrozumiesz wtedy, skąd się bierze w sobotni wieczór na izbie przyjęć tylu Meksykanów pchniętych nożem.

Pomyślałem o Elenie Gutierrez i Mortonie Handlerze. Nie dotarli na izbę przyjęć. Zamyśliłem się nad związkiem noża i latynoskiej zaciekłości, potem zrezygnowałem i zepchnąłem te myśli w ciemny magazyn na głębokich tyłach mojej podświadomości.

Przyjrzałem się Raquel. Siedziała sztywno na fotelu obitym miękką skórą, markotna i smutna. Nie ruszała się; tylko palce miętosiły materiał spódniczki.

– Jesteś głodna? – spytałem. Kiedy sytuacja jest niewesoła, skupiamy się na sprawach podstawowych.

– Nie. Ale jeśli chcesz coś zjeść, możemy się gdzieś zatrzymać.

– Ciągłe czuję smak chorizo.

– Odwieź mnie więc do domu.

Kiedy dotarliśmy do jej mieszkania, panował mrok, a ulice opustoszały.

– Dziękuję, że ze mną pojechałaś.

– Mam nadzieję, że się przydałam.

– Bez ciebie spotkanie wypadłoby katastrofalnie.

– Dzięki.

Uśmiechnęła się i pochyliła w moją stronę. Miał to być całus w policzek, lecz jedno z nas – a może oboje – poruszyło się i nasze usta się dotknęły. Zaczęliśmy się całować powoli i niepewnie, później – pod wpływem ciepła i żądz – nasz pocałunek stał się całkiem namiętny. Posapywaliśmy z podniecenia i delikatnie podszczyptywaliśmy sobie wargi. Zbliżyliśmy się do siebie równocześnie, jej ramiona otoczyły moją szyję, moje ręce znalazły się w jej włosach, na jej twarzy, na kręgosłupie. Nasze usta otworzyły się i języki zatańczyły w nich powolnego walca. Oddychaliśmy ciężko, kręciliśmy się na siedzeniach, staraliśmy się jak najbardziej do siebie przysunąć.

Przez długi czas całowaliśmy się niczym para nastolatków. Rozpiąłem guzik jej bluzki. Raquel wydała z siebie gardłowy dźwięk, przez chwilę ssała moją dolną wargę, następnie wsunęła mi język w ucho. Moja ręka ślizgała się po gorącym jedwabiu jej pleców. Odszukałem zatrzask biustonosza dziewczyny, rozpiąłem go, otoczyłem ręką jej pierś. Sutek, twardy jak kamień i wilgotny, wtulił się w moją dłoń. Raquel opuściła rękę, smukłe palce zaczęły szarpać za mój rozporek.

Powstrzymałem ją.

– Co się stało?

W takiej sytuacji nie istnieje wytłumaczenie, które nie brzmi jak komunał, totalny idiotyzm albo jedno i drugie razem. Nie miałem jednak wyboru.

– Przykro mi. Nie bierz tego do siebie.

Wyprostowała się szybko na fotelu i zajęła się ubieraniem, porządkowaniem garderoby oraz przyglądaniem włosów.

– Jak inaczej mam to potraktować?

– Jesteś naprawdę bardzo atrakcyjna.

– Bardzo.

– Pociągasz mnie. Chciałbym się z tobą kochać.

– Więc o co chodzi

– Zobowiązania.

– Nie jesteś żonaty, prawda? W każdym razie nie zachowujesz się jak żonaty mężczyzna.

– Jestem z kimś związany, chociaż, nie jesteśmy małżeństwem.

– Rozumiem. – Podniosła torebkę i położyła rękę na klamce drzwiczek. – Kobieta, z którą jesteś związany... Wierność ma dla niej znaczenie?

– Tak. Ale co ważniejsze, ma znaczenie dla mnie.

Wybuchnęła śmiechem graniczącym z histerią.

– Przepraszam – bąknęła, łapiąc oddech. – Cholerna ironia losu. Sądysz, że często się tak zachowuję? Pierwszy raz od dłuższego czasu zainteresowałam się mężczyzną. Ostatnio prowadziłam życie zakonnicy, a tu trafiam na świętego.

Zachichotała. Wydawała mi się bardzo rozgorączkowana i krucha. Jej zachowanie zaniepokoiło mnie. Miałem serdecznie dość jak na jeden dzień wybuchów ludzkiej frustracji, ponieważ jednak byłem winny zaistniałej sytuacji, musiałem cierpliwie poczekać, aż Raqucl się uspokoi.

– Wierz mi, wcale nie jestem święty.

Dotknęła palcami mojego policzka. Jej dotyk był gorący niczym rozżarzone węgle.

– Nie, nic, jesteś naprawdę sympatycznym facetem, Delaware.

– Nie czuję się sympatyczny.

– Mam zamiar cię znowu pocałować – powiedziała. – Tym razem jednak cnotliwie. Tak jak to miało być za pierwszym razem.

Cmoknęła mnie w policzek.

Rozdział 18

Gdy wróciłem do domu, czekały na mnie dwie niespodzianki.

Pierwszą była Robin w moim szarozółtym szlafroku. Rozciągnięta na skórzanej sofie piła gorącą herbatę. Ogień płonął w kominku, ze stereo dobywały się dźwięki Desperado The Eagles.

Robin zawiesiła sobie na szyi wyciętą z czasopisma fotografię Lassie.

– Cześć, kochanie – odezwała się.

Przerzuciłem marynarkę przez krzesło.

– Cześć. Po co ci ten pies?

– Po prostu w ten sposób informuję cię, że zachowałam się jak suka i że przepraszam.

– Nie masz powodu. – Zdjąłem zdjęcie.

Usiadłem obok mojej dziewczyny i wziąłem jej dłonie w swoje.

– Byłam dla ciebie dziś rano paskudna. Aleksie. Nie powinnam pozwolić ci wyjść bez pożegnania. Gdy tylko drzwi się za tobą zamknęły, natychmiast zaczęłam za tobą tęsknić. Wiesz, co przyszło mi do głowy? „A jeśli mu się coś stanie? A jeśli już nigdy go nie zobaczę?” Myślałam, że oszaleję. Nie mogłam pracować, nie potrafiłam podejść do maszyn. Pozostawało wykreślić ten dzień z życiorysu. Dzwoniłam do ciebie, ale cię nie zastałam. Więc przyjechałam.

– Cnota zostaje nagrodzona – wymamrotałem pod nosem.

– Co mówisz, skarbie?

– Nic. – Nic zamierzałem wspominać o niedosłej zdradzie, wiedząc, że nie zdołam o niej opowiedzieć, nie raniąc Robin. Albo opis zabrzmiałby grubiańsko niczym napis w ubikacji – „Tak, kochanie, zachciało mi się nagle przelecieć inną laskę” – albo, co gorsza, jak spowiedź.

Położyłem się obok dziewczyny. Trzymaliśmy się za ręce, mówiliśmy sobie miłe rzeczy, gaworzyliśmy po dziecięcemu, głaskaliśmy się. Po spotkaniu z Raquel czułem zmęczenie od pasa w dół.

– W lodówce czekają dwa gigantyczne befsztyki z polędwicy, sałatka warzywna, burgund i zakwas. – Szeptąła, głaszcząc mnie małym palcem po nosie.

– Jesteś bardzo elokwentna – roześmiałem się.

– Czy to jest neurotyczne, doktorze?

– Nie. Raczej cudowne.

– A co będzie z tym? I z tym?

Szlafrok rozsunał się. Robin klęknęła nade mną, okrycie zsunęło jej się z ramion. Oświetlona przez łunę ognia, wyglądała jak piękna, złota rzeźba.

– Chodź, kochany – namawiała mnie. – I zdejmij ubranie.

Zdałem się na nią.

– Naprawdę cię kocham – powiedziała później. – Nawet jeśli jesteś szaleńcem.

Nie chciało mi się ruszać. Leżałem rozciągnięty na podłodze.

– Zimno mi.

Przykryła mnie, wstała, przeciągnęła się i roześmiała z rozkoszą.

– Jak możesz po czymś takim skakać? – jęknąłem.

– Kobiety są silniejsze od mężczyzn – wyjaśniła mi wesoło i nadal brykała po pokoju, pomrukując, przeciągając się tak mocno, że mięśnie smukłych łydek napinały się prawie aż po kolana. Oczy Robin odbijały pomarańczowe światło, które skojarzyło mi się z Halloween. Kiedy tańczyła, czułem przepływający dreszcz.

– Ruszaj się tak dalej, a pokażę ci, kto z nas jest silniejszy.

– Później, duży chłopczyku. – Połaskotała mnie stopą, po czym odskoczyła, ze zwierzęcą zwinnością unikając moich wyciągniętych rąk.

Gdy steki były gotowe, potrawa Cruz Gutierrez stała się już tylko niewyraźnym wspomnieniem. Jadłem z apetytem. Siedzieliśmy we dwoje w jadalni, spoglądając przez witrażowe okna na światła zapalające się na dalekich wzgórzach niczym latarki ekipy poszukiwawczej. Robin położyła mi głowę na piersi. Otoczyłem ją ramieniem, opuszkami palców muskałem jej twarz. Piliśmy wino z jednego kieliszka.

– Kocham cię – szepnąłem.

– Ja ciebie też. – Pocałowała dół mojego podbródka. Po kilku łykach spytała: – Badałeś dzisiaj te zbrodnie, prawda?

– Tak.

Dodała sobie odwagi kolejnym wielkim haustem i natychmiast ponownie napełniła kieliszek.

– Nie martw się – oświadczyła. – Nie będę ci suszyć o to głowy. Nie zamierzam udawać zadowolonej, ale nie będę cię też kontrolować.

Objąłem ją, dziękując za wyrozumiałość.

– Widzisz, w zamian również oczekuję sporo wolności – zażartowała tonem emancypantki, lecz zmartwienie tkwiło w jej głosie niczym mucha w bursztynie.

– Uważam na siebie.

– Wiem, wiem – zgodziła się zbyt gwałtownie. – Jesteś inteligentnym facetem i potrafisz o siebie zadbać. – Wręczyła mi kieliszek z winem. – Jeśli chcesz o tym porozmawiać, Aleksie, wysłucham cię.

Zawahałem się.

– Opowiedz mi. Chcę wiedzieć, co się dzieje.

Streściłem jej swoje działania z ostatnich dwóch dni, kończąc na spotkaniu z Andym Gutierrezem. Rzecz jasna, opuściłem burzliwe chwile z Raquel.

Słuchała, strapiona i zatroskana, potem przemyślała sobie wszystko i stwierdziła:

– Rozumiem, dlaczego nie chcesz porzucić tej sprawy. Tyle podejrzanych faktów i żadnego łącznika.

To prawda. Mieliśmy do czynienia z przeciwieństwem Gestalt, całość była bowiem znacznie mniejsza niż suma jej elementów. Sytuacja skojarzyła mi się z przypadkową grupą muzyków, którzy rzępolą, dmuchają, bębnią i... przeraźliwie tęsknią za dyrygentem. Tyle że ja nim nie byłem. Byłem nikim. Jak, do diabła, miałem grać rolę Ormandy'ego? [*Eugene Ormandy (1899-1975) – urodzony na Węgrzech amerykański kompozytor i dyrygent.]

– Kiedy zamierzasz pomówić z Milem?

– Nie zamierzam. Rozmawiałem z nim dziś rano. Stanowczo mi oświadczył, żebym wrócił do swojego życia i trzymał się z dala od tej sprawy.

– Ależ to jego praca, Aleksie. Będzie wiedział, co robić.

– Kochanie. Milo się wścieknie, jeśli mu powiem, że odwiedziłem „La Casa”.

– A to biedne dziecko, ten upośledzony psychicznie chłopiec... Nie można mu jakoś pomóc?

Potrząsnąłem głową.

– Nie sędzę. Ci ludzie na pewno świetnie potrafiliby wyjaśnić swoje postępowanie wobec niego. Wiem, że Milo ma jakieś podejrzenia... Założę się, że znacznie konkretniejsze niż mi mówi... Tyle że

naszego przyjaciela ograniczają przepisy i procedury.

– A ciebie nie – zakończyła spokojnie.

– Nie martw się.

– To ty się nie martw. Nie będę próbowała cię powstrzymywać. Mówię serio.

Wypiłem trochę wina. Miałem ściśnięte gardło, toteż zimny płyn złagodził nieprzyjemne uczucie.

Wstała, stanęła za mną i położyła mi ręce na ramionach. Podobnie dotknęła mnie kilka godzin wcześniej Raquel. Robin opuściła rękę i przez chwilę gładziła paseczek włosów, które rosły od mojego pępka w dół.

– Jestem do twojej dyspozycji. Aleksie. Jeśli tylko mnie potrzebujesz.

– Zawsze cię potrzebuję. Nie chcę cię jednak wciągać w te wszystkie świństwa.

– Pragnę z tobą być. Bez względu na to, co robisz, chcę być z tobą.

Podniosłem się z krzesła i przyciągnąłem ją do siebie, całując w szyję, uszy, oczy. Robin odrzuciła głowę i nadstawiła szyję. Przyłożyłem wargi do jej ciepłego pulsu.

– Wejdzmy do łóżka i przytulmy się – zaproponowała.

Włączyłem radio i nastawiłem stację jazzową. Sonny Rollins zawodził na trąbce smętną sonatę. Włączyłem przyćmione światło i odrzuciłem pościel.

Tam dostrzegłem drugą wieczorną niespodziankę – gładką, białą kopertę wielkości zeszytu, nie opisaną i częściowo przykrytą poduszką.

– Leżała tutaj, kiedy przyszedłeś?

Robin zdjęła już szlafrok. Teraz trzymała go przy piersiach, zakrywając się, jak gdyby koperta była żywym, podglądającym nas intruzem.

– Pewnie tak. Nie wchodziłam do sypialni.

Otworzyłem kopertę paznokciem kciuka i wyjąłem pojedynczą kartkę białego papieru złożoną na pół. Nie było na niej daty, adresu ani logo. Tylko biały prostokąt wypełniony linijkami ręcznego pisma, które smutno chyliło się na bok. Charakter pisma – stłoczony i pająkowaty – był mi znajomy. Usiadłem na krawędzi łóżka i czytałem:

Drogi doktorku!

Żywię nadzieję, że w najbliższej przyszłości będziesz spał we własnym łóżku i przeczytasz ten list. Pozwoliłem sobie na sforsowanie twoich tylnych drzwi, wszedłem i zostawiłem ci tę przesyłkę. Tak

przy okazji: powinieneś założyć lepsze zamki.

Dziś po południu uwolniłem się od obowiązków – w sprawie H, i G. El Capitan uważa, że sprawie przyniesie korzyść zastrzyk świeżej krwi (tych niesmacznych słów użył mój szef, nie ja). Mam wątpliwości co do jego motywacji, ponieważ, jednak nie posiadam żadnych nowych danych, nie mogłem z el Capitanem dyskutować.

Wyglądałem chyba na dość zdruzgotanego jego decyzją, gdyż nagle okazał mi zrozumienie i zaproponował kilka dni wolnego. W gruncie rzeczy całkiem dokładnie przejrzał akta przebiegu mojej służby, wiedział więc, że zebrało mi się sporo urlopu i usilnie mnie nakłaniał do wykorzystania choć niewielkiej jego części.

Początkowo nie byłem zachwycony tym pomysłem, lecz później uznałem go za doskonałą sposobność. Pomyślałem, że chętnie posiedzę sobie na słońcu. Obejrzę niezwykłą małą miejscowość o nazwie Ahuacatlan, która leży na północ od Guadalajary. Zdanych uzyskanych przeze mnie tu, w Los Angeles, wynika, że osada jest niemal stworzona na wakacje dla kogoś o moich zainteresowaniach rekreacyjnych. Polowanie i łowienie ryb.

Spodziewam się wrócić za dwa, trzy dni. Raczej nie będę uchwytany pod telefonem – wiem, że tubylcy cenią prywatność. Zadzwońię po powrocie. Pozdrowienia dla panny Stradivarius, a ty trzymaj się z dala od kłopotów.

Wszystkiego najlepszego Milo

Dałem list do przeczytania Robin. Gdy skończyła, oddała mi go i spytała.

– Czy to znaczy, że odebrano mu tę sprawę?

– Tak. Prawdopodobnie ze względu na zewnętrzne naciski. A jednak pojechał do Meksyku, aby zbadać przeszłość McCaffreya. Najwyraźniej kiedy tam zadzwonił, uzyskał ciekawe informacje i postanowił kontynuować śledztwo na miejscu.

– Działa wbrew zaleceniom swojego kapitana.

– Prawdopodobnie uważa, że gra jest warta świeczki. – Milo był odważnym człowiekiem, ale z pewnością nie typem straceńca. Tak jak każdy policjant, pragnął dotrzeć do emerytury.

– Miałaś więc rację... Co do „La Casa”. – Robin wsunęła się pod kołdrę. Drżała, ale na pewno nie z zimna.

– Tak. – Wcale nie czułem się z tego dumny.

Muzyka zmieniła tempo, nieoczekiwanie przyspieszając. Do Rollinsa przyłączył się perkusista, wystukując na tam-tamach rytm, który przywiódł mi na myśl tropikalny tatuaż... Pomyślałem o kanibalach i pnączach, wśród których kryją się węże. Skurczone głowy...

– Obejmij mnie.

Położyłem się obok niej, pocałowałem ją, przytuliłem i starałem się zrelaksować. Niestety, mój umysł przez cały czas gdzieś wędrował, zatracił się na jakimś zmrożonym kawałku tundry, spływał wraz z lodem do morza...

Rozdział 19

Na ścianach frontowego holu Zachodniego Centrum Pediatrycznego wisiało wiele marmurowych tablic z wygrawerowanymi nazwiskami od dawna nieżyjących dobroczyńców. Hol wypełniali ranni i chorzy, czekający w nieskończonych kolejkach, które są równie charakterystyczne dla sporej części szpitali jak strzykawki i fatalne jedzenie.

Matki kurczowo przyciskały do piersi zawiniątka, z których wydobywało się kwilenie. Ojcowie gryźli paznokcie i zmagali się z formularzami ubezpieczeniowymi, udając, że utarczki z biurokracją nie odbierają im męskiej godności. Wszędzie wokół maluchy goniły się lub kładły rączki na marmurze, po czym cofały je szybko z powodu zimna, zostawiając po sobie brudne ślady. Głośnik wywoływał nazwiska i wybrane osoby ciężkim krokiem szły do rejestracji. W okienku informacyjnym zasiadała błękitno włosą dama w zielono-białym, pasiastym uniformie szpitalnej ochotniczki. Wydawała się równie zakłopotana jak pacjenci, którym miała pomagać.

W dalszym rogu holu dzieci i dorośli siedzieli na plastikowych krzesłach i oglądali telewizję. Odbiornik nastawiono na serial, którego akcja toczyła się w szpitalu. Lekarze i pielęgniarki na ekranie ubrani byli w nieskazitelną biel, włosy mieli schowane w czepki oraz idealne twarze i zęby, które błyszcząły śluzowatym połyskiem, kiedy ich właściciele rozmawiali powoli cichym, poważnym tonem o miłości, nienawiści, bólu i śmierci. Lekarze i pielęgniarki przepychający się przez tłum w holu Centrum byli zdecydowanie bardziej ludzcy – rozczochrani, udręczeni, sennoocy. Wchodzący spieszyli się, lustrowali wyświetlacze brzęczących pagerów lub odbierali telefony alarmowe. Wychodzący pędzili z podnieceniem uciekających więźniów i strachem, że w ostatniej chwili jakiś telefon zawróci ich na oddział.

Przeszedłem przez automatyczne drzwi w białym fartuchu, ze szpitalną plakietką i aktówką w ręku. Sześćdziesięcioletni strażnik z czerwonym nosem skinął mi głową.

– Dzień dobry, doktorze – przywitał mnie.

Zjechałem windą do sutereny wraz z przygnębioną murzyńską parą po trzydziestce i ich synem: bezwładnym, szaroskórym dziewięciolatkiem na wózku inwalidzkim. Na antresoli przyłączyła się do nas technik laboratoryjny, tłusta dziewczyna niosąca kosz ze strzykawkami, igłami, gumowymi rurkami i szklanymi butlami wypełnionymi krwią – rubinowym syropem życia. Rodzice małego inwalidy popatrzyli tęsknym wzrokiem na krew, dziecko natomiast odwróciło głowę do ściany.

Winda zahamowała raptownie, po czym wyszliśmy do obskurnego żółtego korytarza. Pozostali pasażerowie skręcili w prawo, do laboratorium, ja poszedłem w przeciwną stronę. Dotarłem do drzwi oznaczonych napisem „Akta medyczne”, otworzyłem je i znalazłem się w środku.

Odkąd odszedłem z Centrum, nic się tu nie zmieniło. Musiałem skręcić i przejść wąski korytarzyk wycięty w stertach kart chorobowych – ich stosy stały od podłogi po sufit. W pomieszczeniu nie było komputera i jak dotąd nikt nie podjął się próby zorganizowania w spójny system – przy użyciu nowoczesnej technologii – dziesiątek tysięcy zniszczonych akt w szarych teczkach. Szpitale to instytucje konserwatywne, a Zachodnie Centrum Pediatryczne należało do tych najbardziej

niechętnych postępowi; wszelkie jego przejawy przyjmowano tu z „radością” psa witającego parochy.

Na końcu korytarzyka znajdowała się gładka, szara ściana. Tuż przed nią siedziała sennie wyglądająca Filipinka, czytająca jakiś kolorowy magazyn.

– Mogę panu w czymś pomóc?

– Tak. Jestem doktor Delaware. Potrzebuję kartę choroby jednego z moich pacjentów.

– Mógł pan poprosić sekretarkę, żeby do nas zadzwoniła, doktorze, a przesłalibyśmy panu akta.

Jasne. Za dwa tygodnie.

– Wiem, moja droga, muszę jednak przejrzeć je teraz, a mojej sekretarki jeszcze nie ma.

– Jak się nazywa pański pacjent?

– Adams. Brian Adams. – Kartoteki w pokoju ułożone były alfabetycznie. Podałem nazwisko, które wysłało archiwistkę do odległego końca sekcji „A-K”.

– Jeśli pan tylko wypełni ten formularz, od razu je dla pana znajdę.

Wypełniłem rubryki, z łatwością fałszując dane. Kobieta zresztą nawet nie popatrzyła na formularz, natychmiast wkładając go do metalowego pudełka. Kiedy odeszła, skrywając się wśród stosów teczek, ruszyłem do działu „L-Z”, poszukałem pod „N” i znalazłem dane, których szukałem. Wsunąłem je do aktówki i wróciłem.

Czekałem na archiwistkę jeszcze dziesięć minut.

– Mam tu trzech Brianów Adamsów, doktorze. O którego chodzi?

Przejrzałem kartoteki i wybrałem pierwszą z brzegu.

– Ten.

– Proszę tu podpisać – wyciągnęła drugi formularz – a wtedy może pan wypożyczyć akta na dwadzieścia cztery godziny.

– Nie, nie, nie ma takiej potrzeby. Przejrzyje na miejscu.

Przybrałem uczoną minę, przekartkowałem medyczną historię jedenastoletniego Briana Adamsa, przeczytałem o rutynowym wycięciu migdałków sprzed pięciu lat, mamrotałem, potrząsałem głową, zanotowałem kilka pozbawionych znaczenia bzdur, po czym oddałem kobiecie akta.

– Dzięki. Była pani bardzo pomocna.

Nie odpowiedziała, wróciła już bowiem do świata makijażu i mody, która mogła się spodobać

chyba tylko intelektualistom o zainteresowaniach sadystycznych.

Znalazłem pustą salkę konferencyjną w dole korytarza obok kostnicy, zamknąłem się od wewnątrz na klucz i usiadłem, by przestudiować akta Cary'ego Nemetha.

Chłopiec spędził ostatnie dwadzieścia dwie godziny swego życia na oddziale intensywnej opieki medycznej w Zachodnim Centrum Pediatricznym i ani na sekundę nie odzyskał przytomności. Z medycznego punktu widzenia jego przypadek był beznadziejny. Przyjmujący lekarz stażysta prowadził rzeczowe i obiektywne notatki, określając je tytułem: „Auto kontra pieszy”, w osobliwym żargonie medycznym, który sprawia, że opis tragedii przypomina komentarz sportowy.

Chłopca przywieziono ambulansem. Cary był poobijany, miał zmiażdżone organy wewnętrzne i roztrzaskaną czaszkę. Nastąpił u niego zanik wszystkich funkcji z wyjątkiem najbardziej podstawowych w sensie fizjologicznym. Mimo to wydano tysiące dolarów na odsunięcie nieuniknionej śmierci, a liczba zapisanych stron wystarczyłaby do stworzenia karty zdrowia rozmiaru podręcznika medycznego. Przekartkowałem notatki pielęgniarek, które wyliczały nawet starannie wdechy i wydechy – dziecko zredukowano do centymetrów sześciennych płynu i sond, wykresy z oddziału intensywnej opieki medycznej, dane na temat postępów – okrutny żart!, relacje z konsultacji z neurochirurgami, neurologami, nefrologami, radiologami, kardiologami, analizy krwi, wyniki badania rentgenowskiego, obrazowania mózgu, przetaczania krwi, opisy szwów, karmienia dożylnego, dodatkowego żywienia pozajelitowego, terapii oddechowej i, w końcu, sekcja zwłok.

Do teczki Nemetha wpięto również raport szeryfa, kolejny przykład żargonowego redukcjonizmu. W tym – równie cennym – dialektcie Cary Nemeth był „O”, czyli ofiarą.

„O” została uderzona od tyłu, gdy schodziła drogą Malibu Canyon tuż przed północą. Dziecko było bose, ubrane w pidżamę – żółtą – w raporcie dbano o szczegóły. Nie odkryto żadnych śladów poślizgu, co skłoniło koronera do konkluzji, że chłopca uderzono z pełną siłą. Z odległości, jaką przebyło ciało, oszacowano szybkość pojazdu – między sześćdziesiąt pięć a osiemdziesiąt kilometrów na godzinę.

Reszta stanowiła przykład pracy papierkowej, kartonowej przekąski dla centralnego komputera.

Dokument był przygnębiający. Nic mnie w nim nie zaskoczyło. Nawet fakt, że aktu zgonu nie podpisał lekarz pediatra opiekujący się Carym Nemethem, lecz doktor medycyny Lionel Willard Towle.

Wetknąłem kartę choroby chłopca pod stos zdjęć rentgenowskich i poszedłem do windy. Dwóch jedenastolatków, którzy zapewne uciekli z oddziału, ścigało się na wózkach. Świetnie się bawili, dożylnie rurki oplatały ich jak liny i musiałem się odsunąć, by na mnie nie wpadli.

Sięgałem właśnie do guzika windy, gdy usłyszałem swoje imię.

– Witaj, Aleksie!

Dyrektor medyczny, który dotąd gawędził z parą stażystów, odprawił ich i podszedł do mnie.

– Dzień dobry. Henry.

Od naszego ostatniego spotkania przytył kilka kilogramów, toteż tłusta szyja niemal wylewała mu się z kołnierzyka koszuli. Mężczyzna miał niezdrowo rumianą cerę. W kieszonkę na piersi wetknął sobie trzy cygara.

– Cóż za zbieg okoliczności – zagaił, wyciągając w moją stronę miękką dłoń. – Właśnie miałem do ciebie dzwonić.

– Naprawdę? A o co chodzi?

– Porozmawiajmy w biurze.

Zamknął drzwi i pomknął za biurko.

– Jak sobie radzisz, synu?

– Świetnie.

Tato!

– To dobrze, dobrze. – Wyjął cygaro z kieszeni i przez chwilę zsuwał z niego celofanową obwolutę ruchem onanisty. – Nie zamierzam owijać niczego w bawełnę, Aleksie. Wiesz, że jak działam – zawsze mówię wprost. To moja filozofia. Niech ludzie wiedzą, na czym stoją.

– No to mów.

– Tak. Hmm... Powiem wprost. – Pochylił się do przodu, jak gdyby cierpiał z powodu torsji albo przygotowywał się do przekazania mi bardzo poufnej informacji. – Otrzymałem... otrzymaliśmy skargę związaną z twoją działalnością zawodową.

Rozsiadłem się wygodnie, z przyjemnością wypatrując dalszego ciągu, niczym chłopiec, który czeka na wybuch petardy.

– Will Towle?

Dyrektor uniósł brwi, nie dostrzegł fajerwerków, więc spuścił wzrok.

– Wiesz?

– Nazwij to przecuciem.

– Tak, no cóż, masz rację. Mówił coś o jakiejś hipnozie, której kogoś poddałeś, czy o innym nonsense.

– Ten facet to gnojek. Henry.

Dyrektor gmerał palcami w celofanie. Zastanawiałem się, ile czasu upłynęło, odkąd ostatnim razem operował.

– Rozumiem twój punkt widzenia, jednakże Will Towle to ważna osobistość i powinieneś potraktować go poważnie. Żąda przeprowadzenia śledztwa, czegoś...

– Polowanie na czarownice?

– Nie ułatwiasz mi sprawy, młody człowieku.

– Nie mam zobowiązań wobec Towle'a ani wobec nikogo innego. Jestem na emeryturze, Henry, zapomniałeś o tym? Sprawdź, kiedy ostatnio pobierałem wynagrodzenie.

– Nie o to chodzi...

– Chodzi o to. Henry, że jeśli Towle chce mi dokopać, niech postawi sprawę przed Radą Stanową. Jestem przygotowany na wymianę zarzutów. Gwarantuję, że będzie to pouczające doświadczenie dla wszystkich zainteresowanych.

Uśmiechnął się obłudnie.

– Lubię cię, Aleksie. Chcę cię jedynie ostrzec.

– Przed czym?

– Rodzina Willa Towle'a ofiarowała setki tysięcy dolarów na ten szpital. Może nawet płacili za krzesło, na którym siedzisz.

Wstałem.

– Dziękuję za ostrzeżenie.

Jego małe oczka błysnęły gniewem. Cygaro kłapnęło między zębami, zasypując biurko strzępkami tytoniu. Dyrektor popatrzył na swój utracony smoczek i przez moment sądziłem, że wybuchnie łzami. Byłby świetny na leżance u psychoanalityka.

– Nie jesteś tak niezależny, jak sądzisz. Pomyśl o swoich przywilejach zawodowych.

– Chcesz powiedzieć, że gdy Will Towle poskarży się na mnie, mogę utracić możliwość praktykowania w Los Angeles.

– Mówię tylko: nie wywołuj zamętu. Zadzwoń do Willa i napraw tę sprawę. To nie jest zły facet. Właściwie bardzo wiele was łączy. Will jest ekspertem w...

– Pediatrii behawioralnej. Wiem. Henry, ale odbyliśmy pewną rozmowę i z jego tonu wywnioskowałem, że nie gramy w tym samym zespole.

– Pamiętaj o jednym, Aleksie: psychologowie nigdy nie mieli wśród personelu medycznego zbyt mocnej pozycji.

Przypomniałem sobie pewną starą rozmowę. Coś o znaczeniu ludzkiego czynnika i jego związkach z nowoczesną medycyną. Miałem ochotę rzucić dyrektorowi w twarz jego własne słowa. Potem jednak popatrzyłem mu w oczy i zdecydowałem, że nie warto.

– Czy to wszystko?

Nie miał mi nic więcej do powiedzenia. Ludzie w jego typie rzadko potrafią mówić coś poza frazesami, poleceniami albo groźbami.

– Do widzenia, doktorze Delaware – zakończył rozmowę.

Wyszedłem szybko, zamykając za sobą drzwi.

Rozejrzałem się po głównym holu. Pacjenci już się rozeszli, po korytarzu natomiast kręciła się grupka gości z jakiegoś kobiecego oddziału ochotniczego. Damy miały wypisane na zadbanych twarzach dobre wychowanie i dostęp do sporych pieniędzy. Zachowywały się jak podstarzałe dziewczęta z żeńskiego koła studenckiego. Słuchały z zachwytem przedstawiciela administracji, który opowiadał, że Zachodnie Centrum Pediatriczne „stoi na czele medycznego i humanitarnego postępu wśród szpitali dziecięcych”, kiwały głowami i próbowały nie pokazać po sobie zniecierpliwienia.

Mężczyzna dalej wygłaszał doskonale przygotowany wykład na temat dzieci, które są „naturalnym bogactwem”. Wyobraziłem sobie w tym momencie młode kości zmielone na mąkę dla czyjejś piekarni.

Odwróciłem się i poszedłem do windy.

Na trzecim piętrze szpitala mieścił się szereg biur administracyjnych. Pomieszczenia miały kształt odwróconych liter „T”, były obite ciemnym drewnem i wyłożone dywanami barwy i miękkości typowej dla mchu. Biuro personelu medycznego znajdowało się na dnie nóżki „T”, w oszklonym pokoju z widokiem na Hollywood Hills. Elegancka blondynka za biurkiem nie była osobą, którą spodziewałem się tu spotkać, niemniej jednak poprawiłem krawat i wszedłem.

Kobieta podniosła wzrok. Początkowo była zamyślona i nie rozpoznała mnie, później uprzytomniła sobie, kim jestem, posłała mi królewski uśmiech i wyciągnęła rękę z wielkopańską manierą kogoś, kto zbyt długo pracuje w jednym miejscu, by wierzyć w istnienie ludzi niezastąpionych.

– Dzień dobry, Aleksie.

Jej paznokcie były długie i pokryte grubą warstwą perłowego lakieru, jak gdyby z czystej próżności plądrowała palcami oceaniczne głębiny oceanu. Ująłem jej rękę i potrząsałem z dbałością, której blondyna się domagała.

– Córo.

– Miło cię znowu widzieć. Upłynęło dużo czasu.

– Rzeczywiście.

– Wracasz do nas... Słyszałam, że zrezygnowałeś.

– Nie, nie wracam. Zrezygnowałem.

– Cieszysz się wolnością? – Obdarzyła mnie kolejnym uśmiechem. Jej włosy wydały mi się jaśniejsze, bardziej pospolite, figura pełniejsza, choć nadal doskonała, wbita w żółto-zieloną szydełkową suknię, która odstraszyłaby niejedną grubaskę.

– Tak. A ty?

– U mnie po staremu – westchnęła.

– I jak zwykle świetnie, jestem pewien.

Przez moment sądziłem, że popełniłem tym pochlebstwem błąd. Rysy Córy stwardniały i na jej twarzy uwydatniły się zmarszczki.

– Wiemy – kontynuowałem – kto naprawdę tu rządzi.

– Och, daj spokój. – Zamachała ręką.

– Na pewno nie lekarze. – Kusiło mnie, by nazwać ją „starą kumpelką”.

– To prawda. Zdziwiający, że dwadzieścia lat nauki daje niektórym osobom tak niewiele. Jestem zwykłą urzędniczką, ale wiem, co to zdrowy rozsądek.

– Na pewno nie jesteś zwykłą urzędniczką, Córo.

– No cóż, nie wiem. – Zamrugła oczami i jej gęste i ciemne jak krucze pióra rzęsy zamigotały niczym konfetti.

Córa miała nieco ponad czterdzieści lat i bezlitosne jarzeniowe światło podkreślało jej wiek. Była jednak bardzo zadbana, miała ładną twarz i, ogólnie rzecz biorąc, należała do kobiet, które pięknie się starzeją. Kiedyś całe wieki temu, wydawała się dziewczęca, zdrowa i wysportowana. Ostro wtedy zaszaletiśmy na podłodze biura z aktami medycznymi. Zdarzyło nam się kochać tylko ten jeden jedyne raz, po którym nastąpił obustronny bojkot. Teraz Córa wyraźnie ze mną flirtowała. Najwyraźniej czas zatarł nieprzyjemne wspomnienia.

– Dobrze cię tu traktują? – spytałem.

– Nie najgorzej. Wiesz, jacy są lekarze.

Uśmiechnąłem się szeroko.

– Jestem elementem wyposażenia – stwierdziła. – Gdy wchodzi do mojego biura, zlewam im się z meblami.

Zmierzyłem jej ciało wzrokiem od góry do dołu.

– Nie sądzę, żeby można cię było pomylić z meblem.

Roześmiała się nerwowo i kokieteryjnie przygładziła włosy.

– Dzięki.

Równocześnie doszliśmy do wniosku, że już wystarczy tych wzajemnych pochlebstw.

– Co cię tu sprowadza?

– Drobiazgi... Kilka nie dokończonych kart zdrowia pacjentów, robota papierkowa. Poza tym mam trochę zaległości korespondencyjnych. Wydaje mi się, że otrzymałem notatkę w sprawie zaległych składek członkowskich.

– Nie pamiętam, żebyśmy ci coś takiego wysyłali, ale mogła to zrobić jedna z moich zastępczyń. Nie było mnie przez miesiąc. Miałam operację.

– Przykro mi to słyszeć. Córo. Czy wszystko w porządku?

– Babskie problemy. – Uśmiechnęła się. – Mówią, że jestem zdrowa. – Jej mina jasno dawała do zrozumienia, że Córa uważa „ich” za kompletnych kłamców.

– Cieszę się.

Wymieniliśmy spojrzenia. Przez krótką chwilę moja rozmówczyni znowu wyglądała na dwadzieścia lat, była niewinna i pogodna. Odwróciła się do mnie plecami, jakby pragnęła zostawić w mojej pamięci taki właśnie obraz swojej osoby.

– Sprawdzę twoje akta.

Wstała i otworzyła szufladę pokrytej czarnym lakierem szalki z aktami. Wróciła z niebieską teczką.

– Nie – oświadczyła – wszystko zapłaciłeś. W sprawie składek na przyszły rok przyślemy ci zawiadomienie za kilka miesięcy.

– Dzięki.

– Nie ma sprawy.

Odniosła teczkę.

– Napijesz się kawy? – spytałem niedbale.

Popatrzyła na mnie badawczo, potem zerknęła na zegarek.

– Przerwę mam dopiero o dziesiątej, ale, do diabła, żyje się raz, no nie?

– Jasne.

– Pójdę do toalety i trochę się odświeżę. – Zburzyła włosy, wzięła torebkę, opuściła biuro i weszła do pomieszczenia po drugiej stronie korytarza.

Kiedy zobaczyłem, że drzwi się za nią zamknęły, podszedłem do szafki z aktami. Szuflada, którą otworzyła, miała nalepkę „Personel: A-G”. Dwie szuflady niżej znalazłem papiery, których szukałem. Powędrowały do mojej starej aktówki.

Czekałem przy drzwiach, kiedy wyszła, zarumieniona, uróżowiona i ładna. Pachniała paczulą. Podałem jej ramię, położyła na nim dłoń.

Nad szpitalną kawą słuchałem jej gadaniny. O rozwodzie, czyli siedmioletniej ranie, która nie chciała się zagoić, o nastoletniej córce, doprowadzającej ją do szaleństwa, ponieważ latorośl postępowała dokładnie tak samo, jak Córa w jej wieku, o kłopotach z samochodem, o nieczułości przełożonych i o tym, jakie życie jest niesprawiedliwe.

Dziwacznie się czułem, poznając dopiero teraz kobietę, z którą kiedyś baraszkowałem na podłodze. W pokręconym sensie, charakterystycznym dla współczesnych stosunków damsko-męskich, wysłuchiwanie jej opowieści o nieszczęściach oznaczało znacznie większą zażyłość niż rozwieranie jej ud przed laty.

Rozstaliśmy się po przyjacielsku.

– Wpadnij znowu. Aleksie.

– Jasne.

Poszedłem na parking, zachwycony łatwością, z jaką przychodziło mi oszukiwanie ludzi. Zawsze szczyliłem się własną uczciwością, a w ostatnich trzech dniach nabrałem prawdziwej wprawy w ukradkowych kradzieżach, zatajaniu prawdy, rzucaniu w twarz bezceremonialnych kłamstw i emocjonalnej prostytucji.

Winą za moje zachowanie należy chyba obarczyć towarzystwo, w jakim się ostatnio obracam.

Pojechałem do kameralnej włoskiej knajpki w zachodnim Hollywood. Restaurację dopiero co otwarto, więc byłem jedynym gościem. Usiadłem przy ławie w tylnym rogu, zamówiłem cielęcinę w sosie winnym oraz sałatkę – makaron linguini z oliwą i czosnkiem. No i coorsa.

Leniwy kelner przyniósł najpierw piwo. Gdy czekałem na jedzenie, otworzyłem aktówkę i obejrzałem swoją zdobycz.

Akta medyczne Towle'a liczyły ponad czterdzieści stron. Większą część teczki wypełniały odbitki jego dyplomów i świadectw oraz zawiadomienia o przyznanych nagrodach. Jego życiorys składał się z dwudziestu stron przechwałek. Natychmiast rzucił mi się w oczy brak publikacji naukowych – Towle był jedynie współautorem jednego krótkiego raportu w okresie stażu, dostrzegłem natomiast mnóstwo wzmianek na temat wywiadów telewizyjnych i radiowych, odczytów przemówień wygłaszanych na przeróżnych imprezach do grup laików – nigdy nie były to sesje naukowe służby ochotniczej w „La Casa” i uczestnictwa w podobnych organizacjach. Mimo braku publikacji miał tytuł profesora zwyczajnego i wykładał na studiach medycznych. Pomyślałem, że niektórzy ludzie naprawdę mają szczęście.

Kelner przyniósł sałatkę i kosz z bułkami. Wziąłem serwetkę jedną ręką, drugą zacząłem chować akta do aktówki, kiedy na pierwszej stronie życiorysu jakieś słowo przyciągnęło moje oko.

W rubryce: „Ukończona szkoła średnia, wyższa” Towle wpisał: Jedson College w Bellevue, stan Waszyngton.

Rozdział 20

Dotarłem do domu, zadzwoniłem do „Los Angeles Times” i poprosiłem do aparatu reportera Neda Biondiego z działu miejskiego. Biondi był osobnikiem niskim, nerwowym, żywo zainteresowanym wszelkimi ciekawostkami godnymi pierwszej strony. Kilka lat temu leczyłem jego nastoletnią córkę – anorexia nervosa. Biondi nie mógł opłacić kuracji z dziennikarskiej pensji – pomniejszonej z powodu skłonności do obstawiania niewłaściwych koni w Santa Anita – ale dziewczyna była w tarapatkach, więc rozłożyłem mu płatność na raty. Spłata zajęła półtora roku. Córka Biondiego wyzdrowiała po kilku miesiącach, kiedy wreszcie, odłupałem w jej psychice ostatnie warstwy nienawiści do samej siebie, które okazały się zaskakująco skostniałe, jak na siedemnastolatkę. Pamiętałem ją wyraźnie – wysoka, ciemna, o śmiertelnie bladej twarzy i słabych, wrzecionowatych nogach. Nosiła stale szorty do joggingu i podkoszulki, podkreślające wychudzenie jej ciała. Stan dziewczyny skrajnie się zmieniał – po długich, mrocznych okresach rozmyślań i milczenia następowały ucieczki w nadmierną ruchliwość, podczas których panna Biondi była gotowa na trzystu kaloriach dziennie wystartować w dowolnej dyscyplinie na olimpiadzie albo przynieść góry.

Złatwiłem jej pobyt w Zachodnim Centrum Pediatricznym, gdzie przebywała przez trzy tygodnie. Leczenie szpitalne oraz miesiące psychoterapii w końcu dały elekt i moja pacjentka zaczęła sobie radzić ze zbyt piękną matką, super wysportowanym bratem i rewelacyjnie dowcipnym ojcem...

– Biondi.

– Witaj, Nedzie, mówi Alex Delaware.

Ponieważ nie podałem tytułu doktorskiego, reporter potrzebował sekundy, by skojarzyć sobie moje nazwisko.

– Doktorze! Jak się miewasz?

– W porządku. Co u Annę Marie?

– Bardzo dobrze. Kończy drugi rok w Wheaton w Bostonie. Dostaje piątki, czasami czwórki, ale te ostatnie wcale jej nie przerażają. Ciągle jest dla siebie nieco zbyt surowa, chyba jednak nauczyła się pokonywać życiowe szczyty i doliny, jak je kiedyś nazwałeś. Jej waga jest stabilna – czterdzieści sześć i pół kilo.

– Wspaniale. Przy najbliższej okazji pozdrów ją ode mnie.

– Oczywiście. Miło, że zadzwoniłeś.

– No cóż, szczerze mówiąc, mam sprawę.

– Ach tak. – W jego głosie pojawiła czujność charakterystyczna dla ludzi, którzy zarabiają na życie, wściubiając nos w sprawy innych.

– Chciałem cię prosić o przysługę.

– Jaką?

– Lecę dziś wieczorem do Seattle. Muszę dotrzeć do odpisów pewnych dokumentów w małym college'u w pobliżu miasta. Jedson.

– Hej, nie tego po tobie oczekiwałem. Sądziłem, że potrzebujesz notki reklamowej w niedzielnym wydaniu albo czegoś podobnego. A twoja prośba brzmi całkiem poważnie.

– Rzeczywiście.

– Hmm. Jedson. Znam tę szkołę. Anne Marie zamierzała złożyć do niej papiery, pomyśleliśmy sobie bowiem, że w małym college'u będzie podlegała mniejszej presji. Okazało się jednak, że czesne w Jedson jest o połowę wyższe niż w Wheaton, Reed czy Oberlin – a tamte wcale nie są niskie. Czego chcesz szukać w tej szkole?

– Nie mogę ci powiedzieć.

– Doktorcu. – Roześmiał się. – Przepraszam za wyrażenie, ale cholernie mnie podpuszczasz. Jestem zawodowym wężycielem, pamiętasz. Pomachaj mi przed nosem jakąś tajemnicą, a pobiegnę za tropem.

– Skąd pomysł, że chodzi o tajemnicę?

– Lekarze, którzy jadą na drugi koniec Stanów, aby się dostać do czyichś akt, kojarzą mi się z tajemnicą. O ile mnie pamięć nie myli, zwykle pacjenci przychodzą do psychologa, a nie on do nich.

– Przykro mi, ale nie mogę ci teraz nic więcej powiedzieć.

– Potrafię dochować sekretu, przyjacielu.

– Nie, nie. Jeszcze nie teraz. Zaufaj mi. Już raz mi zaufałeś.

– To chwyć poniżej pasa, doktorze.

– Wiem. Nie powiedziałbym tego, gdyby nie chodziło o ważną sprawę. Potrzebuję twojej pomocy, Nedzie. Może jestem na tropie, a może nie. Jeśli coś znajdę, powiadomię ciebie pierwszego.

– Coś dużego?

Zastanowiłem się przez chwilę.

– Możliwe, że tak.

– W porządku. – Westchnął. – Co mam dla ciebie zrobić?

– Chciałbym powołać się na ciebie. Jeśli ktoś do ciebie zadzwoni, potwierdzisz moją opowieść.

– Jaka to opowieść?

Wysłuchał mnie.

– Wydaje się całkiem niewinna. Ma się rozumieć – dodał wesoło – że jeśli cię zdemaskują, prawdopodobnie stracę pracę.

– Będę ostrożny.

– Zgoda. Zresztą, i tak powoli wybieram się na emeryturę.

Przez chwilę w słuchawce panowała cisza, jak gdyby Biondi rozmyślał o zaletach i wadach spokojnego życia. Najwyraźniej nie spodobały mu się wnioski, do których doszedł, ponieważ głośno jęknął.

– Oszaleję, rozmyślając o tej sprawie. Naprawdę nie możesz mi podać żadnych szczegółów?

– Nie mogę, stary.

– W porządku. Rób swoje i nie zapomnij mnie zawiadomić, gdy coś odkryjesz.

– Dobra. Dzięki.

– Och, do cholery, nie dziękuj mi. Nadal mam wyrzuty sumienia, że nie mogłem ci od razu zapłacić. Patrząc na moje dziecko o różowych policzkach, na uśmiechniętą młodą pannę, cudenka... Ciągłe jest trochę za chuda, jak na mój gust, ale przedtem to były chodzące zwłoki. Teraz jest normalną dziewczyną, o ile się na tym znam. Wreszcie potrafi się śmiać. Zawdzięczam to tobie, doktoru.

– Trzymaj się. Ned.

– Ty też.

Rozłączyłem się. Słowa wdzięczności Biondiego kazały mi się zastanowić nad życiowymi wyborami, których dokonałem. Może nie powinienem przechodzić na emeryturę. Potem jednak pomyślałem o zakrwawionych ciałach i wątpliwości mnie opuściły. Wiedziałem, że muszę wyjaśnić tę sprawę do końca.

Przełączano mnie kilkakrotnie, zanim wreszcie dotarłem do właściwej osoby w Jedson College.

– Dopplemeier. Kontakty z mediami. Słucham.

– Dzień dobry, pani Dopplemeier, mówi Alex Delaware. Pisuję do „The Los Angeles Times”.

– Co mogę dla pana zrobić, panie Delaware?

– Piszę reportaż o małych college'ach z Zachodu Stanów. Pragnę się skoncentrować na instytucjach mniej znanych, lecz o doskonałej renomie akademickiej. Claremont. Occidental. Reed i tym podobne. Chcielibyśmy włączyć Jedson.

– Och, naprawdę? – W jej głosie wyczułem zaskoczenie. Może po raz pierwszy ktoś nazwał Jedson szkołą „o doskonałej renomie akademickiej”. – Byłoby nam bardzo miło, panie Delaware. Chętnie porozmawiam z panem teraz i odpowiem na wszystkie pańskie pytania.

– Szczerze mówiąc, wolę osobisty kontakt. Mojego wydawcę mniej interesują statystyki, bardziej lokalna atmosfera. Chcielibyśmy pokazać, że małe college poza zwyczajnym stopniem naukowym oferują również znakomitą więź z wykładowcami, wręcz przyjaźń z nimi. Na większych uniwersytetach student nie ma szans na taką zażyłość.

– Jakież to prawdziwe!

– Odwiedzam więc kampusy, gawędzę z personelem i z uczniami. Na tej podstawie opisuję później własne wrażenia.

– Świetnie rozumiem, co ma pan na myśli. Chce pan włączyć do swojego tekstu ludzki głos.

– Dokładnie. Cudownie pani określiła moje zamiary.

– Przed przyjazdem do Jedson dwa lata pracowałam w pewnej gazecie w New Jersey. – Wiedziałem, że w każdym agencie prasowym czai się dziennikarski homunkulus, który niecierpliwie czeka na uwolnienie, by obwieścić całemu światu sensacyjną wiadomość.

– Ach, bratnia dusza.

– No cóż, w tej chwili nie pracuję dla prasy, lecz od czasu do czasu myślę o powrocie do tamtego światka.

– Nie ma w tej pracy kokosów, często jednak daje sporo satysfakcji, pani Dopplemeier.

– Margaret.

– Margaret. Mam zamiar przylecieć dziś wieczorem do Seattle i zastanawiam się, czy mógłbym złożyć ci jutro wizytę.

– Niech sprawdzę. – Usłyszałem szelest papierów. – Może o jedenastej?

– Świetnie.

– Przygotować dla ciebie jakieś szczególne informacje?

– Interesuje nas, jak sobie radzą dalej absolwenci małych college'ów. Może jakieś opowieści

o waszych sławnych wychowankach. Doktorach, prawnikach... No, sama wiesz.

– Nie miałam okazji gruntownie się zapoznać z historią szkoły, ponieważ pracuję tu zaledwie od kilku tygodni. Ale popytam innych i znajdę kogoś, kto ci pomoże.

– Doceniam to.

– Pod jakim telefonem mogę cię złapać, gdybym musiała?

– Przez większość czasu będę w podróży. Możesz zostawić wiadomość u mojego kolegi z „Timesa”, Edwarda Biondiego. – Podałem jej numer Neda.

– Dobrze. Zatem spotykamy się jutro o jedenastej. College jest w Bellevue, tuż za Seattle. Trafisz?

– Na wschodnim brzegu Jeziora Waszyngtona? – Przed laty miałem gościnne wykłady na Uniwersytecie Stanu Waszyngton. Profesor, który mnie zaprosił, mieszkał właśnie w Bellevue. Zapamiętałem miasteczko jako sypialnię dla bogatszych przedstawicieli klasy średniej – agresywnie nowoczesne domy, równo przycięte trawniki i długie, parterowe centra handlowe wypełnione sklepami dla smakoszy i kolekcjonerów, galeriami antyków oraz butikami z bardzo drogimi ubraniami.

– Zgadza się. Jeśli będziesz jechał z centrum, wybierz drogę 1-5 do 520, która dochodzi do mostu pontonowego Evergreen Point. Przejedź przez most na wschodni brzeg, skręć na południe przy Fairweather i dalej jedź wzdłuż wybrzeża. Jedson leży nad zatoką Meydenbauer, tuż obok klubu jachtowego. Mój pokój znajduje się na pierwszym piętrze budynku Crespi Hali. Zostaniesz na lunch?

– Nie jestem pewny. To zależy od tego, ile będę miał czasu.

I od tego, co znajdę!

– Coś dla ciebie przygotuję, tak na wszelki wypadek.

– To bardzo miło z twojej strony. Margaret.

– Dla kolegi po łachu – wszystko.

Potem zadzwoniłem do Robin. Odpowiedziała dopiero po dziewiątym dzwonku.

– Cześć. – Brakowało jej tchu. – Miałam włączoną dużą pilę i nie słyszałam telefonu. Co się dzieje?

– Wyjeżdżam z miasta na kilka dni.

– Tahiti beze mnie?

– Nic romantycznego – Seattle.

– Och. Znowu detektywistyczne węszenie?

– Nazwij to badaniami biograficznymi. – Powiedziałem jej, że Towle również uczęszczał do Jedson.

– Naprawdę się czepiasz tego faceta.

– To on mnie się czepia. Dziś rano, kiedy byłem w Zachodnim Centrum Pediatrycznym, złapał mnie w korytarzu Henry Bork, wepchnął do swojego biura i opowiedział, jakie oskarżenia rzuca pod moim adresem stary Towle. Najwyraźniej twierdzi publicznie, że postępuję niezgodnie z etyką zawodową. Zauważ zresztą, że grzebiąc w tej sprawie, stale natykam się na Towle'a. A teraz się dowiaduję, że ukończył tę samą alma inater co Kruger! Mam naprawdę ochotę dowiedzieć się nieco więcej o szacownych akademikach Jedson.

– Zabierz mnie ze sobą.

– Nie, nie. To jedynie interesy. Gdy tylko cała sprawa się wyjaśni, zabiorę cię na prawdziwe wakacje.

– Przygnębia mnie myśl, że jedziesz tam zupełnie sam. Ta pora roku jest taka ponura.

– Nic mi nie będzie. Nie denerwuj się i popracuj trochę. Zadzwoń z hotelu.

– Jesteś pewny, że nie chcesz mnie ze sobą zabrać?

– Wiesz, że uwielbiam twoje towarzystwo, ale nie mielibyśmy czasu na zwiedzanie. Kiepsko spędziłabyś te dni.

– W porządku – rzuciła niechętnie. – Będę tęskniła.

– Ja za tobą również. Kocham cię. Dbaj o siebie.

– Ty też. Kocham cię, skarbie. Na razie.

– Do zobaczenia.

Odleciałem o dwudziestej pierwszej z LAX i wylądowałem na lotnisku Sca-Tac trzydzieści pięć minut przed północą. U Hertz'a odebrałem wynajętą nową. Nie był to Cadillac, ale miał radio UKF, które ktoś nastawił na stację z muzyką klasyczną. Organowa fuga Bacha w tonacji mollowej popłynęła z głośnika na desce rozdzielczej. Nie przerwałem jej – ta muzyka pasowała do mojego nastroju. Potwierdziłem rezerwację w hotelu „Westin”, wyjechałem z lotniska, włączyłem się w ruch na autostradzie międzystanowej i skierowałem na północ, ku centrum Seattle.

Niebo było zimne i twarde niczym pistolet z metalową rękojeścią. Jechałem kilka minut asfaltową drogą, gdy pistolet okazał się naładowany: wystrzelił nagle grzmotami i z nieba zaczął padać deszcz, który szybko rozwinął się w typową dla północno-zachodnich Stanów wściekłą ulewę,

przekształcającą autostradę w wielokilometrową myjnię samochodową.

– i – Witamy na Pacific Northwest – powiedziałem głośno.

Po obu stronach drogi dostrzegałem ledwie widoczne sosny, świerki i jodły. Oświetlane przeze mnie billboardy reklamowały wiejskie motele i lanie restauracje oferujące obfite śniadania lubiane przez drwali. Z wyjątkiem jęczących pod wpływem wiatru drzew byłem jedynym użytkownikiem autostrady. Pomyślałem sobie, jak miło byłoby teraz, jechać do górskiej chaty w towarzystwie Robin, z bagażnikiem pełnym sprzętu wędkarskiego i jedzenia. Poczulem nagłe ukłucie samotności i zateśniłem za ludźmi.

Do centrum Seattle dotarłem krótko po północy. Hotel „Westin” wyglądał jak gigantyczna stalowo-szklana probówka w zaciemnionym laboratorium miasta. Mój pokój na siedemnastym piętrze okazał się całkiem przyzwoity, z widokiem na Puget Sound i port od zachodu, od wschodu zaś na Jezioro Waszyngtona i wysepki. Zzulem buty i wyciągnąłem się na łóżku, zmęczony, choć zbyt podenerwowany, by spać.

Złapałem końcówkę nocnych wiadomości na lokalnej stacji telewizyjnej. Prezenter o chytrych oczkach bezosobowo opowiadał przez zaciśnięte szczęki o zdarzeniach minionego dnia. Z równym naciskiem przedstawiał relację masowego mordu, do którego doszło w Ohio, i recytował wyniki hokejowe. Wyłączyłem go w pół zdania, zgasilem światło, rozebrałem się w ciemnościach i patrzyłem na portowe światła, aż zasnąłem.

Rozdział 21

Tysiące metrów deszczowego lasu oddzielało akademickie miasteczko Jedson od drogi przybrzeżnej. Las ustąpił nagle bliźniaczym kamiennym kolumnom wygrawerowanym rzymskimi liczebnikami, które wiązały się z pochodzeniem brukowanej alejki ciągnącej się przez centrum kampusu. Alejka kończyła się półkolistym skrętem o sto osiemdziesiąt stopni. Teren zdobił zniszczony zegar słoneczny stojący pod gigantyczną sosną.

Na pierwszy rzut oka Jedson przywodziło na myśl typowe dla Wschodu Stanów małe college'e, które przypominają karłowaty Harvard. Budynki postawiono z jasnej cegły, a upiększono kamiennymi i marmurowymi gzymsami oraz łupkowo-miedzianymi dachami. Wszystkie drobiazgi zaprojektowane zostały w epoce, kiedy ludzka praca była tania, a zawiała sztukateria, wielkie łuki, gargulce i boginki na porządku dziennym. Nawet bluszcz wyglądał na prawdziwy. Artystycznie przycięty ponad witrażowymi oknami, opadał z łupkowych daszków i czepiał się ceglanych ścian.

Kampus był mały – teren miał może kilometr kwadratowy – i wypełniony ocienionymi przez drzewa pagórkami, imponującymi zagajnikami dębów, sosen, wierzb, wiązów i północnoamerykańskich brzoź oraz polanami wyłożonymi marmurem i zastawionymi ławami z kamienia i spiżowymi pomnikami. Całość wydawała się mocno tradycyjna, póki nie spojrzano się na zachód i nie zobaczyło, jak zadbane trawniki opadają ku dokowi, za którym znajdował się prywatny port. Okrętowe pochylnie były zajęte przez opływowe, przystrojone tekiem łodzie motorowe, piętnastometrowe i większe jachty, zwieńczone sonarami, radarami i szponiastymi antenami. Widok zdecydowanie dwudziestowieczny, charakterystyczny dla Zachodniego Wybrzeża.

Deszcz ucichł i spod szarych fałd nieba wysunął się trójkąt światła. Kilka węzłów od portu grupa żaglówek przecinała wodę, która wyglądała jak aluminiowa folia. Odniosłem wrażenie, że łodzie przygotowują się do jakiejś ceremonii, ponieważ każda z nich okrążała tę samą boję, po czym rozpościerała jaskrawe w kolorze spinakery – pomarańczowe, purpurowe, szkarłatne i zielone – które skojarzyły mi się z ogonami tropikalnych ptaków.

Dostrzegłem pokrytą pleksiglasem mapę na stojaku i przyjrzałem się jej, szukając Crespi Hali. Mijający mnie studenci zachowywali się bardzo spokojnie. Byli przeważnie rumianolicy i płowowłosi, oczy mieli w odcieniach niebieskości: od błękitu do granatu. Głowy młodzieńców zdobiły wyszukane, kosztowne fryzury, które wydawały się pochodzić z epoki Eisenhowera. Nosili spodnie z mankietami, idealnie wypucowane półbuty i doprasowane podkoszulki, najczęściej z wizerunkiem aligatora – dostrzegałem tych gadów tak wiele, że bez trudu zapchałyby błota Ilorydzkich Everglades. Niejeden eugenik poczułby dumę na widok sprężystych ruchów, krzepkich ciał i poważnych, pewnych siebie twarzy synów amerykańskich posiadaczy ziemskich. Odniosłem wrażenie, że umarłem i po śmierci trafiłem do nieba dla Aryjczyków.

Crespi Hali okazał się trzypiętrowym romboidalnym budynkiem, przed którym stały jońskie kolumny upstrzone żyłkami białego marmuru. Biuro prasowe kryło się za mahoniowymi drzwiami ze złotym napisem „PUBLIC RELATIONS”. Kiedy otworzyłem drzwi, zaskrzypiały.

Margaret Dopplemeier należała do wysokich, kościstych kobiet, które wydawały się predestynowane do staropanieństwa. Okryła niezgrabne ciało luźną garsonką z brązowego tweedu, która bynajmniej nie dodawała jej kobiecości. Twarz Margaret była równie nieciekawa – szerokie szczęki, wąskie, blade usta typowe dla osób nieskłonnych do kompromisu i rudawobrazowe włosy przycięte na dziewczęcęgo pazia. Biuro prasowe okazało się niewiele większe od wnętrza mojego samochodu – najwyraźniej władze Jedson nie były zainteresowane kontaktami z mediami – toteż by mnie powitać, kobieta musiała się precyzyjnie przemieszczać między krawędzią biurka i ścianą. Manewr ten wyglądałby niezdarnie nawet w wykonaniu baleriny Pawłowej, a panna Dopplemeier w dodatku się zatoczyła i prawie upadła. Zrobiło mi się jej żal, starałem się jednak nie okazać tego po sobie. Zwłaszcza że Margaret miała około trzydziestu pięciu lat, a z tego, co wiem, kobiety w tym wieku lubią się uważać za samodzielne i niezależne. Dobry sposób – jak każdy inny – by radzić sobie z samotnością.

– Witam. Jesteś pewnie Alex?

– Tak. Miło mi cię poznać, Margaret. – Jej ręka była silna, twarda i szorstka, jakby zbyt często ściszana lub myta.

– Proszę, usiądź.

Wziąłem krzesło z plecionym oparciem i ostrożnie na nim usiadłem.

– Kawy?

– Poproszę. Ze śmietaną.

Za biurkiem był stolik z płytą grzejną, na której stał dzbanek. Margaret nalała kawy i podała mi kubek.

– Zdecydowałeś już, co z lunchem?

Wcale nie przeraziła mnie perspektywa siedzenia naprzeciwko tej kobiety przez dodatkową godzinę. Nie przeszkadzał mi ani brak urody, ani srogie oblicze Margaret. Byłem jednak przekonany, że zechce mi opowiedzieć historię swego życia, a nie miałem ochoty obciążać głowy niepotrzebnymi informacjami. Z tego też względu odmówiłem.

– Może więc zjesz przekąski?

Przyniosła tacę z serem i krakersami. Nie wyglądała najlepiej w roli hostessy. Zastanowiłem się, dlaczego zajęła się public relations. Praca w bibliotece byłaby dla niej bardziej stosownym zajęciem. Potem przemknęła mi przez głowę myśl, że public relations w Jedson prawdopodobnie przypominało zajęcia biblioteczne: sporo pracy biurowej związanej ze zbieraniem wycinków prasowych i przeglądaniem poczty, za to bardzo mało kontaktów międzyludzkich.

– Dziękuję. – Byłem głodny, a ser wyglądał świetnie.

– No dobrze. – Rozejrzała się po biurku, znalazła okulary i nałożyła je. Za szkłem jej oczy powiększyły się i osobliwie złagodniały. – Chcesz zatem poczuć atmosferę Jedson?

– Zgadza się. Pragnę poznać smak tego miejsca.

– Jedson to miejsce jedyne w swoim rodzaju. Pochodzę z Wisconsin, do szkoły chodziłam w Madison. Czterdzieści tysięcy uczniów! Tu jest ich tylko dwa tysiące. Wszyscy się znają.

– Coś w rodzaju dużej, szczęśliwej rodzinki. – Wyjąłem notes i długopis.

– Tak. – Na słowo „rodzinka” Margaret zacisnęła usta. – Można tak to ująć. – Pogrzebała chwilę w papierach i zaczęła recytować: – Szkołę założył w roku 1858 Josiah T. Jedson, szkocki imigrant, który zbił majątek na kolejach i górnictwie. Dopiero trzy lata później powstał Uniwersytet Waszyngtoński, więc Jedson jest jedną z najstarszych szkół w okolicy Seattle. Josiah Jedson pragnął wspomóc finansowo instytucję związaną ze szkolnictwem wyższym, w której tradycyjne wartości współistniałyby z nauczaniem podstawowych sztuk i dziedzin nauk. Do dziś dnia college utrzymuje się głównie dzięki Fundacji Jedsona, chociaż posiada też dodatkowe źródła dochodu.

– Słyszałem, że czesne jest tu dość wysokie.

– Czesne – Margaret zmarszczyła brwi – wynosi dwanaście tysięcy dolarów rocznie, osobno zakwaterowanie, wpisowe i inne opłaty.

Gwizdnąłem.

– Przyznajecie stypendia?

– Co roku kilka dla najlepszych uczniów, nie mamy jednak zbyt szerokiego programu pomocy finansowej.

– Po prostu nie interesują was ludzie z klasy średniej?

– Nie, nieszczególnie.

Zdjęła okulary, odłożyła przygotowane materiały na bok i popatrzyła na mnie zmrużonymi oczami krótkowidza.

– Wolalabym nie rozwijać tego tematu.

– Dlaczego, Margaret?

Poruszyła ustami, kilkakrotnie próbując coś powiedzieć. W końcu wyjaśniła:

– Sądziłam, że porozmawiamy o ogólnych wrażeniach. O sprawach... pozytywnych.

– Ależ porozmawiamy o nich. Byłem po prostu ciekawy. – Drażniłem się z nią, choć wiedziałem, że nie powinienem denerwować swojej informatorki. Jednak zirytowała i ośmieliła mnie ta arystokratyczna wyższość i zadufanie w sobie.

– Rozumiem. – Ponownie założyła okulary, wzięła papiery, z uwagą je przejrzała i zacisnęła

wargi. – Aleksie – spytała w końcu – mogę ci coś powiedzieć nieoficjalnie?... Jak dziennikarz dziennikarzowi?

– Jasne. – Zamknąłem notes i włożyłem pióro do kieszeni marynarki.

– Nie wiem, jak to ująć. – Przez chwilę skręcała szorstką klapę tweedowej garsonki, potem ją wygładzała. – Ten reportaż i twoja wizyta... nie są szczególnie dobrze widziane przez tutejszą administrację. Jak widać po wielkości mojego biura, Jedson College nie zabiega o reklamę. Wczoraj po naszej rozmowie telefonicznej powiadomiłam moich przełożonych o twoim przyjeździe. Sądziłam, że będą bardziej niż zadowoleni. Niestety, wręcz przeciwnie. Z pewnością nie otrzymam za nasze spotkanie pochwały.

Wydęła wargi, jakby przypomniała sobie szczególnie bolesnego klapsa.

– Nie chciałem ci sprawiać kłopotów, Margaret.

– Skąd mogłam wiedzieć? Tak jak ci mówiłam, jestem tu od niedawna. Dopiero się uczę ich stylu życia. Jest odmienny od naszego – spokojny, konserwatywny. W tym miejscu ceni się ponadczasowe wartości.

– Skoro zatem college nie chce przyciągać niczyjej uwagi – spytałem – w jaki sposób pozyskuje studentów?

Zagryzła wargę.

– Naprawdę wolałabym nie zagłębiać się w ten temat.

– Wierz mi, rozmawiamy nieoficjalnie. Zaufaj mi.

– To naprawdę mało istotna sprawa – nalegała moja towarzyszka, lecz pierś jej falowała, a w pozbawionych wyrazu, nienaturalnie powiększonych przez szkła oczach dostrzegłem niepewność, która, natychmiast wykorzystałem.

– Po co więc to zamieszanie? My, dziennikarze, powinniśmy być wobec siebie szczerzy. I tak otacza nas spora grupka cenzorów.

Kobieta zastanawiała się nad moimi słowami przez długi czas. Na jej twarzy walczyły ze sobą sprzeczne uczucia. Poczulem się podle.

– Nie chcę stąd odchodzić – powiedziała w końcu. – Otrzymałam miłe mieszkanie z widokiem na jezioro, hoduję koty, zbieram książki. Nie chcę stracić... tego wszystkiego. Musiałabym się spakować i wracać do Midwest, na co zupełnie nie mam ochoty. Kilometry płaskiego nizinnego terenu, pozbawionego gór. Żadnych perspektyw. Rozumiesz?

Była słaba. Jej zachowanie i ton sugerowały kruchość. Znałem tego typu ludzi – wielu z nich było moimi pacjentami. Przemawiali w ten sposób, gdy pragnęli zapanować nad strachem. Zamierzałem namówić Margaret do odważnych wypowiedzi. Grałem przecież drania, który manipuluje ludźmi...

– Czy rozumiesz, co mówię? – spytała.

Odpowiedziałem bardzo łagodnie, niemal słodko:

– Oczywiście, że tak.

– Wszystko, co powiem, będzie poufne. Nie do druku.

– Obiecuję. Jestem zwyczajnym reporterem. Nie mam aspiracji zostać kolejnym Woodwardem czy Bernsteinem.

Na jej nieładnej twarzy ukazał się nieśmiały uśmiezek.

– Nie? Ja miałam. Kiedyś. Po czterech latach pisania prac studenckich na Madison sądziłam, że wiem wszystko o dziennikarstwie. Potem przez rok nie znalazłam stałej pracy w żadnej gazecie. Dorabiałam jako kelnerka i szczerze nienawidziłam tej roboty. Wreszcie załapałam się do marnego magazynu o psach. Pisałam bzdurne notki na temat pudli i sznaucerów. Ludzie przyprowadzali do zdjęcia małe potwory, które paskudziły mi dywan w biurze. Okropnie śmierdziało. Kiedy pismo zbankrutowało, przez dwa lata robiłam reportaże z zebrań związkowych i partyjnych w New Jersey, aż w końcu pozbyłam się wszelkich złudzeń. Teraz pragnę tylko jednego – spokoju.

Znowu zdjęła okulary. Zamknęła oczy i po masowała skronie.

– W pewnym momencie życia każdy z nas tego pragnie – zauważyłem.

Otworzyła oczy i spojrzała na mnie z ukosa. Wyteżała wzrok, więc zapewne widziała mnie tylko w postaci zamazanej plamy. Starałem się wyglądać jak niezwykle godna zaufania plama.

Margaret wsunęła w usta dwa kawałki sera i skruszyła je na miazgę ogromnymi szczękami.

– Nie wiem, czy coś z mojej opowieści przyda się do twojego reportażu – stwierdziła. – Zwłaszcza jeśli chcesz poznać panującą u nas atmosferę.

Uśmiechnąłem się z przymusem.

– Teraz, gdy mnie zainteresowałaś tą tajemnicą, powinnaś mi ją wyjaśnić.

Posłała mi uśmiezek.

– Rozmawiamy jak dziennikarz z dziennikarzem?

– Tak.

– Och – westchnęła. – Jeśli sądzisz, że chodzi o coś wielkiego, raczej się zawiediesz. Przedewszystkim – podjęła po chwili, przeżuując ser – powtórzę jeszcze raz: Jedson College nie ma ochoty przyciągać do siebie osób postronnych. Kropka. Jedson jest college'em tylko z nazwy, tak

naprawdę bowiem stanowi swoistą przechowalnię dla potomków klasy uprzywilejowanej. Dzieci tkwią tutaj przez cztery lata, potem chłopcy zaczynają wyjeżdżać z domów a dziewczęta wychodzą za młodzińców ze swojej sfery, zostają paniami domu i działają społecznie w Junior League. W naszej szkole chłopcy specjalizują się zazwyczaj w zarządzaniu lub ekonomii, dziewczęta w historii sztuki i zajęciach z gospodarstwa domowego. Dżentelmeni i panienki ze stopni najbardziej cenią sobie słabe czwórki. Zbytnią bystrość traktuje się tu z niechęcią. Niektórzy co bardziej rozgarnięci kontynuują naukę na studiach prawniczych albo medycznych. Najczęściej jednak po ukończeniu nauki w naszej szkole wracają na łono rodziny.

Mówiła tonem przepełnionym goryczą, niczym dziewczyna opowiadająca o ubiegłorocznym balu szkolnym, który spędziła, podpierając ściany.

– Dochód przeciętnej rodziny wysyłającej dziecko lub dzieci do naszej szkoły przekracza sto tysięcy dolarów rocznie. Pomyśl o tym, Aleksie. Tu wszyscy są bogaci. Widziałeś port?

Skinąłem głową.

– Te pływające zabawki należą do studentów. – Przerwała, jakby wciąż nie mogła uwierzyć w ten stan rzeczy. – Nasze parkingi wyglądają jak te z rajdu Monte Carlo, a na jazdę konną dzieciaki ubierają się w kaszmiry i zamsze.

Margaret położyła jedną chropowatą, szorstką dłoń na drugiej i potarła ją. Kobieta niespokojnie zlustrowała ściany małego pokoiku, jak gdyby szukała ukrytych urządzeń podsłuchowych. Zastanawiałem się, czym się tak denerwuje. Jedson było więc szkółką dla bogatych dzieciaków. Identycznie zaczynało Stanford i pewnie skończyłoby w podobnie skostniałej postaci, na szczęście ktoś zapobiegł akademickiej entropii, w odpowiednim momencie bowiem wpadł na pomysł otwarcia drzwi college'u przed bystrymi Żydami, Azjatami i innymi ludźmi o zabawnych nazwiskach, lecz z wysokimi wynikami testów na inteligencję.

– Nie jest zbrodnią być bogatym – zauważyłem.

– Nie chodzi mi o bogactwo, lecz o bezmyślność, która się z nim łączy. Studiowałam w Madison w latach sześćdziesiątych. Towarzyszyło nam poczucie społecznej solidarności. Byliśmy aktywni. Walczyliśmy o zakończenie bezsensownej wojny. Teraz młodzi ludzie działają w organizacjach antyatomowych. Na uniwersytecie można odkryć w sobie sumienie i pielęgnować je. Jedson to jałowy grunt. Tu nic się nie dzieje.

Wyobraziłem ją sobie sprzed piętnastu lat, ubraną w spodnie khaki i bluzę, maszerującą ze sloganami na ustach. Jej radykalizm nie miał szans w walce o przetrwanie. Margaret nie była już buntowniczką. Nadal jednak tęskniła za dawnymi, aktywnymi czasami...

– Szczególnie trudno jest tu wytrzymać niektórym wykładowcom – podjęła. – Nie mówię o „starej gwardii”, ale o młodych zapaleńcach... Sami tak siebie nazywają. Trafiają tu mniej lub bardziej przypadkowo. Charakteryzuje ich typowy akademicki idealizm i liberalne poglądy. Pozostają w Jedson dwa, najwyżej trzy lata, potem odchodzą. Nie mogą się tu rozwijać... w sensie intelektualnym. Nie mówię nawet o frustracji związanej z finansami. Nauczyciel zarabia piętnaście

tysiący dolarów rocznie, podczas gdy w szafach studentów wiszą ubrania po parę tysięcy za sztukę.

– Wydajesz się świetnie zorientowana.

– Tak. W Jedson pracował... pewien mężczyzna. Mój dobry przyjaciel. Przyjechał tu nauczać filozofii. Ukończył z wyróżnieniem Princeton. Był ambitnym i pełnym energii intelektualistą. Ale praca tutaj go wykończyła. Zwierzał mi się ze swoich problemów, opowiadał, jak się czuje człowiek, gdy stoi przed klasą i wyklada o Kierkegaardzie i Sartrze, mając przed sobą trzydzieści par nieobecnych niebieskich oczu gapiących się tępo w dal. Nazywał tę sytuację Ubermensch U. Odszedł w ubiegłym roku.

Wyglądała na zasmuconą. Zmieniłem temat.

– Wspomniałaś o „starej gwardii”. Kim są jej członkowie?

– Absolwenci Jedson, których interesuje coś innego niż zarabianie pieniędzy. Po naszym college’u kontynuowali studia w zakresie nauk humanistycznych – na jakimś całkowicie bezużytecznym kierunku jak historia, socjologia albo literatura – po czym wrócili tu i poprosili, by pozwolono im nauczać. A Jedson dba o swoich absolwentów.

– Cóż, pewnie łatwiej im nawiązać kontakt ze studentami, którzy pochodzą z tego samego środowiska co oni.

– Nie mają innego wyjścia. Tkwią tu przez wiele lat. Większość z nich to ludzie starsi... Ostatnio pojawia się niewielu nowych. Jednakże „stara gwardia” się kurczy. Kilku z nich to zupełnie przyzwoici ludzie, naprawdę. Podejrzewam, że zawsze byli wyrzutkami... odmieńcami. Nawet w klasie uprzywilejowanej zdarzają się dziwacy. Tak przypuszczam.

Z jej spojrzenia wywnioskowałem, że doświadczyła w życiu przykrości związanych z odrzuceniem przez grupę społeczną. Teraz jednak prawdopodobnie nie chciała opowiadać o własnych problemach, ponieważ nie rozwinęła tematu. Zamilkła, nałożyła okulary i uśmiechnęła się kwaśno.

– Chyba nie robię Jedson najlepszej reklamy.

– Jak na kogoś nowego niezmiernie dużo wiesz o tym miejscu.

– Wiele drobiazgów dostrzegłam sama. Pewnych rzeczy się dowiedziałam.

– Od swojego przyjaciela filozofa?

– Tak. – Wzięła ogromną torebkę z imitacji skóry. Szybko znalazła poszukiwane zdjęcie. – To jest Lee – oświadczyła z powagą i wręczyła mi fotkę, na której towarzyszył jej mężczyzna znacznie od niej wyższy. Łysiał, nad każdym uchem rosły mu kępki gęstych, ciemnych, kręconych włosów, miał też bujnego ciemnego wąsa i okrągłe okulary bez oprawek. Nosił spłowiałą niebieską koszulę roboczą, dzinsy i wysokie, wiązane trapery. Margaret Dopplemeier była ubrana w meksykańskie poncho, które podkreślało jej szczupłość, workowate sztruksy i sandały na płaskim obcasie.

Otaczając swego towarzysza ramieniem, wyglądała równocześnie na osobę opiekuńczą i dziecko zależną. – Przebywa teraz w Nowym Meksyku i pracuje nad książką. Podobno samotnie.

Oddałem jej zdjęcie.

– Pisarze często potrzebują samotności.

– Tak. Wiele o tym rozmawialiśmy. – Odłożyła pamiątkę, zrobiła ruch w stronę sera, a potem cofnęła rękę, jakby nagle straciła apetyt.

Przez chwilę nie przerywałem milczenia, potem powoli zmieniłem temat na bardziej ogólny.

– To, co mówisz, Margaret, jest fascynujące. Jedson wydaje się systemem samowystarczalnym.

Pomyślałem, że słowo „system” może stać się psychologicznym katalizatorem dla kogoś, kto przeżył flirt z lewicą. Moja rozmówczyni rzeczywiście odzyskała energię.

– Dokładnie. Procent studentów, których rodzice również ukończyli Jedson, jest niewiarygodnie wysoki. Dwa tysiące studentów pochodzi najwyżej z pięciuset do siedmiuset rodzin. Kiedy opracowuję spisy, stale powracają te same nazwiska. Dlatego właśnie tak bardzo mnie zaskoczyłeś, gdy użyłeś na początku słowa „rodzinka”. Zastanawiałam się, ile o nas wiesz.

– Póki tu nie przyjechałem, nie wiedziałem nic.

– No tak. Powiedziałaś zbyt wiele, prawda?

– Zamknięty układ – stwierdziłem dobitnie – nie potrzebuje reklamy, wręcz się przed nią broni.

– Rzeczywiście. Jedson to anachronizm, college, który pragnie przejść przez dwudzieste stulecie, nie zmieniając się, nie rozwijając i trzymając się z dala od mediów. Dostałam jasne instrukcje, by przyjąć cię uprzejmie, ugościć, zabrać na małą przechadzkę po kampusie, a potem odstawić poza granice miasteczka niemal bez żadnych ważnych informacji. Członkowie zarządu Jedson nie mają ochoty znaleźć się w „Los Angeles Times”. Nie potrzebują rozgłosu ani oklasków za swą działalność, nie interesuje ich również napływ kandydatów z zewnątrz.

– Doceniam twoją szczerłość. Margaret.

Przez chwilę sądziłem, że kobieta się rozpłacze.

– Nie myśl o mnie jak o świętej męczennicy. Nie jestem święta i zdaję sobie z tego sprawę. W rozmowie z tobą postąpiłam trochę... nieuczciwie. Wyolbrzymałam pewne sprawy. Ludzie nie są tu źli i nie mam prawa ich tak przedstawiać. Są dla mnie dobrzy. Niestety, powoli męczą mnie pozory pracy, uczestnictwo w herbatkach u niezbyt ciekawych bab, które potrafią gadać przez cały dzień o porcelanowych serwisach i nakryciach... Dasz wiarę, że dziewczęta pobierają tu lekcje na temat nakryć stołowych?

Popatrzyła na swoje ręce. Może nie potrafiła sobie wyobrazić, że trzyma w nich coś równie

delikatnego jak porcelanowa filiżanka.

– Udaję, że pracuję, Aleksie. Zajmuję się głównie pocztą. Ale nie wyjadę stąd – podkreśliła, najwyraźniej dyskutując z niewidzialnym oponentem. – Jeszcze nie teraz. Nie w tym momencie mojego życia. Budzę się co rano i patrzę na jezioro. Mam książki i dobre stereo. Mogę zbierać w okolicy świeże jagody. Jem je rano ze śmietaną.

Nic nie powiedziałem.

– Zdradzisz mnie? – spytała.

– Oczywiście, że nie. Margaret.

– W takim razie zapomnij o wszystkim, co się wiąże z Jedson. Nie umieszczaj naszego college’u w swoim reportażu. Osoby postronne nie mają tu czego szukać.

– Nie mogę.

Wyprostowała się na krześle.

– Dlaczego? – Usłyszałem w jej głosie przerażenie i gniew, jej oczy błysnęły groźnie. Nietrudno mi było zrozumieć, że jej kochanek wybrał samotność z dala od niej. Byłem pewny, że uciekał stąd nie tylko przed umysłową martwością studenckiego grona Jedson.

Uznałem, że w tym momencie mogę zaoferować Margaret tylko jedno – szczerą prawdę i propozycję współudziału w konspiracji. Zaczerpnąłem głęboko oddechu i opowiedziałem jej o rzeczywistym celu mojej wizyty.

Kiedy skończyłem, na twarzy mojej towarzyszki pojawiła się dziwaczna mieszanina zaborczości i uległości. Identyczne spojrzenie Margaret miała na oglądanej przeze mnie fotografii. Chciałem się odsunąć, lecz moje krzesło znajdowało się zaledwie kilka centymetrów od drzwi.

– To zabawne – oświadczyła – powinnam się czuć wykorzystana. Jednak wcale się tak nie czuję. Masz uczciwą twarz. Nawet twoje kłamstwa brzmią prawdziwie.

– Jestem równie szczerzy jak ty. Po prostu chcę poznać kilka faktów. Pomóż mi.

– Wiesz, byłam kiedyś członkiem SDS. Uważałam wtedy policjantów za świnie.

– Czasy się zmieniły, nie jestem policjantem i nie rozmawiamy o abstrakcyjnej teorii. Nie polemizujemy na temat rewolucji. Chodzi o potrójne morderstwo. Margaret, o bezpieczeństwo dziecka, może nawet coś więcej. Nie było politycznego zamachu, a jednak niewinne ofiary posiekano na kawałki, zmieniono w ludzkie śmieci, w krwawą miazgę. Dzieci biegają samotnie po nocach na drogach...

Zadrzała, odwróciła się, przesunęła nie polakierowanym paznokciem po zębach, później ponownie

mi się przyjrzała.

– Sądysz, że jeden z nich, to znaczy absolwentów Jedson... jest odpowiedzialny za te zbrodnie? – Wyraźnie zachwyciła ją ta myśl.

– Sądzę, że dwóch absolwentów waszej szkoły miało coś wspólnego ze sprawą.

– Po co się w tym babrzesz? Mówiłeś, że jesteś psychiatrą.

– Psychologiem.

– To żadna różnica. Co z tego masz?

– Nic. Nic, w co byś uwierzyła.

– Powiedz, może uwierzę.

– Chodzi mi o sprawiedliwość. Chcę, by ukarano winnych. Ta sprawa naprawdę mnie gnębi.

– Wierzę ci – odparła cicho.

Zniknęła na dwadzieścia minut, a kiedy wróciła, niosła stos wielkich tomów oprawnych w miękką, granatową, kozłą skórę.

– W tych rocznikach powinieneś znaleźć dane na temat swoich ludzi, jeśli dobrze oszacowałeś ich wiek. Zostawię cię tutaj, a sama poszukam akt wychowanków. Kiedy wyjdę, zamknij się od środka i nikomu nie otwieraj. Zastukam trzy razy, potem dwa. To będzie nasz sygnał.

– Rozkaz.

Roześmiała się i po raz pierwszy wyglądała niemal atrakcyjnie.

Timothy Kruger okłamał mnie, mówiąc, że jest biednym chłopcem z Jedson. Jego rodzina ofiarowała szkole parę budynków i nawet pobieżne przejrzenie księgi zapewniło mnie o znaczeniu Krugerów. W sprawie sportu Tim powiedział mi jednak prawdę. Uprawiał biegi, baseball i zapasy klasyczne. Na zdjęciach ze szkolnych roczników wyglądał tak samo jak obecnie. Znalazłem fotki wykonane, gdy biegł przez płotki, rzucał oszczepem i późniejsze – z działalności w sekcji dramatu (w rolach Hamleta i Petruccio). Odniosłem wrażenie, że był na kampusie powszechnie znaną postacią. Zastanawiałem się, w jaki sposób zdobył fałszywe dokumenty, dzięki którym znalazł pracę w „La Casa de los Ninos”.

Lionel Willard Towle miał na zdjęciach blond włosy i przypominał młodego Taba Huntera. Z podpisów dowiedziałem się, że przewodniczył Klubowi Przyszłych Lekarzy i Towarzystwu Biologicznemu oraz pełnił funkcję kapitana zespołu wioślarzy. Dostrzegłem też odsyłacz na ostatnią stronę księgi, gdzie znalazłem fotografię w czarnej otoczce – tę samą, którą widziałem w biurze Towle’a: żona i syn na tle jeziora i gór. Pod zdjęciem znajdował się napis:

In Memoriam

Lilah Hutchison Towle

0-1951

Lionel Willard Towle junior

9-1951

Poniżej odczytałem cztery linijki wiersza:

Okrucieństw losu ślepy traf

Wniwecz obraca nasze sny,

Lecz czasem w najmroczniejszej z chwil

Iskra nadziei wciąż, jeszcze się tli.

Wiersz podpisany był „S”.

Czytałem go ponownie, gdy Margaret Dopplemeier zastukała w umówiony sposób. Otworzyłem drzwi. Weszła. W rękach trzymała szarą kopertę. Przekluczyła drzwi, usiadła za biurkiem, otworzyła kopertę i wytrząsnęła z niej dwie karty katalogowe wielkości 7,5 na 12,5 centymetra.

– Prosto ze świętych akt wychowanków. – Przypatrzyła się jednej, po czym wręczyła ją mnie. – Oto pański doktor.

Nazwisko Towle’a widniało na szczycie, elegancko wykaligrafowane. Pod nazwiskiem znajdowało się wiele haseł zapisanych odmiennymi charakterami pisma i różnymi kolorami atramentu. Większość z nich przybrała formę skrótu i kodu liczbowego.

– Możesz mi je wyjaśnić?

Obeszła biurko, usiadła obok mnie, wzięła fiszkę i przyjrzała się jej uważnie.

– Nie widzę tu niczego tajemniczego. Powodem skrótów jest zwykła chęć oszczędzenia miejsca. Pięć cyfr po nazwisku to numer wychowanka na potrzeby korespondencji, akt i innych spraw. Cyfra „3” oznacza, że twój Towle był trzecim członkiem rodziny, który uczęszczał do Jedson. Skrót „med.” jest zupełnie zrozumiały: – określa zawód, a „R: med.” znaczy, że większość członków rodziny również związana jest z medycyną. Gdyby chodziło o przemysł okrętowy, skrót brzmiałby „okr.”, gdyby o bankowość – „bnk.” i tak dalej. „B: 51” to rok otrzymania bakalaureatu. „O: J, 148793” wskazuje, że Towle ożenił się z inną studentką Jedson. Po przecinku widnieje jej numer. To małe „z.” w nawiasach po numerze oznacza, że kobiety zmarła. Jest data śmierci 17.06.1951... Zatem zmarła, kiedy Towle jeszcze tu studiował. Wiedziałaś o tym?

– Tak. Mógłbym dowiedzieć się więcej o tej sprawie?

Zastanawiała się przez chwilę.

– Można sprawdzić lokalne gazety z tego tygodnia. Powinien tam być nekrolog albo notka o pogrzebie.

– A gazetka studencka?

– „Spartanin” to szmatławiec – prychnęła pogardliwie. – Przypadek Towle’a pewnie ich zainteresował. Stare numery przechowujemy w bibliotece, po drugiej stronie kampusu. Możemy tam później pójść. Sądziś, że śmierć tej młodej kobiety jest istotna?

Zarumieniła się po dziewczęcemu, całkowicie oddana naszemu małemu śledztwu.

– Zupełnie prawdopodobne, Margaret. Zresztą, chcę się dowiedzieć o tych ludziach wszystkiego.

– Van der Graaf – powiedziała.

– Kto to?

– Profesor Van der Graaf z wydziału historycznego. Chyba najstarszy przedstawiciel „starej gwardii”. Wydaje mi się, że przebywa w Jedson dłużej niż ktokolwiek. Jest w dodatku straszliwym plotkarzem. Siedziałam obok niego na przyjęciu w ogrodzie i ten słodki staruszek opowiedział mi wszystkie pikantne kąski: kto z kim spał, kto kogo nie lubi i tym podobne wydziałowe brudy.

– Uchodzi mu to na sucho?

– Dobiaża dziewięćdziesiątki, bogaty, a nigdy się nie ożenił, więc nie ma spadkobierców. Władze Jedson czekają, aż stary kipnie i zostawi wszystkie pieniądze szkole. Obecnie jest już na emeryturze. Ma biuro w kampusie. Przesiaduje w nim i udaje, że pisze książkę. Nie zaskoczyłoby mnie, gdyby w nim sypiał. Wie o college’u chyba najwięcej ze wszystkich ludzi na świecie.

– Sądziś, że ze mną porozmawia?

– Jeśli będzie w dobrym nastroju. Pomyślałam o nim już podczas naszej rozmowy telefonicznej, gdy wspomniałaś, że chciałbyś zasięgnąć informacji o naszych sławnych wychowankach. Wtedy jednak sądziłam, że pozostawienie staruszka sam na sam z reporterem jest zbyt ryzykowne. Nigdy nie wiadomo, co ten człowiek zrobi lub powie. – Zachichotała na myśl o starym wichrzycielu. – Teraz, kiedy znam prawdę – kontynuowała – staruszek wydaje mi się idealnym rozmówcą. Musisz wymyślić historyjkę wyjaśniającą powody twojego zainteresowania Towle’em, ale nie przypuszczam, by osobie tak przebiegłej jak ty sprawiały trudność podobne kłamstewka.

– Może powiem, że jestem reporterem z „Medical Words News”. Nazwę się Bill Roberts. Oświadczę, że doktora Towle’a wybrano prezesem Akademii Pediatrii i w związku z tym chcę napisać o jego przeszłości.

– Brzmi nieźle. Zaraz do niego zadzwonię.

Sięgnęła po telefon, a ja ponownie przyjrzałem się karcie Towle'a. Margaret nie wyjaśniła mi jedynie kolumny cyfr z datami i liczbami. Przypuszczałem, że chodzi o dotacje na działalność Jedson. Towle płacił przeciętnie dziesięć tysięcy dolarów rocznie. Był wiernym synem swej alma mater.

– Profesorze Van der Graaf – odezwała się moja współpracownica – mówi Margaret Dopplemeier z „Public Relations”... Miewam się świetnie, dziękuję, a co u pana? To dobrze... Och, jestem pewna, że nam się uda, profesorze. – Przykryła ręką słuchawkę, mrugnęła do mnie i wyszeptała dwa słowa: „dobry nastrój”. – Nie wiedziałam, że lubi pan pizzę, profesorze. Nie, nie. Tak, również nie przepadam za anchois. Ależ, lubię pańskiego duesenberga. Wiem, że pan również... Zgadza się. Podobno ma padać. Dobrze zatem. Tak, kiedy pogoda się wyklaruje. Pojedziemy na wycieczkę, tak, tak. Zabiorę pizzę.

Flirtowała z Van der Graafem jeszcze przez pięć minut i w końcu poruszyła temat mojej wizyty. Przez chwilę słuchała, dała mi gestem do zrozumienia, że profesor mnie przyjmie, i wróciła do flirtowania. Przyjrzałem się karcie Krugera.

Był piątym członkiem swojej rodziny, który uczęszczał do Jedson. Zapisano, że otrzymał bakalaureat pięć lat temu. Nie zamieszczono wzmianki o obecnie wykonywanym zawodzie. Przy zainteresowaniach rodziny napisano: „stl.”, „okr.” i „h-nier.” Nie wspomniano o małżeństwie ani o dotacjach na szkołę. Znalazłem wszakże interesujący odsyłacz. Pod „spok.” umieszczono nazwisko Towle'a. Na dole karty dopisano wielkimi literami skrót, skr.”

Margaret odłożyła słuchawkę.

– Spotka się z, tobą. Powiedział, że choć wolałby wykonany przeze mnie orzeźwiający masaż, chętnie rozrusza szare komórki. Przedłużysz życie żywej skamielinie tą rozmową. Stary rozpustnik – dodała czule.

Spytałem ją o nazwisko Towle'a na karcie Krugera.

– „Spok.” oznacza „spokrewniony”. Ci dwaj panowie są prawdopodobnie kuzynami.

– Dlaczego nie zaznaczono tego także na karcie Towle'a?

– Być może dopisek powstał po ukończeniu przez niego szkoły. Bardziej interesujący wydaje mi się jednak informacja zawarta pod „skr.”, wynika z niej bowiem, że Krugera skreślono z listy studentów.

– Czy wiadomo dlaczego?

– Nie znam powodów. Z zasady się ich nie odnotowuje. Zapewne ten młody człowiek dopuścił się jakiegoś wykroczenia. Musiało być poważne, skoro szkoła zrezygnowała z przedstawiciela tak bogatej i znanej rodziny. – Podniosła na mnie oczy. – Sprawa staje się interesująca, nieprawdaż?

– Bardzo.

Margaret włożyła karty z powrotem do koperty, którą schowała w biurku.

– Teraz zaprowadzę cię do Van der Graafa.

Rozdział 22

Złocona kabina windy zawiozła nas na piąte piętro nakrytego kopułą budynku w zachodniej części miasteczka akademickiego. Gdy wysiedliśmy, znaleźliśmy się w cichym, półkolistym korytarzu, wyłożonym boazerią i bardzo zakurzonym. Sufit był pięknie otynkowany, choć malowidła cherubinów grających na trąbkach mocno już poblady. Byliśmy tuż pod kopułą. Kamienne ściany czuć było gnijącym papierem. Nieruchoma szyba oddzielała od siebie dwie pary dębowych drzwi. Na pierwszych widniał napis „POKÓJ MAP”; wyglądały, jak gdyby od pokoleń nikt ich nie otwierał. Na drugich nie było żadnej etykiety.

Margaret zastukała w te ostatnie i choć nie usłyszała odpowiedzi, otworzyła je pchnięciem. Pokój za drzwiami był przestronny, miał wysoki sufit i katedralne okna, z których rozciągał się widok na port. Każdy wolny centymetr ścian zajmowały półki nabite przypadkowo ustawionymi, nierównymi książkami. Tomy, które nie zmieściły się na półkach, stały w chwiejnych stosach na podłodze. Środek pokoju zajmował wysoki stół zastawiony rękopisami i kolejnymi książkami, w narożniki wepchnięto stojak na kółkach z globusem oraz stare biurko na topornej podstawie. Błat biurka zawałało pudełko po daniu z McDonalda i parę zgniecionych, zatłuszczonych serwetek.

– Profesorze? – odezwała się Margaret. – Zastanawiam się, gdzie się podział – dodała, zwracając się do mnie.

– Bawimy się w chowanego! – Dźwięk dotarł zza wysokiego łóżka.

Moja towarzyszka aż podskoczyła. Torebka zsunęła jej się z ramienia, a zawartość wysypała się na podłogę.

Zza krzywego stosu poźółkłych papierzysek wysunęła się zdeformowana głowa starca.

– Przepraszam, że cię przestraszyłem, moja droga. Głowa stała się widoczna w całej okazałości. Na chwilę starzec zadarł głowę i uśmiechał się w milczeniu.

– Profesorze – burknęła Margaret – powinien się pan wstydzić. – Pochyliła się i zaczęła zbierać rozrzucone drobiazgi.

Gdy wyszedł zza stołu, wyglądał na zmieszanego. Był tak niski, że sądziłem, iż siedział na fotelu.

Miał niewiele powyżej metra trzydzieści, lecz nie był karłem. Jego ciało było skręcone w pasie, wykrzywiony kręgosłup przybrał kształt litery S, a zdeformowane plecy obciążał garb wielkości szczelnie spakowanego tornistra. Głowa mężczyzny wydawała się zbyt wielka w stosunku do jego sylwetki i przypominała pomarszczone jajo zwieńczone frędzlem z rzadka rozsianych włosów. Kiedy Van der Graaf się poruszał, przywodził na myśl sennego skorpiona.

Na jego twarzy pojawiła się fałszywa skrucha, jednak iskierki w kaprawych niebieskich oczkach mówiły mi więcej niż opuszczone w podkówkę, niemal pozbawione warg usta.

– Mogę ci pomóc, moja droga? – Mówił cierpkim głosem z akcentem człowieka wykształconego.

Margaret zebrała z podłogi ostatnie rzeczy i włożyła je do torebki.

– Nie, nie, dziękuję, profesorze. Mam już, wszystko. – Zaczerpnęła oddech, starając się wyglądać na opanowaną.

– Nadal chce pani pojechać ze mną na piknik z pizzą?

– Oczywiście, jeśli będzie się pan dobrze zachowywał.

Złożył ręce jak do modlitwy.

– Obiecuję, moja droga – oświadczył.

– W porządku, profesorze. To jest Bill Roberts, dziennikarz, z którym rozmawiałam o panu, Bill, to profesor Garth Van der Graaf.

– Witam, profesorze.

Popatrzył na mnie spod opuszczonych powiek.

– Nie przypomina pan Clarka Kenta – zauważył.

– Słucham?

– Czy reporterzy gazet codziennych nie powinni wyglądać jak Clark Kent?

– Nie wiedziałem, że istnieje taki przepis.

– Po wojnie udzielałem wywiadu pewnemu dziennikarzowi. Był potężnym mężczyzną, który chciał wiedzieć, jakie miejsce w historii zajmie wojna. Wyglądał zupełnie jak Clark Kent. – Starzec przesunął dłonią po upstrzonej plamami wątrobowymi czaszce. – Ma pan okulary albo coś w tym rodzaju, młody człowieku?

– Przykro mi, ale mam całkiem dobry wzrok.

Odwrócił się do mnie plecami i podszedł do jednej z półek. Poruszał się z osobliwym, gadzim wdziękiem. Odniosłem wrażenie, że jego skarłowaciałe ciało przemieszcza się na boki, podczas gdy w rzeczywistości poruszało się do przodu. Van der Graaf wspiął się powoli na podnózek, sięgnął w górę, chwycił oprawny w skórę tom, zszedł i wrócił z nim do mnie.

– Proszę popatrzeć – powiedział. Otworzył książkę, która okazała się segregatorem zawierającym kolekcję komiksów. – Oto kogo mam na myśli. – Drżący palec wskazał na zdjęcie Supermana. Główny reporter „Daily Planet” wchodził akurat do budki telefonicznej.

– Jestem pewna, profesorze, że pan Roberts wie, kim jest Clark Kent.

– W takim razie niech wróci wtedy, kiedy zacznie go bardziej przypominać. Wówczas z nim porozmawiam – warknął stary człowiek.

Margaret i ja wymieniliśmy bezradne spojrzenia. Moja towarzyszka zaczęła coś mówić, lecz Van der Graaf odrzucił głowę w tył i wydał z siebie suchy rechot.

– Prima aprilis! – Roześmiał się wesoło z własnego żartu, po chwili śmiech zmienił się w gwałtowny atak kaszlu.

– Och, profesorze! – skrzyczała starca Margaret.

Znowu przez chwilę się przekomarzali i toczyli słowne potyczki. Zacząłem podejrzewać, że bardzo dobrze się znają. Stałem z boku i czułem się jak intruz na pokazie dziwołagów.

– Przyznaj to, moja droga – mówił Van der Graaf – oszukałem cię! Udało mi się. – Radośnie tupnął nogą. – Sądziłaś, że już całkowicie zniedołężniałem!

– Jest pan nie bardziej zniedołężniały niż ja sama – odparła. – Po prostu niegrzeczny z pana chłopiec!

Powoli moje nadzieje na uzyskanie rzetelnych informacji od tego skurczonego garbusa zmniejszyły się niemal do zera. Odchrząknąłem.

Umilkli i zapatrzili się na mnie. Bańka śliny zebrała się w kąciku pomarszczonych ust starca. Jego słabe ręce lekko drżały. Margaret, podparłszy się pod boki, wznosiła się nad nim niczym góra.

– Chciałabym, żeby pan teraz popracował z naszym gościem – poleciała surowo.

Van der Graaf posłał mi nieuprzejme spojrzenie.

– Och, w porządku – jęknął. – Ale musisz mnie obwieźć dokoła jeziora moim ukochanym dusiem.

– Przecież już to panu obiecałam.

– Mam duesenberga z trzydziestego siódmego – wyjaśnił, zwracając się do mnie. – Wspaniały rydwan. Czteryście prychających koni pod błyszczącą rubinową maską. Chromowane rury. Zużywa ropę naftową żarłocznie i bez opamiętania. Nie mogę już, niestety, nim jeździć. Maggie, ta oto Maggie, to wspaniała dziewczucha. Pod moją opieką mogłaby go poprowadzić. Niestety, stale mi odmawia.

– Profesorze Van der Graaf, poprzednim razem musiałam panu odmówić. Padało i przy takiej fatalnej pogodzie nie chciałam siadać za kierownicę samochodu wartego dwieście tysięcy dolarów.

– Też coś. Jechałem moim maleństwem stąd do Sonoma w czterdziestym czwartym. Świetnie sobie

radziło mimo meteorologicznej niepomyślności.

– W porządku. Zawiozę pana. Jutro, jeśli usłyszę od pana Roberta dobre słowa na temat waszej rozmowy.

– Jestem profesorem. Sam potrafię stawiać stopnie.

Zignorowała go.

– Muszę teraz pójść do biblioteki, panie Roberts. Potrafi pan odnaleźć drogę powrotną do mojego biura?

– Oczywiście.

– Zobaczymy się zatem, kiedy panowie skończycie. Do widzenia, profesorze.

– Jutro o pierwszej. Deszcz czy słońce, jedziemy – zawołał za nią.

Kiedy drzwi się zamknęły. Van der Graaf poprosił mnie, żebym usiadł.

– Sam postoję. Nie potrafię znaleźć krzesła, które by mi odpowiadało. Kiedy byłem chłopcem, ojciec wezwał stolarzy i cieślów, którzy wspólnie starali się wymyślić dla mnie wygodny mebel. Na próżno. Wykonali jakąś fascynującą rzeźbę abstrakcyjną zamiast krzesła. – Roześmiał się i dla utrzymania równowagi przytrzymał się wysokiego stolika. – Przez większą część życia stałem. Pewnie miało to na mnie całkiem zbawienny wpływ, bo dzięki temu mam nogi silne jak słoń, a puls czterdziestolatka.

Usiadłem w skórzanym fotelu, dzięki czemu nasze oczy znalazły się na tym samym poziomie.

– Ta Maggie – powiedział – to taka smutna dziewczyna. Czasem z nią flirtuję, próbując ją rozweselić. Ciągle wydaje mi się bardzo samotna.

Poszperał wśród papierów i wyjął flaszkę.

– Irlandzka whisky. Znajdzie pan dwie szklanki w górnej prawej szufladzie biurka. Mógłby pan je wyjąć i podać?

Szklanki wyglądały na niezbyt czyste. Van der Graaf nalał do każdej alkoholu na wysokość dwóch palców. Nie uronił ani kropli.

– Proszę?

Obserwowałem, jak pije małymi łykami, i poszedłem za jego przykładem.

– Sądzi pan, że Maggie jest jeszcze dziewicą? Czy to możliwe w obecnych czasach? – zagadnął mnie tonem, który pasował raczej do rozwiązania zagadki epistemologicznej.

– Naprawdę nie potrafię panu odpowiedzieć, profesorze. Poznałem ją dopiero godzinę temu.

– Nie wyobrażam sobie dziewicy w jej wieku. Chociaż równie niedorzeczny wydaje mi się wizerunek tych ud mlecarki owiniętych dookoła męskich pośladków.

Wziął kilka łyżków whisky, milcząco zamyślił się nad życiem seksualnym Margaret Dopplemeier i zagapił w przestrzeń.

– Jest pan cierpliwym młodym człowiekiem – odezwał się w końcu. – To rzadka cecha.

Skinąłem głową.

– Sądziłem, że zaczniemy rozmowę, kiedy będzie pan gotów, profesorze.

– Tak, przyznaję się do wielu dziecięcych zachowań. To ze względu na mój wiek i stanowisko. Wie pan, ile czasu minęło, odkąd prowadziłem zajęcia ze studentami albo napisałem tekst naukowy?

– Pewnie kilka lat.

– Ponad dwie dekady! Od tej pory spędzam tu długie, samotne godziny na rzekomo głębokich rozmyślaniach... Tak naprawdę to próżnuję. A jednak jestem emerytowanym profesorem. Nie sądzi pan, że tylko absurdalny system może tolerować takie bzdury?

– Odnoszę jednak wrażenie, że ma pan prawo do tego honorowego tytułu.

– Eee! – Zamachał ręką. – Za bardzo kojarzy mi się on ze śmiercią. Emerytura z honorami i chimerami, bla, bla, bla. Przyznam się panu, młody człowieku, że nigdy niczym sobie nie zasłużyłem na żaden tytuł. Napisałem sześćdziesiąt siedem prac dla czasopism naukowych. Wszystkie z wyjątkiem może pięciu z nich to kompletne śmieci. Byłem współautorem trzech książek, których nikt nigdy nie przeczyta i, ogólnie rzecz biorąc, prowadziłem życie rozpieszczonego nicponia. Cudowne czasy.

Skończył whisky i głośno odstawił szklankę na stół.

– Trzymają mnie tutaj ze względu na miliony dolarów, które mam na wolnym od podatku funduszu powierniczym. Ustanowił go dla mnie ojciec i władze Jedson mają nadzieję, że zapiszę im wszystko w spadku. – Uśmiechnął się krzywo. – Mogę, ale nie muszę. Może powinienem ofiarować całą sumkę jakiejś murzyńskiej organizacji albo przeznaczyć ją na równie absurdalny cel. Na przykład dać organizacji walczącej o prawa lesbijek... Istnieje taka?

– Jestem pewien, że tak.

– Też tak myślę. Bez wątplenia w Kalifornii. No właśnie, apropos Kalifornii. Chce pan porozmawiać o Willie’em Towle z Los Angeles, prawda?

Powtórzyłem opowieść o „Medical World News”.

– No dobra – westchnął – jeśli pan nalega, spróbuję pomóc. Bóg jeden wie, dlaczego ktoś miałby się interesować przeszłością tego człowieka, który należał do najnudniejszych dzieciaków, jakie postawiły stopę w naszej szkole. Wiadomość, że został lekarzem, szczerze mnie zaskoczyła. Nigdy nie sądziłem, że jego umysł jest zdolny wchłonąć tak skomplikowane informacje. Rzecz jasna, jego rodzina tkwi w medycynie od zawsze – jeden z Towle’ow był osobistym chirurgiem Granta podczas wojny secesyjnej... Oto kąsek do pańskiego artykułu. Pewnie więc Williego przyjęto na studia medyczne bez problemów...

– Okazał się całkiem popularnym lekarzem.

– To akurat mnie nie dziwi. Istnieją różne rodzaje popularności. Jedna wymaga kombinacji cech osobowościowych, które Willie rzeczywiście posiada: wytrwałości, braku wyobraźni, wrodzonego konserwatyzmu. Oczywiście, ładne, mocne ciało i klasyczna, pociągająca twarz nie przeszkadzają w osiągnięciu sukcesów. Założę się, że nie został twórczym badaczem ani myślicielem. Jego charakter jest bardziej, hmm... doczesny, zgadza się?

– Ma reputacje doskonałego lekarza – upierałem się. – Jego pacjenci opowiadają o nim same dobre rzeczy.

– Bez wątplenia: mówi im dokładnie to, co chcą słyszeć. Willie zawsze w tym przodował. Już u nas cieszył się sporą popularnością, wysuwając się w wielu przedsięwzięciach na czoło. Był moim studentem, uczyłem go historii cywilizacji europejskiej. Starał się robić dobre wrażenie. „Tak, panie profesorze, nie, panie profesorze”. Zawsze gotów przysunąć mi krzesło... Boże, jak ja go nienawidziłem. Pomijając fakt, że w ogóle rzadko siadam. – Skrzywił się na to wspomnienie. – Tak, miał w sobie pewien banalny urok. Ludzie lubią takich lekarzy. Coś takiego nazywa się chyba „odpowiednim podejściem do pacjenta”. Cóż, prace pisemne nie świadczyły najlepiej o jego intelekcie. Były poprawne. Dokładne, lecz nie wnoszące niczego nowego. Czysta forma. – Przerwał. – Nie takich informacji pan oczekiwał, prawda?

Uśmiechnąłem się.

– Niezupełnie.

– Tych nie może pan wydrukować, prawda? – Wydawał się rozczarowany.

– Nie. Obawiam się, że artykuł ma być pochwalny.

– Mocne słowa, czyli używając miejscowego dialektu, zwyczajne gównno, co? Jakież to nudne. Nie nudzi pana pisanie takich bredni?

– Czasami. Ale te brednie opłacają moje rachunki.

– Tak. Jestem arogantem, gdyż, nie wziąłem tego pod uwagę. Nigdy nie musiałem płacić rachunków. Robią to za mnie moi bankierzy. Zawsze posiadałem znacznie więcej pieniędzy, niż potrzebowałem. Właściwie nie wiem, co z nimi robić. Stąd moja niewiarygodna ignorancja... zresztą, to powszechna wada leniwych bogaczy. Jesteśmy zupełnie nieświadomi pewnych spraw.

A w dodatku żenimy się niemal wyłącznie między sobą, co powoduje zarówno umysłowe, jak i fizyczne aberracje. – Uśmiechnął się znacząco, potem popukał po garbie. – Tutejszy kampus to kryjówka dla potomków gnuśnych, ciemnych, skoligaconych ze sobą bogaczy. Takich jak pański doktor Willie Towle. Pochodzi ze środowiska, które należy do najbardziej elitarnych w Stanach. Wiedział pan o tym?

– Jako syn lekarza?

– Nie, nie. – Machnął w moją stronę ręką i poczułem się jak wyjątkowo nierozgarnięty uczeń. – Towle jest jednym z Dwustu. Nie słyszał pan o nich?

– Nie.

– Proszę zajrzeć do dolnej szuflady mojego biurka i wyjąć starą mapę Seattle.

Zrobiłem, co kazał. Złożona mapa leżała pod stertą starych egzemplarzy „Playboya”.

– Proszę mi ją dać – mruknął niecierpliwie. Rozwinął mapę i rozłożył na stole. – Proszę tu spojrzeć.

Stałem nad starcem. Jego palec wskazywał miejsce na północnym końcu South, a dokładnie mówiąc, małą wyspę w kształcie diamentu.

– Wyspa Brindamoor. Te pięć kilometrów kwadratowych absolutnie pozbawione atrakcji terenu, na którym usytuowano dwie rezydencje i posiadłości ziemskie, nie ma sobie równych w całej Ameryce. Josiah Jedson zbudował tam swój pierwszy dom, gotyckie monstrum, i znalazł chętnych naśladowców. Mieszkają tam moi kuzyni – w końcu większość z nas jest spowinowacona – chociaż akurat mój ojciec zbudował nasz dom na stałym lądzie, w Windermere.

– Tę wyspę niemal trudno dostrzec.

Wyglądała jak pyłek na Pacyfiku.

– O to im właśnie chodziło, mój drogi chłopcze. Na wielu starszych mapach wyspa nie ma nawet nazwy. Ma się rozumieć, że nie jest połączona ze stałym lądem. Okrężny prom wpływa do portu raz na jakiś czas, jeśli tylko pogoda i fale pozwalają. Czasem przez tydzień albo i dwa omija wyspę. Niektórzy mieszkańcy mają prywatne samoloty i lądowiska na swoich posiadłościach. Większości odpowiada to odcięcie od świata.

– Czy doktor Towle tam dorastał?

– Najprawdopodobniej. Rodowe posiadłości sprzedano już kilka lat temu. Towle był jedynym synem i kiedy przeprowadził się do Kalifornii, nie miał powodu, by je zatrzymywać... Szczególnie że w większości tamtejsze domy są naprawdę ogromne. Architektoniczne dinozaury. Ich utrzymanie jest przeraźliwie kosztowne. Nawet dwustu największych bogaczy musi planować wydatki. Nie wszyscy mają tak bystrych przodków jak mój ojciec.

Z zadowoleniem pogłaskał się po brzuchu.

– Uważa pan, że dorastanie w takiej izolacji wywarło jakiś wpływ na doktora Towle’a?

– Teraz mówi pan jak psycholog, młody człowieku.

Uśmiechnąłem się.

– Takie wychowanie nie może pozostać bez wpływu na osobowość człowieka. Pamiętam, że dzieci pochodzące z rodzin należących do Dwustu stanowiły trudną do zniesienia gromadę snobów. Proszę zauważyć, że aby zasłużyć sobie na takie określenie w Jedson College, trzeba prezentować nadzwyczajny szowinizm. Dzieciaki spotykały się tylko we własnym gronie, były egocentryczne, rozpieszczone i niezbyt rożgarnięte. Bezduszne, obojętne istoty. Nawet dla bliskich. Rodzeństwo wielu z nich cierpiało z powodu deformacji, chronicznych chorób fizycznych lub problemów umysłowych... Nie żartowałem, mówiąc o niebezpieczeństwach endogamicznego rozmnażania się.

– Używa pan czasu przeszłego. Czy ci ludzie już dziś nie istnieją?

– Na wyspie pozostało zadziwiająco niewiele młodych osób. Dzieci bogaczy zakosztowały smaków zewnętrznego świata i nie mają ochoty wracać na Brindamoor, bo to naprawdę straszliwie ponure miejsce... mimo kortów tenisowych w posiadłościach i innych luksusów.

Nadal grałem swą rolę, więc musiałem bronić mojego „bohatera”.

– Profesorze, nie znam doktora Towle’a zbyt dobrze, ale słyszałem na jego temat same pozytywne opinie. Spotkałem go raz i wydał mi się człowiekiem o silnym charakterze. Czy możliwe, by dorastanie w takim środowisku jak Brindamoor wpłynęło na rozwój osobowości człowieka?

Starzec popatrzył na mnie z pogardą.

– Bzdury! Rozumiem, że musi pan upiększać jego wizerunek, lecz ode mnie uzyska pan jedynie szczerą prawdę. W bandzie z Brindamoor nie ma ani jednej ciekawej osobowości. To klan. Młody człowieku, nektarem indywidualności jest samotność, a nasz Willie Towle z pewnością w niej nie gustuje.

– To znaczy?

– Nie potrafię sobie przypomnieć, żebym kiedykolwiek widział go samego. Kręcił się z dwoma innymi głupkami z wyspy. Ta trójka paradowała po naszym terenie jak grupa małych dyktatorów. Za plecami nazywano ich „trzema głowami stanu”... Pretensjonalne, nadęte chłopaki. Willie, Stu i Eddy.

– Kim byli dwaj pozostali?

– Stuart Hickle i Edwin Hayden.

Na dźwięk tych nazwisk momentalnie oblał mnie zimny pot. Staralem się nie pokazać, jak bardzo jestem zaskoczony, i natychmiast przybrałem obojętną minę, mając nadzieję, że starzec nie zauważy

mojej przesadnej reakcji. Na szczęście, nie patrzył na mnie, ciągnąc swą tyradę chrapliwym głosem:

– ...Hickle był chorowitą, pryszczatą niezdarą o paskudnych skłonnościach. Każde jego słowo cenzurowali pozostali dwaj. Hayden to złośliwa mała kanalia. Przyłapałem go, gdy oszukiwał na egzaminie, a on próbował mnie przekupić, żebym go nie oblewał. Zaoferował mi wprost usługi jakiejś indiańskiej prostytutki o rzekomo egzotycznych talentach! Może pan sobie wyobrazić taki tupet! Potraktował mnie jak człowieka, który nie potrafi się sam uporać z własną żądzą. Ma się rozumieć, że go oblałem, a później napisałem ostry list do jego rodziców. Nie dostałem żadnej odpowiedzi – bez wątpienia nigdy go nie przeczytali, może zwiedzali akurat Europę... Wie pan, jak skończył ten drań Hayden? – zapytał retorycznie.

– Nie – skłamałem.

– Jest teraz sędzią... w Los Angeles. Chyba wszyscy trzej – trzy wspaniałe „głowy stanu” – przeprowadzili się do Los Angeles. Hickle jest kimś w rodzaju chemika. Chciał zostać lekarzem, tak jak Willie, i chyba nawet rozpoczął studia medyczne. Ale był zbyt głupi, aby dobrać do końcowych egzaminów.

– Sędzia – powtórzyłem. – Co mamy myśleć o naszym systemie prawnym?

Niczym nędzarz, który nagle dostaje pokaźny spadek, nie potrafiłem sobie poradzić z nadmiarem nowych informacji. Chciałem się przyznać, kim jestem, i wydusić ze starca wszystkie dane, a równocześnie wiedziałem, że powinienem sobie wcześniej wszystko przemyśleć. W dodatku obiecałem Margaret, że jej nie zaszkodzę.

– Jestem wstrętnym starym gnojkiem, nieprawdaż? – zakrakał Van der Graaf.

– Wydaje mi się pan człowiekiem bardzo spostrzegawczym, profesorze.

– Och, doprawdy? – Uśmiechnął się przebiegle. – Może dorzucić panu jeszcze kilka smacznych kąsków?

– Wiem, że doktor Towle stracił wiele lat temu żonę i dziecko. Proszę mi coś powiedzieć na ten temat.

Popatrzył na mnie, potem ponownie napełnił szklankę i wypił łyk.

– Czy te szczegóły będą pasowały do pańskiej opowieści?

– Na pełny portret składa się wiele drobiazgów – odparłem bez przekonania.

– Ach, tak, pełny portret. Oczywiście! No cóż, to była tragedia, a pański doktorek okazał się raczej zbyt młody, by się z nią uporać. Ożenił się na drugim roku ze śliczną dziewczyną z dobrej portlandzkiej rodziny. Śliczną, lecz spoza kręgu – dzieciaki z Dwustu wołały się żenić między sobą. Ich zaręczyny były sporą niespodzianką. W sześć miesięcy później dziewczyna urodziła syna i zagadka się wyjaśniła. Przez jakiś czas trzech przyjaciół spotykało się znacznie rzadziej, sądziłem, że paczka się rozpadła... Hickle i Hayden zajęli się swoim sprawami, kiedy Willie podjął się

obowiązków męża, a potem ojca. Po śmierci żony i dziecka Towle'a „głowy stanu” znowu się połączyły. To chyba naturalne, że młody mężczyzna po takiej stracie szuka pociechy u przyjaciół.

– W jaki sposób zginęli?

Starzec spojrzał w szklanekę i wysączył ostatnie kilka kropel.

– Dziewczyna, to znaczy matka, zabrała dziecko do szpitala. Chłopczyk obudził się ze straszliwym kaszlem czy inną poważną dolegliwością. Najbliższa izba przyjęć znajdowała się w Dziecięcym Szpitalu Ortopedycznym przy uniwersytecie. Były wczesne godziny poranne, nadal panowała ciemność. Jej samochód jechał przez most Evergreen i wpadł do jeziora. Znalezione go dopiero o świcie.

– Gdzie był doktor Towle?

– Uczył się do późna. Po tym wszystkim czuł się okropnie. Obarczał siebie odpowiedzialnością. Obwinał się o to, że nie pojechał z nimi i też się nie utopił. Na pewno pan wie, jak potrafi się samobiczować osoba pogrążona w żałobie.

– Tragiczny wypadek.

– Och, tak. A to była taka urocza dziewczyna.

– Doktor Towle ma jej zdjęcie w gabinecie.

– Sentymentalny, co?

– Pewnie tak. – Wypiłem trochę whisky. – Po tragedii zaczął się częściej widywać z przyjaciółmi?

– Tak. Chociaż... Wie pan co? Nagle zdałem sobie sprawę z pewnego szczegółu. W moim pojęciu przyjaźń łączy się z jakąś więzią, przywiązaniem, wzajemnym podziwem. A ci trzej zawsze wyglądali tak ponuro, gdy przebywali razem. Chyba nie cieszyli się swoim towarzystwem. Nigdy nie odkryłem, co ich łączyło. A po szkole? Willie wyjechał na studia medyczne, Stuart podążył za nim. Edwin Hayden rozpoczął studia prawnicze na tym samym uniwersytecie. Zamieszkali w tym samym mieście. Bez wątplenia skontaktuje się pan z pozostałą dwójką, aby zdobyć ich pochwalne opowieści do swojego artykułu. Jeśli istnieje jakiś artykuł...

Usiłowałem zachować spokój.

– Co ma pan na myśli?

– Och, sądzę, że pan doskonale wie, mój chłopcze. Nie zamierzam pana prosić o dowód tożsamości potwierdzający, że jest pan tym, za kogo się podaje. Niczego by to nie zmieniło, a wydaje mi się pan miłym, inteligentnym młodym człowiekiem. Myśli pan, że miewam wielu gości, przed którymi mogę się wygadać? Ach, dość już powiedziałem.

– Doceniam pańską szczerłość, profesorze.

– I powinien pan. U ram, że ma pan swoje powody, by mnie wypytywać o Williego. Bez wątpienia są nudne i nie chcę ich poznać. Czy byłem pomocny?

– Bardziej niż pomocny. – Napełniłem obie szklanki i w milczeniu wypiliśmy kilka haustów.

– Chciałby mi pan jeszcze trochę pomóc? – spytałem.

– To zależy.

– Doktor Towle ma siostrzeńca. Timothy Kruger. Zastanawiam się, co mógłby mi pan o nim opowiedzieć.

Van der Graaf podniósł szklankę do ust. Ręce mu drżały, twarz się zachmurzyła.

– Kruger. – Wypluł to nazwisko niczym obraźliwy epitet.

– Tak?

– Kuzyn. Daleki kuzyn, nie siostrzeniec.

– Kuzyn zatem.

– Kruger. Stara rodzina. Prusacy, wszyscy. Maklerzy. Nieruchomości. Potężni. – Przestał mówić ze śpiewną intonacją i mechanicznie wyrzucał z siebie kolejne słowa. – Prusacy!

Zrobił kilka kroków. Zachwiał się nagle pod wpływem myśli, która przysłała mu do głowy. Jego ręce opadły na boki.

– W takim razie pan musi być związany z policją – oświadczył z przekonaniem.

– Dlaczego tak pan twierdzi?

Twarz Van der Graafa pociemniała z gniewu. Starzec podniósł w powietrze pięść. Wyglądał teraz jak prorok tragicznych wieści.

– Proszę nie stroić sobie ze mnie żartów, młody człowieku! Jeśli pańska sprawa ma coś wspólnego z Timothy Krugerem, musi się łączyć z policją!

– Rzeczywiście, chodzi o dochodzenie kryminalne, niestety, nie mogę podać szczegółów.

– Och, doprawdy? Strzępię sobie język, nie pytając o pańskie prawdziwe intencje... Wprawdzie przed chwilą mówiłem, że są nudne, teraz jednak zmieniłem zdanie.

– Dlaczego nazwisko Krugera tak pana przerażyło, profesorze?

– Łączy się z nim zło – wyjaśnił – a zło mnie przeraża. Mówi pan, że pańskie pytania wiążą się ze

śledztwem. Skąd mogę wiedzieć, po której pan stoi stronie?

– Współpracuję z policją. Ale nie jestem policjantem.

– Koniec z zagadkami! Albo będzie pan szczery, albo wynocha stąd!

Zastanowiłem się.

– Margaret Dopplemeier – bąknąłem. – Nie chcę, żeby z powodu naszej rozmowy straciła pracę.

– Maggie? – prychnął. – Niech się pan o nią nie martwi, nie zamierzam się nikomu wygadać, że przyprowadziła pana do mnie. To smutna dziewczyna, która potrzebuje intryg, aby upikantnić sobie życie. Rozmawiałem z nią wiele razy, toteż wiem, że tęskni za konspiracyjną teorią dziejów. Wystarczy jej zasugerować jakąś tajemnicę, a pójdzie za nią niczym pstrąg za przynętą. Zabójstwa Kennedych, nie zidentyfikowane obiekty latające, próchnica zębów – wszystko jest rezultatem wielkiej zmywy anonimowych demonów. Bez wątplenia rozpoznał pan w Maggie tę potrzebę tajemnicy i wykorzystał ją.

Zabrzmiało to makiawelicznie. Nie spierałem się ze starcem.

– Nie – podjął. – Nie chcę zaszkodzić Maggie. To moja przyjaciółka. Poza tym nie jestem ślepo oddany tej instytucji. Nienawidzę pewnych spraw związanych z tym miejscem, choć jest ono moim prawdziwym domem.

– Ludzi takich jak Krugerowie?

– Nienawidzę środowiska, które pozwala działać Krugerom i im podobnym draniom. – Zachwiał się, zbyt wielka głowa z trudem trzymała się na małym, pokurczonym ciele. – Wybór należy do pana, młody człowieku. Proszę mówić albo milczeć.

Wybrałem tę pierwszą możliwość i opowiedziałem mu całą historię.

– Nic mnie w pańskiej opowieści nie zaskakuje – oznajmił. – Nie wiedziałem o śmierci Stuarta Hickle’a ani o jego seksualnym procederze, ale nie szokują mnie te fakty. Hickle był kiepskim poetą, doktorze Delaware, bardzo kiepskim. I nikim więcej.

Przypomniałem sobie wiersz w roczniku pod nekrologiem poświęconym pamięci Lilah Towle. Wiedziałem już, kim jest „S”.

– Kiedy wspomniał pan Timothy’ego, zaniepokoiłem się, ponieważ nie wiedziałem, czy nie nasłała pana jego rodzinka. Odznaka, którą mi pan pokazał, wydaje się prawdziwa, z drugiej strony jednak takie błyskotki łatwo sfalszować.

– Proszę zadzwonić do detektywa Delano Hardy’ego z Wydziału Policji Zachodniego Los Angeles. Powie panu, po której stronie stoję. – Miałem nadzieję, że starzec nie spróbuje mnie sprawdzić. Kto wie, jak zareagowałby Hardy?

Popatrzył na mnie w zamyśleniu.

– Nie, nie, to nie będzie konieczne. Jest pan kiepskim kłamcą. Sądzę, że potrafię wyczuć, kiedy mówi pan prawdę.

– Dziękuję.

– Bardzo proszę. Komplement był zamierzony.

– Proszę mi powiedzieć o Timothy Krugerze – poprosiłem.

Stał, mrugając oczami niczym gnomowaty wytwór hollywoodzkiego laboratorium elektów specjalnych.

– Przede wszystkim chciałbym podkreślić, że zło Krugerów nie ma nic wspólnego z ich bogactwem. Byliby złymi ludźmi również jako nędzarze-jestem tego pewien... Tak uważam.

– Rozumiem.

– Wbrew bolszewickiej propagandzie ludzie bardzo zamożni nie są źli. To nieszkodliwa gromadka – świetnie chronieni, małomówni, skazani na wymarcie. – Zrobił krok w tył, jakby się wycofywał z tej przepowiedni.

Czekałem.

– Timothy Kruger – podjął w końcu – to morderca. Po prostu i bez wątpienia. Fakt, że nigdy nie został aresztowany, osądzony czy skazany, nie umniejsza jego winy w moich oczach. To było siedem... nie, osiem lat temu. Studiował u nas pewien chłopak, syn farmerów z Idaho. Bystry jak strumyczek, zbudowany jak Adonis. Nazywał się Saxon, Jeffrey Saxon. Przyjechał tu na studia. Pierwszy z całej rodziny ukończył szkołę średnią. Marzył, by zostać pisarzem. Otrzymał od nas stypendium sportowe – uprawiał wioślarstwo, baseball, football i zapasy. Celował we wszystkich tych dyscyplinach, a równocześnie z większości przedmiotów teoretycznych otrzymywał piątki. Głównym przedmiotem, który wybrał, była historia, a ja zostałem jego wydziałowym opiekunem, chociaż już wtedy nie nauczalem. Odbyliśmy wiele pogawędek, tułaj w tym pokoju. Z tym chłopakiem rozmawiało się niezwykle przyjemnie. Podchodził do życia entuzjastycznie, łaknął wiedzy.

Łza zebrała się pod opadającą powieką w kąciku niebieskiego oka.

– Proszę mi wybaczyć. – Starzec wyjął płócienną chusteczkę i przyłożył ją do policzka. – Strasznie tu dużo kurzu, muszę pogonić sprzątaczkę, żeby posprzątała.

Przełknął whisky, a kiedy ponownie przemówił, jego głos był nieco drżący, osłabiony przez wspomnienia.

– Jeffrey Saxon miał w sobie wielką ciekawość. To była dociekliwa natura prawdziwego naukowca, doktorze Delaware. Pamiętam, gdy przyszedł do mojego pokoju po raz pierwszy

i zobaczył wszystkie te książki. Zachowywał się jak dziecko wpuszczone do sklepu z zabawkami. Pożyczałem mu moje najwspanialsze tomy antykwaryczne – od londyńskiego wydania Kronik Józefa Flawiusza po antropologiczne rozprawy naukowe. Wszystkie je wręcz pochłaniał. „Na miłość boską, profesorze – mówił – przyswojenie choćby ułamka zawartej w nich wiedzy zajęłoby mi kilka żywotów”. W moim mniemaniu tylko intelektualista jest świadomy własnej znikomości wobec zgromadzonego przez ludzkość ogromu wiedzy. Pozostali studenci oczywiście uważali Jeffreya za prostaka i chłopka-roztropka. Wyśmiewali się z jego ubrań, manier i braku wyrobienia. Mówił mi o tym – przypuszczam, że byłem dla niego kimś w rodzaju dziadka – a ja uspokajałem go, że jego przeznaczeniem jest szlachetniejsze towarzystwo niż banda z Jedson. W gruncie rzeczy namówiłem go, by złożył podanie o przeniesienie do jakiegoś college’u na Wschodzie – Yale, Princeton, gdzie mógłby się rozwijać intelektualnie. Ze swoimi stopniami i listem ode mnie mógłby to sobie załatwić. Niestety, nie wykorzystał szansy. Zaprzyjaźnił się z pewną młodą damą, jedną z Dwustu, dość ładną, choć głupiutką. Ich przyjaźń nie była błędem, ponieważ serce i gonady trzeba jakoś zaspokoić. Pomyłką natomiast był wybór dziewczyny, której już pożądał ktoś inny.

– Tim Kruger?

Van der Graaf ze smutkiem pokiwał głową.

– Ciężko mi o tym opowiadać, doktorze. Bardzo boleśnie przeżyłem całą tę sprawę.

– Jeśli to dla pana zbyt trudne, profesorze, możemy pomówić innym razem.

– Nie, nie. Taka zwłoka niczego nam nie ułatwi. – Głęboko zaczerpnął powietrza. – To opowieść rodem z kiepskiej opery mydlanej. Jeffrey i Kruger zainteresowali się tą samą dziewczyną i publicznie się o nią pokłócili. Nakrzyczeli na siebie i tyle. Jeffrey odwiedził mnie i o wszystkim opowiedział. Przyjąłem rolę amatorskiego psychologa... Jakże często profesorowie muszą ofiarować swoim studentom emocjonalne wsparcie... Tak czy owak, sądziłem, że wykonałem dobrą robotę. Namówiłem go, by zapomniał o dziewczynie. Znałem przedstawicielki tego środowiska i świetnie wiedziałem, że Jeffrey stanie się ofiarą jej i jej rodziny. Uczniowie Jedson przypominają gołębie pocztowe, a ich zachowanie jest tak samo przewidywalne jak zachowanie ich przodków. Byłem przekonany, że dziewczyna i tak w końcu wyjdzie za mąż za równego sobie. Powiedziałem Jeffreyowi, że czeka go lepszy los, wspanialsze dziewczęta, że całe życie przed nim, mnóstwo sposobności i przygód...

– Nie chciał mnie słuchać – ciągnął. – Był jak stary wojak całkowicie skupiony na szlachetnej misji. Pragnął zwyciężyć Czarnego Rycerza i uwolnić piękną dziewicę. Totalna bzdura... lecz on był taki ufny i taki naiwny.

Van der Graaf przerwał, zabrakło mu tchu. Jego twarz pobladła, po czym przybrała chorowity zielonkawy odcień. Lękałem się o jego zdrowie.

– Może skończymy na dzisiaj – podsunąłem. – Mogę wrócić jutro.

– Absolutnie nie! Nie zostanę tutaj sam w moim więzieniu z trującą bryłą smutku, tkwiącą mi

w żołądku! – Odchrząknął. – Poradzę sobie. Proszę siedzieć i bacznie słuchać.

– W porządku, profesorze.

– A zatem, na czym skończyłem?...Ach, Jeffrey jako Biały Rycerz. Głupi chłopak. Wrogość między nim i Timothy Krugerem z każdym dniem narastała. Wszyscy bojkotowali Jeffreya, gdyż Kruger był kampusową znakomitością i miał mnóstwo przyjaciół. Jeffrey mógł się zwrócić ze swoimi problemami jedynie do mnie. Nasze rozmowy miały teraz inny charakter. Nie były to już umyślowe potyczki. Teraz byłem psychoterapeutą na pełnym etacie. Ta rola zresztą zupełnie mi nie odpowiadała, czułem jednak, że nie mogę zostawić tego chłopca samego. Miał tylko mnie. Cała sprawa zakończyła się sportowym pojedynkiem. Obaj chłopcy uprawiali zapasy klasyczne. Postanowili się spotkać późno w nocy w pustej sali gimnastycznej. Sami. Nie jestem zapaśnikiem... z oczywistych powodów, wiem jednak, że jest to sport wysoce zorganizowany, o jasnych zasadach i zakazach. Jeffrey lubił go właśnie z tego powodu – miał bowiem w sobie dużo samodyscypliny... jak na tak młodego człowieka. Tak czy owak... Wszedł do sali gimnastycznej żywy, a wyniesiono go na noszach. Miał złamany kark i kręgosłup. Był jak warzywo. A w trzy dni później zmarł.

– Jego śmierć zapewne uznano za wypadek – dokończyłem cicho.

– Taka była oficjalna ekspertyza koronera. Kruger tłumaczył się, że podczas zapaśniczej walki uwikłali się w skomplikowaną serię chwytów, podczas których Jeffrey został ranny. Czy można było z nim dyskutować? Przecież w sporcie wypadki się zdarzają. Uznano, że w najgorszym razie dwaj niedojrzali chłopcy zachowali się w sposób nieodpowiedzialny. Jednak dla osób, które znały Timothy'ego i zażartą rywalizację między tymi dwoma, wyjaśnienie nie było zadowalające. Władze college'u paliły się do zatuszowania sprawy, a policja bardzo chętnie oddała im tę przysługę. Po co walczyć z bogatymi Krugerami, skoro po świecie chodzą setki zwyczajnych przestępców? Uczestniczyłem w pogrzebie Jeffreya... w Idaho. Zanim wyjechałem, przypadkowo natknąłem się w kampusie na Timothy'ego. Z dzisiejszej perspektywy wiem, że mnie oszukał. – Van der Graaf zacisnął usta, zmarszczki na jego twarzy pogłębiły się jakby pociągane przez wewnętrzny sznurek. – Podszedł do mnie w pobliżu statuetki naszego założyciela. „Słyszałem, że pan wyjeżdża, profesorze” – powiedział. „Tak – odparłem – lecę dziś wieczorem do Boise”. „By towarzyszyć w ostatniej drodze swojemu młodemu wychowankowi?” – spytał. Gdy to mówił, jego twarz wydawała się uosabiać niewinność, teraz wiem, że udawał – był przecież aktorem i potrafił na zawołanie przybierać pożądane miny. „Skąd ta nagła ciekawość?” – odburknąłem. Schylił się, podniósł z ziemi suchą dębową gałązkę i z aroganckim uśmiechem wyższości – podobnym do tych, które uwieczniają fotografie twarzy strażników dręczących swe ofiary w nazistowskich obozach koncentracyjnych – złamał gałązkę w palcach i odrzucił na bok. Potem się roześmiał.

– Nigdy nie byłem tak bliski popełnienia morderstwa jak wtedy, doktorze Delaware. Gdybym był młodszy, silniejszy i należycie uzbrojony, może bym go zabił. A tak, po prostu stałem jak wryty, gdyż po raz pierwszy w życiu zabrakło mi słów. „Przyjemnej podróży” – powiedział ten drań i odszedł rozradowany jak dziecko. Serce mocno mi waliło i zaczęło mi się kręcić w głowie, starałem się jednak nie stracić cierpliwości. Kiedy zniknął z pola widzenia, załamane się i rozplakałem.

Zapadło długie milczenie.

Kiedy staruszek wydał mi się dostatecznie opanowany, spytałem:

– Margaret wie o tym? O Krugerze?

Pokiwał głową.

– Rozmawiałem z nią o tym. Jest moją przyjaciółką.

Zatem niezgrabna panna Dopplemeier wiedziała więcej, niż sądziłem. Myśl ta z jakiegoś powodu dodała mi otuchy.

– Jeszcze jedna sprawa – dziewczyna. Ta, o którą się pokłócili. Co się z nią stało?

– A czego się pan spodziewał? – Uśmiechnął się szyderczo.

Jego ton ponownie stał się zjadliwy. – Unikała Krugera... jak większość innych dziewcząt. Obawiały się go. Uczęszczała spokojnie do Jedson jeszcze przez trzy lata, potem wyszła za mąż za bankiera i przeprowadziła się do Spokane. Jest pewnie przyzwoitą panią domu, odwozi dzieci do szkoły, jada lunch w damskim klubie i robi zakupy.

– Takie jest życie – zauważyłem.

Potrząsnął głową.

– Tylko chłopaka szkoda.

Popatrzyłem na zegarek. Spędziłem u Van der Graafa nieco ponad godzinę, a sądziłem, że znacznie dłużej. Staruszek odgrzebał dla mnie przez ten czas sporo nieprzyjemnych historii, ale jako historyk był pewnie do tego przyzwyczajony. Ja natomiast czułem się zmęczony i spięty. Zatęskniłem za świeżym powietrzem.

– Profesorze – podsumowałem – nie wiem, jak panu dziękować.

– Proszę odpowiednio wykorzystać moje informacje. – Jego niebieskie oczy błyszczały niczym bliźniacze latarnie. – Niech pan również złamie kilka gałązek.

– Dam z siebie wszystko. – Wstałem.

– Ufam, że się panu uda.

Podziękowałem.

Kiedy byłem już w korytarzu, usłyszałem jego wołanie:

– Proszę przypomnieć Maggie o naszym pikniku z pizzą!

Jego słowa odbiły się echem od gładkich, zimnych, kamiennych ścian.

Rozdział 23

Wśród prymitywnych plemion istnieje wiara, żeby zwyciężyć wroga, nie wystarczy zniszczyć jego powłokę cielesną, lecz trzeba również pokonać jego duszę. Ta wiara leży u podstaw różnych form kanibalizmu, które istniały – i nadal istnieją – w wielu regionach świata. Podobno można przejąć moc zjedzonej osoby. Pożryj serce swej ofiary, a wchłoniesz cząstkę jej istoty. Połknij jej zmielony na pył penis, a zwiększysz własną męskość.

Pomyślałem o Timothy Krugerze, o zabitym przez niego chłopcu oraz o naszej rozmowie, w której Kruger przedstawił mi się jako Jeffrey – biedny student ze stypendium sportowym – i wizja strasznego okrucieństwa przesłoniła mi idylliczną zieleń kampusu Jedson. Starłem się zapomnieć o usłyszanych rewelacjach, gdy wspiałem się po marmurowych stopniach Crespi Hali.

Zastukałem w ustalony sposób, a Margaret Dopplemeier powiedziała: „Czekaj sekundkę!” W chwilę później otworzyła drzwi. Kiedy wszedłem, zamknęła je na klucz.

– Czy Van der Graaf okazał się pomocny? – spytała bez troski.

– Opowiedział mi wszystko. O Jeffrey Saxonie i Timie Krugerze. Dodał, że byłaś jego powiernicą.

Zarumieniła się.

– Nie sądzisz chyba, że będę się czuła winna, ponieważ cię oszukałam, skoro potraktowałeś mnie dokładnie w ten sam sposób – mruknęła.

– Nie mam do ciebie żalu – zapewniłem ją. – Mówię ci tylko, że starzec mi zaufał i wszystko opowiedział. Wiem, że nie mogłaś go zdradzić.

– Cieszę się, że rozumiesz – oświadczyła uroczyście.

– Dziękuję ci, że mnie do niego zaprowadziłaś.

– Cała przyjemność po mojej stronie, Aleksie. Dobrze wykorzystaj te informacje.

Już drugi raz w ciągu dziesięciu minut wyznaczono mi identyczne zadanie. Ponieważ podobnym poleceniem obarczyła mnie także Raquel Ochoa, poczułem, że wziąłem na siebie wielką odpowiedzialność.

– Na pewno tak zrobię. Zdobyłaś wycinki prasowe?

– Proszę. – Wręczyła mi fotokopię.

Śmierć Lilah Towle i „małego Williego” znalazła się na pierwszej stronie obok opisu szumnych zabaw na kampusie i przedruku raportu Stowarzyszenia Dziennikarzy na temat palenia „papierosów

marihuanowych”. Zacząłem czytać artykuł, niestety, kopia była zbyt ciemna i ledwie czytelna. Margaret dostrzegła, że wyteżam wzrok.

– Oryginał był zamazany.

– W porządku. – Studiowałem tekst dość długo i doszedłem do wniosku, że umieszczone w nim dane zgadzają się ze wspomnieniem Van der Graafa.

– Tu jest kolejna notka. Kilka dni później – o pogrzebie. Ta jest lepsza.

Wziąłem ją i obejrzałem. Teraz sprawa Towle’a znalazła się już na stronie szóstej, poświęconej lokalnym sprawom towarzyskim. Relacja z ceremonii była napisana w rzewnym tonie. Zamiast nazwisk umieszczono w niej tylko ich pierwsze litery. Mój wzrok przyciągnęła fotografia na dole strony.

Pochód żałobników prowadził Towle, wymizerowany i ponury, ze złożonymi rękami. Po jednej jego stronie szedł młody, ropuchowaty Edwin Hayden. Po drugiej, nieco z tyłu, stała gigantyczna postać. Natychmiast poznałem owego żałobnika.

Czarne, kręcone włosy, opuchnięta, lśniąca twarz. Zamiast okularów w metalowych oprawkach, które widziałem u niego podczas naszego spotkania przed kilkoma dniami, miał lekkie w złotych oprawkach; spoczywały nisko na mięsistym nosie.

Wielebny Augustus McCaffrey!

Złożyłem oba papiery i wsunąłem do kieszeni marynarki.

– Zadzwoń do Van der Graafa – poprosiłem.

– To stary człowiek. Nie sądzisz, że już dość go wypyta...

– Po prostu zadzwoń – przerwałem jej. – Jeśli tego nie zrobisz, pobiegnę tam sam.

Skrzywiła się na moją nagłą szorstkość, ale wykręciła numer.

Kiedy starzec odebrał, odezwała się:

– Przepraszam, że pana niepokoję, profesorze, ale nasz gość ma jeszcze jakieś pytania. – Posłuchała odpowiedzi, posłała mi nieszczęśliwe spojrzenie i wręczyła słuchawkę, trzymając ją na długość ramienia.

– Dziękuję – odparłem słodko. – Profesorze, muszę pana zapytać o jeszcze jednego studenta. To ogromnie ważne.

– Proszę bardzo. W tej chwili moją uwagę zajmują jedynie zdjęcia Miss Listopada 1973. A o kogo panu chodzi?

– O Augustusa McCaffreya... Również, był przyjacielem Towle'a?

Po drugiej stronie linii zapadła cisza, a potem rozległ się śmiech.

– No, niech mnie! Przedni żart! Gus McCaffrey miałby być studentem Jedson! Ależ z pana żartowniś – Śmiał się przez długą chwilę, potem jakiś czas łapał oddech.-Matko Boska, nie, drogi panie. Ten młody człowiek z pewnością u nas nie studiował!

– Mam przed sobą zdjęcie z pogrzebu żony Towle'a. Jest na...

– Może był na pogrzebie, ale tu nie studiował. Gus McCaffrey był... Dzisiaj nazywają siebie chyba personelem porządkowym... Gus był po prostu stróżem. Zamiatał sypialnie, wynosił śmieci...

– Co robił na pogrzebie? Stoi tuż za Towle'em, gotów złapać go, gdyby upadał.

– Nie dziwi mnie to. Początkowo pracował w rodzinie Hickle'a... O, ci mieli jeden z największych domów na Brindamoor! Służący potrafią się bardzo zbliżyć do swoich pracodawców... Zdaje mi się, że Stuart przywiózł go ze sobą do Jedson, kiedy zaczął się tu uczyć. Koniec końców Gus nawet awansował, został nadzorcą czy kimś podobnym. Opuszczenie Brindamoor okazało się dla niego doskonałą sposobnością. Co duży Gus dziś porabia?

– Jest duchownym, a w dodatku kierownikiem tego domu dziecka, o którym panu opowiadałem.

– Rozumiem. Zbiera boskie odpadki, że tak powiem.

– Można to tak ująć. Co jeszcze pan o nim wie?

– Szczerze mówiąc, obawiam się, że niewiele. Nie miałem kontaktów z pracownikami porządkowymi. Za młodu udajemy, że ich nie widzimy, a po latach rzeczywiście przestajemy ich zauważać. To był wielki, ostry facet, o ile sobie przypominam. Wyglądał niechlujnie, wydawał się silny, chyba całkiem rozgarnięty – pańskie informacje wyraźnie na to wskazują i nie będę im zaprzeczał. Nie wiem nic więcej. Przykro mi.

– Niepotrzebnie. Ostatnia sprawa... Gdzie mogę znaleźć mapę wyspy Brindamoor?

– Nie słyszałem o żadnej oficjalnej... Ale, ale! Pewna moja studentka pisała kiedyś rozprawę na temat historii tego miejsca. Pamiętam, że w pracy zamieściła mapkę rezydencji. Nie mam kopii, sądzę jednak, że znajdzie ją pan w bibliotece, w dziale prac studenckich. Nazwisko tej uczennicy brzmiało... Niech no pomyślę... Church? Nie, to było inne słowo natury klerykalnej. Chaplain* [* chunh (ang.) – kościół: chaplain (ang.) – kapelan.]. Tak. Gretchen Chaplain. Powinien pan ją znaleźć pod „C”.

– Jeszcze raz dziękuję, profesorze. Do zobaczenia.

– Do widzenia.

Margaret Dopplemeier siedziała na biurku, obrzucając mnie wściekłymi spojrzeniami.

– Przepraszam, że byłem nieuprzejmy – rzuciłem. – Naprawdę potrzebowałem tych informacji.

– Nie ma sprawy – odrzekła. – Uważam tylko, że mógłbyś być trochę miłszy, biorąc pod uwagę, ile dla ciebie zrobiłam. – Łypnęła na mnie jeszcze raz.

– Masz rację. Przepraszam. Nie będę cię już dłużej niepokoił. – Wstałem. – Bardzo ci za wszystko dziękuję. – Wyciągnąłem rękę, a kiedy niechętnie podała swoją, uściśnałem ją. – Dzięki tobie naprawdę sporo się zmieniło.

– Dobrze o tym wiedzieć. Jak długo się u nas zatrzymasz.

Łagodnie puściłem jej dłoń.

– Niedługo. – Cofnąłem się, uśmiechnąłem do Margaret, w końcu odkluczyłem drzwi i położyłem rękę na klamce. – Wszystkiego dobrego, dziewczyno. Jadaj dalej swoje jagódki.

Chciała coś powiedzieć, lecz się rozmyśliła. Gdy wychodziłem, stała za biurkiem, dotykając koniuszkiem różowego języka kącika nieładnych ust, jak gdyby szukała na wargach sobie tylko znanego smaku.

Pomieszczenia biblioteki były bardzo skromne i zastawione sporą – jak na college wielkości Jedson – liczbą książek i czasopism.

Główna sala przypominała katedrę: wyłożona marmurem, przystrojona ciężkim czerwonym aksamitem i oświetlona światłem wpadającym przez ogromne okna umiejscowione co trzy metry. Stały tu dębowe stoły do czytania, lampy z zielonymi abażurami i skórzane fotele. Brakowało jedynie ludzi czytających opasłe tomiska, które stały na półkach.

Bibliotekarzem okazał się zmęczony życiem, młody mężczyzna o krótko obciętych włosach i cienkim wąsiku. Nosił czerwoną koszulę w kratę i żółty, dziany krawat. Siedział za biurkiem i czytał najnowszy numer „Artforum”. Kiedy spytałem, gdzie jest dział prac studenckich, mężczyzna podniósł oczy i popatrzył na mnie ze zdumioną miną pustelnika obserwującego najazd na jego kryjówkę.

– Tam – powiedział leniwie i wskazał na południową ścianę pomieszczenia.

Dostrzegłem dębową szafkę katalogową i poszukałem rozprawy Gretchen Chaplain. Tytuł tego magnum opus brzmiał Wyspa Brindamoor: historia i geografia.

Na półce znalazłem prace Fredericka Chalmersa i O. Winstona Chaslaina, niestety, nie było między nimi rozprawy Gretchen. Sprawdziłem raz i drugi numer biblioteczny, na próżno. Studium o Brindamoor zniknęło.

Wróciłem do mężczyzny w kraciastej koszuli i musiałem dwukrotnie odchrząknąć, zanim oderwał się od artykułu o Billym Alu Bengstonie.

– Tak?

– Szukam pewnej rozprawy studenckiej i nie mogę jej znaleźć.

– Sprawdził pan w katalogu?

– Tak, niestety, na półce jej nie ma.

– Ależ pech. Została zapewne wypożyczona.

– Mógłby pan to dla mnie sprawdzić?

Westchnął i powoli podniósł się z krzesła.

– Jak brzmi nazwisko autora?

Podąłem wszystkie potrzebne dane i bibliotekarz odszedł z urażonym spojrzeniem poszukać w szafce. Podążyłem za nim.

– Wyspa Brindamoor to ponure miejsce. Po co szuka pan informacji na jej temat?

– Jestem profesorem z Uniwersytetu Los Angeles i potrzebuję ich do mojej pracy badawczej. Nie wiedziałem, że będę musiał się z tego tłumaczyć.

– Och, nie musi pan – odparł szybko i zatopił nos w stosie fiszek. Potem wyjął je i potasował jak zawodowiec z Vegas. – Widzi pan, tę pracę wypożyczono sześć miesięcy temu. O rany, trochę dawno, prawda?

Wziąłem od niego odpowiednią fiszkę. Niewiele osób interesowało się dziełem Gretchen. Wcześniej wypożyczyła ją tylko raz, w 1954 roku, sama autorka. Prawdopodobnie chciała pokazać ją swoim dzieciom...Zobaczcie, moje maleńkie, mamusia była kiedyś prawdziwym naukowcem...”

– Czasami wysyłamy upomnienia spóźnialskim czytelnikom. Sprawdzę to dla pana, profesorze. Kto wypożyczył ją ostatni?

Popatrzyłem na wpis i odpowiedziałem. Dopiero kiedy nazwisko opuściło moje usta, uświadomiłem sobie, o kogo chodzi. Niemal w tym samym momencie zrozumiałem, że moja misja wymaga podróży na wyspę.

Rozdział 24

Prom na wyspę Brindamoor odchodził o siódmej trzydzieści.

Kiedy recepcjonistka zadzwoniła o szóstej, by mnie obudzić, byłem już po prysznicu, ogolony i rzeński. Deszcz ponownie zaczął padać krótko po północy: krople uderzały w wielkie okna apartamentu. Dźwięki te wyrwały mnie ze snu o stukających kopytach kawalerii pędzącej po korytarzu. Na szczęście udało mi się zasnąć ponownie.

Wyrzałem przez okno. Miasto było mokre i rozmyte, wyglądało jak oglądane z wnętrza brudnego akwarium.

Włożyłem spodnie z grubego płótna, skórzaną marynarkę, wełniany golf oraz jedyny prochowiec, jaki miałem: cienki, dwurzędowy, z popeliny, bez podszewki. Okrycie zupełnie mi wystarczało podczas zimnych dni w Kalifornii Południowej, niestety tu, na północy, pożytek był z niego niewielki. Pochłonałem szybkie śniadanie – wędzony łosoś, bajgiel, sok i kawa – po czym wyszedłem. W dokach znalazłem się dziesięć minut po siódmej.

Byłem jedną z pierwszych osób w kolejce przy wjeździe samochodowym. Kolejka posuwała się szybko i już po chwili zjechałem po rampie na prom tuż za volkswagenem busem, którego tylny zderzak oklejono napisami: „Ratujcie wieloryby”. Posłuszny gestykulacjom pracownika w jaskrawo-pomarańczowym kombinezonie, zaparkowałem pięć centymetrów od śliskiej białej ścianki. Wsiadłem, wspiąłem się dwa piętra i znalazłem na pokładzie. Minałem sklepik z upominkami, trafikę, bar szybkiej obsługi – wszystkie zamknięte – oraz pociemniałą salkę zastawioną od ściany do ściany elektrycznymi grami wideo. Samotny kelner grał w „Pacmana”. Człowieczek na ekranie pożerał kropki, gracz zaś, koncentrując się, marszczył brwi.

Znalazłem miejsce z widokiem na rufę, usiadłem, położyłem sobie na kolanach złożony płaszcz przeciwdeszczowy i przygotowałem się na godzinny rejs.

Stateczek był niemal pusty. Za towarzyszy podróży miałem jedynie młodych, ubranych po robocjemu mężczyzn – i – najętych na stałym lądzie pomocników, którzy pływali promem do pracy w rezydencjach bogaczy z Brindamoor. Podczas drogi powrotnej prom zapewne zabierze mieszkańców wyspy – prawników, bankierów i innego rodzaju finansistów – do biur w centrum i obitych boazerią sal posiedzeń.

Trochę nami rzucało i kołysało, fale oceanu pieniały się pod wpływem wiatru, który szarpał taflą wody. Dostrzegłem mniejsze statki, przeważnie kutry rybackie, holowniki i płaskodenne łodzie. Wszystkie tańczyły na falach, wznosiły się bądź opadały. Gdyby prom się nie poruszał, czułbym się jak wśród modeli na półce.

Sześciu młodych, mniej więcej dwudziestoletnich robotników przyszło na pokład. Usiedli trzy metry ode mnie. Brodaci blondyni, kudłaci, ubrani w zmięte khaki i poszarzałe od brudu dzinsy. Podawali sobie termos pełen czegoś, co z pewnością nie było kawą, żartowali, palili papierosy, opierali stopy na krzesłach i rechotali. Wydawali się nieco podchmieleni. Jeden z nich zauważył

mnie i uniósł termos.

– Łyczka, stary? – zaoferował.

Uśmiechnąłem się i potrząsnąłem głową.

Wzruszył ramionami i odwrócił się do swoich. Przyjęcie w najlepsze trwało dalej.

Zabrzmiała syrena promu, potem zadudniły silniki pod deskami pokładu, wreszcie ruszyliśmy.

W połowie rejsu podszedłem do sześciu młodych pijaczków. Panował tam spokój. Trzech spało, chrapiąc przez otwarte usta, jeden czytał nieprzyzwoity komiks, a dwóch, w tym ten, który zaproponował mi drinka, siedziało, paląc. Wyglądali na zahipnotyzowanych żarzącymi się końcami własnych papierosów.

– Przepraszam.

Palacze podnieśli wzrok. Czytelnik nie oderwał oczu od komiksu. – Tak? – Ten, który proponował mi łyczka, uśmiechnął się do mnie. Mimo młodego wieku zdążył już stracić większość przednich zębów: powodem był brak higieny ust lub porywcze usposobienie. – Przykro mi, stary, ale nie mamy już zupki Campbella. – Podniósł termos i potrząsnął nim. – Czy nie tak, Dougie?

Jego towarzysz, tłusty chłopak z opadającymi wąsiskami i bokobrodami, roześmiał się i skinął głową.

– Tak, nie ma już zupy. A był rosółek z kurczaczka. Dziewięćdziesięcioprocentowy.

W miejscu, gdzie stałem, śmierdziało jak w gorzelni.

– Nie ma sprawy. Doceniam dobre chęci. Zastanawiałem się tylko, czy możecie mi coś powiedzieć na temat Brindamoora.

Obaj młodzieńcy popatrzyli na mnie zaintrygowani. Może nigdy nie przyszło im do głowy, że posiadają jakiegokolwiek informacje, którymi mogą się z kimś podzielić.

– Co chce pan wiedzieć? To paskudne miejsce – stwierdził ten bez zębów.

– Wysepka pieprzonych bogaczy. – Tłusty chłopak pokiwał głową na potwierdzenie.

– Szukam pewnego domu na wyspie. Nie udało mi się zdobyć mapy.

– Eee, chyba żadna mapa nie istnieje. Tamtejsi mieszkańcy lubią się ukrywać przed resztą świata. Mają prywatnych gliniarzy, gotowych potrząsnąć człowiekiem tylko za to, że splunął w niewłaściwą stronę. Ja i Doug wraz z resztą tej dowcipnej paczki pływamy tam, no bo kładziemy fundamenty pod pole golfowe, wynosimy śmieci, gruz i takie tam. A po skończonej pracy pędzimy z powrotem do łodzi i nic nas nie interesuje. Nie chcemy wylecieć z roboty, więc postępujemy, hmm... właściwie.

– Zgadza się – dodał tłuszczoch. – Nikogo nie podglądamy i nie imprezujemy na wyspie. Tam jest tak od lat. Mój staruszek pracował na Brindamoor, zanim wstąpił do związku i ja będę tam tyrał, póki stary mi nie załatwi papierów. A wtedy... pieprzyć tych pustelników. Staruszek mówił, że kiedyś mieli nawet taką gadkę: „Przynoś, podawaj i głową kiwaj, a potem migiem promem odpływaj”. – Roześmiał się i poklepał kumpla po plecach,

– Czego pan tam szuka? – Ten bez zębów zapalił kolejnego papierosa i umieścił go w szczelinie, w której powinny się znajdować jego górne siekacze.

– Domu Hickle’ow.

– Jest pan ich krewnym? – spytał Doug. Oczy miał koloru morza, tyle że przekrwione i nagle spochmurniałe ze zmartwienia. Pewnie obawiał się, że mogę mu w jakiś sposób zaszkodzić.

– Nie, architektem. Chciałem zrobić mały rekonesans. Powiedziano mi, że dom Hickle’ow jest interesujący. Podobno największy na wyspie.

– Ech, człowieku – odparł tłuszczoch – wszystkie tam są wielkie. Mógłbyś zmieścić w każdym całą dzielnicę.

– Architekt, co? – Twarz bezzębnego pojaśniała. Wydawał się szczerze zainteresowany. – Ile szkół trzeba skończyć, żeby nim zostać?

– Pięć lat college’u.

– Zapomnij, Harm – zażartował sobie z niego tłusty. – Masz pusto we łbie. Musiałbyś się najpierw nauczyć czytać i pisać.

– Pieprz się! – odparł Harm dobrodusznie. – Pracowałem na jednej budowie zeszłego lata – wyjaśnił mi. – Architektura jest chyba dość interesująca.

– Bardzo. Robię przeważnie projekty prywatnych domów. Stale szukam nowych pomysłów.

– I masz pan świętą rację. Wtedy praca pewnie rzeczywiście nigdy się nie znudzi.

– Bzdury, stary – zgasił go Dougie. – Nasza robota jest nudna jak faki z olejem. Sprzątamy tylko śmieci. Do diabła, człowieku, tam w jednym klubie ale była zabawa, bo w zeszłym tygodniu Matt i ja znaleźliśmy parę używanych kondomów. Były wielgachne. No nie, Hann?

– Eee, nie potrzebuję mieszkańców wyspy, by się zabawić – odrzekł jego towarzysz. – Chce się pan dowiedzieć o domach, proszę pana, to niech pan zapyta Raya. – Odwrócił się, pochylił nad jednym ze śpiących i szturchnął siedzącego za nim chłopaka z komiksem, który do tej pory tak był zaczytany, że ani razu nie podniósł oczu. Teraz spojrzał na nas szklistym wzrokiem imbecyla albo kogoś bardzo pijanego.

– Co?

– Ray, głupku, ten człowiek chce się coś dowiedzieć o domu Hickle’ow.

Chłopak bez zrozumienia zamrugął oczami.

– Ray za dużo pije. Potrzebuje trochę czasu, żeby załapać. – Harm uśmiechnął się tak szeroko, że zobaczyłem jego migdałki. – No, stary, gdzie jest dom Hickle’ow?

– Hickle’owie – bąknął Ray. – Mój stary u nich pracował. Straszne miejsce... tak mówił. Niesamowite. Chyba na Karola Wielkiego. Stary często...

– Wystarczy. – Harm puścił głowę Raya, który wrócił do czytania komiksu. – Dają tam ulicom dziwne nazwy. Karola Wielkiego. Aleksandra, Sulejmana.

Imiona zdobywców. Mały żarcik bogaczy, którego prości ludzie nie potrafili zrozumieć, choć właśnie do nich zapewne był adresowany.

– Ulica Karola Wielkiego leży w głębi wyspy. Pojedzie pan główną drogą obok rynku, jakieś czterysta metrów... Trudno znaleźć, gdyż nazwy ulic są zwykle zakryte przez drzewa... Ale skręci pan, niech no pomyślę, w prawo. To będzie Karola Wielkiego. Potem lepiej kogoś zapytać.

– Jestem bardzo zobowiązany. – Dobyłem z kieszeni portfel. – To za fatywę – powiedziałem, wyjmując piątaka.

Harm wyciągnął rękę, nie zamierzał jednak brać monety, lecz zaprotestować.

– Nie ma sprawy, proszę pana. To nie wielkiego. Zwykła przysługa.

Tłuścioch Doug posłał mu gniewne spojrzenie i chrząknął.

– Cicho. Dougie – syknął Harm przez brakujące zęby. – Nie zarobiliśmy na pieniądze tego pana. – Mimo rozczochranych włosów i zrujnowanego uzębienia wyglądał na dość rozgarniętego i odmówił mi z godnością. Należał do ludzi, których warto mieć u swego boku w trudnej sytuacji.

– Może postawię wam w takim razie kolejkę?

– To się nie uda – odparł Harm. – Nie możemy już więcej wypić, proszę pana. Za pół godziny zaczynamy robotę na polu golfowym. Musimy być zgrabni jak dupa laseczki. Ten oto koleś z baniastym tyłkiem nie może już gołnąć ani grama więcej, bo mógłby się pośliznąć, upaść i przygnieść nas wszystkich.

– Pieprz się. Harm – warknął wściekły Doug.

Schowałem pieniądze do kieszeni.

– W takim razie dzięki.

– Nie ma sprawy. Jakby pan budował jakieś domy i mógł zatrudnić ludzi spoza związku, niech pan pamięta o Harmonie Lundquiscie. Jestem solidnym i silnym budowlańcem. A mój numer znajdzie pan w książce.

– Będę pamiętał.

Na dziesięć minut przed zawinięciem do portu dostrzegłem wyspę. Wynurzyła się zza zasłony deszczu i mgły. Prostokątny, niewysoki szary kawał skały. Gdyby nie kępy drzew, które pokrywały większość zewnętrznych krawędzi, wyglądałaby jak Alcatraz.

Zszedłem do samochodu, siadłem za kierownicę i byłem gotów do odjazdu, kiedy mężczyzna w pomarańczowym kombinezonie zamachał, wskazując rampę. Pogoda skojarzyła mi się z Londynem. Liczba czarnych płaszczy, czarnych parasolek i czarnych kapeluszy wystarczyła, by zapełnić Piccadilly Street. Spod ciemnych okryć wystawały jedynie różowe dłonie trzymające aktówki i poranne wydanie „Wall Street Journal”. Ludzie patrzyli prosto przed siebie, zaciskając ponuro usta. Kiedy otwarto trap, mężczyźni zaczęli wchodzić na prom jeden po drugim. Lśniące buty podnosiły się i opadały, jakby towarzyszył im rytm niewidocznego werbla. Szwadron idealnych dżentelmenów... Brygada Dżentelmenów...

Tuż za portem rozciągał się małomiasteczkowy rynek zbudowany wokół ogromnego wiązu i obrzeżony sklepami i instytucjami: zauważyłem bank – okna budynku wykonano z przyciemnionego szkła, biuro maklerskie, trzy albo cztery z pewnością drogie sklepy tekstylne z konserwatywnie ubranymi manekinami na wystawach, sklep spożywczy, mięsny, pralnię chemiczną, urząd pocztowy, księgarnię, dwie restauracje – francuską i włoską – oraz sklepik z pamiątkami i jubilera. Wszystkie sklepy były zamknięte, ulice puste, a jedynymi żywymi stworzeniami zamieszkującymi wyspę wydawały się gołębie, które dreptały pod opadającymi gałęziami wiązu.

Podążyłem za wskazówkami Harma i bez kłopotów znalazłem uliczkę Karola Wielkiego. Kilometr za placykiem droga się zwężała i od tego miejsca tonęła w półmroku, ocieniona z obu stron ścianami paproci, dzikiego bluszczu i karłowatych klonów. Od czasu do czasu wśród zieleni pojawiały się furtki z kutego żelaza albo drewna sekwojowego; te pierwsze zwykle wzmocniono stalowym platerunkiem. Przy drodze nie było skrzynek pocztowych ani tabliczek z nazwiskami. Posiadłości leżały w odległości wielu akrów od siebie. Kilka razy przelotnie ujrzałem teren za furtkami: ogromne faliste trawniki, pochyłe podjazdy brukowane cegłą i kamieniem. Domy były imponujące, zbudowane w stylu Tudorów, regencji albo kolonialnym. Na podjazdach stały limuzyny: rolls-royse, mercedesy i cadillaki, a także ich bardziej funkcjonalni czterokołowi kuzyni – obite sklejką kombi, volvo, niewielkie kompaktki. Raz czy dwa razy widziałem ogrodników pracujących w deszczu; ich elektryczne kosiarki parskały i czekały.

Droga ciągnęła się jeszcze prawie osiemset metrów. Posiadłości stawały się coraz większe, domy odsunięte coraz dalej od bram. Nagle, przy gąszczu cyprysów, droga się skończyła. Nie było tu furtki ani innego wejścia, tylko zagajnik trzymetrowych drzew przypominający las. Przez moment sądziłem, że źle mnie skierowano.

Włożyłem prochowiec, postawiłem kołnierz i podszedłem. Podłoże było gęste od sosnowych igieł i mokrych liści. Zajrzałem przez gałęzie zarośli. Cztery metry przed sobą dostrzegłem niemal

całkowicie zakrytą wybujalymi, splątanymi konarami i ociekającą wodą roślinnością, krótką kamienną ścieżkę. Prowadziła do drewnianej bramy. Drzewa posadzono w taki sposób, by blokowały wejście. Po ich wielkości oceniłem, że mają przynajmniej dwadzieścia lat. Pomyślałem, że chyba nikt nie sadziłby dwudziestu w pełni wyrosniętych cyprysów i doszedłem do wniosku, że posesja była od dawna nie zamieszkana.

Podszedłem do bramy i pchnąłem ją. Była zamknięta na głucho. Dobrze jej się przyjrzałem: dwie, połączone na pióro i wpust płyty sekwojowego drewna, zawieszono na ceglanych słupkach. Od słupków w obie strony ciągnęło się ogrodzenie z ogniów łańcuchowych, nad nim wysokie spiralne ciernie. Nie dostrzegłem ani drutu kolczastego, ani pod napięciem. Szukałem oparcia dla stóp na mokrym kamieniu. Kilka razy się pośliznąłem, aż wreszcie zdołałem się wdrapać na bramę.

Wylądowałem w innym świecie. Przedemną rozciągały się akry nieużytków. Dawny trawnik zmienił się obecnie w mokradło zielska, zwiędłej trawy i popękanej skały. Teren zapadł się w wielu miejscach, tworząc sadzawki stojącej wody, która stanowiła oazy dla setek bzyzących komarów i moskitów. Niegdyś szlachetne drzewa zredukowały się obecnie do szczerbatych pniaków i powalonych, zgniłych kadłubów obrośniętych grzybem. Wszędzie na tym – obecnie rozmokłym – wysypisku śmieci leżały zardzewiałe części samochodowe, stare opony, porzucone kanistry i butelki. Krople deszczu dzwoniły o metal.

Poszedłem w górę ścieżką wybrukowaną cegłą o wzorze jodełkowym, porośniętą kępkami zielska i pokrytą mulistym mchem. W miejscach rozrostu korzeni cegły wystawały z gruntu niczym luźne zęby w złamanej szczęcie. Kopnąłem na bok utopioną polną mysz i piąłem się dalej, ku dawnej rezydencji klanu Hickle'ow.

Dom stanowił solidną trzypiętrową konstrukcję z ręcznie ciosanego kamienia, który pociemniał ze starości. Nie sądziłem, by budowla kiedykolwiek mogła się podobać, choć niewątpliwie była okazała: posępna rezydencja z łupkowym dachem, przystrojona różnego rodzaju ozdobami, okapami i daszkami oraz opasana kamiennymi werandami. Na frontowym ganku obok niemal trzymetrowych katedralnych drzwi stały pordzewiałe meble z kutego żelaza. Na najwyższym daszku zauważyłem wiatrowskaz w kształcie czarownicy siedzącej na miotle. Starucha wirowała na wietrze; tylko jej nie naruszył upływ czasu.

Wspiąłem się po schodach do frontowego wejścia. Zielsko rosło aż do samych drzwi, które były zamknięte na głucho. Okna zabito deskami i szczelnie zaryglowano. Mimo swego rozmiaru – a może właśnie z jego powodu – dom przypominał patetyczną, zapomnianą wdowę po dygnitarzu, opuszczoną tak dawno, że nie przywiązywała już wagi do swego wyglądu, i skazaną na los powolnej śmierci w milczeniu.

Przeszedłem prowizoryczną barierę gnijących desek, ułożonych w stos przed bramą wjazdową. Dom miał przynajmniej czterdzieści sześć metrów długości, więc trochę potrwało, zanim sprawdziłem wszystkie okna na parterze. Były zamknięte.

Na tyłach domu posiadłość okalały kolejne trzy akry bagien. Garaż na cztery samochody, zaprojektowany jako miniaturka domu, był zamknięty. Piętnastometrowy basen pokrywała kilkucentymetrowa warstwa mętnej wody, w której pływało mnóstwo gnijącego zielska. Resztki

altanki oplecionej winoroślą oraz otoczony kratką ogród różany wyglądały jak mieszanina łuszczącego się drewna i popękanego kamienia wspierającego puste ptasie gniazdo czy też raczej stertę martwych gałązek. Kamienne ławki i posążki chyliły się bądź zapadały na połamanych podstawach „Pompeje po erupcji Wezuwiusza.

Deszcz wzmógł się i zrobiło się chłodno. Włożyłem rękę do kieszeni całkowicie przemokniętego płaszcza i szukałem schronienia. Aby wejść do domu lub do garażu, potrzebowałbym narzędzi – młotka i łomu. Nie zamierzałem też stawać pod żadnym z wielkich drzew, nie miałem bowiem pewności, czy któreś z nich nagle się na mnie nie zawali. Stałem na dworze niczym włóczęga podczas bombardowania.

Dostrzegłem błysk i wyostrzyłem słuch, czekając na grzmot burzy. Niestety, tylko światło pojawiło się ponownie. Ciężka ulewa utrudniała mi widoczność, jednak gdy zauważyłem je po raz trzeci, zlokalizowałem i ruszyłem w jego kierunku. Po kilku krokach odkryłem, że światło pochodzi ze szklarni leżącej na końcu posiadłości, tuż za zniszczoną altanką. Szyby cieplarni były bardzo brudne, po niektórych ciekły brązowe strugi, ale żadna nie była zbita. Podchodziłem coraz bliżej, podążając za światełkiem, które błyskało, tańczyło, znikało, po czym znowu migotało.

Drzwi do cieplarni wyglądały na zamknięte, lecz gdy je pchnąłem, otworzyły się cicho. Powietrze wewnątrz było ciepłe i wilgotne od pary. Unosił się w nim cierpki zapach rozkładającej się roślinności. Wysokie do pasa drewniane stoły biegły wzdłuż obu ścian szklarni; między nimi wiodła alejka zarzucona wiórami, torfem, mierzwą i warstwą gleby. W rogu stały narzędzia ogrodnicze: widły, grabie, łopaty i motyki.

Na stołach stały terakotowe donice z bujnymi i wspaniale kwitnącymi roślinami – storczykami, bromeliami, błękitnymi hortensjami, różnobarwnymi begoniami, szkarłatnymi i białymi niecierpkami. Nad stołami wisiała drewniana belka z metalowymi hakami, z których zwisały ociekające purpurą fuksje, paprocie, petunie ogrodowe, pelargonie bluszczolistne, kolejne begonie w różnych kolorach. Ogród Eden w świetle pustki.

Pomieszczenie było przyćmione i głośnie od dźwięków deszczu uderzającego o szklany dach. Światelko, które mnie tu przyciągnęło, ponownie błysnęło, już jaskrawsze i bliższe. Wśród roślin wyłowilem na drugim końcu szklarni ludzki kształt w żółtym deszczowcu i kapturze. Osobnik oświetlał latarką rośliny. Tu podnosił jakiś liść, tam kwiat, badał glebę, czasem obrywał zeschniętą gałązkę lub odcinał dojrzały kwiat.

– Dzień dobry – odezwałem się.

Postać zwróciła w moją stronę latarkę i snop światła omiółł moją twarz. Spojrzałem z ukosa w blask i podniosłem rękę, żeby osłonić oczy.

Postać zbliżyła się.

– Kim pan jest? – zapytał kobiecy głos, wysoki i przerażony.

– Alex Delaware.

Promień światła obniżył się. Zacząłem robić krok w jej stronę.

– Proszę się nie ruszać!

Postawiłem stopę.

Kobieta odrzuciła kaptur, odkrywając twarz – okrągłą, bladą, płaską, bez dwóch zdań azjatycką i niezbyt ładną. Oczy wyglądały jak dwie szczeliny wycięte w pergaminowej skórze, a pozbawione uśmiechu usta-jak myślnik.

– Witam, pani Hickle.

– Skąd pan mnie zna?...i czego pan chce? – Poza strachem w jej głosie usłyszałem bezwzględność charakterystyczną dla uciekinierów, którym udało się przed czymś zbiec, lecz wiedzą, że czujność będzie im towarzyszyć do końca życia.

– Chciałem tylko złożyć pani wizytę.

– Nie przyjmuję gości. I nie znam pana.

– Naprawdę? Nazywam się Alex Delaware – powtórzyłem. – Nic pani nie mówi moje nazwisko?

Nie zamierzała kłamać, po prostu w ogóle mi nie odpowiedziała.

– Właśnie mój gabinet pani ukochany Stuart wybrał na scenerię swej ostatniej wielkiej roli. A może ktoś dokonał wyboru za niego?

– Nie wiem, o czym pan mówi. Nie życzę sobie pańskiego towarzystwa. – Jej angielski był ostry. Połykała końcówki i mówiła z lekkim akcentem.

– Dlaczego więc nie zadzwoni pani po kamerdynera i nie każe mnie wyrzucie?

Poruszyła ustami, a jej białe palce zacisnęły się na latarce.

– Nie wyjdzie pan?

– Na dworze jest mokro i zimno. Doceniłbym zaproszenie. Chciałbym wyschnąć.

– Potem pan odejdzie?

– Potem zostanę i przez chwilę porozmawiamy. O pani byłym mężu i niektórych jego szacownych kolegach.

– Stuart nie żyje. Nie ma o czym rozmawiać.

– Sądzę, że jest. Mam wiele pytań.

Odłożyła latarkę i założyła ramiona na piersi. W jej geście był bunt. Zniknął strach, wydawała się

jedynie poirytowana, że ją niepokoję. Jej zachowanie mnie zaintrygowało. Kim Hickle była samotną kobietą zaczepianą przez nieznanego mężczyznę w odludnym miejscu, ale najwyraźniej się mnie nie bała.

– Ostatnia szansa – rzuciła.

– Nie zamierzam zdradzić pani kryjówki. Proszę mi tylko pozwolić...

Kobieta dotknęła językiem podniebienia i mlasnęła.

Wielki cień zmaterializował się w żywą i oddychającą istotę.

Rozpoznałem zwierzę i zrobiło mi się słabo.

– Wabi się Otto. Nie lubi obcych.

To był największy pies, jakiego kiedykolwiek widziałem, dog rozmiaru zdrowego kuca, ubarwiony jak dalmatyńczyk – biały z szaroczarnymi plamami. Jedno ucho miał częściowo postrzępione. Jego paszcza była czarna i mokra od śliny, wargi zwisały ni to w półuśmiechu, ni to w pół warknięciu, bardzo typowym dla atakujących psów. Otto obnażył perłowo-białe kły i język rozmiaru tennolbru. Jego świńskie oczka wydały mi się zbyt małe w stosunku do ogromnej głowy. Odbijały się w nich pomarańczowe krople światła.

Pies przyglądał mi się badawczo.

Chyba się trochę poruszyłem, ponieważ postawił uszy. Dyszał. Podniósł wzrok na swoją panią, która coś do niego powiedziała. Liznął jej dłoń różowym językiem, lecz dyszał teraz szybciej.

– Cześć, wielkoludzie – powiedziałem do psa przez zaciśnięte usta. Szczęki psa otworzyły się szerzej. Ziewnął, wydając równocześnie krótki warkot.

Cofnąłem się. Otto wysunął głowę do przodu. Był muskularną bestią, od głowy aż po drżący zad.

– Nie jestem pewna, czy nadal chcę, żeby pan odszedł – mruknęła Kim Hickle.

Wycofałem się kilka kroków.

Pies zasapał, po czym głośniejszym warknął.

– Mówiłam chyba, że nie pozwalam panu odejść?!

– Zgadza się.

Zrobiłem dwa dodatkowe kroki w tył. Maleńkie kroki. Czuję się kretyńsko. Otto zbliżył się do mnie.

– Po prostu chciałam być sama – wyjaśniła. – Żeby nikt mi się nie narzucał. Mnie i pieskowi. –

Popatrzyła czule na potwora. – Ale pan poznał moją kryjówkę. I narzuca się pan. Jak mnie pan znalazł.

– Zostawiła pani swoje nazwisko w aktach biblioteki Jedson College.

Zmarszczyła brwi, zmartwiona własnym niedbalstwem.

– Więc mnie pan ścigał.

– Nie. Znalazłem tę fiszkę przypadkowo. Ścigam kogoś innego.

Znowu mlasnęła językiem i Otto podszedł o metr. Jego złowrogi uśmiezek się rozszerzył. Czułem zapach brudnego, podnieconego psa.

– Po panu na pewno przyjdą inni. Będą mi zadawać pytania. Będą mnie obwiniać, twierdzić, że jestem zła. A to nieprawda. Jestem dobrą kobietą, dobrą dla dzieci. Byłam dobrą żoną chorego człowieka, ale sama nie jestem chora.

– Wiem – uspokoiłem ją. – To nie była pani wina.

Kolejne młasnięcie. Pies zbliżył się. Kim Hickle panowała nad nim niczym nad zdalnie sterowaną zabawką. „Idź, Otto. Stój, Otto. Zabij, Otto...”

– Nie. Nie moja.

Zrobiłem krok w tył. Otto podążył za mną powoli, jeżąc się na karku i drapiąc pazurami o ziemię.

– Pójdę zatem – oświadczyłem. – Nie musimy przecież rozmawiać. Sprawa nie jest wcale ważna. A pani zasługuje na odrobinę prywatności. – Grając na zwłokę, rozglądałem się wokół. Moje oczy spoczęły na stojących w rogu narzędziach. W myślach obliczyłem odległość od wideł i wyobraziłem sobie ruch, do którego może mnie zmusić pies.

– Dałam panu szansę. Nie wykorzystał pan jej. Teraz jest już za późno.

Mlasnęła dwukrotnie i Otto skoczył na mnie z przeraźliwym warkotem. W ułamku sekundy zobaczyłem równocześnie przednie łapy podnoszące się w powietrzu, wilgotne wargi, zgrzytające zęby i pomarańczowe oczy skoncentrowane na celu. Natychmiast wykonałem unik w prawo, padłem na kolana i sięgnąłem po widły. Moje palce zacisnęły się wokół drewnianego trzonka, porwałem narzędzie i szarpnąłem je w górę.

Pies runął na mnie całym swym potężnym, umięśnionym cielskiem, naciskając na pierś i pozbawiając oddechu. Drapał pazurami i wściekle kłapał paszczą. Najpierw rozdarł prochowiec, potem marynarkę, wreszcie dobrał mi się do skóry. Ramię od łokcia do barku przeszył przyprawiający o mdłości ból. Trzonek wideł wysliznął mi się z dłoni. Zasłoniłem twarz ręką. Otto taranował mnie mokrym nosem, starając się zacisnąć wielkie szczęki na mojej szyi. Wyrwałem mu się, sięgnąłem na ślepo po widły, złapałem je, upuściłem, znowu odnalazłem. Uderzyłem psa pięścią

w czaszkę. Na próżno. Odniosłem wrażenie, że walę w stalowy pancerz. Otto stanął dęba na tylnych łapach, zaryczał z wściekłości i ruszył na mnie. Odwróciłem widły zębami do góry. Pies ponownie rzucił się na mnie całym ciężarem. Nogi ugięły mi się w kolanach, plecami uderzyłem w błoto. Uszło ze mnie powietrze. Przełykając wirującą psią sierść, starałem się zachować przytomność i stale utrzymywać widły między sobą i psem.

Nagle potwór zaskowyczał piskliwie. Równocześnie poczułem, że widły uderzają w kość, przesuwały się po niej i zsuwają niżej. Z nienawiścią przekręciłem trzonek. Zęby weszły w ciało niczym ciepły nóż w masło.

Trwaliśmy w szaleńczym uścisku. Język psa był w moim uchu, jego pysk – ośliniony i otwarty w niemożliwym do zniesienia bólu – zaledwie centymetry od mojej twarzy. Pchnąłem widły ze wszystkich sił. Pchałem i przekręcałem trzonek, niewyraźnie świadom kobiecego krzyku. Otto skamlał jak szczeniak. Zęby wideł weszły jeszcze centymetr i natrafiły na opór. Oczy psa otworzyły się szeroko jakby ze zdziwienia i urażonej dumy, zamrugały nerwowo, potem się zamknęły. Leżące na mnie ogromne cielsko zadrżało konwulsyjnie. Strumień krwi wytrysnął z pyska zwierzęcia, ochlapując mi nos, usta i podbródek. Zakrztusiłem się ciepłą, słoną juchą. Życie opuszczało ciało psa. Starałem się uwolnić od jego ciężaru.

Cała walka trwała mniej niż pół minuty.

Kim Hickle popatrzyła na martwego psa, potem na mnie i rzuciła się do drzwi. Wstałem, wyciągnąłem widły z klatki piersiowej psa i zablokowałem kobiecie drogę ucieczki.

– Proszę wrócić – wykrztusiłem. Poruszyłem widłami i kropelki posoki wzleciały w powietrze. Kobieta zastygła.

W szklarni panowała cisza. Deszcz ustał. Nagle milczenie przełamały nieprzyjemne odgłosy, gdyż konający pies pierdnął potężnie, po czym oddał kał.

Kim Hickle zaczęła krzyczeć na widok odchodów spadających na mierzwę cieplarni, potem osunęła się i usiadła z beznadziejną miną uciekinierki.

Wbiłem widły w ziemię i użyłem ich jako podpórki. Przez pełną minutę łapałem oddech, kolejne dwie lub trzy poświęciłem na ocenę odniesionych ran i dokonanych przez psa szkód w mojej garderobie.

Płaszcz przeciwdeszczowy był zniszczony, podarty i przesiąknięty krwią. Z pewnym wysiłkiem zdjąłem go i upuściłem na ziemię. Jeden rękaw skórzanej marynarki był postrzępiony. Wysunąłem się z niej i podwinąłem rękaw golfu. Zbadałem biceps. Warstwy ubrania nieco go osłoniły, dostrzegłem jednak trzy spore rany szarpane. Otoczone labiryntem otarć, zaczęły już puchnąć. Ramię było sztywne i bardzo bolało. Poruszyłem nim. Chyba niczego sobie nie złamałem. Obmacałem zebra i pozostałe kończyny, całe ciało miałem straszliwie obolałe. Przeciągnąłem się ostrożnie, zgodnie z zasadami, których nauczyłem się od Jaroslava. Poczułem się nieco lepiej.

– Czy Otto był szczepiony? – spytałem.

Nie odpowiedziała. Powtórzyłem pytanie, mocniej chwytając widły.

– Tak. Mam zaświadczenie.

– Chcę je zobaczyć.

– Naprawdę mam. Może mi pan wierzyć.

– Cóż, to z pani polecenia ten potwór próbował przegryźć mi gardło. Z tego też względu nie uważam pani za osobę zbyt wiarygodną.

Popatrzyła na martwe zwierzę i zaczęła się kiwać, jak gdyby medytowała. Wyglądała na osobę przyzwyczajoną do czekania. Nie miałem siły toczyć kolejnych bitew.

– Ma pani dwa wyjścia, pani Hickle. Jedno – współpracować, a wtedy zostawię panią samą na tym odludziu. Drugie – może mi pani utrudniać, a ja dopilnuję, żeby pani historia trafiła na towarzyskie strony Los Angeles Times”. Niech pani sobie wyobrazi: wdowa po pedofilu znajduje schronienie w opuszczonym domostwie rodzinnym. Poetycka opowieść, prawda? Dziesięć do jednego, że media ją rozdmuchają.

– Czego pan ode mnie chce?

– Odpowiedzi na kilka pytań. Nie mam powodu... ani ochoty... pani krzywdzić.

– Naprawdę w pańskim biurze Stuart... umarł?

– Tak. Kogo jeszcze się pani tu spodziewała?

– Nikogo – odparła zbyt szybko.

– Towle’a? Haydena? McCaffreya?

Na wzmiankę każdego z tych nazwisk na jej twarzy pojawiał się coraz większy ból, jak gdyby ktoś łamał kobiecie kolejne kości.

– Nie jestem po ich stronie – dodałem. – Ale chcę się o nich jak najwięcej dowiedzieć.

Podniosła się i wzięła mój zakrwawiony prochowiec. Ostrożnie przykryła nim nieruchome ciało psa.

– Porozmawiam z panem.

Rozdział 25

Poprowadziła mnie do garażu na cztery samochody. Wejście do niego jakoś umknęło mojej uwadze: okno zakryte drucianą siatką znajdowało się na parterze, ukryte za nie przyciętymi siwymi świerkami. Kim Hickle uklękła, przez chwilę manipulowała przy okienku i nagle siatka opadła. Kobieta pchnęła okienko i wsunęła się do środka. Podążyłem za nią. Byłem dużo większy, więc wejście sprawiło mi trochę problemów. Kiedy się przeciskałem, uderzyłem o szybę zranionym ramieniem i musiałem na moment wstrzymać oddech, by nie krzyknąć.

Po skoku znalazłem się w wąskim pokoiku, który pierwotnie służył jako parterowa piwniczka. Pomieszczenie było wilgotne i ciemne, jego ściany wyłożono płytkami drewnianymi półkami, podłogę stanowił pomalowany na czerwono lany beton. Nad oknem wisiała zwinięta żaluzja z drewnianych listewek. Kim Hickle odpięła haczyk i żaluzja opadła. Na chwilę zapanowała ciemność. Obawiałem się jakiegoś podstępu z jej strony; poczułem jednak tylko przyjemny, gryzący zapach nafty i błysnęła lampa. Kim rozsunęła listewki żaluzji i do piwnicy wpadło nieco przyćmionego światła.

Gdy moje oczy przyzwyczyły się do półmroku, dostrzegłem szczegóły pomieszczenia. Na podłodze liche wyrko i śpiwór. Błat chybottliwego drewnianego stołu – przemalowanego tak wiele razy, że wyglądał jak miękka rzeźba – dzieliły lampa naftowa, płytka grzejna, kanister z benzyną i paczka plastikowych przyborów kuchennych. W jednym rogu pomieszczenia znajdował się prosty zlew, a ponad nim półka z pustym słoikiem po dżemie, szczoteczką do zębów, proszkiem do zębów, maszynką do golenia i kostką szarego mydła. Większą część podłogi zastawiono drewnianymi skrzynkami z mlekiem w gatunku, którego nie widziałem od dzieciństwa. Po bokach skrzynek znajdowały się wąskie otwory na dłonie, znaki firmowe „Mleczarnia farmera Dela. Tacoma, stan Waszyngton” oraz slogan reklamowy: „Nasze masło jest lepsze, wypróbuj je”, pod którym widniał rysunek znudzonej jałówki i numer telefonu wraz z kierunkowym. Sterty skrzynek były wysokie na metr. Wypełniały je paczki liofilizowanego jedzenia, a także jedzenie w puszkach, papierowe ręczniki i starannie poskładane ubrania. Przy ścianie stały w rzędzie trzy pary butów; wszystkie były mocne i na gumowych podszewkach. W belkę z surowego drewna wbite metalowe haki. Kim powiesiła na jednym z nich swój deszczowiec i usiadła na nie polakierowanym sosnowym krześle o prostym oparciu. Sam usadowiłem się na przewróconej skrzynce po mleku.

Popatrzyliśmy na siebie.

Im bardziej się uspokajałem, tym mocniej bolało mnie ramię. Nagle skrzywiłem się i moja towarzyszka to dostrzegła.

Wstała, namoczyła w ciepłej wodzie papierowy ręcznik, podeszła i przemyła mi ranę. Pomyszkowała w jednym z pudeł i znalazła jałowy gazik, plaster i wodę utlenioną. Wcielając się w rolę Florence Nightingale, zabandażowała mi ramię. Nie umknął mi absurd tej sytuacji – kobieta, która kilka minut temu próbowała mnie zabić, teraz przemawiała do mnie łagodnie, po matczynemu i wygładzała plaster. Pozostałem nieufny, oczekując, że w Kim w pewnym momencie na nowo wstąpi mordercza wściekłość, a wtedy moja opiekunka wbije mi palce w rozpalone ciało i skorzysta

z oślepiającego bólu, który mnie ogarnie, by dźgnąć mnie w oko.

Kiedy skończyła, po prostu wróciła na swoje miejsce.

– Zaświadczenie – przypomniałem jej.

Trochę poszperała i odszukała odpowiednie dokumenty. Wiedziała dokładnie, gdzie co jest. Wręczyła mi plik papierów obwiązanych grubą gumową taśmą. Rachunki od weterynarza, zaświadczenie o szczepieniu przeciwko wściekliznie, rodowód ze Związku Kynologicznego – pełne imię psa brzmiało Otto Klaus von Schulderhcis po Stultgarcie-Munsch i suce o imionach Sigourn-Żonkil. Ciekawe. Znalazłem również dyplomy dwóch kursów na posłuszeństwo w Los Angeles oraz certyfikat zaświadczaający, że Otto tresowano na psa obronnego tylko dla celów obrony. Zwróciłem kobiecie dokumenty.

– Dziękuję – powiedziała.

Usiedliśmy naprzeciwko siebie. Było miło, jak na spotkaniu absolwentów. Dobrze jej się przyjrzałem. Staralem się wzbudzić w sobie niechęć do niej, ale nie potrafiłem. Miałem przed sobą smutną przedstawicielkę Dalekiego Wschodu, po czterdziestce, z włosami przyciętymi w krótką fryzurkę chińskiej lalki, osobkę bladą, kruchą, skromną, w obdartych, workowatych ciuchach roboczych. Siedziała przede mną z rękami na kolanach. Łagodna. Moja nienawiść rozwiąła się.

– Jak długo tu pani mieszka?

– Od sześciu miesięcy. Od śmierci Stuarta.

– Dlaczego pani tak żyje? Dlaczego nie otworzy pani domu?

– Wolalam się ukryć. Potrzebuję jedynie samotności.

A jednak nie przypominała mi Grety Garbo.

– Przed czym chciała się pani ukryć?

Popatrzyła na podłogę.

– Niech pani da spokój. Nie skrzywdzę pani.

– Przed innymi. Przed innymi chorymi mężczyznami.

– Nazwiska.

– Ci, których pan wymienił i inni. – Wyrzuciła z siebie pół tuzina nazwisk, których nie znałem.

– Sprecyzujmy. Przez „chorych” rozumie pani pedofilów molestujących dzieci? Wszyscy ci mężczyźni tak się zabawiają?

– Tak. Zresztą nie wiem. Stuart opowiedział mi o nich później, kiedy był w więzieniu. Ci ludzie pracowali ochotniczo w domu dziecka... zabierali dzieci do domów. Robili z nimi straszne rzeczy.

– I w pani przedszkolu również.

– Nie! Tylko Stuart. Inni nigdy do nas nie przychodzili. Robili to tylko w domu dziecka.

– „La Casa de los Ninos”. Pani mąż był członkiem Brygady Dżentelmenów?

– Tak. Mówił, że chce pomóc tym dzieciom. Wyjaśnił, że zwerbowali go przyjaciele. Sędzia, doktor i inni. Sądziłam wtedy, że bardzo dobrze postępuje... Sami nie mieliśmy dzieci... Właściwie byłam z niego dumna. Nigdy nie wiedziałam, co tam naprawdę robił... Dokładnie tak samo jak w żłobku... Też nie wiedziałam.

Nie odezwałam się.

– Wiem, co pan myśli... Wiem, co wszyscy o mnie myśleli. Że przez cały czas o wszystkim wiedziałam. Jak mogłam nie wiedzieć, co mój mąż robi pod naszym wspólnym dachem? Pan mnie obwinia, tak samo jak Stuarta. Niech mi pan wierzy, że o niczym nie wiedziałam!

Zwiesiła smutno ramiona, jej dłonie przypominały szpony. Zauważyłem, że paznokcie miała obgryzione do żywego ciała. W jej oczach widniała desperacja i dzikość.

– Nie wiedziałam – powtórzyła monotonna. – Nie wiedziałam. Był moim mężem, a ja nic nie wiedziałam!

Wyraźnie potrzebowała rozgrzeszenia, nie zamierzałem jednak pełnić roli spowiednika. Nadal zaciskałem usta i obserwowałem ją z wymuszoną obojętnością.

– Musi pan zrozumieć, jak wyglądało nasze małżeństwo, a wtedy pojmie pan, że Stuart mógł robić takie rzeczy bez mojej wiedzy.

Moje milczenie mówiło: „Przekonaj mnie”.

Kim pochyliła głowę i zaczęła swoją opowieść.

– Spotkaliśmy się w Seulu krótko po wojnie. Mój ojciec był profesorem językoznawstwa. Do pewnego momentu świetnie sobie radziliśmy, niestety, mieliśmy powiązania z komunistami, toteż po wojnie niemal całą rodzinę wymordowano. Gdy w wyborach zwyciężyła Partia Liberalna, zaczęły się prześladowania intelektualistów i innych osób, które nie chciały się ślepo poddać nowemu reżimowi. Nasz dobytek skonfiskowano lub zniszczono. Ukrywałam się, ponieważ przewidujący rodzice zostawili mnie u przyjaciół zaledwie na dzień przed masakrą. W nocy oprychy ze służby bezpieczeństwa włamały się do mojego domu i poderżnęły wszystkim gardła – rodzinie, służbie, nawet zwierzętom. Później pogorszyła się sytuacja ekonomiczna i jeszcze bardziej wzmożyły represje. Członkowie rodziny, u której mieszkałam, przerazili się i wyrzucili mnie na ulicę. Miałam piętnaście lat, ale byłam bardzo mała i bardzo chuda, więc wyglądałam na dwanaście. Żebrałam, jadłam odpadki. No i... sprzedawałam swoje ciało. Musiałam. Chciałam przeżyć.

Przerwała, zapatrzyła się gdzieś w bok, obok mnie, potem zebrała siły i kontynuowała:

– Kiedy Stuart mnie znalazł, miałam gorączkę, cierpiałam z powodu choroby wenerycznej, byłam zawszona i pokryta owrzodzeniami. Spotkaliśmy się w nocy. Kuliłam się pod gazetami w alejce na tyłach kafeterii, do której amerykańscy żołnierze przychodzili coś zjeść, wypić i poszukać sobie dziewczyny. Wiedziałam, że warto czekać w takich miejscach, ponieważ Amerykanie wyrzucali tyle jedzenia, że można by wykarmić całe rodziny. Byłam bardzo chora, ledwie się mogłam ruszać, czekałam jednak godzinami i pilnowałam się, żeby nie zasnąć, ponieważ wtedy koty zrobiłyby sobie ze mnie kolację. Kafeterię zamknięto krótko po północy. Żołnierze wyszli, głośni i pijani. Zataczali się po alei. Potem pojawił się Stuart. Był sam i trzeźwy. Później się dowiedziałam, że nigdy nie pijał alkoholu. Próbowalam się zachowywać cicho, ale w pewnej chwili krzyknęłam z bólu. Usłyszał mnie i podszedł. Taki duży, prawdziwy gigant w mundurze. Schylił się nade mną i powiedział: „Nie martw się, dziewczynko”. Wziął mnie na ręce i zabrał do siebie. Miał mnóstwo pieniędzy, wystarczająco, by wynajmować mieszkanie poza bazą. Żołnierze na przepustkach bawili się i płodzili niechciane dzieci koreańskim dziewczętom, a Stuart był zupełnie inny. W swoim mieszkanku pisywał poezje i wywoływał zrobione przez siebie zdjęcia. Mieszkał sam.

Odniosłem wrażenie, że Kim Hickle zaczyna tracić poczucie czasu i miejsca, zapatrzyła się bowiem nieobecny wzrokiem w ścianę z ciemnego drewna.

– Zabrał więc panią do siebie – podsunąłem.

– Pielęgnował mnie przez pięć tygodni. Sprowadził lekarzy, kupił leki. Karcił mnie, kąpał, siadał przy moim boku i czytał mi komiksy... Uwielbiałam amerykańskie komiksy, ojciec zawsze mi je przywoził ze swoich podróży. Mała sierotka Ania, Terry i piraci, Dagwood, Blondynka. Czytał mi je łagodnym, cichym głosem. Różnił się od wszystkich mężczyzn, jakich w życiu poznałam. Szczupły, spokojny, przypominał nauczyciela w tych okularach, które tak bardzo powiększały jego oczy... Wyglądały jak oczy wielkiego ptaka...

– Po sześciu tygodniach byłam już zdrowa – ciągnęła. – Pewnego dnia położył się ze mną w łóżku i kochaliśmy się. Wiem teraz, że już wtedy był chory. Uważał mnie za dziecko i dlatego go podniecałam. Chociaż czułam się kobietą... Po latach, kiedy dojrzałam... kiedy stałam się dorosłą kobietą i nie wyglądałam już jak dziecko, przestał się mną interesować. Lubił mnie ubierać w rzeczy małej dziewczynki, a ponieważ jestem drobna, pasowały na mnie. Kiedy jednak dorosłam i zobaczyłam trochę świata, zbuntowałam się. Powiedziałam mu, żeby przestał mnie tak traktować i wtedy odsunął się ode mnie. Może właśnie wówczas zaczął urzeczywistniać swoje chore fantazje. Może – dodała tonem osoby zranionej – całe to zło zdarzyło się z mojej winy. Ponieważ go nie satysfakcjonowałam.

– Nie, nie. Proszę sobie nie robić wyrzutów. To był chory człowiek. Pani za nic nie ponosi odpowiedzialności – zapewniłem ją, niezupełnie szczerze. Nie chciałem, by nasza rozmowa zmieniała się w łzawą sesję przepelnioną samo oskarżeniami.

– Nie wiem. Nawet teraz cała sprawa nie jest dla mnie zupełnie rzeczywista. Gazety, opowieści o nim... O nas. Stuart wydawał mi się takim dobrym człowiekiem, takim subtelnym i cichym.

Słyszałem podobne opinie o pedofilach molestujących dzieci. Często sprawiali wrażenie ludzi o wyjątkowo łagodnym charakterze. W naturalny sposób umieli nawiązywać porozumienie i wzbudzać zaufanie swoich młodych ofiar. To było zupełnie logiczne: przecież dziecko nie wejdzie do mieszkania za nie ogolonym ludojadem w brudnym płaszczu. Przyciągnie ich jednak dobry wujek Wally, który jest o wiele miłszy od podłego taty, wrednej mamy i wszystkich innych dorosłych, którzy niczego nie rozumieją. Dzieciak da się łatwo złapać na haczyk wujkowi, który zna magiczne sztuczki, posiada w domu fajną kolekcję kart z baseballistami i wspaniałe zabawki: motorower, magnetowid, kamerę, a także piękne, tajemnicze książki...

– Musi pan zrozumieć, że bardzo go kochałam – podjęła Kim. – Uratował mi przecież życie. Był Amerykaninem. Bogatym. Twierdził, że też mnie kocha. „Moja mała gejsza” – tak mnie nazywał. A ja się śmiałam i mówiłam: „Nie, nie, jestem Koreanką, głuptasie. Japończycy to świnię!” Uśmiechał się i znowu mnie nazywał małą gejszą. Jako kochankowie mieszkaliśmy w Seulu przez cztery miesiące. Czekałam na niego, gdy wracał z bazy, gotowałam mu, sprzątałam mieszkanie, przynosiłam kapcie. Czułam się jego żoną. Kiedy został zwolniony do cywila, powiedział, że zabiera mnie ze sobą do Stanów. Czułam się jak w siódmym niebie. Oczywiście jego rodzina – miał tylko matkę i starsze ciotki – nie chciała mieć ze mną nic wspólnego. Zresztą, Stuart o nie, nie dbał. Miał własne pieniądze z funduszu powierniczego po ojcu. Przyjechaliśmy do Los Angeles. Mówił, że studiował tu medycynę, lecz go wyrzucono. Dostał pracę jako technik medyczny. Nie musiał pracować, bo był majętny, a ta praca nie była zbyt dobrze płatna, ale lubił ją. Powtarzał, że chce coś robić, czymś zająć czas. Lubił urządzenia, przyrządy pomiarowe, próbówki... Zawsze miał smykałkę do prac manualnych. Oddawał mi całą wypłatę, jakby to były grosze, i pozwalał wydawać na siebie. Przez trzy lata żyliśmy jak mąż z żoną. Chciałam ślubu, nie potrafiłam jednak poprosić. Minęło trochę czasu, zanim się przyzwyczaiłam do amerykańskiego stylu życia, zanim odkryłam, że kobieta może nie być czyjąś własnością, że ma prawa. Kiedy zapragnęłam urodzić dziecko, zaczęłam naciskać na ślub. Stuart zareagował obojętnie. Nie protestował. Pobraliśmy się. Później próbowałam zajść w ciążę, niestety, nie udało się. Chodziłam do lekarzy, bywałam u naszych specjalistów, a także w Stanford, w Mayo... Wszyscy powtarzali zgodnie, że mam zrosty. Byłam tak bardzo chora w Korei, że ta diagnoza nie powinna mnie zaskakiwać, ale nie chciałam w nią uwierzyć. Patrząc z dzisiejszej perspektywy, jestem zadowolona, że nie mieliśmy dzieci... Wtedy... gdy w końcu zaakceptowałam fakt własnej bezpłodności, popadłam w depresję. Zamknęłam się w sobie, przestałam jeść. W końcu Stuart nie mógł już dłużej ignorować mojego zachowania. Zasugerował, żebym zaczęła się uczyć... żebym poszła do szkoły. Jeśli kocham dzieci, mogę pracować z nimi, mogę zostać nauczycielką. Może pomyślał wtedy o sobie, nie wiem... Sądziłam, że się o mnie troszczy... Przecież ilekroć byłam chora albo przygnębiona, pomagał mi, jak mógł...

– Zapisaliśmy się do gimnazjum – mówiła dalej. – Potem ukończyłam college. Wiele się nauczyłam. Byłam dobrą studentką – przypomniawszy sobie z uśmiechem. – Miałam silną motywację. Po raz pierwszy... odkąd zostałam małą gejszą Stuarda... znalazłam się w świecie, poznałam innych ludzi. Zaczęłam myśleć o sobie, o własnych potrzebach. Wtedy mój mąż zaczął się ode mnie odsuwać. Nie było w nim gniewu ani urazy, w każdym razie nie wyrażał swej złości słowami. Po prostu spędzał więcej czasu z aparatem fotograficznym, z książkami o ptakach, magazynami przyrodniczymi... chociaż nigdy nie wyjeżdżał na dalsze wycieczki, nawet nie spacerował. Taki fotelowy ornitolog. Amator. Staliśmy się teraz dwojgiem dalekich krewnych mieszkających w jednym domu. Nie przeszkadzało nam to oddalenie, gdyż byliśmy zajęci własnymi sprawami. Każdą wolną chwilę

spędzałam wtedy na nauce, chciałam uzyskać bakalaureat i studiować nauczanie początkowe na pedagogice. Nasze drogi się rozeszły. Nie widywaliśmy się całymi tygodniami. Ale nie rozwiedliśmy się... Bo po co? Nie walczyliśmy z sobą, przestrzegaliśmy zasady: „Żyj i pozwól żyć innym”. Moi nowi przyjaciele z college’u nazywali mnie kobietą wyzwoloną i mawiali, że powinnam być szczęśliwa, mając męża, który mnie nie dręczy i nie zanudza. Kiedy odczuwałam samotność, zatapiałam się głębiej w nauce. Ukończyłam college i otrzymałam przydział na staż w lokalnym przedszkolu. Lubiłam pracować z małymi dziećmi, przyszło mi jednak do głowy, że potrafię założyć lepszy ośrodek niż te, które widziałam. Powiedziałam o tym Stuartowi, który natychmiast przyznał mi rację. Sądziłam wtedy, że chce mojego szczęścia. No i żebym trzymała się z dala od niego... Kupiliśmy duży dom w Brenlwood... pieniędzy nigdy nam nie brakowało... Otworzyłam „Zakątek Kim”. To było cudowne miejsce i najlepszy okres w moim życiu. Skupiłam się na pracy i w końcu przestałam się skarżyć, że nie mam własnych dzieci. A potem się okaza...

Przerwała i zakryła twarz dłońmi. Przez chwilę kiwała się w przód i w tył.

Wstałam i położyłam jej rękę na ramieniu.

– Proszę mnie nie pocieszać. To nie jest w porządku. Nasłałam przecież na pana psa. Mógł pana zabić. – Podniosła twarz, suchą i bez wyrazu. – Czy pan to rozumie? Chciałam, żeby Otto pana zabił. A teraz pan jest dla mnie taki dobry i taki wyrozumiały. Pana zachowanie zwiększa moje poczucie winy.

Cofnąłem dłoń i usiadłem wyprostowany.

– Dlaczego kupiła pani psa? Skąd ten strach?

– Sądziłam, że przysłali pana ci sami ludzie, którzy zabili Stuarta.

– Oficjalny werdykt brzmiał: „samobójstwo”.

Potrząsnęła głową.

– Nie, on nie zabił się sam. Mówiono, że popadł w depresję. To kłamstwo. Rzeczywiście po aresztowaniu był bardzo przygnębiony. Czuł się poniżony i winny. Ale szybko się otrząsnął ze smutku. Taki właśnie był Stuart. Potrafił zapominać o rzeczywistości równie szybko, jak wyłącza się telewizor. Pstryk i obraz znika. Rozmawialiśmy telefonicznie na dzień przed postawieniem Stuarta w stan oskarżenia. Był w świetnym nastroju. Z jego tonu wywnioskowałam, że uważa aresztowanie za najlepszą rzecz, jaka mu się przydarzyła... jaka się nam przydarzyła. Mówił, że chorował, ale teraz czuje się coraz lepiej. Że natychmiast po jego wyjściu ze szpitala zaczniemy wszystko od początku. Może nawet otworzę kolejny ośrodek opieki dziennej w innym mieście. zaproponował Seattle i rozmawialiśmy o tym, że moglibyśmy odzyskać rodzinną posiadłość... Dlatego później przyszło mi do głowy, by przyjechać tutaj. Wiedziałam, że nam się nie uda, i postanowiłam opuścić mojego męża, jednak w tamtej rozmowie popierałam jego fantazje, mówiąc: „Tak, mój drogi. Oczywiście. Stuarcie”. Później odbyliśmy jeszcze kilka podobnych rozmów. Mój mąż miał stale nadzieję i nie zachowywał się jak człowiek, który zamierza sobie strzelić w głowę.

– Sprawa nie jest taka prosta. Ludzie często się zabijają pod wpływem impulsu, mimo iż jeszcze przed chwilą byli we wspaniałym nastroju. Wie pani, sezonem samobójców jest wiosna.

– Może i tak. Znam jednak Stuarta i wiem, że nie zabił się sam. Był człowiekiem płytkim i powierzchownym. Na pewno nie przejmował się zbyt długo aresztowaniem. Potrafił, hmm... zaprzeczać rzeczywistości. W pewnym sensie zaprzeczał mojemu istnieniu przez te wszystkie lata, nie myślał o naszym małżeństwie. Dlatego tak mało wiedziałam o jego... czynach. Byliśmy dwojgiem obcych sobie ludzi.

– Tym niemniej znała go pani na tyle dobrze, by mieć pewność, że nie popełnił samobójstwa.

– Tak. – Wyraźnie obstawała przy swojej teorii. – Ten fałszywy telefon do pana, podszywanie się pod dziennikarza, włamanie... Nie, nie, Stuart nie zadałby sobie takiego trudu. To nie w jego stylu. Mimo swej choroby był człowiekiem bardzo naiwnym, prawie prostym. Nie potrafił niczego planować.

– Trzeba umieć planować, jeśli chce się skłonić dzieci, by zeszły do piwnicy.

– Nie musi mi pan wierzyć! Nie dbam o to. Stuart zrobił wiele zła, teraz nie żyje, a ja sama siedzę w piwnicy.

Uśmiechnęła się żałośnie.

Z lampy dobiegł nas odgłos prysnięcia. Kim wstała, by poprawić knot i dolać nafty. Kiedy wróciła i usiadła, spytałam:

– Kto go zabił i dlaczego?

– Inni. Jego tak zwani przyjaciele. Bali się, że ich zdradzi. I chyba miał taki zamiar. Podczas naszych ostatnich spotkań napomykał o nich. Mówił mi różne rzeczy... Nie jestem jedynym chorym. Kimmy”, albo Dzentelmeni nie są tacy, jak wszyscy sądzą”. Wiedziałam, że gdybym go wypytała, zwierzyłby mi się. Pragnął się wypowiedzieć. Ale ja nie miałam ochoty o tym rozmawiać. Byłam ciągle jeszcze w szoku po utracie „Zakątka”, a równocześnie odczuwałam straszliwy wstyd. Nie chciałam więcej słuchać o zboczeniach. Nie zachęcałam go więc, wręcz zmieniałam temat. Po jego śmierci przypominałam sobie jednak te słowa i poskładałam wszystkie fakty w całość.

– Wymienił czyjeś nazwisko wprost? Któregoś... chorego?

– Nie. Ale cóż innego mógł z nimi robić? Przyjeżdżali po niego. Cicho parkowali na podjeździe wielkie luksusowe samochody. Czasem wysiadali, ubrani w sportowe marynarki z insygniami „La Casa”. Kiedy Stuart z nimi wychodził, był bardzo podekscytowany. Trzęsły mu się ręce. Wracał we wczesnych godzinach porannych, całkiem wyczerpany. Albo dopiero następnego dnia. Czy to nie jest oczywiste, co robili?

– Mówiła pani komuś o swoich podejrzeniach?

– A kto by mi uwierzył? Ci ludzie są naprawdę potężni – to lekarze, prawnicy, dyrektorzy, ten

wstrętny sędzia Hayden... Nie miałam najmniejszej szansy, zwłaszcza jako żona zdemaskowanego pedofila. Według opinii publicznej ponoszę taką samą winę jak mój mąż. No i nie mam dowodów... Sam pan widział, co mu zrobili, chcąc go uciszyć. Musiałam uciekać.

– Czy Stuart kiedykolwiek wspomniał, że zna McCaffreya z Waszyngtonu?

– Nie. A znał?

– Tak. Był taki chłopiec nazwiskiem Cary Nemeth. Czy pani mąż wymienił kiedyś jego nazwisko?

– Nie.

– Elena Gutierrez? Morton Handler... Doktor Morton Handler?

– Nie.

– Maurice Bruno?

Potrząsnęła głową.

– Nie. Kim są ci ludzie?

– Ofiarami.

– Prześladowanymi jak moje dzieci?

– Gorzej. Są martwi. Zostali zamordowani.

– Och, mój Boże. – Ponownie zakryła twarz dłońmi.

Gdy opowiadała historię swojego życia, spociła się. Pasemka czarnych włosów przykleiły jej się do czoła.

– A zatem sprawa wcale się nie skończyła – podsumowała z wielkim smutkiem.

– Tak, dlatego tu jestem. Chcę ukrócić ten proceder. Co jeszcze może mi pani powiedzieć, by pomóc?

– Nie. Powiedziałam panu wszystko. Ci mężczyźni zabili Stuarta. Są źli. Pod maską szanowanych i odpowiedzialnych obywateli ukrywają potworne sekrety. Uciekam przed nimi.

Rozejrzałem się po obskurnym pomieszczeniu.

– Jak długo może pani tu mieszkać?

– Do końca życia, jeśli nikt mnie nie wyda. Wyspa jest odosobniona, a posiadłość dobrze ukryta. Kiedy muszę popłynąć na stały ląd do sklepu, ubieram się jak służąca. Nikt mnie nie zauważa. Kupuję

tylę, ile zdołał unieść, by jak najrzadziej opuszczać kryjówkę. Ostatnio wyprawiał się do miasteczka ponad miesiąc temu. Żyję zwyczajnie i prosto. Kwiaty są moją jedyną ekstrawagancją. Zasiała je z kupionych nasion i bulw. Uprawa zajmuje mi sporo czasu. Podlewa, nawożę, przycinam, przesadzam. Dni mijają mi szybko.

– Ale czy jest pani tu naprawdę bezpieczna? Przecież Towle i Hayden właśnie stąd się wywodzą.

– Wiem. Jednak ich rodziny nie mieszkają tu od dwudziestu lat. Sprawdziłam. Nawet mijam ich stare domy. Nowe twarze, nowe nazwiska. Nie przyjdzie im do głowy, by szukać mnie tutaj. Chyba że pan da im taki powód.

– Zapewniam panią, że jej nie zdradzę.

– Podczas mojej następnej wyprawy kupię broń. Będę przygotowana, jeśli po mnie przyjdą. Ucieknę i pojadę gdzie indziej. Jestem do tego przyzwyczajona. Seul wraca w moich snach i dzięki niemu jestem czujna. Przykro mi, że doszło do innych morderstw, lecz nie chcę o nich słuchać. Cóż mogę na nie poradzić?

Wstałem. Kim pomogła mi założyć marynarkę na zranione ramię.

– Wie pan, co jest najzabawniejsze? – spytała z goryczą. – Ta posiadłość prawdopodobnie należy teraz do mnie. Podobnie jak majątek w Brentwood i reszta nieruchomości Hickle'a. Jestem jego jedyną spadkobierczynią. Wiem, że spisał testament przed wieloma laty. Nigdy nie omawiał ze mną spraw finansowych, toteż nie mam pojęcia, ile mi zostawił, ale pewnie jest tego sporo. Są obligacje na okaziciela, inne nieruchomości na wybrzeżu. Teoretycznie jestem bogata. Czy wyglądam na milionerkę?

– Czy istnieje sposób, aby się skontaktować z wykonawcami ostatniej woli pani męża?

– Egzekutorem jest wspólnik z firmy prawniczej Edwina Haydena. Z tego, co wiem, jest jednym z chorych. Mogę się obyć bez bogactw, skoro wiążą się jedynie z luksusowym pogrzebem. Moim własnym.

Stała na krześle i wspięła się na okno. Podążyłem w jej ślady. Wyszliśmy i ruszyliśmy w kierunku dużego, ciemnego budynku.

– Pracował pan z moimi... dziećmi. Jak sobie radzą?

– Całkiem dobrze. Rokowania są pomyślne. Dzieci szybko zapominają.

– Cieszę się.

Kilka metrów dalej spytała:

– A ich rodzice... Czy mnie nienawidzą?

– Niektórzy na pewno. Inni okazali się zaskakująco lojalni i stanęli w pani obronie. Powstał nawet

rozłam w grupie. W końcu pani zwolennicy przekonali pozostałych.

– To dobrze. Często o nich myślę.

Odprowadziła mnie do krawędzi bagien, ciągnących się na przedzie posiadłości.

– Dalej musi pan iść sam. Jak pańskie ramię?

– Trochę zeszywniało, ale nic mi nie będzie. Przeżyję.

Wyciągnąłem rękę, którą kobieta uścisnęła.

– Powodzenia – rzuciła.

– Nawzajem.

Przeszedłem przez zielsko i błoto zziębnięty i zmęczony. Kiedy się odwróciłem. Kim Hickle już nie było.

Większą część rejsu na ląd spędziłem w jadalni promu. Przy kawie rozważałem zdobyte informacje. Kiedy wróciłem do hotelu, zadzwoniłem do Milo na posterunek. Powiedziano mi, że mojego przyjaciela nie ma, więc spróbowałem pod numer domowy. Odebrał Rick Silverman.

– Och, witaj, Aleksie. Słyszę zakłócenia. Z daleka dzwonisz?

– Z Seattle. Milo już wrócił?

– Nie. Spodziewam się go jutro. Pojechał do Meksyku. Podobno na wakacje, choć sadzę, że raczej do pracy.

– Masz rację. Pojechał sprawdzić przeszłość osobnika nazwiskiem McCaffrey.

– Wiem. To ten duchowny z domu dziecka. Mówił, że właśnie ty go przekonałeś do tego wyjazdu.

– Może rzeczywiście wzbudziłem jego zainteresowanie, choć kiedy rozmawiałem z nim, po prostu mnie zbył. Czy wspomniał, co go ostatecznie skłoniło do tej podróży?

– Niech no pomyślę... pamiętam, że telefonował na posterunek tamtejszej policji... To jakieś małe miasteczko, zapomniałem nazwy... Chyba go odprawili. To znaczy... dali mu do zrozumienia, że mają jakieś ciekawe informacje i że jeśli przyjedzie z kilkoma dolarami, chętnie mu je sprzedadzą. Zdziwiłem się, ponieważ sądziłem, że policjanci współpracują ze sobą za darmo... Milo mi powiedział, że tak to zwykle wygląda...

– Naprawdę?

– Tak. zaproponował, żebym z nim pojechał, niestety, miałem zbyt dużo zajęć. Czekał mnie całodobowy dyżur i musiałbym się zamieniać.

– Dzwonił, odkąd wyjechał?

– Przesłał tylko pocztówkę z lotniska w Guadalajarze. Stary chłop ciągnący osła obok wysokiego kaktusa *Carnegiea gigantea*, który wyglądał na plastikowy. Bardzo fajny widoczek. Napisał na tej kartce: „Szkoda, że cię tu nie ma”.

Roześmiałem się.

– Jeśli zadzwoni, powiedz, że czekam na telefon. Mam dla niego trochę nowych informacji.

– Powiem. Jakies szczegóły?

– Nie, poproś tylko, żeby do mnie zadzwonił.

– Jasne.

– Dzięki. Mam nadzieję, że spotkamy się któregoś dnia.

– Ja również. Może kiedy Milo wróci i wyjaśnicie całą sprawę.

– Brzmi obiecująco.

W hotelu zdjąłem ubranie i zbadłem ramię. Z rany sączyła się krew, poza tym ręka wyglądała nieźle. Kim Hickie całkiem przyzwoicie mnie opatrzyła. Zrobiłem półgodzinną rozgrzewkę i trochę poćwiczyłem ruchy karate, potem zanurzyłem się na czterdzieści pięć minut w gorącej kąpieli, podczas której przeczytałem hotelową broszurkę na temat Seattle.

Zadzwoniłem do Robin, ale jej nie było, więc ubrałem się i poszedłem na kolację. Z poprzedniego pobytu zapamiętałem pewną restaurację – obita cedrem sala wychodząca na jezioro Union – w której podawali łososia pieczonego na olchowym drewnie. Odnalazłem lokal dzięki własnej pamięci oraz planowi miasta. Pojawiłem się wystarczająco wcześnie, aby zdobyć stolik z widokiem na jezioro, zamówiłem wielką sałatkę z roquefortem, smakowity koralowy filec z łososia chinook, ziemniaki, fasolkę, kosz gorącego pieczywa kukurydzianego i dwie butelki coorsa. Zakończyłem posiłek domowymi lodami jeżynowymi i kawą, po czym z pełnym brzuchem obserwowałem, jak słońce zachodzi nad jeziorem.

Odwiedziłem dwie małe księgarnie na Uniwersytecie Stanowym, nie znalazłem jednak niczego ciekawego ani dodającego otuchy, więc wróciłem do hotelu. W holu dostrzegłem nadal otwarty sklepik z towarami importowanymi z Dalekiego Wschodu. Wszedłem, kupiłem naszyjnik z zielonymi kamkami dla Robin i pojechałem windą z powrotem do pokoju. O dziewiątej znowu zadzwoniłem. Tym razem Robin odebrała.

– Aleksie! Miałam nadzieję, że to ty.

– Jak się masz, skarbie? Dzwoniłem parę godzin temu.

– Wysłałam na kolację. Sama! Zjadłam omlet na rogu w „Caf Pelikan”. Sama. Czyż to nie

patetyczny wizerunek?

– Ja również zjadłem samotną kolację, moja droga.

– Jakież to smutne. Wracaj szybko do domu, Aleksie. Tęsknię za tobą.

– Ja za tobą również.

– Czy podróż na coś ci się przydała?

– Tak, bardzo. – Przekazałem jej szczegóły, pomijając walkę z wielkim psem.

– Och, naprawdę jesteś na tropie. Nie czujesz się dziwnie, odkrywając te wszystkie sekrety?

– Właściwie nie, ale pamiętaj, że nie traktuję już tej sprawy z dystansem.

– Ja natomiast tak i wierz mi, Aleksie, że całość przedstawia się nieco osobliwie. Będę się cieszyła, gdy Milo wróci i przejmie od ciebie dochodzenie.

– No tak. A co u ciebie?

– Nic równie ekscytującego. Jedna nowina. Dziś rano dzwoniła do mnie przywódczyni jakiejś nowej grupy feministycznej... czegoś w rodzaju kobiecej izby handlowej. Naprawiałam kiedyś tej kobiecie bandżo i kiedy je odbierała, trochę porozmawiałyśmy. Zdarzyło się to kilka miesięcy temu... Teraz zadzwoniła i poprosiła, żebym w przyszłym tygodniu wygłosiła wykład dla jej grupy. Temat ma brzmieć: „Kobieta-rzemieślnik we współczesnym społeczeństwie”. Jakoś tak. Podtytuł: „Kobieca inwencja w świecie biznesu”.

– Fascynujące. Na pewno przyjdę i cię posłucham, oczywiście jeśli powiadomisz mnie o terminie i miejscu.

– Ani się waż! I tak jestem dostatecznie przerażona. Czy wiesz, Aleksie, że nigdy wcześniej nie wygłaszałam żadnej mowy... Po prostu paraliżował mnie strach.

– Nie martw się. Masz sporo do powiedzenia, jesteś bystra i elokwentna. Te panie cię pokochają.

– To twoja opinia.

– Naprawdę tak będzie. Słuchaj, jeśli naprawdę się denerwujesz, mogę cię poddać hipnozie. Pomoże ci się zrelaksować. Dla mnie to bułka z masłem.

– Sądzisz, że hipnoza mi pomoże?

– Jasne. Osoby z twoją wyobraźnią i inwencją twórczą świetnie reagują na seansach.

– Wiedziałam, że hipnotyzowałeś swoich pacjentów, ale nigdy nie sądziłam, że mi to

zapropozujesz.

– Zwykle, kochanie, spędzamy wspólny czas na zupełnie innych zajęciach.

– Hipnoza – powtórzyła. – Kolejna sprawa, o którą się będę martwić.

– Nie martw się. Jest nieszkodliwa.

– Całkowicie?

– Tak, w twoim przypadku całkowicie. Kłopoty zdarzają się jedynie wówczas, gdy pacjent cierpi z powodu poważnych konfliktów emocjonalnych albo jego problemy sięgają bardzo głęboko w podświadomość. W tych przypadkach hipnoza może odkopać nieprzyjemne, pierwotne, dawno zapomniane wspomnienia. Pacjent może zareagować stresem lub strachem. Ale nawet wtedy hipnoza może mu pomóc. Wykwalifikowany psychoterapeuta potrafi konstruktywnie wykorzystać niepokój pacjenta i skłonić go, by sam pokonał swój lęk.

– Ale mnie się to nie może przydarzyć?

– Na pewno nie. Gwarantuję ci. Jesteś najbardziej normalną osobą, jaką kiedykolwiek spotkałem.

– Ha! Może zbyt długo jesteś na emeryturze!

– No dobrze, więc podaj mi choć jeden psychopatologiczny symptom, który u siebie zauważyłaś.

– Co powiesz na temat straszliwego podniecenia, które odczuwam, słysząc twój głos? Chcę cię wtedy dotknąć, pochwycić i położyć na swoim brzuchu.

– Hmm. Rzeczywiście brzmi poważnie.

– W takim razie wracaj i spróbuj ukoić moje problemy, doktoru.

– Wrócę jutro i niezwłocznie rozpoczniemy kurację.

– O której?

– Samolot ląduje o dziesiątej... Pół godziny później będę u ciebie.

– Niech to diabli! Zapomniałam, że jutro rano muszę jechać do Santa Barbara. Moja ciotka zachorowała, leży na intensywnej terapii w szpitalu Cottage. Sprawa rodzinna, muszę pojechać. Gdybyś przyleciał wcześniej, moglibyśmy przed moim wyjazdem zjeść wspólne śniadanie.

– Lecę najwcześniejszym samolotem, kochanie.

– Może mogłabym wyjechać później...

– Nie, nie, spotkamy się wieczorem i zjemy razem kolację.

- To będzie raczej późna kolacja.
- Przyjedź prosto do mojego mieszkania. Stamtąd wyruszamy.
- W porządku. Spróbuję przyjechać około ósmej.
- Świetnie. Życz ciotce szybkiego powrotu do zdrowia. Kocham cię.
- Ja ciebie też. Uważaj na siebie.

Rozdział 26

Następnego ranka dręczyło mnie jakieś dziwne uczucie. Nie opuszczało mnie podczas jazdy na lotnisko Sea-Tac i gdy wchodziłem do samolotu. Nie potrafiłem znaleźć przyczyny tego niepokoju, który czaił się gdzieś na dnie mojego umysłu, choć z pozoru flegmatycznie obserwowałem otoczenie: widziałem jedzenie w plastikowych miseczkach i wymuszone uśmiechy stewardess, słyszałem kiepskie dowcipy drugiego pilota. Im intensywniej się zastanawiałem nad własnymi emocjami, tym bardziej nieuchwytnie się stawały, aż w końcu poczułem zniecierpliwienie i frustrację dziecka, które próbuje opanować zasady skomplikowanej gry. Przestałem rozmyślać, rozsiadłem się wygodnie i czekałem, by wyjaśnienie samo mi przyszło do głowy.

Wreszcie na krótko przed lądowaniem uświadomiłem sobie, z czego wynikała moja nerwowość. Przypomniała mi się nocna rozmowa. Robin spytała mnie wtedy o niebezpieczeństwa związane z seansem hipnotycznym, a ja wygłosiłem wykład o nie – szkodliwości tego typu terapii... chyba że przywoła ona utajone dotąd nieprzyjemne przeżycia. „Odkopać nieprzyjemne, pierwotne, dawno zapomniane wspomnienia” – tak dokładnie brzmiały moje słowa. Jeśli hipnoza „odkopie” pierwotne wspomnienia, pacjent reaguje strachem...

No właśnie! Melody! Gdy koła samolotu dotknęły ziemi, byłem już kłębkim nerwów. Pierwszy wysiadłem z samolotu, przebiegłem płytę lotniska, wybiegłem z portu, w pośpiechu odebrałem Seville ze strzeżonego parkingu, zapłaciłem, wyjechałem przez bramę i skierowałem się na wschodnie Century Boulevard. Zarząd miasta w swej nieskończonej mądrości postanowił rozpocząć renowację środkowego pasa jezdni właśnie podczas porannej godziny szczytu, toteż natychmiast wpadłem w korek i przez jakiś czas smażyłem się w cadillaku. Sporo czasu zajął mi przejazd półtorakilometrowego odcinka do autostrady San Diego. Wreszcie zjechałem na boczny pas. Wybrałem drogę północną, dotarłem do Santa Monica West, wyjechałem tuż przed autostradą Pacific Coast. Przejechałem Ocean Avenue, skręciłem kilka razy, aż znalazłem się w Palisades, a potem w pobliżu apartamentu, w którym zginęli Morton Handler i Elena Gutierrez.

Drzwi do mieszkania Bonity Quinn były otwarte. Z wnętrza dotarły do mnie przekleństwa. Wszedłem. We frontowym pokoju stał jakiś mężczyzna. Kopał kwiecistą sofę i mamrotał coś pod nosem. Miał czterdzieści kilka lat, kręcone włosy, poszarzałą cerę, zniechęcone oczy i spiczastą, rzadką, kozią bródkę, maskującą podwójny podbródek. Wyglądał na zrezygnowanego. Ubrany był w czarne spodnie i jasnoniebieską nylonową koszulę, która przylgnęła do jego galaretowatego ciała, podkreślając każdą fałdkę i wałeczek tłuszczu. W jednej ręce trzymał papierosa i strzepywał tytoń na dywan, drugą drapał się za mięsistym uchem. Ponownie kopnął tapczan, podniósł wzrok, zobaczył mnie i kilkakrotnie machnął ręką z papierosem po maleńkim pokoju.

– Możesz się brać do pracy.

– Do jakiej?

– Zabrać stąd tej szajs... Ach, nie jesteś tragarzem... – Przyjrzał mi się raz jeszcze, tym razem z większą uwagą. – No tak, nie wygląda pan jak tragarz. Proszę mi wybaczyć. – Wzruszył ramionami.

– Co w takim razie mogę dla pana zrobić?

– Szukam Bonity Quinn i jej córki.

– Nie pan jeden.

– Wyjechała?

– Trzy chrzanione dni temu. Z Bóg wie iloma cudzymi dolcami. Niektórzy lokatorzy twierdzą, że zapłacili jej czynsz, niestety te pieniądze nie dotarły gdzie trzeba. Dzwoniłem do niej. Zero reakcji. Więc przyjechałem tutaj i dowiedziałem się, że zniknęła trzy dni temu, zostawiając wszystkie te rupiecie. Zwiąta. Nigdy nie miałem o niej dobrego zdania. Oddałem jednemu facetowi przysługę, a ten mnie wystawił do wiatru. Stale mi się to przydarza.

Zaciągnął się papierosem, zakaszłał i znowu się zaciągnął. Miał żółte obwódki wokół tęczówek oraz obwisłe powieki w szarym, niezdrowym kolorze. Przypominał człowieka wracającego do zdrowia po chorobie wieńcowej albo tuż przed nią.

– Kim pan jest? Z kasy pożyczkowej?

– Jestem jednym z lekarzy córki pani Quinn.

– Ach, tak? Niech mi pan nie mówi o lekarzach. Właśnie jeden z was wpakował mnie w tę kabałę.

– Towle?

Zmarszczył brwi.

– Tak. Jest pan jego współpracownikiem? Jeśli tak, mam dużo...

– Nie. Po prostu go znam.

– W takim razie wie pan, jaki z niego gnojek. Wpuścił mnie w ten kanał zupełnie bez powodu. O rany! Gdyby moja żona słyszała, co mówię, zabiłaby mnie. Uwielbia tego faceta. Mówi, że wspaniale sobie radzi z dziećmi. Nawet nie próbuję się z nią spierać. A tak w ogóle, jaka jest pańska specjalizacja? To znaczy jako lekarza?

– Psycholog.

– Ten dzieciak miał problemy, co? Nie dziwi mnie to. Mała wyglądała tak jakoś niepewnie, wie pan o czym mówię? – Wyciągnął rękę i przechylił ją niczym skrzydło szybowca.

– Powiedział pan, że doktor Towle wpakował pana w cały ten bałagan z Bonitą Quinn?

– Zgadza się. Spotkałem faceta raz, może dwa razy. Nie znam go. Pewnego dnia zadzwonił do mnie ni z gruszki, ni z pietruszki i spytał, czy mógłbym dać pracę jego pacjentce. Słyszał podobno, że mam wolny etat dla dozorczyń. Podał adres. Spytał, czy pomogę. Pytam, czy ta osoba ma

doświadczenie, rozmawialiśmy w końcu o sporej chacie, a nie o jakiejś małej willi. Towle odpowiedział, że nie ma, ale może się przecież nauczyć, a poza tym ma dziecko na utrzymaniu i brakuje jej pieniędzy. Mówię: „Proszę posłuchać, doktorze, w tym szczególnym budynku mieszkają osoby samotne. To nie miejsce dla dozorczyń z dzieckiem”. Zresztą, mieszkanie jest zbyt ciasne dla dwóch osób. – Popatrzył na mnie spode łba. – Wepchnąłby pan dzieciaka to takiej klatki?

– Z pewnością nie.

– Ja również. Nie trzeba być lekarzem, aby wiedzieć, że mała tu nie pasowała. Powiedziałem o tym temu Towle'owi. Wyjaśniłem. Mówię: „Doktorze, ta praca jest przeznaczona dla osoby samotnej”. Zwykle dostaję studentkę z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles. Uczniaki nie potrzebują dużo przestrzeni. „Mam inne budynki” – gadam mu. W Van Nuys, parę w Canoga Park. Mieszkają w nich całe rodziny. „Zadzwoń do mojego człowieka w Valley, każe mu sprawdzić i zobaczymy, czy uda się pomóc tej pani”. A Towle do mnie, że nie, że to musi być ten budynek. Dzieciaka podobno już zapisano w okolicy do szkoły i przeniesienie spowodowałoby szok. Mówi, że jest lekarzem i wie, że tak się stanie. Odpowiadam: „Ależ doktorze, dzieciom nie wolno mieszkać w takich domach. Dzieci hałasują. Tutejsi lokatorzy to przeważnie ludzie samotni, niektórzy lubią długo pospać”. A on mi na to: „Gwarantuję panu, że ta dziewczynka jest dobrze wychowana i nie hałasuje”. Myślę sobie, że jak dzieciak nie hałasuje, to musi być z nim coś nie tak. Teraz pan się pojawia, więc wszystko jasne. Próbowałem doktorka zniechęcić, ale naciskał na mnie. Zrzędził. Moja stara uwielbia faceta. Pomyślałem, że żona mnie zabije, jeśli każe mu się odpieprzyć. Więc się zgodziłem. Umówił mnie z tą panią, żebyśmy się poznali. Spotkałem tę panią Quinn i jej córkę. Byłem zaskoczony. Po naszej pogawędce poprzedniej nocy pomyślałem... no, wyobrażałem sobie, że on tę babę posuwa. Oczekiwałem babeczki z klasą, z krągłościami. Jedną z tych niedoszłych aktoreczek. Kojarzy pan, no nie? To starszy facet, ale nieźle się trzyma, zgadza się? Patrzą na nich, jak wchodzi. Ona i dzieciak. Uff! Wyglądają jak nie z tej bajki. Zupełne prostaki. Matka jest przerażona, do tego kopci więcej fajek niż ja – a to prawdziwy wyczyn! A dzieciak jest, jak już mówiłem, bardzo dziwaczny, gapi się tylko przed siebie. Chociaż musiałem przyznać, że mała była rzeczywiście spokojna. Nie wydała z siebie nawet jednego dźwięku. Miałem wątpliwości, czy ta kobita poradzi sobie z robotą, ale co mogłem zrobić, już się przecież zobowiązałem. Zatrudniłem tę Quinn. Nie była taka zła. Ciężko pracowała, chociaż strasznie powoli się uczyła. Na dzieciaka jednak nie było żadnych skarg. Tak czy owak, po kilku miesiącach baba wyfrunęła z klatki, zostawiając mnie z tymi gratami. Świsnęła prawdopodobnie pięć tysięcy z opłat za czynsze. Muszę teraz wszystko posprawdzać i nakłonić lokatorów, aby mi wypisali nowe czeki. I powiem coś panu. Marty, czyli ja, odtąd nie będzie już taki miły. Ani dla lekarzy, ani dla nikogo innego.

Skrzyżował ramiona na piersi.

– Nie ma pan pojęcia, dokąd się udała? – spytałem.

– Gdybym miał, stałbym tu, gładząc z panem?

Wszedłem do sypialni. Była tak ponura, jak ją zapamiętałem.

– Niech pan na to popatrzy – rzucił. – Jak ludzie mogą wychowywać dzieci w takich warunkach? Sam mam troje, każde ma własny pokój. Mają telewizory, półki z książkami, gry wideo i wszystko,

co trzeba. Jak umysł dziecka ma się rozwijać w takim miejscu jak to?

– Jeśli pani Quinn się z panem skontaktuje albo dowie się pan o jej miejscu pobytu, mógłby mnie pan zawiadomić? – Wyjąłem starą wizytówkę, przekreśliłem numer służbowy i napisałem nad nim domowy.

Zerknął na kartonik i włożył go do kieszeni. Przesunął palcem po szczycie komody, obejrzał palec i strzepnął kurz.

– Uff. Nienawidzę brudu. Lubię czyste rzeczy, wie pan, o czym mówię? Moje mieszkania zawsze są czyste, bo płacę dodatkowo za usługi najlepszej firmie porządkowej. Chcę, by moi lokatorzy dobrze się czuli w swoich mieszkaniach. To ważne.

– Zadzwoń pan do mnie?

– Jasne, jasne. Pan zrobi dla mnie to samo, dobrze? Chętnie odnalazłbym tę panią Bonitę, odzyskał czeki i powiedział babie, co o niej myślę. – Pogrzebał w kieszeni, wydobyl portfel ze skóry aligatora i wyjął perłowszarą wizytówkę z napisem:

Biuro Nieruchomości „M & M”

Sprzedaż i wynajem

Marduk I. Minassian, Prezes

Niżej dostrzegłem adres w Century City.

– Dzięki, panie Minassian.

– Marty.

Nadal sprawdzał i kontrolował pokój. Otwierał szuflady, potrząsał głową, pochylił się i spojrzał pod łóżko, które Bonita Quinn dzieliła z córką. Znalazł tam coś, wstał, popatrzył na przedmiot, po czym wyrzucił go do metalowego kosza, gdzie rzecz wylądowała z głuchym dźwiękiem.

– Co za okropność.

Zajrzałem do kosza, zobaczyłem, co wyrzucił, i wyjąłem to.

Była to skurczona głowa, którą Melody pokazywała mi na plaży. Trzymałem przedmiot w dłoni. Oczka z imitacji kryształu patrzyły z furią przed siebie, lśniące i złowrogie. Większość syntetycznych włosów zwisała luźno, kilka czarnych pasm sterczało z czubka wykrzywionej twarzy.

– Paskudztwo – zauważył Minassian. – Brudne. Niech pan je wyrzuci.

Zacisnąłem rękę na pamiątce Melody i byłem absolutnie przekonany, że hipoteza, która przyszła mi do głowy w samocie, jest całkowicie prawdziwa. I że należy działać szybko. Włożyłem skurczoną

głowę do kieszeni, uśmiechnąłem się do Minassiana i wyszedłem.

– Hej! – zawołał za mną. Później wymamrotał coś w rodzaju: „Lekarze to pomyleńcy!”

Wróciłem na autostradę i skierowałem się na wschód, pędząc jak demon. Miałem nadzieję, że drogówka mnie nie przyłapie. Wprawdzie w mojej kieszeni tkwiła odznaka konsultanta policji Los Angeles, obawiałem się jednak, że tłumaczenia niewiele by mi pomogły. Nawet policyjni konsultanci nie mają prawa jeździć z prędkością stu trzydziestu kilometrów na godzinę.

Miałem szczęście. Ruch był niewielki, nigdzie nie dostrzegłem stróżów prawa i dotarłem do zjazdu przy Silver Lake tuż przed trzynastą. Pięć minut później wchodziłem po schodach domu Gulierrezów. Pomarańczowe i żółte maki zwiesiły główki, spragnione wody. Drewniany ganek był pusty. Zaskrzypiał, kiedy na nim stanąłem.

Zastukałem do drzwi. Otworzyła Cruz Gutierrez z drutami do robótki i jaskrawo-różową przędzą w rękach. Nie wydawała się zaskoczona moim widokiem.

– Senor?

– Potrzebuję pani pomocy, sehora.

– No hablo ingles.

– Proszę. Wiem, że rozumie pani wystarczająco dużo, by mi pomóc.

Ciemna okrągła twarz była beznamiętna.

– Sehora, wchodzi w grę życie dziecka. – Wierzyłem, że mi pomoże. – Unanina. Siedem lat – siete anos. Jest w niebezpieczeństwie. Może zostać zabiła. Muerta – tak jak Elena.

Poczekalem na reakcję. Upstrzone plamami wątrobowymi ręce zacisnęły się mocniej na niebieskich drutach. Kobieta popatrzyła w bok.

– Tak jak tamten mały chłopiec... Nazywał się Nemeth. Uczeń Eleny. Nie zginął w wypadku, prawda? Elena o tym wiedziała. Umarła właśnie dlatego, że знаła prawdziwą przyczynę jego śmierci.

Cruz Gutierrez położyła rękę na drzwiach i zaczęła je zamykać. Zablokowałem je dłonią.

– Przykro mi, że straciła pani córkę, seiora, ale Elena nie była ostatnią zabitą. Trzeba zapobiec kolejnym zabójstwom. Tylko wtedy ofiara Eleny będzie miała sens. Bardzo panią proszę.

Jej ręce zaczęły drżeć. Druty zagrzechotały niczym chińskie pałeczki w dłoniach osoby cierpiącej na chorobę Parkinsona. Kobieta upuściła je wraz z kłębkim przędzy. Schyliłem się i podniosłem przybory.

– Proszę.

Wzięła ode mnie welnę i druty i przycisnęła do piersi.

– Proszę, niech pan wejdzie – powiedziała po angielsku, niemal bez akcentu.

Byłem zbyt podenerwowany, by siadać, jednak gdy Cruz Gutierrez wskazała mi zieloną aksamitną sofę, przysiadłem na niej. Kobieta usiadła naprzeciwko mnie, jakby czekała na wyrok.

– Po pierwsze – zacząłem – musi pani zrozumieć, że nie zamierzam w żadnym razie brukać pamięci Eleny. Gdyby nie chodziło o bezpieczeństwo innych osób, w ogóle bym pani nie nachodził.

– Rozumiem – odparła.

– Pieniądze... Czy są tutaj?

Pokiwała głową, wstała, opuściła pokój i wróciła kilka minut później z pudełkiem po cygarach.

– Proszę je wziąć. – Podała mi pudełko takim ruchem, jakby mieściło w sobie żywe, niebezpieczne zwierzę.

Banknoty w dużych nominałach – dwudziestki, pięćdziesiątki, setki – starannie zrolowano i ściśnięto szeroką gumą. Dokonałem pobieżnych obliczeń. W pudełku znajdowało się co najmniej pięćdziesiąt tysięcy dolarów, a może znacznie więcej.

– Niech je pani schowa. – Podsunąłem jej.

– Nie, nie. Nie chcę ich. To brudne pieniądze.

– Proszę więc je tylko przechować. Wrócę po nie. Czy ktoś jeszcze wie o nich? Któryś z pani synów?

– Nie. – Potrząsnęła głową z absolutnym przekonaniem. – Gdyby Rafael wiedział, wziąłby je i wydał na narkotyki. Nie, nie. Tylko ja wiem.

– Długo były u pani?

– Elena przyniosła mi je na dzień przed śmiercią. – Oczy matki wypełniły się łzami. – Spytałam, skąd je wzięła, gdzie zdobyła. Odpowiedziała: „Nie mogę ci powiedzieć, mamo. Po prostu dla mnie przechowaj. Wrócę po nie”. Nigdy nie wróciła. – Cruz Gutierrez wyciągnęła z rękawa ozdobioną koronką chusteczkę i przyłożyła do oczu.

– Proszę. Niech je pani weźmie i znowu ukryje.

– Ale tylko na jakiś czas, dobrze, senior. To brudne pieniądze. Złe oko. Mai ojo.

– Wrócę po nie, jeśli sobie pani tego życzy.

Wzięła pudełko i znowu zniknęła. Po chwili wróciła.

– Jest pani pewna, że Rafael nie wie?

– Na pewno. Gdyby wiedział, już by ich tu nie było.

Miała rację. Narkomani nie potrafią oszczędzić pięcio czy dziesięcio centówek, a cóż dopiero taką fortunę.

– Jeszcze jedno pytanie, senora. Raquel mi powiedziała, że Elena posiadała pewne kasety. Nagrane kasety. Z muzyką albo ćwiczeniami relaksacyjnymi. Podobno doktor Handler dał je Elenie. Kiedy przeglądałem rzeczy pani córki, nie znalazłem ani jednej. Wie pani coś o nich?

– Nie. Naprawdę.

– Czy ktoś przeglądał te pudła przed moją ostatnią wizytą?

– Nie. Tylko Rafael i Antonio. Szukali książek, czegoś do czytania. To policja wzięła pudełka. Nikt inny.

– Gdzie są teraz pani synowie?

Wstała, nagle poruszona.

– Niech pan da im spokój. To dobre chłopaki. Oni nic nie wiedzą.

– Nie skrzywdzę ich. Chcę tylko z nimi porozmawiać.

Popatrzyła w bok, na ścianę pokrytą rodzinnymi fotografiami. Trójka dzieci. Młodzi, niewinni, uśmiechnięci. Chłopcy z krótkimi włosami, czyści i zadbani, w rozpiętych pod szyją białych koszulach. Między braćmi dziewczynka w falbaniastej bluzce. Na zdjęciu z uroczystości wręczenia świadectw Elena w todze i czapce studenckiej z kwadratowym, płaskim denkiem. W oczach dziewczyny dostrzegłem zapał i pewność siebie. Elena była gotowa podbić świat, wykorzystując swój umysł, wdzięk i urodę. Stare zdjęcie w kolorze sepii – dawno zmarły mąż Cruz: sztywny i uroczysty w koszuli z wykrochmalonym kołnierzykiem i garniturze z szarej wełny. Człowiek pracy, spieszony zamieszczeniem wokół czegoś tak błahego jak upamiętnianie własnego oblicza dla potomności.

Kobieta patrzyła na zdjęcia i jej usta prawie niezauważalnie się poruszyły. Wyglądała, jakby oglądała pole walki po bitwie i liczyła zamilkłe na zawsze ciała.

– Andy pracuje – odparła i dała mi adres garażu na Figueroa.

– A Rafael?

– Nie wiem. Mówi, że szuka pracy.

Oboje wiedzieliśmy, co robi jej starszy syn. Uznałem jednak, że rozgrzebałem dziś już zbyt wiele jej ran, więc podziękowałem, pożegnałem się i odszedłem.

Znalazłem Rafaela po półgodzinnej jeździe w górę i w dół bulwaru Zachodzącego Słońca oraz szeregu bocznych uliczek. Chłopak szedł na południe po Alvarado, a raczej zgarbiony i powłuczający nogami błdził pochłonięty sobą. Trzymał się blisko budynków i skręcał ku jezdni jedynie wówczas, gdy stawali mu na drodze ludzie bądź przedmioty. Obchodził szybko przeszkodę i natychmiast wracał pod cień markiz. Temperatura wynosiła w cieniu ponad dwadzieścia pięć stopni Celsjusza, a młody narkoman ubrany był w zapiętą pod szyję flanelową koszulę z długimi rękawami, której poły zwisały luźno na spodnie khaki. Na stopach Rafael miał wysokie trampki; jeden był rozsznurowany. Mężczyzna wydał mi się jeszcze szczuplejszy niż poprzednio.

Jechałem powoli, trzymając się prawego pasa, niewidoczny, tuż za Rafaelem. W pewnym momencie minął grupkę biznesmenów w średnim wieku, którzy pokazywali go sobie, gdy nie patrzył, potrząsali głowami i marszczyli brwi. Rafael nie zwrócił na nich uwagi, w ogóle nie interesował go świat zewnętrzny. Ze skupieniem na twarzy szedł przed siebie niczym seter podążający za zapachem. Z nosa mu ciekło, więc stale wycierał go rękawem. Jego oczy przesuwwały się z boku na bok. Oblizywał językiem wargi, mocno poklepywał się po chudych udach, zaciskał usta i – jak gdyby do rytmu – kiwał głową. Z całych sił starał się wyglądać na luzaka, ale jego blada twarz nie mogła nikogo zmylić. Skojarzył mi się z pijakiem, który próbuje zachowywać się jak człowiek trzeźwy, toteż jego ruchy są przesadzone, nienaturalne i brakuje im spontaniczności. Skutek był zupełnie przeciwny od zamierzonego i Rafael przypominał głodnego szakala na polowaniu, zdesperowanego, straszliwie głodnego i zdecydowanego na wszystko. Jego skóra połyskiwała od potu, była blada i widmowa. Ludzie schodzili mu z drogi, ilekroć wykonał chwiejny ruch w ich stronę.

Przejechałem jeszcze dwie przecznice, po czym zaparkowałem na krawężniku, blisko alejki, tuż za trzypiętrowym budynkiem mieszkalnym, którego parter zajmował latynoski sklep spożywczy.

Spojrzałem za siebie. Młody Gutierrez szedł w moim kierunku. Wsiadłem z samochodu i zanurzyłem się w alejkę, śmierdzącą gnijącymi warzywami i moczem. Chodnik zawałały puste, popękane butelki po winie. Trzydzieści metrów dalej znajdowała się opustoszała rampa załadownicza; jej drzwi były zamknięte i zaryglowane. Po obu stronach ulicy nieprzepisowo parkowało kilkanaście pojazdów, wyjazd z alei blokowała półtonowa furgonetka ustawiona prostopadle do ściany. Gdzieś w oddali grupa mariachi grała Cielito Lindo. Zamiauczał kot. Na bulwarze trąbiły klaksony. Płakało dziecko.

Wyrzałem z alejki i szybko cofnąłem głowę. Rafael był w połowie drogi. Czekałem na niego. Kiedy mijał wejście do alei, odezwałem się scenicznym szeptem:

– Hej, człowieku. Mam to, czego potrzebujesz.

Moje słowa go zatrzymały. Spojrzał na mnie z wielką miłością, sądząc, że niosę mu ratunek. Chwyciłem go za kościste ramię i pociągnąłem w aleję. Szarpnął się. Wlokłem go kilka metrów, zanim znalazłem kryjówkę za starym chevycyn z odpadającym lakierem i flakami zamiast dwóch opon. Przycisnąłem mężczyznę do ściany. Podniósł ręce w niemym proteście. Pchnąłem go w dół, trzymając oba jego nadgarstki w jednej dłoni. Walczył ze mną, aż zabrakło mu sił. Czuję się, jakbym bił się z dzieckiem.

– Czego chcesz, stary?

– Odpowiedzi. Rafaelu. Pamiętasz mnie? Odwiedziłem was przed kilkoma dniami. Razem z Raquel.

– Tak, jasne – odrzekł, choć w jego załzawionych orzechowych oczach dostrzegłem zmieszanie. Z jednego nozdrza spłynęły smarki i zatrzymały się na górnej wardze. Rafael wysunął język i próbował nim usunąć wydzielinę. – Tak, pamiętam, człowieku. Z Raquel, jasne, człowieku. – Rozglądał się po alei.

– Pamiętasz więc, że badam sprawę zabójstwa twojej siostry.

– Och, tak, jasne, Eleny. Kiepska sprawa, facet – rzucił beznamiętnie.

Jego siostrę ktoś posiekał na kawałki, a ten miły młody człowiek potrafił myśleć jedynie o paczuszce z białym proszkiem, którą mógłby rozpuścić w płynie i wstrzyknąć sobie w żyły. Przeczytałem tuziny książek na temat uzależnień, dopiero jednak tu, w tej pustej alei, naprawdę pojąłem władzę igły.

– Elena miała kasety, Rafaelu. Gdzie są?

– Hej, człowieku, nic nie wiem o żadnych gównianych kasetach. – Z całych sił starał mi się wyrwać. Ponownie przycisnąłem go do ściany. – Och, boli mnie. Poczekaj, zorganizuję sobie tylko parę centów, a potem pogadamy o kasetach. W porządku, stary?

– Nie, Rafaelu. Masz mi powiedzieć teraz. Gdzie są kasety?

– Już ci mówiłem, stary, że nie wiem! – Zaskomlał jak trzylatek. Z nosa nadal mu się sączyło i Rafael stawał się z każdą sekundą coraz bardziej niecierpliwy.

– Sądzę, że wiesz. Masz mi powiedzieć!

Poruszył się. Jego ciało zagrzechotało niczym worek luźnych kości.

– Puść mnie, skurwysynie! – wykrztusił.

– Zamordowano twoją siostrę. Rafaelu. Zmieniono ją w hamburgera. Widziałem zdjęcia, mogę ci opowiedzieć o jej ciele. Ktokolwiek ją zabił, poświęcił jej dużo czasu. Długo ją torturował. Chcesz z takim człowiekiem ubijać interes? Nie rozumiesz, czym to grozi?

– Nie mam pojęcia, o czym gadasz, facet.

Znowu przez chwilę się szarpaliśmy, w końcu po raz kolejny przycisnąłem Rafaela do ściany. Tym razem bezwładnie zawisł z zamkniętymi oczami i przez moment sądziłem, że pozbawiłem go przytomności. Po chwili jednak otworzył oczy, polizał wargi i z jego płuc wydobył się suchy, urywany kaszel.

– Brakowało ci towaru, Rafaelu, a potem nagle go zdobyłeś. Tuż po śmierci Eleny. Skąd miałeś

prochy? Za ile sprzedałeś siostrę?

– Nic nie wiem. – Trząśł się jak chory. – Puść mnie. Nic nie wiem.

– Własną siostrę – podsumowałem. – Sprzedałeś ją mordercom za parę centów.

– Puleeze, planie. Puść mnie.

– Zaczynaj najpierw gadać. Nie zamierzam marnować na ciebie więcej czasu. Pytam, gdzie są taśmy. Jeśli mi zaraz nie odpowiesz, zabiorę cię do siebie do domu, tam cię zwiążę i odczekamy kilka godzin. Wyobraź to sobie... Całe godziny bez ćpania. Pomyśl, jak źle się teraz czujesz. Rafaelu. A będzie znacznie gorzej.

Załamał się.

– Dałem je jakiemuś dupkowi – jęknął.

– Za ile?

– Nie za pieniądze, stary. Za towar. Facet dał mi sporo towaru. Starczyło na tydzień. To był dobry towar. Teraz mnie puść. Jestem umówiony.

– Kim był ten facet?

– Taki pedancik. Anglo. Taki jak ty.

– Ale jak wyglądał?

– Nie wiem, człowieku. Nie mogę się skupić.

– Dobra, Rafaelu. Zabieram cię do siebie.

– Dwadzieścia pięć, sześć lat. Niewysoki. Dobrze zbudowany, masywny. Wyglądał normalnie. Jasne włosy, grzywka.

Opisał Tima Krugera.

– Dlaczego chciał te taśmy?

– Nic nie mówił, człowieku, a mnie to nie obchodziło. Miał dobry towar, rozumiesz?

– Nie zastanowiła cię jego propozycja? Twoja siostra nie żyła, a ty nie byłeś ciekaw, dlaczego jakiś nieznajomy facet daje ci za jej taśmy narkotyki?

– Nie, w ogóle się nie zastanawiałem. Teraz też mnie to nie interesuje. Nie myślę, kapujesz? I muszę już lecieć. Sprawiasz mi ból, stary. Puszczaj.

– Twój brat wiedział o tej transakcji?

– Nie! Zabiłby mnie. Ty mi tylko sprawiasz ból, a on mnie zabije, rozumiesz? Nie mów mu!

– Co było na tych taśmach, Rafaelu?

– Nie wiem. Nie słuchałem ich!

Dla zasady postanowiłem mu nie uwierzyć.

– Zabieram cię. Posiedzisz sobie związany. Bez prochów.

– Rany! Gadał tam tylko jakiś dzieciak, człowieku. Przysięgam, że tylko tyle. Nie przesłuchałem całych, tylko trochę, zanim facet je ode mnie wziął. Jakiś dzieciak gadał do mojej siostry. Elena go słuchała i mówiła: „Powiedz mi więcej”. I on gadał.

– O czym?

– Nie wiem, stary. Zrobiło mi się jakoś niewyraźnie. Dzieciak ryczał, Elena beczała. Wyłączyłem. Wolałem nie wiedzieć.

– Dlaczego płakali. Rafaelu?

– Nie wiem, stary... Chyba ten dzieciak opowiadał, że ktoś zrobił mu krzywdę. Elena pytała go, czy go skrzywdzili, a on odpowiadał, że tak, ona się rozbeczała, a potem dzieciak też zaczął ryczeć.

– Co jeszcze?

– Tylko tyle.

Poddusiłem go trochę, aż zazgrzytał zębami.

– Człowieku, zrobię, co zechcesz, ale naprawdę nic więcej nie wiem!

Krzyknął, zasapał się i zaczerpnął powietrza.

Przytrzymałem go na długość ramienia, potem puściłem. Popatrzył na mnie z niedowierzaniem, osunął się na ścianę, później dostrzegł wolną przestrzeń między chevym i zardzewiałą półciężarówką marki Dodge. Zerkał na mnie, wytarł nos, przemknął między dwoma samochodami i zaczął uciekać.

Pojechałem na stację benzynową przy Virgil i bulwarze Zachodzącego Słońca, zatankowałem i z budki zadzwoniłem do „La Casa de los Ninos”. Odebrała wesola recepcjonistka. Przeciągając samogłoski w sposób charakterystyczny dla mieszkańców południowych Stanów, spytałem o Krugera.

– Nie ma go dzisiaj, proszę pana. Będzie jutro.

– Och, rzeczywiście! Mówił mi, że ma dzisiaj wolne.

– Chciałby pan zostawić wiadomość?

– Nie. To mój stary przyjaciel ze szkoły. Tim i ja znamy się długo. Wpadłem tu tylko na delegację, sprzedaję maszyny. Pracuję w Becker Machine Works, San Antonio, Teksas... No i chciałem się z nim spotkać. Dał mi swój numer domowy, ale chyba go zgubiłem. Ma go pani?

– Przykro mi proszę pana, niestety, nie możemy podawać takich informacji o naszych pracownikach.

– Jasne, rozumiem. Tylko że jest tak, jak pani mówi. Tim i ja jesteśmy bliskimi przyjaciółmi. Może zadzwoni pani do niego do domu, powie mu, że stary Jeff Saxon jest na linii i chce go odwiedzić, ale nie ma jego adresu.

W tle zadzwonił drugi telefon.

– Przepraszam pana na chwilę.

Kiedy wróciła, spytałem:

– Czy już pani do niego dzwoniła?

– Nie... ja... mamy w tej chwili spory ruch, panie...

– Saxon. Jeff Saxon. No, niech pani zadzwoni do Tima i powie mu, że stary Jeff jest w mieście i chce się z nim zobaczyć. Gwarantuję, że pozwoli pani...

– Chyba prościej będzie, gdy podam panu ten numer i już. – Wyrecytowała siedem liczb. Dwie pierwsze sugerowały lokalizację w którejś z miejscowości plażowych.

– Dziękuję bardzo. Tim mi mówił chyba, że mieszka gdzieś blisko plaży... Czy to daleko od lotniska?

– Pan Kruger mieszka w Santa Monica. To dwadzieścia minut jazdy.

– Hej, brzmi nieźle. Może po prostu wpadnę do niego, zrobię mu niespodziankę, co pani sądzi?

– Proszę pana, muszę...

– Nie ma pani przypadkiem adresu? Powiem pani, że też mam piekielny dzień. Na lotnisku zgubili moje próbki, a mam jutro dwa spotkania. Zdaje mi się, że spakowałem notes z adresami do walizki, teraz jednak nie jestem pewny...

– Podam panu adres, proszę pana.

– Dziękuję pani bardzo, moja droga. Jest pani bardzo pomocna. I ma pani bardzo miły głos.

– Dziękuję, proszę pana.

– Jest pani może wolna dziś wieczorem?

– Nie, proszę pana, przykro mi.

– Nie zawadzi spróbować, co?

– Tak, proszę pana. Do widzenia.

Jechałem na północ już dobre pięć minut, gdy usłyszałem brzęczenie, a wtedy uświadomiłem sobie, że dźwięk towarzyszy mi od stacji benzynowej. We wstecznym lusterku dostrzegłem jadący za mną motocykl. Podskakiwał w oddali niczym mucha na gorącej przedniej szybie. Motocyklista dodał gazu i mała mucha urosła niczym potwór w japońskim horrorze.

Był dwie długości za mną i nadal przyspieszał. Kiedy się zbliżył, przyjrzyłem mu się dokładnie. Dzinsy, wysokie buty, czarna skórzana kurtka, na głowie czarny kask z przyciemnioną lustrzaną szybką, która całkowicie ukrywała jego twarz.

Jechał tuż za mną przez kilka przecznic. Zmieniałem pasy, lecz stale siedział mi na ogonie. Nie potrafiłem go zgubić. W pewnym momencie pozwolił, by wjechał między nas ford pełen zakonnic. Niecały kilometr przed Lexington zakonnice skręciły. Zjechałem wtedy ostro ku krawężnikowi i zatrzymałem się nagle przed „Pup and Taco”. Motocykl minął mnie szybko. Czekałem, aż zniknie, zbeształem się w myślach i nazwałem paranoikiem, po czym wysiadłem z Seville. Rozejrzałem się za motocyklem, nie dostrzegłem go, kupiłem colę, usiadłem z powrotem za kierownicę i wróciłem na bulwar.

Skręciłem w kierunku wschodnim, na Tempie, skierowałem się na autostradę Hollywood i wtedy ponownie usłyszałem znajomy warkot. Kontrolując jego obecność w lusterku, przeoczyłem zjazd i zmuszony zostałem do pozostania na Tempie. Wjechałem pod most utworzony przez estakadę. Motocykl trzymał się za mną. Dodałem gazu i przejechałem na czerwonym świetle. Podążył za mną, zachowując dotychczasową odległość. Następne skrzyżowanie było zapchane przechodniami i musiałem się zatrzymać.

Obserwowałem go w bocznym lusterku. Jechał bardzo blisko mnie po lewej stronie, teraz stanął jeszcze bliżej, zaledwie metr ode mnie. Jedną rękę wsunął za pazuchę skórzanej kurtki. Po pasach bezpośrednio przed moim zderzakiem szła młoda korpulentna kobieta tocząc spacerówkę z małym dzieckiem. Dziecko kwiliło, matka żuła gumę. Poruszała się niezwykle powoli. W dłoni mojego przeciwnika dostrzegłem coś metalicznego. Motocykl stał tuż obok mnie prawie równoległe do okna kierowcy. Nagle wyraźnie zauważyłem broń: brzydki mały rewolwer, łatwy do ukrycia w dużej męskiej dłoni. Zwiększyłem obroty silnika, ale na młodej matce nie zrobiłem tym wrażenia. Wydawała się poruszać jeszcze wolniej, leniwie żując gumę. Dziecko rozkrzyczało się. Dla pojazdów światło pozostało czerwone, dla pieszych zmieniło się z zielonego na żółte. To było chyba najdłuższe żółte światło w historii ruchu drogowego!

Lufa rewolweru pojawiła się przy szybie na wysokości mojej lewej skroni. Widziałem czarny, długi otwór w srebrnej lufie. Matka ciągle szła ciężko i leniwie po pasach. Znajdowała się przed prawą przednią oponą mojego samochodu, nieświadoma, że mężczyzna w zielonym cadillacu za

sekundę zostanie zastrzelony. Palec na spuście zatrzymał się. Matka zrobiła dwa małe kroczki. Skręciłem kierownicę w lewo, wcisnąłem gaz do dechy i przemknąłem ukośnie przez skrzyżowanie. Zewsząd słyszałem chór przekleństw, krzyków, trąbienie klaksonów i piski hamulców. Wpadłem w pierwszą boczną uliczkę, ledwie unikając czołowego zderzenia z nadjeżdżającą z przeciwna polewaczką.

Ulica była wąska, kręta i wyboista. Seville nie jest sportowym autem, toteż podczas pokonywania zakrętów walczyłem z jego opieszałym systemem kierowniczym. Wspinałem się na wyboje, ciężko opadałem, pędziłem ze wzgórze. Następne skrzyżowanie było puste, więc szybko przez nie przemknąłem. Jechałem z prędkością stu dziesięciu kilometrów na godzinę. Trzy przecznice dalej nadal słyszałem za sobą warkot silnika. Stawał się coraz głośniejszy. Motocykl, znacznie łatwiejszy do manewrowania, szybko mnie doganiał.

Droga skończyła się przy popękany murze. „W lewo czy w prawo?” – zastanowiłem się. Jak tu podejmować decyzje, gdy adrenalina szaleje w całym ciele. Warkot zmienił się w ryk, spocone ręce ślizgały mi się po kierownicy. Wpatrzyłem się w lusterko, zobaczyłem, że napastnik zdejmuje dłoń z kierownicy, opuszcza rękę i celuje z rewolweru w moje opony. Wybrałem skręt w lewo, szarpiąc kierownicą cadillaca i napinając całe ciało. Droga biegła pod górę. Mijałem puste ulice, wznoszące się spiralnie i niknące w smogu. Widok skojarzył mi się z kolejką górską zaprojektowaną przez szalonego inżyniera. Motocyklista ciągle za mną jechał. Ilekroć tylko mógł, podnosił z kierownicy rękę z bronią i celował we mnie...

Jechałem zygzakiem, nieprzerwanie umykając przed napastnikiem, niestety, wąska ulica dawała mi niewielką swobodę działania. Staralem się unikać regularnego rytmu jazdy; nie chciałem być łatwym celem. Pędziłem szaleńczo, wykonywałem nagłe skręty kierownicą, zwalniałem, przyspieszałem, przy krawężniku przechylałem się na bok. Straciłem kołpak, który zawirował jak chromowany dysk. Nie wiedziałem, jak długo będę uciekać.

Zwariowana jazda ciągle trwała. Za rogiem spojrzałem w dół i dostrzegłem zarys bulwaru Zachodzącego Słońca. Znaleźliśmy się z powrotem w Echo Park, na południe od bulwaru. Droga się skończyła. Pierwsza kula ze świstem otarła się o okno Seville. Skręciłem i drugi strzał chybił.

Tu, coraz wyżej, okolica się zmieniła. Drewnianych domów było już mniej. Mieszkalne działki ustępowały miejsca pustym, piaszczystym parcelom; wokół siebie widziałem walące się rudery. Mała liczba słupów telefonicznych, nie było samochodów ani innych śladów ludzkiej bytności. Teren wydawał się idealny na... popołudniowe zabójstwo.

Ścigaliśmy się podczas zjazdu ze wzgórze i przerażony odkryłem, że pędzę z maksymalną prędkością w ślepą uliczkę – kilkanaście metrów przede mną leżała hałda błota, a za nią rozciągał się pusty plac budowy. Nie miałem innego wyjścia droga kończyła się przed placem, zablokowana ze wszystkich stron stertami żużla, stosami płyt okładzinowych i tarcicy oraz kopcami ziemi. Cholerny pudełkowy kanion. Pomyślałem, że nawet jeśli czołowe zderzenie z hałdą błota mnie nie zabije, i tak w niej utknę. Opony będą się rozpaczliwie kręciły, a ja uwięziony niczym pietruszka w galarecie... Idealny nieruchomy cel...

Mężczyźni na motorze zapewne przemknęły przez głowę podobne skojarzenia, ponieważ

natychmiast poczynił odpowiednie przygotowania. Zdjął ręce z kierownicy, przyhamował i skręcił nieco w lewo gotów znaleźć się u mojego boku, kiedy moja ucieczka się skończy.

Zrobiłem tylko to, co mogłem: nacisnąłem hamulce. Seville skręcił, zarzuciło nim gwałtownie, zawirował i zakołysał się na resorach, grożąc kapotażem. Potrzebowałem poślizgu i starałem się uniknąć zderzenia. Samochód kręcił się jak wirnik.

Nagle siła ciężkości pchnęła mnie w stronę siedzenia pasażera.

Przód samochodu wymknął mi się spod kontroli i zderzył z motorem. Lżejszy pojazd odbił się od auta i szerokim łukiem przeleciał w powietrzu ponad kopcem błotnistej ziemi. Obserwowałem, jak mężczyzna odrywa się od maszyny. Motocykl leciał w górę, wysoko, gwałtownie, po czym zaczął opadać. Motocyklista wzleciał jeszcze wyżej, niczym strach na wróble odcięty od swojego słupa, potem również spadł i zniknął mi z pola widzenia.

Cadillac zatrzymał się, silnik zgasł. Poderwałem się, uderzyłem zranionym ramieniem w obite drzwiczki od strony pasażera i poczułem straszliwy ból. W pobliżu nikt się nie ruszał. Wysiadłem cicho, przycupnąłem za samochodem i czekałem tam, aż opanuję całą sytuację i oddech. Mój przeciwnik nadal nie wstawał. Podczołgałem się do hałdy błota, okrążyłem ją i pełzłem dalej, ku betonowej płycie, z której – jak pozbawione kwiatów łodygi wystawały krzywe stalowe pręty. Dostrzegłem resztki motocykla w postaci sterty pogiętego metalu i potrzaskanej przedniej szyby.

Grzebałem przez kilka minut wśród gruzów, zanim znalazłem ciało. Motocyklista wylądował w rowie między stosami cementowych płyt, w miejscu, gdzie ziemię poryły gaśnice spychaczy, obok stosów popękanego włókna szklanego. Ciało na wpół przysłaniały profilowane warstwy izolacji.

Kask z zaciemnioną szybką nadal zakrywał twarz napastnika, nie ochronił jednak swego właściciela przed stalowym prętem, który przebił mu gardło, tworząc wielki, nierówny otwór. Trzonek wystawał tuż pod jabłkiem Adama. Pręt przygwoździł mężczyznę do ziemi. Z rany sączyła się krew, zalewając błoto. Zauważyłem tchawicę motocyklisty, nadal różową, ociekającą płynem. Krew zabarwiła również pręt.

Klęknąłem, rozpiąłem strzemiączko kasku i spróbowałem go zdjąć. Przebita szyja, nienaturalnie wykręcona, utrudniała mi zadanie. Kiedy tak szarpałem się z trupem, poczułem wspinający się po kręgosłupie dreszcz, potem żołądek zatrzęsł mi się od mdłości. Odwróciłem się, by zwymiotować w błoto.

Z gorzkim smakiem w ustach i oczami zalanymi łzami, oddychając mocno i głośno, wróciłem do tego makabrycznego zajęcia. W końcu zdołałem zsunąć kask i obnażona czaszka mężczyzny gwałtownie opadła na ziemię. Popatrzyłem na brodatą twarz Jima Halsteada, trenera z „La Casa de los Ninos”. Jego usta pokryła już śmiertelna bladość. Pośmiertna maska tworzyła szyderczy uśmiezek. Pod wpływem siły lądowania po ostatnim w życiu swobodnym locie mężczyzna odgryzł sobie język. Oderwany koniuszek spoczywał na jego włochatym policzku niczym tłusta larwa. Oczy były otwarte i puste, białka zalane krwią. Mój napastnik zapłakał przed śmiercią karmazynowymi łzami.

Odwróciłem od niego wzrok i kilka metrów po prawej stronie zobaczyłem błyszczący przedmiot oświetlony promieniami słońca. Podeszedłem, znalazłem broń i zbadałem ją – platerowana chromem trzydziestka ósemka. Wziąłem ją i wsunąłem sobie za pasek spodni.

Teren u moich stóp promieniował gorącem i śmierdział spalenizną. Skrzepła smoła. Toksyczne odpady. Śmieci nie ulegające biodegradacji. Poliwinylowa roślinność. Na twarzy Halsteda wylądowała sójka i zaczęła dziobać skórę w okolicach oczu.

Znalazłem wielki, brudny kawał szmaty oblepionej drobinami zaschniętego cementu. Zbliżyłem się do trupa, płosząc ptaka. Przykryłem ciało materiałem, obciążylem w narożnikach wielkimi kamieniami i wróciłem do samochodu.

Rozdział 27

Pojechałem pod adres Tima Krugera, otrzymany od recepcjonistki z „La Casa”. Budynek był brudnobiałym wieżowcem mieszkalnym. Znajdował się na Ocean Avenue, w odległości mniej więcej kilometra od miejsca, gdzie zamordowano Handlera i Elenę Gutierrez.

Hol wejściowy przypominał kryptę z marmurowymi podłogami i lustrami, umeblowaną jedną białą bawełnianą sofą i dwiema sztucznymi roślinami w wiklinowych koszach. Górną połowę jednej ze ścian wypełniały ułożone alfabetycznie mosiężne skrzynki pocztowe. Dość szybko zlokalizowałem mieszkanie Krugera na dwunastym piętrze. Wjechałem cichą windą obitą szarą miękką tkaniną wygłuszającą i wysiadłem na korytarzu udekorowanym pluszowym dywanem w kolorze kobaltowego błękitu i zieloną tapetą.

Apartament Krugera znalazłem w północno-zachodnim narożniku budynku. Zastukałem w kobaltowo-błękitne drzwi.

Otworzył Tim, ubrany w szorty do joggingu i podkoszulek z napisem „La Casa de los Ninos”. Ciało mężczyzny lśniło od potu i było nim przesiąknięte, jak po długich ćwiczeniach. Gdy mnie zobaczył, z trudem ukrył zaskoczenie.

– Dzień dobry, doktorze – wymamrotał scenicznym głosem.

Nagle zobaczył broń w moim ręku i na jego twarzy pojawił się brzydki grymas.

– Co, do...

– Chcę tylko wejść – przerwałem mu.

Cofnął się do środka. Wszedłem za nim. Mieszkanie było małe o niskim suficie opryskanym gipsowym tynkiem z połyskiem. Ściany i dywan w kolorze beżowym. Mebli było niewiele, wszystkie wyglądały na wypożyczone. Za szklaną ścianą rozciągał się panoramiczny widok na zatokę Santa Monica. Gdyby nie ten krajobraz, pomieszczenie przypominałoby więzienną celę. Na ścianach nie było obrazów ani zdjęć, tylko jeden obramowany plakat z mistrzostw zapaśniczych na Węgrzech. Po jednej stronie pokoju znajdowała się mała nisza kuchenna, po drugiej korytarzyk.

Sporą część salonu zajmował sprzęt sportowy – narty i buty narciarskie, para woskowanych drewnianych wiosel, kilkanaście rakiet tenisowych, komplety butów do biegania, plecak alpinisty, piłki do futbolu i do koszykówki, łuk i kołczan ze strzałami. Pomalowany na beżowo ceglany gzyms stanowił podstawę dla tuzina trofeów.

– Jesteś wysportowanym chłopcem, Tim.

– Czego, do cholery, pan chce? – Żółtawobrazowe oczy śmigały po pokoju niczym piłeczki pingpongowe.

– Gdzie jest dziewczynka?...Melody Quinn?

– Nie wiem, o kim pan mówi. Niech pan odłoży broń.

– Dobrze wiesz, gdzie jest mała. Wraz ze swoimi kolesiami mordercami uprowadziliście ją z domu przed trzema dniami, ponieważ była świadkiem waszej brudnej roboty. Ją też wykończyliście?

– Nie jestem mordercą. Nie znam żadnej dziewczynki nazwiskiem Quinn. Jest pan pomyłony.

– Nie jesteś mordercą? Jeffrey Saxon mógłby się z tym nie zgodzić.

Jego usta otworzyły się, potem nagle zamknęły.

– Przesadził pan. Arogancją z pańskiej strony była myśl, że nikt się nie dowie o pańskich kłamstwach.

– Kim pan, do cholery, jest?

– Mówiłem ci, kim jestem. A kim ty jesteś? Bogatym chłopaczkiem, który ciągle pakuje się w kłopoty? Okrutnym facetem, który bije małych garbusków i z lubością czeka na dziecięce łzy? A może tylko amatorem, który pragnąłby zostać Kubą Rozpruwaczem?

– Niech pan nie próbuje mnie obarczać winą za to wszystko! – Zacisnął dłonie w pięści.

– Ręce do góry! – Zamachałem bronią.

Posłuchał, bardzo powoli prostując muskularne, brązowe ramiona i podnosząc je nad głowę. Odwrócił w ten sposób moją uwagę od swoich stóp i wykonał nimi szybki ruch.

Kopnął mnie w nadgarstek i na moment sparaliżował moje palce. Rewolwer wypadł mi z dłoni i z łoskotem wylądował na dywanie. Skoczyliśmy po niego równocześnie, staczając walkę na podłozie. Okładaliśmy jeden drugiego pięściami, kopaliśmy i drapaliśmy. Nie czułem bólu, a jedynie wściekłość. Pragnąłem zetrzeć na miazgę mojego przeciwnika.

Tim Kruger miał stalowe mięśnie. Odniosłem wrażenie, że zmagam się z metalowym robotem. Wbiłem mu pięści w brzuch, który był niesamowicie twardy. Dźgnąłem go w żebra. Gwałtownie szarpnęło nim w tył, lecz natychmiast się odbił – niczym na sprężynach – i uderzył mnie pięścią w szczękę. Cios pozbawił mnie równowagi na dłuższą chwilę, w trakcie której napastnik złapał mnie za głowę, zastosował zapaśniczy chwyt i trzymał umiejętnie z dala od siebie; machałem ramionami, lecz okazały się za krótkie.

Mężczyzna chrząknął i zwiększył nacisk. Odniosłem wrażenie, że zaraz pęknie mi głowa. Zrobiło mi się ciemno przed oczami i tylko waliłem bezradnie w twarde ciało przeciwnika. Tim wykonywał przede mną łagodne, kocie ruchy. Znajdował się poza moim zasięgiem, a równocześnie ścisnął mnie coraz silniej. Potem zaczął mi odciągać głowę w tył. Wiedziałem, że jeszcze kilka centymetrów

i moja szyja trzaśnie. Nagle zrozumiałem, co czuł Jeffrey Saxon. Zebrałem resztki sił i mocno wałnąłem Krugera obcasem w podbicie stopy. Krzyknął i odruchowo wypuścił mnie z objęć. Później spróbował na nowo założyć chwyt, na szczęście spóźnił się. Kopniakiem wykręciłem napastnikowi głowę w bok, dodałem jeszcze kilka prędkich, prostych ciosów pięścią w podbrzusze. Kiedy mężczyzna zgiął się w pół, rąbnąłem go w kark. Opadł na kolana, ale nie zamierzałem ryzykować – miałem przecież do czynienia z niezwykle silnym człowiekiem i specjalistą od sztuk walki. Kopnąłem go w twarz. Miałem przewagę. Postawiłem stopę u nasady jego nosa. Teraz wystarczyłby jeden szybki ruch do przodu i rozkwasiłbym mu gębę. Ostrożność okazała się zbędna. Tim Kruger leżał nieprzytomny.

W plecaku znalazłem zwój grubej nylonowej liny, przewróciłem mężczyznę na brzuch i związałem mu stopy i ręce na plecach. Sprawdziłem węzły, zacisnąłem je mocno i odciągnąłem ciało od wszystkiego, co mogłoby mu posłużyć jako broń. Podniosłem trzydziestkę ósemkę i poszedłem do kuchni, gdzie w chłodnej wodzie zamoczyłem ręcznik.

Po kilku minutach zimnych okładów i poklepywań wilgotnym ręcznikiem Kruger tylko na wpół świadomie jęknął, toteż wróciłem do kuchni, zdjąłem z ociekacza ciężki dzbanek, napełniłem go wodą i chlusałem zawartością mężczyźnie w twarz. Natychmiast się ocknął.

– Och, Jezu – zaskomlał. Próbował się szarpać, zgrzytał zębami, w końcu zrozumiał, że nie da rady się uwolnić. Położył się spokojnie i sapał z wysiłku.

Dźgnąłem go w pośladek końcem lufy rewolweru.

– Lubi pan sporty, Tim. Ma pan szczęście, ponieważ w więzieniach zwykle pozwalają ludziom ćwiczyć. Bez ćwiczeń czas biegnie bardzo powoli. Musisz mi jednak odpowiedzieć na kilka pytań. Jeśli to, co usłyszę, mnie nie zadowoli, trochę cię pokaleczę. Po kawaleczku. Najpierw strzelę ci tutaj. – Przycisnąłem zimną stal do ciepłego ciała. – Potem twoja noga nie na wiele ci się już przyda. Później strzelę ci w drugi pośladek. Są jeszcze palce, nadgarstki, łokcie. Zamienię cię w warzywo.

Ze zdziwieniem słuchałem własnych słów. Nie wiedziałem, że stać mnie na takie groźby. Wcześniej nigdy nikogo nie musiałem straszyć.

– Co pan chce wiedzieć? – Mówił niewyraźnie z powodu strachu i niewygodnej pozycji.

– Gdzie jest Melody Quinn?

– W „La Casa”.

– Gdzie w „La Casa”?

– W pomieszczeniach magazynowych. Blisko lasu.

– W tych budynkach z kruszywa żużlowego? W tych, o których nie chciałeś mi powiedzieć, kiedy mnie oprowadzałeś?

– Tak.

– W którym? Są chyba cztery.

– W ostatnim... najdalszym od frontu.

Na dywanie pojawiła się ciemna plama. Powiększała się. Najwyraźniej mój młody rozmówca się zmoczył.

– Jezu – mruknął.

– Kontynuujmy, Tim. Dobrze sobie radzisz.

Skinął głową, pozornie zadowolony z pochwały.

– Czy dziewczynka nadal żyje?

– Tak, o ile wiem. Kuzyn Will... To znaczy doktor Towle chciał ją zachować przy życiu. Gus i sędzia zgodzili się. Nie wiem, jak długo mała pożyje.

– Co z jej matką?

Zamknął oczy i milczał.

– Mów albo strzelę ci w nogę.

– Nie żyje. Zabił ją facet, którego posłali po małą. Kobietę zakopali na Łące.

Przypomniałem sobie trawiasty obszar na północnym krańcu „La Casa”. „Latem chcielibyśmy stworzyć tam ogród warzywny” – powiedział mi wtedy Kruger...

– Co to za człowiek?

– Szaleniec. Kuternoga... jednostronnie sparaliżowany. Gus nazywa go Earlem.

Imię nic mi nie mówiło, ale opis pasował do osoby.

– Dlaczego to robi?

– Nie znam wszystkich szczegółów.

– Wykonuje polecenia McCaffreya?

Kruger milczał. Przycisnąłem lufę do pośladka. Udo mężczyzny zadrżało.

– Tak. Nie potrafi działać sam.

– Gdzie jest teraz ten Earl?

Dłuższe wahanie. Bez zastanowienia trzasnąłem rewolwerem w rzepekę kolanową mężczyzny. Jego

oczy rozszerzyły się z zaskoczenia i bólu, po czym popłynęły z nich łzy.

– Och, Boże!

– Nie bądź taki religijny. Mów!

– Nie ma go już. Nie żyje. Gus kazał Halsteadowi zderzyć z Earla skórę... tuż po zakopaniu kobiety. Earl zasypywał grób i Halstead uderzył go szpadlem, pchnął do dziury i oboje przysypał ziemią. Wraz z Gusem śmiali się z tego później. Halstead powiedział, że kiedy uderzył Earla w głowę, rozległ się pusty dźwięk. Zwykle tak mówili za plecami tego faceta... Nazywali go kuternogą, zdefektowanym facetem...

– Złośliwy koleś z tego Halsteada.

– Tak. Rzeczywiście. – Oblicze Krugera rozjaśniło się, a on sam się rozgadał. – Ściga także pana. Bo pan węszy wokół nich. Gus nie wiedział, jak dużo zdradził dzieciak. Daję panu cynk, niech pan to zauwa...

– Dzięki, przyjemniaczku, na szczęście Halstead nie stanowi już zagrożenia. Dla nikogo.

Podniósł na mnie oczy. Odpowiedziałem na nie wypowiedziane pytanie szybkim kiwnięciem głową.

– Jezu – mruknął załamany.

Nie dałem mu czasu na zastanowienie.

– Dlaczego zabiliście Handlera i Gutierrez?

– Powiedziałem panu, że nikogo nie zabiłem. Zrobili to Halstead i Earl. Gus kazał im upozorować morderstwo na napad seksualnego zbrojnego. Trener opowiadał mi później, że Earl jest stworzony do tej roboty... Ponoć kroił ich powoli i bardzo się z tego cieszył. Najbardziej podobała im się zabawa z nauczycielką. Halstead trzymał ją, a Earl ciął.

Pamiętałem, co powiedziała Melody. „Dwóch mężczyzn, może trzech”.

– Też tam byłeś. Tim.

– Nie. To znaczy byłem. Podwoziłem ich. Z wyłączonymi reflektorami. Była ciemna noc. Zero księżycy, zero gwiazd. Objechałem parking, potem przyszło mi do głowy, że ktoś mnie może zauważyć, więc przejechałem się do Palisades i wróciłem. Ciągle ich nie widziałem... Zastanawiałem się, dlaczego tak marudzą. Znowu odjechałem, trochę pojeździłem, a gdy wróciłem, właśnie wychodzili. Byli ubrani na czarno. Jak demony. Widziałem krew, nawet na czerni. Śmierdzili krwią. Rozróżniałem plamy. Ciemne, tak jak ubranie, ale trochę inne... No, wie pan, lśniące. Mokre.

„Ciemni mężczyźni – mówiła Melody. – Dwóch, może trzech.

Kruger umilkł.

– To nie koniec historii, Tim.

– Ależ tak. Rozebrali się w samochodzie i wepchnęli ciuchy wraz z nożem do worka marynarskiego. Spaliliśmy wszystko w jednym z kanionów: ubrania, worek... To, co zostało, rozrzučiliśmy z molo w Malibii. – Znowu przerwał opowieść. Zabrakło mu tchu. – Nikogo nie zabiłem.

– Mówili coś w samochodzie?

– Halstead milczał jak kamień. Zaniepokoiło mnie, że wygląda na takiego wyglupionego, bo to twardy facet. Ta historia o dzieciaku, który wyciągnął na niego nóż, to bzdura. Z Manual Arts High wyrzucili go za pobicie paru uczniów. Nieźle ich ponoć sprął... Przedtem wylali go z marines. Ten facet naprawdę kochał przemoc. Jednak zdarzenia w tamtym mieszkaniu wyraźnie nim wstrząsnęły. Milczał, a nie miał tego w zwyczaju.

– A Earl?

– Earl był, hmm... inny. Dziwny. Oblizywał wargi, kołysał się w przód i w tył jak autystyczne dziecko. Stale coś bełkotał, powtarzał w kółko: „A to sukinsyn”. Przedziwna postać. Pomylenieć. W końcu Halstead kazał mu się zamknąć, wtedy tamten odwrzasnął coś po hiszpańsku. Dużo gadał w tym języku. Halslead ryknął na niego i przyszło mi do głowy, że ci dwaj zaraz się porozrywają na strzępy. Czułem się, jakbym wiózł dwie bestie w klatkach. Uspokajałem ich, pocieszałem, wspominałem Gusa. Nie mogłem się doczekać, by się od nich uwolnić. Typowi psychopaci. Obaj.

– Oszczędź mi tej uczonej gadki i powiedz, jak zabiliście Bruna.

Popatrzył na mnie, ponownie przestraszony.

– Zdawało mi się, że wszystko pan wie.

– Uzupełnię sobie braki. – Zamachałem bronią w powietrzu. – Bruno!

– My... Zrobili to tamtej nocy po wykończeniu doktora i nauczycielki. Halstead nie chciał brać ze sobą Earla, Gus jednak nalegał. Powiedział, że do takiej roboty potrzeba dwóch ludzi. Miałem wrażenie, że podjudzał ich przeciwko sobie. W ogóle mnie tam nie było. Halstead prowadził i on też zabił. Użył kija baseballowego ofiary. Słyszałem, jak po powrocie zdawał Gusowi relację. Sprzedawca akurat jadł kolację, więc pobili go na śmierć przy stole, a później Earl zjadł resztę jego posiłku.

Kruger obarczył tymi zbrodniami mężczyzn, którzy już nie żyli. Bardzo mądrze. Trochę mi to nie pasowało i powiedziałem mu o tym.

– Tak to się odbyło. Nie mówię, że jestem całkowicie bez winy. Wiedziałem przecież, co zamierzają zrobić, kiedy wiozłem ich do mieszkania psychiatry. Dałem im nawet klucz. Ale nikogo nie zabiłem!

– Skąd miałeś klucz?

– Kuzyn Will mi go dał. Nie wiem, skąd go wziął.

– W porządku. Wróćmy do zabitej pary. Po co taka masakra?

– Przypuszczałem, że pan wie...

– Nie przypuszczaj, tylko mów!

– Dobra, dobra. Chodziło o Brygadę. To była przykrywka dla pedofilów molestujących dzieci. Psychiatra i dziewczyna dowiedzieli się wszystkiego i szantażowali kogo trzeba. Byli głupi, skoro sądzą, że ujdzie im to na sucho.

Przypomniałem sobie zdjęcia, które Milo pokazał mi pierwszego dnia. Para szantażystów zapłaciła za swoją głupotę o wiele za wysoką cenę.

Wyrzuciłem z głowy krwawe obrazy i skupiłem się na Krugerze.

– Wszyscy Dżentelmeni to zbrodźcy?

– Nie. Mniej więcej jedna czwarta. Reszta naprawdę chce pomóc dzieciom. W ten sposób pedofilom łatwiej się wśród nich ukryć.

– Dzieci nigdy nie rozpowiadały?

– Do tej pory nie... Starannie wybieraliśmy malców, których zbrodźcy zabierali do domu. Przeważnie były to dzieci, które nie mogły się wygadać. Upośledzone psychicznie albo nie mówiły po angielsku, albo poważnie opóźnione w rozwoju. Gus lubił sierotki, ponieważ nie miały rodzin i nikt ich nie szukał.

– Czy Rodney znajdował się wśród wybranych dzieci?

– Aha.

– Jego strach przed lekarzami ma coś wspólnego z molestowaniem?

– Cóż, jeden z pedofilów obszedł się z nim trochę zbyt ostro. Jakiś chirurg. Gus ostrzega wszystkich, żeby byli ostrożni. Nie chce ranić dzieciaków... Uszkodzony towar nie jest zbyt wiele wart. Niestety, nie zawsze się to udaje. Ci faceci są nienormalni, wie pan...

– Wiem. – Zalał mnie gniew i straszliwe oburzenie. Nie potrafiłem już jasno myśleć. Miałem ochotę skopać Krugerowi mordę. Pewnie poczułbym satysfakcję, lecz musiałem sobie odmówić tej

przyjemności...

– Nie należę do nich – mówił to takim tonem, jakby chciał przekonać samego siebie. – Uważam ich postępowanie za coś odrażającego. Naprawdę.

Schyliłem się i chwyciłem go za gardło.

– Nie buntowałeś się. Jesteś ich współnikiem, dupku!

Jego twarz spurpurowiała, oczy niemal wyskoczyły z orbit. Puściłem go. Uderzył głową w podłogę, lądując na nosie, z którego pociekła krew. Kruger zwinął się w kłębek.

– Tak, pewnie uważasz, że jesteś w porządku! Wypełniałeś jedynie rozkazy!

– Pan nie rozumie! – Załkał. Łzy zmieszały mu się pod nosem ze strużką krwi, tworząc na chwilę iluzję zajęczej wargi. Rzeczywiście był niezłym aktorem. – Gus zajął się mną, kiedy reszta... moi tak zwani przyjaciele i członkowie rodziny, wszyscy... odwrócili się ode mnie po śmierci Saxona. Myśl pan sobie, co chcesz, ale to nie było morderstwo. Po prostu... wypadek. Saxon nie był niewinną ofiarą. Chciał mnie zabić! Proszę mi uwierzyć!

– Nie ma go już wśród żywych, więc nie potwierdzi twoich słów.

– Cholera, nikt mi nie wierzy! Z wyjątkiem Gusa. Gus wiedział, co mogło się zdarzyć na sali. Wszyscy gadali, że przyniosłem wstyd rodzinie, nazywali mnie czarną owcą i tak dalej. A Gus dał mi odpowiedzialne stanowisko. Pracowałem dla niego jak szalony... Pokazałem mu, że jestem dobry. I to bez dyplomu. Wszystko było idealnie, świetnie się spisywałem w „La Casa”. Jak...

– Nie musisz mi reklamować swojej osoby, Tim. Nie zatrudniam zbirów i dewiantów. Chcę tylko odpowiedzi na pytania.

– Niech pan pyta – odparł słabo.

– Jak długo Brygada stanowi przykrywkę dla pedofilów?

– Od początku.

– Dokładnie tak samo jak w Meksyku?

– Tak. Z tego, co słyszałem, tamtejsza policja o wszystkim wiedziała. Wystarczyły regularne łapówki dla kilku osób. Meksykanie pozwalali Gusowi sprowadzać bogatych biznesmenów z Acapulco. Z dziećmi bawili się nawet Japończycy, Arabowie... Miejsce nosiło nazwę Chrześcijańskiego Domu Ojca Augustino... Nie wiem, jak to brzmi po hiszpańsku... Ośrodek istniał przez długi czas, aż nagle wybrano nowego komisarza policji, podobno zagorzałego fanatyka religijnego. Wtedy trzeba było przerwać działalność. Gus twierdzi, że ten facet zdarł z niego tysiące dolarów, a później wystawił go do wiatru i kazał zamknąć dom dziecka. Gus przyjechał tutaj i zorganizował wszystko od początku. Przywiózł ze sobą pomyłonego Earla.

– Earl był jego chłoptasiem w Meksyku?

– Taaa. Pewnie odwał tam za niego brudną robotę. W każdym razie chodził za Gusem jak piesek salonowy. Mówił po hiszpańsku jak Meksyk... Chcę powiedzieć, że akcent miał idealny, tyle że bełkotał jakieś bzdury. Kurczę, człowieku, jak gdyby miał uszkodzony mózg. Robot z poluzowanymi śrubkami.

– Ale McCaffrey i tak kazał go zabić.

Kruger mimo więzów starał się wzruszyć ramionami.

– To w stylu Gusa. Zimny z niego drań. Kocha władzę. Wejdziesz mu pan w drogę, a jesteś skończony. Frajerzy nie mają u niego szans.

– W jaki sposób zdołał tak szybko założyć dom dziecka w Los Angeles?

– Koneksje.

– Kuzyna Williego?

Kruger zawahał się. Ukłułem go trzydziestką ósemką.

– Nie. Sędziego Haydena. Innych facetów. Od jednego droga wiodła do drugiego. Każdy znał przynajmniej jednego innego psychola. Zdziwiający, że jest ich tak wielu. Kuzyn Will też mnie zaskoczył, bo wydawało mi się, że naprawdę dobrze go znam. Zawsze wydawał mi się taki pedantyczny i świętszy nawet od pana. Moją rodzina stawiała mi go za wzór do naśladowania... Wspaniały wytworny kuzyn z tytułem doktorskim. – Roześmiał się chrapliwie. – A tu nagle taka nowina. Facet zabawia się z maluchami. „Gorzki” rehot. – Chociaż nigdy nie widziałem, jak Towle zabiera do domu dziecko... A przecież to ja tworzyłem harmonogramy. Nigdy nie było jego nazwiska. Wiem jedynie, że zajmował się rannymi dziećmi. Dzwoniliśmy po niego i przyjeżdżał. Jest chyba jednak równie zboczony jak reszta, skoro toleruje pedofilię ludzi Gusa?

Zignorowałem pytanie i zadałem własne.

– Jak długo Handler i Gutierrez go szantażowali?

– Przez kilka miesięcy. Jak już panu mówiłem, wybieraliśmy dzieciaki, które nie powinny się wygadać. Niestety, jedno dziecko źle oceniliśmy. To był chłopiec, sierota, z pozoru idealny. Wszyscy sądzili, że jest niemową. Jezu, ani razu się do nas nie odezwał. Robiliśmy mu testy mowy i słuchu... Rząd płaci za takie rzeczy. Wyniki wskazywały na całkowitą niemotę. Byliśmy pewni tego dzieciaka i srogo się pomyliliśmy. Okazało się, że mały mówi całkiem dobrze. Opowiedział mnóstwo szczegółów swojej nauczycielce. Dziewczyna nie wiedziała, co robić, więc zgłosiła całą sprawę kuzynowi Willowi, który jest przecież dziecięcym pediatrą. Nie miała pojęcia, że jest osobiście zamieszany w tę szmatławą sprawę. No a Towle powiedział Gusowi.

A Gus zabił chłopca. Cary'ego Nemetha.

– Co dalej?

– Ja... Musimy o tym rozmawiać?

– Jasne, że tak, cholera! Jak to się stało?

– Pchnęli małego pod ciężarówkę. Wyciągnęli go z łóżka w środku nocy. Było chyba około północy. Ciemno, wokół ani żywej duszy. Postawili dzieciaka na szosie i kazali mu iść przed siebie. W samej pidżamce. Pamiętam tę pidżamę. Żółta, cała w piłki i rękawice do baseballu. Mógłbym... Gdybym nawet spróbował go uratować, nie udało by mi się. Dzieciak za dużo wiedział, więc musiał zginąć. Proste jak drut. Postawiłbym się im, a oni i tak by to zrobili, tyle że nieco później. Potem prawdopodobnie zabiliby też mnie. Ale nie podobało mi się, że mordują takie małe dziecko. I to z zimną krwią. Zacząłem coś mówić, lecz Gus ścisnął mnie za ramię i warknął, żebym się zamknął. Miałem ochotę wrzeszczeć. Dzieciak szedł sobie drogą, całkiem sam, na wpół śpiący, jakby śnił. Umilkłem. Halstead wsiadł za kierownicę ciężarówki, ruszył drogą. Słyszałem, jak zwiększa obroty. Widziałem, jak pędzi z włączonymi reflektorami. Uderzył dzieciaka z tyłu... Mały nawet nie wiedział, co się stało, bo na wpół spał... – Przerwał, zasapał się i zamknął oczy. – Gus najpierw od razu chciał zabić nauczycielkę, później jednak zdecydował, że trzeba sprawdzić, czy komuś się nie wygadała. Kazał Halsteadowi za nią łązić. Trener poszedł do jej mieszkania, lecz dziewczyny nie zastał. Była tylko jej współlokatorka. Halstead chciał ją porwać, przycisnąć i wypytać, czy coś wie. Nagle zobaczył, że nauczycielka wraca z jakimś facetem, który niesie jej paczki. To był Handler. Wyglądali na zaprzyjaźnionych. Halstead poinformował o sprawie Gusa. Sytuacja się skomplikowała. Gus i jego ludzie obserwowali tę parę. Kiedyś widzieli, jak oboje spotkali się z Brunem. Znaliśmy Bruna. Był ochotnikiem w „La Casa”. Taki wielki, wspaniały facet. Bardzo otwarty i spontaniczny. Dzieciaki go uwielbiały. Uznaliśmy go za szpiega. A więc już trzy osoby należało uciszyć... Telefony zaczęły się w kilka dni później. Dzwonił właśnie Bruno. Zmieniał głos, ale rozpoznaliśmy go. Mówił, że ma kasety z opowieścią tego dzieciaka, Nemetha. Nawet posłuchaliśmy ich przez kilka sekund. Cała trójka to byli amatorzy, nie wiedzieli więc, że Gus ma ich od pewnego czasu na celowniku. Sprawa wydawała się taka prozaiczna...

„Prozaiczny” to rzeczywiście odpowiednie słowo. Weźmy taką Elenę Gutierrez. Ładna, miła dziewczyna z latynoskiej dzielnicy. Atrakcyjna, rezolutna, trochę materialistka, choć równocześnie niezwykle serdeczna. Utalentowana nauczycielka. Przygłębia ją własna praca, czuje, że się wypaliła, szuka pomocy. Rozpoczyna terapię u Mortona Handlera, doktora medycyny, nie tylko psychiatry, ale i psychopaty. Trafia do jego łóżka, lecz nie przestaje mu się zwierzać ze swoich problemów, zwłaszcza opowiada o tym najpoważniejszym – o chłopcu, który dotąd nie mówił, aż nagle się odezwał i opowiedział jej, Elenie, straszliwe rzeczy o okropnych ludziach, którzy zadają mu ból. Chłopiec otworzył się przed panną Gutierrez, ponieważ była wrażliwa i wyrozumiała. „Posiadała prawdziwy dar – powiedziała mi Raquel Ochoci. – Potrafiła poruszyć ich umysły. Miała talent do pracy z dziećmi, z którymi nikt inny nie umiał pracować”. Za ten talent Elena zapłaciła najwyższą cenę: straciła życie. Ponieważ to, co dla niej było ludzką tragedią, Mortonowi Handlerowi skojarzyło się z dobrym interesem. Brzydkie sprawy w szacownej instytucji... Czy istnieje bardziej pikantna rzecz?

Tak pomyślał Handler, choć najwyraźniej początkowo zatrzymał tę opinię dla siebie. Przecież, koniec końców, dzieciak mógł to wszystko wymyślić. Może Elena zareagowała zbyt gwałtownie –

znamy kobiety, zwłaszcza Latynoski... Poradził swojej dziewczynie, by dalej rozmawiała z chłopcem, podkreślił, że Elena bardzo pomaga małemu, jest dla niego źródłem wsparcia...

Handler czekał na właściwy moment.

Elena spytała go, czy powinna kogoś poinformować o sprawie. „Poczekaj, moja droga, bądź ostrożna, aż się dowiesz więcej” – odpowiedział Handler. Jednak dziecko błagało o pomoc, „zli ludzie ciągle po niego przychodzą...” Elena postanowiła zadzwonić do lekarza Cary’ego. I w ten sposób podpisała wyrok śmierci na malca.

Gdy usłyszała o śmierci dziecka, zaczęła podejrzewać straszliwą prawdę. Rozkleiła się. Handler podał jej środki uspokajające, pocieszał. Przez cały czas jego psychopatyczny umysł pracował na zwiększonych obrotach. Teraz Handler wiedział już na pewno, że na tej sprawie może zarobić.

Wybrał Maurice’a Bruna: byłego pacjenta, też psychopatę, prawdziwego przyjemniaczka, teraz współnika. Handler zwerbował Bruna?, oferując mu procent od zysku za działalność w Brygadzie Dżentelmenów i zdobycie jak najwięcej informacji. Nazwiska, miejsca, daty. Elena chciała zadzwonić na policję. Handler uspokoił ją kilkoma pigułkami i ustnymi zapewnieniami. „Policjanci nic tu nie pomogą, moja droga – mówił. – Działają bowiem nieskutecznie. Zlekceważą nas. Wiem to z doświadczenia”. Powoli, stopniowo, Handler nakłonił ją do projektu szantażu. Zapewnił dziewczynę, że taka kara będzie dla pedofilów najdotkliwsza. „Uderzmy ich w czułe miejsce” – zachęcał. Elena słuchała, niepewna i zmieszana. Początkowo uważała, że postępuje źle, ponieważ nie wolno zarabiać na śmierci bezbronnego, małego chłopca, potem jednak pomyślała, że przecież i tak nic nie przywróci malcowi życia, a Morton na pewno zna się na tych sprawach. Handler był bardzo przekonujący, a poza tym Elena uświadomiła sobie, że będzie sobie mogła wreszcie pozwolić na upragnionego datsuna 280 ZX i na stroje, które widziała w zeszłym tygodniu w sklepie Neimana-Marcusa. Nie stać jej było na takie rzeczy z pensji, którą odbierała w tej przeklętej szkole. Kto, do diabła, zrobił dla niej cokolwiek? „Zawsze wypatruj numeru pierwszego” – powtarzał jej Morton i na pewno wiedział, o czym mówi...

– Earl i Halstead szukali kaset – kontynuował Kruger – gdy już zwiążali tę parkę. Potem ich torturowali, aby skłonić do wyjawienia miejsca, w którym je ukryli. Żadne z nich nie powiedziało. Halstead poskarżył się później Gusowi, że zdołałby je od nich wydostać, ale Earl za szybko zaczął wymachiwać nożem. Handler natychmiast umarł z podciętym gardłem, a wtedy dziewczyna kompletnie zgłupiała. Zaczęła krzyczeć i musieli ją zakneblować. Krztusiła się, więc Earl ją wykończył.

– W końcu jednak znalazłeś te taśmy, prawda, Timmy?

– Tak. Dziewczyna schowała je u matki. Dostałem je od jej brata ćpuna. Użyłem drągów jako łapówki.

– Podaj mi więcej szczegółów.

– Para szantażowała Gusa. Zapłacił im raz czy dwa razy... Duże kwoty, widziałem grube zwitki banknotów... Zapłacił im, by poczuli się pewnie. Ale od początku nie mieli szans. Nie odzyskaliśmy

pieniędzy, nie sędzę jednak, żeby miały znaczenie. Stanowią kroplę w morzu. Zresztą, Gusowi chyba nie zależy na pieniądzu. Żyje prosto, je skromnie. Do „La Casa” spływa codziennie sporo dolców. Od rządu... i stanowego, i federalnego. Są też prywatne dotacje. Nie mówiąc o tysiącach, które panowie zboczeńcy płacą Gusowi za swoje przyjemności. Część chowa, chociaż nigdy nie widziałem, żeby zrobił coś ekstrawaganckiego. Gus pragnie władzy, nie szmalu.

– Gdzie są te kasety?

– Dałem je Gusowi.

– Nie żartuj sobie.

– Naprawdę mu je dałem. Wysłał mnie po nie, więc mu je dostarczyłem.

– Hmm, to kolano wygląda na mocne. Ciekawe, czy wytrzyma pewien zabieg. – Nastąpiłem mu na rzepkę i zacząłem naciskać. Kruger szarpnął się. Najwidoczniej go zabolalo.

– Zaczekaj. Zrobiłem kopie. Musiałem. Na wszelki wypadek. Zabezpieczenie, rozumie pan? Gdyby Gus chciał mnie któregoś dnia wyrzucić... Jestem jego ulubieńcem, lecz to się może zmienić, prawda?

– Więc gdzie są te kasety?

– W sypialni. Przymocowane do materaca. Od spodu.

– Nigdzie nie odchodź. – Zdjąłem stopę z jego nogi.

Zazgrzytał zębami jak schwyty w sieć rekin.

We wskazanym miejscu znalazłem trzy nie opisane kasety magnetofonowe, włożyłem je do kieszeni i wróciłem.

– Podaj mi więcej nazwisk. Pedofilów z Brygady. Tych, którzy napastowali dzieci.

Wyrecytował długą litanie niczym dziecko przemawiające podczas bierzmowania. Automatycznie. Nerwowo. W sposób zbyt wyćwiczony.

– Chcesz mi coś jeszcze powiedzieć?

– Czy to nie wystarczy?

Miał rację. Wymienił sławnego reżysera filmowego, zastępcę prokuratora okręgowego, polityczną szychę – człowieka zza kulis, który przepychał się do przodu, znanych radców prawnych, lekarzy, bankierów, szefów wielkich biur nieruchomości. Mężczyzn, o których pisano, gdy ofiarowali kwoty na cele charytatywne albo zdobywali laury za działalność społeczną. Mężczyzn poważanych i szanowanych. Ned Biondi z pewnością będzie umiał wykorzystać podane przez Krugera informacje.

– Kiedy policja cię zapyta, pewnie zapomnisz o tym wszystkim, co, Tim?

– Nie! Dlaczego miałbym tak postąpić? Jeśli zacznę współpracować z policją, może ocalę skórę?

– Nie wywiniesz się. Lepiej od razu się z tym pogódź. Ale przynajmniej – dodałem – nie będziesz musiał nawozić ogródka warzywnego McCaffreya.

Zastanowił się nad moimi słowami. Trudno dziękować Bogu, gdy sznury wrzynają się w nadgarstki i kostki.

– Proszę posłuchać – oświadczył – pomogłem panu. Niech mi pan pomoże dogadać się z policją. Będę współpracował... I nikogo nie zabiłem.

Władza, którą mi przypisywał, nie istniała. Ale i tak skorzystałem z okazji.

– Zrobię, co będę mógł – obiecałem wspaniałomyślnie – jednak wiele zależy od ciebie. Jeśli Melody Quinn wyjdzie cała i zdrowa z opresji, wstawię się za tobą. Jeśli dziewczynka zginie, będziesz musiał sobie radzić sam.

– W takim razie jedźmy po nią, na litość boską! Wyciągnijmy ją stamtąd! Nie daję jej więcej niż dzień życia. W końcu Gus na pewno zechce się pozbyć niewygodnego świadka i mała zginie. Wypadek. Nikt nigdy nie znajdzie ciała. To tylko kwestia czasu. Gus jest pewny, że to dziecko widziało zbyt wiele.

– Powiedz mi wszystko, co muszę wiedzieć, aby ją uratować.

Popatrzył w bok.

– Okłamałem pana. Dziewczynkę trzymają nie w ostatnim, lecz w przedostatnim budynku. Za błękitnymi drzwiami. Metalowymi. Mam klucz w kieszeni jasnobrązowych spodni, które wiszą w szafie w pokoju obok.

Zostawiłem go, przeszukałem spodnie i wróciłem z kluczem.

– Świetnie sobie radzisz, Tim.

– Jestem po prostu po pana stronie. Proszę mi tylko pomóc.

– Ktoś jej pilnuje?

– Nie, nie ma takiej potrzeby. Will podaje jej środki uspokajające. Mała przeważnie śpi. Czasem wysyłają kogoś, by ją nakarmił i umył. Jest przywiązana do łóżka. Barak jest masywny, betonowy. Można wejść tylko w jeden sposób – drzwiami. Jest pojedyncze otwarte okienko, ale to świetlik. Gdyby go zamknęli, dziewczynka udusiłaby się w czterdzieści osiem godzin.

– Czy Towle zawsze wchodzi do „La Casa”, nie wzbudzając podejrzeń?

– Jasne. Tak jak panu mówiłem, kuzyn Will pełni całodobowe dyżury na wypadek, gdyby któryś z Dzentelmenów za bardzo skrzywdził dziecko. Najczęściej rany nie są poważne – zadrapania, skaleczenia. Czasem jakiś dzieciak dostanie szału, wtedy podaje mu się valium albo inny środek uspokajający, ewentualnie szybką dawkę thiorazyny. Tak. Will może wejść o każdej porze.

– To dobrze. Zadzwońisz do niego, Tim. Powiesz, że jest nagle potrzebny w „La Casa”. Chcę, żeby znalazł się przed wejściem pół godziny po zmroku, powiedzmy o dziewiętnastej trzydzieści. Postaraj się, żeby przyjechał punktualnie. I sam. Bądź przekonujący.

– Byłbym bardziej przekonujący, gdybym mógł się trochę bardziej ruszać.

– Wierzę, że i tak ci się uda. Przypomnij sobie zajęcia z aktorstwa. Byłeś całkiem dobry jako Bill Roberts.

– Skąd pan wie?...

– Nie wiedziałem, ale teraz już wiem. To była bardzo przemyślna zagadka. Jesteś całkiem niezłym aktorem, byłeś urodzony do tej roli. Czy musiałeś także zabić Hickle’a?

– Stara historia – mruknął. – Rzeczywiście zadzwoniłem do pana i podałem się za Billa Roberta. Wykorzystanie pańskiego gabinetu było pomysłem Haydena. To miał być taki mały żart. Ten człowiek jest podły. Głupi, mały fiut. Ma chore poczucie humoru. Ale ja naprawdę nikogo nie zabiłem! Nie było mnie przy zabójstwie Hickle’a. Zrobili to Hayden i kuzyn Will. Oni... i Gus postanowili faceta uciszyć. Jak zwykle. Hickle był członkiem Brygady, jednym z jej założycieli. Ale zabawiał się też z dziećmi z ośrodka swojej żony. Pamiętam rozmowę tej trójki po jego aresztowaniu. Gus krzyczał. Pieprzony, głupi kutas! Dostarczyłem idiotcie tyle małych cipek, że powinien się uśmiechać do końca życia, a temu jeszcze mało i zabawia się pod własnym dachem!” Przez cały czas odnosiłem wrażenie, że uważają Hickle’a za słabego i głupiego. Wszyscy trzej byli pewni, że gdy zaczną wyznawać swoje grzeszki, zdradzi także ich, więc postanowili się go pozbyć.

– Hayden – kontynuował Kruger – zadzwonił do Hickle’a i powiedział, że ma dobre nowiny. Wcześniej Hickle prosił Haydena, by pogadał z prokuratorem okręgowym w jego sprawie. Ta prośba również świadczyła o jego głupocie, nie sądzi pan? Przecież w tamtym okresie jego sprawę opisywano na pierwszych stronach. Już sama znajomość z nim groziła społecznym ostracyzmem. A jednak zadzwonił do Haydena i poprosił go o wstawiennictwo. Sędzia udawał, że spróbuje mu pomóc. Kilka dni później oddzwonił i powiedział, że ma świetne nowiny i może wiele dla niego zrobić. Spotkali się w domu sędziego. Cicha okolica, nikogo w pobliżu. Z tego, co zrozumiałem, Towle wsypał coś Hickle’owi do herbaty, bo facet nie pił niczego mocniejszego. Will sam ustalił środek i dawkę, w końcu świetnie się zna na lekach. Gdy Hickle stracił przytomność, przenieśli go do pańskiego gabinetu. Hayden łatwo sobie poradził z zamkiem.. Ma zdolności manualne, czasem robi magiczne sztuczki dla dzieci w „La Casa”. Ubiera się jak kłown... kłown Blimbo... i pokazuje sztuczki.

– Zapomnijmy o czarach. Wróćmy do Hickle’a.

– No tak. Zawieźli go tam i upozorowali samobójstwo. Nie wiem, kto pociągnął za cyngiel, nie

było mnie tam. Wiem, co się zdarzyło, tylko stąd, że przeznaczyci mi rolę Billa Roberta. A w kilka dni później Gus opowiedział mi resztę. Był wtedy w jednym ze swoich dziwacznych nastrojów, kiedy przemawia jak megaloman. „Nie sądz, że twój kuzyn doktorek jest taki strasznie szlachetny, mój chłopcze – mówił. – Jednym telefonem mogę go załatwić, podobnie jak wielu innych szlachetnych ludzi”. Czasami wydaje mi się, że nienawidzi bogaczy i wspomina, jaki kiedyś był biedny i jak bardzo źle my, bogacze, go wtedy traktowaliśmy. Tamtej nocy po zabójstwie Hickle’a siedzieliśmy w biurze Gusa. Gus pił dzin i zaczął opowiadać, że od wczesnego dzieciństwa pracował dla pana Hickle’a, ojca naszej ofiary. Był sierotą i jakaś agencja sprzedała go Hickle’om, praktycznie jako niewolnika. Powiedział nam, że stary Hickle był potworem. Złośliwy i agresywny z usposobienia, lubił poniewierać służbę. Gus rozglądał się po domu ciekawie i odkrywał kolejne sekrety tej paskudnej rodziny: zboczenia Stuarta, inne sprawy. Zebrał sporo informacji, a następnie wykorzystał je, by się wyrwać z Brindamoor dostać pracę w Jedson. Pamiętam, jak się do mnie uśmiechał, na wpół pijany. Wyglądał jak szaleniec. „Nauczyłem się wcześniej – oświadczył – że wiedza równa się władzy”. Potem opowiadał o Earlu. Mówił, że ten facet to uszkodzony towar, ale zrobiłby dla niego. Gusa wszystko. „Zjadłby moje gówno i nazwał je kawiozem – mruknął. – Na tym właśnie polega władza”.

Kiedy Kruger mówił, wyginał grzbiet i z wysiłkiem podnosił głowę. Teraz wyczerpany opadł na podłogę.

– Przypuszczam – podsumował – że mści się na nas wszystkich.

Wyglądał żałośnie, leżąc w brunatno-żółtej plamie zaschniętego moczu.

– Coś jeszcze chcesz mi powiedzieć, Tim?

– Nic mi więcej nie przychodzi do głowy. Jeśli jednak pan jeszcze o coś spyta, odpowiem.

Z trudem poruszał związanymi kończynami.

Na podłodze kilka metrów od nas stał telefon. Przyniosłem go bliżej, ustawiłem w zasięgu jego rąk i położyłem mu słuchawkę blisko ust. Trzymając broń przy jego czole, wystukałem numer do gabinetu Towle’a i cofnąłem się o krok.

– Zrób to dobrze.

Zrobił. Według mnie był bardzo przekonujący. Miałem nadzieję, że Towle również mu uwierzył. Kruger kiwnął głową na znak, że zakończył rozmowę. Odłożyłem słuchawkę i kazałem mu wykonać drugi telefon, do ochroniarzy „La Casa”, by zawiadomić ich o lekarskiej wizycie.

– Jak mi poszło? – spytał, kiedy skończył.

– Recenzje będą entuzjastyczne.

Najwyraźniej całkiem dobrze się bawił.

– Powiedz mi Tim, masz zdrowe zatoki?

To pytanie nie zdziwiło go.

– Jasne – wyrzucił z siebie – nigdy nie choruję. – Powiedział to z przekonaniem prawdziwego sportowca, który wierzy, że ćwiczenia i twarde mięśnie są gwarancją nieśmiertelności.

– Świetnie. W takim razie nic ci nie będzie. – Wepchnąłem mu frotowy ręcznik w usta, mimo iż się wściekał i usiłował krzyknąć.

Ostrożnie zaciągnąłem mężczyznę do sypialni, opróżniłem szafę ścienną ze wszystkiego, co choćby przypominało narzędzie lub broń, po czym wepchnąłem go do środka, w małą przestrzeń.

– Jeśli ja i Melody opuścimy „La Casa” cali i zdrowi, powiem policji, gdzie można cię znaleźć. Jeśli stamtąd nie wyjdę, pewnie się tu udusisz. Chcesz jeszcze coś dodać?

Potrząsnął głową. Patrzył na mnie błagalnie. Zamknąłem drzwiczki szafy i podsunąłem pod nie ciężką komodę. Wsunąłem broń za pasek, zamknąłem wszystkie okna w mieszkaniu, zasunąłem zasłony i zamknąłem drzwi sypialni, blokując je dwoma krzesłami ustawionymi na sztorc. Kuchennym nożem przeciąłem sznur telefoniczny i zaciągnąłem draperie w salonie. Zadowolony, wyszedłem, mocno zatrzaskując za sobą drzwi.

Rozdział 28

Seville był na chodzie, lecz po wyścigu z Halsteadem jechał teraz nieco chwiejnie, a poza tym doszedłem do wniosku, że tak duże auto zbytnio rzuca się w oczy i nie pasuje do mojego obecnego zadania. Zostawiłem więc samochód na parkingu w Westwood Village, przeszedłem dwie dzielnice i w Budget wynająłem małego, ciemnobrązowego japończyka – jedno z tych kwadratowych, niewielkich pudełek z plastiku, który ma przypominać metal. Piętnaście minut przebijałem się przez korek z jednego końca Village na drugi. Zatrzymałem się w garażu Bullocks, włożyłem broń do schowka na rękawiczki, zamknąłem auto na klucz i poszedłem na zakupy.

Kupiłem parę dżinsów, grube skarpety, buty na kauczukowych podszewkach, granatowy goliak i wiatrówkę w tym samym ciemnym odcieniu. W domu towarowym każda część garderoby zaopatrzona była w plastikowe klipsy alarmowe, toteż sprzedawczyni, której zapłaciłem, spędziła sporo czasu na ich odpinaniu.

– Cudowny świat wymamrotałem.

– Musi pan poczekać, ponieważ mamy tu bardzo kosztowne towary na przykład skóry czy futra. Gdyby nie klipsy, ludzie wynieśliby stąd wszystko.

Oboje parokrotnie westchnęliśmy. Postanowiłem nie zmieniać ubrania w przebieralni, w której zapewne wisiała kamera. Po co ktoś ma sobie mnie oglądać na monitorze?

Gdy wróciłem na ulicę, było już ciemnowo. Osiemnasta. Miałem dość czasu na przekąskę. Wybrałem restauracyjkę na West Pico. Zjadłem kanapkę z wołowiną, grecką sałatkę, lody waniliowe, wypiliśmy sporo czarnej kawy i obserwowałem bezgwiazdne niebo z dogodnego punktu przy frontowym stoliku. O osiemnastej trzydzieści zapłaciłem rachunek i poszedłem do męskiej toalety, aby się przebrać. Kiedy zakładałem nowy strój, dostrzegłem na podłodze złożoną kartkę, która musiała mi wypaść z kieszeni. Podniosłem ją. Była to kserokopia artykułu od Margaret Dopplemeier na temat wypadku Lilah Towle. Ponownie próbowałem ją przeczytać, niestety, bez powodzenia. Na pewno pisano coś o Straży Przybrzeżnej i przypiływie. Więcej nie dojrzałem. Włożyłem kartkę z powrotem do kieszeni marynarki i wyprostowałem się. Byłem gotów jechać do Malibu.

Na tyłach restauracji wisiał telefon. Zadzwoiłem na posterunek Wydziału Policji Zachodniego Los Angeles. Początkowo chciałem zostawić zaszyfrowaną informację dla Mila, potem zrezygnowałem i spytałem o Delana Hardy'ego. Czekałem pięć minut, wreszcie powiedziano mi, że Del przebywa gdzieś w terenie. Zostawiłem dla niego zawiłą wiadomość, zapłaciłem rachunek i skierowałem się do Malibu.

Jechałem powoli, rozmyślając nad planem działania. Dojechałem do Rambla Pacifica tuż przed dziewiętnastą. Znak „La Casa de los Ninos” dostrzegłem w dziesięć minut później. Niebo było ciemne i ponure niczym nieskończona przepaść na końcu skalnej półki. Z odległego wąwozu zawył kojot. Nocne ptaki i nietoperze przemykały z piskiem. Wyłączyłem reflektory i następne dwa kilometry przejechałem na wycucie. Mały samochód prowadzi się łatwo, niestety, podskakuje na

każdej rozpadlinie i wyrzuceniu; jego drgania i wstrząsy odczuwałem na własnych kościach.

Zatrzymałem się mniej więcej osiemset metrów przez zakrętem do „La Casa”. Była dziewiętnasta piętnaście. Na drodze nie dostrzegałem innych pojazdów i miałem nadzieję, że do końca mojej „operacji” żaden intruz się nie pojawi. Ustawiłem samochód prostopadle, blokując oba pasy: za tylnymi kołami leżał ciągnący się wzdłuż autostrady parów, przed przednimi oponami widziałem gęste zarośla na zachodzie. Siedziałem z bronią w ręku w zaciemnionym pojeździe i czekałem.

Dwadzieścia trzy minuty po dziewiętnastej usłyszałem dźwięk zbliżającego się samochodu. W minutę później czterysta metrów przed sobą zobaczyłem kwadratowe światła lincolna. Wskoczyłem z auta, pobiegłem w gąszcz, gdzie przykucnąłem, wstrzymując oddech.

Towle dość późno dostrzegł „zawalidrogę” i hamował z piskiem. Wsiadł, nie wyłączając silnika i reflektorów. Wszedł w snop światła, przeklinając. Białe włosy błyskały srebrem. Pediatra nosił grafitowy dwurzędowy blezer na białej, rozpiętej przy szyi koszuli oraz czarne flanelowe spodnie i czarno-białe golfowe buty z frędzlami. Ubranie było idealnie wyprasowane. Ani jednej fałdy, ani jednego zagniecenia.

Przesunął dłonią wzdłuż boku japończyka, dotknął maski, chrząknął i pochylił się przez otwarte drzwiczki kierowcy. Wtedy wskoczyłem cicho z zarośli i przyłożyłem mu lufę rewolweru do pleców.

Nienawidzę broni palnej. Mój ojciec ją uwielbiał i kolekcjonował. Najpierw pojawiły się w domu lugery, pamiątki z drugiej wojny. Potem zdobył starego zardzewiałego colta, czterdziestkę piątkę. Zdobywał strzelby na jelenie, śrutówki, w lombardach kupował pistolety automatyczne, brzydkie włoskie pistolety z długimi lufami, błękitne stalowe dwudziestki dwójki. Polerował je z miłością i prezentował w osobnym pokoju, za szkłem w gablotce z wiśniowego drewna. Większość z nich była naładowana, a mój staruszek bawił się nimi podczas oglądania telewizji. Przywoływał mnie, pokazywał mi szczegóły konstrukcji i subtelności ornamentacji. Opowiadał o pojemności komory, wielkości kalibru, muszce, wylocie lufy, rękojeści. Jego ręce stałe było czuć olejem maszynowym lub siarką wypalonych zapalek. We wczesnym dzieciństwie śniły mi się koszmary związane z pistoletami, które opuszczały swoje miejsca w gablotce – niczym zwierzęta domowe wyskakujące z klatek – i decydowały o własnym losie, odkrywały własne instynkty, czekały i warczały...

Pewnego razu ojciec strasznie się pokłócił z matką. Rozgniewany ojciec podszedł nagle do szafki z bronią i chwycił najbliższy leżący eksponat – lugera, uosobienie niemieckiej skuteczności. Wskazał go matce. Nadal świetnie pamiętam tę scenę. Matka krzyknęła: „Boże, Harry, nie!” Ojciec zdał sobie sprawę z tego, co robi, i opuścił pistolet niczym jadowite morskie stworzenie. Oddał lugera matce i jękając się, przeproszał. Nigdy więcej tego nie zrobił, lecz ta jedna chwila całkowicie zmieniła całą naszą rodzinę: ich i mnie, pięciolatka, stojącego z kocem w ręku, na wpół ukrytego za drzwiami, obserwującego ich kłótnię. Od tamtego dnia nienawidzę broni.

A jednak teraz cieszyłem się, że wbijam trzydziestkę ósemkę w blezer Towle’a.

– Wskakuj do samochodu – syknąłem. – Siadaj za kierownicą i nie ruszaj się. W przeciwnym razie

cię zastrzełę.

Posłuchał. Szybko wskoczyłem na siedzenie obok niego.

– To ty – zdziwił się na mój widok.

– Uruchom silnik, draniu. – Ukląłem go bronią w bok, mocniej niż było trzeba.

Mały samochód zakaszłał.

– Ustaw go na poboczu, tak aby drzwi kierowcy znalazły się przy tamtej skale. Potem wyłącz silnik i wyrzuć kluczyki przez okno. – Posłuchał mnie. Jego szlachetna twarz wydawała się z profilu całkowicie opanowana.

Wysiadłem i kazałem mu zrobić to samo. Wyjście od strony kierowcy było teraz zablokowane dwunastoma metrami granitu. Towle przesunął się przez siedzenie pasażera i stanął bez ruchu na krawędzi pustej drogi.

– Łapy do góry.

Posłał mi wyniosłe spojrzenie, lecz zastosował się do polecenia.

– To skandal – oświadczył.

– Jedną ręką wyjmij kluczyki od swojego samochodu. Proszę spokojnie rzucić je na ziemię. Tam.

Wskazałem na teren pięć metrów od nas. Trzymając wycelowaną w niego broń, podniosłem kluczyki.

– Idź do swojego samochodu, usiądź na siedzeniu kierowcy, połóż obie ręce na kierownicy i poczekaj.

Poszedłem za nim do lincolna. Usiadłem na tylnym siedzeniu, tuż za Towle'em, i przyłożyłem lufę rewolweru w zagłębieniu przy podstawie jego czaszki.

– Znam się co nieco na anatomii, draniu – mruknąłem cicho. – Jedna kulka w kark i światełko zgaśnie na zawsze.

Nie odpowiedział.

– Zniszczyłeś sobie karierę i zmarnowałeś życie wielu ludziom. Teraz pora ponieść karę. Proponuję ci częściowe odkupienie. Uratuj przynajmniej jedno życie, życie jednego dziecka.

– Wiele razy ratowałem ludzkie życie. Jestem przecież lekarzem.

– Jasne, jesteś świątobliwym uzdrowicielem. A gdzie byłeś, kiedy trzeba było ratować Cary'ego

Nemetha?

Zakrakał niezrozumiale. Nadal jednak w pełni nad sobą panował.

– Przypuszczam, że wiesz wszystko.

– Prawie wszystko. Kuzyn Tim bywa bardzo rozmowny w odpowiednich okolicznościach. – Rzuciłem mu kilka szczegółów. Towle zachował niewzruszony spokój, wręcz stoicyzm. Wyglądał jak białowłosego manekin z rękami przylepionymi do kierownicy.

– Znałeś moje nazwisko, zanim się spotkaliśmy – powiedziałem – ze sprawy Hickle’a. Kiedy zadzwoniłem, zaprosiłeś mnie do swojego gabinetu. Chciałeś się dowiedzieć, ile faktów zdradziła mi Melody. Wtedy nie rozumiałem, po co tak bardzo zajęty pediatra marnuje czas na pogawędkę twarzą w twarz. Wszystkie sprawy mogliśmy przecież omówić telefonicznie. Teraz wiem, że chciałeś mnie wybadać. Potem próbowałeś mi utrudnić życie.

– Masz reputację wytrwałego młodego człowieka, Aleksie – odparł. – A sprawy się komplikowały.

– Sprawy? Masz na myśli kolejne trupy?

– Nie musimy być tacy melodramatyczni. – Przemawiał niczym android z Disneylandu: mechanicznie, płasko, pewnym siebie tonem, nie modulując głosu.

– Staram się. Niestety, wielokrotne morderstwa nie sprawiają mi przyjemności. Najpierw mały Nemeth. Potem Handler, Elena Gutierrez i Morry Bruno. Teraz Bonita Quinn i dobry stary Ronny Lee.

Na wspomnienie tego ostatniego nazwiska Towle chciał się poderwać z fotela, ale zrezygnował.

– Śmierć Ronny’ego Lee szczególnie cię niepokoi? – spytałem ironicznie.

– Nie znam tej osoby.

– Ronnie Lec Quinn. Były mąż Bonity Quinn. Ojciec Melody. Wysoki blondyn, wygląda na trochę pomyłonego, lewostronnie sparaliżowany. Nazywany R.L. McCaffrey ze swoim południowym akcentem wymawiał jego inicjały jako Earl.

– Ach – mruknął Towle zadowolony, że znowu wszystko rozumie. – Earl. Obrzydliwy facet. Brudas. Tak, chyba spotkałem go raz czy dwa razy.

– Kiepska protoplazma, prawda?

– Skoro tak mówisz.

– Był jednym ze zbirów McCaffrey a w Meksyku. Tu odwalał czasem brudną robotę. Prawdopodobnie chciał zobaczyć swoją córkę, więc McCaffrey odnalazł dla niego Melody i Bonite.

Potem zaświtało mu w głowie, że kobieta pasuje do jego planów. Całkiem bystra osobka była z tej Bonity, prawda? – zadrwiłem. – Pewnie sądziła, że jesteś Świętym Mikołajem, kiedy zdobyłeś dla niej pracę dozorczeni w budynku Minassiana.

– Była wdzięczna – przyznał Towle.

– Oddałeś jej ogromną przysługę. Umieściłeś w domu Handlera, by uzyskać dostęp do jego mieszkania. Bonita jako dozorczeni miała klucz uniwersalny. Podczas następnej wizyty z Melody w twoim gabinecie „zgubiła” torebkę. Łatwo to było zorganizować, bo pani Quinn była roztrzępana. Sądziła po prostu, że nie wzięła torebki z domu. Tak mi powiedziała twoja pielęgniarka: że Bonita stale gubiła różne rzeczy. Tymczasem dorobiłeś klucz i potwory McCaffreya mogły wejść do mieszkania Handlera o dowolnej porze – poszukać kaset, pobić lokatorów i pociachać ich nożem. Bonita wprawdzie nie miała o niczym pojęcia, w końcu jednak uznaliście ją za osobę zbyt cenną i jej ciało zmieniło się w nawóz, pod przyszłoroczną uprawę cukini. Tępe babsko. Kolejna przedstawicielka świata kiepskiej protoplazmy.

– Nie chcieliśmy zabijać pani Quinn. Nie mieliśmy tego w planie.

– Wiem, jak to bywa, gdy najlepiej przygotowane plany zawodzą.

– Jesteś sarkastycznym młodym człowiekiem, Aleksie Delaware. Mam nadzieję, że nie traktujesz w ten sposób swoich pacjentów.

– Ronnie Lee wykończył Bonitę... – ciągnąłem. – Może kazał mu to zrobić McCaffrey, a może sam chciał wyrównać stare porachunki z byłą żoną. Teraz jednak nasz drogi Gus musiał się pozbyć Ronniego Lee, ponieważ wiedział, że nawet taki potwór nie zechce patrzeć, jak ginie jego mała córeczka.

– Ależ z ciebie bystry młodzieniec, Aleksie – zauważył. – Jednak szyderstwo nie jest w życiu niezbędne.

– Dzięki za radę. Wiem, że jesteś w tych sprawach ekspertem. Cechuje cię tak zwane „odpowiednie podejście do pacjenta”.

– W gruncie rzeczy tak. I szczycę się nim. Należy na samym początku nawiązać porozumienie z dzieckiem i z jego rodziną, niezależnie od dzielących nas różnic. To pierwszy krok, dzięki któremu można zapewnić pacjentowi dobrą opiekę. Tego właśnie uczę studentów pierwszego roku podczas zajęć z pediatrii na Wydziale Medycyny Klinicznej.

– Fascynujące.

– Studenci uważają mnie za doskonałego nauczyciela. Bardzo mnie cenią.

Przycisnąłem mu do szyi trzydziestkę ósemkę. Jego srebrne, pachnące goździkami i limoną włosy lekko się zjeżyły, ale Towle się nie wzdrygnął.

– Uruchom samochód i zjedź na pobocze. Tuż za tym gigantycznym eukaliptusem.

Lincoln zadudnił, potoczył się kilka metrów, potem stanął.

– Proszę wyłączyć silnik. Will.

– Doktorze Towle! Proszę zwracać się do mnie „doktorze Towle”.

– Dobrze, doktorze Towle.

– Musisz mi przyciskać lufę do głowy?

– Zadam ci teraz kilka pytań.

– Nie wydaje mi się, byśmy musieli rozmawiać. Nie mamy do czynienia z tanim westernem.

– Gorzej. Krew jest prawdziwa, a my nie możemy odejść, gdy pojawią się napisy.

– Znowu ten melodramatyzm. Tani melodramat. Ha, ha. Melodramat i western...

– Nie baw się ze mną – warknąłem gniewnie.

– Bawić się? To my się bawimy? Sądziłem, że tylko dzieci się bawią. Hop, hop, przez skakankę skocz! – Jego głos podniósł się.

– Dorośli również, się zabawiają – odparłem. – W brudne małe gierki.

– Zabawy i gierki. Zabawa pomaga dziecku zachowywać integralność ego. Czytałem to gdzieś... U Eriksona? Piageta?

Albo Kruger nie był jedynym aktorem w tej rodzinie albo z Towle’em działo się coś złego. Nie czułem się przygotowany na takie zachowanie...

– Pisała o tym Anna Freud – szepnąłem.

– A tak. Anna. Ładna kobietka. Chciałem się z nią spotkać, ale oboje byliśmy tacy zajęci... Szkoda... Trzeba zachować integralność ego... za wszelką cenę. – Milczał przez minutę, potem dodał: – Te siedzenia trzeba by wyczyścić. Dostrzegam na skórze plamy. Teraz są już dobre środki czyszczące do skóry... Widziałem je w myjni.

– Melody Quinn – przypomniałem mu, starając się przywrócić jego uwagę. – Musimy ją ocalić.

– Melody. Śliczna dziewczynka. A ładna dziewczynka jest jak melodyjka. Ładne małe dziecko. Jej buzia wydaje mi się dziwnie znajoma...

Rozmawiałem z Towle’em, lecz jego umysł krążył gdzie indziej. Z każdą minutą stan mężczyzny się pogarszał, mowa stawała się coraz bardziej beładna i chaotyczna, w końcu zaczął mnie zasypywać zupełnie bzdurnymi informacjami. Odniosłem wrażenie, że stary doktor cierpi, jego arystokratyczną twarz przepełnił ból. Co parę minut powtarzał frazę: „Ego musi zachować

integralność”, jakby odczytywał katechizm.

Potrzebowałem tego człowieka, ponieważ tylko dzięki niemu mogłem się dostać do „La Casa”, niestety, obecnie był dla mnie bezużyteczny. Powoli wpadałem w panikę. Towle nadal trzymał ręce na kierownicy, lecz zauważyłem, że strasznie mu drżą.

– Pigułki – rzucił wreszcie.

– Gdzie?

– W kieszeni...

– Proszę... – powiedziałem nie bez podejrzeń – proszę je wyjąć. Ale tylko tabletki i nic innego. I proszę nie brać zbyt wiele.

– Nie... tylko dwie pigułki... zalecona dawka... nigdy nie biorę więcej... nigdy... rzekłem, rzekłem... nigdy więcej...

– Proszę je wziąć.

Ciągle celowałem w niego z rewolweru. Opuścił jedną rękę i wyjął z kieszeni buteleczkę podobną do tej, która zawierała ritalin Melody. Ostrożnie wytrząsnął dwie tabletki, zamknął fiolkę i schował ją do kieszeni.

– Woda? – spytał tonem dziecka.

– Proszę je połknąć na sucho.

– To będzie... nieprzyjemne.

Połknął pigułki.

Kruger miał rację. Towle naprawdę świetnie potrafił ustalać dawki leków. Obserwowałem go już od dwunastu minut i z każdą chwilą wyglądał lepiej i mówił z większym sensem. Pomyślałem, z jak wielkim stresem wiąże się jego codzienne życie. Stale się znajdował w centrum uwagi publicznej. Bez wątplenia rozmowa o morderstwach zdenerwowała go.

– Głupio z mojej strony, że zapomniałem... o popołudniowej dawce. Nigdy nie zapominam.

Obserwowałem go z chorobliwą fascynacją, rejestrując pozytywne zmiany w jego mowie i zachowaniu spowodowane działaniem leków psychotropowych na centralny układ nerwowy. Zauważyłem, że stopniowo fazy dziecięcego bełkotu stały się u Towle’a coraz krótsze, wydłużały się natomiast okresy skupienia, aż w końcu ponownie zaczął się zachowywać odpowiednio do swojego wieku i wykształcenia. Czuję się, jakbym oglądał pod mikroskopem przemianę prymitywnego organizmu w istotę znacznie bardziej skomplikowaną.

Kiedy lek zaczął działać, stary doktor rozgadał się:

– Zrobiłem wiele... złych rzeczy. Gus kazał mi je robić. Były bardzo złe... zwłaszcza dla człowieka o mojej reputacji. Dla kogoś, kto został tak wychowany jak ja.

Nie odpowiedziałem.

W końcu wrócił do normalnego stanu. Wydawał się zupełnie zdrowy.

– Co to było, thorazyna? – spytałem go.

– Pochodna. Od pewnego czasu sam sobie zapewniam opiekę farmakologiczną. Próbowalem wielu phenothiazin... Sama thorazyna całkiem nieźle mi pomagała, lecz czułem się po niej nieco zbyt senny. Nie mógłbym jej sobie aplikować podczas badań... Nie chciałem upuścić maleńkiego dziecka. Nie, nie, Boże. To straszne... upuścić niemowlę. Istnieje nowy środek, daleko lepszy od innych. Eksperymentalny. Przesłał mi go producent. Poprosiłem o próbki. Użyłem doktorskiego tytułu przed nazwiskiem i nie musiałem się tłumaczyć ani niczego wyjaśniać. Firma była szczęśliwa, że ktoś tak renomowany... Mam spory zapas. Jeśli jednak nie wezmę dawki po południu, tracę kontakt z rzeczywistością. Właśnie tego byłeś świadkiem, prawda?

– Tak. Ile czasu mija, zanim lek zadziała?

– W przypadku mężczyzny mojego wzrostu i wagi od dwudziestu do dwudziestu pięciu minut... Nadzwyczajne, prawda? Wystarczy wziąć dwie pigułki, odczekać pół godziny i wszystko wraca do normy. Życie staje się o tyleż bardziej znośne. Nic mnie nie rani. Podobnie teraz... Odnoszę wrażenie, że otaczające mnie błoto oczyszcza się w krystaliczną wodę. Dokąd jedziemy?

– Rozmawialiśmy o wstrętnych zabawach zboczeńców McCaffreya z małymi dziećmi.

– Nie należę do nich – zapewnił mnie szybko.

– Wiem. Ale pomagałeś pedofilom w molestowaniu setek dzieci, poświęcałeś McCaffreyowi swój czas i pieniądze, wystawiłeś mu Handlera i Gutierrez oraz Hicklę'a. Podawałeś zbyt duże dawki leku Melody Quinn, aby się nikomu nie wygadała. Jak mogłeś tak postępować?! I dlaczego?

– To koniec, prawda? – spytał. W jego głosie dosłyszałem ulgę.

– Tak.

– Odbiorą mi prawo do wykonywania zawodu lekarza.

– Na pewno nie unikniesz odpowiedzialności. Nie sądzisz, że tak będzie najlepiej?

– Przypuszczam, że masz zupełną rację – przyznał niechętnie. – Ciągłe jednak czuję, jak wiele dobra we mnie zostało. Mam tyle do zrobienia.

– Będziesz miał okazję – pocieszyłem go, uświadamiając sobie, że pigułki Towle'a nie działają w sposób idealny. – Zostaniesz wysłany na resztę życia do miejsca, w którym nie będziesz narażony na tak ogromny stres jak dotąd. Żadnej roboty papierkowej, żadnych deklaracji podatkowych,

żadnych kłopotów związanych z praktyką medyczną, żadnego Gusa McCaffreya, który mówi ci, co robić i jak żyć. Zostaniesz sam. Ale będziesz się czuł doskonale i świetnie wyglądał, ponieważ w więzieniu pozwolą ci brać pigułki... oraz pomagać innym ludziom. Osobom, które potrzebują pomocy. Jesteś przecież lekarzem, potrafisz im pomóc.

– Potrafię pomóc – powtórzył.

– Z pewnością.

– Człowiek powinien żyć dla innych. I nie oczekiwać za to zapłaty.

– Tak.

– Mam odpowiednie podejście do pacjentów... Kiedy dobrze się czuję. Kiedy czuję się źle, wszystko wokół mnie się rozmywa, świat wydaje się straszny, a własne myśli ranią. Nie jestem wtedy w najlepszej formie. Ale gdy dobrze funkcjonuję, nikt nie umie lepiej ode mnie pomagać ludziom.

– Wiem o tym, doktorze. Znam twoją reputację.

McCaffrey mówił mi o wrodzonym pragnieniu altruizmu. Widziałem, w jaki sposób potrafił je wykorzystać.

– Jestem zależny od Gusa – wyjaśnił. – Bynajmniej nie z powodu niezdrowych seksualnych skłonności. Mieli je Stuart i Eddy. Od dawna, jeszcze kiedy byliśmy chłopcami, znałem ich osobliwe... pragnienia. Dorastaliśmy w odosobnionym, dziwnym miejscu. Hodowano nas... niczym orchidee. Prywatne lekcje, stosowny wygląd, odpowiednie do sytuacji zachowanie. Czasem się zastanawiam, czy ta wytworna atmosfera nie uczyniła nam więcej szkody niż pożytku. Sam popatrz, jak skończyliśmy. Ja z moimi atakami... wiem, że można nazwać moją, hmm... chorobę, wolę jednak o tym nie myśleć... Stuart i Eddy zaś odkryli w sobie okropne seksualne nawyki...

– Zaczęli – podjął po sekundzie – zabawiać się ze sobą pewnego lata, kiedy mieliśmy po dziewięć czy dziesięć lat. Potem robili to z innymi dziećmi. Mniejszymi od siebie, znacznie mniejszymi. Nie zastanawiałem się nad tym wtedy, wiedziałem tylko, że mnie nie interesuje taki sposób spędzania czasu. Uczono nas, co jest, a co nie jest stosowne, natomiast nie odróżnialiśmy dobra od zła. „To nie jest stosowne, Will” – mawiał mój ojciec. Sądzę, że gdyby ojciec Stuarta bądź Eddy’ego przyłapał syna na „zabawie” z małym chłopczykiem, takiego właśnie słowa by użył. „Niestosowne”. Jak używanie nieodpowiedniego widelca podczas obiadu.

Jego opis dorastania na wyspie Brindamoor pokrywał się z opowieścią Van der Graafa. Towle skojarzył mi się z elegancką złotą rybką pływającą w akwarium w Oomasa: piękną, krzykliwą, doskonałą dzięki mutacjom i stuleciom rozmnażania wsobnego, hodowaną w chronionym środowisku, a jednak w ostatecznym rozrachunku pełną zahamowań i niezdolną się przystosować do realiów zwyczajnego życia.

– W tym sensie, to znaczy... seksualnym – kontynuował – byłem całkiem normalny. Ożeniłem się,

miałem dziecko, syna. Zachowywałem się bardzo stosownie. Stuart i Eddy nadal pozostawali moimi kumplami, choć nie wyzbyli się zboczenia. Znasz to powiedzenie: „Żyj i pozwól żyć innym”. Nigdy nie wspominali o moich... napadach, ja zaś nie zamierzałem zmieniać ich przyzwyczajęń. Stuart był naprawdę wspaniałym towarzyszem, niezbyt byстрым, lecz pełnym dobrych intencji. Szkoda, że... Poza umiłowanie do perwersji, był naprawdę miłym chłopcem. Eddy zaś był... jest inny. Z poczuciem humoru, lecz podły. Nosi w sobie... prawdziwe zło. Ciągłe bywa zjadliwy i sarkastyczny... Przez niego jestem wyczulony na złośliwości... W dodatku Eddy jest niewielkim mężczyzną...

– Jaki masz dług wobec McCaffreya? – przerwałem mu ostro.

– Ludzie skromnej postury często postępują w ten sposób. Ty jesteś... Nie widzę cię w tym momencie, Aleksie, pamiętam jednak, że jesteś średniego wzrostu. Zgadza się?

– Mam metr osiemdziesiąt.

– Trochę powyżej średniej. Ja zawsze byłem wysoki. Odziedziczyłem wzrost po ojcu. Jest tak, jak przewidział Mendel* [*Gregor Johann Mendel (1822-84) – austriacki mnich i botanik; prekursor genetyki, długie fasolki, krótkie fasolki...]” Genetyka to fascynująca dziedzina, nieprawdaż?

– Doktorze...

– Zastanawiałem się nad problemem dziedziczenia cech. Na przykład intelekt. Niektórzy liberałowie każą nam wierzyć, że największy wpływ na kształtowanie się inteligencji ma środowisko. Wmawia nam się ogólny egalitaryzm, niestety, rzeczywistość nie wytrzymuje tej próby. Długie fasolki, krótkie fasolki. Inteligentni rodzice, bystre dzieci. Rodzice idioci, głupie dzieci. Ja osobiście jestem typem mieszanym. Ojciec był człowiekiem genialnym, matka zaś irlandzką pięknoscią, ale osobą prostą. Żyła w świecie, w którym kobiety miały być jedynie idealnymi paniami domu. Była więc tylko eksponatem w domu ojca...

– Twój dług wobec McCaffreya? – przypomniałem mu.

– Dług? Ach, chodzi tylko o pewną drobną sprawę. Związaną z życiem i śmiercią – dodał ironicznie.

Roześmiał się. Pierwszy raz słyszałem jego śmiech i miałem nadzieję, że po raz ostatni. Brzmiał nieprzyjemnie, niemelodyjnie i rażąco niczym fałszywy ton w środku pięknej symfonii.

– Mieszkałem z Lilah i Williem juniorem na trzecim piętrze akademika w Jedson. Stuart i Eddy dzielili pokój na pierwszym piętrze. Jako żonaty student dostałem większe lokum – naprawdę miłe, małe mieszkanie. Dwie sypialnie, łazienka, salon, mała kuchnia. Nie miałem jednak ani biblioteki, ani gabinetu, więc czytałem i uczyłem się przy kuchennym stole. Lilah szybko urządziła nasz wspólny dom: firanki, zasłanki, obrusiki i tak dalej. Pamiętam, że Willie junior miał wtedy nieco ponad dwa lata. Studiowałem na ostatnim roku college’u. Miałem kłopoty z jakimś przedmiotem związanym z medycyną: fizyką czy chemią organiczną... Nigdy nie byłem genialny, chociaż jeśli się przyłożyłem i mocno skupiłem, potrafiłem całkiem dobrze opanować każdy materiał. Bardzo chciałem się dostać

na studia medyczne. Sam, bez protekcji. Mój ojciec i dziadek byli lekarzami, a wcześniej świetnymi studentami. W rodzinie – oczywiście za moimi plecami – dowcipkowano, że odziedziczyłem po matce nie tylko urodę, lecz także umysł. Sądziło, że nie słyszę ich złośliwości, lecz się mylili. Bardzo chciałem im wszystkim pokazać, że również potrafię coś osiągnąć. Dzięki własnej pracy, a nie jako syn Adolfa Towle’a...

– Tej nocy – mówił dalej – Willie junior źle się czuł. Nie mógł zasnąć. Bez przerwy krzyczał i płakał. Lilah konała ze zmęczenia. Zignorowałem jej prośby o pomoc i na powrót pograżyłem się w nauce. Starłem się nie myśleć o niczym poza studiami. Musiałem przecież poprawić stopnie z przedmiotów ścisłych i właśnie ta sprawa wydawała mi się najważniejsza. Im bardziej stawałem się niespokojny, tym większe miałem trudności z koncentracją. Próbowałem nie zwracać na nic uwagi... Lilah zwykle była dla mnie bardzo cierpliwa, tej nocy jednak zdenerwowała się i zaczęła rozklejać. Podniosłem w pewnym momencie wzrok. Szła w moją stronę z dłońmi zaciśniętymi w pięści. A miała małe rączki. Była delikatną małą kobietką... Usta otwarte. Przypuszczam, że coś krzyczała... Oczy pełne nienawiści. Wydała mi się drapieżnym ptakiem, który spada na mnie zniechęca. Odepchnąłem ją ramieniem. Za mocno. Upadła i uderzyła głową w narożnik biurka... Ohydny mebel, antyk, który dała jej matka... Upadła i leżała, leżała nieruchomo.

– Widzę całe zdarzenie tak wyraźnie – podjął po chwili – jakby miało miejsce wczoraj. Lilah leży bez ruchu. Wstaję z krzesła. Odnoszę wrażenie, że śnię. Przedmioty się kołyszą, wszystko mi się miesza. Coś małego czołga się do mnie z prawej strony. Niczym wielka mysz albo szczur. Uderzam go ręką. Tylko że to nie jest szczur! To Willie junior. Raczkował, płacząc za matką. Szukał jej. Nie do końca zdawałem sobie sprawę z tego, czym... a raczej kim jest, i znowu go grzmotnąłem. Trafiłem w skroń. Ponownie zbyt mocno. Dziecko upadło na podłogę i leżało cicho. Nie ruszało się. Wielki siniak rósł z boku jego twarzy... Moja żona i dziecko... Zabiłem oboje. Zacząłem szukać brzytwy, by podciąć sobie żyły i zakończyć życie. Wtedy usłyszałem za plecami głos Gusa McCaffreya. Stał w progu, wielki, korpulentny, spocony, w roboczym ubraniu i z miotłą w ręce. Był woźnym, sprzątał w nocy akademiki. Pamiętam, że poczułem od niego mieszaninę zapachów – amoniaku, woni jego ciała, środków czyszczących. Usłyszał hałas i przyszedł sprawdzić, co się dzieje. Popatrzył na mnie, posyłając mi długie, surowe spojrzenie, potem obejrzał oba ciała. Klęknął przy nich, sprawdzając puls. „Nie żyją” – oświadczył stanowczym głosem. Przez sekundę sądziłem, że się uśmiecha, i byłem gotów rzucić się na niego, aby i jego zamordować. Potem jednak zmarszczył brwi. Zamyślił się. „Siadaj” – rozkazał mi. Nie byłem przyzwyczajony słuchać poleceń kogoś z jego sfery, lecz czułem się słaby i chory z żalu, nogi się pode mną uginały, wszystko wokół rozmywało... Odwróciłem się od Lilah i Williego juniora, usiadłem, zatopiłem twarz w dłoniach. Zacząłem płakać. Odczuwałem coraz większe zmieszanie... Wiedziałem, że zbliża się atak. Bolał mnie każdy mięsień, raziło światło... Nie miałem jeszcze wtedy pigulek, będę je miał zawsze pod ręką dopiero za kilka lat, gdy zostanę lekarzem. Wtedy byłem dopiero studentem kursu przed medycznego, bezsilnym, niedomagającym chłopcem.

– Gus zadzwonił do kogoś – ciągnął. – Po paru minutach pojawili się w pokoju moi przyjaciele: Stuart i Eddy. Niczym postaci wchodzące nagle na scenę w samym środku przerażającej sztuki... Cała trójka omówiła sprawę między sobą. Czasami patrzyli na mnie i coś mamrotali. Stuart podszedł do mnie pierwszy. Położył mi rękę na ramieniu. „Wiemy, że to był wypadek. Will – powiedział. – Wiemy, że doszło do niego nie z twojej winy”. Zacząłem się z nim spierać, ale słowa stanęły mi

w gardle... Podczas ataków mam wielkie trudności z mówieniem, odczuwam ból... Potrzebałem więc tylko głowę. Stuart pocieszał mnie, zapewniał, że wszystko będzie dobrze. A oni się zajmą całą sprawą. Potem wrócił do Gusa i Eddy'ego. Zawinęli ciała w koce i zakazali mi opuszczać pokój. W ostatniej chwili zdecydowali, że Stuart ze mną zostanie. Gus i Eddy odeszli z ciałami. Stuart zaparzył mi kawę. Płakałem. Płakałem, aż zasnąłem. Jeszcze tego wieczoru wrócili i wyrecytowali historyjkę, którą miałem zeznać policji. Powtarzaliśmy kilka razy opowieść... Tacy dobrzy przyjaciele! Zapewniali mnie, że jestem bardzo przekonujący. Czułem ulgę. Cieszyłem się, że potrafię tak dobrze kłamać. Uświadomiłem sobie, że jestem niezłym aktorem. Nadal nim jestem. „Odpowiednie podejście do pacjenta” również łączy się z kłamstwem. Trzeba mówić ludziom to, co chcą usłyszeć... Moją pierwszą widownię stanowili policjanci. Potem strażnik Straży Przybrzeżnej, zresztą przyjaciel rodziny. Straż odnalazła samochód Lilah. Jej ciało było rozmoknięte i spuchnięte, nawet nie musiałem go identyfikować. Uznano, że byłoby to dla mnie zbyt trudne... Znalezione fragmenty ubranka Williiego juniora, lecz ciała nie było. Przedstawiciel straży uznał, że odpłynęło z falami. Zapewnił mnie, że nie przerwą poszukiwań... Załamane się wtedy i byłem gotów do następnego występu... Tym razem dla znajomych, ludzi z prasy...

Przypomniałem sobie, że w artykule z gazety napisano coś o Straży Przybrzeżnej i o falach.

– W kilka miesięcy później przyjęto mnie na studia medyczne – kontynuował Towle. – Przeprowadziłem się do Los Angeles. Stuart przyjechał ze mną, chociaż obaj wiedzieliśmy, że nigdy nie zdoła ukończyć medycyny. Eddy wybrał studia prawnicze na tym samym uniwersytecie. Znowu byliśmy razem. Ludzie nazywali nas „trzema głowami stanu”. Każdy z nas zajął się własnym życiem. Nigdy nie mówiliśmy o przysłudze, którą mi oddali. Nie wspominaliśmy o tamtej nocy. Tyle że teraz z większą niż kiedykolwiek otwartością opowiadali mi o swoich zbrodniach seksualnych, wszędzie zostawiali nieprzyzwoite fotografie... Przestali cokolwiek ukrywać czy zatajać. Wiedzieli, że ich nie zdradzę, nawet jeśli znajdę w swoim łóżku dziesięcioletniego chłopczyka. Połączył nas chory układ.

– Gus zniknął – podjął. – Pojawił się po kilku latach, kiedy miałem już na swoim koncie tytuł doktorski i powoli osiągałem znaczącą pozycję świetnego pediatry. Pewnego dnia Gus wszedł do mojego gabinetu po wizycie ostatniego pacjenta. Jeszcze grubszy, dobrze ubrany. Na pewno nie nazwałbym go wtedy woźnym. Żartował, że jest teraz człowiekiem pana Boga. Pokazał mi zdobyty na kursach korespondencyjnych dyplom. Uprawnienia teologiczne. Prosił mnie o kilka przysług. O spłatę „starych długów”, jak to ujął. Robiłem, co chciał. Ciągle wypełniam jego polecenia.

Czas przerwać spowiedź – rzuciłem. – Nie pozwólmy, by McCaffrey poświęcił życie Melody Quinn.

– Dziewczynka jest już, niestety, skazana. Usilnie nakłaniałem Gusa, by odroczył jej śmierć. Jej, hm... wypadek. Przekonywałem go, że wcale nie wiadomo, czy mała cokolwiek widziała albo słyszała. W końcu jednak Gus postanowił ją zabić. Cóż dla takiego człowieka znaczy jedno życie więcej? – Przerwał. – Czy mała naprawdę stanowi dla niego zagrożenie?

– Właściwie nie. Siedziała przy oknie i widziała kilku mężczyzn. Jednego z nich rozpoznała jako swego ojca. Nigdy go wcześniej nie widziała, lecz miała fotografię... W dniu hipnozy, tuż po sesji, spontanicznie zaczęła o nim mówić. Pokazała mi jego zdjęcie i otrzymaną od niego błyskotkę. Tej nocy, gdy go wołała... pamiętasz... powinienem się tego domyślić... Uważałem jednak jej lęki za

uboczny skutek hipnozy. W pewnym sensie rzeczywiście wywołała je hipnoza. Przywołała wspomnienia związane z ojcem, jednak nie jakieś sprzed lat, ale z tamtych godzin nocnych, gdy Ronny Lee czaił się za oknem dziewczynki i wchodził do mieszkania Handlera. Melody wiedziała, że w mieszkaniu psychiatry zdarzyło się coś złego. Wiedziała, że jej tatuś dokonał strasznego czynu. Nie chciała przyjąć do wiadomości okropnej prawdy. Ta informacja wypłynęła dopiero podczas jej snu. Nikt z nas nie potrafił wtedy zrozumieć małej.

Zacząłem kojarzyć fakty, kiedy zobaczyłem ślad, który dziewczynka dla mnie zostawiła. Pojąłem, że Ronnie Lee odwiedził żonę i córkę i uprowadził je obie. Melody porzuciła skurczoną głowę, którą dotąd uważała za rzecz niezwykle cenną, ponieważ nagle sobie uświadomiła, że jej ojciec jest złym człowiekiem. Przyszedł nie z wizytą, lecz po to, by skrzywdzić swoją rodzinę. Może dziewczynka widziała, jak poniewierał Bonitą lub ordynarnie przemawiał do jej matki. Tak czy owak, uznała go za niedobrego człowieka.

Teraz wszystko wydawało się takie logiczne, a przecież na początku całej sprawy rozumiałem bardzo niewiele.

– Ironia losu – powiedział Towle. – Przepisałem dziewczynce ritalin, by kontrolować jej zachowanie. I właśnie to lekarstwo spowodowało jej bezsenność. Dziecko obudziło się w niewłaściwym momencie, a później znalazło w złym miejscu o złej porze.

– Pal licha ironię – mruknąłem. – Wjedźmy do „La Casa” i uwolnijmy Melody. Musisz mi pomóc. Kiedy wszystko się skończy, dopilnuję, abys otrzymał właściwą opiekę.

Nie odpowiedział. Siedział wyprostowany na siedzeniu i bardzo starał się wyglądać nobliwie.

– Czy prosisz o moją pomoc?

– Tak, doktorze, proszę o nią.

– Dobrze, pomogę ci, doktorze Delaware.

Rozdział 29

Leżałem na podłodze lincolna, przykryty kocem.

– Trzymam rewolwer wycelowany w twój kark – przestrzegłem go. – Nie spodziewam się żadnych kłopotów z twojej strony, ale nie znamy się zbyt długo, więc nie mam do ciebie pełnego zaufania.

– Rozumiem – odparł. – Nie czuję do ciebie urazy.

Przejechał drogę dojazdową do „La Casa”, skręcił w lewo i skierował się spokojnie i powoli do bariery łańcuchowej. Wyrecytował swoje nazwisko w głośnik i wartownik podniósł szlaban. Towle powstał chwilę przy wartowni. Nastąpiła wymiana uprzejmości, słyszałem kilka razy „doktorze” i „proszę pana”. Wreszcie znaleźliśmy się na terenie ośrodka.

Pediatra dojechał do końca parkingu.

– Proszę zaparkować w zaciemnionym miejscu – wyszeptałem.

Samochód zatrzymał się.

– Wszystko w porządku – oświadczył stary doktor.

Wypęłłem spod koca, wysiadłem z samochodu i skinąłem mojemu towarzyszowi, aby za mną poszedł. Dotarliśmy do ścieżki ramię w ramię. Mijały nas pary opiekunów. Pozdrawiali Towle’a z szacunkiem. Usiłowałem wyglądać jak jego współpracownik.

W „La Casa” późnym wieczorem panował spokój. Dziecięce głosiki śpiewały kolonijne piosenki. Sto butelek piwa. Och, Suzana. Fałszywe tony gitary. Ktoś dorosły wydawał polecenia przez mikrofon. Komary i ćmy kotłowały się nad grzybami, które rosły w listowiu u naszych stóp. Powietrze przenikał słodki zapach jaśminu i oleandra. Od czasu do czasu czułem woń słonej wody bliskiego, choć niewidocznego oceanu. Po prawej stronie rozciągała się szarozielona Łąka. Dalej całkiem przyjemny cmentarzyk... Gaj, ciemny jak karmelek, las sosnowy...

Przeszliśmy obok basenu, bacząc, by się nie pośliznąć na mokrym betonie. Towle poruszał się jak stary wojownik, który udają się na swoją ostatnią bitwę: zadarty podbródek, ręce po bokach. Maszerował. Trzymałem trzydziestkę ósemkę bardzo blisko niego.

Do bunkrów z żuźlowego kruszywa doszliśmy nie zauważeni.

– Wejdziemy do tego z błękitnymi drzwiami – powiedziałem bez potrzeby.

Zeszliśmy po rampie. Towle przekręcił w zamku klucz i znaleźliśmy się w środku.

W budynku znajdowały się dwa pomieszczenia. Frontowe okazało się prawie puste – stało w nim tylko jedno składane krzesło wsunięte pod kwadratowy stoliczek z aluminium. Nie pomalowane

ściany pachniały pleśnią. Podłogę i sufit stanowiły zimne betonowe płyty. Pośrodku sufitu widniał kwadratowy świetlik. Pomieszczenie oświetlała pojedyncza goła żarówka.

Dziewczynka znajdowała się na tyłach. Leżała związana na pokrytym oliwkowo-szarym, szorstkim kocem łóżku polowym. Miała związane kostki i przewiazaną sznurem pierś, ręce przykryto jej kocem. Oddychała powoli przez otwarte usta. Spała z głową na boku. Błada, mokra od łez skóra twarzy Melody wydawała się w półmroku półprzezroczysta. Kosmyki zwisały luźno wokół jej delikatnej buzi. Maleńka, krucha, opuszczona istotka.

Przy oparciu łóżka stała plastikowa taca z nie dojedzonymi, zgęstniałymi jajkami sadzonymi, rozmiękłymi frytkami, wyschniętą sałatą o zbrązowiałych brzegach i otwartym kartonem mleka.

– Rozwiąż ją. – Wskazałem bronią.

Towle pochylił się nad dziewczynką. Chwilę szarpał się w mroku, rozpinając paski.

– Co jej podałeś?

– Valium, dużą dawkę. Potem thorazyne.

Magiczny eliksir doktora Towle’a.

Poluźnił pasy i podniósł koc. Melody miała na sobie brudne dzinsy oraz podkoszulek w białe i czerwone pasy z wizerunkiem pieska Snoopy’ego. Towle podniósł dziewczynce koszulkę, obmacał brzuch, sprawdził puls i dotknął czoła. Grał rolę lekarza.

– Wygląda kiepsko, ale nic jej nie będzie – wydał opinię.

– Proszę ponownie ją owinać kocem. Uniesiesz ją?

– Oczywiście – odrzekł, zirytowany, że wątpię w jego siły.

– To świetnie. W takim razie chodźmy.

Towle dumnie wziął Melody w ramiona. Dziewczynka westchnęła i przywarła do niego.

– Proszę jej nie odkrywać, aż nie opuścimy terenu ośrodka.

Zacząłem się obracać, gdy nagle cichy głos za moimi plecami wycedził:

– Niech pan się nie rusza, doktorze Delaware. W przeciwnym razie straci pan swój pieprzony łeb.

Zmartwiałem.

– Połóż dziewczynkę. Willie. Zabierz naszemu gościowi broń.

Towle popatrzył na mnie obojętnie. Wzruszyłem ramionami. Delikatnie położył Melody na łóżku i przykrył ją. Wręczyłem mu trzydziestkę ósemkę.

– Pod ścianę i ręce do góry, doktorze. Obszukaj go, Willie.

Towle poklepał mnie.

– Proszę się odwrócić.

Posłuchałem go. McCaffrey stał z uśmiechem w przejściu łączącym dwa pomieszczenia bunkra. W jednej ręce dzierżył magnum kaliber trzysta pięćdziesiąt siedem, w drugiej polaroid. Ubrany był w opalizujący, limonowozielony kombinezon ozdobiony kilkunastoma kieszeniami na zatrzaski i sprzączkami oraz limonowe buty z błyszczącej skóry. W przyćmionym świetle jego cera również połyskiwała zielono.

– Ha, ha, Willie. Jaką psotę zrobimy dziś wieczorem?

Wielki lekarz zwiesił głowę i nerwowo szurał nogami.

– Nie jesteś dziś zbyt gadatliwy, co, Willie? No dobra.

Pogawędzimy później. – Bezbarwne oczy zwęziły się. – Teraz mamy robotę do wykonania.

– Czy to się panu kojarzy z altruizmem, o którym rozmawialiśmy? – zapytałem, kiwając głową na bezwładne ciało Melody. – Zamknij się pan! – warknął, po czym polecił doktorowi Towle’owi: – Rozbierz małą.

– Gus... nie... Dlaczego?

– Nie pytaj, tylko rób, co ci mówię, Willie.

– Starczy już tego zła, Gus – błagał Towle. – Dość już zrobiliśmy.

– Nie, idioto. Niczego jeszcze nie zrobiliśmy. Ten oto głupi dupek może nam okropnie zaszkodzić. Kazałem go komuś zlikwidować, najwyraźniej jednak muszę to zrobić sam.

– Kazałeś pan, kazałeś – zadrwiłem szyderczo. – Pański Halstead gnije w błocie z przebitym gardłem. To był partacz, tak jak wszyscy pańscy niewolnicy.

McCaffrey zacisnął grube wargi.

– Ostrzegam pana, doktorze – warknął.

– To pańska specjalność, co? – kontynuowałem, grając na czas. Zobaczyłem, jak masywna postać się przesuwa. McCaffrey chciał mi się lepiej przyjrzeć. Utrudniał mu to panujący w pomieszczeniu mrok oraz Towle, który stał między nami i przestępował z nogi na nogę, zdenerwowany obecnością swego wieloletniego dręczyciela. – Masz pan talent do znajdowania partaczy, ofiar życiowych,

emocjonalnych kalek i odmieńców. Dzięki takiemu samemu wyczuciu muchy znajdują gówno. Pan koncentruje się na otwartych ranach tych ludzi, zatapia w ich gardłach kły, wysysa z nich krew...

– Jakież to literackie – mruknął śpiewnym głosem. Wyraźnie starał się odzyskać kontrolę nad sytuacją. Znajdowaliśmy się w zamkniętym pomieszczeniu i zbytnia impulsywność mogła się okazać ryzykowna. – Zdejmij jej ubranie, Willie – polecił. – Zdejmij je.

– Gus...

– Zrób to, ty pochlipująca kupo łajna!

Towle zakrył ręką twarz niczym dziecko, które broni się przed ojcowskim policzkiem. Ponieważ McCaffrey go nie uderzył, stary doktor podszedł do dziewczynki.

– Jesteś lekarzem – zacząłem. – Szanowanym lekarzem. Nie słuchaj go, doktorze.

Szybko, szybciej niż przypuszczałem, McCaffrey zrobił krok w moją stronę i zdzielił mnie rewolwerem w skroń. Upadłem na podłogę, z silnym bólem głowy. Zasłoniłem ręce przed dalszymi ciosami. Po palcach spłynęła mi krew.

– Zostanie pan tutaj i zamknie pieprzoną gębę na kłódkę.

Towle zdjął dziewczynce podkoszulek. Jej pierś była zapadnięta i nienaturalnie blada, żebra wyglądały jak bliźniacze kratki szarobłękitnego cienia.

– Teraz spodnie. Majtki. Wszystko.

– Po co to robimy, Gus? – spytał Towle. Wydawało mi się, że mówi trochę bełkotliwie, nie miałem jednak pewności, ponieważ nie słyszałem zbyt dobrze. Jedno ucho miałem naderwane i krwawiące, z drugim też coś było nie w porządku. Zastanawiałem się, czy tak wielki stres zdoła przełamać działanie leków, które zaaplikował sobie pediatra.

– Po co? – McCaffrey się roześmiał. – Zwykle nie widzisz takich rzeczy, co Willie? Aż do dziś stałeś sobie z boku. No cóż, nieważne... Wszystko ci wyjaśnię.

Zmarszczył czoło, patrząc na Towle'a z pogardą, potem spojrzał na mnie i ponownie się roześmiał. Dźwięk boleśnie rozbrzmiał w mojej rannej czaszce. Krew ciągle spływała mi po twarzy. Głowa ciążyła i nie potrafiłem się skupić na otoczeniu. Zacząłem odczuwać mdłości i coraz większe oszołomienie. Podłoga pode mną wydawała się podnosić. Przez moment miałem wrażenie, że McCaffrey uszkodził mi mózg. Wiedziałem, że spowodowany uderzeniem krwiak może dokonać okropnych zmian w szarej substancji... Szaleńczo walcząc o odzyskanie sił i klarowne widzenie, wyobraziłem sobie własny mózg na tacy anatoma i próbowałem zlokalizować miejsce urazu. Rewolwer trafił mnie w lewą skroń – w moją główną półkulę, ponieważ jestem praworęczny... Kiepsko. Półkul a ta kontrolowała procesy myślowe: rozumowanie, analizowanie, dedukcję – działania, od których uzależniłem się przez trzydzieści trzy lata mojego życia. Pomyślałem o utracie tych możliwości, o popadnięciu w mrok i chaos... I nagle przypomniałem sobie dwuletniego Williego juniora. Uderzono go w ten sam sposób. Stracił wszystko... na szczęście. Gdyby przeżył, miałby

potężnie uszkodzony mózg. Lewa strona, prawa strona... Fale... A może jednak...

– Zainscenizujemy małe przedstawienie, Willie – oznajmił McCaffrey. – Będę producentem i reżyserem, ty moim asystentem. Pomożesz mi z rekwizytami. – Zamachał aparatem. – Główne role w naszej sztuce zagrają mała Melody Quinn i nasz przyjaciel doktor Alex Delaware. Tytuł sztuki brzmi...”Śmierć psychologa” z podtytułem: „Przyłapany na gorącym uczynku”. Moralitet.

– Gus...

– Akcja będzie następująca: nasz czarny charakter doktor Delaware jest powszechnie znany jako opiekuńczy, wrażliwy psycholog dziecięcy. Jednakże jego koledzy po fachu i pacjenci nie znają prawdy, Alex Delaware nie wybrał bowiem swego zawodu z ogromnego poczucia, hmm... altruizmu. Nie, nie, doktor Delaware postanowił zostać dziecięcym psychologiem, gdyż chciał się znaleźć blisko dzieci. Dzięki temu mógł wykorzystywać swych małych pacjentów i pieścić ich organy płciowe. Zboczeniec i oportunistą, najpodlejszy z podłych. Zły i nieuleczalnie chory mężczyzna.

Przerwał, popatrzył na mnie i zachichotał, ciężko sapiąc. Mimo chłodu pocił się, okulary zsunęły mu się nisko na nos. Pod kudłatymi włosami czoło było pokryte kropelkami wilgoci. Spojrzałem na trzydziestkę ósemkę w ręku Towle’a; zmierzyłem odległość między starym doktorem i miejscem, w którym leżałem. McCaffrey dostrzegł moją minę, potrząsnął głową i wyszeptał: „nie”, równocześnie szczerząc zęby.

– Z tych samych niemoralnych powodów doktor Delaware złożył podanie o przyjęcie do Brygady Dżentelmenów. Odwiedził „La Casa”. Oprowadziliśmy go po terenie ośrodka i poddaliśmy testom, które ujawniły, że nie możemy go przyjąć do grona naszych szacownych dobroczyńców. Odrzuciliśmy jego wniosek, a wtedy wściekł się, że stracił szansę na kilkuletnie darmowe dostawy bezwłosych cipek i maleńkich kutasków.

Przerwał opowieść i cmoknął. Melody poruszyła się we śnie.

– Wściekł się – powtórzył. – I nie potrafił się pogodzić z naszą odmową. W końcu nie mógł już zapanować nad dławiącym go chorym gniewem i požądaniem, więc włamał się dzisiaj wieczoru do „La Casa”. Krążył po terenie i szukał ofiary. Znalazł biedną sierotkę, bezbronną, samotną w sypialni, ponieważ z powodu grypy leżała w łóżku. Szalenie stracił nad sobą panowanie. Zgwałcił małą, a potem rozszarpał na kawałki... Wiesz, Willie? Sekcja wykaże niesłychane okrucieństwo. Następnie doktor Delaware fotografuje ślady swego upiornego uczynku. Straszliwa zbrodnia! Dziecko krzyczy i błaga o litość, a my – ty Willie, i ja – przypadkiem przechodzimy obok bunkra. Rzucamy się dziewczynce na ratunek, niestety, przybywamy za późno. Mała już nie żyje. Zastajemy masakrę. Patrzymy na nią z przerażeniem i odrazą. Delaware, zdemaskowany, rzuca się na nas z bronią w ręku. Bohatersko walczymy z nim, pokonujemy go, w trakcie naszych zmagania morderca zostaje śmiertelnie ranny. Dobrzy faceci zwyciężają i do doliny znów powróci spokój.

– Amen – powiedziałem.

Zignorował mnie.

– Nieźle, co. Willie?

– Gus, to się nie uda. – Towle ponownie stanął między McCaffreym a mną. – On wie o wszystkim: o nauczycielce i o małym Nemecie...

– Cicho, uda się. Przeszłość najdoskonalej potrafi przepowiadać przyszłość. Udawało nam się przedtem, uda nam się i teraz.

– Gus...

– Cicho! Nie potrzebuję twoich rad. Wydaję ci tylko polecenia. Rozbieraj małą!

Podparłem się na łokciach i przemówiłem, z trudem poruszając obolałymi, spuchniętymi szczękami. Starłem się mówić wyraźnie i z sensem.

– Co pan powie na inny scenariusz? Nosi tytuł: „Wielkie kłamstwo” i opowiada o człowieku, który sądzi, że zamordował żonę i dziecko, więc przez całe życie wypełnia rozkazy szantażysty.

– Zamknij się pan. – McCaffrey ruszył w moim kierunku.

Towle zatarasował mu drogę. Wycelował trzydziestkę ósemkę w swego towarzysza – ogromnego, ubranego na zielono tłuściocha. Sytuacja zupełnie się odwróciła.

– Chcę usłyszeć to, co ma mi do powiedzenia doktor Delaware, Gus – Jestem zakłopotany. Niczego już nie rozumiem. Chcę, żeby Alex wyjaśnił mi...

– Proszę, pomyśl – wtrąciłem. Mówiłem tak szybko jak tylko pozwalał mi na to ból. – Czy sprawdziłeś oznaki życia u Williego juniora? Nie. McCaffrey podobno badał puls dziecka. Powiedział ci, że chłopiec nie żyje. Że go zabiłeś. A ciało? Znalazło się? Widziałeś ciało swojego syna?

Skoncentrowany Towle zacisnął usta. Odnosiłem wrażenie, że co jakiś czas traci kontakt z rzeczywistością, trzymał się jednak dzielnie i z całych sił bronił przed kolejnym już dziś atakiem.

– No... nie wiem – odparł Towle. – Willie nie żył. Tak mi powiedzieli wszyscy trzej. Fale...

– Może. Ale proszę cię, pomyśl: to była wspaniała sposobność. Lilah... Oskarżono by cię co najwyżej o nieumyślne spowodowanie jej śmierci. Przemocy w rodzinie nikt nie traktował w owych czasach poważnie. Twoja rodzina zatrudniłaby na pewno świetnych prawników i otrzymałbyś prawdopodobnie wyrok w zawieszeniu. Dwa ciała zmieniały jednak postać rzeczy. Zwłaszcza zabicie dziecka trudno byłoby wyjaśnić. McCaffrey chciał, abyś uwierzył w śmierć syna. Dzięki temu uzależniłeś się od niego.

– Willie – warknął groźnie ogromny kaznodzieja.

– Nie wiem... tyle czasu minęło...

– Proszę cię pomyśl! Uderzyłeś go wystarczająco mocno, by zabić? Może nie. Proszę, skup się. Potrafisz. Z pewnością potrafisz.

– Kiedyś potrafiłem – wymamrotał.

– Ciągłe umiesz! Proszę sobie przypomnieć całą sytuację. Uderzyłeś małego Williego w bok głowy. W który?

– Nie wiem..

– Will, to są kłamstwa. Ten facet wmawia ci jakieś bzdury. – McCaffrey szukał sposobu, by mnie uciszyć. A jednak Towle uniósł broń i dźgnął swego towarzysza w lewe żebro – w miejsce, w którym normalny człowiek ma serce...

– W który bok, doktorze? – spytałem nagle.

– Jestem praworęczny – odpowiedział, jakby odkrywał ten fakt po raz pierwszy. – Użyłem zatem prawej ręki. Uderzyłem dziecko prawą ręką... pamiętam... Chłopiec raczkuje w moim kierunku od sypialni. Płacze za matką. Podchodzi do mnie z prawej strony, przysuwa się coraz bliżej... Uderzam go, tak, tak... w prawy bok. W prawą skroń.

Ból w mojej głowie zmieniał czynność mówienia w torturę. Starałem się o tym nie myśleć.

– Tak. Dokładnie. No więc teraz pomyśl! A jeśli McCaffrey cię oszukał? Jeśli Willie przeżył? Zraniłeś go, ale chłopiec przeżył. Jakiego rodzaju uszkodzenia miałby? Jakie objawy może spowodować uraz prawej półkuli u dorastającego dziecka?

– Uszkodzenie prawej półkuli mózgowej... Prawa część mózgu kontroluje lewą stronę ciała... – wyrecytował. – Uszkodzenie prawej półkuli powoduje lewostronną dysfunkcję.

– Doskonale – zachęcałem go. – Poważny cios w prawą półkulę może spowodować lewostronny paraliż.

– Earl...

– Tak. Ciała nigdy nie znaleziono, ponieważ dziecko nie umarło. McCaffrey sprawdził jego puls, wyczuł go, dostrzegł, że jesteś w szoku po swoim czynie, i wykorzystał twoje poczucie winy. Zawinął oba ciała z niewielką pomocą kolesiów. Twoją żonę posadzono za kierownicą samochodu i zrzucano z mostu Evergreen. McCaffrey zatrzymał chłopca. Prawdopodobnie załatwił mu jakąś pomoc medyczną, lecz nie najlepszą, gdyż każdy szanujący się lekarz zgłosiłby incydent policji. Po pogrzebie McCaffrey zniknął. Sam mi mówiłeś. To twoje słowa. Zniknął, bo musiał. Miał ze sobą dziecko. Zabrał je do Meksyku, kto zresztą naprawdę wie gdzie... Nadał chłopcu nowe nazwisko i wychował po swojemu. Uczynił z niego swego prywatnego robota.

– Earl... Willie junior. – Towle zmarszczył brwi.

– Cóż za absurd! – krzyknął McCaffrey. – Z drogi, Willie! Rozkazuję ci, odejdz!

– To prawda – zapewniłem starego doktora, przekrzykując łomot w mojej głowie. – Dziś wieczorem, zanim wzięłaś pigułki, powiedziałaś mi, że Melody wygląda jakoś znajomo. Proszę się ostrożnie odwrócić... Tylko nie spuszczaaj z oczu McCaffrey a... Proszę się dobrze przyjrzeć małej. Kogo ci przypomina?

Trzymając rewolwer wycelowany w McCaffreya Towle cofnął się o krok. Przez chwilę patrzył na dziewczynkę.

– Wygląda – oświadczył łagodnie jak Lilah.

– Jak jej babka.

– Nie miałem pojęcia...

Oczywiście. Quinnowie byli biedni, niepiśmienni. Społeczne szumowiny. Kiepska protoplazma. Poglądy Towle'a związane z genetyczną przewagą klasy wyższej uniemożliwiały mu nawet myśl o związku z którymkolwiek przedstawicielem niższych warstw społecznych. Dzięki mnie na chwilę zapomniał o dzielących ich różnicach, toteż prawda uderzyła w niego z całą mocą i – niczym krople kwasu w zetknięciu ze skórą – wypalała w jego świadomości psychiczne rany. Jego syn okazał się mordercą i bestią. Nie żył. Jego synowa była intelektualnie ograniczonym, bezradnym, brzydkim stworzeniem. Również już nie żyła. Na własnej wnuczce eksperymentował nowe dawki leków. Była zamroczona, lecz żyła. Pewnie już niedługo.

– McCaffrey chce ją zamordować. Porozrywać na strzępy. Sam słyszałeś. Sekcja wykaże „niesłychane okrucieństwo”.

Towle odwrócił się w stronę mężczyzny w zielonym kombinezonie.

– Gus... – załkał.

– No już dobrze, Willie – powiedział kojącym głosem McCaffrey. Potem zastrzelił Towle'a z trzysta pięćdziesiątki siódemki. Kula weszła doktorowi w brzuch i wyszła plecami wraz z niewielkim rozpryskiem krwi, skóry i kaszmiru. Towle upadł do tyłu, lądując na boku łóżka. Strzał z broni o sporym kalibrze odbił się echem po betonowych ścianach bunkra. Prawdziwy huk. Dziewczynka obudziła się i zaczęła krzyczeć.

McCaffrey odruchowo wycelowwał w nią rewolwer. Wykorzystałem moment jego nieuwagi, rzuciłem się na niego i kopnąłem w nadgarstek. Broń wypadła mu z ręki i pofrunęła w stronę frontowego pomieszczenia. Mężczyzna zawył wściekle. Ponownie go kopnąłem, tym razem w goleń. Jego noga była miękka jak befszytk. McCaffrey ruszył do wyjścia. Chciał odzyskać broń. Pobiegnę za nim. Skoczył na rewolwer. Wielkie cielsko mężczyzny zakołysało się. Zamachnąłem się i obiema rękami uderzyłem go w plecy. Moje pięści zapadły się w miękkie ciało. Na McCaffreyu moje uderzenie nie zrobiło najmniejszego wrażenia. Jedyne centymetry dzieliły jego dłoń od magnum. Kopnąłem ją, potem tą samą stopą trzasnąłem przeciwnika w żebra. Z niewielkim skutkiem. McCaffrey był cholernie ciężki i cholernie wysoki. Nie mogłem dosięgnąć pięścią do jego twarzy,

więc zaatakowałem jego nogi. Potknął się.

Upadał niczym ścięta sekwoja. Ciągnął mnie za sobą. Warcząc, przeklinając i śliniąc się, przetoczył się i runął na mnie. Zacisnął palce na mojej szyi. Sapał. Czułem jego kwaśny oddech, widziałem bryłowatą szkarłatną twarz i rybie oczka ukryte w mięsistych fałdach ciała. Zaciskał ręce coraz mocniej. Szarpałem się. Staralem się wydostać spod wielkiego cielska, niestety, nie mogłem się ruszyć. Przez chwilę byłem sparaliżowany ze strachu. McCaffrey nadal wbijał palce w moją szyję. Walczyłem resztkami sił.

Nagle jego twarz pociemniała. Pomyślałem, że to z wysiłku. Szkarłat zmienił się w kolor kasztanowy, potem w czerwono-czarny, wreszcie w paletę różnych odcieni. Jego kudłate włosy rozsypały się na wszystkie strony. Jasnoczerwona, świeża krew popłynęła mu z nosa, uszu, ust. Oczy otworzyły się szeroko i McCaffrey zaczął zawzięcie mrugać. Na jego groteskowej twarzy pojawiła się urażona mina. Napastnik wydał dziwny dźwięk. Spadł na nas deszcz igiełek i trójkątów popękane szkła. Bezwładne zwłoki McCaffreya ochroniły moje ciało przed poranieniem.

Światlik ział otworem. Po chwili pojawiło się w nim męskie oblicze. Czarnoskóre i zatroskane. Delano Hardy! I jeszcze coś czarnego: lula strzelby.

– Trzymaj się, konsultancie – powiedział detektyw Hardy. – Skaczymy ci na pomoc.

– Rany, twoja twarz wydaje się nawet brzydsza od mojej – mruknął Milo, kiedy ściągnął ze mnie ciało McCaffreya.

– Tak – szepnąłem, choć mówienie sprawiało mi straszliwy ból – tyle że moja zmieni się za kilka dni.

Uśmiechnął się.

– Dziecku chyba nic nie jest – krzyknął Hardy z tylnego pomieszczenia. W chwilę później wyszedł z Melody w ramionach. Dziewczynka drżała. – Przerażona, ale wyszła bez szwanku jak jest napisane w gazetach.

Milo pomógł mi wstać. Podeszedłem do Melody i pogłaskałem ją po włosach.

– Wszystko będzie dobrze, kochanie. – Zabawne, jakie banały cisną nam się na usta w trudnych chwilach.

– Aleksie – odezwała się i posłała mi uśmiech. – Wyglądasz śmiesznie.

Ucisnąłem jej rączkę. Dziewczynka zamknęła oczy. „Słodkich snów” – pomyślałem.

W ambulansie Milo zzuł buty i usiadł w pozycji lotosu przy moich noszach.

– Mój bohaterze – powiedziałem, choć moje słowa zabrzmiały raczej jak „mu buherze”.

– Oczekuję wdzięczności przez jakiś czas, przyjacielu. Swobodnego dostępu do cadillaca,

gotówkowych pożyczek bez oprocentowania, darmowej terapii.

– Innymi słowy – mimo spuchniętych szczęk usiłowałem jak najstaranniej wymawiać wyrazy – nic nowego.

Roześmiał się, poklepał mnie po ramieniu i kazał mi się zamknąć. Sanitariusz skwapliwie przyznał mi rację.

– Prawdopodobnie trzeba będzie drutować pańską szczękę – oświadczył. – Nie powinien pan mówić.

Zacząłem protestować.

– Cii! – szepnął sanitariusz.

Chwilę później Milo popatrzył na mnie i potrząsnął głową.

– Jesteś szczęściarzem, stary. Przyjechałem do Los Angeles półtorej godziny temu. Rick mi przekazał, żebym do ciebie zadzwonił. W twoim domu czekała Robin, straszliwie zmartwiona. Podobno miałaś zjeść z nią kolację o dziewiętnastej, lecz nie wróciłaś. Zapewniła mnie, że nie masz zwyczaju się spóźniać, więc może coś ci się stało. Obwiniła mnie za twoje wycieczki... Zdaje się, że podczas mojej nieobecności harowałeś jak mała pszczołka. Zgadza się? Dzwonię na posterunek... podczas urlopu, wyobrażasz to sobie? Dostaję zwariowaną informację o Krugerze, którą nabazgrał dla mnie Del Hardy. Dodał, że jedzie do „La Casa”. Pobiegnę do Krugera, przedarłem się przez twoje barykady, znalazłem go związanego i cholernie przerażonego. Był wrakiem człowieka... Zadziwiająco, jak działa króciutka deprywacja sensoryczna, prawda? Dzwonię na pager do Dela, łapię go w samochodzie na autostradzie Pacific Coast. Stoi w korku. Wiesz, taka godzina... Producenci i gwiazdy wracają do domów. Del włączył syrenę i pędził przez większą część drogi poboczem, wreszcie dotarł. Resztę już znasz.

– Nie chciałem stawiać na nogi całego posterunku – wyjaśniłem mimo trudnego do zniesienia bólu.
– Nie chciałem, żeby dziecku stała się krzywda...

– Proszę, niech pan nic nie mówi – mruknął sanitariusz.

– Cicho – dodał łagodnie Milo. – Wykonałeś wspaniałą robotę. Dzięki. Ale nie rób tego więcej, stary.

Ambulans zatrzymał się przed izbą przyjęć szpitala w Santa Monica. Znałem to miejsce, ponieważ wygłosiłem tu kiedyś serię wykładów dla personelu na temat psychologicznych aspektów urazów u dzieci. Miałem nadzieję, że dobrze mnie tu potraktują.

– W porządku? – spytał Milo.

– Aha.

– Dobrze. Teraz zajmą się tobą ludzie w białych kitlach. Jadę aresztować sędziego.

Rozdział 30

Robin rzuciła jedno spojrzenie na moje zadrutowane szczęki i podbite oczy, po czym wybuchnęła płaczem. Uściskała mnie, pogruchała nade mną i usiadła przy moim boku. Spędziła ze mną niemal cały dzień: karmiła zupą i wodą sodową. Jadłem bardzo powoli. Potem moja dziewczyna dała upust wściekłości i nakrzyczała na mnie, nazywając pomyłkiem, który bez powodu ryzykuje życie. Nie potrafiłem się bronić. Nie odzywała się do mnie przez sześć godzin, po czym złagodniała. Sytuacja z wolna wracała do normalności.

Kiedy mogłem wreszcie mówić, zadzwoniłem do Raquel Ochoa.

– Och, witaj – rzuciła. – Wymawiasz słowa w zabawny sposób.

Opowiedziałem jej całą historię, jednak z powodu bólu w dużym skrócie. Gdy skończyłem, przez moment się nie odzywała.

– To były potwory – szepnęła w końcu.

– Tak.

Milczenie między nami zaczęło mi ciążyć.

– Jesteś mężczyzną z zasadami – stwierdziła nagle.

– Dziękuję.

– Aleksie... tamtego wieczoru... my. Nie żałuję tego. Dzięki temu incydentowi wiele spraw sobie przemyślałam. Doszłam do wniosku, że powinnam się spotykać z ludźmi i... znaleźć sobie kogoś.

– Byle nie pierwszego lepszego.

– Och... dziękuję ci. Dbaj o siebie. I szybko wracaj do zdrowia.

– Postaram się. Do widzenia.

– Do widzenia.

Następnie zatelefonowałem do Neda Biondiego i zaprosiłem go do siebie. Przyszedł po południu i przeprowadzał ze mną wywiad tak długo, aż pielęgniarki go wyrzuciły. W kilka dni później przeczytałem jego artykuł w „Los Angeles Times”. Opisał wszystko – działalność McCaffreya w Meksyku, morderstwo dokonane na Hickle’u, brudne sprawy Brygady Dżentelmenów oraz... samobójstwo Edwina Haydena tej nocy, kiedy miał zostać aresztowany. Sędzia strzelił sobie w usta, gdy Milo przed aresztowaniem pozwolił mu się przebrać w drugim pokoju. Biondi oczywiście zwrócił uwagę na podobieństwo samobójstwa Haydena do zabójstwa Hickle’a. „Kto od miecza

wojuje, ten...” i tak dalej.

Zadzwońłem też do Olivii Brickerman i poprosiłem, by zaopiekowała się Melody. Dwa dni później Olivia znalazła starszą bezdzietną parę w Bakersfield, ludzi, których znała i którym ufała. Bardzo cierpliwi. Pięć hektarów do biegania. W pobliżu mieszkała utalentowana psycholog dziecięca. Poznałem ją jeszcze w szkole średniej i wiedziałem, że miała sporo doświadczenia w leczeniu dzieci, które straciły kogoś bliskiego bądź uczestniczyły w jakimś tragicznym zdarzeniu. Cała trójka ochno pomagała Melody wrócić do zdrowia.

Sześć tygodni po zamknięciu sprawy „La Casa de los Ninos” Robin i ja umówiliśmy się z Milem i Rickiem Silvermanem na kolację w cichym, eleganckim lokaliku w Bel Air. Podawano tam owoce morza.

Przyjaciel Mila przypominał mężczyzn z reklam papierosów – metr osiemdziesiąt trzy wzrostu, szerokie ramiona, wąskie biodra, męski typ, interesująca twarz, na głowie szopa sztywnych, kasztanowych loków, króciutki brązowy wąsik. Rick założył dobrze skrojony, czarny garnitur z jedwabiu, koszulę w czarne i białe pasy oraz czarny dziany krawat.

– Szczęściarz z tego Mila – wyszeptała Robin na jego widok.

Przy Ricku Milo wyglądał jak obszarpaniec, chociaż wyraźnie przygotował się do naszego spotkania; wystroił się, a włosy lśniły mu jak dzieciakowi w kościele.

Przedstawił nas sobie. Zamówiliśmy drinki i rozmawialiśmy. Rick zachowywał się spokojnie i powściągliwie. Miał nerwowe ręce chirurga, w których stale musiał coś trzymać: szklankę, widelec, mieszadełko. Często wymieniał z Milem czułe spojrzenia. Raz zauważyłem, jak na sekundę zetknęły się ich dłonie. Rick stawał się coraz bardziej rozmowny. Opowiadał nam o swojej pracy, o tym, co w niej lubi, a czego nie znosi. Kelner przyniósł kolację. Był to homar lub stek, ale ja musiałem się zadowolić miękkim sufletem. Gawędziliśmy, było bardzo przyjemnie.

Kiedy skończyliśmy posiłek i czekaliśmy na ciastka i brandy, zabręczał pager Ricka. Przeprosił nas i poszedł do telefonu.

– Skorzystam przy okazji z toalety – Robin wytarła usta serwetką i wstała. Odeszła, kołysząc biodrami, a ja odprowadziłem ją wzrokiem.

Gdy zniknęła. Milo i ja popatrzyliśmy na siebie. Milo zdjął sobie kawałek ryby z krawata.

– Witaj, przyjacielu – odezwałem się.

– Witaj.

– Miły gość z tego Ricka. Polubiłem go.

– Chcę się z nim związać na zawsze. A nie jest to łatwe przy naszym trybie życia.

– Wyglądacie na szczęśliwych.

– Jesteśmy szczęśliwi. Różnimy się w wielu sprawach, lecz mamy także wiele wspólnego. Rick jeździ porsche 928 – dodał ze śmiechem.

– Gratulacje. Przeżywasz teraz dobry okres.

– „Kto długo czeka, ten się doczeka”.

Skinąłem na kelnera i zamówiłem dla nas drinki. Gdy je przyniesiono, powiedziałem:

– Milo, chciałem z tobą o czymś porozmawiać. W związku ze sprawą.

Wziął spory łyk szkockiej.

– O czym?

– O Haydenie.

Spowaźniał.

– Jesteś moim psychologiem... Zatem ta rozmowa jest poufna?

– Tak, a co więcej, jestem twoim przyjacielem.

– No dobrze – westchnął. – Pytaj. Chyba się domyślam, co chcesz wiedzieć.

– Tak, chodzi o samobójstwo. Nie ma dla mnie sensu. Z dwóch powodów. Po pierwsze, wiem, jaki był z niego facet. Wszyscy zgodnie nazywali go draniem. Aroganckim, wstrętnym, sarkastycznym draniem. Kochał tylko siebie. Nie zdarzało mu się wątpić w siebie. Tego rodzaju ludzie nie strzelają sobie w łeb, raczej szukają sposobu, by obwiniać innych. Do końca kłamią i wszystkiego się wypierają. Po drugie, jesteś zawodowcem. Jak mogłeś tak zawalić sprawę i pozwolić mu na samobójstwo?

– Powiedziałem ludziom z Wydziału Spraw Wewnętrznych, że Hayden był sędzią, czułem dla niego szacunek, więc mu zaufałem. Twierdził, że chce się przebrać w swoim gabinecie. Tamci kupili tę opowieść.

– Opowiedz mi, jak było naprawdę. Proszę.

Rozejrzał się po restauracji. Stoliki obok nas były puste. Rick i Robin nadal nie wracali. Milo przełknął resztkę drinka.

– Poszedłem po niego, gdy cię zostawiłem w szpitalu. Było już pewnie po dziesiątej. Hayden mieszkał w jednym z tych dużych angielskich pałacików w stylu Tudorów. W Hancock Park. Spore pieniądze, stara rodzina. Przed domem wielki trawnik. Na podjeździe bentley. Ozdobnie, przystrzyżone krzewy. Dzwonek do drzwi jak z filmów z Karloffem. Otworzył drzwi; mały, słaby facet, może z metr sześćdziesiąt dwa wzrostu. Dziwne oczy. Straszne. Miał na sobie jedwabny

szlafrok, w dłoni trzymał kieliszek z brandy. Powiedziałem mu, po co przyszedłem. Nie zaniepokoił się. Zachowywał się bardzo wytwornie. Był zamyślony, jakby sprawa, z którą do niego przyszedłem, nie miała z nim nic wspólnego. Wszedłem za nim do środka. Mnóstwo rodzinnych portretów. Sztukateria na sufitach, żyrandole... Wyobrażasz sobie? Prawdziwy pan na włościach. Wprowadził mnie do gabinetu na tyłach. Oczywiście dębowa boazeria, całe ściany w półkach z obitymi skórą książkami, wiesz takie, jakie ludzie kolekcjonują, ale nigdy nie czytają. Na kominku dwa porcelanowe charty angielskie, rzeźbione biurko i tym podobne drobiazgi.

– Obszukałem go – kontynuował. – Znalazłem dwudziestkę dwójkę, zabrałem ją... To do obrony w nocy, panie policjancie – mówi mi. – Nigdy nie wiadomo, kto zastuka do moich drzwi”. Śmieje się. Aleksie, przysięgam, że się śmiał. Nie mogłem w to uwierzyć. Życie faceta rozpada się na drobne kawałki, on sam trafi następnego dnia na pierwsze strony gazet jako pedofil, a ten śmieje mi się w twarz. Czytam mu jego prawa, facet wygląda na znudzonego. Siada za biurkiem i traktuje mnie jak petenta, który przyszedł do niego po prośbie. W końcu zaczyna pogawędkę. Nadal śmiejąc mi się w twarz, stwierdza: „Jakie to zabawne, że przysłali po mnie właśnie pana, gliniarza pedała. Sądzę, że pan powinien mnie zrozumieć”. Rzuca kilka zdań w tym tonie, uśmiecha się z wyższością, daje mi do zrozumienia, a później wręcz oświadcza wprost, że mamy z sobą wiele wspólnego, że jesteśmy współnikami w zbrodni. Zboczeńcami. Stoję, słucham go i robi mi się coraz goręcej. Hayden uśmiecha się wesoło i widzę, że tego właśnie chce, że pragnie panować nad sytuacją. Wtedy się uspokajam, również się uśmiecham. Pogwizduję. Facet zaczyna mi opowiadać, co robili z dziećmi, sugerując, że jego opowieść na pewno mnie podnieci. Mówi do mnie, jak do kumpla z wieczoru kawalerskiego. Mnie się żołądek przewraca, a ten drań twierdzi, że jedziemy na tym samym wózku.

– Kiedy mówił – podsumował – skupiał się na mnie. Patrzyłem w te dziwne oczka i miałem wrażenie, że widzę, jak pracuje jego mózg. Niemal fizycznie czułem mroczną otchłań zła. W tym człowieku nie było najmniejszej drobiną dobra. Samo zło. Kanalia. Oceniam go krytycznie i rozmyślam nad tym, co będzie dalej. Sędzia zaś nadal ciągnie opowieść o wstrętnych zabawach z dziećmi. Mówi mi, że bardzo będzie za nimi tęsknił...

Milo przerwał i odchrząknął. Podniosłem szklanke i skończyłem drinka.

– Nadal myślę o przyszłości tego drania. Wiem, jaki będzie wyrok. Rozglądam się po wielkim gabinecie. Znam tych bogatych przestępców. Hayden zostanie uznany za niepoczytalnego i umieszczony w jakimś przyjemnym sanatorium. Po pewnym czasie uda mu się z niego wyjść i zacznie wszystko od początku. Nie mogę do tego dopuścić. Natychmiast podejmuję decyzję. Podchodzę do niego, staję za nim, chwytam jego kościstą małą głowę i odchylam w tył. Wyjmuję dwudziestkę dwójkę i wpycham mu ją w usta. Sędzia walczy ze mną, lecz jest tylko starym mięczakiem. Wmawiam sobie, że zgniatam paskudnego insekta, pieprzonego robala... Sądzą go w odpowiedni sposób. Widziałem dość sądowych raportów, by wiedzieć, jak powinno wyglądać samobójstwo. Mówię: „Dobranoc, wysoki sędzie” i pociągam za spust. Resztę znasz. Starczy?

– Jasne.

– Co powiesz na jeszcze jednego drinka? Cholernie mnie suszy.